Ludzie Sierpnia 80 w Gdyni tom IV

DANUTA SADOWSKA
ANDRZEJ KOŁODZIEJ ROMAN ZWIERCAN

Ludzie Sierpnia 80 w Gdyni tom IV

Gdynia 2015

Album wydano przy finansowym wsparciu
PREZYDENTA MIASTA GDYNI

Redakcja:
Barbara Mielewczyk, Zbigniew Adamski, Zbigniew Mielewczyk

Zbiory własne:
Fundacja Pomorska Inicjatywa Historyczna.

W albumie wykorzystano fotografie:
Barbary Jurkowskiej, Janusza Uklejskiego, Marka Munika,
Tadeusza Lademana, Ryszarda Wesołowskiego, Zbigniewa Trybka.

Niniejsza publikacja powstała dzięki wspaniałej pracy tych, którzy poświęcili swój czas na przeprowadzenie kilkudziesięciu wywiadów i notacji z bohaterami tamtych dni. Serdecznie dziękujemy naszym wolontariuszom:
Marii Pawlik, Grzegorzowi Kowalowi, Marii Rucińskiej, Krzysztofowi Dziadziuszce, Patrycji Łupińskiej, Annie Adamek, Patrykowi Sobieckiemu, Zygmuntowi Pałaszowi, Krzysztofowi Wianeckiemu, Annie Łuszcz i Małgorzacie Zwiercan z Fundacji Pomorska Inicjatywa Historyczna, Kamilowi Wełnie, Paulinie Jaremczak, Małgorzacie Koronkiewicz-Hupajło i Ewie Sulei z Fundacji Wspólnota Pokoleń oraz J.G. i A.K. — Redakcja

© Copyright by Fundacja Pomorska Inicjatywa Historyczna

ISBN 978-83-62631-10-0

www.fundacja-pih.pl



Fundacja
Pomorska Inicjatywa Historyczna

Materiały opublikowane w tym tomie stanowią zapis relacji składanych przez bezpośrednich uczestników wydarzeń. Mimo upływu czasu wspomnienia te budziły dużo emocji, bywały niekiedy chaotyczne i przerywane. Staraliśmy się je jak najwierniej odwzorować, więc ingerencja redakcyjna została ograniczona do absolutnego minimum, czasami nawet kosztem poprawności językowej.

Redakcja

Gdynia, dnia 31 lipca 2015 roku

„Solidarność, miłość, godność
— dopiero w imię tych rzeczy postępujemy jak ludzie.”

Maria Dąbrowska

Szanowni Państwo,

Oddaję w Państwa ręce kolejny, czwarty już tom publikacji „Ludzie Sierpnia 80 w Gdyni”, będącej zbiorem wspomnień uczestników wydarzeń sierpniowych. Jako Prezydent Gdyni przykładam szczególną wagę do tego, by postawy ludzi, którzy w najtrudniejszym czasie podejmowali czyny wielkie, zostały upamiętnione i ukazane światu. Tych przejawów heroizmu, walki o wolność nie zabrakło w czasach trudnych. Honor i bohaterstwo uczestników strajków w stanie wojennym budowały drogę do wolności. Dzięki nim zmieniła się Polska, zmieniła się Europa i zmienił się świat.

Zmiany, które zaszły w naszym kraju, w naszym mieście, zawdzięczamy w dużej mierze odwadze, determinacji, ale także rozwadze i odpowiedzialności Ludzi Sierpnia. Szacunek i pamięć, które jesteśmy im winni, są znakiem i symbolem solidarności, która powinna być obecna w naszym życiu społecznym w wymiarze zarówno prywatnym, jak i instytucjonalnym. Gdyński samorząd konsekwentnie podejmuje i wspiera inicjatywy na rzecz zachowania dla przyszłych pokoleń prawd o tamtych czasach, o ludziach, których patriotyzm i bohaterstwo zdecydowały o losach nie tylko Polski, ale i innych krajów.

Z wyrazami szacunku

Prezydent Gdyni

Wojciech Szczurek

Pamięć sierpnia 80

Pamięć o wydarzeniach sierpniowych 1980 r. coraz bardziej oddala się, rzeczywistość wymaga od nas zaangażowania, podejmowania wyborów, rozwiązywania codziennych problemów. Doświadczamy też jako naród nowych tragedii. To, co stało się w Smoleńsku 10 kwietnia 2010 r., reakcja władz i części społeczeństwa na katastrofę, ilość bezczelnych kłamstw, szantażu, przemocy i manipulacji ze strony decydentów w sprawie śledztwa, w stosunku do rodzin ofiar i świadków oraz bezpardonowe zawłaszczanie władzy — oznacza rozłam społeczeństwa polskiego. Znowu jesteśmy „my" i „oni". Nowe doświadczenia wymagają od nas podejmowania nowych wyborów, opowiedzenia się, zajęcia stanowiska — choćby wobec własnego sumienia. Jednak tym bardziej warto wracać do doświadczenia Sierpnia i Solidarności, które pozostają dowodem na możliwość skutecznego oddolnego działania, dowodem na możliwość zwycięstwa.

Żyją jeszcze ludzie z pokolenia, które doświadczyło okupacji niemieckiej, radzieckiej, rządów zdrajców — komunistów polskich na usługach ZSRR... Ich świadectwo jest jeszcze żywe i wchodzi w bagaż naszego wspólnego doświadczenia historycznego. Doświadczenia przygnębiającego i upokarzającego. A jednak po 41 latach tych wyniszczających nasz naród działań potrafiliśmy w 1980 r. wzniecić Solidarność! Zorganizować się jako wspólnota i przywołać wartości, które kolejni okupanci usiłowali wyrwać z naszej duszy z korzeniami.

Na tym doświadczeniu musimy budować naszą tożsamość, do tych przeżyć powinniśmy się odwoływać. To było nasze zwycięstwo! Tym zrywem udowodniliśmy, również sobie, że skutecznie możemy funkcjonować jako wspólnota narodowa, budując na podstawowych wartościach moralnych chrześcijańskich i na wspólnie określonym rozpoznaniu dobra i zła. Te wartości tkwią głęboko w naszej duszy.

W tym roku mija kolejna, 35 rocznica strajków, szczegóły zaczynają się zacierać. Ale ważny jest nasz wspólny wysiłek nawracania do tamtych wydarzeń, udowadniania sobie i pokazywania młodemu pokoleniu tego zrywu. Potrafiliśmy! Zwyciężyliśmy! Doświadczyliśmy satysfakcji i poczucia mocy. Odzyskaliśmy swoją godność. Przeżywaliśmy dumę bycia Polakami! Podjęliśmy próbę uporządkowania rzeczy wspólnej, jaką jest nasze państwo. Pokazaliśmy, że potrafimy wziąć odpowiedzialność za nasze zakłady pracy, za nasze regiony i nasz kraj.

W tym tomie poświęconym Ludziom Solidarności z Gdyni chcieliśmy przedstawić indywidualne wspomnienia, doświadczenia i podsumowania tego okresu. Trochę zapominamy, z jakimi emocjami musieliśmy się zmierzyć wówczas. Jak wiele kosztowało nas podjęcie decyzji o przystąpieniu do strajku. I jak wielki był to wysiłek również dla naszych rodzin. W obecnie spisywanych wspomnieniach ten aspekt najbardziej ucieka — jak bardzo niepokoiły się rodziny o strajkujących, jak przeżywały to dzieci oraz jak ciężka była ta rozłąka i niepewność co do losów strajku. Po 35 latach podpisanie Porozumień jest dla nas po prostu faktem historycznym. Podczas strajku nie było takiej pewności; żywe były doświadczenia Grudnia 1970 r., kiedy „władza" nie zawahała się krwawo rozprawić z robotnikami. Doświadczaliśmy strachu, niepewności, lęku.

Tę atmosferę możemy odnaleźć w listach rodziny Bejrowskich, które prezentujemy w tym tomie. List 14-letniego syna i 12-letniej córki do ojca — Czesława Bejrowskiego — i jego odpowiedź pozwala nam przypomnieć sobie atmosferę tamtego okresu. „Chciałem się Taty zapytać, czy to, co piszą na ulotkach w «Komunie», że «Wytrzymamy», jest prawdą." „Wszyscy w domu tęsknimy za tatą. Zawsze, jak przyjdzie mama od telefonu, to pytamy z Gracjanem: No i co? Kiedy tata wróci?" „Tatusiu, jak to długo będzie trwało, bo już tak się niepokoimy."

Te doświadczenia sporo nas kosztowały, udział w strajku, w buncie przeciw ówczesnej władzy wcale nie był czymś oczywistym. Ryzyko było spore, bo można było stracić pracę, można było znaleźć się na czarnej liście i długo pozostawać bez zatrudnienia, można było stracić mieszkanie, trafić do więzienia... Tu na Wybrzeżu pamiętaliśmy, w jaki sposób wojsko i milicja traktowały nie tylko strajkujących, ale też zwykłych mieszkańców w Grudniu 1970 r. Masakra w Czarny Czwartek 17 Grudnia, ale też bicie, katowanie, wyrywanie włosów zatrzymanych, nawet zwykłych przechodniów... Przystąpienie do strajku wymagało odwagi, to nasze zwycięstwo miało wysoką cenę.

Co dawało nam siłę do podjęcia takich decyzji i do walki? Z pewnością niezgoda na upokarzający system władzy, brak jakichkolwiek perspektyw, konieczność walki o przetrwanie, o zabezpieczenie bytu dla siebie i rodziny, podstawowych potrzeb... Ale przeglądając wspomnienia uczestników strajku w Gdyni, zwróćmy również uwagę na aspekt wiary, przynależności do Kościoła. „Byłem wierzący. Wyniosłem to z domu" — pisze Stanisław Pacholec. „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!" — tak rozpoczynają list dzieci Czesława Bejrowskiego i również on sam.

Wiarę wynieśliśmy z domu, a od 1978 r. wzmacniał nas Jan Paweł II. I tu jest nasza największa siła i źródło poczucia naszej godności i wartości. To doświadczenie SOLIDARNOŚCI, dosłownej, prawdziwej, życzliwej, ma korzenie w naszym systemie wartości, opartym na Dekalogu i Jezusie Chrystusie. Pamiętajmy, że wówczas w Gdyni naszymi duchowymi przewodnikami i wychowawcami byli kapłani — ksiądz Hilary Jastak i ojciec Edward Ryba. Potwierdza to również sposób przeżywania rocznic i co ważniejszych wydarzeń podczas okresu Solidarności — rozpoczynanych zawsze mszą świętą. To jest korzeń naszej tożsamości, musimy to szanować i pielęgnować.

Z wielu wypowiedzi, które tu przytaczamy, bije gorycz, ludzie czują się po tych 35 latach oszukani, wykorzystani. Podkreślają, że nie o taką Polskę walczyli. Są rozgoryczeni perspektywą wegetacji na głodowej emeryturze, brakiem opieki zdrowotnej, koniecznością emigracji młodych, którzy nie mają szans na znalezienie pracy w kraju... Porównując sytuację z rzeczywistością PRL dochodzą do wniosku, że obecnie jest pod wieloma względami gorzej — a to chyba oznacza, że nie widzą nadziei. A przecież obecne władze z dumą obchodziły 25 lat „wolności". Znowu żyjemy w dwóch różnych światach... My i oni.

Przypominajmy zatem jak najczęściej ten nasz zwycięski zryw i poczucie dumy. Pielęgnujmy w naszych rodzinach te wartości, dzięki którym zwyciężyliśmy. I nie pozwólmy się odciąć od korzenia naszej tożsamości — od wiary w Jezusa Chrystusa i od Kościoła. Nasza wiara, nasza religijność jest ściśle związana z wyznawaną i przyjętą przez nas moralnością.

Może znowu doczekamy takiego zwycięskiego czasu, ale musimy wiedzieć cały czas, kim jesteśmy, co nas określa i buduje. Jeśli upokarza nas brak sprawiedliwości, którego doświadczamy nieomalże na co dzień, to powinniśmy umieć jednoznacznie nazywać, co jest dobrem, a co złem. Tylko wówczas potrafimy jasno wskazać, do czego dążymy, co chcemy osiągnąć.

I musimy pamiętać! Pamięć jest fundamentem tożsamości człowieka. Pamiętajmy wobec tego, co było naszym udziałem, czego doświadczyliśmy od różnych okupantów i czego potrafiliśmy dokonać — i przekazujmy to naszym następcom.

W imieniu Fundacji Pomorska Inicjatywa Historyczna

Danuta Sadowska, Roman Zwiercan, Andrzej Kołodziej

Uczestnicy strajku sierpnia 1980 w Gdyni, uhonorowani Odznaczeniem „Bohaterom Sierpnia 80 Gdynia", za odwagę walki o godność i wolność w sierpniu 1980 roku



Pamiątkowa odznaka, którą otrzymają wszyscy uczestnicy strajków w sierpniu 1980 w Gdyni

Odznaczeni — 29 sierpnia 2013 r., 30 sierpnia 2014 r. i 29 sierpnia 2015 roku

1. Adamietz Roman
2. Adamski Zbigniew
3. Albin Roman
4. Anders Ryszard
5. Andrzejewski Andrzej
6. Bach Jerzy
7. Baczyński Jan
8. Baczyński Włodzimierz
9. Balcer Marian
10. Baranowski Gerard
11. Barański Kazimierz
12. Barszczewski Tadeusz
13. Bastian Zdzisław
14. Bazan Józef
15. Bejrowski Czesław
16. Belgrau Jan
17. Belka Jerzy
18. Belka Zbigniew
19. Bemka Jan
20. Bendyk Andrzej
21. Benka Zygmunt
22. Berus Jan
23. Białoskórski Wojciech
24. Bieliński Marek
25. Bieszke Edmund
26. Bieszko Kazimierz
27. Bińczyk Wojciech
28. Blecharz Stanisław
29. Bluma Grażyna
30. Błaszczyk Marian
31. Błęcki Leszek
32. Bochnacki Andrzej
33. Bodzińska Julita
34. Borek Zbigniew
35. Borowska Zofia
36. Borowski Władysław
37. Borusewicz Bogdan
38. Brańka Mariusz
39. Brejwo Grzegorz
40. Brot Marian
41. Bryl Stanisław
42. Brylowski Stanisław
43. Brylowski Zenon
44. Brzeziński Franciszek
45. Brzeziński Jerzy
46. Brzózko Mieczysław
47. Budzisz Marian
48. Bugajewski Zdzisław
49. Bulczak Stefan
50. Buraczewski Tadeusz
51. Burda Stanisław
52. Butkiewicz Andrzej
53. Butkiewicz Maciej
54. Cegła Jerzy
55. Cerklański Alojzy
56. Chmielewski Stanisław
57. Chodowiec Witold
58. Chodowiec Witold
59. Choreń Ryszard
60. Chrzanowski Antoni
61. Chrząstek Stanisław
62. Cirocki Zbigniew
63. Ciskowska Ludwika
64. Cmieliński Henryk
65. Cybulski Jerzy
66. Cygan Andrzej
67. Czaja Albin
68. Czaja Ludwik
69. Czaja Henryk
70. Czajkowski Henryk
71. Czapiewski Bronisław
72. Czarnojan Jerzy
73. Czarnowski Bronisław
74. Czernega Halina
75. Czernega Halina
76. Czerwiński Włodzimierz
77. Czoska Jerzy
78. Czwiertak Ireneusz
79. Daleki Andrzej
80. Damasiewicz Edward
81. Damrath Andrzej
82. Data Alojzy

83. Delikat Stanisław
84. Delikat Stanisław
85. Dembek Bolesław
86. Dembowski Teresa
87. Demby-Mizgalska Alicja
88. Dębski Kazimierz
89. Dietrich Zenon
90. Długoszewski Władysław
91. Dmowski Sylwester
92. Dobek Benedykt
93. Dobracki Tadeusz
94. Dobrowolski Romuald
95. Dobrzyński Ryszard
96. Dojas Janusz
97. Domachowski Ryszard
98. Domagała Henryk
99. Dopke Zygmunt
100. Drapała Kazimierz
101. Dunia Zdzisław
102. Dziaduszek Waldemar
103. Dziembowski Krzysztof
104. Dzięgielewski Sławomir
105. Eichelberger Jan
106. Emilianow Jan
107. Filter Stanisław
108. Filter Stanisław
109. Flisikowski Marian
110. Formela Edward
111. Formela Marek
112. Formella Maria
113. Frankiewicz Edward
114. Gadziałowska Anna
115. Gajewski Tadeusz
116. Galiński Władysław
117. Gałuszka Tadeusz
118. Garstkowiak Krzysztof
119. Gawin Jan
120. Gawin Stanisław
121. Gerłachowski Henryk
122. Giłka Krzysztof
123. Glabiszewski Tomasz
124. Gliński Jan
125. Głąbiowski Kazimierz
126. Gniba Kazimierz
127. Gocał Jan
128. Godlewski Mirosław
129. Gohlike Jerzy
130. Golec Andrzej
131. Golec Bogumiła
132. Gołdyn Franciszek
133. Gotner Adam
134. Gozdur Ryszard
135. Goździewicz Jacek
136. Goździewicz Józefa
137. Góra Lech
138. Górny Ryszard
139. Grabarski Roman
140. Grabczak Ryszard
141. Grabowicz Zbigniew
142. Grabowski Jan
143. Grabowski Marek
144. Gręda Jadwiga
145. Grota Wiesław
146. Gruba Alfons
147. Gryglewski Wojciech
148. Grzenia Bruno
149. Grzenkowicz Bogdan
150. Gutowski Władysław
151. Guździoł Aleksandra
152. Hacia Teresa
153. Hajduk Stanisław
154. Hapke Bernard
155. Hebel Bolesław
156. Hellak Karol
157. Hensel Mirosław
158. Hering Jerzy
159. Herman Edward
160. Hinc Marian
161. Hinc Ryszard
162. Hinc Stanisław
163. Hinz Bogusław
164. Hinz Maria
165. Hirsz Bronisław
166. Hirsz Zbigniew
167. Hoffman Zenon
168. Iskierski Janusz
169. Iżyłowski Stefan
170. Jacek Władysław
171. Jach Andrzej
172. Jackowski Waldemar
173. Jagielski Piotr
174. Janczurowicz-Czaplic Wanda
175. Janka Jerzy
176. Jankowski Krzysztof
177. Jankowski Marian
178. Jankowski Roman
179. Jarosiewicz Ryszard
180. Jarzębiński Kazimierz
181. Jasiński Jerzy
182. Jaworska Barbara
183. Jaworski Jerzy
184. Jażdżewska Ewa
185. Jażdżewski Roman
186. Jeliński Adam
187. Jendrak Maria
188. Jerzak Kazimierz
189. Jesionowska Jadwiga
190. Jeziorny Marian
191. Jezusek Mirosław
192. John Jerzy
193. Julke Bernard
194. Jurczyński Władysław
195. Jurkowska Barbara
196. Just Anatol

197. Justyniarski Czesław
198. Kaczmarek Franciszek
199. Kadela Jerzy
200. Kalinowska Halina
201. Kalinowski Antoni
202. Kalinowski Leon
203. Kaliszuk Jan
204. Kalkowski Alfons
205. Kała Włodzimierz
206. Kała Włodzimierz
207. Kałek Tadeusz
208. Kamieńska Elżbieta
209. Kamieński Jan
210. Kamieński Mirosław
211. Kamińska Krystyna
212. Kardas Henryk
213. Kardas Zbigniew
214. Karkoszka Róża
215. Karolin Witold
216. Karsznia Józef
217. Karwowski Tadeusz
218. Kasprowska Elżbieta
219. Kaszuba Grażyna
220. Kawiński Aleksander
221. Kazimierczak Jerzy
222. Kaźmierski Zdzisław
223. Kiesz Tadeusz
224. Kila Henryk
225. Kin Henryk
226. Kisielewski Tadeusz
227. Kiżewska Blanka
228. Klahs Witold
229. Klein Mieczysław
230. Klein Włodzimierz
231. Kleinszmidt Piotr
232. Knapiak Stanisław
233. Knop Roman
234. Kobierowski Stanisław
235. Kobierowski Stanisław
236. Kobierowski Stanisław
237. Kohnke Wojciech
238. Kolp Zygmunt
239. Kołatka Jan
240. Kołodziej Andrzej
241. Kołodziejczyk Piotr
242. Komasiński Edward
243. Konkel Jan
244. Konkol Ireneusz
245. Konkol Paweł
246. Korczyńska Anna
247. Kordecki Władysław
248. Korsak Mirosław
249. Kosiedowski Janusz
250. Kosk Józef
251. Kosz Jan Ludwig
252. Koszarska Maria
253. Kościuk Jan
254. Kotowski Edmund
255. Kotowski Edward
256. Kotowski Wacław
257. Kowal Jarosław
258. Kowalczuk Bogdan
259. Kowalczyk Jerzy
260. Kowalczyk Juliusz
261. Kowalczyk Ryszard
262. Kowalewski Gerard
263. Kowalewski Roman
264. Kowalska Elżbieta
265. Kowalski Gerard
266. Kowalski Leszek
267. Kowalski Romuald
268. Kowalski Wiktor
269. Kozicki Andrzej
270. Koziczkowski Jan
271. Kozubski Jerzy
272. Kralewski Stanisław
273. Krasiński Stanisław
274. Krause Janus
275. Krawczyk Czesław
276. Kreft Stanisław
277. Kriesel Jan
278. Krol Władysław
279. Król Grzegorz
280. Król Zdzisław
281. Krzewicki Jan
282. Krzyżanowski Andrzej
283. Książek Włodzimierz
284. Księżopolski Zbigniew
285. Kubasiewicz Ewa
286. Kuchnowski Stanisław
287. Kuchta Bożena
288. Kujawa Elżbieta
289. Kujawiński Józef
290. Kulaszewicz Piotr
291. Kulawczuk Henryk
292. Kulawik Andrzej
293. Kullas Jan
294. Kulwikowski Tadeusz
295. Kummer Andrzej
296. Kupc Jerzy
297. Kurczewicz Marek
298. Kurowski Zbigniew
299. Kuster Jolanta
300. Kutnik Szczepan
301. Kuzimski Roman
302. Kwiatkowski Edmund
303. Kwiatkowski Edmund
304. Kwiatkowski Mieczysław
305. Kwiatkowski Stefan
306. Kwoka Zenon
307. Lasek Ryszard
308. Lekner Jerzy
309. Lenartowicz Jan
310. Lenartowicz Jan

311. Leoniak Tadeusz
312. Lesiak Adam
313. Leszczyk Krzysztof
314. Leszczyński Antoni
315. Leszczyński Bogdan
316. Lewandowski Andrzej
317. Lewandowski Henryk
318. Lewiński Tadeusz
319. Leyk Dionizy
320. Libera
321. Liberski Jarosław
322. Licau Andrzej
323. Lidzbarski Leon
324. Lidzbarski Zygmunt
325. Lis Jan
326. Lisiński Ryszard
327. Liszewski Franciszek
328. Lorenc-Celińska Danuta
329. Łosiński Piotr
330. Łuczak Mirosław
331. Łydka Kazimierz
332. Machnicki Stanisław
333. Macholl Stanisław
334. Maciejewski Józef
335. Madej Władysław
336. Magalski Grzegorz
337. Majcher Zdzisław
338. Majewski Grzegorz
339. Majka Stanisław
340. Majorkiewicz Jan
341. Malczewska Alicja
342. Malczewski Przemysław
343. Malinowski Waldemar
344. Mański Czesław
345. Marciniak Mieczysław
346. Marczak Tadeusz
347. Marecki Wojciech
348. Markuszewski Zbigniew
349. Matela Zenon
350. Mazurkiewicz Kazimierz
351. Mazurkiewicz Kazimierz
352. Mechell Władysław
353. Mechliński Leon
354. Mehring Edmund
355. Meller Roman
356. Merchel Jan
357. Messerszmidt Eugeniusz
358. Michalak Stanisław
359. Michalak Tadeusz
360. Michalski Janusz
361. Michewicz Stanisław
362. Michna Henryk
363. Michniewicz Stefan
364. Michulec Józef
365. Mierzejewski Henryk
366. Miętki Zdzisław
367. Mikołajczyk Krzysztof
368. Miłostek Stanisław
369. Miłosz Leonard
370. Mioskowski Jan
371. Miotke Jerzy
372. Miotke Lucjan
373. Miotke Zygmunt
374. Mirecki Zbigniew
375. Mironowicz Marian
376. Mizgalska Alicja
377. Mordul Jan
378. Możejewski Eugeniusz
379. Możuch Tadeusz
380. Mrozowski Zbigniew
381. Mróz Marian
382. Muller Aleksander
383. Murawski Adam
384. Murdzia Stanisław
385. Myschker Jurgen
386. Myszker Wiesław
387. Myszkiewicz Elżbieta
388. Mytkowski Piotr
389. Nadolny Tadeusz
390. Narloch Stanisław
391. Narojczyk Stanisław
392. Narojczyk Stanisław
393. Natucki Stanisław
394. Niedzielski Wojciech
395. Nikiel Janusz
396. Nikielski Tadeusz
397. Noske Zygmunt
398. Nowacki Andrzej
399. Nowacki Julian
400. Nowakowski Ryszard
401. Nowosielski Roman
402. Nowotnik Tadeusz
403. Nykiel Zygmunt
404. Okrój Bronisław
405. Okrój Marian
406. Olejnik Grzegorz
407. Olkowski Janusz
408. Olszyna Michał
409. Ołtarzewski Grzegorz
410. Ordziniak Leszek
411. Orlikowski Zbigniew
412. Orłowski Michał
413. Osiński Teodor
414. Osowska Wiesława
415. Ossowski Stanisław
416. Ostrowska Janina
417. Owczarski Włodzimierz
418. Pacholec Marek
419. Pacholec Stanisław
420. Palczewski Henryk
421. Pałasz Jan
422. Pałasz Zygmunt
423. Papke Jerzy
424. Parszyk Henryk

425. Pasturczak Waldemar
426. Paszak Władysław
427. Pawelec Władysław
428. Pawlicki Szymon
429. Pawlik Jan
430. Pawluczyk Romuald
431. Pawluć Witold
432. Pawłowska Zofia
433. Pełka Bogusław
434. Pepliński Marian
435. Perlicka Anna
436. Perlicki Zygfryd
437. Peta Zenon
438. Petkowski Józef
439. Piątek Sylwester
440. Piątkowski Ryszard
441. Piekarski Maciej
442. Pieper Mirosław
443. Pietryk Henryk
444. Pionk Ryszard
445. Piontke Józef
446. Piotrowski Edmund
447. Piotrowski Lechosław
448. Piotrowski Tadeusz
449. Piór Edmund
450. Pitter Stefan
451. Piwko Tadeusz
452. Pławiński Tadeusz
453. Płotka Jerzy
454. Połom Mariusz
455. Postek Janusz
456. Potrykus Władysław
457. Pranczk Tadeusz
458. Prill Piotr
459. Przerada Mieczysław
460. Pstrąg Kazimierz
461. Puzdrowski Mieczysław
462. Radke Grzegorz
463. Radzimiński Marian
464. Radziuk Wojciech
465. Raguza Jan
466. Raszkowski Karol
467. Ratajczak Edwin
468. Ratajczak Zbigniew
469. Ratkiewicz Wiesław
470. Rauchfleisch Ryszard
471. Reinhardt Jan
472. Reinhardt Jan
473. Rekwardt Marian
474. Remiszewski Andrzej
475. Remiszewski Andrzej
476. Richter Anna
477. Rinc Andrzej
478. Rogalski Zdzisław
479. Rogowski Zygmunt
480. Romaniec Stanisław
481. Rosal Kazimierz
482. Roserngart Tadeusz
483. Rożański Henryk Tadeusz
484. Różański Mariusz
485. Rusinek Mirosław
486. Ruszkowski Remigiusz
487. Rutkowska Maryla
488. Rutkowski Maciej
489. Rybacki Jerzy
490. Rybicki Leszek
491. Ryga Henryk
492. Ryszard Mańkowski
493. Rząsa Mieczysław
494. Rzepa Stanisław
495. Rzeszótko Andrzej
496. Rzeszótko Franciszek
497. Sabatowski Zygmunt
498. Sabiniarz Stanisław
499. Sadowski Lech
500. Sałaciński Sebastian
501. Samurajski Tadeusz
502. Sandach Zbigniew
503. Schmidt Jan
504. Schulz Andrzej
505. Schulz Czesław
506. Schwan Franciszek
507. Schwann Wojciech
508. Selin Mieczysław
509. Sentkowska Sabina
510. Seruec Genowefa
511. Sidorowicz Jerzy
512. Siejka Stanisław
513. Siemieńczuk Jan
514. Sienkiewicz Tadeusz
515. Sierżęga Ryszard
516. Sikora Henryk
517. Sikorski Zygfryd
518. Siwiński Ryszard
519. Siwołowski Jerzy
520. Skowroński Kazimierz
521. Slezyngier Paweł
522. Słabuszewski Jerzy
523. Słowik Wojciech
524. Sobczak Józefa
525. Sobczak Stanisław
526. Socha Henryk
527. Sokołowski Kazimierz
528. Sondej Stanisław
529. Sorek Henryk
530. Spisak Piotr
531. Stachura Marian
532. Staniewicz Jolanta
533. Stańczyk Teresa
534. Starosta Stanisław
535. Starszyk Stanisław
536. Stefan Roman
537. Stefanowski Marian
538. Stojański Jan

539. Strzelecka-Fiutak Mirosława
540. Strzelecki Stanisław
541. Stubiński Alfons
542. Stypuła Ryszard
543. Sulewski Edward
544. Sulikowski Józef
545. Suzga Tadeusz
546. Syldatk Andrzej
547. Szaj Kazimierz
548. Szambelan Piotr
549. Szarafiński Tadeusz
550. Szczeciński Zbigniew
551. Szczepański Marian
552. Szczerba Andrzej
553. Szlaga Gerhard
554. Szmit Edward
555. Szmuda Tadeusz
556. Szostak Marian
557. Szpinda Czesław
558. Szponar Andrzej
559. Szwarc Ryszard
560. Szweda Czesław
561. Szymański Marek
562. Szymerowski Franciszek
563. Śliwiński Edward
564. Śmiechowska Maria
565. Średziński Piotr
566. Świnoga Jan
567. Świst Ryszard
568. Tabor Jerzy
569. Tajl Leon
570. Talaśka Jan
571. Tarasiewicz Henryk
572. Tomaszewski Edward
573. Tomczak Jan Maria
574. Tomczak Stanisław
575. Toporski Marian
576. Trocki Gerard
577. Trzciński Jerzy
578. Tulibecka Zofia
579. Tworkowski Zygmunt
580. Tyrka Andrzej
581. Tyszko Marian
582. Urbaniak Tadeusz
583. Waldowski Kazimierz
584. Wareris Wiesław
585. Warmowska Agnieszka
586. Wasilewski Tadeusz
587. Wesołowski Henryk
588. Wesołowski Stanisław
589. Wiater Walerian
590. Wierzbicki Eugeniusz
591. Wierzchowski Jan
592. Wiktorska Albina
593. Wilczewski Marian
594. Wilczyński Zygmunt
595. Winiewski Roman
596. Wiszowaty Zenon
597. Wiśniewski Stanisław
598. Wiśniowska Krystyna
599. Witkowska Stanisława
600. Witkowski Edmund
601. Witt Bożena
602. Wittbrodt Jerzy
603. Wodniak Henryk
604. Wodyk Wiesław
605. Wojciechowski Józef
606. Wojewski Jan
607. Wojtarowicz Aleksandra
608. Wolszon Roman
609. Wołowski Piotr
610. Woś Stanisław
611. Woźniak Eugenia
612. Woźniak Henryk
613. Wróbel Łucja
614. Wróblewski Andrzej
615. Wróblewski Lech
616. Wruk Kazimierz
617. Wrześniak Franciszek
618. Wyrzykowski Jerzy
619. Wysiecki Włodzimierz
620. Wysocki Zenon
621. Zajdel Teresa
622. Zalasiński Henryk
623. Zarwalski Józef
624. Zarzecki Czesław
625. Zbieć Mariusz
626. Zbudzki Zenon
627. Zielazek Andrzej
628. Zieliński Bogdan
629. Zięba Marian
630. Ziętek Józef
631. Zinke Ryszard
632. Zofka Zbigniew
633. Zwiercan Małgorzata
634. Zych Stanisław
635. Żabicki Stefan
636. Żelewski Edmund
637. Żelewski Tadeusz
638. Żuchowska Grażyna

Listy



20. VIII. 80

Dzień dobry Tata
Niech będzie pochwalony Jezus
Chrystus.
Mama pisze do Taty, no i ja
wziąłem się za pisanie bo
cóż innego mi pozostało.
Z ciekawością obserwuje to wszystko.
Zdaje mi się że jesteśmy górą.
Na podwórku dzieciaki czytają
ulotki NKS, które i ja chciałbym
mieć. Jeśli to możliwe prosiłbym
o nie. W dzisiejszym środowym
dzienniku wieczornym zabrał głos
katolicki poseł na sejm i powiedział
im parę słów, potem zacytował
słowa Prymasa które zostały
wygłoszone w Wąbierzynie.
Wszystko idzie dobrze, a ludzie
tylko gadają o strajkach. →

W dzisiejszej „panoramie" wystąpiła żona jednego ze stoczniowców gdyńskich jednego ze spawaczy. Jednym słowem popatrz stoczniowców, co zdziwiło dziennikarkę. Jeszcze zostało mi $\frac{3}{4}$ ~~kartki~~ strony a ja nie wiem o czym pisać Chciałem się Taty zapytać czy to co piszą na matkach wydrukowanych w „Kommunie" że „Wstrzymany" jest prawdą. Jest godzina 21 za pół godziny będę słuchał „dondynu" ~~[illegible]~~. No tak tu powoli kartka się kończy, a w stoczni klaszczą i gwiżdżą. ~~Mama i Basia się śmieją~~ bo napisałi o pieczącym się kurczaku dla ~~[illegible]~~ Taty. Dzięki Tacie i innym mamy przedłużone wakacje z Bogiem, najszybszego przybycia do domu

Chylonia dn. 20. VIII 80 r.

Kochany Tatusiu!

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus

Jest godzina (według mojego zegarka) 20[20] i nie wiem jak to się stało, że ↓ miałam ochotę do taty napisać krótki b. krótki liścik. Wszyscy w domu tęsknimy za tatą. Zawsze jak przyjdzie mama od telefonu to ~~wszystkie~~ pytamy z Grajkiem: „No i co? Kiedy tata wróci"?

W razie czego jak tata się nie domyśli to niech tata się nie dziwi, bo ja o na czystej kartce bez linii nie umiem prosto i ładnie pisać.

No a teraz poważnie pytam się Kiedy tata wróci? No i jeszcze coś chciałam się zapytać jak tam

tak ogólnie idzie czy dobrze?
Chyba nie co? Przed chwilką
byłam robaczyć Crawsa Estepa
ale nie w pogodzie dla bogaczy
tylko w takim innym filmie.
Już 10 minut piszę ten liścik. W tej
chwili jest tak: w kuchni się mamy
migro dla taty, w małym pokoju
śpimy i ja piszemy do taty, a w
dużym pokoju mama pisze do
taty taki długi, długi, długi list.
Ja nie umiem pisać listów tak jak tata
jak jakieś zdanie będzie bez
sensu to mi tata się nie dziwi
Teraz zastanawiam się co dalej napi-
sać. Napiszę tak: Tatusiu jak to
długo będzie trwało, bo już tak
się niepokoimy. Basia kończyła
bo jakbym napisała więcej to taty by się
nie chciało pisałam dotąd 20 min ~~bez~~ z Basią Bzik

Strajk okupacyjny – Stocznia
dnia 21.08.1980

Bardzo kochana Trenko
i bardzo kochani – Basiu i Gracjanie!
Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Za radość jaką mi sprawiliście swymi listami serdecznie Wam dziękuję. Zrobiliście mi wszystkie dobre niespodzianki. Odeszliście od bramy stoczniowej, a ja pozostałem znów bez was. A co to dla mnie znaczy to dobrze wy wiecie. Dlatego też przesłane mi wasze listy, zostawiliście mi jakby trochę waszych serc. Czytając te listy czułem was w tym momencie przy sobie. Jest mi dużo lżej. Pocieszam się tymi słowami. Kochani Cip mój Śliczny Kwiecie! Tak jak chciałbym być przy Tobie Trenko i przy was-Gracjanie i Basiu. Nie wiecie jak bardzo miłe serca były dla mnie te małe liściki – od Basi i Gracjana. Gorąco Wam pisać listy do ojca. Tak, czułem że to są prawdziwe listy dzieci do swego tatusia. Nie były długie to prawda. Ale mi oto tu przecież chodziło. W tych kilku słowach tak od siebie pisanych czułem, że to pisze Basia. Tak jakby kawałek Irki. Dziękuję ci za to Basiu. Całkiem odmiennie napisał Gracjan. Jestem z ciebie dumny. Postawa twoja jest dojrzała. Interesujesz się wszystkim co ważne. Cieszy mnie to bardzo. Moim Kolegom wspomniałem o tym Twoim liście. Pamiętaj, że to nas starszych mocno podbudowuje. Przed chwilą byłem znów na placu przed bramą główną. Tam robią duży namiot. Tablic dużo zadaszenia z brezentu. Nad ołtarzem też robią dach. Widziałem też

jak wiele dużo kurzu (jeszcze więcej niż ten co myśmy zrobili) zrobiony z nim. Chyba jeszcze dziś będzie zabetonowany. Byłem także przy płocie zobaczyć co robi port. Oni już też zrobili dużo zadaszenie z brezentu. Rozmawiałem tam przez ten płot ze Stachem Flisikowskim i Wolnikiegierem (tym co ze mną zbiera w kościele) mówili że też od pięciu stoją.
Godzinę tam byłem w barze na groszówce! Czekolady i owocami podzieliłem się tu z Kolegami.
Dziś ma u nas być znowu msza św. Wczoraj kilku stoczniowców zbierało w cichym kolekty. Ksiądz na koniec powiedział że pieniądze te ofiarują na potrzeby stoczniowców. A stoczniowy zaś powiedział, że dają je na kościół - Redemptorystów na witraże. Więc ksiądz je przyjął i powiedział że jedno z okien będzie miało witraże z podpisem że ofiarodawcami są stoczniowcy ze Stoczni im. Kom. Paryskiej z Gdyni. A helikopter na nami jeździł, filmował, wiele razy. Latał też w momencie kiedy wszyscy jak jeden mąż zaśpiewali głośno, ale to bardzo „Jeszcze Polska nie zginęła"
Komunię św. ... no chyba wszystkich stoczniowców. Wszyscy w kombinezonach. Sami mężczyźni. Nie na stojąco, ale wszyscy przyjmowali na klęcząco na środkowym placu. Za bramą oczywiście będzie dużo kobiet i dzieci.
Obraz Matki Boskiej Nieustającej Pomocy dostaniemy sam probosz z tego kościoła i tym obrazem nas błogosławi.
Śpiewaliśmy „Sto lat" na cześć biskupa bo miał akurat wczoraj imieniny (Bernarda) Te wszystkie rzeczy które mi tu przeżywamy są niezwykłe i niepowtarzalne. Chciałbym być już w domu. Tęsknię za wami. Może jutro coś nastąpi bo podobno jest w Gdańsku z komisją rządową. Mogliby się już dogadać. Zostańcie z Bogiem!
Kocham Was! Wy moje dzieci! Wasz: mąż i tatuś

Bohaterzy



Zbigniew Adamski — ur. 3 stycznia 1943 r. w Pobiednie pow. Sanok. Pochodzi z rodziny o silnych tradycjach katolickich i patriotycznych. Ukończył Akademię Górniczo-Hutniczą w Krakowie jako magister inżynier elektryk. Uczestnik strajku sierpniowego w 1980 r. w Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni. Od początku członek Solidarności, redaktor związkowego biuletynu.

Pochodzę z ziemi sanockiej, ukończyłem Akademię Górniczo-Hutniczą w Krakowie, a w Gdyni mieszkam od 10 lipca 1968 r. Moja rodzina była związana z rolą, średnio bogata (przez władze komunistyczne mianowana jako rodzina kułacka), zdecydowanie patriotyczna. W okresie wojny przyjęliśmy pod dach rodzinę z terenu Generalnej Guberni, sami mając problemy z Gestapo za pomoc podziemiu. Bardzo tragiczne w mojej rodzinie były wspomnienia konfliktu z UPA i pomocy dla tych, co przeżyli.

Na początku lat 80-tych byłem kawalerem. Byłem magistrem inżynierem elektrykiem po AGH. Mieszkałem w wynajmowanej kwaterze prywatnej, a przed Sierpniem, naturalnie, byłem związany ze związkami zawodowymi. Nie należałem do komunistycznych organizacji, wywodzę się z rodziny o silnych tradycjach katolickich.

Po doświadczeniach lat 1956 i 1970 czułem, że znów będzie „awantura" o warunki życia, ale przyjdzie nowy I sekretarz PZPR i pomału wrócimy na poprzednie tory. W wyborach brałem udział dorywczo, ale dotyczyło lokalnych kandydatów. Oczywiście słuchaliśmy Radia Wolna Europa czy BBC.

Kościół odgrywał u mnie rolę podstawową: światopogląd i moralność.

Przed Sierpniem miałem kontakt z prasą podziemną — przez kolegów z pracy.

Moja reakcja na wprowadzane podwyżki to złość, bunt, poczucie niesprawiedliwości — nie doceniano trudnej pracy. Musze powiedzieć, że budowaliśmy statki dla krajów zachodnich i był to wysoki poziom wymagań.

Moimi autorytetami byli ludzie dwudziestolecia międzywojennego. Zwłaszcza Eugeniusz Kwiatkowski, Wenda, budowniczowie COP, Grabscy. A z ówcześnie żyjących, oczywiście papież Jan Paweł II.

Przed strajkami od dwunastu lat byłem zatrudniony w Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni jako kierownik zespołu projektowego (5 osób).

Byłem zadowolony z wykonywanej pracy. Atmosfera była dobra.

Oczywiście pamiętam, jak zaczął się strajk. Dotarło to do nas, bo mieliśmy widok z okien na plac „zbiórek" strajkujących pracowników stoczni. Od razu do nich dołączyliśmy. Pamiętam tylko pana Andrzeja Kołodzieja, pozostałych jedynie z wyglądu.

Pierwsza reakcja to nadzieja, ale też lęk: czym to się skończy? Bałem się utraty pracy i „wilczego biletu".

W moim otoczeniu bezpośrednim nie było ludzi wrogo nastawionych do strajku. Były wyjścia, ale nie wynikające z wrogości. Niektórzy mieli np. wczasy, to wychodzili po kilku dniach.

W czasie samego strajku byłem zwykłym, przeciętnym strajkującym. Byliśmy aktywni w ten sposób, że podpowiadaliśmy, jak najlepiej przekazywać informację. Pan Kołodziej podgrzewał atmosferę, a chodziło o zwykłe informowanie strajkujących.

Rodzina — bliższa i dalsza — była nastawiona pozytywnie do strajku. Nadzieja na zmiany, nie wszyscy w to wierzyli, ale nadzieja była.

Jeśli chodzi o listę postulatów, wydaje mi się, że najważniejsze były dla mnie wolne związki zawodowe, płaca, wolność wypowiedzi.

Co do organizacji strajku, to tylko przed Kołodziejem należy pochylić głowę. On był tym modus vivendi, podtrzymał ten strajk. Pomagali mu też, ale bardzo dobrze kierował strajkiem. Podziwiałem również to, że potrafił wyjść przed takim tłumem ludzi i przemawiać. Szczególnie wobec władzy i na tak niewygodne tematy.

Z jedzeniem nie było problemu. Człowiek sam się wyżywił, dostawał jedzenie i było też na stoczni. Ludzie starsi, którzy byli pro, ganiali młodych, żeby nam przynosili jedzenie.

Czas wolny zasadniczo wypełniało oczekiwanie na komunikaty. Z racji że głównie przebywałem w biurze, to oczywiście była możliwość poczytania książki. Ale głównie się żyło strajkiem. Informacje podawano głównie z wózka.

Były dyskusje, ale to nigdy nie szło w takim kierunku jak teraz — te wszystkie podziały.

Za taktykę, podejmowanie decyzji, spory ideologiczne, wybory delegatów itd. odpowiadał wózek — Andrzej Kołodziej. Dyrektorzy chodzili, rozmawiali. Dziennikarze też się pojawiali. Nawet raz jakaś telewizja się pojawiła.

Informacje podawano głównie z wózka. Podczas podpisania Porozumień mieliśmy nasłuch poprzez telefon — bezpieka go nie wyłączyła. Słuchaliśmy na bieżąco dyskusji. Była ogromna radość.

Trzeba docenić, że to wyszło, że się udało. To był wspaniały okres.

Z liderów strajku — Andrzej Kołodziej przeszedł do Gdańska, inni zostali wybrani do władz zakładowych Solidarności.

Na niższym szczeblu kierownictwa, oni zachowywali się dobrze. Mieli swoje poglądy, ale przy tej sile, nie robili nam na złość. Ale im wyżej? Tego nie umiem powiedzieć. U nas było dwóch czy trzech partyjnych — szli z prądem jak my.

Między naszymi ludźmi nie było żadnych wrednych sytuacji. Nie rzucano kłód pod nogi. Oni chyba inwigilowali i obserwowali.

Największe osiągnięcie Solidarności to wielka historyczna zmiana. Zmiana myślenia Polaków. Nawet część pezetpeerowców poszła razem z nami. Nikt jednak nie przypuszczał, że to nowe będzie tak wyglądało. Myśleli, że będzie nowy I sekretarz i wszystko wróci na stare tory. Nie udało im się tego uspokoić.

W stoczni jakiś radykalnych zmian nie było. To wynikało też ze specyfiki tego zakładu. Robiliśmy statki na Zachód itd. Nie pamiętam jakiś dużych zmian. Muszę dodać, że po strajku nie wiadomo było co robić. Edward Schmidt wciągnął mnie do redakcji pisma. Skoro znałem o. Rybę i ks. Jastaka, więc Edward chciał, abym się zaangażował. Pisałem m.in. artykuły na kolejną rocznicę czerwca 1956, przeprowadziłem wywiad z księdzem Hilarym Jastakiem. Przypadło mi jeszcze w udziale prowadzenie konferansjerskie na rocznicę Sierpnia. Później musiałem się tłumaczyć. Nie byłem internowany, ale miałem wizyty na ul. Portowej. To nie było przyjemne doświadczenie. Chociaż nie było agresji czy nieprzyjemnych zajść.

Gdy wprowadzono stan wojenny, nie ma ukrywać, bałem się. Nie ukrywałem się, ale z o. Rybą podpieraliśmy się u redemptorystów.

Nie działałem wtedy jakoś bardziej aktywnie — gdzieś coś się wyniosło, przekazało...

Po wprowadzeniu stanu wojennego, junta nie miała dolarów. A za statki, które szły na Zachód, płacono dolarami. Robiliśmy statek dla armatora z Francji nazwiskiem Dreyfus, a to była znana rodzina. I ciśnienie partyjniaków, dyrektorów, by skończyć statek, było ogromne. Za wszelką cenę.

Oberwałem po stanie wojennym, bo moja praca też była formą działalności. Zrezygnowałem z kierownika zespołu.

Interesowało się i działało się w związkach zawodowych. Mogłem pomóc osobom, które tego potrzebowały, jak już nie żyjący Edward Schmidt.

Z perspektywy czasu nie popierałem „okrągłego stołu". Ale potrafili propagandowo przekazać, że będzie fajnie. Uczestniczyłem w wyborach czerwcowych 1989 r.

Teraz jestem na emeryturze. Mam mieszkanie, z samochodem się rozstałem.

Oprócz spraw zawodowych — że dałem radę po wprowadzeniu stanu wojennego — to jeszcze te wywiady z księżmi, artykuły — cieszę się, że udało się pokazać ludziom, jak to wyglądało z ich strony.

Teraz pewne rzeczy się rozmydliły. Wydaje mi się, że autorytetem obecnie jest ta młoda fala. Śniadek, oczywiście Jan Paweł II, Kwiatkowski, Wenda — ci, co stworzyli II Rzeczpospolitą. Liczę na młodych.

Sierpień 80 to było coś, to był sukces. To był zryw i się utrwaliło. Bardzo dobrze wspominam ten okres. Człowiek się cieszył, że brał w tym wszystkim udział.

Nie przypuszczałem, że Związek Sowiecki się rozpadnie. Ale przy „okrągłym stole", czy po nim, wszystko wróciło.

Gdyby trzeba było, zdecydowanie przystąpiłbym ponownie do takiego strajku.

Największym błędem Solidarności był „okrągły stół” — że te dzieci i wnuki partyjniaków wskoczyły za stery władzy. To jest dramat. Inne kraje lepiej sobie poradziły.

Za dużo stracono. Można było się kłócić. Niby mówią, że buduje się Polska, ale ile stracono. Ile ludzi emigruje.

Do postulatów strajkowych doszedł jeden podstawowy. Brak pracy, aby była praca.

Jak ludzie są chwiejni, należy ich przekonać do zmiany. Liczę, że te przyjdzie odnowa.



Albin Roman — ur. 12 listopada 1934 r. w Gdyni. Pochodzi z rodziny robotniczej. Wierzący i praktykujący. Po ukończeniu szkoły zawodowej podjął pracę w Stoczni. Żonaty, dwoje dzieci. Należał do związku zawodowego metalowców. W Stoczni im. Komuny Paryskiej na wydziale obsługi energetycznej i dźwigowej jako elektryk konserwator dźwigów w stoczni przepracował 24 lata. Od 1982 roku na emeryturze.

Mój ojciec był elektrykiem w Porcie, ponadto walczył na wojnie z bolszewikami.

Jestem człowiekiem wierzącym i praktykującym. Kościół wzmacniał mnie duchowo i odgrywał ważną rolę w moim życiu.

Po ukończeniu nauki w szkole zawodowej odbywałem szkolną praktykę w Porcie Gdyńskim. Niecały rok pracowałem w Stoczni Remontowej w Gdyni (dzisiejsza „Nauta"). Potem powołali mnie do wojska. Odbywałem zastępczą służba wojskową w kopalniach Brzeszcze, Wujek Katowice, Wesoła Mysłowice. Po odbyciu służby wojskowej zostałem zatrudniony w Zakładach Urządzeń Dźwigowych w Gdańsku i przepracowałem tam około 1,5 roku. W końcu zostałem zatrudniony w Stoczni im. Komuny Paryskiej na wydziale obsługi energetycznej i dźwigowej jako elektryk konserwator dźwigów. W stoczni pracowałem przez 24 lata. Praca odbywała się w brygadzie 15-osobowej. Naprawa, przeglądanie dźwigów, suwnic, urządzeń dźwigowych. Byłem zadowolony ze swojego miejsca pracy. Pijaństwo zdarzało się sporadycznie, od święta. Kradzieże miedzy pracownikami praktycznie nie istniały. Gospodarstwa domowe pracowników wspomagały się wspólnym majątkiem socjalistycznym.

Na wczasy często nam brakowało, ale do kina od czasu do czasu znajdowały się pieniądze. Przez braki w zaopatrzeniu czasem nie wystarczało na podstawowe produkty żywnościowe.

W tamtych latach żyliśmy w trudnej sytuacji bytowej, wzbudzało to nasz gniew i złość, zwłaszcza w sytuacjach, gdy była potrzeba dodatkowych wydatków w rodzinie. Co prawda, uczęszczałem na wybory, ale z przymusu. Szukałem możliwości zmian, słuchałem Wolnej Europy. Wierzyłem w to, że strajki mogą dać lepszą przyszłość i zmiany na lepsze.

W 1970 roku powstała nieformalna grupa, która miała wkład w strajki sierpnia 1980 r. Włączyłem się czynnie w rodzący się ruch buntu. Po wydarzeniach grudniowych 70 roku sam roznosiłem ulotki opozycyjne, za co zostałem aresztowany. Ulotki zdobywałem od znajomych pracowników stoczni. Przed sierpniem 80 roku publikowano już w stoczni biuletyny z informacjami. Po wybuchu protestu w sierpniu 80 roku moim autorytetem życiowym stał się Przewodniczący Komitetu Strajkowego kolega Andrzej Kołodziej.

O strajku dowiedziałem się pocztą pantoflową, a następnie radiowęzeł podał informację o rozpoczęciu strajku. Udałem się na zbiórkę pod bramą, cały dzień trwało ustalanie postulatów (piątek) i rozpoczęcie strajku okupacyjnego. Na czele komitetu strajkowego stanął Andrzej Kołodziej oraz około 10 innych osób. Na wydziale przewodniczącym został Zygmunt Łysakowski.

Wtedy przyszła nadzieja, ogólne zadowolenie i radość. Rodzina rozumiała potrzebę strajku. Konsultowałem pod bramą z małżonką, czy mam uczestniczyć w strajku. Rodzina była zadowolona, odbierała strajk pozytywnie.

Oczywiście pojawiły się też rozterki, obawa przed wojskiem rosyjskim, którego okręty remontowane były w tym czasie w Stoczni Marynarki Wojennej.

Dyrektor Stoczni im. Komuny Paryskiej p. Fandrej zorganizował wkoło siebie grupę łamistrajków. Byli też uciekinierzy, którzy ze strachu lub niechętni do strajku uciekali przez ogrodzenie.

Włączyłem się w organizację strajku, między innymi uczestniczyłem w wartach, pomagałem przy organizacji wieców. Miałem pełne zaufanie do komitetu strajkowego. Wszystko

było zapięte na ostatni guzik. Z perspektywy czasu oceniam to bardzo pozytywnie, brak negatywnych uwag.

Dla mnie najważniejszym z wywalczonych postulatów było możliwość przejścia na emeryturę po 30 latach pracy.

Pamiętam, że atmosfera podczas strajku była pozytywna. Cieszył codzienny entuzjazm członków strajku. Żywność była wydawana z funduszu socjalnego. Wolny czas spędzaliśmy grając w karty, warcaby oraz szachy. Odwiedzali nas też aktorzy z Teatru Dramatycznego w Gdyni.

O postępach w negocjacjach dowiadywaliśmy się z biuletynów informacyjnych. Nie przypominam sobie kontaktów z milicją podczas strajku. Uciekinierzy wstydzili się, że wcześniej uciekali. Po powrocie do zakładu pracy musieli się tłumaczyć ze swojego postępowania. Nie było też kłótni wśród strajkujących. Komitet strajkowy kontaktował się z dyrekcją zakładu i dziennikarzami.

Po podpisaniu Porozumień Sierpniowych odczuwałem wielką ulgę i radość, ogólne zadowolenie. Zdumiało mnie to, że po 16 dniach strajku nie dawało się zauważyć zmęczenia. Ludzie byli dumni i zadowoleni z powodzenia strajku.

Po strajku od razu przystąpiłem do Solidarności, jako szeregowy członek związku. Miałem nadzieję, że powstanie związku zmieni nasze życie na lepsze. Ta nadzieja i pragnienie zmian spowodowało, że 95% pracowników stoczni przystąpiło do związku. Również wielu członków PZPR wstąpiło do Solidarności na fali sukcesów. Część ludzi z komitetu strajkowego przeszło do władz Solidarności. Dyrekcja zakładu obojętnie podchodziła do związku zawodowego „Solidarność" (nie przeszkadzała), dopiero w stanie wojennym uaktywniło się negatywne traktowanie jego członków.

Uważam, że największym osiągnięciem Solidarności było wywalczenie postulatów, ponadto pracodawcy zaczęli liczyć się z pracownikiem.

Gdy wprowadzono stan wojenny, odczuwałem zdecydowanie buntowniczą reakcję i negatywne nastawienie oraz złość, że powołano mnie do obrony cywilnej, czym odebrano mi możliwość czynnego działania w opozycji. Nadzieja na zmiany była, należało przeczekać ten okres.

Od 1982 roku przeszedłem na emeryturę, co mnie niejako wyłączyło z aktywnej działalności w Solidarności. Oczywiście dalej zainteresowanie i poparcie pozostało. Między innymi poparcie strajków 1988 r.

Nie popierałem porozumienia okrągłostołowego. Uważam je za sprzedane ze strony Solidarności.

Oczywiście głosowałem 4 czerwca.1989 r.

Dzisiaj — emerytura, dodatek kombatancki plus dodatek opiekuńczy, łącznie około 3 tys. zł. Mam mieszkanie własnościowe i działkę ogrodniczą.

Jako sukces życiowy uważam to, że udało się coś zmienić. Pociecha z dzieci i wnuków, może dzięki tym zmianom będzie im lepiej. A dla mnie najważniejsze jest zdrowie, by dożyć 100 lat.

Moimi autorytetami są nadal ludzie Solidarności: pani poseł Dorota Arciszewska i pan Janusz Śniadek.

Pozytywnie oceniam zryw sierpniowy, była potrzeba polepszenia życia i udało się. Dobrze wspominam ten czas, gdy działałem w związku.

Obecnie, mając za sobą doświadczenie życiowe, też bez wahania przystąpiłbym do takiego strajku.

Uważam, że rola związku „Solidarność" jest odpowiednia i jego działania idą w dobrą stronę.

Jestem dumny, że działałem w Solidarności i bo taka przynależność czyni człowieka szlachetnym.

Uważam zaś, że największym błędem i porażką był „okrągły stół" — spowodowało to rozbicie jedności i solidarności międzyludzkiej.

Ostatnie 25 lat wolności oceniam pozytywnie, ale wadą tego czasu są podziały między ludźmi i mając w pamięci postulaty strajkowe, to moje pragnienia są takie: więcej sprawiedliwości dla zwykłych obywateli, zniwelowanie podziałów i wzajemny szacunek różnych opcji oraz by solidarność społeczna się zwiększyła.



Tadeusz Barszczewski — ur. 16 września 1938 r. w Zawadach, województwo białostockie, obecnie podlaskie. Pochodzi z licznej rodziny. Wierzący, praktykujący. W latach 1958–1960 odbywał służbę wojskową w marynarce wojennej w Gdyni. Po wyjściu z wojska podjął pracę w Stoczni Marynarki Wojennej, ale z powodu trudności z zameldowaniem przeniósł się do Rumi, a pracę rozpoczął w Porcie Morskim w Gdyni jako dźwigowy, gdzie pracował do 1993 roku. Od 1962 r. żonaty, dwóch synów. Członek Polskiego Związku Wędkarskiego. Członek Komitetu Strajkowego 1980 r. w Porcie Gdynia. Od 1980 r. należy do Związku Zawodowego „Solidarność". W 1992 wystąpił z Solidarności.

Całe życie miałem problemy, bo strasznie nienawidziłem czerwonej zarazy, zwalniany byłem z pracy, ganiano nas. Patriotyzmu nauczyłem się przede wszystkim od mojego ojca. Mój ojciec, urodzony w 1893 r., jak miał 16 lat, wyjechał do USA, tam skończył studia, znał cztery języki. Pracował jako prezes uchodźców polskich, którzy przyjeżdżali za chlebem. Władze uznały działalność ojca za komunistyczną i wydaliły go. W 1935 r. wrócił do Polski i osiedlił się w Zawadach koło Tykocina, Wizny. Wówczas poznał moją matkę i założył rodzinę. Podjął pracę w Anglii na statkach pasażerskich jako tłumacz. W 1939 r. wrócił do Polski, tu miał restaurację, ja i mój brat już byliśmy na świecie. Wtedy przyszła depesza z Londynu, by się wstrzymać, bo coś się na świecie kręci. Tato nie walczył czynnie, nie zaciągnął się do wojska. To był odważny patriota, swój patriotyzm pokazał po wojnie. Jak komuniści przychodzili do mojego taty, bo po wojnie zaraz potrzebowali ludzi wykształconych, od nich nie przyjmował propozycji. Nie chciał współpracować z nimi. Po wojnie Londyn się odezwał, chcieli nas ściągnąć do Anglii. Ten list moja matka z siostrą ojca schowały, bo bały się, że ich opuści. W rodzinie matki jeszcze brat brał udział w wojnie i od Lenino szedł do Berlina; tę trudną drogę przeżył, po wojnie wyjechał do Australii, pozostał kawalerem. Sądzę, bo ja nie wiem, że ojciec prawdopodobnie był pochodzenia szlacheckiego. Co potwierdza, jak pamiętam, jego elegancki sposób bycia i wykształcenie.

Wyjechałem kiedyś za pracą. Pracowałem w Iławie, w woj. olsztyńskim. Stamtąd byłem powołany do wojska, do marynarki wojennej do Gdyni w 1958 r.; w wojsku byłem dwa lata.

W 1960 r. wyszedłem z wojska. Najpierw zatrzymałem się w Gdyni, zacząłem pracować w Stoczni Marynarki Wojennej. Nie odpowiadała mi ta praca, w Gdyni nie chcieli mnie na stałe meldować (był taki przepis). Pojechałem do Rumi i tu znalazłem mieszkanie, zmieniłem pracę. Pracowałem w Porcie Morskim w Gdyni jako dźwigowy.

W 1962 r. ożeniłem się. Na początku żona pracowała, ale jak się urodził drugi syn, nie kazałem jej pracować. Mam dwóch synów, ciężko nam było, ratowała nas pomoc wujka z Australii, brata matki.

W 1980 r. pracowałem jeszcze w porcie w Gdyni. Miałem wykształcenie zawodowe, ale jak poszedłem do portu, to się cały czas uczyłem i podnosiłem kwalifikacje. Zdobyłem wszystkie uprawnienia potrzebne do obsługi urządzeń portowych i podnosiłem cały czas kwalifikacje. Po wynajmowaniu pokoju w Rumi, mieszkaliśmy w mieszkaniu żony, w tym którym jesteśmy teraz. Mieszkaliśmy sami z dziećmi, rodzice małżonki mieszkali pod Łebą.

Nigdy nie należałem do żadnej organizacji politycznej, dopiero w 1980 r. zapisałem się do Związku Zawodowego „Solidarność". Po ślubie zapisałem się do Polskiego Związku Wędkarskiego.

Jestem osobą wierzącą i praktykującą. Z kierownikiem Leonem Lidzbarskim co miesiąc organizowaliśmy msze święte za ojczyznę. Jak wprowadzono stan wojenny, te nabożeństwa podnosiły na duchu i dawały nadzieję.

Informacje czerpałem z prasy podziemnej i spotkań z ludźmi opozycji. Tutaj w Rumi wydawaliśmy swoją gazetkę, gazetka wydawana była co tydzień.

Moja reakcja na wprowadzane podwyżki — przyjmowałem sobie lekko te podwyżki, w pewnym momencie humor jest lekiem na złość, mnie to bawiło normalnie, jak oni podwyższali. Żarty sobie z tego robiłem.

Moim autorytetem był Jan Nowak Jeziorański; znaliśmy się osobiście, rozmawiałem z nim parę razy, podziwiałem go. Podziwiałem jeszcze Księdza Jankowskiego.

W 1980 pracowałem w Morskim Porcie Przeładunkowym Gdynia. Było tam zatrudnionych dużo osób, wielu z nich pochodziło z głębi kraju. Załoga mogła liczyć około 6 tys., może więcej — dokładnie nie umiem ocenić. Była ogromna ilość zadań, towary szły do Korei, na Kubę, do Japonii, Wietnamu itp. Dzięki temu był kontakt ze światem zewnętrznym i rozszerzało się wiedzę o nim. W porcie byłem zatrudniony od 1960 do 1993 r., pracowałem na dźwigach, ale miałem kwalifikacje na wszelkie zadania. Były brygady przeładunkowe; moim zadaniem było ten towar załadować na statek. Były trzy rejony, na których były dźwigi, na zbożowym rejonie był taśmociąg.

W 1980 r. chcieli mnie zrobić brygadzistą, ale nie się zgodziłem, straciłbym na stanowisku kierowniczym, bo tam mieli tylko dniówki. Myśmy jako brygada mieli pieniądze z pracy na akord — to, co wypracowaliśmy, to było nam wypłacane.

Pracowałem tylko ja. Małżonka wychowywała dzieci. Nikt nam nie pomagał, czasem wujek z Australii. Ciężko było, ale radziliśmy sobie. Na podstawowe wyżywienie wystarczało. Nie można było dostać towarów, wszystko było na kartki. Wczesnym rankiem wstawałem i szedłem do kolejki pod sklepem, żeby coś dostać. W ciągu roku hodowałem dwa świniaki, miałem też kaczki i kury. W porcie szło dużo zboża za granicę; to zboże się rozsypywało wszędzie, więc je sobie zbierałem i nim karmiłem tę zwierzynę. Uprawialiśmy też warzywa, miałem działkę 1200 metrów kwadratowych. Z żoną dzieliłem obowiązki hodowlane i uprawę warzyw.

Praca była ciężka, ale nie miałem innego wyjścia, pracowałem, bo musiałem. Przed sierpniem 80 w moim zakładzie nie funkcjonowały żadne struktury opozycyjne, ale informacje do nas dochodziły. Strajkowałem też przed 1980 r. Po wybuchu protestu w sierpniu 1980 r. wiedzieliśmy, że należy podjąć działanie. Potrafiłem poderwać ludzi do strajku, za co zwolniono mnie z pracy z 36 paragrafu (dotyczy strajku w 1980 r.).

Mam satysfakcję i nie żałuję tego, co zrobiłem dla strajku. W dalszym ciągu utrzymuję kontakt z ludźmi, z którymi pracowałem. Ja już ich nie poznaję, ale oni mnie poznają.

Przede wszystkim nie tylko ja byłem zaangażowany w strajk, myśmy spali w zakładzie, do domu się nie szło. Jak już nie było co kupić, musiało to pęknąć, musiało... Inicjatywa strajku — przyszła od Gwiazdy i Walentynowicz. Nie od Wałęsy. Dobrze nie pamiętam, jak się strajk rozpoczął. Masę ludzi pamiętam, kto strajkował. Msza św. była codziennie. Przychodził ksiądz Hilary Jastak i u nas odprawiał te msze. Przychodził każdego dnia. To był ksiądz taki jak nasz papież, można powiedzieć. W porwanej kurtce, butach. Jaki to patriota był! Pomnik jego stoi w Gdyni — w zeszłym roku w początku sierpnia postawiono.

Byłem w Komitecie Strajkowym w 1980 r. Od razu zawiązał się Komitet Strajkowy, ja nie byłem na czele Komitetu. Już nie pamiętam, kto był na czele. Później się dowiedzieliśmy, że to był ktoś podstawiony. Nie bałem się przystąpienia do strajku, liczyliśmy na to, że jednak coś się zmieni.

Byli tacy ludzie, co na strajk zareagowali strachem. Schowali się w domach. Ja strajkowałem. Żona przynosiła mi jedzenie. Przez płot podawała. Dzieciaki były jeszcze małe. Ludzie byli za strajkiem, mnie podziwiano. Nie było w moim otoczeniu nikogo, kto by strajk potępiał. Sąsiedzi przychodzili do mnie i gratulowali mi, że jestem strajkującym. Każdy wtedy był z nami.

Codzienność w czasie strajku to modlitwa, rozmowy o sytuacji naszej i ogólnej, śpiewy — najczęściej „Boże nasz, Boże nasz, jak ten strajk długo trwa". Ważne też, że rodzina i przyjaciele popierali nas, wszyscy byli za.

My nie ustalaliśmy postulatów strajkowych. To Gwiazda, wyższa sfera ustalała. My byliśmy tylko pionkami. Wolność słowa była dla mnie najważniejsza wśród tych postulatów. Strajk był dobrze zorganizowany. Nic nie można było poprawić. Kto chciał, to strajkował. 90% strajkowało. Znaleźli się tacy, co się bali. Wtedy przywódcy strajku to byli nasi „bogowie", ktoś musiał to prowadzić. Ufaliśmy im.

Była jeszcze kuchnia, kobiety nam gotowały obiad, ale to było za mało, żywność przynosiła mi też żona. O sytuacji ogólnej strajku informowali nas ze stoczni gdańskiej i szczecińskiej, dzięki temu orientowaliśmy się o postępie w negocjacjach. Drukowano ulotki. Ja osobiście nie pisałem i nie drukowałem ulotek, myśmy tylko korzystali z informacji tam zawartych.

Obawiałem się, że przyjdą i mnie zamkną, ale na szczęście tak się nie stało. Trochę mnie kryli w PZPR — nie wszyscy byli „chamy". Trzeba też powiedzieć, że załoga trzymała się świetnie, nie było nieporozumień, kłótni, burd. Była wśród nas jedność, wszyscy byli za. Kto mógłby się odezwać inaczej? Z dyrektorem portu był kontakt. Ja nie brałem w tym udziału, nie znam szczegółów.

Po podpisaniu Porozumień sierpniowych było głośno i radośnie. Tego się nie zapomni. Jeszcze wtedy byłem w zakładzie. Człowiek się cieszył, była wiara, że się coś zmieni w kraju.

Do Solidarności należałem, jak tylko ona powstała. Byłem w głównej komisji. Jako pierwszego mnie wybrali. Wówczas jeszcze nie wiedzieliśmy, jak to się wszystko ułoży. Człowiek był zadowolony. Do Solidarności przystąpiło 90% załogi portu, byli też tacy, co się bali. Na początku nie orientowaliśmy się, skąd się pobrały te władze strajkowe, później się okazało, że te osoby były podstawione.

Dyrekcja portu była pozytywnie nastawiona do tego związku, byli za Solidarnością. Nie było żadnych sankcji w stosunku do osób strajkujących. W zakładzie nie było większych problemów i trudności, z jakimi miała do czynienia Solidarność. Ale do mnie przychodzili ormowcy, żebym się uspokoił, bo mam rodzinę. Kazali mi przyhamować. Miałem to na co dzień. Ostrzegali mnie.

Ogólnie na początku był jednak entuzjazm. Członkowie Solidarności dostawali podwójne pensje. Mnie się to nie podobało. Wszystko do czasu, do stanu wojennego. Można było puścić gazetkę — pokazało się trochę wolnego słowa. To było największe osiągnięcie Solidarności, ale trwało to tylko do stanu wojennego. Ponadto w zakładzie pracy wszystko zostało, tak jak było.

Wprowadzenie stanu wojennego było dla mnie wielkim szokiem. Jak Jaruzelski przemówił, to od razu mi serce wysiadło. Zrobiłem się słaby. Bałem się, każdy się bał. Nie zwolniono mnie z pracy, nie zostałem zdegradowany. Nikogo nie zwolniono poza tymi, których internowano. Byłem wściekły na to, co zrobili, jakbym miał automat.... Tak się czułem. Nie bałem się śmierci, nikomu się ten stan wojenny nie podobał.

W ramach sprzeciwu działałem, jak mogłem, cały czas miałem kontakty z opozycją. Zaraz z kolegą zorganizowaliśmy mszę za ojczyznę. Jeździliśmy do kościoła św. Brygidy w Gdańsku. Również żona jeździła ze mną. Był ksiądz Skierka, który nas wspierał. W Rumi msze za ojczyznę organizowaliśmy raz w miesiącu w kościele Najświętszej Marii Panny. Odprawiał je ksiądz Stanisław (nie pamiętam jego nazwiska). Przychodziło na te msze dużo ludzi. Na msze za ojczyznę jeździliśmy też do Wejherowa — tam nas ganiali.

Człowiek współczuł osobom internowanym, ale co człowiek mógł zrobić? Zbieraliśmy pieniądze na nich, każdy dawał po parę złotych na te „osierocone" rodziny. Jednak cały czas miałem nadzieję i myślałem, że ten stan wojenny musi się kiedyś skończyć.

Po stanie wojennym do 1993 r. pracowałem w porcie, a później w stoczni. Cały czas do 1993 r. pracowałem na dźwigu i nie zmieniałem zawodu. Oczywiście popierałem strajki z 1988 r. Też cały czas byłem w Solidarności i w ruchu opozycyjnym.

W tamtym czasie popierałem porozumienie „okrągłego stołu", liczyłem że coś się ruszy. Uczestniczyłem też w wyborach czerwcowych 4 czerwca 1989 roku. Nie podobało mi się tylko to, że Jaruzelskiego na prezydenta wstawili.

Już 20 lat jestem na emeryturze. Dorabiałem jakiś czas w stoczni, dlatego poznałem trochę pracę w stoczni. Gdyńska stocznia była nowoczesna, dwa doki suche. Mieliśmy najlepiej wykwalifikowaną kadrę, najwięcej zamówień. Robiliśmy wszystkie typy statków. Teraz wszystko opustoszało i smutno na to patrzeć.

Cieszę się, że jeszcze żyję, że zdrowie mam i jakoś sobie radzę. Podziwiam Dudę i Kaczyńskiego. Modlę się, żeby Platforma „w mordę" przegrała. Oni zniszczą Polskę.

Jak najbardziej uważam, że zryw sierpniowy był słuszny. Solidarność mnie cieszyła, ukształtowała moje poglądy. Ale w 1992 r. zerwałem z Solidarnością. Wiedziałem, z czym się to wiąże. Nie chciałem też płacić składek.

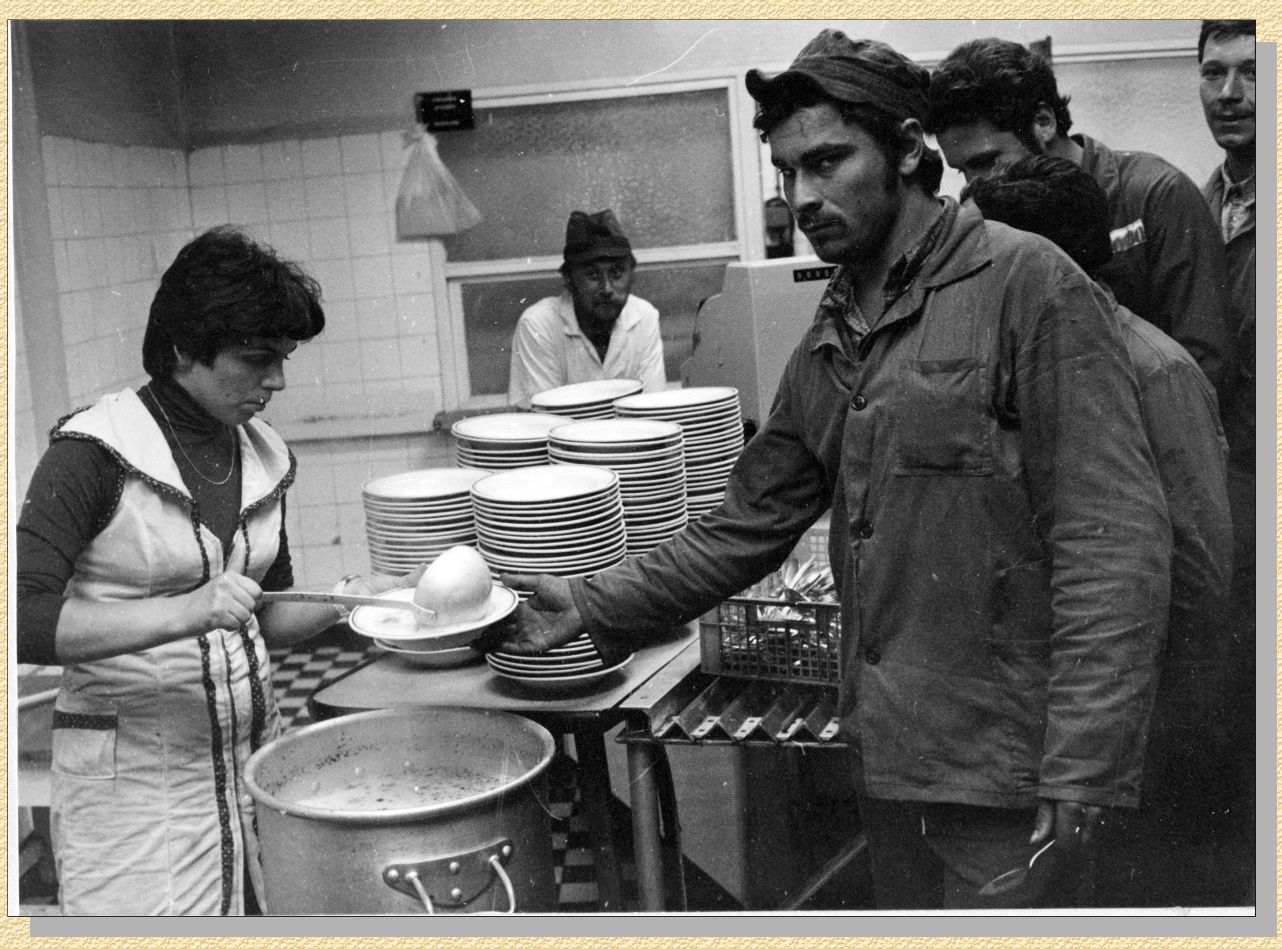
Mając dzisiejsze doświadczenie życiowe, teraz też przystąpiłbym ponownie do takiego strajku.

Jeśli by szło o Polskę wolną i sprawiedliwą, zawsze przystąpię. Zawsze byłem dumny, że uczestniczyłem w ruchu Solidarności. Jestem też dumny, że należałem do Solidarności. Wałęsa, to nie jest Polak. Ja nigdy nie będę stał za Wałęsą, to nie patriota, ludzie z Gdańska go nienawidzą.

Największym błędem i porażką Solidarności jest to, że się podzielili. Ten podział jest moją największą bolączką. Zrodziła się też pazerność i mamy to, co mamy.

Ostatni okres 25 lat niepodległości to dno, powiem jednym słowem. Nie spodziewałem się, że tak będzie.

Przede wszystkim chciałbym, żeby PIS doszedł do władzy, to się zmieni. Ja tak uważam. Powinna powstać policja skarbowa i rozliczyć bogaczy. Skąd mają te pieniądze. By też odprawy nie były takie milionowe, to będą pieniądze. Trzeba iść i mądrze głosować.



Czesław Bejrowski — ur. 14 lutego 1934 r. w Gdyni. W latach 1952–1991 pracownik wydziału W-5 w Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni. Twórca stoczniowego krzyża z Sierpnia 1980 r. i krzyża przed Urzędem Miejskim w Gdyni, upamiętniającego ofiary Grudnia 70.

Ktoś podjął temat, że krzyż trzeba zrobić. Oni widzieli, że tu na placu są ludzie z wydziału drzewnego, no i myśmy się zgłosili — ja i Wojciechowski, mój kolega z tego samego wydziału. Mistrz Kobiera tak mówi: tylko zróbcie go wysoki, ten krzyż... 5-metrowy.

Moim zadaniem było szukać z planszy itd. z magazynów przywożonych. Znaleźliśmy długie drzewo, co wyglądało, że ma 5 metrów. No i zaczęliśmy budować krzyż: znaczy Wojciechowski, ja i do pomocy: taki młody Miotke i Lucjan Myka, który jeździł wózkami w transporcie. Myśmy tam to drzewo podłapali, chociaż było przeznaczone na ładownie statku, ale pozostały takie odpady z tych wszystkich wydziałów. Wykorzystaliśmy to drzewo, położyliśmy i powstał krzyż. Józef Wojciechowski był przy tym i ja.

Potem Myka z wózkiem podjechał i kazaliśmy go zawieść torem kolejowym bliżej bramy. Do tego krzyża trzeba było takie umocnienia dać, żeby go postawić, bo przecież dziury nie wykopiesz, bo gdzie? Wszędzie beton. Wiec takie podpórki, wsporniki były.

To był ten krzyż z Sierpnia 1980. Opalany, ozdabiany, bo drewno było białe. Potem został zawieziony do parafii Najświętszego Serca Jezusa i jest tam do dziś. Stoi w bocznej nawie, po lewej stronie.

Mamy na zdjęciu taką delegację, która tam właśnie była w kościele księdza Jastaka. Oni tak stoją; chyba oni tam byli jako delegacja, która przywiozła krzyż. Już po strajku.

A drugi krzyż, z daglezji — przy Urzędzie Miejskim — był przygotowany na grudzień. Było podium i na tym podium był ten krzyż. To właśnie też „winny" jestem ja.

Ten krzyż był robiony w stoczni, na W-5. Potem trzeba było pojechać do kościoła, na Portowej. Rozmawiał z nami taki przyjezdny z Warszawy, czy skąd on tam był, specjalista od przygotowania takiej dekoracji. Trochę się z nim pokłóciłem, bo on mówił, że górne ramię ma być mniejsze... Ja na to: Nigdy! Ja znam krzyże, już niejeden robiłem. Ja komendę rzuciłem mu: Tak ma być i koniec! Innego krzyża nie uznaję.

Krzyż postawiono w grudniu 1980 roku, zaraz po strajkach, na dziesiątą rocznicę Grudnia. Wybudowano tam podium, a pod krzyżem była msza.

Potem ten krzyż zdjęto i porobiono z niego małe krzyże...

Zbigniew Belka — w 1964 roku rozpoczął naukę w szkole przyzakładowej, a od 1965 roku zatrudnił się w Stoczni Remontowej „Nauta". Następnie został mistrzem na wydziale produkcyjnym i kierownikiem wydziału maszynowego. W opozycji działał od lat 70-tych, w Solidarności od samego początku, uczestnik strajku sierpniowego, w stanie wojennym działacz podziemia, organizator pomocy dla internowanych. W 1989 r. Przewodniczący Komisji, a dwa lata później Przewodniczący Rady Pracowniczej. Żonaty, dwoje dzieci.

W opozycji działałem od lat 70-tych, w Solidarności od samego początku. Uczestniczyłem w strajkach sierpniowych, w stanie wojennym działałem w podziemiu, organizowałem pomoc dla internowanych.

W 1979 roku zostałem brygadzistą w Stoczni Remontowej „Nauta", która była moją pierwszą i jedyną pracą. W 1964 roku rozpocząłem naukę w szkole przyzakładowej, a od 1965 roku podjąłem już zatrudnienie w brygadzie. W 1979 roku zostałem brygadzistą, a następnie mistrzem na wydziale produkcyjnym i kierownikiem wydziału maszynowego. W Solidarności działałem od stanu wojennego. Zapisałem się do Solidarności z własnej woli. Od stycznia 1982 roku działałem w tajnej komisji zakładowej, o czym w latach poprzedzających zadecydowała komisja wydziałowa na wypadek nieprzewidzianych sytuacji, takich jak strajki. W 1989 roku zostałem przewodniczącym komisji, a w 1991 przewodniczącym Rady Pracowniczej.

W momencie wybuchu strajku byłem w pracy, którą rozpoczynałem codziennie o 6.30. Już wtedy rano mówiło się o możliwości wybuchu strajku, co potwierdziło się podczas śniadania o 10.30.

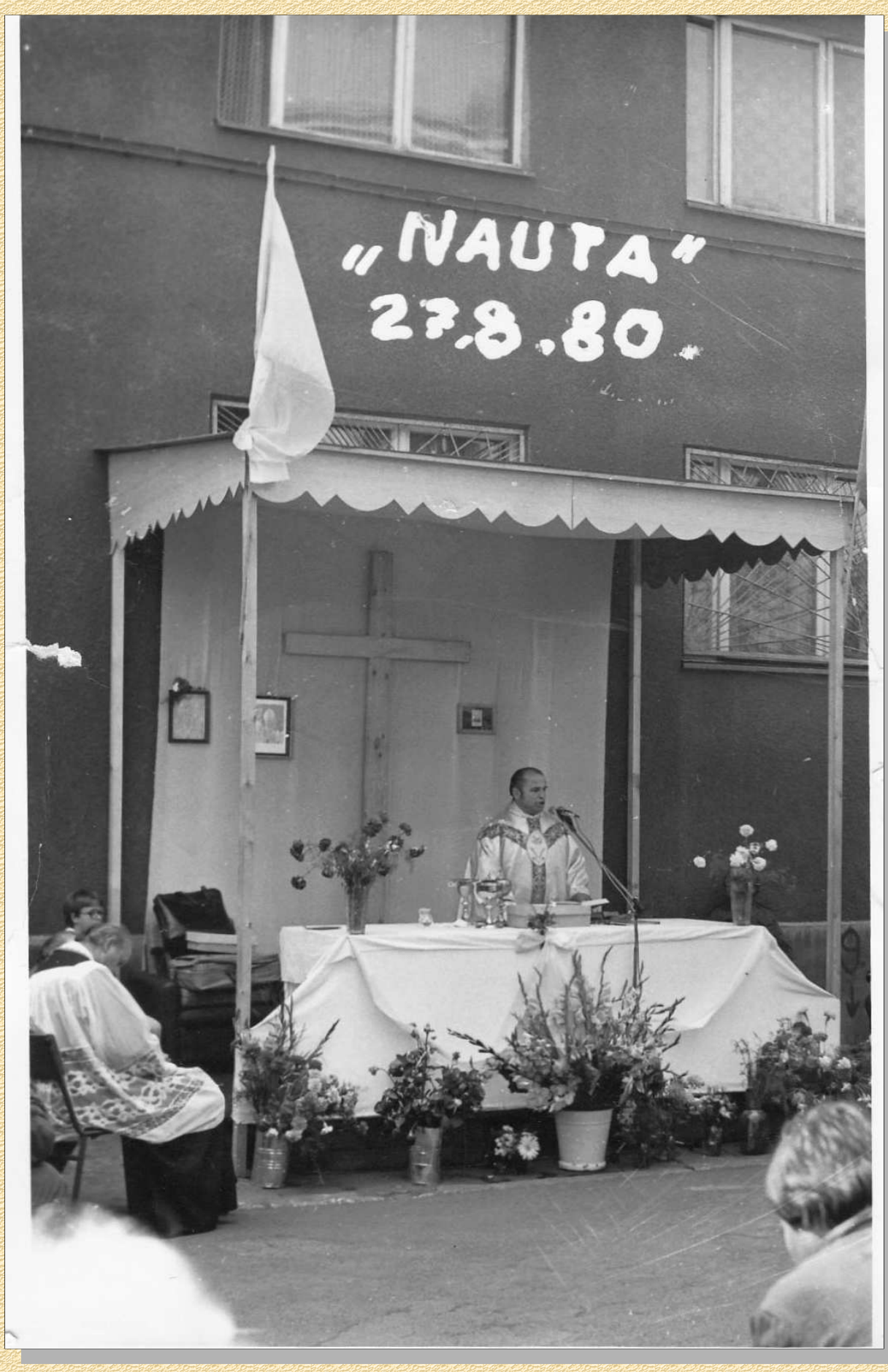
Uczestniczyłem w całym strajku, nie zdecydowałem się na przepustkę, pomimo że żona (od 1975 roku) spodziewała się drugiego dziecka (synek urodził się 20 września), pierworodny syn miał wtedy 5 lat.

Moją decyzję o przystąpieniu do strajku przekazał rodzinie brat. Tak dowiedziała się o strajku żona, która potem przychodziła na spotkania pod bramę stoczni. Tam też spotykaliśmy się z innymi, aby po południu wrócić na wydziały. Pełniłem warty, aby nie wdarto się na teren Stoczni od strony portu. Determinacja ludzi była dla mnie widoczna, aby wspólnie opowiedzieć się za powstaniem związku zawodowego, który broniłby interesów pracowników. Z czasem rosła presja, atmosfera była coraz bardziej nerwowa, szczególnie wobec możliwości ataku na bramę. Część osób opuściła wydział. Bibułę dostarczał nam kolega z Gdańska, co pomogło pozyskać informacje o nastrojach wśród strajkujących w Gdańsku oraz mieszkańców miasta. Do samego końca byłem zdeterminowany i opowiadałem się za kontynuacją strajku i jego utrzymaniem do samego końca.

Obaj moi bracia działali w Solidarności. W czasie strajku brat i żona wspierali mnie żywnością. Byłem emocjonalnie zaangażowany, żona bardziej zatroskana była moją postawą, bo już wtedy nie pracowała, a mieliśmy na utrzymaniu synka i spodziewaliśmy się kolejnego dziecka. Znajomi, rodzina też byli pozytywnie nastawieni do strajku, popierając nasze działania w Stoczni. Szybko po rozpoczęciu strajku zbudowaliśmy też ołtarz.

W moim domku na Osobówku w czasie stanu wojennego ukrywali się działacze Solidarności ścigani listami gończymi.

Nadzieję w życie stoczniowców wniósł Ojciec Święty Jan Paweł II. Pamiętam, że w 1987 roku uczestniczyłem w czteroosobowej delegacji, która podczas pielgrzymki Ojca Świętego wręczyła mu popiersie robotnika spętanego węzami. Od Jana Pawła II otrzymałem wówczas różaniec, który do dziś stanowi dla mnie cenną relikwię. Nikt inny nie wniósł z taką stanowczością w nasze serca, dusze, umysły wiary w wolność i solidarność. Jestem przekonany, że wstawiennictwo Ojca Świętego w znaczący sposób przyśpieszyło bieg wydarzeń i zmian na Wybrzeżu.


„NAUTA"
27.8.80

Edmund Bieszke — ur. 17 kwietnia 1942 r. w Łężycach koło Rumi. Żonaty od 1976 r., bezdzietny. Wykształcenie wyższe, w zakresie administracji, zdobyte trybem zaocznym. Wyznanie rzymskokatolickie, wierzący, praktykujący. Początkowo pracował w „Morsie" w Gdyni. Świadek wydarzeń grudniowych 1970 r. na Wybrzeżu. Od 1971 r. pracownik Wyższej Szkoły Morskiej, kierownik Domu Studenckiego, od 1980 pracownik działu administracyjno-gospodarczego. W 1987 uniknął zwolnienia z pracy za wywieszenie flag na przyjazd papieża. Od 2010 r. na emeryturze.

Ojciec miał endeckie poglądy, tak jak większość Pomorzan, był wielkim patriotą. Był Kaszubem, ale szanował też Niemców; od rozbiorów nie znali innej władzy, jak tylko niemiecka. Wychowywał mnie w patriotyzmie. Poznałem prawdę o Rosjanach. W domu mówiło się o Katyniu i o tym, kto dokonał tej zbrodni. Ojciec pracował w nadleśnictwie; tam był oficer Armii Krajowej (tak sądzę) geodeta i chyba ukrywał się tam; to od niego dowiedzieliśmy się chyba pierwszy raz o Katyniu. Mama nie interesowała się wiele polityką, nas było dziesięcioro w domu, tak że mama nie miała na nic czasu.

W 1980 r. mieszkałem w Sopocie, mieszkanie wybudowała spółdzielnia „Jedność Rybacka", pracował tam mój teść. Kiedy się ożeniłem, początkowo mieszkaliśmy w akademiku, a od 1981 r. już w tym mieszkaniu.

Pracowałem w Szkole Morskiej i w 1974 r. poprosiłem znajomego studenta, żeby z księgarni polskiej w Londynie nabył książki, m.in. „Katyń". Przywiózł ją i tam był indeks z oficerami, którzy zginęli. Ta książka była później kopiowana. Ten znajomy przywiózł mi wtedy 4 książki, było coś Giedroycia, Cata Mackiewicza, niestety nie mam tych książek teraz. Nawet teraz tego reprintu o Katyniu nie mam, chociaż sądzę, że kilkaset egzemplarzy zostało wtedy wydrukowanych.

Ożeniłem się w 1976 r., niestety w ogóle nie mamy dzieci, oboje pracowaliśmy. Mieszkaliśmy w tym mieszkaniu z jej mamą, teść już nie żył, zmarł w 1976 r.

Jestem wierzący i praktykujący, religia rzymskokatolicka. Oficjalnie nie przynależałem do żadnej wspólnoty kościelnej.

Mam wykształcenie wyższe, studiowałem zaocznie, W 1977 r. ukończyłem Uniwersytet Gdański z tytułem magister specjalista administracji. Później już nie uzupełniałem wykształcenia.

Nie przynależałem do żadnych organizacji politycznych. Wiedziałem o istnieniu wolnych związków zawodowych w Gdańsku, o Ruchu Wolnej Polski. Jeździłem na msze za ojczyznę do Gdańska do Bazyliki Najświętszej Maryi Panny, zawsze brałem udział w uroczystościach 3 maja i 11 listopada. Czułem, że jakaś opozycja się kroi. Dochodziła do nas gazetka „Robotnik Wybrzeża", zachował mi się egzemplarz z 1979 r., „Kościół, Naród i Państwo" Romana Dmowskiego.

Zdecydowanie byłem przeciwnikiem ustroju komunistycznego. Trochę mieliśmy nadzieję, że ktoś nas od tego wyzwoli. Wcześniej pracowałem w dużej firmie, w stoczni gdyńskiej, i tam się wtedy takie rozmowy toczyły.

Byłem namiętnym słuchaczem Radia Wolna Europa i Głosu Ameryki, nawet do łazienki z radiem turystycznym chodziłem. Wiedziałem, że to nie jest to, że Polska musi się od tego wyzwolić.

Pracowałem w Wyższej Szkole Morskiej, byłem kierownikiem domu studenckiego i miałem problemy u kierownictwa, że zły przykład daję nie chodząc na wybory.

Na wybory nie chodziłem na znak protestu. Wiedziałem, że ten ustrój jest narzucony, że to nie jest naturalne, że ciągnie się od 1948 r. W takim przekonaniu podtrzymywał mnie Kościół. Moja rodzina była bardzo religijna — od dzieciństwa tak pamiętam. Jako

młody człowiek miałem krótką przerwę, jak miałem 18 lat, ale wróciłem do Kościoła bardzo szybko.

Kościół jest dla mnie bardzo ważny, jest nośnikiem wiary, ale i wartości patriotycznych, tak w czasach zaborów, jak i komuny.

Pracując w Szkole Morskiej dostawałem podziemne wydawnictwa na mszy św. za ojczyznę i wśród koleżanek i kolegów w omawialiśmy te kwestie. W samej szkole znałem kilka osób o podobnych zapatrywaniach, to była między innymi pani Katarzyna Bielec i pani Żydak, Wiedzieliśmy o sobie, jakie mamy poglądy i że możemy sobie pomagać. W taki sposób przekazałem książkę i wiedziałem, że będzie powielana po wcześniejszym rozdzieleniu na części. Za dużo nie mówiliśmy, więc ja już nie wiedziałem, kto to robi. Podejrzewałem, że była powielana w wojskowej drukarni. Gdybym miał powiedzieć, kto to robił, to nie wiem.

Myśmy wiedzieli o sobie. Zosia Pawłowska była sekretarką rektora — była lubiana, ale wszyscy wiedzieli, że jest antyustrojowa, że jest sybiraczką. Jeżeli coś było potrzebne z opozycyjnych działań, to się do niej chodziło. W 1971 r. rozpocząłem pracę w Wyższej Szkole Morskiej i pracowałem tam do 2010 r., do emerytury. Zaczynałem jako kierownik Domu Studenckiego.

W 1970 r. pracowałem w „Morsie" w Gdyni. To firma, która zajmowała się urządzeniami nawigacyjnymi na statkach. Pracowałem na terenie Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni. Ludzie, którzy zginęli w grudniu 1970 r., to byli ludzie, których znałem. Może nie osobiście, ale z widzenia. Grudzień przeżyłem, bo udało w mi się nie być w głównym teatrze działań, byłem wtedy oddelegowany do Stoczni Remontowej „Nauta". Tam też stały czołgi, zawrócili nas i poszliśmy na miasto. Ja ten grudzień pamiętam do dzisiaj.

W poniedziałek 15 grudnia 1970 r. pracowałem (remont) w radiostacji na statku rosyjskim. Słyszałem jakieś niepokojące komunikaty, rozmawiali kapitanowie ze sobą, były to dziwne rozmowy, między innymi kapitan dzwonił do Kapitanatu Portu, że trzeba go odholować. Po tych rozmowach zorientowałem się, że coś się dzieje. Kapitan chciał być odholowany od nadbrzeża, bo pewnie miał broń na pokładzie. Zadzwoniłem do kolegi, a zamiast telefonii, na centrali odezwał się ktoś inny i powiedział, że nie łączy. To było w poniedziałek. Pojechałem po południu do Gdańska, zobaczyć, co się dzieje — był wielki pożar. Doszedłem do dworca, a tam zwłoki mężczyzny, spalone pojazdy przed dworcem. Poruszony wróciłem do kolegi, mieszkał na Przymorzu, i opowiedział mi, co się działo.

We wtorek zorganizowano wyjście do miasta pod Urząd Miejski, a nie pod Komitet, a po drodze zabierano robotników z innych wydziałów. Pan dyrektor próbował nas zatrzymać na bramie, ale już była duża grupa i poszliśmy do Urzędu Miejskiego. Mariański był chyba wtedy tam przewodniczącym i potraktował nas poważnie. Wróciliśmy więc do zakładu spokojnie.

Środa była w miarę spokojna w Gdyni. W czwartek pojechałem od razu pod stocznię „Nauta". Tam powiedzieli żołnierze, że nie ma pracy, że mamy się rozejść. Żołnierze mówili nam, że powiedziano im, że Niemcy chcą odbić miasto Gdańsk. Trochę rozmawialiśmy z nimi, tłumaczyliśmy im, że to są strajki robotnicze. Poszliśmy na miasto, a tam pochód z tym zabitym na drzwiach. Był z nami Edward Wolak i w pewnym momencie odłączył się, powiedział, że musi iść do domu. Jego siostra chodziła do Technikum Hotelarskiego, szukał jej przy pomoście nad torami i tam go postrzelili. Mówił, że dostał kulę z góry, podejrzewał, że z helikoptera — i już do nas nie wrócił. Miał postrzał w płuca, długo leżał w szpitalu.

Kilka razy chodziliśmy po Świętojańskiej, w Gdyni ze strony strajkujących nie było żadnej agresji. Nie było żadnych szkód w Gdyni, żadnych wybitych szyb w sklepach, dopiero po południu zaczęli rzucać kamieniami z torowisk kolejowych. W Gdańsku, jak po tygodniu poszliśmy się przejść, to jeszcze były potłuczone szyby, niszczyli sklepy społeczne, a nie prywatne. Człowiek o tym cały czas pamiętał. Kolega, z którym byliśmy razem w czasie tych zajść, to Marian Uciński, pracował w Zakładach Radiowych na Rzeźnickiej, razem chodziliśmy do Technikum Łączności na Podwalu Staromiejskim w Gdańsku. Szkoła istnieje do dzisiaj.

W 1980 r. nie byłem już kierownikiem Domu Studenckiego, dostałem awans i zostałem przeniesiony do działu administracyjno-gospodarczego. Rok 1980 to był ważny rok dla Szkoły Morskiej, która obchodziła 70-lecie. Ówczesny rektor, Duda, zdecydował się

na zorganizowanie zjazdu absolwentów. Część z nich była za granicą i służyła w Wielkiej Brytanii, zostali zaproszeni na ten zjazd. Mogli zjechać wszyscy i zjechało ich bardzo dużo, była duża grupa z Anglii i z Kanady. To była druga impreza, podczas której otworzyliśmy się na imperialistyczny świat. Pierwsza to był 1974 r. i „Operacja Żagiel", przyjechali żeglarze z całego świata. Byłem przy tym organizowaniu, bo część z nich nocowała w Domu Studenckim. Zostały mi różne pamiątki z tamtego czasu. Była to wielka sprawa. Otworzyliśmy się na propagandowo znienawidzony świat kapitalistyczny. Ludzie dowiadując się jak tam się żyje, buntowali się na naszą szarą rzeczywistość, to wiem.

Wprowadzenie podwyżek przyjmowaliśmy dosyć spokojnie. My z żoną jakoś sobie dawaliśmy radę, oboje pracowaliśmy. Nam nie brakowało, tylko kolejki były i nic nie można było dostać normalnie, to nas bardziej gnębiło.

W sierpniu 1980 r. przyszły te pamiętne strajki. Czuło się, że coś się dzieje po 1979 r., a właściwie po wyborze papieża i jego pierwszej pielgrzymce do Polski. Jechaliśmy wtedy do Gębarzewa, koło Gniezna. Jechaliśmy z naszej parafii; jak zobaczyliśmy ten ogrom ludzi, to było to coś niesamowitego. Było nas około 800–900 tys. ludzi w tym Gębarzewie, coś niesamowitego, aż zapierało dech w piersiach. Zobaczyliśmy, że przeciwników systemu jest więcej, jest dużo takich jak my. Mnie się zdaje, że to papież dał nam siły. Po tej jego wizycie Polska już była inna. Czuło się entuzjazm ludzi. Ludzie byli zasłuchani w to, co mówi papież. Nie było na boku rozmów, popijania piwa i palenia papierosów. Wszystko było prawdziwe. Przemówienia nie pamiętam. Wydarzenie było wielkie, było to coś, czym się później jeszcze długo żyło.

Wówczas moim autorytetem życiowym był oczywiście papież. Postać kościelna, ale miał duży wpływ na nasze życie społeczne. Słuchało się Głosu Ameryki i Wolnej Europy i stąd znałem Giedroycia, a także Miłosza, a w kraju podziwiałem Kuronia, Modzelewskiego, a w Gdańsku Halla, Kobzdeja, Gwiazdę; o Wałęsie wtedy nie słyszałem, dowiedziałem się o nim już w czasie strajków.

W 1980 r. objąłem stanowisko kierownicze. Około 120–130 osób, którymi kierowałem. To była duża grupa. Służba portierska (to byli głównie emeryci, na pół etatu). Dwa obiekty, jeden na ul. Morskiej, drugi Wydział Administracyjny na ówczesnej Alei Zjednoczenia, też mi podlegały. Odpowiadaliśmy za przygotowanie tych obiektów — gaz, prąd, etc., za czystość, stan sanitarny, za łączność i zabezpieczenie mienia. Awans nie miał żadnego wpływu na moje dalsze działania, szczególnie związane ze strajkiem.

Jeżeli chodzi o dochody w tamtym czasie, to chyba była średnia sytuacja. Pensje w szkolnictwie były niskie. Zarabiałem mniej niż moi koledzy ze stoczni. Stoczniowcy do 1973 r. były zachwyceni tym, co się dzieje. To był szczyt Gierkowski, dopiero po wojnie arabsko-izraelskiej zaczęły się kłopoty Gierka. Do 1973 r. ludzie byli zadowoleni. Miałem dużo mniejsze zarobki niż oni, ale starczało nam na skromne życie, jakie wówczas było możliwe. Nie wyjeżdżaliśmy nigdzie na wojaże zagraniczne. Byliśmy w Dreźnie Madonnę Sykstyńską zobaczyć. To był taki okres, że można było do NRD na dowód pojechać, koniec lat 70-tych. Może 80 — nie pamiętam dokładnie. Pracownicy narzekali, przychodzili do mnie, że im nie starcza.

Kiedy rozpocząłem pracę w Szkole Morskiej, to zaraz na drugi rok poszedłem na studia na Uniwersytet Gdański, który powstał w 1969 r., i już nie było żadnych przeciwwskazań. Późniejszy prezydent Lech Kaczyński uczył mnie prawa pracy, był wtedy asystentem. Pamiętam, jak stał w kolejce do bufetu, to studenci go linczowali, by się bez kolejki nie pchał, bo był taki mały. Mam w indeksie jego wpis.

Towarzystwo było ciekawe — byli celnicy, milicjant z Chyloni, był też mój kolega ochmistrz. Taka zbieranina była na studium administracyjnym. Prawa pracy uczył mnie Młynarczyk, on teraz jest rektorem Wyższej Szkoły w Kielcach. Uczył prawa cywilnego. Bardzo ciekawie prowadził wykłady, był też siatkarzem. Jakiś czas był prezydentem Gdańska. Raczej był czerwony, ale wykłady prowadził ciekawe. Sztejer natomiast, jego wykłady to był esej, można było notować i sprzedawać, były tak nudne, że wszyscy zasypiali po 10 minutach.

Wydaje mi się, że Szkoła Morska była penetrowana mocno przez SB. Jej funkcjonariusze brali udział we wszystkich naradach. Tam wydawana była książeczka żeglarska, czyli okno na świat. Tam różni ludzie uczęszczali. Chcieli mieć kontakt ze światem. Woziło się np. plomby dentystyczne, by zarobić.

Chcieli mieć książeczkę żeglarską, by nie prosić za każdym razem o paszport. Książeczka żeglarska to była możliwość opuszczenia granic Polski za każdym razem, oczywiście na statku, to taki bardzo dobry paszport. Stąd Szkoła była mocno obserwowana. Pracownicy kadr też byli funkcjonariuszami SB. Gdyby coś się zawiązywało, to chyba byłoby ciężko to zrealizować.

Byliśmy bardzo popularni wtedy jako uczelnia, nie mieliśmy żadnych kłopotów z naborem. Pamiętam studenta, Antczak się nazywał, wygadał się w rejsie, że schodzi w Kopenhadze — chciał wysiąść i połączyć się z rodziną. Dostał zakaz opuszczania pokładu i musiał wrócić do Polski. W 1981 r. w stanie wojennym okazało się, kto jest kto. Nadal utrzymuję kontakty ze znajomymi z pracy, odwiedzam swój wydział kilka razy w roku, między innymi Krystynę Pietrzyk — mieszka w Warszawie — brała udział w strajku. Pracowała w ABW u Mariusza Kamińskiego. Była w centrum działań. W 1984 przeniosła się do Warszawy. Pracowała w dziale wydawniczym — świetna robota. A nas pracowników Szkoły Morskiej było 400 osób. Wydawano „Zeszyty Problemowe", w nakładzie 2–3 tys. To nie było robione nielegalnie. Ewa Kubasiewicz potrafiła przekonać, by robić to oficjalnie i tak też się to wydawało. Wydawany był „Biuletyn Solidarności", a także „Latarnia", to było wydawnictwo studentów. Kubasiewicz jest we Francji. Założycielka Komitetu Protestacyjnego, Jerzy Kowalczyk, Roma Kowalczyk także z działu wydawniczego.

Lato 1980 roku było sympatyczne. Mieliśmy zjazd absolwentów. Rektor mnie ściągnął z akademików. Ten Duda, rektor, to był taki ZMP-owiec — każdy student musiał przepracować społecznie 50 godzin. Malowaliśmy jakieś płoty. Codziennie przychodziła grupa 30–40 studentów i pracowaliśmy społecznie. Musiałem tę grupę koordynować. Jak nie dopilnowałem, to malowali zapiaszczone płotki, nie czyścili ich wcześniej. W sierpniu pojechałem na wczasy do Szklarskiej Poręby. Sąsiad od stołu, przy śniadaniu powiedział, że „coś się buntują w tym pana Gdańsku". Pierwsza informacja pojawiła się koło 16–17 sierpnia — komunikat, że jacyś wichrzyciele są w Gdańsku. Wróciliśmy po tych wczasach i już w Sopocie dowiedzieliśmy się, że coś się w tym Gdańsku dzieje.

31 sierpnia pojechałem do Gdańska pod bramę stoczniową. Tam była euforia. To już po podpisaniu porozumień. Boże drogi, co tam się działo! Jedni odmawiali różaniec, inni śpiewali. Tam wtedy usłyszałem po raz pierwszy nazwisko Wałęsy. Wróciłem obładowany wydawnictwami, postulatami.

Wałęsa mówił, że do pracy wracamy jutro — to było 31 sierpnia, w niedzielę. W poniedziałek mieli wracać do pracy. W międzyczasie się dowiedziałem, że powstawały nieoficjalne koła w Szkole Morskiej. Delegowano przedstawicielstwa do Komitetu Międzyzakładowego. Była tam Ewa Kubasiewicz, Albina Wiktorska itd. One były naszymi przedstawicielami w Gdańsku, w Stoczni Gdańskiej, mieliśmy kontakt oficjalny nawiązany.

Na początku września powstało też takie ciało, które się nazywało Komisja Porozumiewawcza Środowiska Naukowego Wybrzeża Gdańskiego. Zawiązała się 26 sierpnia, działał tam profesor Głębocki. Naszym przedstawicielem był doktor Mikołaj Kostecki. Potem będzie rektorem solidarnościowym, dwa czy trzy miesiące. W Szklarskiej Porębie 22 sierpnia (byłem tam wtedy) było zebranie kół związkowych pracowników WSM, tam zgłaszano postulaty i poparcie dla komitetu, była też zbiórka pieniędzy dla strajkujących. Nasza placówka została wpisana do rejestru w Gdańsku pod numerem 359.

Do pracy poszliśmy 1 września. Krążyła taka zbiorcza deklaracja — wyrażenie deklaracji, że jak powstanie związek, to się do niego przystąpi, nie miał jeszcze nazwy „Solidarność".

5 września mieliśmy spotkanie w auli, było z 400 osób na tym zebraniu ogólnym. Tam był Głębocki i Gwiazda. Wtedy powołano Uczelniany Komitet Założycielski NZZS „Solidarność". Ja też podpisywałem deklarację. Było nas chyba 500 osób wpisanych. Szkoła liczyła wtedy około 800 pracowników.

Z tego co pamiętam, to mieliśmy spotkanie i wygospodarowaliśmy pomieszczenie dla nowego związku zawodowego. Zofia Pawłowska była wtedy sekretarką rektora. Poprosili rektora potem, by mogła przejść do Solidarności. Była pracownikiem etatowym Solidarności.

Powstała ustawa w 1980 r., że pracownicy administracji oraz ci nie będący nauczycielami akademickimi, mieli prawo mieć swojego przedstawiciela w senacie. Kiedy wprowadzili stan wojenny i powstała nowa ustawa o szkolnictwie wyższym, odbyły wybory do

senatu. Zgłosiłem Zofię Pawłowską. Zrobiliśmy to celowo. Wiedziałem, że ci pracownicy będą głosować tak jak ja. Zofia została wybrana w pierwszej turze. Zofia się kojarzyła wszystkim z Solidarnością, ale została przedstawicielem grupy w senacie.

16 września przejęliśmy kasę związku zawodowego marynarzy i portowców. Mieli kasę zapomogowo-pożyczkową. Ja też do tego związku zawodowego należałem. „Solidarność" tę kasę przejęła i została ogólnopracownicza, niezależnie od tego, do jakiego związku się należało. 29 września zaapelowaliśmy do rektora o podwyżki dla pracowników. 30 września przyznano zaliczkowo. 3 października braliśmy udział w strajku, chodziło o Solidarność rolników, nie chcieli rozmawiać z rolnikami.

5 listopada było nas w związku 505 osób. 6 listopada pojawił się pierwszy numer „Biuletynu Informacyjnego Komitet Założycielskiego NZSS Solidarność". To było jeszcze przed wyborami. Miał 6 stron, nakład 150 egzemplarzy. Potem już 500. Redagowali: Ewa Kubasiewicz, Roma Kowalczyk, Grzegorz Niewiadomy, Albina Wiktorska i inni. Jednocześnie zjawiła się młodzież, studenci. Solidarność pomagała im w zawiązaniu Niezależnego Zrzeszenia Studentów. Boroń tam działał.

Szkoła Morska w sierpniu nie mogła strajkować. Dydaktyków nie było. Techniczni się pojawiali. Z tego co wiem, to były spotkania na wydziałach. Ludzie się zbierali samorzutnie. Myślę, że to Ewa Kubasiewicz organizowała. Powstawały koła, które wybierały swojego przedstawiciela do MKS-u w Gdańsku. Myślę, że to się 20 sierpnia zaczęło. Podejmowanie akcji strajkowej nie miało sensu. Sierpień był pusty. W sierpniu wszyscy brali urlopy. Nie było strajku, ale była całkowita solidarność. Podpisywano poparcie, nasza delegacja tam pojechała między innymi pojechała Ewa Kubasiewicz, która związała się z Gwiazdą, bo podział Solidarności już się zarysowywał.

Wydaje mi się, że myśmy już wtedy mieli przecieki, że Wałęsa 16-go rozwiązał strajk. Idziemy do domu, to do nas dotarło. To był duży błąd. Oni nie czuli, czym ten związek jest w skali świata i państwa. Nasza szkoła zgłosiła się jako 359. Zgłosiła, że to również ich postulaty. I inne zakłady pracy też tak postrzegały. Wałęsa tego nie czuł, ogłosił rozwiązanie. Ważne jest to, co zrobiła Anna Walentynowicz, że zatrzymywała wychodzących, by zostali. Kiedy się okazało, że jednak więcej osób zostało, to Komitet zmienił zdanie i powiedział, że zostajemy. Okazało się wtedy, że Wałęsie jest tak blisko od maleńkości do wielkości. Wałęsa chciał załatwić postulaty na dzisiaj, dlatego dzień 16 sierpnia był najważniejszy w tym całym naszym zrywie. Pod tym względem lepiej był zorganizowany strajk w Stoczni Komuny Paryskiej w Gdyni. Dzięki Andrzejowi Kołodziejowi oraz jego wyczuciu sytuacji i umiejętnościom ten strajk się utrzymał.

W końcu w tym napięciu doczekaliśmy momentu podpisania Porozumień sierpniowych. Przyjechaliśmy pod stocznię, to była euforia, radość i ulga. Radio nadawało relację z obrad, więc byliśmy z tym na bieżąco, ale nie było tego w ogólnokrajowym serwisie, tylko tutaj.

Deklarację przystąpienia do nowego związku podpisałem 3 może 4 września. Najpierw była to zbiorowa deklaracja na zbiorowej liście. Potem wypisywało się wnioski indywidualne. Była już nazwa oficjalna i struktura organizacyjna Związku Zawodowego „Solidarność". Na pierwszym etapie byłem delegatem na założycielskie spotkanie. Po stanie wojennym w 1988 r., po reaktywacji, byłem wiceprzewodniczącym przez dwie kadencje. Cały stan wojenny opłacałem składki członkowskie. Odbierałem wydawnictwa, które do nas przychodziły. Kasia Bielec była moim łącznikiem i pani Żydakowa z wydziału mechanicznego. Mieliśmy takie punkty kontaktowe, by za dużo nie wiedzieć. Tam był taki zły duch, pan Chomicki, pułkownik wojska polskiego, pracował w obronie cywilnej. Powiedział dyrektorowi, że ja kieruję podziemną Solidarnością w szkole i trzeba mnie wywalić. To była nieprawda, bo nie kierowałem.

W 1982 r. rozwieszałem z koleżanką plakaty na tablicach, żeby zbojkotować pochód pierwszomajowy. To było krótkie oświadczenie „1 maja Lechu też nie pójdzie". To nie było zaplanowane i zorganizowane mocno. Studenci na znak protestu odwrócili daszki do tyłu i tak poszli. Nas ktoś namierzył, jak rozwieszaliśmy te plakaty.

Początkową działalność Solidarności przyjąłem bez uwag. Wtedy wydawało mi się, że może za mało jest żądań co do zmiany ustroju. Nie podobało mi się to, że działacze mówili, że nie naruszają kierowniczej roli partii. Może faktycznie była w tym jakaś słuszność, ale

mnie się to nie podobało. Można było to jakoś inaczej sformułować, że nie teraz, a nie przekreślać całkowicie.

Myślę, że około 4/5 stanu załogi uczelni zapisało się do Solidarności. W stanie wojennym dużo się wypisywało. W tamtym okresie euforii to było nas ponad 500 osób, na 700 pracowników. Mniej było wśród załóg statków, ze Studium Wojskowego (mundurowi oficerowie), a także wśród partyjnych. Jeden z prorektorów, pan Ćwilewicz, był też w Solidarności i się nie wypisał, nie przepraszał.

Solidarność wtedy była ogromną nadzieją. Liderem był docent Mikołaj Kostecki, pochodził spod Wilna, był pracownikiem Politechniki i chyba w 1974 przyszedł do szkoły. Był delegatem w Komisji Porozumiewawczej środowisk naukowych. Wiceprzewodniczącymi byli Ewa Kubasiewicz i Marek Bochiński. Sekretarzem Zofia Pawłowska. Skarbnikiem Elżbieta Kaczmarek z kwestury. Bardzo ją lubiłem, to była taka serdeczna kobieta.

Nastawienie kierownictwa zakładu do Solidarności było pozytywne. Pan Duda był, można powiedzieć, umiarkowanym sympatykiem na tyle, na ile mu Komitet Miejski pozwalał, ale nie był wrogiem. Pan Gerard Sulewski — dyrektor administracyjny — wręcz sympatyzował, ułatwiał Solidarności wiele akcji, wypożyczył samochód, wydawnictwa itp.; później za to odpowiadał. Byli też wrogowie, między innymi: Chomicki i Adolf Włoch, nie podejmowali jednak żadnych otwartych działań anty.

Po wprowadzeniu stanu wojennego przystąpiliśmy do strajku okupacyjnego. Ostatni sekretarz partii — Marek Pierechaty — zaczął straszyć, że zakłócamy ład uczelni, ale go wygwizdali, wykrzyczeli i sobie poszedł. Był jawnym przeciwnikiem Solidarności, ale nie prześladował nas. On nawet mnie w 1987 r. uratował, jak udekorowaliśmy szkołę w biało-czerwone flagi i niebieskie na przyjazd papieża. Dekorowaliśmy tak, jak na dni odrodzenia, na dni morza. Prorektor kazał to zmienić. Ja się nie chciałem zgodzić. Mówiłem, że ustaliłem to z dyrektorem. Ostatecznie zmienili te kolory. Zmienili te flagi — a niebieski to wcale nie był kolor maryjny, a morski. Wówczas Pierechaty powiedział, że jak będzie do mnie jakiś telefon z kadr, żebym nie szedł. Uratował mnie przed zwolnieniem z pracy, bo był przygotowany taki wniosek. To było w 1987 r.

W pierwszym okresie działania Solidarności nie czułem negatywnej postawy członków PZPR. Moim przełożonym był pan Sulewski, dyrektor administracyjny. Był sympatykiem Solidarności, nie miałem żadnych nacisków z jego strony. Myślę, że na innych wydziałach mogły być jakieś naciski. Wiem, że były naciski na bibliotekę. Miałem telefony z obrony cywilnej od Chomickiego. Pan Chomicki jedyny był antysolidarnościowy. To był jedyny pracownik, któremu na zebraniu w 1990 r. rektor Lisowski powiedział, że mu podziękuje za pracę. Ktoś zażądał, by on odszedł za wszystkie jego grzechy i rektor go faktycznie zwolnił za te działania.

Po strajku w zakładzie pracy czuło się zmiany, była większa serdeczność wśród ludzi. Taka odwaga do mówienia. Nagle się dowiedziałem, że pan docent Kawiak, stracił rodzinę w Katyniu. Wyszło z ludzi coś dobrego. Okazali się być lepsi, niż byli. Był to faktycznie taki karnawał Solidarności. Dużo życzliwości, wzajemnej pomocy.

Po wprowadzeniu stanu wojennego trochę było strachu, niepewności, co to właściwie znaczy. Dowiedziałem się o tym z telewizji. W Sopocie nie mieliśmy żadnych zewnętrznych objawów stanu. Po śniadaniu pojechałem sprawdzić do pracy, czy wszystko w porządku. Jakiś patrol mnie zatrzymał, gdzie jadę. Telefony były wyłączone. Ustaliłem z pracownikami — musiałem zabezpieczyć zmiany — dla palaczy, strażników — dałem adresy pracowników, by się zabezpieczali, wymieniali wzajemnie. By nie było tak, że ktoś nie przyjdzie, a inny pójdzie do domu. Studenci się rozpierzchli. Mieli akurat strajk okupacyjny. Jak się dowiedzieli, że jest stan wojenny, pozbierali swoje rzeczy i uciekli. Nie zastałem wtedy w żadnym budynku w szkole nikogo z zewnątrz. Patrol stał tylko na Skwerze Kościuszki i pytali mnie, po co jadę. Na ulicy Morskiej nie zauważyłem niczego. Portierzy też o niczym mi nie donosili. Nie było zewnętrznej traumy. Siedziałem siebie w biurze. Zabezpieczałem jakieś swoje rzeczy. Do Solidarności nie szedłem. Po południu wróciłem do domu. Już nic się więcej nie działo. Dalej był ten sam dyrektor, nie groziła mi degradacja czy utrata stanowiska pracy. Mieliśmy narady tylko, jak ma funkcjonować uczelnia w tym zmienionym czasie.

14 grudnia, w poniedziałek, Solidarność uczelniana ogłosiła strajk okupacyjny. Strajk był na wydziałach, a nie zbiorowy. Nie wiem, czy to było dobre, nie wiadomo, czy wszyscy

strajkowali, czy nie. Wtedy poznałem Franciszkę Cegielską. Znałem ją jako pracownicę. Powiedziała, że przyszli po jej męża, apelowała, by nie zapominać o internowanych i się o nich upominać. Potem została prezydentem Gdyni.

15-go zapadła decyzja o rozwiązaniu strajku. Mnie przy tym nie było. Ale straszono, że jak nie rozwiążą strajku, to włączą do Wyższej Szkoły Marynarki Wojennej jako wydział cywilny. Pan Kostecki też się przychylał, by ten strajk zlikwidować i odwołać. Zapadła na zebraniu decyzja, że strajku nie będziemy prowadzić. Kostecki decyzją ministra został odwołany i na jego miejsce na rektora powołano kapitana żeglugi wielkiej Władysława Rymarza. Kostecki objął swą funkcję w październiku 1981 r. Przejmował buławę z rąk kapitana Daniela Dudy.

Po wprowadzeniu stanu wojennego absolutnie nie miałem wrażenia, że nam coś zagraża. Wiadomo było, że komuniści chcą zatrzymać władzę i że to jest zwyczajna walka o władzę. „Raz zdobytej władzy nie oddamy nigdy" (uważam, dzisiaj też jest tak samo). Myślałem też, że Rosjanie już byli zaangażowani w Afganistanie i nie byłoby ich stać na jeszcze jedną ekspedycję wojskową.

Myśmy się tak zachowywali, jakby ten związek dalej istniał. Co miesiąc odprowadzaliśmy składki związkowe, każdy w umówione miejsce. Trafiały do podziemnej kasy dla tych, którzy byli bez pracy, do kościołów i tam przekazywali dalej. Ksiądz prałat Jastak się tym zajmował. Umiał to Jastak robić, bo był szefem „Caritasu" po wojnie.

Była rozprowadzana nielegalna prasa. Moim punktem kontaktowym była pani Bolesława Bielec, Halina Dunajska (moja sekretarka) i pani Żydak z wydziału mechanicznego. Formalnej struktury podziemnej nie mieliśmy. Ona tak jakby sama powstała i tak funkcjonowała, bo była wewnętrzna chęć oporu. Nawet w piwnicy napisałem „Solidarność" na fladze biało-czerwonej i wywiesiłem ją. Potem zomowcy ją zdjęli, ale nie miałem z tego tytułu żadnych kłopotów. W człowieku była taka chęć zrobienia czegoś przeciw.

W 1982 r., 11 listopada, jak zwykle pojechałem na mszę do bazyliki. Miałem coś do zrobienia w pracy, dlatego pojechałem później. Odczekałem chwilę, jak już dojechałem do Gdańska, miałem jakąś bibułę. Szedłem do tej bazyliki i ksiądz Bogdanowicz zaczynał tę mszę. A od 12-tej podawano komunikat, że zmarł Breżniew. Bogdanowicz zaczął mszę słowami, że wszyscy jesteśmy przepełnieni radością — a ja tak sobie myślę, że co on mówi, przecież Breżniew zmarł, czy można tak otwarcie o tym mówić? — a on się odwoływał do tego, że Wałęsę wypuszczono z internowania, o czym ja nie wiedziałem.

Organizowaliśmy też jakieś przemarsze, ale nic nam nie zrobiono z tego powodu. Były dwie zbiórki na rodziny internowane, dla jednej z nich organizowała Marta (nie przypomnę sobie nazwiska) dla rodziny sąsiadów, bo mąż został zatrzymany. Ponadto robiła to pani Elżbieta Kaczmarek — skarbniczka z naszej pierwszej komisji. Jeździłem też do Rokitna do biednych, ale to nie miało wydźwięku politycznego.

Pracowałem dalej w Szkole Morskiej na swoim stanowisku. Miałem co prawda jakieś kłopoty ze strony Rutkowskiego — ja mu podpadałem co chwilę — ale udało mi się przetrwać. On był kierownikiem działu administracyjnego. Robili takie ankiety oceniające pracowników, wypełniało się tam też taką rubrykę „stosunek do aktualnego ustroju". Zaznaczali za mnie, że mam obojętny stosunek, nie dopuszczali mnie do głosu — bali się, że powiem, że mam negatywny stosunek. Oczywiście dalej byłem związany z opozycyjnym ruchem związkowym aż do 1989 r., bo zawsze czułem się wielkim opozycjonistą. Choć muszę powiedzieć, że ten 1988 r. mnie dziwił. Te strajki dziwnie wybuchały, jakby ktoś celowo je zapalał. Myśmy wiedzieli, rozmawiając między sobą, że to poparcie teraz jest już dużo mniejsze dla Solidarności, że to już nie jest ten czas. Byli już nowi, młodzi ludzie. Już nowe pokolenie robiło strajk 1988 r. Może nie byli już tacy skuteczni, ale zrobili strajk.

Po latach były przecieki, że te strajki były sterowane i celowo zapalane, że to takie tłumaczenie władz komunistycznych, że już nie mają co robić. Może to było przygotowanie do „okrągłego stołu".

Popierałem te strajki 1988 r., bo osłabiało to władzę i robiło ferment. Później były nadzieje po rozmowach Wałęsy i Miodowicza, że może coś się zmienia.

Dla mnie było najważniejsze to, żeby Solidarność zaczęła działać normalnie. Solidarność w końcu dostała zgodę na działanie, ale nawet połowa członków się nie zgłosiła. W szkole też nie wszyscy odnawiali legitymacje. Myśmy nigdy tych legitymacji nie zdali, ale trzeba było potwierdzić członkostwo. Wtedy było nas 500, przy pierwszej działalności,

a później tylko 150. Odnowiłem swój mandat w Solidarności. Byłem na pierwszym zebraniu rozliczeniowym, gdzie pan rektor mówił, że zwolni Chomickiego.

Zawsze uważałem, że pracownik naukowy powinien stać na czele związku i tak było u nas zawsze. Reaktywacją zajęła się pani doktor Muszka z wydziału elektrycznego. Dużo wysiłku włożyła, ale przegrała na zebraniu wyborczym. Został wybrany Piotr Leo. Wspaniały człowiek, zmarł przedwcześnie, pochowany jest w Sopocie. On w pierwszej Solidarności nie występował, być może nie było go wtedy w szkole. Potem został Czesław Krawczyk, mój przyjaciel matematyk. Mieliśmy swoją przygodę z wielką polityką. Mieliśmy swojego kandydata do senatu, Krzysztofa Kołowrockiego, ale się nie udało.

Start Solidarności po 1989 oceniam bardzo dobrze. To była od początku walka o wyrównanie. Między nami były duże dysproporcje. Staraliśmy się, żeby te płace nie były takie różnorodne. Chcieliśmy te płace minimalne podciągnąć. Już byłem bliżej tego, bliżej rektorów. Powołano mnie do komisji od ludzi zwolnionych. Przeszło to u nas łagodnie, te zwolnienia. Nie było dramatycznych sytuacji. Chcieliśmy wystąpić do Rady Państwa o odznaczenie naszych bohaterów z pierwszego związku, zwłaszcza Ewy Kubasiewicz. Wiele osób z tego grona straciło pracę w czasie stanu wojennego. Chcieliśmy im to jakoś zrekompensować. W archiwum poprosiłem o ich akta, by napisać coś o nich, by to uzasadnić. Napisałem coś, wysłaliśmy, ale nie pamiętam rezultatu. W archiwum natomiast dowiedziałem się, że ktoś z kierownictwa wycofał protokoły, mówiące dlaczego zostali zwolnieni ci pracownicy. Nie było żadnych ocen, dlaczego zostali zwolnieni ze szkoły — ktoś to zabrał.

Oceniam tę drugą Solidarność jako bardzo dobry czas. Było nas mniej, ale byliśmy bardzo dobrze zorganizowani. Mieliśmy spór o płacę z dyrektorem Przybyłowskim. Trwał całe lato. Chodziło o to, że mieliśmy prawo do podwyżki zgodnie ze wskaźnikiem inflacji. On nam tej podwyżki nie dał. Uznał, że szkoła ma inne potrzeby, trzeba laboratorium zrobić. Nie wygraliśmy tego tak do końca — ja byłem w komisji prowadzącej negocjacje z rektorem — mieliśmy teraz, skoro mediacja się nie udała, przystąpić do strajku. Doszliśmy do wniosku, że strajk nie znajdzie poparcia. Dostaliśmy jakieś tam podwyżki.

Bardzo negatywnie odnoszę się do porozumień „okrągłego stołu". Uważam, że komuniści nie powinni być żadną stroną, powinni oddać władzę i odejść, a oni uważali się jako równorzędna strona. Wystarczyło to, co mówił Jan Olszewski (którego byłem zwolennikiem), poczekać pół roku i by się rozpadło samo.

Tam wtedy lewicowa i laicka Warszawka przejęła kierowanie i Solidarność zaczęła przez to przegrywać. Michnik pojechał do Moskwy dogadywać się z Gorbaczowem — kto go do tego upoważniał? Spowodowało to rozbicie jedności i solidarności międzyludzkiej. Bez nich potoczyłoby się to inaczej i też byśmy sobie poradzili.

Z nadzieją uczestniczyłem w wyborach czerwcowych, ale niestety wadą tego czasu i dzisiaj są podziały między ludźmi i brak wzajemnego szacunku różnych opcji i trudno odbudować solidarność społeczną.



Wojciech Bińczyk — ur. 22 kwietnia1945 r. w Krasnobrodzie koło Zamościa. W Gdyni mieszka od 1963 r. Ukończył szkołę zawodową w Gdyni, a następnie podjął pracę w Stoczni Gdyńskiej, gdzie pracował aż do przejścia na emeryturę. Żonaty, dwoje dzieci. Uczestnik strajku 1980 r., członek związku zawodowego „Solidarność". Obecnie na emeryturze.

Do Gdyni przyjechałem w 1963 roku kuszony opowieściami o lepszym życiu, jakie daje związanie się ze stocznią gdyńską. Ukończyłem szkołę zawodową w Gdyni, a następnie zatrudniłem się w pełnym wymiarze w Stoczni. W późniejszych latach ożeniłem się i wraz z żoną i dwiema córkami zamieszkaliśmy na Obłużu.

W czasie wybuchu strajku 1980 r. pracowałem na wydziale kadłubowym. Już we wcześniejszych latach zaangażowany byłem w pracę konspiracyjną przeciwko PRL. Sam okres przed sierpniem 80 w tym samym roku był nerwowy i wyczerpujący dla społeczeństwa, wszystkiego brakowało, pensje były płacone nieregularnie, a nierzadko, aby dostać odpowiednie materiały do pracy, trzeba było skorzystać ze znajomości. W dniu 17 sierpnia rano byłem w pracy. Następnie wiedziony ciekawością i tłumem ruszyłem ze wszystkimi w stronę bramy głównej, gdzie już znajdowały się osoby wnoszące postulaty. Szybko został utworzony komitet strajkowy, a następnie skierowano się do dyrekcji.

Sam przebieg tych wydarzeń, a także dalszych dni był spokojny, dobrze zorganizowany i od samego początku pod kontrolą inicjatorów. Wiadomo było, że tym razem nie nikt nie dopuści do przelewu krwi, jak to miało miejsce w 1970 roku. Przy bramie głównej odwiedzała mnie rodzina i był to częsty obrazek, nie spotykało się to z czyjąkolwiek nieprzychylnością. Pożywienie dostarczane było przez „Społem" i nie było na co narzekać.

Głównym odczuciem, jakie towarzyszyło strajkującym, było podekscytowanie, nadzieja oraz wszechobecna solidarność i życzliwość ludzi wobec siebie na przekór władzom komunistycznym. Z uśmiechem wspominam granie w karty czy łowienie ryb, jako sposób na zabicia czasu. Po zakończeniu strajku, tak jak większość współtowarzyszy, oficjalnie dołączyłem do Solidarności.

Według mnie nastąpiło doraźne poprawienie warunków życia i pracy, zostały wypłacone zaległe pensje, a następne płacone były o czasie. W moim odczuciu strajk był konieczny i nieunikniony.

Po 1989 nadal pracowałem w stoczni aż do osiągnięcia wieku emerytalnego.


BOG Z NAMI

Stanisław Blecharz — ur. w roku 1922 na Podkarpaciu w miejscowości Stanisławów. Żołnierz AK. W 1945 r. z powodu swojej wojennej przeszłości uciekł do Gdyni. Podjął pracę w Biurze Odbudowy Portu przy Stoczni „Nauta". Świadek wydarzeń grudniowych 1970 r. Nigdy nie zapisał się do Partii, ale w połowie lat 70-tych wstąpił do ZBoWiD-u. Od 1952 r. żonaty, dwoje dzieci. Uczestnik strajku 1980. Członek NSZZ „Solidarność".

Autorką tych wspomnień jest córka pana Stanisława pani ***Elżbieta Blecharz****.*

Mój ojciec — Stanisław Blecharz — pochodził z Podkarpacia, wychowywał się w miejscowości Stanisławów. Jako żołnierz AK brał udział w akcji partyzanckiej na Gilowej Górze w pobliżu Tuchowa. W 1945 roku ze względu na swoją przynależność do Armii Krajowej musiał uciekać z rodzinnych stron. Jako cel swojej wędrówki nieprzypadkowo wybrał Gdynię — nauczyciel mieszkający u jego ciotki zaszczepił mu sympatię do morza, a pochodzący z Podkarpacia przedwojenny Komisarz Rządu w Gdyni Franciszek Sokół propagował w rodzinnych stronach Stanisława idee budowy tego nowoczesnego, jak na tamte czasy, miasta. Całe życie był miłośnikiem Gdyni, a jego bohaterami byli jej budowniczowie.

W 1945 roku ojciec przyjechał do Gdyni na dachu przepełnionego pociągu i pozostawiając swoją partyzancką przeszłość na Podkarpaciu rozpoczął pracę w Biurze Odbudowy Portu przy obecnej Stoczni „Nauta" w tzw. „rozbrajalni". Ze Stocznią „Nauta" był związany do końca swojej kariery zawodowej, pracował w niej również już na emeryturze. Ze względu na niechęć do ustroju nie zapisał się nigdy do partii, przez co nie mógł zostać brygadzistą ani spełnić swojego marzenia o wypływaniu w morze, ponieważ jego losy podczas wojny wydawały się władzy niejasne. Dopiero za czasów Edwarda Gierka, w połowie lat 70-tych, zdecydował się na przynależność do organizacji ZBoWiD.

Ożenił się w 1952 roku, miał dwoje dzieci. bardzo późno dowiedziałam się o partyzanckiej przeszłości ojca, byłam już wtedy dorosłą kobietą. Był osobą, która nie lubiła wiele opowiadać o przeszłości w AK oraz swoich dokonaniach, ponieważ uważał „walkę za sprawę" za rzecz oczywistą. Również później za czasów komuny nie opowiadał wiele o swojej styczności z opozycją, dopiero w podeszłym wieku opowiadał między innymi takie historie, jak jego szwagier przerzucał do Stoczni papier na bibuły zabrany z sąsiedniej Drukarni Wojskowej (co działo się za cichym pozwoleniem jej dyrektora Jerzego Gorazdowskiego). Znał prawdę o Katyniu.

W tych trudnych czasach rodzinie, dzięki jego zaradności, udawało się żyć na dobrym poziomie. Informacja o podwyżkach była kolejną z wielu złych wiadomości w tych czasach. Gdy nadeszła wiadomość o strajku, było dla niego naturalne, żeby do niego się przyłączyć — „po żołniersku, trzeba i już". Mimo że miał wtedy 58 lat i mógł zostać zwolniony do domu, postanowił zostać z kilkoma innymi starszymi pracownikami. Pamiętał wydarzenia Grudnia 70 i postanowił zostać, aby w pewnym sensie ochłodzić gorące temperamenty młodych robotników, którzy mogliby zachować się w nieprzemyślany sposób.

Rodzina, mimo że postawiona przed faktem dokonanym, nie żywiła wielkich obaw o ojca. Mama i my wspólnie chodziliśmy pod Stocznię przekazując mu paczki z jedzeniem. Duże wsparcie w czasie strajku dawały mu msze święte prowadzone przez księdza Jastaka. Komitet Strajkowy do kontaktu ze Stocznią Komuny Paryskiej używał zakładowej karetki, którą przewoził ludzi i bibułę. Ojciec w swoich historiach wyznawał żołnierską zasadę „im mniej, tym lepiej".

Dla niego najważniejszym postulatem był Pomnik Ofiar Grudnia oraz związki zawodowe, postulaty ekonomiczne były na drugim miejscu. Grudzień był wyjątkowo dramatycznym przeżyciem dla gdynian, upamiętnienie tego było dla niego wyjątkowo ważne.

Niejako „z urzędu" wstąpił do Solidarności. Natomiast gdy zaczęły się pewne tarcia w związkach, odszedł, obserwował sytuację, ale nie miał zaufania do kierownictwa. Niemniej bardzo cieszył się z powstania związków, ponieważ „za komuną nie był za grosz".

W stanie wojennym również strajkował; wtedy w rodzinie baliśmy się — przed Stocznią były czołgi, obawialiśmy się, co zrobi władza i Rosjanie.

Dla ojca ogromną wartością był upadek komuny oraz to, że może żyć w wolnej Polsce, a jego ukochana Gdynia może się rozwijać. Nie był radykalny w swych poglądach, zależało mu na spokoju i dobrych warunkach do życia dla zwykłych ludzi.



Julita Bodzińska — ur. 12 lutego 1944 r. w Warszawie. Pochodzi z rodziny inteligenckiej, wychowana w duchu patriotycznym, wyznanie rzymskokatolickie, wierząca, praktykująca. Jako niemowlę więzień obozu pracy w Lipsku. Po wojnie przyjechała wraz z rodzicami na Wybrzeże, mieszkała początkowo w Sopocie, później w Gdyni. Ukończyła filologię polską na Uniwersytecie Gdańskim. Pracowała w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Sopocie, później w bibliotece szkolnej SP nr 20 w Gdyni, Liceum Medycznego oraz IX LO w Gdyni. Wyszła za mąż w 1966 r., czwórka dzieci. Męża poznała w Sopockim Ośrodek Duszpasterstwa Akademickiego. Współorganizatorka strajku w bibliotekach publicznych w Gdyni. Członek prezydium Ogólnopolskiej Międzybibliotecznej Komisji Porozumiewawczej Solidarności — OMKP, a od września 1981 roku wiceprzewodnicząca OMKP „Solidarność". Obecnie na emeryturze.

Urodziłam się w Szpitalu Dzieciątka Jezus w Warszawie. Kiedy moja mama była w ciąży ze mną, rodzice mieszkali w Wilnie. W tym czasie mój ojciec działał w wileńskim AK. Któregoś dnia Niemcy zaczęli walić do drzwi mieszkania, gdzie rodzice mieszkali. Mama poszła otworzyć, a ojciec słuchał akurat cichutko radia. Gdy usłyszał łomot do drzwi, wyrwał z kontaktu wtyczkę i z aparatem radiowym pod pachą skoczył przez otwarte okno w łopiany (był to parter). W ten sposób uniknął aresztowania. Okazało się, że była to większa „wsypa". W ten sposób nie urodziłam się w Wilnie. Rodzice przez „zieloną granicę" przedostali się do Warszawy.

Po przyjeździe ojciec otrzymał dokumenty, że pracuje jako kominiarz w Warce. W Warszawie mieszkał jego starszy brat z rodziną. Przed powstaniem mieszkaliśmy razem przy ulicy Żurawiej. Wiedząc o zbliżającym się terminie wybuchu powstania, mój ojciec wpadł na genialny pomysł. Dosłownie kilka dni przed wybuchem powstania przyprowadził z Anina kozę. Przeżył chwile grozy, gdy z kozą na sznurku wędrował przez most Poniatowskiego. Ludzie widząc eleganckiego pana ciągnącego do centrum miasta kozę, zaczęli wiwatować, podrzucając nakrycia głowy, a on czuł na sobie wzrok wartujących Niemców. Nie wiedział, czy nie dostanie kulki w plecy, bo sytuacja była co najmniej dziwna. Byłam wówczas niemowlakiem i ta koza była szansą na moje przeżycie podczas powstania. Kobiety wtedy nie miały pokarmu. Ojciec się bał, że dostanie kulkę w plecy, że go patrole niemieckie dopadną. Nic się na szczęście nie stało. Koza została „zainstalowana" przy trzepaku na podwórku. Dzięki tej kozie dzieci po tej stronie ulicy Żurawiej przeżyły. Ojciec sprawiedliwie pipetką wydzielał dla nich mleko, rozcieńczało się je wodą i to był ratunek dla niemowląt przed śmiercią głodową. Każdy z obdarowanych coś w zamian przynosił kozie (nawet miotłę czy książkę), a AK-owcy wracając z akcji przyciągali nawet całe drzewka.

Powstanie spędzili rodzice ze mną w piwnicy przy ul. Żurawiej. Między domami były wybite dziury, przez które się chodziło. Po powstaniu trafiliśmy do Pruszkowa. Byłam wówczas chora. Rodzice nieśli mnie na zmianę — to przecież był długi marsz. Ostatnio moja córka Oleńka, mieszkająca w Warszawie, przejechała tę trasę i była zdumiona, że ludzie byli pędzeni taki kawał drogi. W Pruszkowie, w obozie przejściowym, rodzicom udało się zdobyć miejsce przy słupie, więc nie byliśmy deptani i po jakimiś czasie (tydzień do dwóch) wagonami towarowymi i odkrytymi cztery doby jechaliśmy do obozu pracy w Lipsku. Przechowuję list, skargę do Amerykanów, na złe traktowanie polskiego dziecka w tym obozie. Byłam tam jedyną Polką. Mam ten list.

Potem rodzice wrócili na Wybrzeże, bo przed wojną mój ojciec mieszkał w Gdyni przy ul. 10 Lutego. Był współpracownikiem „Małego Dziennika" ojca Kolbego i „Kuriera Ilustrowanego", pisma, które wychodziło w Bydgoszczy. Ojciec skończył równocześnie studia prawnicze i dziennikarskie. Napisał pracę doktorską z międzynarodowego prawa praso-

wego na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza, miał wyznaczoną obronę tej pracy na wrzesień 1939 roku. Wybuchła wojna, krzyżując plany nie tylko jemu.

W 1945 roku z obozu pracy w Lipsku mama zawiozła mnie do rodziny w Ostrowie Wielkopolskim. I tam pod troskliwą opieką cioci Marysi — siostry mojego dziadka, który w tym czasie przebywał w Kazachstanie wraz z żoną, moją babcią i córką (bliźniaczą siostrą mojej mamy) — powoli dochodziłam do zdrowia. Gdybym w obozie w Lipsku była odrobinę dłużej, nie przeżyłabym — tak zgodnie twierdzili rodzice. Ale widocznie Opatrzność czuwała nade mną.

Po wojnie rodzice zamieszkali w Sopocie, we wspólnym mieszkaniu ze znajomymi dziennikarzami, potem znaleźli mieszkanie w Gdyni, w bloku dawnego ZUS-u. Ojciec wydawał „Morski Przegląd Gospodarczy" — czasopismo, które chyba w roku 1950 zostało zlikwidowane. Prywatne czasopisma nie miały racji bytu w panującym wówczas ustroju.

W 1966 roku wyszłam za mąż. W roku 1980 miałam już trójkę dzieci, najmłodszy syn miał 5 lat. Moje dzieci wychowywane były w duchu patriotycznym, podzielały nasze zapatrywania. Od 1970 roku wyjeżdżaliśmy latem do Krościenka na Oazy prowadzone przez błogosławionego ks. Franciszka Blachnickiego. Bywał tam również św. Jan Paweł II, wówczas arcybiskup krakowski Karol Wojtyła.

Pochodzę z rodziny inteligenckiej. Wychowywana byłam w duchu patriotyzmu. Dzieje naszej rodziny były bardzo „urozmaicone". Moja babcia mieszkała na kresach nad rzeką Berezyną. Około roku 1920 musiała opuścić dom i wraz z mężem i szóstką dzieci na piechotę dotarła aż do Bydgoszczy, a jej pozostała rodzina została wywieziona do Omska — babcia do śmierci nie miała żadnego kontaktu z przebywającymi tam najbliższymi. Omsk był miastem zamkniętym. Zawsze z podziwem myślałam o swoich dziadkach.

Ukończyłam Filologię Polską na Uniwersytecie Gdańskim. Gdy rozpoczął się strajk w 1980 r., byłam kierownikiem Filii nr 7 Miejskiej Biblioteki Publicznej w Gdyni. W Gdyni Solidarność w Miejskiej Bibliotece Publicznej była mocna, wiele osób działało. Koleżanki z biblioteki sopockiej zwróciły się do mnie o pomoc w organizowaniu tam Solidarności. Ponieważ był wakat, zdecydowałam się na przejście tam do pracy. W 1982 roku zostałam przeniesiona na gorsze stanowisko pracy w innym miejscu. W 1983 urodziłam czwarte dziecko i przez 4 lata byłam na urlopie wychowawczym. Do Miejskiej Biblioteki Publicznej w Sopocie już nie wróciłam. Rozpoczęłam pracę w bibliotece szkolnej najpierw w SP nr 20 w Gdyni, później w Liceum Medycznym i IX LO w Gdyni im. Marszałka Józefa Piłsudskiego i stamtąd przeszłam na emeryturę.

Nie należałam nigdy do PZPR. Wiele wiadomości politycznych mieliśmy z Wolnej Europy. Wyznanie rzymsko-katolickie, praktykująca. Męża poznałam w tzw. „Sodzie" — Sopocki Ośrodek Duszpasterstwa Akademickiego — obydwoje wywodzimy się z tego środowiska. Moje poglądy na sytuację w tamtym czasie to wiara i liczenie na to, że się coś się musi zmienić. Jakoś wydawało mi się, że niemożliwe jest, żeby to zbyt długo trwało. Uważałam, że ZSRR to kolos na glinianych nogach i to z niewypalonej gliny, więc musi się przewrócić. W tamtym czasie moim autorytetem życiowym był przede wszystkim Ojciec Święty Jan Paweł II oraz błogosławiony o. Franciszek Blachnicki. Mieli duży wpływ na moje poglądy. We wszystkich moich poczynaniach wspierały mnie moje dzieci i oczywiście mąż. Bez jego wsparcia wielu rzeczy nie byłabym w stanie przeprowadzić.

Wybuch strajku niesamowicie nas ucieszył, to była wielka radość. Dzięki tym emocjom wraz z koleżanką Wandą J. byłyśmy w stanie ruszyć całą bibliotekę. To była taka radość, że coś się zaczęło, że trzeba wszystko zrobić, by pomóc temu dziełu. Czułam, tak jak wszyscy moi bliscy, którzy codziennie przywozili nowe informacje spod bramy Stoczni, że zaczyna się zmiana ku dobremu. Pracowałam w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Gdyni, gdy dowiedziałam się, że w Gdańsku rozpoczął się strajk. Wraz z koleżanką, Wandą J., zaczęłyśmy rozmawiać na ten temat. Rada w radę doszłyśmy do wniosku, że następnego dnia jest akurat zebranie całej załogi biblioteki (na co dzień bibliotekarze rozsypani są po całym mieście — od Orłowa po Oksywie), w sumie pracowało nas 120 osób. Wykorzystałyśmy to, że wszyscy się zbierają, i po zebraniu przedstawiłam całemu zespołowi sytuację. Okazało się, że sporo osób już o strajku w Stoczni wiedziało. Zaproponowałyśmy przystąpienie do strajku. Las rąk, więc nasza wygrana. Przystępujemy do strajku! Burza mózgów. Przygotowaliśmy postulaty, z którymi byłyśmy gotowe jechać do Stoczni następnego dnia.

Rano stawiłam się w bibliotece, ale dyrektor zatrzymała nas, pytając, czy mamy dowody na to, że ludzie się zgodzili na strajk? Zwróciła nam uwagę, że nie mamy żadnych

dowodów na poparcie. Doszłyśmy do wniosku, że rzeczywiście nie mamy nic w ręku. Sytuacja była niezręczna. Wtedy postanowiłam, że trzeba objechać biblioteki. Komunikacja „stała", telefony nie działały, padał deszcz, pogoda fatalna, a ja od chyba 15 lat nie siedziałam na rowerze. Przybiegłam do domu, szybko z pomocą męża przygotowałam składak i ruszyłam. Gdy przyjechałam do biblioteki i powiedziałam, że jadę na rowerze, to okazało się, że pewien pan, członek partii, też miał rower i był przygotowany na pilnowanie mnie, czy nie agituję przy zbieraniu podpisów. „Albo pani zbierze podpisy bez agitacji, albo nie". Kontrolować miał członek partii (PZPR). Tak mi powiedziano. Później ten człowiek (w stanie wojennym) był ważną osobą w Urzędzie Miasta.

Pojechałam na Wzgórze Maksymiliana, na płytę Redłowską, potem do Orłowa, przejechałam przez Mały Kack, potem znowu Orłowo, potem centrum miasta, wszystkie filie, potem Grabówek, Chylonia, Oksywie, objechałam niemal wszystkie dzielnice Gdyni. W momencie, kiedy objechałam część południową Gdyni i przejeżdżałam najprostszą drogą do centrum, przydarzył mi się wypadek. Chciałam uciec panu z partii, rozpędziłam się, i zjeżdżając z Kamiennej Góry w ul. Sędzickiego na mokrych, śliskich kocich łbach, razem z rowerem, w pozycji horyzontalnej przejechałam sporo metrów (nie wypuszczając roweru z rąk). Całe szczęście, że miałam na sobie jeansy, jedne jedyne. Miałam tak obitą i spuchniętą nogę, że do opatrunku spodnie trzeba było rozcinać. W trakcie leczenia trzeba było ściągać płyn zbierający się w obitym miejscu i groziła mi martwica skóry. Ślad jest dotąd, ale poza tym drobiazgiem wszystko się zagoiło. To była dopiero połowa trasy, pan partyjny kondycyjnie wysiadł — popularnie mówiąc „spuchł" — i od tego momentu, czyli od centrali, która mieściła się przy Skwerze Kościuszki, jeździł za mną inny pan, ale już sympatyczniejszy, chociaż zadanie miał paskudne. Wypiłam szybką herbatę i jechałam dalej. Czułam się kiepsko — noga mi dokuczała. Po objechaniu północnej części Gdyni — od Działek Leśnych po Chylonię — myślałam, że już nie dam rady wrócić do centrum Gdyni. Mąż mojej koleżanki, widząc w jakim jestem stanie, zaproponował, że przechowa u siebie rower, a ja korzystając z tego, pojechałam autostopem do Gdyni.

Wróciłam do naszej centrali dumna, bo zebrałam podpisy — 98% wszystkich pracowników — i razem z Wandą J. i zebranymi podpisami pod postulatami ruszyłyśmy do Gdańska. To już było około godz. 17. Ostatkiem sił dojechałam do Stoczni Gdańskiej. Od bramy do sali BHP zawieziono nas wózkiem. Miałam zostać w Stoczni jako przedstawiciel swojego zakładu pracy, ale gdy Alinka P. przyjrzała mi się i zobaczyła, w jakim jestem stanie (kontuzja i wysoka temperatura, nie licząc krańcowego zmęczenia), stwierdziła, że potrzebna jest pomoc lekarska. Następnego dnia zdałyśmy sprawę pracownikom z tego, co zrobiłyśmy, gdzie byłyśmy itd. Z temperaturą i bolącą nogą chodziłam do pracy. „Honorowo" nie brałam zwolnienia.

W ten sposób zgłosiliśmy swój akces do NSZZ „Solidarność". We wrześniu przyszło zaproszenie z biblioteki w Szczecinie od Przemka Fenrycha na spotkanie bibliotekarzy. Pojechałyśmy tam z Wandą. Po dyskusji na temat przyszłości polskiego bibliotekarstwa postanowiliśmy zorganizować się w sekcję bibliotekarzy zrzeszonych w NSZZ „Solidarność". Wybraliśmy się spośród ludzi na sali, weszłam do tymczasowego zarządu. Wkrótce odbyły się ogólnopolskie wybory i po wyborach weszłam do prezydium Ogólnopolskiej Międzybibliotecznej Komisji Porozumiewawczej Solidarności — OMKP, a od września 1981 roku zostałam wiceprzewodniczącą OMKP „Solidarność".

W listopadzie 1980 r. byłam wśród 19 osób z całej Polski strajkujących w Sali Kominkowej Urzędu Wojewódzkiego w Gdańsku. Przedstawiciele Kultury strajkowali w Gdańsku od 12 do 17 listopada 1980 r. Pełniłam funkcję łącznika między grupami strajkującymi. Strajkowała oświata, służba zdrowia i kultura. Równolegle toczyły się rozmowy w tych trzech grupach strajkowych. Aby wiedzieć, na jakim etapie rozmów się znajdują, co już wywalczono i o co jeszcze można walczyć, co 1,5 godz. chodziłam między tymi grupami, przekazując informacje. To nie było trudne, dopóki nie było ciemno. Korytarze były ciemne, mnóstwo schodów, zakamarków. Miejsca dość odległe od siebie. Podczas okupacji Urzędu Wojewódzkiego wypadała niedziela. Po dyskusji w większym gronie postanowiłam zorganizować mszę i przy okazji poświęcić to miejsce. Wymknęłam się do pobliskich oo. pallotynów i powiedziałam o naszej decyzji, prosząc o odprawienie niedzielnej mszy. Ksiądz, z którym rozmawiałam (o. Jerzy B.), natychmiast się zgodził. Ustaliliśmy, że msza będzie odprawiona w niedzielę o godzinie 16.00 i że ojcowie przyjdą wcześniej, by wyspowiadać chętnych. Okazało się, że było bardzo wiele osób chętnych do spowiedzi. Podczas

mszy szatnia była przepełniona. Obawy organizatorów strajków okupacyjnych, że nastąpi „usztywnienie stanowisk" nie sprawdziły się. Natomiast wpłynęło to bardzo pozytywnie na nasze samopoczucie. Poczuliśmy się jednością. Czuliśmy wielką odpowiedzialność przed społeczeństwem, które mieliśmy reprezentować przed Komisją Rządową. Moją rolą było utrzymanie łączności informacyjnej pomiędzy strajkującymi grupami, bo podczas rozmów istotne było, na jakim etapie rozmów są poszczególne grupy negocjacyjne. Bardzo wiele osób przychodziło w geście poparcia pod budynek, gdzie były negocjacje.

Ostatnie rozmowy prowadziliśmy już w Ministerstwie Kultury 11 grudnia 1981 r. To była sytuacja dosyć dziwna. Negocjowaliśmy sprawy z ministerstwem — to były sprawy dotyczące m.in. emerytów — a równolegle negocjacje prowadzili przedstawiciele nauki i sztuki. Jerzy Milewski i Szymon Pawlicki podpisali się też za nas, bibliotekarzy, co uniemożliwiło nam dalsze negocjacje z przedstawicielami ministerstwa. Z Warszawy pojechaliśmy do biblioteki w Poznaniu. Do domu wróciłam w nocy z 12 na 13 grudnia w nocy, a już rano był stan wojenny.

Tak jak byliśmy wcześniej umówieni, cały zarząd się spotkał i chyba wtedy wydaliśmy pierwszy numer „OKNA". Nazwa „OKNO" to: OŚWIATA-KULTURA-NAUKA-OPÓR — wyszło 15 numerów. Spotykaliśmy się w różnych miejscach, co miesiąc w innym mieście. Każdy przynosił materiały, to się drukowało. Każdy dostawał po jednym czy po kilka egzemplarzy. Po przyjeździe drukowało się to na swoim terenie i kolportowało. W ten sposób nigdy nie wpadliśmy. Na każdym spotkaniu ustalaliśmy, gdzie następne spotkanie. W tym czasie staraliśmy się nie utrzymywać zbędnych kontaktów. „OKNO" wychodziło przez 15 miesięcy, omawiało sprawy bieżące przede wszystkim bibliotek — czasami śmieszne, czasami poważne. Co kto przywiózł, to łączyliśmy w jeden egzemplarz. Zawierało to, co bibliotekarze czuli, myśleli, nasze obawy i nadzieje. Na Wybrzeżu dawałam może 100 osobom, bo tyle miałam egzemplarzy. To było na zasadach „podaj dalej" — odbij, przepisz i podaj dalej. Włączyło się w to wiele bibliotek na terenie całego Trójmiasta, każdy z nas wyjeżdżał ze spotkania redakcyjnego z jednym egzemplarzem. Lublin był wyjątkiem — nie miał przedstawicielstwa. Kolega z Warszawy robił odbitki dla Lublina i zawoził je tam. Któregoś dnia jechał z Warszawy do Lublina syrenką, schował „bibułę" pod narzutką, ochraniaczem na fotel kierowcy. Miał przygotowanych może 200 egzemplarzy, może 100, w każdym razie było to sporo, gdy zatrzymała go milicja. On doszedł do wniosku, że bezpieczniej będzie zostawić samochód przy pracującym motorze, z kluczykiem w stacyjce. Stanął, zaciągnął hamulec i wyszedł rozmawiać. Podczas gdy milicjanci sprawdzali dokumenty, zauważył kątem oka, że w rytm drgań samochodu, wysuwają się powoli kartki. Zapytał, czy może wyłączyć motor. Wsiadł, do auta i wyłączył motor, równocześnie poprawił i wsunął plik głębiej pod materiał na fotelu.

Od młodzieży dostawałam dla bibliotek różne książki z drugiego obiegu, też z harcerstwa, bo miałam z nimi dobry kontakt. Książek nie kopiowaliśmy, ale rozprowadzaliśmy pomiędzy zaufanych czytelników. Bibliotekarki z filii decydowały, komu można te książki czy broszury wypożyczać.

13 grudnia na znak sprzeciwu wobec wprowadzenia stanu wojennego, na samym szczycie „Zieleniaka" wywieszono flagę z bardzo długim kirem i pracownicy strajkując bronili dostępu do tej flagi na wieżowcu. Było to bardzo budujące. Po iluś dniach obrony ZOMO zdobyło wszystkie piętra, zdjęto flagę z kirem, ale obrońcom udało się uciec jakimś bocznym przejściem. Jednak ludzie ci byli poszukiwani, więc nie mogli wrócić do swoich domów. W wyniku tego nasz kolega, jeden ze strajkujących pomieszkiwał u nas przez ok. 2 lata. By nie wzbudzać podejrzeń, zmieniał miejsca noclegów, bo był mocno zaangażowany w podziemną działalność.

Po trudnej „nocy" czasu komunizmu przyszedł rok 1989, powstał Gdyński Komitet Obywatelski „Solidarność"; powstał on na fali ogólnonarodowych i niepodległościowych dążeń narodu jako spontaniczny i spontaniczny ruch obywatelski. Podejmując ogromny trud wspierania kampanii wyborczych, staliśmy się współorganizatorami i współuczestnikami sukcesu w wyborach do sejmu, senatu i rady miasta Gdyni. W Komitecie Obywatelskim i między innymi wraz z Wiesiem S. organizowałam mężów zaufania na terenie Gdyni. Wtedy nie spodziewałam się, że Bolek to jest „Bolek"; nawet byłam w jego sztabie wyborczym.



Zofia Borowska — ur. 25 lutego 1925 r. w Warszawie. Wychowywała się w Wielkopolsce, pod Poznaniem, gdzie ukończyła szkołę sióstr urszulanek. W wieku 18 lat wyszła za mąż, dwoje dzieci. Rozwiedziona. Od 1958 roku mieszka w Gdyni. Zatrudniona w Przedsiębiorstwie Połowów i Usług Rybackich „Arka", w dziale zaopatrzenia. W „Dalmorze" objęła stanowisko pełnomocnika ds. surowców i zajmowała się złomowaniem statków. Przepracowała tam 25 lat. Świadek wydarzeń grudniowych w 1970 r. w Gdyni. Po strajkach 1980 roku była sekretarzem redakcji biuletynu informacyjnego NSZZ PPDiUR „Dalmor". Obecnie na emeryturze. Pisze książki i wiersze.

Wychowałam się w Wielkopolsce, pod Poznaniem. Tam też ukończyłam szkołę sióstr urszulanek. Pochodzę z tradycyjnej katolickiej rodziny. Ojciec — Wacław Borowski — zarządzał około 500-hektarowym majątkiem, który odziedziczyła jego żona Felicja. Do 1939 r. wiedliśmy spokojne, beztroskie życie do czasu, gdy w 1939 roku Niemcy wyrzucili nas z ziemi i pozbawili rodzinnego majątku. W wieku 18 lat wyszłam za mąż za Jerzego Firleja. W 1944 r. urodziłam pierwsze dziecko — Katarzynę, zaś w 1951 r. syna Piotra. Z mężem rozwiedliśmy się. Po wojnie mój ojciec wykładał w Sopocie w Wyższej Szkole Handlu Morskiego. To za jego sprawą razem z dziećmi zamieszkałam w Gdyni. Był to rok 1958.

Zaczęłam pracę w Przedsiębiorstwie Połowów i Usług Rybackich „Arka", w dziale zaopatrzenia. Później Arka została wchłonięta przez „Dalmor", gdzie objęłam stanowisko pełnomocnika ds. surowców i w praktyce zajmowałam się złomowaniem statków. W „Dalmorze" przepracowałam 25 lat.

Z cieniem uśmiechu wspominam czas, gdy wspólnie z innymi pracownikami wyszliśmy na ulicę Świętojańską. Zrobiliśmy to za przykładem pracowników Stoczni Remontowej, którzy to z lekkim przekąsem wykrzykiwali pod bramą naszego zakładu: „Dalmor — tchórze", mobilizując tym samym ludzi do wyjścia na ulicę. Połączyliśmy siły, gdyż mieliśmy wspólne cele i jednoczyły nas tak samo skrajne emocje: strach, frustracja, niezadowolenie. Wzbudzające oburzenie podwyżki cen, przepełniające strachem i niepewnością obecne na polskich ulicach radzieckie wojska, niskie i niesprawiedliwe płace, brak wolności słowa — to tylko kilka powodów, które zmusiły ludzi do wyjścia na ulicę i głośnego wyrażenia swoich poglądów oraz zmęczenie wynikającego z panujących warunków. Główne motywy niezadowolenia wynikały jednak bardziej z ideologii władzy, niż niedogodności ekonomicznych i bytowych.

Byłam sekretarzem redakcji biuletynu informacyjnego NSZZ PPDiUR „Dalmor". W latach 80-tych w piwnicy mojego mieszkania ulokowana była składnica nielegalnej prasy, w mieszkaniu zaś odbywały się zebrania osób zaangażowanych w ową działalność. Często także spotykaliśmy się w Hali Sportowej w Oliwie, gdzie popularność zdobyły wydrukowane wówczas pisma, między innymi „O zjeździe na wesoło" czy „Pełzający manipulo", które w sposób żartobliwy odzwierciedlały realia ówczesnych czasów. Pamiętam, jak Kaszubi dowozili nam tam różne smakołyki, co umilało czas spotkań.

Niestety więcej momentów budzi mój smutek i refleksje. Należy do nich Czarny Czwartek, kiedy to podczas pochodu w kierunku stacji SKM Gdynia Stocznia na drzwiach niesiono ciało zabitego młodego chłopaka — Zbyszka Godlewskiego (Janek Wiśniewski to postać fikcyjna z ballady „Chłopcy z Chyloni, chłopcy z Grabówka"). Ubolewam nad tym, że jego nazwiskiem nie nazwano żadnej z gdyńskich ulic, gdyż dla nich wtedy był symbolem, a obecnie powinien zagościć w świadomości mieszkańców i turystów jako istotna i zasłużona w historii postać — ofiara, która przypominała, dlaczego strajk miał sens, co miał poprawić.

Także inne obrazy, które przywołuje pamięć, mrożą krew w żyłach: zrzucanie ludzi do piwnic, łamanie kończyn, pałowanie, paraliżowanie gazem łzawiącym czy też trage-

dia, do jakiej doszło pod gmachem Urzędu Miejskiego, gdzie to wojsko zabiło młodego niewinnego chłopaka, prawdopodobnie studenta, kompletnie niezwiązanego ze strajkiem. Te drastyczne wspomnienia, mimo upływu lat, ciągle są obecne w moim życiu.

Zawsze z drżeniem głosu wspominam ten dzień, gdy do drzwi mieszkania przy ul. Świętojańskiej zapukali mężczyźni, którzy jedynie zapytali mnie o imię i nazwisko, a następnie, bez słowa wyjaśnienia, dotkliwie mnie pobili. Chcieli, żebym się „uspokoiła", zaprzestała nielegalnej działalności, nie wprowadzała zamętu. Krzyczałam.... Na szczęście był u mnie wtedy lekarz z rodziny, który próbował mi pomóc, on także poniósł drobne obrażenia, ale jego obecność spłoszyła napastników. Po zgłoszeniu sprawy na milicję zasugerowano mi, abym lepiej się nie wychylała, nie rzucała oskarżeń, gdyż czasy są ciężkie, niespokojne... lepiej nie mówić głośno i zbyt wiele.

Uważam, że Solidarność odniosła spory sukces. Dla mnie osobiście najważniejsze były zmiany ustrojowe oraz pierwsze wybory i możliwość głosowania. W 1989 r. podczas wyborów byłam mężem zaufania w obwodowej komisji wyborczej. Sprawdzałam i liczyłam głosy i dziwiło mnie to, że więcej głosów otrzymał Tymiński niż Mazowiecki — nie dowierzałam.

W wieku blisko 70 lat wydałam książkę — a później kolejne — „Ostatnie pokolenie", opisującą życie ziemian w Wielkopolsce przed okresem wojny, czy „Skaza" przedstawiająca czasy II wojny światowej i historię wysoko postawionego społecznie Niemca, dla którego tytułową skazą były żydowskie korzenie.

Uważam, że powinnam się oddać pisarstwu, a nie złomowaniu statków. A to wiersz, który dosyć trafnie ocenia stan dzisiejszy naszego kraju:

Umywasz ręce? — Tak najłatwiej
Odpowiedzialność z siebie strząsnąć,
Jak niedojrzały owoc — drzewa,
Bo choć cię wiek może wysrebrzył,
Jesteś jak owoc niedojrzały,
Co bez pożytku czerpał soki
Z rodzinnej ziemi.

Umywasz ręce? — Puste gesty,
Które cię wcale nie rozgrzeszą,
Sądzić cię będą twoje syny
I syna synów pokolenia,
Bo jak zostawiasz swoje dziedzictwo?
Na polach tylko perz i osty,
A w miastach tępa rozpacz ludzi
Trwoniących życie swe w kolejkach,
Ciebie ta proza nie dotyczy,
Dla ciebie przecież zawsze starczy!

Więc jak zostawiasz swe dziedzictwo?
Stawiałeś pysze swej pałace
Cepeliowsko — barokowe,
A na szpitalnych korytarzach,
Na dostawianych w kątach pryczach
Obdarci z majestatu śmierci
Ludzie pokornie umierają...

Lecz tobie nie wstyd, boś ty czysty,
Nawet rąk umyć nie masz po co,
Za twe zasługi dla ojczyzny
Tak hojnie cię wynagrodzono.


SZY ROZWÓJ SOCJALISTYCZNEJ POLSKI O POMYŚLNOŚĆ

Tadeusz Buraczewski — pochodzi z Tykocina. Wierzący, katolik. Inżynier, uczestnik strajku sierpniowego w 1980 r. na budowie elektrowni szczytowo-pompowej w Żarnowcu. Autor dokumentacji strajkowej.

Jestem katolikiem, wyznanie rzymsko-katolickie. Nigdy w życiu nie należałem do żadnej organizacji komunistycznej.

Do stoczni w Gdyni przyjechałem z Tykocina. Ojciec był notorycznym słuchaczem „Wolnej Europy", był żołnierzem KOP-u pierwszej formacji Korpusu Ochrony Pogranicza. Teraz zbieram całą dokumentację z jego przeszłości.

22 sierpnia 1980 roku brałem ślub i ledwo dotarłem z budowy elektrowni wodnej w Żarnowcu, ledwo udało mi się dojechać na własny ślub.

Mieszkałem wtedy w hotelu robotniczym. Miałem wykształcenie wyższe techniczne — inżynier.

Oczywiście, przed Sierpniem miałem kontakt z prasą podziemną. Jak Danka roznosiła te „Robotniki" czy coś, to myśmy z Mańkiem Terleckim tę bibułę rozpowszechniali. Ale nie byłem jakimś działaczem.

Wtedy, w latach 80-tych, był jeden podstawowy autorytet — papież.

Pracowałem jako kierownik robót. To były śmieszne pieniądze, ale była satysfakcja z pracy. Ja wtedy zarabiałem, o ile się nie mylę, 3100 na tamte czasy, kiedy dolar kosztował 150 zł, czyli 20 dolarów.

Kiedy zaczęły się strajki, właśnie meldowałem Mańka Terleckiego do hotelu robotniczego na delegację, którą sam podstemplowałem. On wtedy już organizował jakieś tam medialne kombinacje, mieszkał w hotelu w Nadolu i już tworzył pisma, pisał, działał, po prostu mieszkał w hotelu na lewej delegacji.

Mniej więcej pamiętam listę postulatów. Na każdej budowie powstawały inne postulaty, u mnie też powstała taka lista — doszło do zebrania, gdzie powołano właśnie pierwszy komitet Solidarności, którego szefem został mój monter Wdowiak, no i zostałem poproszony o sporządzenie protokołu z zebrania, ponieważ wszyscy wiedzieli, że umiem pisać, że potrafię sformułować, o co im chodzi. No i poproszony przez całe to zebranie dokumentowałem strajk w elektrowni wodnej w Żarnowcu.

W moim pojęciu największym osiągnięciem Solidarności było to, że ludzie zaczęli być odważni, zaczęli mówić, zaczęli wierzyć, że można coś zmienić. Zmienił się cały klimat w kraju. W końcu była organizacja, która błyskawicznie powstała i siła jej wtedy bodajże wynosiła 10 milionów; nastąpiło zrzucenie tego jarzma, które przez tyle lat wisiało na ludziach bojących się cokolwiek mówić, robić. Wtedy nastąpił ten karnawał Solidarności. Radość z odzyskanego śmietnika, jakby powiedział jakiś pisarz.

Stan wojenny to była katastrofa, która cofnęła po prostu nas o kilkanaście lat w rozwoju, to była katastrofa na każdym polu. A na tle gospodarczym szczególnie. Do dziś odczuwamy skutki.

Takie rzeczy jak „okrągły stół" mnie nigdy nie chwytały. Już wtedy widziałem, że jest to jakiś szwindel, świństwo, kiedy zostali odseparowani ludzie, którzy wiele znaczyli w trakcie Sierpnia — tacy jak Gwiazda, Walentynowicz, Rozpłochowski, masa innych... Widać, że elity się dogadały, przyjechała silna grupa: Kuroń, Mazowiecki, Geremek, którzy po prostu mieli już jasny plan — oczywiście włącznie z pantokratorem, -Michnikiem, jak wywrócić to wszystko, jak przejąć władzę i podzielić się nią z resztkami komuny, wtedy jeszcze silną komuną.

Oczywiście brałem udział w wyborach czerwcowych. Myśmy zdobyli większość, prawie 99/97 miejsc — cały senat prawie.

Mam dwoje dzieci, udanych, pracujących, zadowolonych z życia, wnuczkę, a przede wszystkim uprawiam coś, co mnie najbardziej satysfakcjonuje, czyli satyrę. To jest to, co mnie trzyma na powierzchni tej zabełtanej ciągle rzeczywistości.

Nigdy nie byłem zadowolony z siebie, ciągle trzeba coś nowego robić.

Mając obecne doświadczenie przystąpiłbym znowu do strajków, ale trzeba by było zradykalizować, powołać trybunał ludowy i po prostu od razu sądzić tych, którzy na to zasługują. Obóz pracy... Różne są metody odseparowania tej szumowiny polityczno-towarzyskiej, która ciągle przejmuje władzę. Trzeba radykalnie te sprawy rozwiązywać. Nie można tutaj wykazywać nadmiaru miłości i chrześcijańskiego wybaczenia, bo ci ludzie są niereformowalni. Są to szuje, kanalie, które zawsze przejmą władze, zawsze będą dążyć do upierdzielenia szarego człowieka za cenę posiadania stanowisk, synekur... To jest 10 tys. wrednych skurwysynów.

Jako inżynier sam widzę — trzeba ten kraj podnieść gospodarczo. Trzeba rozwinąć kilka gałęzi przemysłu. A sam jako stoczniowiec mam świadomość, że taka stocznia, gdzie pracowałem, imieniem Lenina, która miała 18 tys. wspaniałych pracowników, współpracowała z 1500 zakładów w Polsce. To był mechanizm, co nakręcał wszystko, to był Cegielski, to były zakłady mebli okrętowych w Kościerzynie, to były przeróżne drobne, większe, mniejsze zakłady. W tej chwili nie jesteśmy w stanie rozwijać elektroniki, techniki. Ale w kilka dziedzin trzeba byłoby zainwestować. I pokazać, że taki przemysł stoczniowy ma rację bytu. Polscy stoczniowcy stanowią dużą siłę za granicą. Kilka innych dziedzin by można było rozwinąć. W końcu jesteśmy krajem jeszcze w miarę rolniczym; cały przemysł ciągnikowy, który przecież fantastycznie funkcjonował, energetykę przejąć z powrotem. W 18 roku znacjonalizowaliśmy zakłady, które później dokładnie te same firmy przejęły pod rządem 25-lecia nieudaczników i skurwysynów. Trzeba je przejąć, energetykę trzeba przejąć, banki trzeba przejąć z powrotem. Są to dziedziny, bez których państwo nie istnieje. Nie będę tu cytował samego Cegielskiego, Piłsudskiego, czy naszych największych mędrców. Te dziedziny państwo musi posiadać, by funkcjonować. My jesteśmy narodem, który, odejmując te trzy miliony ostatniej emigracji, ma 37 milionów ludzi — i to jest potęga, chociaż załamująca się.

Teraz to nie jest demokracja; jak powiedział cudowny Lechoń, demokracja to są bogaci Żydzi. Moja walka polega na uświadamianiu ludziom wiecznej polskiej głupoty przy pomocy tekstów satyrycznych, przy pomocy wszelkiej galanterii satyrycznej, felietonów, udziału w rożnych inicjatywach literackich, które mają na celu podniesienie ducha, budzenie dumy narodowej. Na przykład konkurs literacki w 350 rocznicę śmierci hetmana Stefana Czarnieckiego, 10 edycji konkursu satyrycznego „Ogródek bursztynu", czy 8 edycji konkursu satyrycznego o statuetkę Stolema, i 5 edycji o „Srebrną łuskę pstrąga" — to jest próba nadania jakiegoś kształtu, jakiegoś wyobrażenia twórczości młodych literatów, którzy błądzą w tej chwili, idąc w jakieś manowce post moderny, jakieś dekonstrukcjonizmy, jakieś dziedziny literatury zupełnie nie docierające do społeczeństwa.

A niestety bez kultury, bez podniesienia świadomości społeczeństwa nie można niczego zmienić. Ludzie są totalnie ogłupieni przez te trzy tuby propagandowe, i dotrzeć do nich jest naprawdę wyjątkowo ciężko. Ale jest nadzieja...



Małgorzata Chmielecka-Gumoś — ur. 11 lutego 1962 r. w Gdańsku. Wyznanie rzymskokatolickie, wierząca i praktykująca. Pochodzenie inteligenckie. Dziadkowie byli właścicielami domu w Orłowie. Ukończyła III LO w Gdyni w klasie z wykładowym językiem angielskim. Studiowała filologię polską na Uniwersytecie Gdańskim. Należała do Ruchu Młodej Polski. Współtworzyła pismo RMP „Węzeł". Pracowała w banku PKO jako kontystka. Podczas strajków sierpniowych pracowała jako tłumacz języka angielskiego obsługujący zagranicznych obserwatorów. W 1982 roku została aresztowana. Po wyjściu z więzienia wróciła na studia. W ramach wymiany studentów zaczęła studia na uniwersytecie w Bremie, gdzie mieszkała do 1990 r. Tam zrobiła uprawnienia językowe w Instytucie Goethego. Studiowała język angielski i slawistykę — rosyjski, serbski i chorwacki. Wyszła za mąż, urodziła syna. W latach 1983–89 pracowała w urzędzie miasta w Bremie. W 1990 roku wróciła z synem do Polski. Zatrudniona przy projektach Europejskie Fundusze Obywatelskie. Obecnie pracuje dla gminy Gdynia i Skarszewy jako outsourcing projektowy.

Obydwoje rodzice pochodzą z Kresów Wschodnich. Losy typowych tzw. repatriantów: wygnani z Wilna, silna tradycja kresowa i patriotyczna. Oni wszyscy działali w partyzantce na Kresach Wschodnich, dziadek też był w partyzantce. Dziadkowie chcieli koniecznie do Gdyni, że to takie polskie miasto, że się im nic nie stanie. Sopot i Gdańsk — nie było pewności, czy to bezpieczne miejsca, czy zostaną przy Polsce, bo Gdańsk był zainfekowany Rosjanami. Ojciec miał korzenie chorwackie i rumuńskie, mieszkał w Łodzi, później w Ozorkowie koło Łodzi. Obydwoje rodzice byli przeciwni systemowi.

Pochodzenie rodziców ze strony ojca było inteligenckie, a ze strony mamy można powiedzieć, że to była schłopiała szlachta, wschodnie zaścianki, Babcia nazywała się z domu Roszko. Dziadkowie ze strony mamy nie walczyli w wojnie, natomiast dziadek Wacław Chmielecki walczył i dostał jakieś odznaczenia. Nie interesowałam się tym później. W domu o wojnie i o Katyniu dużo się mówiło. Patrząc na to z perspektywy czasu, ja i mój brat o dwa lata młodszy, za bardzo byliśmy wtajemniczani tak dokładnie w historię. Po dziadku mam sporo materiałów z czasów Piłsudskiego, są różne książki i pamiątki.

Rodzina mojej mamy zakwaterowała się na początku w warmińsko-mazurskim. Mama w Gdańsku studiowała na Akademii Medycznej i tam się urodziłam. Mieszkałam w Orłowie z mamą, babcią i bratem, bo dziadek i ojciec już nie żyli. Ciężko było finansowo; żeby zarobić, zawsze był wynajmowany jakiś pokój. Pomieszkiwała też u nas moja kuzynka. Mieliśmy mieszkanie własnościowe, bo moi dziadkowie ten dom wykupili; to była wcześniej część Szkoły Plastycznej.

Niczego nie kontestowałam, byłam wychowana w duchu patriotycznym. Było Radio Wolna Europa, słuchałam go już jako dziecko. Nastawienie ojca było takie, że to wszystko, co się dzieje, że to nie jest tak, jak powinno być. Jestem wierząca i praktykująca — wyznanie rzymskokatolickie. Kiedy miałam 13 lat, już z parafii jeździliśmy na Oazy Niepokalanej do Krościenka, miałam kontakt z księdzem Józefem Blachnickim. Jeździłam jeszcze w 7 i 8 klasie. W szkole średniej już trochę był mniejszy kontakt, należałam też do oazy i scholi.

W 1980 r. byłam jeszcze wolna, na utrzymaniu rodziców, poszłam rok wcześniej do szkoły. Chodziłam do III LO w Gdyni im. Marynarki Wojennej PRL, do klasy z językiem wykładowym angielskim. Przydało mi się to potem, jak był zjazd Solidarności czy Ruchu Młodej Polski. Coś zawsze tłumaczyłam jako wolontariusz, chciałam się wtedy bardzo wykazywać. Po liceum chciałam iść na teatrologię; plany pokrzyżowała śmierć ojca, który zmarł, gdy byłam w pierwszej klasie LO. Brałam udział w różnych olimpiadach, miałam

prawie indeks na teatrologię w Warszawie, ale ze względów materialnych nie mogłam sobie na to pozwolić. Poszłam na polonistykę, ale nie byłam usatysfakcjonowana, były tam różne przedmioty pedagogiczne, a ja nie miałam takich ciągot. Mimo wszystko miałam dobre wyniki na studiach, miałam dobrych profesorów. Nie skończyłam studiów w terminie, z powodu stanu wojennego i zostałam aresztowana w styczniu 1982 r.

Oczywiście w 1980 do żadnych organizacji typu PZPR, ZMS, związki zawodowe CRZZ nie należałam, tak samo do innych organizacji.

Kontakt z opozycją zaczął się już w szkole średniej przed 1980 r. Jakoś koło 1979 r. zaczęłam się interesować tym wszystkim, między innymi przez ruchy oazowe (należałam do Oazy Niepokalanej). Kolega mnie zaprowadzał na spotkania Ruchu Młodej Polski. Do Gdańska jeździliśmy do Klubu X Muzy. Kultowe postacie w tym czasie to Rybicki, Kobzdej, Hall. Znałam te osoby z tego środowiska i tak się to zaczęło. Atmosfera też w domu była taka, że już coś wisi w powietrzu. W Gdańsku zaczynało się już coś dziać, wolne związki zawodowe itd. Babcia mówiła, że musi się coś zmienić, wsłuchiwało się w politykę z różnych kierunków.

Najpierw byłam zafascynowana teologicznymi sprawami, rozwijałam się czytając. Później pochłonęła mnie polityka i historia, która nie była ujawniana w szkole. Słuchałam Radia Wolna Europa i BBC, czytałam wszystkie wydawnictwa podziemne. Miałam całą masę książek za sprawą Ruchu Młodej Polski, do którego należałam. Pisałam też w szkole średniej różne artykuły do pism RMP. Na pierwszym roku studiów założyłam z kolegą pismo Ruchu Młodej Polski „Węzeł". Wychodziło to pismo przed stanem wojennym. Podpisywałam się imieniem i nazwiskiem, bez pseudonimów.

Nie podobało mi się to, że pismo Ruchu Młodej Polski jest tylko dla inteligencji. Chciałam więcej o robotników walczyć. Pisywałam różne artykuły. Pisałam między innymi o „Konieczności zamachu majowego". Wzbudzało to różne spory akademickie. Pisałam też o Czesławie Miłoszu w związku z Nagrodą Nobla. Wtedy z wydawnictwa się naczytałam Miłosza. Miałam dostęp do Paryskiej „Kultury". To wszystko dzięki Ruchowi Młodej Polski. Mieliśmy regularne spotkania z Hallem i innymi ważnymi osobistościami. Spotykaliśmy się i rozmawialiśmy, co się dzieje w kulturze czy w polityce. Miałam styczność z takimi postaciami jak Lech Bądkowski. Byłam także członkiem Klubu Konstytucji 3 Maja i o mało co nie zostałam wybrana do Zarządu. Tusk też w tym klubie był. Chodziłam na spotkania. To jest obecny Klub Mestwina — przyczółek Kaszubszczyzny. Jeździłam na rekolekcje do Magdalenki organizowane dla Ruchu Młodej Polski. Prowadził je o. Ludwik Wiśniewski, dominikanin. Był takim przewodnikiem młodych.

Pochodziłam z rodziny bardzo wierzącej, szczególnie ze strony mamy wiara bezwarunkowa. Ze strony ojca były już jakieś wątpliwości. Może ta mieszanka ich pchała do tego. U ojca były dysputy wysokie teologiczne. Dążyłam do samorozwoju, dużo czytywałam. Interesowałam się teologią. Interesowały mnie sprawy posoborowe — dostępność mszy w języku polskim, homilii, rozwój kościołów lokalnych, to mi się podobało po II Soborze Watykańskim.

Uczestniczyłam w pielgrzymce Jana Pawła II, gdy był na Wybrzeżu. Wtedy byłam osobą bardzo wierzącą — ta wiara mogła góry przenosić, tak się wtedy czułam. Wierzyłam, że będą zmiany — taka zarozumiałość. Dużo czytałam, znałam angielski i czułam, że już jesteśmy gotowi na tę Europę. A jak już Solidarność powstała — że już na pewno wszystko się zmieni, jest Wałęsa, jest Jan Paweł II, muszą być zmiany. Rosja ma swoje kłopoty, więc też nam nic zrobić nie mogą. Przyjeżdżali do nas Francuzi w czasie zjazdu Ruchu Młodych czy podczas zjazdu Solidarności tylu zagranicznych dziennikarzy. Sądziłam, że bez żadnej rewolucji ukonstytuują się zmiany. Nie myślało się, że Rosjanie mogą nam jakąś krzywdę zrobić, a już na pewno nie generał Polak. Za sprawą Ruchu Młodej Polski miałam dostęp do prasy i ludzi — w Klubie X Muzy, u Aleksandra Halla, w domu czy w kościele. Regularnie się spotykaliśmy.

Moim wielkim autorytetem był oczywiście papież, jak został tylko wybrany. Potem Blachnicki był takim Bożym człowiekiem. Zaś z postaci politycznych Wałęsa też oczywiście wtedy. Słyszałam również o Gwieździe, Walentynowicz. Wałęsa był wtedy przywódcą. Nic nie wiedziałam wtedy, w młodzieńczej naiwności, o jakichś sporach. Wiedziałam o silnym przywództwie Walentynowicz. Wiedziałam, że to jest silna kobieta. Były różne okolicznościowe spotkania przed pomnikiem Sobieskiego. O Moczulskich słyszałam. Aleksander Hall był dla mnie sporym autorytetem. Pociągało mnie to, że to taki typ przywódcy

intelektualnego. Bardzo przyjaźniłam się z Kobzdejem aż do jego śmierci. Był też Jacek Bartyzel. On miał takie monarchistyczne spotkania. Podczas zjazdu Ruchu Młodej Polski spał u mnie Marek Jurek, Lech Jeziorny też u mnie nocował.

Krótko pracowałam w banku, w sopockim PKO — dostałam tę pracę po znajomości. „Kontystka" — tak się nazywało moje stanowisko, które polegało na chodzeniu po regałach, sprawdzaniu i spisywaniu kont. To była praca umysłowa, ale jak fizyczna (podobnie jak w bibliotece).

Zbierałam pieniądze na studia w Warszawie, bo chciałam bardzo studiować teatrologię, byłam gotowa nawet pracować fizycznie. Pracowałam pół roku, przez co byłam na pierwszym roku studiów, choć powinnam była być na drugim. Wspierałam mamę, dokładałam się do domowego budżetu. Mama była na rencie, bo chorowała, a brat się uczył. Udzielałam korepetycji z angielskiego (poziom angielskiego w liceum był wysoki, bo to był język wykładowy), a także z polskiego, ale nigdy nie potrafiłam wziąć za to pieniędzy.

W liceum napisałam sztukę, za którą dostałam nagrodę z ówczesnego ministerstwa, pisałam też teksty publikowane w „Węźle". Wydawało mi się, że będę pisarzem, nawet nie dziennikarzem. W dalszym ciągu utrzymuję kontakty ze znajomymi z pracy.

W strajk sierpniowy Bank się nie włączył, dużo tam było osób o poglądach prorządowych, dużo pań było w partii. Uniwersytet włączył się w strajk, dla mnie to były głównie działania z Ruchem Młodej Polski. Chodziliśmy pod stocznię w czasie strajku w Gdyni, różne rzeczy tam zanosiliśmy. Organizowało się zrzutki i przynosiło się do stoczni produkty żywnościowe, zawsze ktoś coś miał i się przynosiło. Odbywały się spotkania z liderami z Ruchu Młodej Polski wyjaśniali, jak oni widzieli to politycznie — strajk itd. W Ruchu Młodej Polski była luźna struktura, byli naturalni liderzy. Mój kolega na przykład odszedł do KPN-u, bo denerwował go brak struktur. U nas w domu mieszkał jakiś stoczniowiec, który pracował w stoczni Gdynia — miał kolegów, którzy go odwiedzali i przynosili wieści o strajku, które rozchodziły się pocztą pantoflową.

Pamiętam też Andrzeja Kołodzieja z tamtego czasu; w Gdyni był tak ważny jak Wałęsa w Gdańsku (był znacznie młodszy). Entuzjastycznie reagowaliśmy no to, co się działo, liczyliśmy na to, że nie będzie zmian rewolucyjnych, że to będzie ewolucja i obejdzie się bez drastycznych kroków. Ja nie brałam udziału w strajku czynnie, tylko go wspierałam, byliśmy nastawieni na to, że wszystko będzie dobrze. W moim otoczeniu nie było takich osób, które byłyby wrogo nastawione do strajku. Miałam bezwzględne zaufanie do przywódców strajku. Chodziłam pod stocznię i uczestniczyłam w mszach św. wewnątrz stoczni. Chodziłam w Gdańsku do Kościoła św. Brygidy i do Kościoła Mariackiego na msze za ojczyznę.

Pamiętam, że zawsze miałam takie przeczucie, że robotnicy zostaną docenieni. Wydawało mi się, że to taka była współpraca robotników i ekspertów. Przede wszystkim cieszyłam się z wolnych związków zawodowych. Przyjeżdżali działacze ze Szwecji, ja to tłumaczyłam, opowiadali, jak to funkcjonuje tam, że będą wolne związki, a nie licencjonowane. Miałam takie trochę różowe okulary. Człowiek patrzył bezkrytycznie — miałam wtedy 18 lat. W Gdyni był zjazd Ruchu Młodej Polski w karnawale Solidarności; przyjechał Szwed, który współpracował z Jerzym Milewskim. Był oficjalnym ekspertem, ja się nim zajmowałam i tłumaczyłam. Opowiadał, jak powinny wyglądać związki, negocjacje z pracodawcą czy struktury związkowe. Było przygotowywanie pod działalność związkową.

Po podpisaniu Porozumień sierpniowych była wielka radość. Największym osiągnięciem było podpisanie porozumień, możliwość współpracy (Mazowiecki później mówił o tej sile spokoju) ekspertów i działaczy. To był pokojowy przebieg. Jak sobie przypominałam -jeszcze w podstawówce byłam — ilu stoczniowców zginęło...

Cieszyłam się z tego, idealizowałam sytuację i osoby. Cieszyłam się, że jest Solidarność. Był już też trochę pragmatyzm — jest 10 milionów. Sądziłam, że musi się to jakoś podzielić, rozbić na grupki. Widziałam, ile jest tam środowisk, jest KPN, Ruch Młodej Polski, były zauważalne różnice programowe. Mimo wszystko jakaś euforia była. Byłam członkiem Ruchu Młodej Polski, założyłam „Węzeł", prowadziłam kółka samokształceniowe, tłumaczyłam.

Stan wojenny to był szok i niedowierzanie. Dla mnie szczególnie — z powodu tego patrzenia przez różowe okulary. Myślałam, że nie jestem nikim ważnym. Mnie nie było w domu, a do mamy i do babci przyjechali „smutni panowie" i szukali mnie. Chcieli mnie przesłuchać i dali ostrzeżenie, że jestem młoda i żebym się uczyła i nie robiła żadnych

głupstw. Mnie nie było akurat w domu, mieliśmy wtedy spotkanie w Ruchu Młodej Polski; dobrze, że dostałam takie ostrzeżenie. Działacze, jak np. Hall, zdążyli się już wtedy ukryć.

Osoby z tego kręgu robotniczego, można powiedzieć ze skrzydła Ruchu Młodej Polski, przychodzili, że trzeba coś zrobić, coś napisać. Że nie możemy tak siedzieć i czekać, co będzie. Mimo woli, bo ja tak czekałam, myślałam, że może trzeba to skonsultować z osobami, które się ukrywają. Była nadzieja, że może za kilka dni się to skończy, bo to nie może tak być. Mój brat przyłączył się do nas. Był dwa lata młodszy. Przyprowadził kolegów ze Szkoły Morskiej. Spotkaliśmy się u nas w domu. Sformułowałam odezwę w formie manifestu — że to się zmieni — ale też informowałam, że osoby przebywają w obozach internowania. To miało być ku pokrzepieniu serc.

Przed moim aresztowaniem robiliśmy akcje ulotkowe. Byłam za tym, by to ostrożnie rozdawać. Jeden moich z kolegów poszedł pod Kościół Mariacki i rozdawał wszystkim. Aresztowali go, na przesłuchaniu wszystko powiedział. Zaraz przyjechali po mnie. Nie przesłuchali mnie ani nie internowali, tylko aresztowali i zawieźli na Okopową. Mojego brata nie było; jego też chcieli aresztować, ale zdążył się ukryć. Uwięzili mnie na Okopowej w Gdańsku. To był zimny prysznic i to zmieniło moje życie. Obciążały mnie zeznania osób aresztowanych, które dały się złapać. Obciążano mnie, że miałam kontakty zagraniczne, że miałam jakieś pieniądze; było to mocno przesadzone, dotyczyło to też mojego brata. Pierwszy miesiąc był straszny, siedziałam w celi z jedną osobą, z kryminalistką wytatuowaną — ona mnie tam molestowała (ja byłam taka malutka, szczuplutka) -która miała za zadanie chyba, by mnie w taki sposób traktować i miała takie skłonności. Miałam adwokata wojskowego i adwokatkę — działaczkę panią Romę Orlikowską-Wrońską. Oni się mnie pytali, gdzie się dane osoby ukrywają, a ja nie wiedziałam.

Te przesłuchania odbywały się tak, że przez miesiąc nawet nie wiedziałam, czy to jest dzień czy noc. To był areszt tymczasowy, nie było nawet łóżek. Odmawiałam zeznań lub odpowiadałam, że nie wiem, co było zgodne z prawdą.

Byłam już pełnoletnia, ale były osoby młodsze ode mnie, których poszukiwali. Powiedzieli, że dopóki nie podam im wszystkich nazwisk, to będę siedziała. Nie wyłapali tych wszystkich osób. Brat się cały czas ukrywał. Kiedy przyprowadził tych swoich znajomych, miałam poczucie, że jestem za nich odpowiedzialna. Jak ja już wyszłam z więzienia, to brat się zgłosił sam, poszedł z adwokatem i go aresztowali. Dwóch chłopaków się ukrywało dalej. Ten, co na początku wszystkich sypnął, nie znał adresów ani nazwisk. Mówił pseudonimami. Mnie się później o te osoby pytali, a ja mówiłam, że nie wiem. Ten chłopak — on był ode mnie dwa lata starszy — co tak wszystko wyśpiewał, już teraz nie żyje. Był jeszcze drugi chłopak, dwa lata młodszy, który też mnie obciążył. Te dwie osoby na zeznaniach mnie mocno obciążyły.

Po miesiącu siedziałam na ul. Kurkowej w Areszcie Śledczym. Latem przewieziono mnie do Fordonu w Bydgoszczy. Wypuścili mnie przed amnestią. Chorowałam w więzieniu, ale już w Fordonie się podleczyłam. Pewnego dnia dostałam wezwana, dali mi jakiś bilet, już chyba gotowy, by się zabierać i jechać pociągiem do domu. Wyszłam pod koniec września. Mama mogła mnie dopiero odwiedzać w Bydgoszczy, w śledczym na Kurkowej miałam kontakt tylko z adwokatką. Listy mogłam wysyłać, dostawałam listy ocenzurowane, nawet z uczelni dostawałam — dwie osoby do mnie pisały. Reszta chyba się bała.

Podobało mi się to moje życie przed aresztowaniem, stworzyłam sobie taki świat nierzeczywisty. To było też takie nakręcenie, że nie może to długo trwać, że to niemożliwe, że to jeszcze tylko trochę. Areszt mnie mocno zmienił, nie byłam już osobą „alleluja i do przodu". Pojawiły się również kłopoty zdrowotne. Byłam tam tak mało zainteresowana jedzeniem, że mnie zmuszali, chcieli rurką dawać. Taką miałam awersję do jedzenia i byłam tak wychudzona i wycieńczona, że trafiłam do szpitala w Elblągu. Bardzo ważne dla mnie było to, że byłam bardzo wierząca. W Areszcie Śledczym nie miałam możliwości kontaktu z księżmi, ale po paru miesiącach już tak. Wzmacniały mnie te spotkania.

Później, po wyjściu z aresztu chciałam wrócić na uczelnię. Najpierw były takie komunikaty, że jest to niemożliwe, że byłam karana. Jednak później rektor Głębocki — on był taki wstawienniczy — ułatwił mi powrót na uczelnię. Dzięki temu, że byłam dobrą studentką, że tak dobrze rokowałam, mogłam wrócić na uczelnię, ale nie na swój rok. Trzeba było powtarzać.

Tam było sporo fajnych osób. Dalej spotykałam się ze środowiskiem Ruchu Młodej Polski. Ja się nie bałam, bardziej może bały się inne osoby. Na studiach byłam mocno zaangażowana w działalność polityczną, choć środowisko Ruchu Młodej Polski mnie namawiało, by jednak się uczyć, a nie tak bardzo angażować.

Osoby, z którymi się trzymałam na studiach, były też często zatrzymywane, ale nie przeze mnie. Niektórzy bali się ze mną spotykać. Profesor mnie wprowadził w koło historyków i namawiał, żebym wyjechała. Inne osoby się bały ze mną przestawać. Dopadła mnie też choroba, jakieś osłabienie. Zdecydowałam się — dostałam paszport w jedną stronę — i wyjechałam do Niemiec.

Wyjechałam do Bremy, gdzie był uniwersytet partnerski. Tuż przed stanem wojennym byłam na wymianie studenckiej z koła historyków, byłam w Bremie i tam miałam kontakty. Tam był taki znany profesor, przyszedł list, że kuzyn mnie zaprasza i wyjechałam. Do 1990 r. mieszkałam w Bremie. W 1988 urodził się mój syn. Wyszłam tam za mąż, za sąsiada, kolegę starszego ode mnie, który za mną przyjechał. Tam zrobiłam uprawnienia językowe w Instytucie Goethego. Nie znałam niemieckiego wyjeżdżając, dosyć szybko się nauczyłam. Zdałam na uniwersytet, który tam skończyłam. Studiowałam język angielski i slawistykę — rosyjski i serbski, chorwacki.

W latach 1983–1989 pracowałam za granicą. Miałam dobrą pracę, studiowałam w Getyndze na uniwersytecie i pracowałam w Urzędzie Miasta. Byłam w dziale miast partnerskich. Znałam angielski. Przyjeżdżali tam też z Torunia i z Anglii. Miałam kontakty z miastami z Polski i Anglii, byłam tłumaczem, pracowałam 8 godzin. Jak nie było delegacji, pisałam pisma itp.

Odnośnie opozycji, to za granicą miałam kontakt z osobami na uczelni, z profesorem Godlewskim i z Janem Dżeżdżonem, pisarzem kaszubskim. Z rodziną miałam kontakt listowny, także z osobami z opozycji, które poznałam w więzieniu, między innymi z Wiesławą Kwiatkowską — więzieniu się z nią przyjaźniłam, niestety już nie żyje. Odradzali mi, by już wtedy wracać do Polski, ja jednak chciałam. W kraju miałam najbliższych, wiedziałam, że tam jest mój dom i mam gdzie mieszkać, tu umarła moja mama. Wówczas popierałam porozumienie „okrągłego stołu". Hall był ministrem w rządzie Mazowieckiego.

Dzisiejsza moja sytuacja życiowa jest dosyć trudna — w ostatnim roku dopadła mnie choroba i przez to tam, gdzie pracowałam, nie przedłużono mi kontraktu. Zajmowałam się projektami unijnymi. W Solidarności też pracowałam, byłam koordynatorem różnych projektów — to mnie trzymało przy zdrowiu. Później jednak trochę zachorowałam, miałam trudną diagnozę i to trochę trwało długo. Po długim czasie trafiłam do szpitala.

Nie byłam na etacie związkowym w Solidarności, a od projektu do projektu. Nie chciałam, by mi coś zarzucano. Sama pisałam i koordynowałam projekty. Weszłam w projekty Europejskie Fundusze Obywatelskie. Wówczas skończyłam polonistykę, w międzyczasie skończył się mój kontrakt i nie zaproponowano mi niczego z Solidarności. Teraz będę pracować dla gminy Gdynia i Skarszewy, nie na etacie, a jako outsourcing projektowy. Nowe zadania będę miała.

O sukcesie życiowym też trudno mówić, rodzina mi się rozpadła (mąż nie chciał wracać, ja chciałam), ale mój sukces to syn, mamy świetne więzi rodzinne. Człowiek trwa i jeszcze ma nadzieję. Cieszę się, że już jestem zdrowsza. Mimo paskudnego okresu więzienia to najlepsze są przyjaźnie z Kurkowej i Fordonu — Ewa Kubasiewicz, Kwiatkowska — te przyjaźnie od tamtych czasów przetrwały. Człowiek ma się do kogo odezwać, do kogo pojechać. Mój autorytet życiowy to papież Franciszek, jeszcze na dodatek dobrze mi się kojarzy ze św. Franciszkiem, patronem zwierząt, a ja lubię zwierzęta. Mam i inne autorytety, osoby które są państwowcami — Wacław Niziński, Adam Strzembosz.

Zryw sierpniowy był bardzo potrzebny, wspominam to jako coś najwspanialszego, co się mogło Polakom przydarzyć. Szkoda, że w perspektywie tych 25 lat odzyskanie niepodległości nie przyniosło tych owoców, jakie powinny być — widzę ludzi zwalnianych z pracy, krzywdzonych.

Z pozycji kobiety dojrzałej widzę „okrągły stół" dużo gorzej. Nie powinno się likwidować zakładów pracy. To był drastyczny kapitalizm. W Czechach udało się to dużo lepiej. W Polsce są teraz ludzie bardzo biedni i ludzie nieprzyzwoicie bogaci. Kwesta umów śmieciowych, płacy minimalnej. Jesteśmy w Unii i mówi się, że odnieśliśmy sukces, że mamy

takie fundusze, że to zostało wynegocjowane, a dla mnie to żadne negocjacje, to się po prostu należy — czytam w oryginale dokumenty. Absorbowanie tych funduszy też nie jest takie, jak powinno być, trzeba usprawnić wiele działań.

Z perspektywy czasu Solidarność to była moja młodość i najlepsze lata. Patrzyłam wtedy przez różowe okulary. Nie widziałam sporów. Wierzyłam, że to się zmieni. Wierzyłam, że to taki dar, który dzięki Janowi Pawłowi II dostaliśmy na tacy. Wierzyłam, że to się uda zmienić, że będziemy cywilizowanym narodem europejskim. Teraz jesteśmy w Europie, ale dalej jest to ta tak zwana druga prędkość.

To, co jest największą bolączką do teraz, to brak dogadania się w sprawach społecznych. Od początku brak lepszego doprecyzowania kwestii gospodarczych. Puszczenie gospodarki na „żywot liberalny" powinno się odbywać przez stopniowe przechodzenie od socjalizmu do kapitalizmu, nie od razu wyprzedawanie wszystkiego. Brak próby utrzymania miejsc pracy i brak systemowych rozwiązań, jeżeli chodzi o zatrudnienie.

Ostatnie 25 lat oceniam jako okres braku solidarności. Znam ludzi, którzy siedzieli, którzy nie są frustratami i nie są głupi, a są marginalizowani. Nie mówię o sobie. Znam osoby, które były działaczami, działaczkami, starsze ode mnie, dojrzalsze, które są marginalizowane nie dlatego, że głoszą inne poglądy, ale dlatego że brakuje solidarności. Ludzie z wyższym statusem nie wspierają tych z niższym, nie pamiętają o nich, mimo że mogą to być ich znajomi. Jest taka łacińska maksyma: „władza zmienia ludzi, ale rzadko na lepsze"...

Sporo chciałabym zmienić, nie mówię, że wszystko jest złe, ale wielu rzeczy już się nie da. Wprowadzić preferencje dla polskich przedsiębiorstw. Nie tylko zachęcać w ramach Unii do zakładania przedsiębiorstw, ale wspierać je. Wzmocnić gospodarkę. Przypilnować przetargów, brać pod uwagę polskie przedsiębiorstwa, a nie tylko firmy zagraniczne. Wprowadzić elastyczne formy zatrudnienia, by nie było wiecznego antagonizowania związków zawodowych z pracodawcami. Zwiększyć odpowiedzialność urzędników, ich decyzyjność, żeby urzędnik nie był jak kura na grzędzie... by to był manager. Na gospodarce się znam, bo piszę projekty unijne. U nas są większe problemy niż za granicą ze startowaniem o fundusze unijne, bo ograniczamy to jeszcze polskim prawem. Zadanie dla polityków: odzyskać zaufanie społeczne. Popieram jednomandatowe okręgi, to co mówi Kukiz, choć nie jest moim kandydatem. I tak widzę zadania na przyszłość.



Antoni Chrzanowski — ur. 6 lutego 1939 r. w wiosce Zadusznik, woj. kujawsko-pomorskie (wówczas bydgoskie). Pochodzenie chłopskie. Wykształcenie podstawowe, ukończył siedem klas. Wierzący, praktykujący. Początkowo pracował w PGR. Sprowadzony przez wujka do Rumi, podjął pracę w porcie w Gdyni. Podczas odbywania służby wojskowej w Elblągu, Chełmie i Grudziądzu zdobył uprawnienia kierowcy. Po wyjściu z wojska w 1962 rozpoczął pracę w „Transbudzie", gdzie przepracował 30 lat. Nie był członkiem PZPR-u. Żonaty od 1963 r., troje dzieci. Uczestnik wydarzeń Grudnia 1970 r. W latach 1975–76 pracował w ZSRR w Turowie. Uczestnik strajku sierpniowego. W 1980 r. wstąpił do Solidarności. Podczas stanu wojennego aresztowany, skazany na rok pozbawienia wolności. Wyszedł po trzech miesiącach. Odtworzył związek i przez dwie kadencje był przewodniczącym Solidarności „Transbud" Gdynia. Od 1994 roku na emeryturze, działa społecznie.

Pochodzę z Zadusznik i zbieg okoliczności sprawił, że przybyłem w okolice Gdyni. Nas w domu było pięcioro, w tym dwóch braci urodzonych przed wojną. Ojciec był zagorzałym antykomunistą, nie należał do żadnej partii i pracował na gospodarce. Tato przed wojną służył w wojsku i po wybuchu II wojny ojciec dostał wezwanie do mobilizacji. Jako rezerwista został ściągnięty do Włocławka. Dostali rozkaz obrony Warszawy, szli piechotą pod Warszawę, tatuś obsługiwał karabin maszynowy. Przy Sochaczewie dogoniło ich wojsko niemieckie, wielu zginęło, zwłaszcza przez ataki samolotów niemieckich. Wszystkich aresztowali, wtedy na wozie konnym spostrzegł tato ciężko rannego swojego kolegę z ławki szkolnej. Poprosił on tatę, by poinformował jego żonę i dzieci o jego śmierci, bo wiedział, że nie przeżyje.

Niemcy ich rozbroili, załadowali do wagonów i wywieźli do Niemiec, pod Szczecin (teraz to są tereny polskie), gdzie ojciec pracował u gospodarza niemieckiego. Spał w oborze z krowami, miał posłanie na słomie. Z tatusiem byli inni jeńcy, np. był jeden z Warszawy. Gotowała im Niemka — codziennie jedli tylko brukiew. Mając nadzieję, obserwowali ruchy wojsk. Kiedy już szło wyzwolenie, Niemka uciekła do Niemiec. Pytała tatusia, czy nie chce z nią jechać, lecz tatuś nie chciał. Tacie i warszawiakowi Niemka dała rowery, ale Ruscy je zabrali. Ojciec szedł dwa tygodnie pieszo do domu. Ja już miałem sześć lat, jak tatuś wracał, brat miał osiem. Nie znałem tatusia.

U nas w gospodarstwie zawsze zbierali się partyzanci, bo dom był dobrze położony, więc można było przez sad uciec. W tym domu mieszkała jeszcze moja babcia, mama tatusia, i inne osoby. Niemcy podpalili nasz dom, bo dostali informację, że zbierają się u nas partyzanci. Mama krzyczała, że się pali. Z bratem byliśmy w koszulach nocnych i na szczęście mamusia nas wypchnęła z pożaru. Mnie się podpaliła koszula nocna (do dziś mam poparzenia), mamusia ziemią mi ten ogień ugasiła. Schroniliśmy się u sąsiadów. Babcia myślała, że my się palimy w tym domu i dostała zawału serca. Nie umieli babci uratować (do Włocławka było 12 kilometrów) i umarła. Na pogrzeb babci Niemka tatusia nie puściła, bo się bała, że już nie wróci.

Obecnie mój starszy brat i ja mieszkamy w Rumi. Moja rodzina z dziada pradziada ze wsi pochodzi, to prawdziwi rolnicy. Po wojnie pełna komuna, Stalin mocno dusił rolników, więc rodzice naciskali, byśmy wyjechali, bo na wsi nie mamy żadnej przyszłości przed sobą. Z rodzicami zostały dzieci urodzone po wojnie. Szukałem swojego miejsca. Miałem podstawowe wiejskie wykształcenie, ukończyłem siedem klas. Najpierw zahaczałem o PGR-y, umiałem siać, kosić, byłem przyuczony do pracy w rolnictwie itd. Jednak tam mnie nie chcieli. Brat mojej mamusi był profesorem w Wyższej Szkole Morskiej i mieszkał w Rumi. Chciał, żebym przyjechał, mój brat już był w Rumi.

Na początku pracowałem w porcie w Gdyni. To była ciężka praca. Musiałem po 150 kg na plecach nosić, na trzy zmiany. Nie chciałem już więcej pracować w porcie. Poszedłem do wojska, do czynnej służby w Elblągu, później szkoła w Chełmie i trafiłem potem do Grudziądza jako kierowca sanitarki. Po wyjściu z wojska dostałem się 1962 r. do „Transbudu" i przez 30 lat pracowałem w jednej firmie. Nie należałem do PZPR, więc otrzymywałem niższe stawki niż ci partyjni. Nie dostawałem żadnych pieniędzy na mieszkanie, więc dorabiałem po godzinach.

Już pięćdziesiąt lat minęło od mojego ślubu w 1963 r. Mieszkałem u teściów; tam były ciężkie warunki — teść kaleka, teściowa i ośmioro dzieci. Moja żona była najstarsza i opiekowała się aż siedmioma braćmi, najmłodsza dziewczyna umarła. Po ślubie teściowa dała nam jeden pokoik, gdzie mieszkaliśmy 9 lat. Później dostałem mieszkanie w Spółdzielni Mieszkaniowej w Wejherowie. W 1965 r. urodziła się córka, w 1969 syn, w 1975 drugi syn. Rodzinę utrzymywałem tylko ja, żona zajmowała się dziećmi.

W „Transbudzie" pracowałem od 1962 r., ze mną w tej firmie pracowało aż trzech moich szwagrów. Pracowało ze mną też wielu kolegów z Rumi, z którymi brałem udział w wypadkach grudniowych 1970 r. Nacieraliśmy na ZOMO kamieniami, jak oni zdobyli przewagę, uciekaliśmy w las i piechotą wróciliśmy do Rumi. Moja żona do dziś nie wie, że walczyłem w 1970 r.

W 1975 zdecydowałem się jechać do ZSRR, by zarobić trochę, by polepszyć nam byt. Nie chcieli mnie puścić, bo nie należałem do PZPR. Kolega mojego wujka, tego ze Szkoły Morskiej, załatwił mi wyjazd do ZSRR. Jechałem w pierwszej turze. Wcześniej miałem dwa tygodnie szkolenia gdzieś pod Warszawą. Nie zdałbym tam egzaminu, bo uczono nas tylko politycznych haseł, a mnie nic nie wchodziło do głowy — co mnie się zapytali, to ja nic nie wiedziałem. W końcu spytali, czemu ja chcę jechać do ZSRR do pracy. Wymyśliłem sobie taką bajkę i ona mi pomogła. Brat mojej matki był w Sztutowie (Stutthof). Mój tatuś był w niewoli niemieckiej. Dzięki ZSRR zostaliśmy wyzwoleni. Chciałem tam jechać, do ZSRR, by trochę im odrobić za to wyzwolenie... Dzięki tym słowom zdałem egzamin. Rok czasu pracowałem w ZSRR (Turów) od 1975 do 1976 r. Zobaczyłem, jak tam ludzie biednie żyli i to mnie zmobilizowało do walki z komuną. Słuchałem Radia Wolnej Europy i to często. Zawsze miałem nadzieję, że coś się zmieni. Jednak nie można było liczyć na żadne państwa, ani Anglię, ani Amerykę. Więcej trzeba liczyć na Pana Boga, a nie inne państwa. Uważam, że wyzwolenie ojczyzny powinniśmy obchodzić od 1994 r., jak wojska sowieckie opuściły Polskę.

W 1980 r. czułem, że strajk będzie. Rozpoczynaliśmy pracę o 6.30. Przyjechałem szybciej do pracy, przed szóstą byłem i już prawie 100% pracowników opowiedziało się za strajkiem. Nie było tylko kierownika i sekretarki, jeszcze na nich czekaliśmy. Jak wszedłem, to wszyscy już krzyczeli, że będziemy strajkować. Wchodzi przewodniczący i znów wszyscy krzyczą: „Strajkujemy, strajkujemy". Przewodniczącym był Longin Stojek. Zrobiliśmy głosowanie. Zapisaliśmy protokół z tego głosowania, sekretarka spisała protokół strajkowy. Jedna tylko osoba pojechała do domu, bo nie chciała strajkować. Chyba dwóch dyrektorów wstrzymało się od głosu. Reszta podpisała listę, że chce strajkować. Wszyscy się zgadzali. Obojętnie do jakiej partii należeli.

W czasie strajków sierpniowych pracowałem w firmie „Transbud" Gdynia, Oddział nr 3, Gdynia Redłowo, ul. Łużycka 3, obok była baza sprzętu. Z tej bazy chcieli mieć łączność ze Stocznią Gdańską, z bazy sprzętu pojechali do Gdańska jako pogotowie techniczne i zorganizowali połączenie telefoniczne, podłączyliśmy je do radia i wszystko, co w Stoczni Gdańskiej się działo, szło do nas, słyszeliśmy wszystkie rozmowy Wałęsy z Jagielskim.

Wybrano mnie do Komitetu Strajkowego. Mieliśmy strajk okupacyjny, chodziliśmy po dwóch, dyżurowaliśmy przy płotach, razem 8 osób. Biuro Solidarności mieliśmy na drugim piętrze, przewodniczącego prawie nie było na miejscu. Cały czas mówił, że się udaje do stoczni po informacje. Prawdopodobnie był wtedy więcej u żony niż z nami. Ja wtedy byłem najważniejszy w tej Komisji Strajkowej. Jak strajk się rozpoczął, były w załodze kobiety zamężne, w ciąży i chore. Która chciała, mogła iść do domu, ale niektóre, nawet te w ciąży, zostały z nami, nie chciały iść. Na 100% załogi, tylko jeden głos był przeciwko strajkowi — okazało się, że on był ubekiem.

Niczego się nie bałem, nie obawiałem się niczego, już od młodości przeszedłem gehennę. W Rosji byłem w 1974 r. i wiedziałem, co komunizm jest wart. Wiedziałem, że trzeba było walczyć i Pan Bóg mi siłę dawał.

Jak zakładano Solidarność w 1980 r., pracowałem na Łużyckiej i cały czas się udzielałem jako mąż zaufania. Na zebraniach Solidarności nie zabierałem głosu, bo tylko Komisja miała głos. Reprezentowałem wszystkich kierowców ładowaczy, pracujących na ciężkim sprzęcie, przeszło 100 osób. Wówczas około 10 milionów nas należało do Związku. Wcześniej należałem do związków zawodowych budowlanych; należałem, bo musiałem. Jak tylko Solidarność powstała, to od razu przystąpiłem. Z początku byłem mężem zaufania.

Jestem katolikiem. Cała rodzina jest wyznania katolickiego. Moja mamusia, tatuś i babcia też byli bardzo wierzący. Mieli takie różańce, składające się ze wszystkich części. Obecnie też bardzo dużo się modlę. Jestem bardzo wierzący. Odmawiam cały różaniec, wszystkie części. Chodzę codziennie do kościoła. Uczestniczę we wszystkich uroczystościach religijnych. W czasach nielegalnych (po wprowadzeniu stanu wojennego) co miesiąc w Rumi o godz. 21.00 w niedzielę była msza święta za ojczyznę. Organizowałem to nabożeństwo z kolegą. Zawsze jakąś poezję napisałem na tę mszę, księża zbierali na nas datki, ludzie przynosili.

Jak tylko wyszedłem z więzienia, to nam ksiądz przekazał po 300 złotych. Żona bardzo się ucieszyła, bo nie miała już z czego żyć. Jak wróciłem do domu, to była pusta lodówka. Tak dbano o nas w Kościele Wspomożycielki Wiernych. Jak przychodziły dary, to ksiądz zawsze coś nam dał — a to olej, a to jakiś ubiór. Przychodziły paczki z Niemiec, Szwecji, Norwegii. Zawsze po pracy udzielałem się społecznie przy kościele.

Siedziałem za Solidarność w 1981 r. 13 grudnia wprowadzono stan wojenny, 99 procent załogi było za strajkiem, nawet ci do PZPR należeli. Tylko były ubek nie był z nami. Zosia Kwiatkowska — sekretarka — była wtedy w stoczni, pojechała do Gdyni czy Gdańska dowiedzieć się, co się dzieje. Utrzymywaliśmy łączność z innymi zakładami. 17 grudnia przyjechali wysocy oficerowie, że mamy strajk skończyć. Jeżeli nie, to nas zlikwidują. 18 grudnia przyjechało ZOMO, otoczyli nas, kierownik się ukrywał już w kanałach, mnie też chcieli ukryć, ale ja się nie dałem schować. Nasz zakład pracy był zmilitaryzowany, dlatego sądził mnie sąd wojskowy.

Prokurator wojskowy Sądu Marynarki wojennej kazał mnie aresztować. Jeden z zomowców krzyczał, żeby mnie rozstrzelać, pałowali mnie ci z ZOMO. Byłem jednak grubo ubrany, tak że nic nie czułem. Wieźli mnie w kajdanach. Siedziałem około 3 miesięcy. Wywieźli nas na SB do Gdyni. Tam nas przesłuchiwali. Potem przewieźli do aresztu na ul. Starowiejską w Gdyni. Znów nas przesłuchiwali. W ciągu doby kilkakrotnie nas przesłuchiwali. W końcu prokurator przyjechał i zarządził areszt. Trzymali mnie w Gdańsku na ulicy Kurkowej. 31 grudnia 1981 r. dostałem wyrok na rok pozbawienia wolności. Żony nigdzie nie chcieli przyjąć do pracy, kiedy ja siedziałem. Złożyliśmy rewizję. Miałem dobrą opinię — miałem też trójkę dzieci. Nigdy nie odmawiałem obowiązków w pracy, ale do partii nie należałem. Po rewizji w Warszawie i po dobrej opinii wyszedłem na wolność — ja i dwóch kolegów. Ten rok zamienili mi na trzy czy cztery lata w zawieszeniu. Zostałem skazany Wyrokiem Sądu Marynarki Wojennej w Gdyni. Nasz przewodniczący strajkowy nie siedział, włos mu z głowy nie spadł, a kolega Aleksander Składanowski organizował i prowadził strajk, to sąd go skazał na pięć lat. Nas aresztowali niesłusznie. Jeszcze nie było wtedy żadnego prawa. Dopiero jak już siedzieliśmy i otrzymaliśmy wyroki, ustanowili tę uchwałę mówiącą o aresztach.

Gdy zwolnili mnie z aresztu, miałem przyrzeczenie od prokuratora, że mogę wrócić na to samo stanowisko pracy. Przed strajkiem byłem operatorem dźwigu. Mój kierownik pozwolił mi wrócić na moje stanowisko pracy, na ten dźwig. Niestety decyzja kierownika została podważona i nie mogłem zostać na dźwigu. Poszedłem do sekretarza partii, do jego biura. Sekretarz PZPR był ze mną na „ty". On kiedyś też był kierowcą, Odyniec się nazywał. Jak poszedłem do tego sekretarza, tłumaczyłem mu, że prokurator wojskowy powiedział, że mam wrócić na swoje stanowisko pracy i mam na to dwóch świadków. On na to, że: „Prokurator nie ma nic do gadania, może sobie w wojsku rządzić, a nie u mnie". Powiedział mi, że nie chce mieć u siebie w zakładzie żadnych oszołomów z Solidarności. Dali mi dźwig samobieżny, odizolowali od firmy i tak pracowałem.

Zlikwidowano Solidarność i dlatego po powrocie do normalności trzeba było odnowić związek zawodowy. Zebrałem ponad 300 podpisów, działałem po godzinach pracy, zrobiłem protokół założycielski. Dwie kadencje byłem przewodniczącym Solidarności „Transbud"

Gdynia. Jedną kadencję byłem delegatem. Reprezentowałem kilka firm. Co dwa tygodnie jeździłem na spotkania w regionie. Na tych spotkaniach często bywał Lech Kaczyński. Dzięki niemu dostałem order. Odznaczyli mnie na 25-lecie Solidarności. Teraz dalej mamy Solidarność miasta Rumi, mamy również swój sztandar. Wszędzie z tym sztandarem jeździliśmy, między innymi na kolejne rocznice śmierci księdza Popiełuszki, jeździliśmy też na tamę, gdzie zginął.

W 1994 r. mój dyrektor chciał mnie przekupić w pracy — nowy dźwig Volvo chciał mi dać, obiecywał dobrą emeryturę, warunkiem było tylko to, bym rzucił Solidarność. W 1994 r. już miałem wszystkiego dość i poszedłem na emeryturę. Żona też już miała tego wszystkiego dość. Stale mnie nie było w domu. Ciągle gdzieś jeździłem, broniłem ludzi. Jeszcze do tej pory działam. Starałem się, aby rondo nazwać imieniem Lecha Kaczyńskiego.

U nas też jest pomnik Jana Pawła II — starałem się, aby była dzwonnica imienia księdza Jerzego Popiełuszki. Nie zezwalano nam długo, ale w końcu udało się, mamy dzwon i dzwonnicę księdza Jerzego.

W rodzinie mam kłopoty, żona ma pretensje do mnie, ma dosyć tej Solidarności. Jest spracowana i zapracowana. Ciągle z dziećmi, najmłodszy syn jest bardzo chory, cały czas wymaga pomocy i to spada na barki żony.

Moja rodzina i ja uważamy, że nie jesteśmy w wolnej Polsce. Rządy mamy złe. Młodzi wyjeżdżają za chlebem. Nie można niszczyć narodu. Zlikwidowano fabryki, stocznie, cukrownie. Ile zboża, buraków rosło... Pan Bóg nie wytrzyma, ukarze nas. Jest źle, źle. Polska nie jest już suwerenna.



Teresa Dembowska, z domu Pałasz — ur. 14 stycznia 1956 roku w Gdyni. W latach 80-tych pracowała w gdyńskiej Drukarni Wojskowej, gdzie drukowała ulotki drugiego obiegu. W 1983 r. aresztowana i po śledztwie zwolniona dyscyplinarnie. Wraz z mężem wyjechała na Zachód, obecnie mieszka w Niemczech.

W Drukarni Wojskowej drukowało się książki i ulotki propagandowe dla wojska, lecz ulotki drugiego obiegu były drukowane wczesnym rankiem lub późnym wieczorem, by nie zostać przyłapanym. Kazik Proch, nasz kierownik, dawał nam wolną rękę i do niczego nie zmuszał.

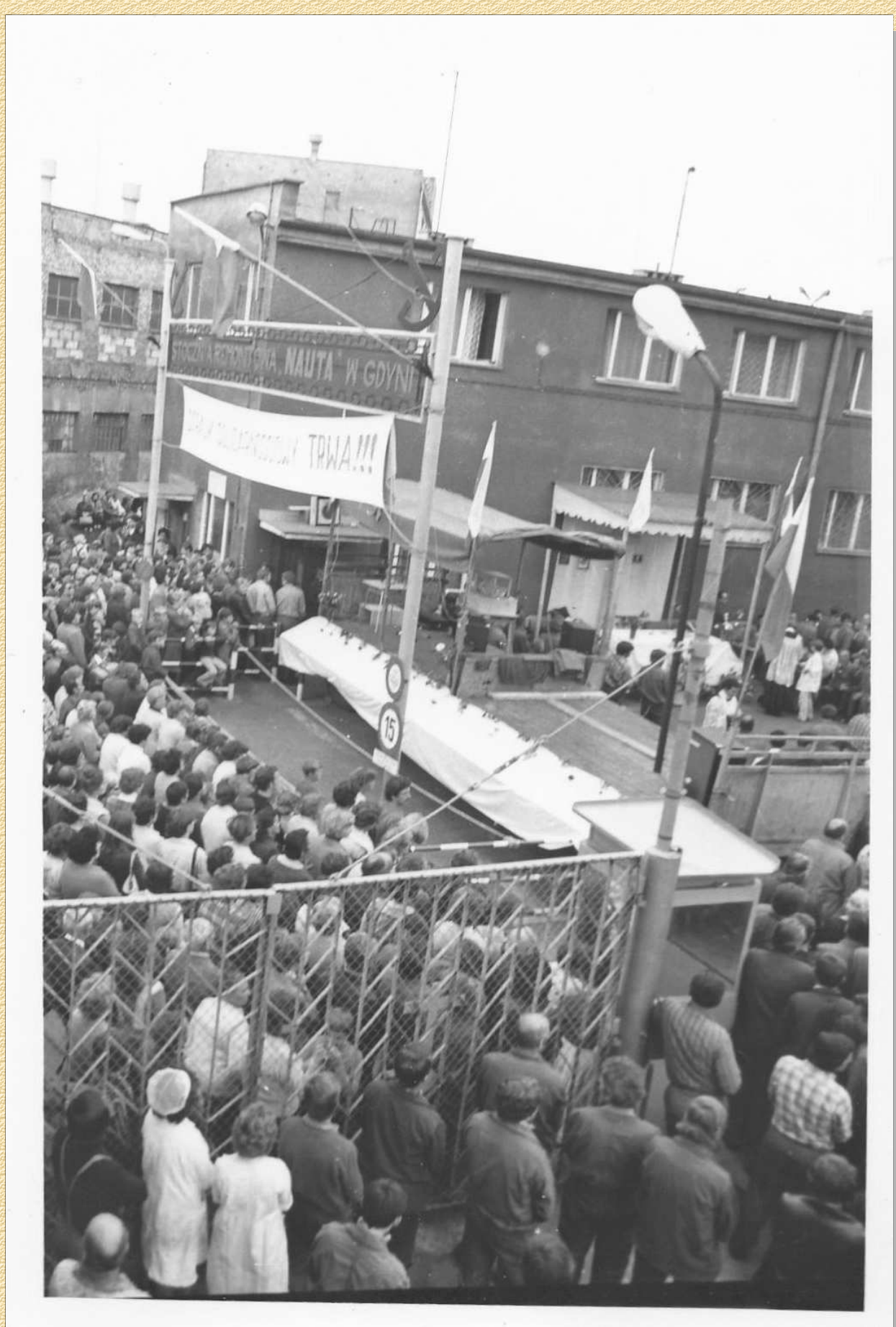
Na początku pracowałam jako zecer, a następnie jako linotypistka. Zostałam przyłapana przez szefa kadr podczas drugiej, wieczornej zmiany w trakcie akcji drukowania ulotek na podstawie dwóch pozostałych zdań ze składu, których nie zdążyłam zniszczyć. Następnie przewieziono mnie na całonocne przesłuchanie przeprowadzone przez komandora Marynarki Wojennej.

Przesłuchiwana byłam jak na gestapo, nikogo nie wydałam. Wraz z całą drugą zmianą zostałam zwolniona dyscyplinarnie, dostałam tzw. „wilczy bilet", co oznaczało brak możliwości podjęcia jakiejkolwiek pracy. Pierwszy został zwolniony Edek Żutkowski, potem też Piotr Winniewski, gdyż był brygadzistą całej drugiej zmiany.

Kazik Proch w późniejszym czasie również został zwolniony i internowany — został postawiony przed wyborem: zostać w więzieniu albo opuścić kraj. Ze względu na bezpieczeństwo swoje i swojej rodziny opuścił Polskę i wyjechał do Niemiec do Mannheim, gdzie podjął się pracy w amerykańskiej drukarni, w której drukowane były artykuły dla Polaków. Następnie wyjechał do Hiszpanii i tam zamieszkał ze swoją rodziną. Po śmierci żony zerwał wszelkie kontakty z Polską ze względu na przykre wspomnienia.

Ze względu na wiele problemów psychicznych związanych z przesłuchaniem, cierpiałam na lęki i pół roku leczyłam się w Zakładzie Zdrowia Psychicznego.

Wraz ze swoim mężem, Markiem, postanowiłam uciec z kraju, by zapewnić rodzinie bezpieczeństwo i lepsze życie. Legalnie wyjechali na urlop do Grecji, następnie przemieszczaliśmy się „kanałami" przez Włochy i Austrię do Niemiec, gdzie do tej pory mieszkamy.


NAUTA W GDYNI
TRWA!!!
15

Ryszard Dobrzański — ur. w 1961 r. w Starogardzie Gdańskim. Uczestnik strajku sierpniowego 1980 r. w Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni na wydziale W-4.

Pochodzę ze Starogardu. Po przyjeździe do Gdyni trafiłem do Stoczniowej Szkoły Zawodowej. Pracowałem w Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni (początkowo jako pracownik niepełnoletni, później jako elektromechanik okrętowy na W-4). Przed strajkiem codzienność określiłbym mianem szarej rzeczywistości (kolejki, brak podstawowych produktów). Odczuwałem narastające niezadowolenie społeczne, nie przewidywałem jednak, że się zbliża strajk. Podczas studiów niejednokrotnie byłem namawiany do dołączenia się do socjalistycznych związków studenckich, nigdy jednak tego nie zrobiłem — nie chciałem mieć nic wspólnego z partią. Nie należałem też do podziemia opozycyjnego.

W chwili wybuchu strajku miałem 19 lat, pracowałem na W-4. Bez wahania zdecydowałem się dołączyć do strajkujących — czułem też ogromne poparcie swojej narzeczonej i jej rodziny (moja rodzina cała została w Starogardzie). Widziałem, że starsze pokolenie robotników, wspominając wydarzenia z lat 70-tych, najbardziej się obawiało skutków strajków — sam też się bałem policji, strzałów, ostatecznie jednak człowiek młody nie przejmował się za bardzo. Moja funkcja podczas strajku — wartownik przy bramie. Postulaty: wstrzymanie podwyżek, podniesienie pensji, więcej wolności, zaopatrzenie kraju w podstawowe produkty...

Bardzo dobrze pamiętam, jak ze stoczni byli wyrzucani działacze partyjni, którzy próbowali wewnątrz wprowadzać zamieszanie. Odczuwalne było ogromne poparcie społeczne. Świetnie oceniam organizację strajku. Największą euforię przeżyłem podczas pierwszej mszy świętej, odprawionej przez ks. Jastaka.

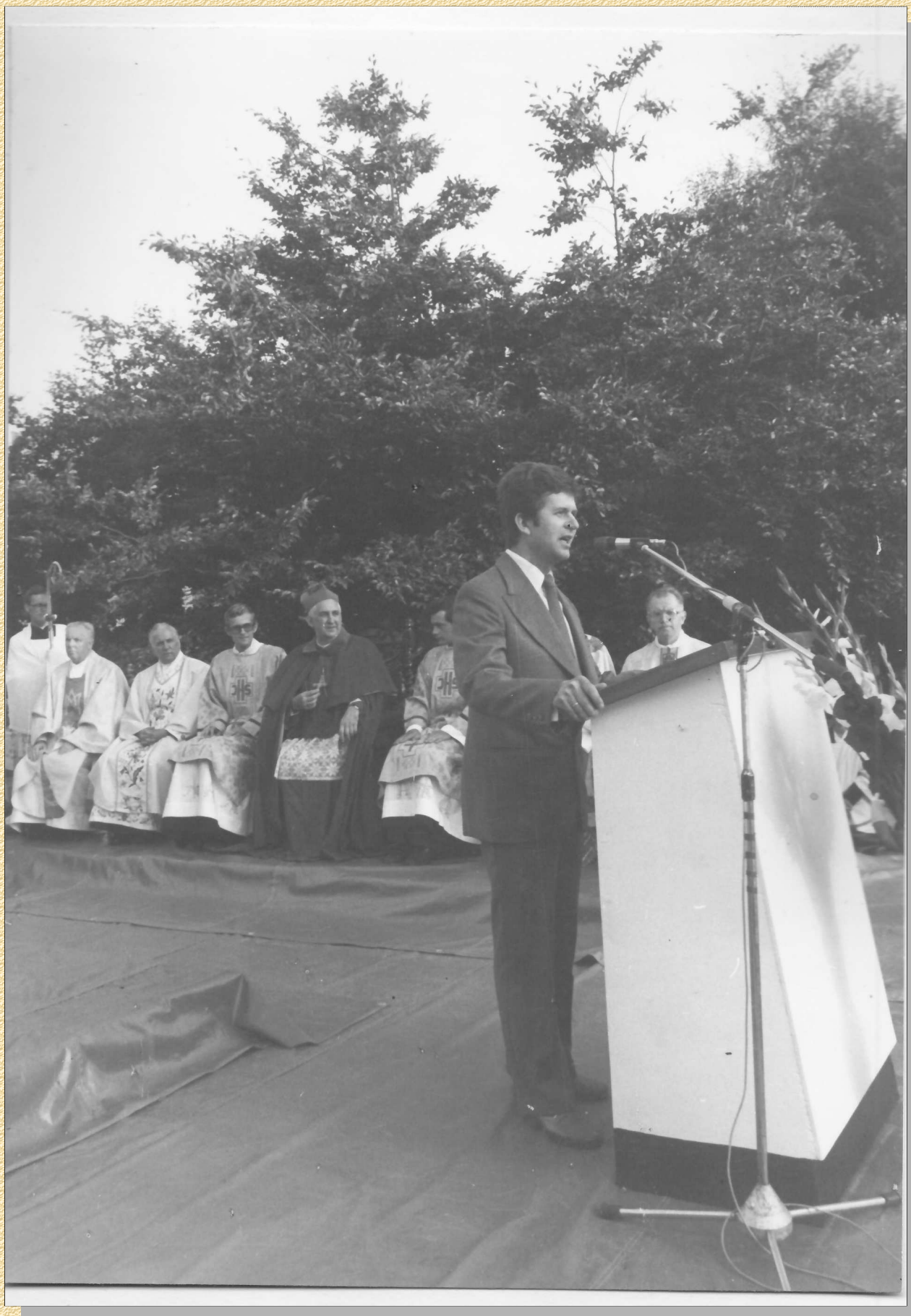
W chwili ogłoszenia podpisania Porozumienia odczuwałem ogromne szczęście — szczerze uwierzyłem w zmiany. Po krótkim czasie jednak okazało się, że nie za wiele się zmieniło poza tym, że w stoczni partia nie miała już głosu.

Zapisałem się do Solidarności podczas strajku. Dzięki niej w zakładzie zmieniło się podejście do robotników.

Podczas ogłoszenia stanu wojennego pracowałem w głównym wydziale mechaniki. W przeciwieństwie od strajku, podczas stanu wojennego odczuwałem ogromne obawy. Jednak ponownie dołączyłem do strajkujących.

Lata po stanie wojennym wspominam jako gonitwę życia codziennego w katastrofalnej sytuacji gospodarczej kraju. Przeczuwałem, że będą zmiany, bo ewidentnie władza nie mogła wytrzymać presji. Byłem jednak pozytywnie zaskoczony, że Solidarność tak daleko doszła.

Obrady „okrągłego stołu" wspominam jako zaprzepaszczenie wielu rzeczy. Młodzież spodziewała się, że władza komunistyczna całkowicie zostanie zniesiona. Niestety, tak jak wielu moich kolegów, czułem się oszukany.



Ryszard Domachowski — ur. 26 grudnia 1941 r. w Gdyni. Żonaty, posiada dzieci. Uczestnik wydarzeń grudniowych 1970 r., podczas strajku sierpniowego 1980 r. zastępca przewodniczącego komitetu strajkowego na wydziale K-1 Stoczni im. Komuny Paryskiej. Obecnie działacz Stowarzyszenia Gryf Pomorski.

Pochodzę z Gdyni, brałem udział i w wydarzeniach grudnia 70 r. (byłem jednym ze strajkujących, do których strzelano na ulicy), i w strajku roku 80. W chwili wybuchu strajku miałem 39 lat, byłem żonaty, miałem dzieci. Pracowałem w Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni w K-1 (Ośrodek Kadłubowy). Podczas strajku w K-1 powstał komitet strajkowy, któremu przewodził Władysław Pawelec; byłem jego zastępcą.

Swój czynny udział w strajku uważałem za coś naturalnego (byłem wspierany przez żonę i dzieci, moja rodzina nigdy nie należała do partii). Miałem dość arogancji wobec pracowników, biedy, braku produktów, podwyżek... Podczas strajku czułem, że milicja jest przygotowana na wszystko, bardzo dobrze pamiętałem też wydarzenia z lat 70-tych, ale wiedziałem, że strajk musi być przeprowadzony. Podczas strajku panowały tak duże emocje, że nie skupiałem się na strachu, tylko na tym, czego poprzez strajk stoczniowcy chcieli osiągnąć i do czego dążyli.

Ze wzruszeniem wspominam piosenkę, którą stoczniowcy rozpoczynali każdy dzień podczas strajku: „Boże nasz, Boże nasz, Boże nasz, jak ten strajk, jak ten strajk długo trwa..."

Nie potrafię ukryć uśmiechu, gdy wspominam sekretarza Stachowiaka, który został wygwizdany przez strajkujących i wyrzucony z terenu stoczni za podpuszczanie Andrzeja Kołodzieja.

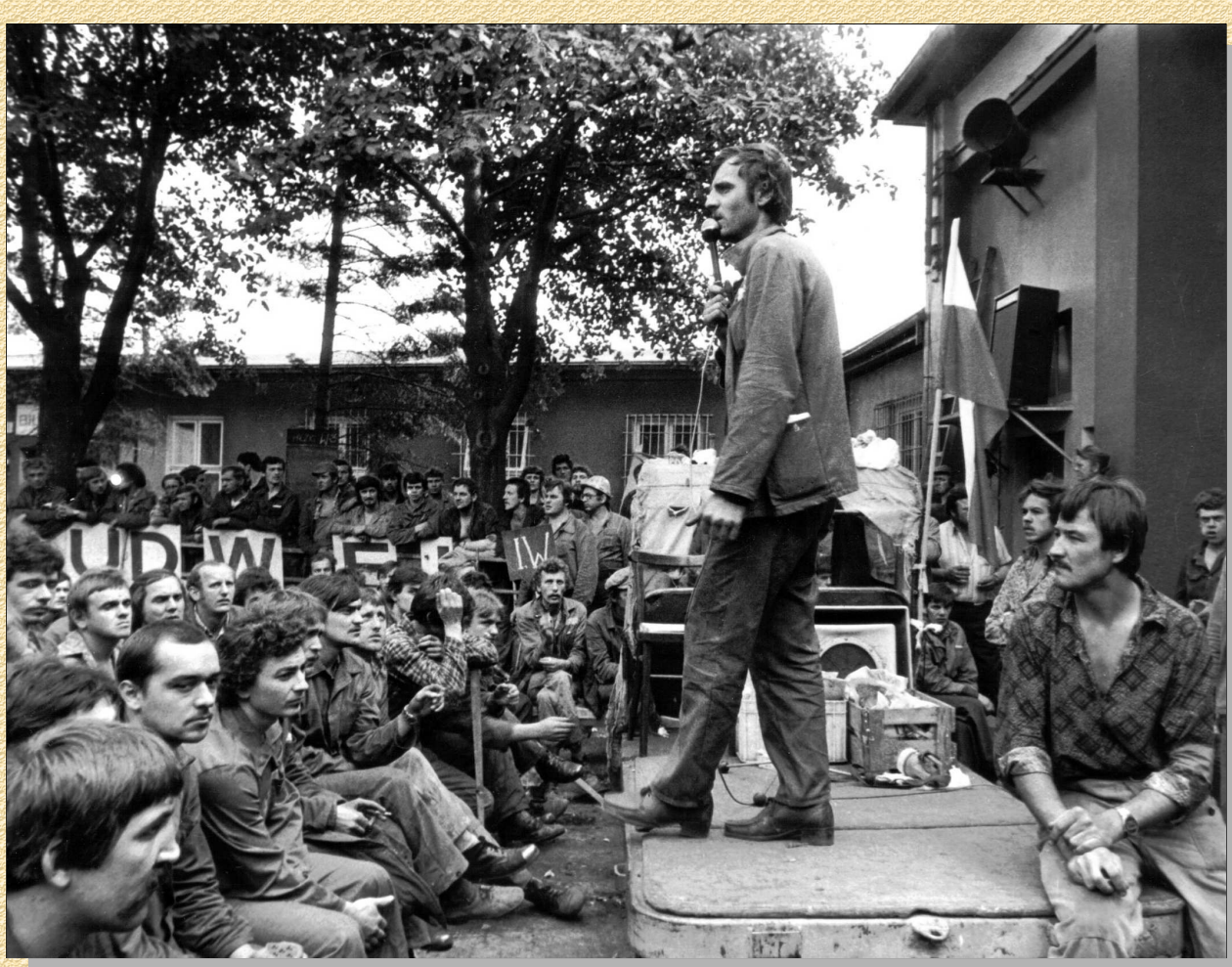
Za jedyny autorytet ówczesnych dni uważam Andrzeja Kołodzieja — tylko on potrafił zjednoczyć ludzi, dużo do nich mówił. Wprowadził mobilizację i żelazny rygor — to do ludzi przemawiało.

Najbardziej wzruszające wspomnienie to pierwsza msza św., odprawiona bez pozwolenia biskupa przez ks. Jastaka. Ksiądz wtedy udzielił powszechnego rozgrzeszenia...

Wiadomość o podpisaniu Porozumienia przyjąłem z entuzjazmem, ale do końca nie wierzyłem, że ówczesna władza dotrzyma słowa. Należałem i nadal jestem w Solidarności.

W przededniu ogłoszenia stanu wojennego doznałem ciężkiej kontuzji (wypadek w pracy), ale ponownie dołączyłem do strajku — na kulach. Po obradach „okrągłego stołu" czułem się — jak wielu stoczniowców — zawiedziony.

Dzisiaj aktywnie działam w Stowarzyszeniu Gryfa Pomorskiego.



Henryk Domagała — ur. 26 lipca 1945 r. W Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni pracował od 1963 r. jako ślusarz. Wykształcenie średnie. Żonaty, dwoje dzieci. Uczestnik strajków 1980 r. Członek Solidarności. Od 2005 roku na emeryturze.

Do Gdyni z Kielecczyzny przyjechałem w 1963 r. Skupiałem się na pracy, a później na rodzinie. Widziałem zmianę, gdy po Gomułce przyszedł Gierek. To później siadło, a na początku był rozmach. Uważam, że nie było tak źle, jak w innych ościennych krajach. Tylko w NRD było lepiej.

Byłem żonaty, dwoje dzieci. Żona pracowała na pół etatu, ja w Stoczni na dźwigach. To była praca zmianowa. To były czasy, jakie były. Mieszkałem na Obłużu i jak chciałem swoje dzieci dać do przedszkola, to usłyszałem, że mieszka tam wiele rodzin wojskowych, milicyjnych, nauczycielki, rozwódki i oni mają pierwszeństwo. Dlatego żona wzięła pracę tylko na pół etatu. Mieszkałem w mieszkaniu spółdzielczym, a wykształcenie miałem średnie.

Radia Wolnej Europy nie słuchałem. Z opozycją też nie byłem związany.

W Stoczni byłem ślusarzem — od 1963 do 2005 roku, z przerwą na wojsko w 1965.

Nie wiem dokładnie, od czego zaczął się strajk. Pamiętam, jak przyprowadzili Fandreya. Gdy podeszliśmy pod bramę główną, usłyszeliśmy, jak Kołodziej mówi do niego, że nie będzie już dyrektorem i że się wszystko teraz zmieni.

Podczas strajku w sierpniu 1980 r. stocznia była cały czas obstawiona. Można było uciec, ale wejść nie było możliwości. Siedziało się przez całe dwa tygodnie. Było wyjątkowe lato, cały czas słońce pięknie świeciło i było ciepło. Prałat Jastak przychodził, odprawiał msze. Pani Bujakowa organizowała na stołówce jedzenie. Rodziny przyjeżdżały pod bramę i dawały jedzenie.

Nie byłem jakoś zaangażowany. Tam się chodziło, trwało. Byliśmy zaskoczeni samym wybuchem strajku. Spotkaliśmy z kolegą kierownika z K-3, który mówi: „Patrz, mój pracownik strajk prowadzi". Nastrój był uroczysty, to nie był Grudzień.

Kiedy podpisano Porozumienia, zapanowała wielka radość. Podpisano te 21 punktów, które były ważne. Po strajkach były wolne soboty, ale przedtem to się pracowało także w soboty, a czasem i w niedzielę, bo pieniądze nie były wielkie. Trzeba było jakoś dorobić.

Przystąpiłem do Solidarności. Potem drugi raz w 1989 r.

Wtedy była jedność, ale stan wojenny zniszczył te więzi. Dziś jest wielu działaczy Solidarności, którym się udało uwłaszczyć, zarobić. Oni się nie przyznają, że byli w Związku. A przynajmniej jakby tego nie rozumieli.

O stanie wojennym dowiedziałem się z radia. Byłem wtedy w domu. W poniedziałek, jak poszedłem do pracy, to wszystkiego się dowiedziałem. A jak oceniałem? Słyszałem opinie, że wprowadzenie stanu wojennego zahamowało na kilka lat rozwój kraj. Też tak myślałem.

Po dwóch tygodniach przerwy, wróciłem do pracy. Nie było żadnych awansów, innej działalności. Tylko praca, zajmowanie się żoną, rodzina. To wszystko.

Brałem udział w wyborach czerwcowych w 1989 r., byłem nawet członkiem komisji.

Może to kontrowersyjne, ale uważam, że strajk w sierpniu 1980 nie był spontaniczny. Tak uważam.

Jestem dumny, że byłem, działałem. Świat jest inny dzięki temu. Ludzie z Polski uciekali od początku. A Solidarność zmieniła mentalność. Zmieniła świat.

Świat się zmienia. Dziś jest technika — inna niż była kiedyś. Kiedyś szło się na pocztę zadzwonić, to telefonistka łączyła, a dziś? Nie trzeba na nikim polegać.

Jestem zadowolony, że człowiek przeżył to wszystko. Różnie bywało. Nie wszystko się udawało, ale udało się przeżyć.



Krzysztof Dziembowski — ur. 17 czerwca 1950 r. w Gdyni. Pochodzi z rodziny o silnych tradycjach patriotycznych. Ukończył Technikum Budowy Okrętów. Pracował w Stoczni Gdyńskiej w Biurze Konstrukcyjnym. Żonaty. Brał udział w wypadkach grudniowych 1970 w Gdyni. Uczestnik strajków sierpniowych w Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni. Do końca działalności zakładu pracował w Stoczni. Obecnie przebywa na zasiłku przedemerytalnym. Rozwija swoje pasje.

Obecnie mieszkam w Rumi. Pochodzę z rodziny o korzeniach patriotycznych, a także ściśle związanej z Gdynią, bowiem mój ojciec należał do marynarki Wojennej RP, a od 1945 r. był zatrudniony w Stoczni Gdyńskiej. Zaś jego wujowie czynnie uczestniczyli w powstaniu warszawskim.

Moje związki z czynnym ruchem oporu wobec komunistycznych władz sięgają jeszcze wydarzeń grudniowych 1970 roku. W tamtym czasie uczyłem się w Technikum Budowy Okrętów i od zawsze czułem w sobie chęć do działania w słusznej sprawie i mimo obaw rodziców postanowiłem czynnie uczestniczyć w wydarzeniach dziejących na ulicach Gdyni. Pamiętam ogólne zamieszanie oraz panujący niepokój wśród osób poruszających się po niespokojnych ulicach rodzinnego miasta. Szczególną uwagę wzbudziło wszechobecne wojsko w postaci czołgów i żołnierzy uzbrojonych w ostrą amunicję. W panującym zgiełku ja również znalazłem się w bezpośrednim zagrożeniu, kiedy jeden z nich celował do mnie z broni.

W sierpniu 1980 roku byłem już żonaty i pracowałem w Stoczni Gdyńskiej w Biurze Konstrukcyjnym. Nie wyczuwałem szczególnego napięcia czy też symptomów zapowiadających mające nadejść wydarzenia. Inicjatywa rozpoczęcia strajku wypłynęła bezpośrednio od Andrzeja Kołodzieja, który w tamtym czasie pracował w stoczni i był pierwszą osobą nawołującą do rozpoczęcia strajku. Pierwszego dnia brama została zamknięta, zorganizowano ławki, na których zbierali się stoczniowcy. Dopiero w tym dniu ogólne zdziwienie uczestników strajku wzbudził fakt, że dysponowano przygotowanymi materiałami, takimi jak plakaty Solidarności. Przewodniczącym strajku był Andrzej Kozicki.

Jeśli chodzi o pożywienie, to było one wydawane ze stołówek pracowniczych oraz dostarczane przez rodzinę. Kontakt z rodziną był utrudniony, ale możliwy poprzez spotkania przy stoczniowym płocie. Były również wyznaczone miejsca, w których rodzina zostawiała paczki przeznaczone dla strajkujących.

Dużym wsparciem była instytucja Kościoła w Polsce. Już od pierwszego dnia zbudowano ustawiony na podeście drewniany krzyż, który w ciągu następnych dni zastąpiono metalowym (własnoręcznie wykonanym przez stoczniowców). W tym miejscu odbywały się msze święte mające na celu pokrzepienie ducha. Podczas strajku funkcjonowały tzw. pieczątki strajkowe, a jedna z nich była właśnie mojego autorstwa. Ostatniego dnia strajku, który trwał 17 dni, czuło się panującą euforię. Ważnym również było, mając na uwadze wydarzenia Grudnia 70, że tym razem wszystko przebiegało bezkrwawo. Według mnie udział w strajku nie wiązał się z bezpośrednim zagrożeniem dla mojej rodziny.

Po transformacji 1989 pracowałem w Stoczni Gdyńskiej do samego końca jej istnienia. Żałuję, że losy tego sierpniowego strajku potoczyły się w taki sposób. Obecnie znajduję się na zasiłku przedemerytalnym, jednak jestem typem człowieka, który każdą porażkę przekuwa w sukces.

Mam różnorodne pasje i zainteresowania. Między innymi to kolekcjonowanie kapsli (w tej dziedzinie posiadam szczególne osiągnięcia) oraz genealogia rodzinna.



Edward Roman Formela — ur. 5 stycznia 1953 r. w Redzie. Pochodzenie robotniczo-chłopskie. Wierzący i praktykujący. Wykształcenie zawodowe, ślusarz-mechanik. Od 1971 r. pracował w Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni jako monter silników okrętowych. Ożenił się w 1975 r., jedno dziecko. Uczestnik wydarzeń Grudnia 1970 w Gdańsku oraz strajków sierpniowych1980 r. w Gdyni. Od początku członek związku zawodowego Solidarność. W 1987 r. odszedł ze stoczni i podjął pracę za granicą. W 1993 r. zatrudnił w Stoczni Remontowej „Nauta". Inicjator budowy pomnika księdza Hilarego Jastaka. Od 2013 roku na emeryturze.

Rodzice pochodzili z Kaszub, mieli korzenie robotnicze i chłopskie, ojciec z Linii, mama z Bolszewa. Dziadek mój — Jan Formela — był sołtysem przed i po wojnie, był też w Związku Zachodnim — to było ugrupowanie partyzanckie. Babcia nic nie wiedziała o tym, bo było ono tajne i konspiracyjne. W domu były tradycje patriotyczne, mówiło się o tym, ojciec i dziadek słuchali Wolnej Europy i Głosu Ameryki. U dziadka na wsi, jak jeździłem na wakacje, to tam się rozmawiało o sprawach przedwojennych i powojennych. Dziadek kupił sobie pierwszy telewizor „Wawel", to się do dziadka schodzili cały czas sąsiedzi. Ja pochodziłem z rodziny wielodzietnej. Było nas siedmioro w domu. Mama mnie pouczała, żebym tak dużo nie pracował, ale nie mogła mi pomóc finansowo, więc musiałem tak pracować.

Gdy byłem młodszy, należałem do harcerstwa. Harcerstwo było o przekonaniach patriotycznych, byli tam ludzie, którzy przekazywali ducha patriotyzmu.

Ożeniłem się 27 grudnia 1975 r., w 1978 r. urodził się syn. Miałem jednego syna, mieszkaliśmy z teściami w Rumii na Lipowej. Teść pracował w Redzie w zakładzie budowlanym, wyrabiali pustaki. Żona uczyła się w Sopocie i pracowała trochę w handlu, ja pracowałem w stoczni Komuny Paryskiej w Gdyni.

Do Wejherowa się przeniosłem 1 lipca 1981 r. po wydarzeniach sierpnia. Ubiegałem się o mieszkanie w stoczni. Należałem do spółdzielni wejherowskiej, bo mieszkałem w dwóch pokojach z teściami; nam teść dał jeden pokój, a w drugim cała rodzina teścia, mieszkała tam siostra żony z mężem, później się trochę wyluzowało. To było mieszkanie komunalne z urzędu miasta Rumi. Dzięki przemianom Solidarności zaczęto interweniować w mojej sprawie — sprawdzili, że u teściów warunki nie są dobre. To były dwa pokoje i 11 osób mieszkało. Żony siostra dostała mieszkanie na Osiedlu Kaszubskim, żona mnie ścigała, że siostra dostała, a ja nie, choć w stoczni pracuję.

Miałem wykształcenie zawodowe, uczyłem się na ślusarza-mechanika, pracowałem prywatnie. W 1971 r. przeszedłem do stoczni, bo były tam różne świadczenia socjalne. Naciskali na mnie, abym zapisał się do PZPR, nawet sekretarz Zygmunt Gustomski za mną chodził, żebym się zapisał. Namawiał mnie, że mieszkanie będzie mi łatwiej dostać, przychodził do mnie chyba ze trzy razy, ostatni raz przed 1980 r. Tłumaczyłem mu, że nie (ostro mu już wtedy powiedziałem), miałem swoje przekonania, dobrze wiedziałem, z czym się wiąże komunizm, dziadek o tym opowiadał.

Jestem człowiekiem wierzącym i praktykującym. Po przejściu na emeryturę dużo jeździłem na pielgrzymki, do Fatimy pojechałem podziękować Matce Boskiej za życie. Jak papież przyjechał, byłem głęboko zaangażowany w strukturach przygotowujących przyjęcie papieża w Trójmieście. Należałem, przy swoim Kościele Chrystusa Króla, do grupy mającej przywitać papieża. Kiedy papież przyjechał do Gdyni, byłem porządkowym. Był ogromny entuzjazm, czuć było, że coś się zaczyna.

Wierzyłem w możliwość zmian. Jak Ojciec Święty został wybrany 16 października, komuna pozwoliła nadać w telewizji program, więc można było obejrzeć, co się działo w Rzymie w ten pamiętny wieczór.

Gdy nasz kardynał Karol Wojtyła został wybrany na papieża, pojawiło się przekonanie, że coś się zmieni. Ojciec Święty to nie zwykła osoba, to namiestnik Chrystusa na ziemi. Czekaliśmy, kiedy szybko przyjedzie do nas, by pocieszyć. Doczekaliśmy się, przyjechał w 1979 r. do Warszawy, na Plac Zbawiciela. „Niech zstąpi Duch Twój..." Czuć było, że się zmienia — każdy, kto się dobrze wsłuchał, czuł to. Ludzie obserwowali to wszystko. Ojciec Święty był głębokim patriotą. Zależało mu na lepszej Polsce — a spotykał się z różnymi ludźmi, mógł o tym mówić.

Dwa razu uczestniczyłem w wyborach, chociaż nie miałem do nich przekonania. Po 1980 r. chodziłem już regularnie. Byłem mężem zaufania w Wejherowie. Miałem tutaj swoje poparcie z AWS i Komitetu Wałęsy. Nie było żadnych machlojek. Ludzie liczyli dobrze głosy, rachunkowość była rzetelna.

Słuchałem Radia Wolna Europa (małżonka też słuchała, ale mniej); słuchałem dużo Jeziorańskiego, bardzo go lubiłem i miałem możność później poznać go osobiście. Nadawali też przemówienia polityków zachodnich, m.in. Margaret Thatcher.

To wszystko by tu padło, gdyby nie Kościół. Ludzie by się powyrzynali. Kościół opanował i uspokoił sytuację, miał autorytet, umiał do narodu przemawiać. Nawet kardynał Wyszyński gnębiony przez komunę nie odgrażał się i dążył do naprawy Polski, do dialogu, byśmy byli cywilizowani. Wtedy jeszcze w Polsce stacjonowały wojska radzieckie. Trzeba było wyważać i uważać.

Przemiany w ludziach zaczęły już po tragedii 1970 r. Pamiętam podwyżkę cen artykułów spożywczych z 1970 r. Byłem młodym człowiekiem, zawsze stawałem po stronie ludzi pokrzywdzonych. W budżetach większości rodzin dawała się odczuć bieda. Trzeba zawsze patrzeć na większość społeczeństwa, a nie elity, którym było dobrze. Zareagowałem w ten sposób, że dołączyłem do protestu stoczniowców w 1970 r.

Uczyłem się wtedy u prywaciarza, nie mogłem dojechać do pracy w Gdańsku, trwała walka, koncentrowała się przy domu partii. Ludzie szli tysiącami do centrum partii przy Dworcu Głównym i krzyczeli, że chcą chleba i pracy. Nie mogłem wtedy wrócić do domu, bo pociągi stanęły, przygarnął mnie jakiś pan na noc. W Gdyni też były potyczki na pomoście. Zatrzymałem się też w Gdyni, by zobaczyć, co się dzieje. Nabrałam wtedy przekonania, że trzeba walczyć z komuną. Miałem wtedy 17 lat, do domu dojechałem na wieczór. Ojciec martwił się o mnie bardzo.

Później pracowałem w stoczni, miałem kontakt z prasą podziemną, z ludźmi opozycji — przynosili różne broszurki, ulotki. Jeden drugiemu w tajemnicy przekazywał, trzeba było bardzo uważać. W stoczni było dużo ormowców, więc było trzeba naprawdę być uważnym. ORMO bazowało na zastraszaniu, na wprowadzaniu braku zaufania między robotnikami, by jeden na drugiego donosił. Jednak największą zasługę mieli dwaj mężowie stanu; gdyby nie oni, to sytuacja na pewno wyglądałaby inaczej. Jak Wyszyński przemawiał, to wszyscy go słuchali, miał posłuch. W czasie strajków komuna próbowała manipulować jego przemówieniem na Jasnej Górze, 26 sierpnia, ale to nie wyszło.

Ojciec Święty Jan Paweł II i Kardynał Stefan Wyszyński to moje życiowe autorytety.

Pracując w Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni, byłem monterem silników okrętowych, montowaliśmy silniki z Cegielskiego z Poznania pod nadzorem przedstawicieli tej firmy. Montowało się dźwigami — praca była ciekawa. Zawsze chciałem na tym wydziale maszynowym pracować — to był wydział, który się liczył. W próby morskie się statkiem płynęło po zamontowaniu silnika. Z osobami z zagranicy się wypływało w taki rejs próbny. Można było zarobić, bo były dodatki morskie. Człowiek był doceniony, że się sprawdził przy armatorze. Stocznia miała dobrych fachowców i renomę. Byliśmy 8 potęgą na świecie w czasach Gierka. Do 1976 r. stocznia się rozwijała bardzo dobrze. W czasach Gierka ludzie mieli pracę. Pracowało się po 12–14 godzin, ale ludzie chcieli pracować. To była praca zespołowa, w brygadzie było nas 14 osób. Mieliśmy pracę zmianową. Ja byłem w zespole — tam był mistrz, brygadzista i starsi fachowcy od nas, co mieli po dwadzieścia parę lat stażu, przy nich się jeszcze człowiek uczył.

Nastał rok 1980, wierzyłem, że zacznie się zmieniać. Pracowałem w stoczni. To był duży zakład. Pracowało tam 12 tys. Ludzie z całej Polski. Było dużo napływowych. U nich praca była mało płatna. W Gdyni był hotel robotniczy. Tam ci ludzie dostawali mieszkanie. Stocznia dawała im wszystkie warunki do dokształcenia się. W Gdyni była dla nich szansa. Gdynia w tamtych czasach była mocna. Marynarze przywozili różne towary i można było

dostać na hali wszystko. Wystarczyło mieć pieniądze. I tytoniowe produkty, i czekoladowe, i ubrania, i towary kolonialne.

W 1980 r. dochody były średnie. Pracowałem na wydziale maszynowym, który się liczył, jak się robiło nadgodziny, to można było zarobić. Nadgodzin się robiło 80 do 100. Można było zarobić 5 tys., a średnia to było 1200–1500. To było takim kosztem, że się nie było w domu, że się nie wychodziło z pracy. Ja pracowałem tak dużo z myślą o przyszłym mieszkaniu.

Później zaczęło się odwracać. PZPR tracił wpływy, zaczynały się strajki. Przed wybuchem strajków sierpniowych w pewnym sensie byłem zadowolony, że miałem stałą pracę, że za to, co przepracuję, zapłacą. Miałem też dobrą opinię, można było dostawać premie — to młodego człowieka mobilizowało. Możliwość awansu była raczej dla tych, którzy byli w organizacji młodzieżowej czy partyjnej. To byli swoi, pewni i oddani ludzie, a my byliśmy do pracy, nie mieli do nas przekonania i pewności, nie dowierzali nam do końca.

Przed Sierpniem 80 nie miałem styczności z jakimiś strukturami organizacyjnymi. Jak się na stołówce spotykaliśmy, to coś tam się rozmawiało, przekazywano nam jakieś ulotki. To byli ludzie z Gdańska, z KOR-u, Politechniki, Uniwersytetu. U nas to byli ludzie pracy, to było takie odrębne miasteczko, pracowało 12 tys. ludzi.

Sytuacja ogólnie była napięta, gdy wybuchł strajk w sierpniu 1980 r. Sam przebieg strajku w stoczni był dobrze zorganizowany. Cała struktura, nie było patologii, nie było antagonizmów, bo ten jest partyjny i trzeba go zlinczować. Ci partyjni stali z boku, bali się, czy ich nie wyrzucą z zakładu lub ich za bramę nie wywiozą na taczkach.

Uczestniczenie w strajku było zaszczytem. Gdy rozpoczął się strajk, byłem na urlopie. Już mi się kończył, dowiedziałem się w piątek, że są już jakieś niepokoje w stoczni. Poszedłem do stoczni w poniedziałek. Pierwsze dni to była konsternacja, człowiek nie wiedział, gdzie ma iść, co robić. Ja też miałem na początku problem z dołączeniem się, weryfikowali mnie na bramie strajkujący, wpuścili mnie, bo poręczyli za mnie ludzie. W niedzielę ksiądz Hilary Jastak przyszedł do stoczni, bo go poprosili, by odprawił mszę.

Andrzej Kołodziej miał bardzo trudną rolę, nie wzbudził zaufania od początku, ludzie mówili, że jest obcy. Jednak dzięki swoim umiejętnościom stanął na wózku i namówił do strajku. Andrzej Kołodziej miał wielki autorytet. Umiał pokierować strajkiem. Był bardzo młody wtedy. Zaufało mu 12 tys. ludzi. Ludzie pytali, skąd on jest, co on może wiedzieć. Mówili, że podstawiony. Andrzej miał wiedzę i doświadczenie. Miał charyzmę. Poznałem go w trakcie strajku. Chodził wśród ludzi wieczorami. Ludzie organizowali się na noc, bo trzeba było się przespać. Słuchało się radia BBS i Wolnej Europy, był w stoczni radiowęzeł, opiekował się nim Zygmunt Pałasz, można było nadawać komunikaty.

Jak ja wszedłem do stoczni, to już funkcje były podzielone na wydziałach, ja też jednak swoją funkcję miałem. Potrzebowali ludzi do straży. Chodziłem na warty. Nie mieliśmy żadnej broni. Brało się łom, pałę czy kątownik i się stróżowało. Na płotach były czujki co 150 metrów, przy płotach paliło się ognisko, nie było szmugli, nie wnoszono i nie wynoszono alkoholu.

Była dyscyplina, zwłaszcza po mszy św. niedzielnej. Ksiądz Hilary Jastak ma tu wielką zasługę, później każdego dnia po południu mieliśmy mszę św. Ksiądz Jastak i ojciec Ryba odprawiali te msze. Księża spowiadali, udzielali komunii św., to było bardzo ważne. Samoloty latały podczas mszy, zrzucali ulotki, by odwracać naszą uwagę, próbowali zamęt wprowadzić.

Widzieli, że stocznia trzyma się i jest mocna. Inne zakłady były mniejsze. Ludzie do nas przychodzili, dawali nam jedzenie, różne paczki, ogrodnicy nam przynosili pomidory, ogórki. Rodziny przychodziły z paczkami. Na bramie były posegregowane według wydziałów. Kontakty z rodziną były przez bramę. Wyjścia na miasto nie było. W jedną niedzielę do mnie żona przyszła z synem. To było duże przeżycie, bo człowiek nie wiedział, co go czeka. Szczególnie noce były ciężkie. Człowiek bał się desantu. Nie było czym się bronić. Śpiewaliśmy różne piosenki, układaliśmy wiersze i ballady. Duch rósł. „Boże nasz, Boże nasz, jak ten strajk długo trwa...” W tamtym czasie na morzu Ruscy mieli manewry, była psychoza, że wejdą. Ludzie pamiętali rok 1970. Obawialiśmy się, że może się coś stać.

Jak się dowiedziałem, że wybuchł strajk, to się rwałem, żeby jak najszybciej do kolegów dołączyć. Byłem na urlopie, urlop był wcześniej zaplanowany, po urlopie od razu

przybiegłem. Lecz wiele osób nie dołączyło się, co było na urlopach, albo brali jakieś zwolnienia. Nazywali ich łamistrajkami i źle patrzyli na nich po strajku, jak wrócili. Jeszcze żona do mnie mówi: „Ty jesteś na urlopie, a koledzy strajkują". Żona i rodzina nazwaliby mnie łamistrajkiem, gdybym się nie przyłączył. Mój brat, Marek, był przywódcą strajku. Uczestniczyłem od razu, jak mogłem. Oczywiście obawialiśmy się, że może wkroczyć wojsko i milicja, i spróbować spacyfikować zakład pracy. Mieli armię, milicję, ORMO i jeszcze manewry na morzu się odbywały. Słuchało się różnych komentarzy, głosów. Człowiek nie był przekonany, czy to się dobrze zakończy. Tym bardziej, że w naszym otoczeniu byli ludzie wrogo nastawieni do strajku. Byli partyjniacy, starzy, zagorzali, co mieli ileś orderów przyznanych, oni nie mogli się z tym strajkiem pogodzić, oni na pewno liczyli na to, że zostanie spacyfikowany i rozgoniony.

W naszej stoczni nie widziałem czegoś takiego, by ludzie wychodzili ze strajku. Była dyscyplina, młodzi ludzie byli zjednoczeni i zespoleni ze sobą, zapisywali się dobrowolnie na straże. Chodziło się po stoczni, po zakładach i pilnowało się porządku, czy nie ma dewastacji. Mieliśmy dobrą organizację. Kołodziej dobrze to ustawił. Byliśmy przekonani, że jeżeli się nie damy podzielić w zakładzie pracy, nie pokłócimy się — to wygramy. Stocznia była dobrze zorganizowana. Andrzej Kołodziej był przygotowany do tego strajku. To nie tak, że on przyszedł znikąd, stanął na wózku i przemówił. To szło z góry. To już od papieża się zaczęło. Taki duch, powiew. Ludzie czuli duchową i wewnętrzną wolność. Mieliśmy płomiennych kaznodziejów. Mieliśmy wszystko — cieśli, orkiestrę stoczniową (grali do mszy), ministrantów. Zbudowaliśmy krzyż metalowy.

Cały czas na bramie siedziało mnóstwo ludzi. Słuchali komunikatów od swoich przedstawicieli. Każdy wiedział, co ma robić. Było to organizacyjnie dograne. Mieliśmy nagłośnienie ze stoczni w Gdańsku, wiedzieliśmy, co się dzieje. Andrzej Kołodziej jeździł do Gdańska i przywoził informacje. Stocznia im. Komuny Paryskiej to druga największa stocznia na Pomorzu. W mniejszych zakładach wyglądało to inaczej.

Było zaufanie społeczne do przywódców. Był autorytet tego przywódcy. Miał posłuch i autorytet. Było to potrzebne wtedy, bo były duże emocje. Starsi siedzieli spokojnie z boku, szczególnie ci działacze partyjni, bali się, że mogą wszystko stracić. To była taka rewolucja, tyle osób protestowało. Później, jak już przynosili posiłki, to się jadało coś wspólnie. Stocznia miała swoją stołówkę, to jakaś zupę się dostało, jakąś wodę mineralną. Piekarze przywozili chleb, masło, to wtedy to dzielili, bo byli za to odpowiedzialni ludzie.

Pierwsze dni były bardzo trudne. Człowiek wziął ze sobą tylko śniadanie. A siedzieliśmy ponad dwa tygodnie w stoczni. Walczyliśmy z dnia na dzień. Na początku rodzina przynosiła posiłki. Ktoś z kolegów coś dostał, to się dzieliło z innymi. Była solidarność między nami, więź. Była życzliwość i koleżeństwo. Czas wolny spędzano tak, że zawsze po południu była msza. Później słuchało się relacji z Gdańska. Słuchało się radia. Robiło się kawę, w swoim gronie się rozmawiało, omawiało się plany. Były nawet występy. Przyjeżdżali artyści i kino objazdowe nawet. Raz przyjechało kino objazdowe — gość na motorze przyjechał. Film się oglądało. Nikt się nie nudził. Człowiek czuł, że spełnia swoją rolę w historii. Były nas tysiące. Czuliśmy się jedną rodziną.

Dostawaliśmy wydrukowane informacje, biuletyny. Mieliśmy w stoczni swoją drukarnię. Były apele, na których informowano. W drukarni były osoby z naszego komitetu strajkowego i drukowali. Struktura była dobrze rozbudowana. Dalej szły nawet od nas ulotki. Szło się też pod bramę, to ludzie przekazywali informacje. Działał radiowęzeł, obsługiwał go Zygmunt Pałasz, z widzenia znałem drukarzy, ale nazwisk nie pamiętam. W czasie strajku mieliśmy też ambulatorium strajkowe. Jak ktoś się źle poczuł, to wspomagali nas, dawali tabletki. Jak ktoś ze starszych się źle poczuł, to jak lekarz zaświadczył, to można było wypisać taką osobę. Była też straż pożarna i wartownia. To my przejęliśmy zakład i zabezpieczaliśmy go.

Na początku strajku dyrekcja była, a później — nie wiem, co się z nimi działo. Na nich nikt nie zwracał uwagi. Oni nie mieli nic do odegrania w tamtym czasie. Dla nas wtedy nie istnieli. My mieliśmy wtedy swoich przywódców strajkowych, którym zaufaliśmy.

Jak ustalano listę postulatów, dla mnie najważniejsze było to, żeby powstały wolne związki zawodowe. My tak mówiliśmy, że jeżeli będą wolne związki, to będziemy mieć swoich przedstawicieli, ludzi wybranych spośród nas, by nas reprezentowali i o nas walczyli.

Związki zawodowe w stoczni to były związki branżowe, był obowiązek zapisywania się do nich. Po 1980 r. już te związki nie miały żadnych wpływów. Było ich 10%, a nas 90.

Czasami pod stocznię podjeżdżali dziennikarze. Ja żadnych wywiadów nie udzielałem. Byli do tego wybrani odpowiedni ludzie, oni się wypowiadali na temat strajku. Robotnicy bezpośrednio nie mieli kontaktu z prasą.

Rodzina bała się o brata i o mnie, to normalne, ale byli dumni — dwóch synów strajkowało, jeden w jednej, drugi w drugiej stoczni. Była specjalna poczta strajkowa podziemna, do brata list pisałem, do Stoczni Gdańskiej. Szło to pocztą opieczętowaną, każdy dzień miał swoją pieczątkę podczas strajku. Wracając do tamtych lat... nieraz mi się ten strajk śnił.

Moment podpisania Porozumień sierpniowych dobrze pamiętam. Na ten dzień czekaliśmy jak na zmiłowanie. Tak jak teraz na wiosnę czekamy. Czuliśmy, że jesteśmy blisko finału. Tyle już przetrwaliśmy w stoczni. Nie było żadnych prowokacji z miasta, desantu. Dzień wcześniej podpisali w Szczecinie. Słuchaliśmy tych przemówień. Jagielski przyjeżdżał. To była niedziela. Po południu ogłosili. Wybuchła euforia. Zmobilizowaliśmy się. Była jeszcze msza. Zaśpiewaliśmy „Boże coś Polskę". W poniedziałek — do pracy na swoje stanowiska. Z ekipy zostały osoby, by uporządkować i przygotować zakład do pracy. Główny cel został osiągnięty. Byliśmy posłuszni swoim przywódcom. Wróciłem do domu. W domu entuzjazm. Czułem się jak bohater, jakbym z frontu wracał.

Do Solidarności zapisałem się od początku i do dzisiejszego dnia jestem. Nie byłem kapryśny, złożyłem przysięgę, zaufałem. Zostałem na dobre i na złe. Mieliśmy swojego ojca duchowego, Jana Pawła II, który nami kierował. Część ludzi pobłądziła, odeszli. Na wydziale od razu się zapisywali i nie było żadnych problemów. Nie było takich przypadków, by osoby, które strajkowały, nie zapisały się — wszyscy się zapisali do Solidarności. Początkowo na wydziale było trochę trudno, partyjniacy dalej chcieli mieć swoje wpływy, jak przed strajkiem. Ludzie jednak śmiali się z nich, wygwizdywali ich. Później byłem w strukturach związku.

Do 1987 r. pracowałem w stoczni i działałem. W 1987 r. odszedłem, brakowało mi pieniędzy, pracowałem trochę za granicą. W 1993 wróciłem do Stoczni Remontowej „Nauta". Tam też byłem w Solidarności, jeździłem na różne szkolenia. Dzisiaj też jestem w Solidarności. Byłem inicjatorem budowy pomnika księdza Hilarego Jastaka w Gdyni (u mnie ksiądz Jastak był ze trzy razy, wspierał, zawsze czas znajdował). W Solidarności zostanę do końca, dziwię się tym ludziom, co walczyli o swoje prawa i odeszli, bo coś tam im nie wyszło.

Z mojej obserwacji mogę powiedzieć, że ludzie przystępowali do Solidarności w zasadzie na wszystkich wydziałach w stoczni, malarze, kadłubowcy, służba zdrowia. Myślę, że 90% śmiało należało. Nawet partyjniaków dużo się zapisało, bali się, co z nimi będzie. Jak poczuli się pewniej, to niektórzy z nich odeszli i wrócili do partii. W stoczni, do stanu wojennego, sytuacja była pod kontrolą związku, miał swoich ludzi, sprawdzał, kierował. Liderzy zostali. Byli sprawdzeni, wiec zostali. Może coś na innych wydziałach się zmieniali, ale dużo zostało. Mieli oni autorytet, załatwiali problemy ludzi.

Działania członków PZPR w pierwszym okresie działania Solidarności były znikome, oni się nie mogli odnaleźć. Nie wiedzieli, jak z ludźmi rozmawiać i przekonywać. Dla nas się już nie liczyli, byli spaleni. Jak człowiek widział sekretarza, to mu wyrzucił wszystko złe, co nam zrobili. Oni nic nam nie mogli zrobić. Tego się bali, że w takich dużych strukturach już nie mają żadnych wpływów. Dyrekcja też się bała. Nie wiedzieli, co z nimi będzie. Liczyli się z Solidarnością w stoczni. Gdyby coś było nie tak, od razu byłby proces. Liczyli się do stanu wojennego z Solidarnością.

Ludzie nie byli degradowani ze stanowisk pracy, chyba że ktoś podpadł. Wszyscy pracowali normalnie. W zakładzie pracy po strajku zmieniło się to, że inaczej podchodzili kierownicy, brygadziści i mistrzowie. Mieli do ludzi większy szacunek. Już nie mogli tak jak kiedyś pomiatać ludźmi.

Mieliśmy dobrych przywódców w Solidarności, którzy nas reprezentowali. Wspierały nas komisje mieszkaniowe Solidarności — mnie się tak udało dostać mieszkanie w Wejherowie, dzięki ich interwencji. 1 lipca 1981 r. dostałem mieszkanie i nadal tu mieszkam. Solidarność dbała o nas. Dostałem to mieszkanie i żyję sobie teraz spokojnie na emeryturze.

Mam z kontakt z kolegami z pracy, spotykamy się od czasu do czasu. Uczestniczę w różnych spotkaniach i zebraniach, Wigilia, Dzień Stoczniowca, itp. — opowiadam ludziom, co, gdzie i jak się działo w stoczni.

Największym osiągnięciem Solidarności było zwycięstwo. Nasze wspólne zwycięstwo, żeśmy doczekali wolnych związków zawodowych i szczęśliwe strajk zakończyliśmy. Dzięki nam inne zakłady w Polsce się budziły. Każdy chciał też u siebie takich zmian, jak tu na Wybrzeżu były. To była odwaga w tamtych czasach. Nie mogliśmy przewidzieć, jak to się zakończy. Spodziewaliśmy się może i tragicznego zakończenia.

Wprowadzeniem stanu wojennego byłem przerażony. To była niedziela. Rano usłyszałem, to było po siódmej, coś drży, coś się dzieje. Jedzie coś po szosie w stronę Gdańska. Patrzę, a to czołgi, transportery. Włączam telewizor, a tu Jaruzelski ogłasza wprowadzenie stanu wojennego z soboty na niedzielę. Było przerażenie, nie wiedzieliśmy, co nas czeka. Komuniści nie mogli się pogodzić, że wprowadzono wolne związki zawodowe, chciano nas zastraszyć. Człowiek się wszystkiego w tamtym czasie obawiał. Komuniści mieli swoje plany, nie mogli przegryźć tego, że im się władza wymyka. U nas było wielkie zaskoczenie związane ze stanem wojennym. Była konsternacja, obawa, co nas czeka. Działaczy wyższych pozamykali — w nocy po mieszkaniach chodzili i zamykali. Ja się nie musiałem ukrywać, bo nie byłem bardzo wysoko w strukturach. Mój brat Marek, był przywódcą, na niego mieli oko. Marek został skazany w czasie stanu wojennego i jego aresztowali.

Pracowałem w stoczni, chodziłem i pracowałem. Dostałem korespondentkę, że muszę się rano zgłosić do stoczni, dnia 24 grudnia, w celu stawienia się na statku „Gen. Kleeberg", by go doholować do „Dalmoru". Musiałem to polecenie wykonać, zgłosić się. Gdybym się nie zgłosił, to było podane, że oskarżą mnie zgodnie z kodeksem w stanie wojennym. To był wtedy przymusowy urlop przed Świętami, a mnie wezwano. Poszedłem do stoczni, a tam wojska. Na bramie mnie zatrzymali, sprawdzali mnie. Idąc przez stocznię, widziałem wszędzie czołgi i transportery. Na wydziale czekali na mnie mistrz, kierownik, brygadzista. Przebraliśmy się i popłynęliśmy. Gdybym się nie zgłosił, to na pewno by mnie zamknęli. Żona mówiła, żebym poszedłem. Oko na mnie mieli, bo wiedzieli, że brat działał w Stoczni Remontowej „Nauta".

Później wróciłem do domu i Wigilia była taka smutna. Wszyscy mieli urlop, a ja musiałem się stawić w Wigilię; było nam przykro, że niedawno wywalczyliśmy, a już jest stan wojenny. Moim obowiązkiem było wspieranie brata. Dla rodzin, których członkowie byli internowani, zbierało się paczki. Wspomagało się ich pod patronatem księdza Jastaka. On kierował tą akcją — były msze w ich intencji. Nawet żona nie wiedziała, że działałem w strukturach podziemnych. Działałem, jak przywódców pozamykali. Pieniążki się dla nich zbierało, paczki, wsparcie duchowe okazywało. Dostawali różne zapomogi. Ci ludzie zostali bez żadnych środków do życia. Komuna była znów mocna i robiła, co chciała z narodem. Na wiosnę zaczęły się protesty, to się jeździło. Do Gdańska do Brygidy jeździłem, w Gdyni w strukturach działałem.

Wprowadzenie stanu wojennego oceniałem bardzo negatywnie. Wiedziałem, że to, o co wywalczyliśmy, komuna zatraci. Komuna nie mogła się pogodzić z naszymi osiągnięciami. U nas była Armia Czerwona, baliśmy się, że mogą do nas wejść jak do Czechosłowacji. Ruscy jednak się bali, bo był Reagan i Jan Paweł II, zaniechali wejścia.

W czasie stanu wojennego byłem w strukturach związku. Spotykaliśmy się na mszach za ojczyznę, jeździło się do Warszawy i do Częstochowy — tam się spotykało ludzi pracy, tam była nasza wolność, na Jasnej Górze. My tam się czuliśmy jak u siebie, jak Ojciec Święty powiedział: „Tu zawsze byliśmy wolni..." i byliśmy. Spotykaliśmy się, wystawialiśmy nasze transparenty, wymienialiśmy się materiałami, broszurami. Tam były mocne struktury Solidarności. SB na pewno nas śledziła, robili jakieś zdjęcia. Później włączyłem się w działalność ks. Popiełuszki (jego msze za ojczyznę), komuna bardzo się go bała. Nie mogła tego znieść, że on wychodził do ludzi.

Miałem kontakt z ludźmi z opozycji, spotykało się z nimi po mszach. Pamiętam, jak do kościoła św. Brygidy przyjechał senator Edward Kennedy — przywiózł wsparcie finansowe. Przekazał Bujakowi.

Była działalność charytatywna. Wspierano te rodziny, których członków internowano. Ksiądz Hilary Jastak organizował msze św. i wyczytywał osoby internowane, by jak najszybciej ich uwolnić. Protestowaliśmy w kościele, ks. Hilary Jastak nic się nie bał. Wiedział, kto jest służbowo, więc apelował do nich, by wychodzili, bo to nie jest ich miejsce. Jego

też szykanowała komuna strasznie. To był kapłan z charyzmą, znał się dobrze z kardynałem Wyszyńskim. Ks. Jastak w stoczni udzielił zbiorowego rozgrzeszenia, bo było duże zagrożenie. Później powiedział, żeby po strajku pojednać się z Bogiem. Jestem dumny, że go poznałem i gościłem, bywał u mnie, mam z nim zdjęcia. Ks. Jastak był honorowym kapelanem stoczni w Gdyni. Lech Wałęsa nie wręczył ks. Jastakowi orderu, nie znalazł czasu. Nam było przykro z tego powodu. Wałęsa nas zostawił, niepotrzebnie się pchał na prezydenta.

Dążyłem do tego, by dalej były realizowane postulaty z 1980 r., byśmy czuli się wolni w naszym kraju, byśmy się nie bali. Dążyłem do tego, by dawna Polska i to nasze zacofanie odeszło do lamusa. Chciałem, by Polska otworzyła się na zagranicę. By się zmieniało.

Po stanie wojennym pracowałem na swoim wydziale, w swoim zawodzie. Dostałem mieszkanie, urządzałem się, pilnowałem spraw rodzinnych. Chciałem wyjechać za granicę.

Działałem w związkach, byłem aktywny. Jeździłem na spotkania patriotyczne. Jeździłem na grób księdza Popiełuszki. Do Lichenia to nawet w stanie wojennym pojechaliśmy. Mieliśmy sztandar. W Licheniu weszliśmy ze sztandarem do kościoła; nie każdy miał wtedy odwagę. Śpiewaliśmy „Boże, coś Polskę". Zaraz po tym na Jasną Górę pojechaliśmy. Tam się niczego nie baliśmy. Rozkładali wszyscy swoje sztandary. Ja zawsze popierałem każdy strajk robotników, szczególnie w stoczni, cały czas byłem związany z opozycją i ruchem związkowym.

Odszedłem ze stoczni w 1987 r. Zmieniłem zawód — to była firma usługowa, myliśmy okna.

Śledziłem obrady „okrągłego stołu", ale przekonany do końca nie byłem, że idzie to w dobrym kierunku. Koledzy ze stoczni też do końca przekonani nie byli. Tam, w tej Magdalence, to chyba chodziło o to, by się nikomu nic nie stało, by przejąć banki. Nam nic nie zaoferowali. Tak to oceniam. W wyborach czerwcowych (4 czerwca 1989 rok) w Wejherowie z ramienia AWS byłem mężem zaufania. Pilnowałem tego wszystkiego, nawet dwa czy trzy kazałem przeliczać. Nie było tu żadnych przekrętów. Byłem też z ramienia Komitetu Obywatelskiego w strukturach Lecha Wałęsy.

Obecnie, dzięki Bogu, dwa lata jestem na emeryturze. Pracowałem na wydziale w warunkach szczególnych, dlatego szybciej mogłem przejść. W naszych postulatach było, by w szczególnych warunkach osoby pracujące szły na emeryturę od 55 lat. Jestem normalnym człowiekiem, żyję skromnie, mam mieszkanko, rodzinę, działkę. Mam tu kolegów, znajomych. Biorę udział w różnych uroczystościach, także w poczcie sztandarowym.

Mój osobisty życiowy sukces to jest to, że brałem udział w 80 roku w strajku. To był strajk historyczny, przełomowy. To zostało zapisane w historii, tego nikt nie wymaże z historii. Z tego jestem dumny. To, że niektórych rzeczy się nie zrealizowało — takie jest życie, chociaż bardzo szkoda.

Czuję, że jeszcze finał nastąpi. Nie o coś takiego walczyliśmy. To się musi jeszcze zmienić.



Marek Formela — w 1980 r. zamieszkały w Rumi, obecnie mieszkaniec Gdańska. Przywódca strajku sierpniowego w Stoczni Remontowej „Nauta" w Gdyni. W stanie wojennym skazany i uwięziony za zorganizowanie strajku.

W sierpniu 1980 roku były u nas takie załamania, nie załamania. W Stoczni Komuny Paryskiej już był strajk, trwał w strajk Porcie, a u nas jakoś w Stoczni Remontowej „Nauta" nie mógł się utworzyć komitet strajkowy. No i na wydziale PD, chłopaki przyszli do mnie, Zbyszek Przybylski, śp. Edmund Żelewski — i to oni zachęcili mnie do tego, bym stanął na czele tego strajku i go utrzymał, żebym stworzył te możliwości, by i u nas też coś się działo. Nie mogło być tak, że wszędzie strajkują, a u nas nic nie ma. Wszedłem tam na trybunę i zacząłem trzymać ten zryw solidarnościowy. Po 2–3 dniach tego działania głos mi po prostu zanikał. Pielęgniarki dały mi jakieś odżywki i głos mi wrócił. Później przyjechał — dzisiaj wiem już na pewno — Andrzej Kołodziej z kimś i zachęcali nas do strajku. Mówili, dlaczego się obawiamy do tej pory.

Już w trakcie strajku stoczniowego w „Naucie" pierwszy sekretarz, Tadeusz Mucha (nie pamiętam dokładnie, ale prawdopodobnie tak się nazywał), próbował wejść na trybunę i powiedział, żeby zakończyć ten cyrk, tu nie będzie żadnych strajków i mamy iść do roboty. A ja odpowiedziałem, żeby on się zabierał i że będzie tu strajk. Przyszedł też dyrektor Jerzy Pawlak, bardzo sympatyczny pan, i powiedział, że jest tu dyrektorem i mamy to skończyć. Odpowiedziałem mu, że miło mi go widzieć. Pierwszy raz go widzę, i dzięki temu, że jest ten strajk, to mam okazję go widzieć na żywo, bo tak to jest ciągle w gabinecie, a ja na wydziale produkcyjnym.

No i tak to mijały te dni, chociaż były też takie sytuacje — jak już wszyscy strajkowaliśmy — że niektórzy ludzie chcieli pojechać pomóc na wsi w żniwach, mieszkali oni w różnych stronach. Podchodzili do mnie i prosili, żeby mogli wyjść, żeby ich puścić i nie nazywać ich łamistrajkami. Sytuacja wymagała wyczucia, bo różnie załoga reagowała. Jeden siedzi w stoczni, a inny gdzieś sobie wyjeżdża. Ja siedziałem od początku w stoczni od 15/16 sierpnia aż do podpisania naszych Porozumień sierpniowych. Podjąłem jednak decyzję, że puszczałem ludzi na te żniwa, a oni przyjeżdżali, dalej strajkowali i byli normalnie traktowani. Żniwa to chleb i są potrzebne, a że strajk też był wtedy potrzebny, trzeba było to godzić. To była inna mentalność, inne życie.

Dzisiaj jest to ciężko zrozumieć po 35 latach, o co tam w ogóle chodziło. Pokazywali, jak Wałęsa podpisał Porozumienia, niby zamknięto strajk, ale ja byłem nieufny. Porozumienie porozumieniem, ale my mamy nasze wewnętrzne 15 postulatów i je podpisałem z dyrektorem Jerzym Pawlakiem, więc dopiero po 18-tej (ok. 18.15), zakończył się oficjalnie strajk w naszej stoczni. Podziękowałem wszystkim za wytrwałość i udział w strajku, zaśpiewaliśmy „Boże, coś Polskę", hymn polski i rozeszliśmy się do domów.

Gdy ogłoszono stan wojenny, byłem w domu. Dowiedziałem się z 12 na 13 grudnia, że jest stan wojenny. Będąc chłopakiem dwudziestoparoletnim, pierwszy raz w życiu usłyszałem o stanie wojennym. Rozumiem, co to była II wojna światowa, ale nie wiedziałem, co to takiego stan wojenny i nie mogłem tego zrozumieć. Przyjechałem do zakładu pracy — tam były takie dziwne różne sytuacje, że niby mamy robić, ale i nie mamy robić. Dowiedzieliśmy się, że Eugeniusz Możejewski i śp. Edmund (Mundek) Żylewski zostali internowani, więc z kilkoma chłopakami ode mnie z komitetu zrobiliśmy strajk. Chociażby z tego powodu, że kierowała nami młodzieńcza werwa. Wieczorem przyjechał tam jakiś pułkownik, nie wiadomo skąd, jakiś wojskowy, i chciał wejść na teren zakładu pracy. Powiedziałem, że nie wpuszczę go z bronią, coś w tym rodzaju. Później wpuściliśmy, a on mi mówi, że my musimy — cała załoga — natychmiast opuścić stocznię. Powiedzieliśmy, że nie opuścimy stoczni teraz wieczorem, gdyż mamy nauczkę z roku 1970, że może to być nieprzyjemne, więc dopiero rano ewentualnie opuścimy stocznię. Zostaliśmy do rana, odśpiewaliśmy „Boże, coś Polskę" i o godz. 6–7 opuściliśmy stocznię. Wtedy stocznię zmilitaryzowano.

Poszedłem do domu, ale jakiś czas później zgarnęła mnie Służba Bezpieczeństwa, no i się skończyło tym, że wylądowałem w areszcie na ulicy Starowiejskiej. Ze Starowiejskiej mnie zawieźli do Marynarki Wojennej na Kamienną Górę na Korzeniowskiego 7. Tam komandor podporucznik Konrad Hankiewicz postawił mi zarzut, że jestem niebezpieczny dla Układu Warszawskiego. Po tym wywieźli mnie na ul. Okopową do Gdańska, tam po 2 tygodniach przerzucili mnie ul. Kurkową, z Kurkowej pojechałem do Koronowa, a z Koronowa do Potulic. Dopiero z Potulic wyszedłem na wolność. Nie byłem internowany, byłem skazany i odbyłem karę więzienia. Po wyjściu z zakładu karnego w ramach abolicji, dzięki temu że Jan Paweł II był papieżem, przyjechała jakaś ekipa mundurowych z Bydgoszczy — bo ja z dekretu stanu wojennego byłem skazany — i mnie wypuścili, więc 16 grudnia wróciłem przed Bożym Narodzeniem do domu.

„Okrągły stół", krótko powiem, to nieporozumienie. Nie byłem uczestnikiem „okrągłego stołu", ale to, co miało miejsce przy „okrągłym stole", to było za szybko i nieuczciwie. Dzisiaj Komorowski chwali się tym, że od 4 czerwca 1989 r. jest 25 lat wolności. Jaką my mamy wolność? Nie rozumiem tej wolności. Boli mnie to, że próbuje się zatuszować sierpień 80 roku, a wymyślają, że jedynie czwarty czerwca 1989 r. jest najważniejszy. Szczególnie prezydent Komorowski mówi, że on był skazany, że odwiedził Białołękę, miesiąc czasu siedział izolowany i wielki bohater. O zwykłych bohaterach się dziś zapomina.

Gdybym mógł coś zmienić, to chciałbym, żeby dzisiaj wrócić do tego, cośmy wywalczyli, do tych 21 postulatów. Przede wszystkim powinniśmy pracować 5 dni w tygodniu, a sobota i niedziela wolna. Dzisiaj, jak tych obecnych polityków słucham, to mnie jasny szlag trafia! Pani Bieńkowska mówi, że za 6 tysięcy złotych to frajer albo złodziej pracuje. Boli mnie to, że oni zapomnieli, z jakiej miski jedli. Myśmy byli wszyscy prostymi ludźmi i walczyliśmy o to, żeby socjalne sprawy w stoczni poprawić, a zrodziło się to, co się zrodziło...

Kiedyś każdy się pchał do Wałęsy rękami i nogami, a dziś go opluwają... Nie było wtedy kozaków, każdy mógł być Wałęsą. Kiedyś już to mówiłem, że każdy z nas jest „mini Wałęsą", tak to nazywam. Bo nie jest tak, że ktoś robił więcej w strajku, a ktoś mniej. Wszyscy zrobiliśmy dużo, bo było nas 10 milionów, a dziś jak jest milion, to jest wszystko. Dzisiaj nie czuje się tej solidarności, co w sierpniu 1980 r. i to mnie boli.

Chciałbym, żeby ludzie godnie byli wynagradzani i spokojnie żyli. Jesteśmy niby w Unii Europejskiej, a zarobki dalej mamy takie jak na wschodzie. Jeżdżę za granicę, byłem w pracy w Norwegii, w Danii, w Niemczech. Jakoś dziwne jest to, że tam dostaję większe pieniądze. Nie rozumiem tego. Widocznie jestem za mały i miękki żuczek, żeby to zmieniać.



Krzysztof Garstkowiak — ur. 11 grudnia 1954 r. w Rumi. Wykształcenie zawodowe, o specjalności operator ruchowo-przewozowy. Po ukończeniu szkoły powołany do wojska. Uczestnik wydarzeń grudniowych 1970 roku w Gdańsku. Aresztowany i sądzony. Pracował na kolei, później zatrudniony w firmie geodezyjnej „Geoprojekt" Gdańsk, pracującej na terenie Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni. Członek Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego. Uczestniczył w strajkach sierpniowych 1980 r. Od 1980 r. członek NSZZ „Solidarność". Archeolog amator. Autor wielu odkryć archeologicznych na terenie Pomorza. Opiekun projektu „Osada łowców Fok" w Rzucewie. Obecnie sołtys wsi Osłonino.

Mama pochodziła z Rumi, tato z poznańskiego. Cały ród ze strony mamy pochodzi z Chłapowa. Dziadek ze strony mamy służył w czasie pierwszej wojny u Wilhelma. Mam niektóre jego dokumenty, udało mi się je uratować. Mama była Kaszubką, dziadek i babcia mówili po kaszubsku. Tato pochodził z Jarocina koło Pleszewa. Pływał na statku, mam jego książeczkę marynarską. Mój ojciec był uczciwym człowiekiem i ja byłem tak samo wychowany. To jest dla niektórych teraz anachronizm — domowe wychowanie w uczciwości, nie kradnij, etc. Tamto pokolenie było troszeczkę inaczej wychowywane, mniej konsumpcyjnie. Miałem wykształcenie zawodowe. Zasadnicza Zawodowa Szkoła o profilu przewozowym, mój tytuł: operator ruchowo-przewozowy, tak mam na świadectwie.

W Gdańsku miałem wielu przyjaciół, znajomych. Tam poznałem pisarza Lecha Bądkowskiego, lidera opozycji demokratycznej. To były cichociemny zrzucony z Anglii. U niego się to życie opozycyjne koncentrowało. Zostałem zaproszony do Bądkowskiego przez jednego fotografika, który za mnie zaręczył. Dał mi książkę drukowaną w drugim obiegu. Nikt głośno o historii wtedy nie mówił, Katyń itd. Jasne, w kuluarach się mówiło, ale nie głośno.

W „Dzienniku Bałtyckim" — gazecie, która wychodzi do teraz — pojawiło się moje zdjęcie i artykuł o mnie, miałem odkrycia archeologiczne. Historia to była moja pasja, latałem z saperkami, czytałem, co mogłem, co było dostępne. Interesuje mnie też architektura.

W 1970 r. jeszcze się uczyłem. W pamiętnym grudniu 1970 r. rano przyjechałem do szkoły,

był już „tygiel" przed domem partii. Tłukłem się z milicją, zdobywałem dom partii, dom związkowca. Podeszliśmy pod areszt, wtedy wszystko płonęło, bruk na ulicy wyrwany. Wtedy nic się nie myślało, tylko się działało spontanicznie. Otoczyli nas w rejonie bramy Wyżynnej. Nie było gdzie uciec. Tam nas do nysek wrzucali (nie byli w mundurach) i wywieźli na Kurkową do aresztu. Przesłuchanie, prostowanie pleców, bicie. Wypuścili mnie, miałem rozprawę, uniewinnili mnie.

W 1980 r. mieszkałem z rodzicami, zarabiałem na siebie i pomagałem rodzicom. To było wtedy normalne, że się wspierało rodziców, dokładając do gospodarstwa domowego. Byłem kawalerem, z Rumi dojeżdżałem do pracy do Gdyni do Stoczni Komuny Paryskiej.

Wykształcenia nie mogłem uzupełniać, bo chyba miałem jakąś blokadę polityczną. Może to za ten Grudzień się tak ciągnęło. Jak składałem dokumenty do technikum, to zginęły. Uczniem byłem dobrym. Nie było mi dane uzupełnić wykształcenia. Ledwo szkołę skończyłem i już za półtora miesiąca dostałem powołanie do wojska — wakacje się skończyły i już szedłem do wojska, nie miałem jeszcze 19 lat. Byłem przerzucany po różnych jednostkach.

Po wojsku wróciłem na kolej do pracy, ale nie mogłem wrócić na swoje stanowisko, tylko kazali mi wózkiem wozić paczki. Powiedzieli, że nie ma dla mnie etatu jako dla maszynisty. Nie zgodziłem się, na to i zrezygnowałem. Początkowo nie mogłem znaleźć pracy.

Pomógł mi znajomy. Załatwił pracę w geodezji. Robiłem różne kursy wewnętrzne doszkalające. Musiałem się tego wszystkiego nauczyć. Uczyłem się na bardzo dobrym sprzęcie, bo firma obsługiwała stocznie, etc. Sprzęt był klasowy. Budowy były w Czechosłowacji, Iranie, itd. Wiele lat spędziłem w tej firmie. Znałem praktycznie każdą ścieżkę i stołówkę. To był potężny zakład. Wiele osób znałem, bo się współpracowało się z nimi. Pracowałem w Stoczni Komuny Paryskiej w Gdyni. Nasza firma obsługiwała suchy dok SD-2 przy wielkiej suwnicy bramowej. Wiele lat pracowałem przy obsłudze statków (wytyczanie szyn na pokładzie itd.). Całą infrastrukturę w stoczni ta firma obsługiwała. Mieli bardzo dużo kontraktów zagranicznych, ale ja pracowałem w Polsce.

Nie należałem nigdy do takich organizacji jak PZPR, ZMS, związki zawodowe CRZZ. Należałem do harcerstwa i Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego.

Jestem wyznania katolickiego; teraz chodzę do kościoła, kiedy mam potrzebę, a nie co niedzielę. W 1980 r. chodziłem do kościoła, ale nie bardzo regularnie. Moja praca wiązała się z tym, że były i takie sytuacje, że i w niedzielę pracowałem.

Poglądy były jednoznaczne — to w końcu musi wszystko „pęknąć". Każdy wtedy słuchał Radia Wolna Europa; chociaż była bardzo mocno zagłuszana, ale słuchało się. Nie uczestniczyłem w wyborach, chodziło się na różne spotkania w zamkniętych kręgach. Instynktownie się przeczuwało, że to runie, to tylko kwestia czasu i odpowiedniego momentu. Każda podwyżka żywności i podstawowych artykułów irytowała, była obawa, że zabraknie pieniędzy na życie. Chciało się, by wreszcie się to wszystko rozpadło. Zarabiało się mało, więc się te podwyżki odczuwało.

Spotykałem się z ludźmi opozycji, między innymi z Lechem Bądkowskim, dostawałem od niego i jego zaufanych ludzi prasę podziemną. Na tej zasadzie to było. Ta konspiracja miała sens, środowiska hermetyczne miały sens. Znało się dwie, trzy osoby, przez które przechodziła prasa i książki z drugiego obiegu. Spotykało się po mieszkaniach — była to celowa taktyka, by unikać wzroku SB. Trudniej im było rozpracować takie grupy opozycyjne. Przeszło to do nas od AK — im mniej wiesz, tym lepiej. Chociażbyś chciał zdradzić, to znasz tylko dwóch i to nie zawsze z nazwiska. Jak pierwszy raz zostałem wprowadzony do Lecha Bądkowskiego — bardzo zapadło mi to w pamięci — wprowadzał mnie zaufany człowiek, rekomendował mnie i ręczył za mnie ten fotografik, że jestem pewny, że nie jestem wtyczką.

Zresztą pisarz, Lech Bądkowski, był moim autorytetem życiowym. Ten człowiek znał życie. On był cichociemnym, już będąc w Anglii napisał myśl polityczną o Kaszubach. Człowiek bardzo dalekowzroczny. Należałem wtedy do Zrzeszenia Pomorsko-Kaszubskiego w Gdańsku, więc się z nim stykałem. Był przez jakiś czas prezesem, później doradcą. Miał doświadczenie życiowe, wojenne. Był dla mnie wzorcem. Rodzina tak samo. Ojciec zawsze mi tłumaczył, co i jak robić, jak żyć. Nie raz mnie zlał.

Moim zakładem pracy była firma „Geoprojekt" Gdańsk, z niej byłem oddelegowany do Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni. Było nas tam trzech, czasami czterech. Obsługiwało się statki, podtorza, hale. Wytyczaliśmy piony, poziomy. Sprzęt był super na tamten czas. W latach 1975–1991 pracowałem w stoczni z 8 lat, tam mnie oddelegowano z mojego zakładu pracy. Mieliśmy całkiem inne przepustki niż stoczniowcy, niczego nie odbijałem tak jak oni. Pracowało się też wieczorem, i rano, i na noc. Zdzisław Brauer stał na czele naszego zespołu geodetów, mieszkał w Gdyni. Można było awansować, jeżeli się jakiś kurs zrobiło — to wtedy w Warszawie, gdzie mieliśmy centralę, robili nam różne testy i to się wiązało z podwyżką finansową. Było trzeba zdać teorię i praktykę. Chyba nie awansowałem przed samym strajkiem, zresztą teraz nie pamiętam.

Mieszkałem z rodzicami i dokładałem się do gospodarstwa domowego. Źle nie miałem, wchodziły nadgodziny, dodatki uciążliwe. Dużo pracowałem w ciężkich warunkach, więc nie miałem tak źle. Jeżeli chodzi o „Geoprojekt", to byłem zadowolony. Miałem fajny zespół ludzi, z którymi pracowałem. Szedłem z chęcią do pracy. Miałem kontakt z ludźmi. W zakładzie też dwóch moich szefów z firmy, to byli zatwardziali antykomuniści. Podstawowa Organizacja Partyjna była też w pracy, chcieli mnie zwerbować. Brzydko im odpowiedziałem, że wolałbym do SS należeć, więc u sekretarza miałem przechlapane. U szefów natomiast, którzy mieli już dobre układy z głównym kierownictwem, miałem chody. Rozmawialiśmy często o komunie i naszych poglądach. Bernard Kozłowski — jeden szef i zastępca dyrektora — Wiesław Garbusiński, byli zagorzałymi antykomunistami.

Tak, zdarzały się patologie. Było pijaństwo. To był taki czas sowietyzacji. Łatwiej kierować człowiekiem, który pije. Zdarzały się patologie w zakładzie pracy, w stoczni. Nie byłoby w tamtych czasach problemem, by rozwiązać problem alkoholowy, ale to było im na rękę. To nie było nagminne, nie mogę powiedzieć, że w stoczni było totalne pijaństwo. Ci ludzie też sobie zdawali sprawę, jaką mają odpowiedzialność w pracy. Przychodzili nieraz na kacu. Szef, jak ktoś tam zionął trochę, to od razu nie gnębił. Władze w stoczni same nas oficjalnie poczęstowały wódką. Postawili nam obiad i wódkę. Nie tylko naszej czwórce z geodezji, ale też inne osoby zaprosili. Na stołówce postawili obiad — za oddanie dźwigu i szyn, że to przed terminem — nawet straż była powiadomiona, że jak ktoś będzie pijany wychodził z zakładu pracy, to że mają przepuścić. To było przed 1980 r. Każdy wtedy flaszkę wniósł do stoczni, jak już wiedzieli, że strażnicy nie będą sprawdzali. Mój zespół nie mógł sobie na błąd pozwolić, więc się nie piło.

Już wtedy funkcjonowały struktury opozycyjne. To się wyczuwało, rozmawiało się. Jednak nieufność była duża. Nasz zespół nie pracował na jednym dziale, myśmy byli po całej stoczni, więc czasami zdarzała się nieufność w stosunku do nas. Stocznia to był gigant. Byliśmy z tymi ludźmi zżyci, ale nie za blisko. Czasami człowiek znał tylko najbliższych spawaczy, z którymi współdziałał, znał dwóch, trzech, a reszty nie. Oni nas znali, że geodeci. Na pewno były też struktury KOR, tylko że to był czas nieufny, więc nie wiem, nikogo osobiście nie znałem. Rozmawialiśmy o tym, ale nie wymieniało się nazwisk. Czasami dostawaliśmy z KOR jakieś pisemko. Jeszcze utrzymuję kontakty z kolegami z pracy, ale coraz mniej nas jest, są chorzy, nie mają czasu.

Strajk w 1980 r. w zakładzie pracy zaczął się spontanicznie, oddolnie. Nie dam sobie tego wmówić, że ktoś wiedział, jak to się skończy. Przyjechałem do zakładu pracy i już wrzało, już był ruch. Wyczuwało się, że coś się dzieje. Było wiadomo, że coś się dzieje. Grupki ludzi chodzących, rozmowy. Już nic praktycznie nie działało. Nasze biuro było przy bramie głównej. Po lewej stronie była przychodnia, a nasze biura były nad stołówką, może 100–150 metrów od bramy głównej. Już ruch, szum, było wiadomo, że coś się dzieje. Czuło się, nie było to aż takim zaskoczeniem.

Polaków przeważnie jednoczą ciężkie chwile. Pamiętam, jak były tam msze, to tam praktycznie wszyscy, partyjni czy z UB, klękali. Najbardziej zaangażowany w utrzymanie strajku cały czas był Andrzej Kołodziej.

Cieszyłem się, że nareszcie jest ten strajk. Zdawałem sobie sprawę, że taki zakład ma siłę przebicia. To była zwarta społeczność. Jak ktoś był tam spawaczem, to już lata pracował. Było poczucie solidarności. Ja mogę powiedzieć od siebie z pracy, że wszyscy z naszej grupy byli zadowoleni. Z innych działów były słuchy, że chodzili i namawiali, by nie strajkować, ale to byli partyjni.

Przystąpiłem do strajku już pierwszego dnia; niczego się nie podpisywało, że się zostaje i strajkuje. Normalnie do pracy przyjechałem i zostałem strajkować. Z nikim nie konsultowałem, czy mam strajkować, to była moja decyzja. Byłem człowiekiem pełnoletnim. Jak się to zaczęło, to przychodziły myśli, że może być powtórka z 1970 r. Była obawa, że coś się może stać. Pamiętało się o Czechosłowacji. Była obawa, że nie ulegną nam. Że te nasze postulaty i transparenty nic nie dadzą. Byłem biernym uczestnikiem strajku. Myśmy byli firmą z zewnątrz. Funkcji nie miałem żadnej. Byłem jednym z wielu strajkujących. Utożsamiałem się z tym.

To był strajk okupacyjny. Zostawało się na noc. Spało się tam, gdzie się mogło. Myślało się, że po dwóch dniach będzie się już w domu. Każdy sobie organizował tę codzienność. Były różne wiece, przemówienia. Trochę się na placach siedziało. Były różne gazetki, ulotki, odezwy — tego się trochę czytało. Nikt się nie spodziewał wtedy, że będzie to później takie ważne, żeby to pozbierać i przechować. Były msze, ale już teraz nie pamiętam dokładnie, ksiądz z Gdyni szybko się pokazał w stoczni. Byłem jednym z wielu strajkujących, raz jeszcze podkreślam.

Ja się ze stoczni wydostawałem, nie byłem cały czas. Z różnych racji. Sprawdzałem po lasach, jeździłem na motorze w stronie Łężyc, czy stoi wojsko — i faktycznie było. Na bramie to mówiłem, że stoją w lasach. W Rumi w Fabryce Urządzeń Okrętowych też to zgłaszałem. Rozwoziłem też ulotki po innych zakładach, że Gdynia walczy. Byłem nieformalnym kurierem. Zasada — mało mówić, więcej robić. Uważałem to za swój obywatelski obowiązek, by to robić.

O tej swojej działalności nawet dzieciom nie opowiadałem, coś tam wiedzą. Jasne, narażałem się.

Wróciłem też do domu. Powiedziałem rodzicom, że zostaję w stoczni, że będę strajkował. Zabrałem też rzeczy ze sobą. Różne plotki krążyły — była psychoza strachu, więc chciałem rodziców uspokoić.

Ja już wtedy wiedziałem, co znaczy Katyń. Ukształtowało mnie harcerstwo i spotkania z ludźmi. W rodzinie była obawa, każda matka się boi. Były takie próby zatrzymania w rozumieniu matczynej troski. Byłem już wtedy politycznie ukształtowany. Nie dało się siedzieć cicho. Dlatego uważałem, że najważniejsze były postulaty wolnościowe, by już skończyło się zniewolenie (chciało się wyjść z klatki), że będzie się wiedziało, co się dzieje na Zachodzie. Wcześniej nigdzie nie można było wyjechać, no chyba że z zakładu pracy albo jakby się było artystą czy podpisało lojalkę.

Jeśli chodzi o organizację strajku, mnie się wydaje, że najlepszą rekomendacją było to, że sami stoczniowcy nie mieli przywódcom nic do zarzucenia. Kołodziej był na czele, ludzie im zaufali. To byli ludzie, których oni znali, ludzie związani z zakładem. To nie były osoby z zewnątrz. To były osoby spośród stoczniowców. Z zewnątrz to dopiero później wchodzili doradcy.

Codzienność strajkowa to były wspólne posiłki w rejonie stołówek. Jedzenie było głównie z miasta, część ze stołówek stoczniowych. Każdy też bazował na swoim jedzeniu. Wychodziło się do rodziny, która przynosiła jakieś rzeczy do jedzenia. Przed bramami kłębiły się tłumy.

Informacje związane ze strajkiem głównie były przekazywane na wydziałach i przed główną bramą, gdzie się wchodziło na teren stoczni. Przemawiano z wózka. Działały drukarnie — ulotki, biuletyny, itd. Działał radiowęzeł. Były to wiadomości podawane przez ulotki i radiowęzeł, o tym, co się dzieje w Gdańsku. Udawało się przekazać różne informacje pocztą pantoflową. Dużo się rozmawiało. Były też cały czas obawy, że może się to nie udać. Baliśmy się, że może ZOMO wejść, milicja, wojsko itd. To był czas spontaniczny. Ludzie wiedzieli, co się dzieje. Informacje przez ulotki przechodziły, nie tylko z Gdańska, ale i z Polski. Kto strajkuje, w jakiej ilości. W zakładzie pracy były drukowane ulotki, biuletyny informacyjne. Według mojej wiedzy, ale nie mówię na 100%, to w budynku dyrekcji drukowano te ulotki. Wymykałem się ze stoczni, wychodziłem w tyle, nie bramą główną. Za suchym dokiem, szedłem przez tory i na Grabówku poza teren wychodziłem w miasto, na szczęście milicji nie spotkałem. Między nami też była wymiana zdań, ale to wynikało ze stresu, napięcia, oczekiwania, niepewność, to miało wpływ na te kłótnie czy ostre wymiany zdań.

Myślę, że stocznia była autonomiczna. Według mojej to wiedzy był zryw oddolny. Później Gdańsk został tym centrum. Gdynia dała początek, zalążek i nikt tego Gdyni nie odbierze, że to Gdynia strajkowała jako pierwsza. Gdynia to takie niepokorne miasto w czasie strajku. W telewizji jednak nic nie mówili o Gdyni, o Andrzeju Kołodzieju, była tylko mowa o Gdańsku i Stoczni im. Lenina. Kamery szły na Gdańsk, a nie na Gdynię, przedstawiciele KOR-u do Gdańska jechali, nie do nas. Nie pamiętam, jak wybierano delegatów do MKS, na pewno ich widywałem, rozmawiałem, ale nie kojarzę teraz.

Na moment podpisania Porozumień w miarę upływu czasu czekało się coraz trudniej, wiele osób było wtedy zmęczonych. Ten czas oczekiwania, nerwy, napięcie, baliśmy się dalej, czy nam nie zrobią krzywdy. Ludzie pamiętali wciąż te wydarzenia z grudnia 1970 r. Każdy miał jakiś strach, obawę.

Cieszyłem się bardzo, że zostały podpisane Porozumienia. Cieszyłem się, że to już się skończyło, że się odetchnie. Każdy był zadowolony, ale z realizacją postulatów różnie to bywa... Człowiek sobie myślał, że jeżeli już zostało podpisane — że powinni być uczciwi, że powinno to być zrealizowane.

W naszym zakładzie w „Geoprojekcie" w Gdańsku szybko powstała Solidarność, więc też szybko do niej przystąpiłem. Jeszcze posiadam okrągłą odznakę Solidarności. U nas bardzo dużo osób przystąpiło do Solidarności. Na początku to była ciekawość. Jeden myślał, że nie wypada nie należeć, inny wierzył w te postulaty, ludzie pragnęli zmian.

Na początku działalność Solidarności oceniałem bardzo wysoko, ideały były szczytne. Później.... znamy to — kłótnie, podjazdy, walka o stołki, kto ważniejszy, kto więcej zrobił. Te tarcia były najgorsze. W czasie strajku solidarność była autentyczna, później już nie.

Z tego co ja wiem, to nasz sekretarz PZPR próbował ludzi zniechęcać — żeby się nie zapisywali — ale delikatnie to robił. To już był taki entuzjazm w całej Polsce, że oni już tak oficjalnie się trochę bali, bali się o swoje stanowisko w pracy. Czasem dochodziło do starć Solidarność — PZPR.

Największym osiągnięciem Solidarności było to, że ten ruch w tamtym czasie zdążył, praktycznie bez żadnych nakładów finansowych, pociągnąć tyle milionów ludzi. Procentowo to myślę, że 90% ludzi było za Solidarnością. W kluczowym momencie Solidarność miała 10 milionów członków. Wszystko było oddolne, spontaniczne. Szli ludzie, którzy mieli chęć działania, nie bali się. Bez zaplecza logistycznego i pieniędzy udało się Solidarności zwerbować tylu ludzi, ponieważ ludzie przestali się bać.

W moim zakładzie pracy były zmiany. Było większe liczenie się z pracownikiem, robotnikiem, spawaczem, z człowiekiem ogólnie. Człowiek był bardziej szanowany. Kierownictwo stoczni zrozumiało, że ci ludzie zaczynają myśleć. Ludzie zaczęli się upominać o swoje, między innymi, o wyposażenie niezbędne do wykonywania ich pracy.

Wprowadzenie stanu wojennego wywołało w człowieku strach; miałem takie myśli, że mogę być internowany, aresztowany. Nie wiedziałem, co mnie czeka. Chodziły takie myśli, że mogę być również zdegradowany w pracy. Działałem przy powstaniu pomnika Ofiar Grudnia 1970 r. w Gdyni. Różne osoby się kręciły wtedy, na pewno mnie namierzyli. Obawy główne były o to, czy Rosjanie nie wejdą i czy nie rozpoczną się działania wojenne. To mogło się różnie potoczyć. Tak myślałem, że może być i wojna z ZSRR. Nie chciałbym Jaruzelskiego wywyższać, on sam przeszedł Sybir, więc wiedział, na co ZSRR stać. Mnie jest teraz trudno powiedzieć, co ja wtedy myślałem, jak oceniałem ten stan wojenny. Oczywiście, cały czas miałem kontakt z opozycją. Czas podbojów się nie skończył, walka była nadal. Żadna władza dobrowolnie nie oddaje władzy.

Po zakończeniu stanu wojennego pracowałem i pracuję cały czas w tym samym zakładzie pracy. Ze stoczni przerzucono mnie gdzie indziej. Coraz mniej się włączałem w działalność. Nie wiem, o co tam chodziło, jakie były rozgrywki. Te wszystkie przepychanki, oskarżenia, kto więcej zrobił dla strajku, walka o stołki. To już zaczęło być niesmaczne. Ja już pragnąłem bardziej spokoju, odskoczni. Zacząłem już pieniądze odkładać. Rodzice dali mi działkę. Szukałem wyciszenia. Wtedy miałem już dwójkę dzieci, już do szkoły chodziły. Więcej musiałem dbać o dom, rodzinę. Inaczej człowiek myśli, jak jest sam, tak jak byłem w 1980 r.

Brałem udział w wielu wykopaliskach na Pomorzu. Mam wiele cennych odkryć. Dostawałem nagrody w latach 70-tych za odkrycia. Odkrywałem różne rzeczy — osadę z okresu rzymskiego i wcześniejszych. Wszystko oddaję do Muzeum Archeologicznego w Gdańsku. Moje odkrycia są w tamtejszych gablotach. Mam tę satysfakcję, że pojadę do muzeum, tam mnie znają.

Dzisiaj dalej jestem aktywny, pracuję przy projekcie „Osada Łowców Fok" w Rzucewie. Jestem tam wszystkim. Od przewodnika, oprowadzania, przygotowania ogniska. Rodzina pracuje za granicą. Jestem też sołtysem w swojej wsi, mam wymarzony dom. Robię to, co lubię, jestem zadowolony ze swojej pracy. Wszyscy mnie znają.

Zryw sierpniowy to bardzo ważny element mojego życia. Nie każde pokolenie ma dane brać udział w takim czymś. To były historyczne przemiany. Mam taką satysfakcję, że brałem udział w czymś tak doniosłym dla Polski i ludzi. Dało mi to dużo do myślenia w życiu. Bardzo często jestem sam, przez wiele miesięcy, to myślę, wspominam. Ja bardzo emocjonalnie to odczuwam. Mam wewnętrzną dumę. Mam poczucie, że nie zachowałem się jak świnia, że mogę każdemu spojrzeć w oczy. Zresztą uważam, że Solidarność dla każdego Polaka w mniejszym czy większym stopniu jest czymś bardzo ważnym. Uruchomiła Solidarność inny tok myślenia. Społeczeństwo było w marazmie, a Solidarność poprzez drugi obieg obudziła ludzi do myślenia. Dzisiaj na 100% znów bym do niej przystąpił.



Jan Gawin — ur. 14 marca 1949 r. w Czersku, pow. chojnicki. Pochodzenie robotnicze. Ukończył Technikum Budowy Okrętów w Gdańsku. Żonaty od 1978 r., dwoje dzieci. Pracował w Stoczni im. Komuny Paryskiej w latach 1963–1982 w biurze przygotowania kadłubów jako sprawdzający dokumentację. Uczestnik pochodów w Grudniu 1970 r. w Gdyni. W 1977 r. zdegradowany decyzją egzekutywy za utrudnianie członkom ZMS drukowania gazetek w godzinach pracy. Uczestnik strajków sierpniowych. Od początku istnienia nowego związku członek Solidarności. Wyrzucony z pracy w 1982 r. za drukowanie ulotek. Działał w organizacji „Druga Komisja" pomagającej internowanym. Aresztowany, zwolniony dzięki amnestii po pół roku. Podjął pracę w przedsiębiorstwie PEWIK. Ponownie aresztowany i ponownie zatrudniony w PEWIKU, awansował na kierownika wodociągów w Rumi. Zdegradowany przeniósł się do Urzędu Miasta w Gdyni. Zrobił uprawnienia budowlane i projektowe. Od 2007 r. pracuje w Urzędzie Dróg i Zieleni w Gdyni. Żonaty, dwoje dzieci. Obecnie na emeryturze.

Pochodzę z rodziny robotniczej, ojciec mój był stolarzem, a mama bez zawodu. W mojej rodzinie, z tego co pamiętam od wczesnych lat dzieciństwa, ojciec słuchał Radia Wolna Europa. Było to związane z tym, że UB nie dawało spokoju mojemu ojcu, kiedy wrócił ostatecznie z wojny pod koniec 1946 r.

Wcześniej służył w wojsku niemieckim; został wciągnięty podstępnie, Niemcy uważali te ziemie za niemieckie i nawet jeśli ktoś nie podpisał volkslisty, mógł zostać powołany do wojska niemieckiego. Argumentowano to tak, że moja mama urodziła się w Duisburgu, w polskiej rodzinie. Mój tata został wysłany do Jugosławii. Tam, siedząc w okopie, któregoś dnia, specjalnie okaleczył się granatem, co było dość ryzykowne. Trafił do szpitala w Wiedniu i tam spotkał niemieckiego lekarza, który załatwił, że nie musiał wracać do wojska. Wkrótce trafił do amerykańskiej niewoli, a następnie do wojska amerykańskiego.

Skończyłem Technikum Budowy Okrętów. Miałem przydział na mieszkanie na rok 1977. Byłem samotny, przyjąłem taką filozofię życiową, że wtedy się ożenię, jak będę miał mieszkanie. Inni woleli wziąć ślub i mieć dzieci, wtedy teoretycznie szybciej przydzielano mieszkania. Ja zastosowałem pewien fortel, mój szwagier jako cywil pracował w jednostce wojskowej i kolegował się z ordynansem ówczesnego dowódcy Marynarki Wojennej Janczyszyna. Szwagier poprosił ordynansa o pomoc — powiedział że już od trzech lat czekam na mieszkanie. Ordynans zadzwonił do sekretarza Komitetu Miejskiego PZPR, że jest taka sytuacja, ten zadzwonił do spółdzielni i kilka dni później dostałem pismo, że czeka na mnie mieszkanie, mogłem je zobaczyć i zdecydować, czy chcę. Z małżonką wzięliśmy ślub cywilny w 1978, a kościelny w 1979 r. Teraz mam dwoje dzieci.

Nigdy nie należałem do żadnej organizacji typu PZPR i podobne, byłem w Związku Młodzieży Socjalistycznej, ale nie zapisywałem się, a zostałem tam dopisany bez swojej wiedzy. Należałem też do związków zawodowych. Zawsze Kościół odgrywał i odgrywa bardzo ważną rolę w moim życiu.

Byłem dobrym pracownikiem i choć proponowano mi wstąpienie do partii, nie zgodziłem się. Nigdy nie brałem udziału w żadnych wyborach.

Miałem kontakt z ludźmi Mirka Chojeckiego i z prasą podziemną, ale dopiero w samym roku 1980.

Nie cierpiałem wtedy biedy, będąc dobrym pracownikiem, byłem nagradzany przez premie i nagrody. Były jednak takie osoby, które cierpiały biedę i głośno krytykowały niesprawiedliwość, jaka ich dopadła. Słuchałem wtedy Wolnej Europy i jej pracownicy — Jeziorański, Najder i inni — byli dla mnie autorytetami.

Oczywiście brałem udział w wypadkach grudniowych 1970 r. Byłem w obydwu pochodach: wtorkowym i czwartkowym. Podczas strzelanin schowałem się przy jednym z filarów wiaduktu. Obok mnie był ranny młody chłopak. Zostałem zwolniony zresztą z pracy, do której zostałem przywrócony w styczniu 1971 r. Przez dwa tygodnie się ukrywałem, ponieważ brali nas do wojska. Także protesty w 1976 r. miały wpływ na moje poglądy. Uważałem, że to, co robimy, mając negatywne poglądy na sytuację materialną i ogólną, należy dalej robić.

Pracowałem w Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni od 1963 do 1982 r. w biurze przygotowania kadłubów. Byłem tam tzw. sprawdzającym dokumentację przygotowywaną przez młodszych kolegów.

Komputeryzacja Stoczni w minimalnym zakresie zaczęła się pod koniec lat 60-tych. W moim biurze tworzono dokumentację, która miała służyć do budowy kadłubów okrętowych. Wówczas, gdy nie było jeszcze komputerów, tę dokumentację przygotowywało się w skali 1:10, tak, aby można było wówczas odwzorować to na blachach w skali 1:1. Czyli był rzutnik, który z kliszy w skali 1:10 powiększał do skali 1:1 i ręcznie odwzorowywano na blasze. Więc, żeby to usprawnić, dostaliśmy w 1968 lub 69 roku taką przystawkę. Można powiedzieć, że to pierwszy komputer. Sterował maszyną, która została przywieziona z Targów Poznańskich. Wtedy też po raz pierwszy uczyliśmy się obsługi pierwszych komputerów i programowania. Znalazłem się w komórce, która się tam znajdowała. Dobrze mi się tam pracowało, awansowałem na kierownika sekcji do przetwarzania danych. Jednak 1977 r. egzekutywą partii zostałem zdegradowany, ponieważ nie chciałem się zgodzić na drukowanie gazetek ZMS.

Byłem dobrym pracownikiem, zarobki nie były duże, ale mieliśmy jeszcze nadgodziny, dodać do tego należy premię i nagrody. Mogłem awansować do pewnego momentu, ale jak postawiłem się aktywistom czy partyjnym, to zostałem zdegradowany. Podobało mi się to, co robiłem. Warto dodać do wątku zwolnienia, że wezwał mnie szef biura i powiedział, że albo sam zrezygnuję, albo zostanę zwolniony czy zdegradowany. Wówczas powiedziałem, że jeżeli zwolni mnie z obowiązku dotrzymania terminów mojej pracy z uwagi na to, że pracownicy są w ZMS i robią coś innego w godzinach pracy, to ja nie mam nic przeciwko temu. Szef odpowiedział, że to go nie interesuje. Ja powiedziałem, wobec tego nie będę mógł dotrzymać terminów. Następnie egzekutywa, a szef był jej członkiem, zdegradowała mnie. Nadal mam cały czas kontakty z kolegami ze stoczni. Jeszcze przed sierpniem 80 wydaje mi się, że coś działało w strukturach opozycji, ale nie brałem w tym udziału i nie mogę nic powiedzieć na ten temat.

Początek strajku 1980 r. pamiętam dobrze. Atmosfera była gorąca. Pierwsze trzy dni były prowizorką, ale Andrzej Kołodziej to wszystko poukładał, ponadto zaangażowali się koledzy: Andrzej Kozicki z Biura Projektowego i Henio z wydziału produkcyjnego budującego kadłuby.

Rodzina znała moje poglądy i popierała uczestnictwo w strajku, żona była wtajemniczona w moje plany. W zasadzie nie miałem obaw, zastanawialiśmy się tylko, na ile nam pozwolą i na ile my będziemy w stanie wywalczyć swoje postulaty. Poza sekretarzem partii i jego najbliższym otoczeniem, nie było innych wrogo nastawionych do strajku. Większość była milcząca, ale nie przeszkadzali. Były osoby, które próbowały się wymigać i kombinowali, żeby wyjść. Niektórym udało się wyjść i nie wrócić, było ich kilku. Nie pełniłem żadnych funkcji strajkowych. Nie chciałem, póki co, się ujawniać. Miałem kategorię A i nie odbyłem do tego momentu szkolenia wojskowego. Uważałem, że jak przyjdzie czas, to będę działał.

W naszym biurze była maszyna do powielania dokumentów, tam powielano ulotki i biuletyny. Samo pomieszczenie było plombowane, a klucze były zdawane na bramie. Trzeba się było podpisać. Pilnowałem, żeby nikt nie przeszkadzał nam w pracy. Sygnowała ją Wolna Drukarnia Stoczni Gdynia. Pełniłem również warty. Uczestniczyłem również czynnie w mszach i zebraniach. Nie byłem w zespole ustalającym postulaty. Ale dla mnie najważniejszym była wolność. Uważałem, że trzeba zmienić ustrój w naszym kraju. Miałem zaufanie do przywódców strajku.

Wielką rolę spełniły msze święte, one integrowały i podnosiły na duchu. Przez radiowęzeł przekazywano informacje o postępach negocjacji. Uruchomiono bary w stoczni, byliśmy karmieni, jakby stocznia funkcjonowała normalnie. Mogliśmy sobie zjeść, skromnie

bo skromnie, ale każdy mógł się najeść tym, co panie kucharki wówczas przygotowały. Nie miałem specjalnie czasu wolnego. Śledziłem przez cały czas nowinki, chodziłem po stoczni, sprawdzałem, jak to wszystko wygląda w innych wydziałach. Muszę dodać, że przy bramie w kiosku pracowała moja siostra. Starałem się codziennie czytać gazety i sprawdzać, co piszą o strajku itd. Przekazywałem też informacje, które wyczytywałem.

W zależności od nastrojów relacje między ludźmi się zmieniały. Było różnie, jedni próbowali wyjść, inni nie chcieli, może ze strachu, strajkować. Reakcje na strajk były skrajnie różne. Przypomina mi się taki incydent z wydziału kadłubowego, gdzie koledzy wyprowadzili sekretarza partii. To był jakiś aktywista, przeszkadzał w drukowaniu, w strajkowaniu, próbował wpływać negatywnie na ludzi i dlatego został wyprowadzony. Były też inne konflikty, zwłaszcza jeśli jakiś aktywista partyjny próbował przeszkodzić w drukowaniu ulotek. Nie pamiętam niczego więcej. Miały miejsce też spory ideologiczne, ale to jeszcze długo przed strajkiem. Głównie spierałem się z kacykami partyjnymi, którzy próbowali mnie przekonać do swoich racji. Jeśli takie spory były podczas strajku, to w bardzo minimalnym gronie, można powiedzieć, że po prostu ich nie było.

Po podpisaniu Porozumień sierpniowych oczywiście była euforia, czuliśmy, że wygraliśmy pierwszą bitwę od wielu lat i że teraz możemy coś zmienić.

Do Solidarności wstąpiłem natychmiast. Przypuszczam, że większość kolegów też. Były oczywiście osoby, które nie przystąpiły, nie pamiętam ile. Członkowie PZPR, przypuszczam, że się na początku bali. Dopiero po kilku miesiącach sekretarz partii w stoczni kazał zdjąć orła, którego zawiesiłem w trakcie strajków — przypiąłem mu koronę, którą zrobiłem z gumki. Ostatecznie sam sekretarz zdjął tego orła. Wkrótce po wyborze władz zadeklarowałem współpracę.

Miałem kontakt z Warszawą. Woziłem druki, książki wydawnictwa „Nowa" Mirka Chojeckiego i jego ludzi, inne wydawnictwa. Ale też książki, które były drukowane wcześniej. Następnie objąłem drukarnię w stoczni. Dostaliśmy offset, dzięki temu drukowaliśmy ulotki, pisma, nie tylko Stoczni im. Komuny Paryskiej. 1/4 etatu poświęciłem na rzecz Solidarności. Myślę, że wiele udało się osiągnąć, namieszaliśmy w głowach wielu ludzi. Pokazaliśmy ludziom, że mimo propagandy mogliśmy dużo zrobić. Co pewnie nie było dobrze widziane przez moje szefostwo.

W trakcie stanu wojennego mówiliśmy, że ten okres od strajków do 13 grudnia 1981 r. był okresem wolności. Pamiętam, że w tym okresie, tej wolności, zbierałem wszystko, co ówcześnie legalnie było drukowane. Trzymałem tylko legalne rzeczy. I podczas którejś rewizji w okresie stanu wojennego, wszystko mi zabrali. Początkowo, pisząc artykuły do gazetek i biuletynów, podpisywałem się swoim imieniem i nazwiskiem, ale zrezygnowałem z tego. Chciałem działać i uważałem, że mogę to robić incognito. Ostatecznie nie pomyliłem się, że byliśmy śledzeni. Nie zostałem internowany. Swoją drogą Tadek Pławiński też nie był internowany — z innego powodu; po prostu, gdzieś jechał i nie dorwano go. Z Mariuszem Różańskim i z Tadkiem spotkaliśmy się w grudniu 1981 r. w niedzielę, po wprowadzeniu stanu wojennego. Przyznam się, że nie mieliśmy specjalnych trudności w tym czasie. Przynajmniej ja się z tym nie zetknąłem. Ja robiłem swoje i nie zwracałem uwagi na nic innego, mój szef jakoś to tolerował. W końcu przestał to tolerować, ale znacznie później.

Wprowadzenie stanu wojennego to była groza. Obudziłem się i zamiast bajki dla dzieci zobaczyłem Jaruzelskiego i informację, że jest stan wojenny. Wówczas ogarnęło mnie przerażenie, nie wiedziałem, co robić. Przed południem spotkałem się z Tadeuszem Pławińskim i Mariuszem Różańskim, który również nie był internowany, wracał chyba ze Szczecina i uniknął internowania. Postanowiliśmy wejść do stoczni. Miałem wywiesić flagę na dużej suwnicy i zapalić reflektory nad suchym dokiem. Tylko częściowo udało się zrealizować plan, nie udało mi się wywiesić flagi i nie paliły się wszystkie światła. Mieliśmy spore problemy z osobami, które tam były. Czuliśmy wcześniej, że coś takiego jak stan wojenny może zostać wprowadzony.

Uważam, że szefostwo stoczni wiedziało o planach centrali, także osoby, które się tam pojawiły, np. te, które pilnowały oświetlenia, były już wcześniej do tego przygotowane. Rzecz interesująca — przed wprowadzeniem stanu wojennego jeździły specjalne komisje wojskowe i zostawiały wytyczne, na wypadek takiej czy innej sytuacji, dla dyrekcji zakładów. Solidarność również musiała mieć jakieś przecieki, ponieważ dostałem „żelazny pakiet" do drukarni. I kiedy go otworzyłem w poniedziałek 14 grudnia, to były tam matryce

do drukowania ulotek także w języku rosyjskim. Byłem bardzo negatywnie nastawiony do stanu wojennego. Ocknęliśmy się jednak z tego szoku, zastanawialiśmy się, co dalej robić, w końcu zaczęliśmy działać w podziemiu. O różnym negatywnym postępowaniu władzy informowaliśmy siebie nawzajem, a później społeczeństwo. Działaliśmy tak długo, dopóki nas nie aresztowali.

Z pracy zostałem wyrzucony 6 czerwca 1982 r. Pół roku później zostałem aresztowany. Konspirowaliśmy w biurze. Pracował tam Antoni Furtak, który miał kalekie dziecko, drukowaliśmy ulotki na jego maszynie i sortowaliśmy je. Wszedł do pomieszczenia Tadeusz Zwodziński (Zwoliński/Woliński — nie pamiętam dokładnie) i zobaczył, co robimy. Jak się później okazało, poszedł do szefa biura, a ten zadzwonił na wartownię. Przyszli strażnicy z karabinami i nas wyprowadzili. Przy wyjściu szef wręczył mi papier, który informował mnie o rozwiązaniu umowy o pracę i zakaz wchodzenia na teren stoczni. Mam do dziś ten dokument. Po jakichś 30 min. od mojego powrotu do domu przyszła esbecja i zrobiła rewizję. Wszystko wywrócili do góry nogami, weszli do łazienki, świecili, sprawdzali, czy niczego tam nie ukryłem, dobili mnie tym. Zabrali tylko skrzynię drewnianą legalnych wydawnictw, na odchodnym zapowiedzieli, że tak czy inaczej po mnie przyjdą. Trwało to co prawda pół roku, ale przyszli.

Razem z Tadeuszem Pławińskim działaliśmy w organizacji, która nazywała się „Druga Komisja", do tego mojego aresztowania. W końcu nas rozszyfrowano. Ja byłem ostatni z tej grupy. Wcześniej pomagałem internowanym i zatrzymanym, później sam doświadczyłem takiej pomocy.

W tym czasie dla mnie najważniejsze było przywrócenie tego, co już udało nam się wywalczyć. Ciągła wiara, że coś możemy zmienić. Zawsze starałem się tak robić. W areszcie spotkałem Mariusza Wilka, który był konspiratorem jeszcze z Kresów Wschodnich. Miałem przyjemność chodzić z nim na spacery. Utwierdził mnie w moim przekonaniach i że nie mam się czego obawiać, żebym wytrwał w swoich działaniach. Ja wyszedłem dopiero na amnestię po pół roku. Amnestia była okazji wizyty Jana Pawła II.

Po wyjściu nie zaprzestałem swojej działalności. Z Pławińskim wymyślaliśmy różne fortele. Widzieliśmy wyraźnie, że ta władza upadnie. Rakowski chyba z tego powodu wprowadził ustawę, która pozwoliła gospodarce drgnąć. Można było coś robić. Pamiętam hasła, że „co nie jest zakazane, jest dozwolone". Przypuszczam, że już sfery rządowe zdawały sobie sprawę, że to może się dla nich skończyć.

Po zwolnieniu ze stoczni, nie wiedziałem, co robić. Procesowałem się o to. Były komisje pracownicze, ale nie miało to znaczenia. Zresztą wszyscy, którzy zostali wówczas zwolnieni, mieli w aktach informację, że nie możemy pracować w przemyśle okrętowym. I wtedy doszedłem do wniosku, że najgorszym sektorem w każdym z miast, był sektor komunalny. Uważałem, że często pracują ludzie z tzw. marginesu, patologii. I wywnioskowałem, że w grę wchodził OPEC albo PEWIK. Wówczas również Mariusz Różański musiał podjąć pracę, bo była taka ustawa, że w ciągu określonego czasu należy się ponownie zatrudnić. U niego ten termin kończył się szybciej niż u mnie, więc poszedłem z nim do tego przedsiębiorstwa PEWIK. Złożyłem tam papiery i przyjęli mnie do roboty.

Zawsze starałem się być dobrym pracownikiem, w tym co robię. Po 3 miesiącach zobaczyli, co potrafię, wzięli mnie do biura, ale pech chciał, że po tych trzech miesiącach mnie aresztowali. Zabrali mnie z domu do mojego miejsca pracy skutego w kajdanki, przeszukali moją szafkę i biurko i nic nie znaleźli. Zaprowadzili mnie do dyrektora. Czekałem w sekretariacie i każdy, kto mnie widział, mógł pomyśleć, że w firmie PEWIK znalazł się kolejny przestępca. Po wyjściu z więzienia poszedłem ponownie do PEWIK-u i zapytałem, czy mogą mnie ponownie zatrudnić. Nie wiem, czy było to w porozumieniu z SB, ale mnie przyjęli. To, że byłem śledzony, wówczas nie podlegało najmniejszej wątpliwości, spotykało się różnych dziwnych ludzi. Po jakimś czasie zostałem zastępcą kierownika działu w PEWIK-u. Później zostałem kierownikiem wodociągów w Rumi. Dyrektor PEWIK-u mnie zdegradował, bo gdy byłem kierownikiem wodociągów w Rumi, doszło do ostrej wymiany zdań. Później poszedłem do pracy w Urzędzie Miasta Gdyni. Nie uzupełniłem wykształcenia w swoim zawodzie, a zmieniłem zawód, kupiłem książki tematyczne, uczyłem się i po kilku latach zrobiłem uprawnienia budowlane i projektowe.

Z ruchem opozycyjnym jestem związany do dziś. W Solidarności byłem przed i po 1989 r. (także w Urzędzie Miasta Gdyni). Do obecnej Solidarności mam wiele uwag, ponieważ jest roszczeniowa.

Odnośnie porozumień „okrągłego stołu" powiem tak: dawało to nadzieję na zmiany, na lepsze jutro. Zdania są podzielone. Ja się specjalnie w to nie angażowałem. Miałem nadzieję, że wszystko zmieni się na lepsze i według mnie, zmieniło się na lepsze. Nie mogę pogodzić się z tym, co mówi Prawo i Sprawiedliwość, że Polska jest ruiną. Dla mnie są to słowa nie do przyjęcia. Ja przeszedłem całą drogę Solidarności, nie należałem do żadnej partii wtedy i dziś, w Wolnej Polsce.

Brałem udział w wyborach czerwcowych w 1989 r. Byłem w komisji. Przewodniczącymi byli partyjni, a zastępcami ludzie z Solidarności. Podobnie zaangażowałem się w wybory samorządowe. Wybrano mnie na członka Rady Miasta. Byłem tym członkiem aż do momentu, gdy zaproponowali mi pracę w Urzędzie Miasta. Pomogła mi pani Anna Stopka, dyrektor urzędu i pracowałem w Urzędzie Miasta do 2007 r. Wówczas mój dział przeszedł reorganizację i utworzono Zarząd Dróg i Zieleni, w którym pracuję do dziś.

Miesiąc temu przeszedłem na emeryturę, dochody są znośne. Mieszkam w bloku, mam cudowną rodzinę, samochód. Moim sukcesem życiowym jest wychowywanie dwójki dzieci i pięciorga wnucząt oraz to, że jestem zdrowy i jakoś sobie radzimy z żoną.

Mój autorytet życiowy to Władysław Bartoszewski i prof. Andrzej Zoll. Ubolewam, że są to autorytety, których jakaś część społeczeństwa nie akceptuje, tj. nie widzi w tej roli. Jest trochę więcej takich nazwisk, ale nie wymienię teraz wszystkich, wiadomo, o co chodzi i jacy to są ludzie.

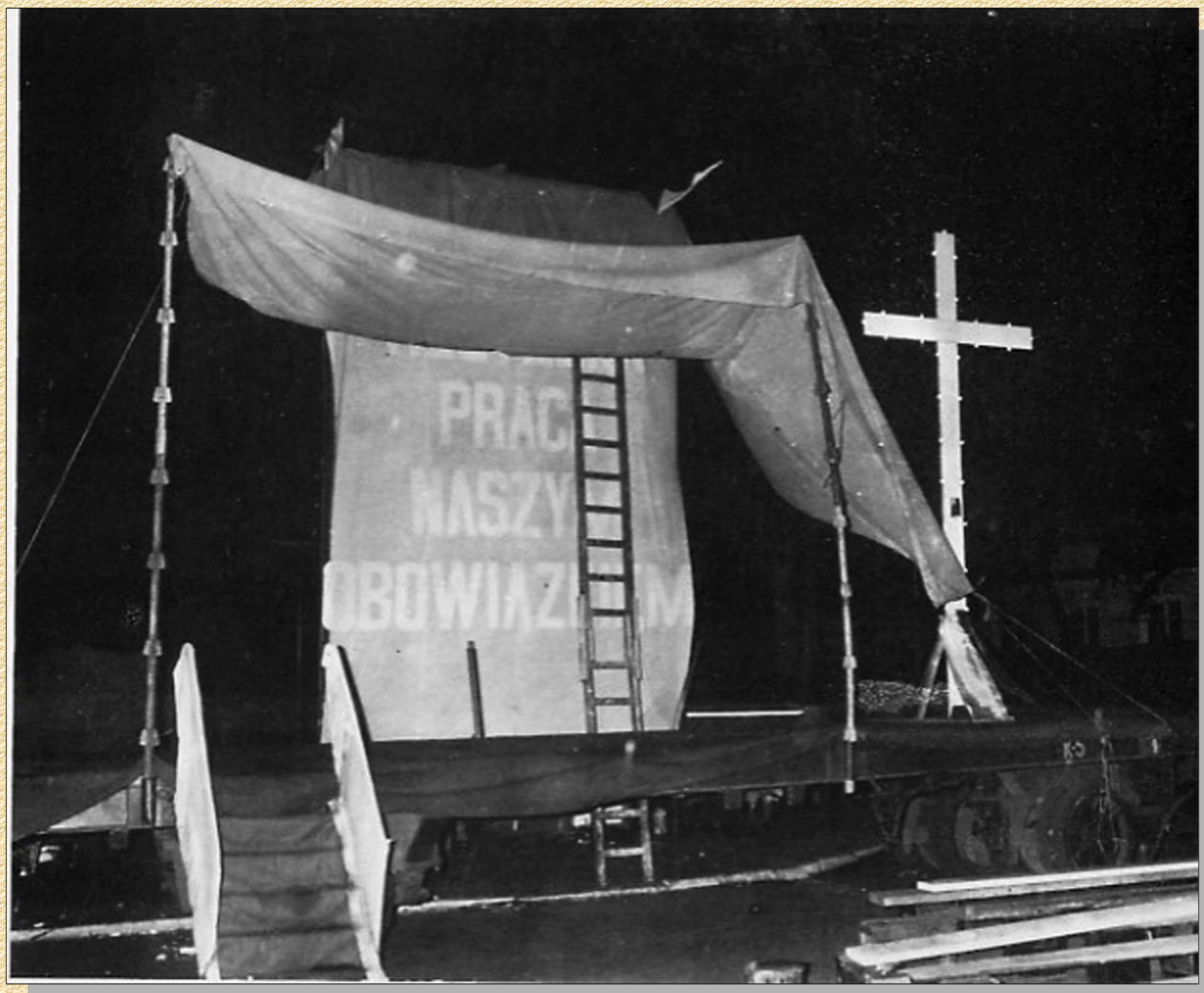
Przez zryw sierpniowy świat mi się zawalił i straciłem pracę. Ale z drugiej strony, gdyby mi się świat nie zawalił, to nie byłbym tam, gdzie jestem. Miałem szczęście po prostu. W rezultacie nie najgorzej na tym wyszedłem. Trochę osiwiałem i stałem się bardziej nerwowy.

Solidarność miała dla mnie bardzo duże znaczenie, ale obecnie nie budzi mojej sympatii. Uważam, że wtedy Solidarność powinna zajmować się nie tylko związkami zawodowymi, ale także ruchem społecznym, a teraz tylko związkami zawodowymi. Dlatego Solidarność oceniam bardzo dobrze tylko do 1989 r. Dzisiaj przystąpiłbym powtórnie do strajku, choć jesteśmy wolnym krajem. Nie wstydzę się uczestnictwa w pierwszej Solidarności, ale w obecnej. Trochę ta roszczeniowość jest miejscami przerażająca.

Do 1989 r. uważałem, że Solidarność była czymś, z czego jestem dumny, oceniam ją bardzo pozytywnie. Ale obecną oczywiście negatywnie. Uważam, że Solidarność miała wpływ na zniesienie muru berlińskiego, na upadek ZSRS. Nie było rozlewu krwi — uważam, że to zasługa Solidarności i tych osób w PZPR, którzy parli do kompromisu. Może nie chcieli porozumień, ale zmusiliśmy ich do tego swoją postawą.

Uważam, że cokolwiek by nie mówić o poszczególnych ekipach rządzących, wychodzimy na plus. Każdy rząd ma swoje porażki, niedociągnięcia. Z różnych trochę względów. Rozumiem trochę rządzących, ponieważ przed wyborami zakłada się pewne plany, a po wyborach wiele z nich spala na panewce. Przypuszczam, że obecny prezydent-elekt też nie wywiąże się ze wszystkich swoich obietnic. Swoją drogą nie wiem, skąd wziąłby pieniądze i jak musiałby zmienić prawo w Polsce.

Gdybym dzisiaj miał sformułować kilka postulatów strajkowych, to: służba zdrowia, edukacja. Może po następnych wyborach ktoś zrobi porządek ze służbą zdrowia. Dzisiaj można walczyć, ale nie takimi metodami, jak my w latach 80-tych. Dziś mamy czasy wolności, są metody demokratyczne, każdy może strajkować po spełnieniu odpowiednich warunków.


PRAC
NASZY
OBOWIĄZ

Stanisław Gawin — ur. 9 grudnia 1952 r. w Gdyni. Pracował w Stoczni „Nauta" na wydziale maszynowym w latach 1966–1989, na stanowisku mechanika silników okrętowych. Żonaty od 1976 r. Uczestnik wydarzeń grudnia 1970 r., skazany na dwa lata w zawieszeniu. Uczestniczył w sierpniowym strajku 1980 r. Od początku w strukturach Solidarności. Po 1989 roku zatrudnił się w szwajcarskiej firmie Brown Boveri Company. Obecnie na emeryturze. Nadal pracuje.

Urodziłem się w Gdyni w Wielkim Kacku. Mieliśmy rodzinę o silnych tradycjach patriotycznych. Ojciec w trakcie wojny przebywał w łagrze, potem był w związku z tym na rencie. Związek małżeński zawarłem w 1976 roku. Mieliśmy z żoną własne mieszkanie po moich rodzicach.Pracowałem w stoczni od 1966 na stanowisku mechanik silników okrętowych. W 1980 r. nie należałem do organizacji typu PZPR, ZMS czy związki zawodowe CRZZ, nie należałem także do organizacji społecznych.

W 1980 roku dosyć intensywnie współpracowaliśmy z Kościołem. Wówczas moje wyznanie określiłbym jako więcej niż umiarkowane, obecnie umiarkowane.

Jeśli chodzi o opozycję, to na Wydziale Maszynowym Stoczni „Nauta" rozprowadzaliśmy materiały w postaci ulotek i prasy opozycyjnej wraz Włodzimierzem Kałą i Zbigniewem Belką. W tamtym czasie moim autorytetem był Lech Wałęsa.

Pracując przy budowie statków, miało się kontakt z firmami zagranicznymi, np. Brown Boveri Company (późniejsza ABB), do którego mnie przyjęto (awans)około 1989 r. Wydarzenie, które utkwiło mi w pamięci, to fakt, że z 14/15 sierpnia 1980 r. nie wpuszczono ich serwisu do turbin, stąd przeczuwaliśmy, że coś będzie. Byłem zadowolony z pracy, wynagrodzenie nie najgorsze (przed 1980 r. było dużo nadgodzin w stoczni), pracowaliśmy obydwoje z żoną, dzieci nie było, więc pieniędzy starczało.

Początek strajków sierpniowych pamiętam dosyć dobrze. Jechałem chyba z jakiegoś szkolenia z kolegami i dowiedzieliśmy się, że w stoczni w Gdańsku rozpoczął się strajk. Obawa była, bo było coś do stracenia. Mając na uwadze, to co stało się w grudniu 1970 roku, wiedzieliśmy, że nie będą się z nami patyczkować.

Oczywiście rodzina popierała strajk, zresztąkonsultowałem to z żoną. Popierała zdecydowanie moje działania, razem ze szwagrem dowozili jedzenie do stoczni. Spotykałem się z nimi przy bramie, bo brama była zabarykadowana przyczepą. W czasie strajku było trochę zajęcia, wybieraliśmy przewodniczącego, odbywały się msze święte na terenie stoczni, także spowiedź ogólna i komunia św. w stoczni. Organizacja strajku była dobra, miało się zaufanie do przywódców. Były osoby (czujki), co miały upoważnienia i mogły wychodzić do stoczni Lenina, po powrocie były relacje, które nas podbudowywały. Pojawiały się też ulotki z zewnątrz, przeważnie informacje ze Stoczni im. Lenina. Byłem twardy. Wierzyłem, że to, co robię, ma sens.

Wtedy, w sierpniu 1980 r., odczuwałem strach przed helikopterem, ponieważ miałem przed oczami wspomnienia z grudnia 1970 na Wybrzeżu. (Pamiętam, jak w 1970 r. z kolegą wynieśliśmy dwie rakiety ze statku. Wykorzystane zostały potem w grudniu 1970 r. pod prezydium partii. Wezwano nas do sądu, odbyła się rozprawa i dostaliśmy wyrok ok. 2 lat w zawieszeniu.) Między strajkującymi nie było konfliktów, burd czy kłótni, nie było sporów ideologicznych. Wśród załogi panowała solidarność.

Pamiętam moment podpisania porozumień, ten szał po bramą. Albo wszystko albo nic, nie można było ustąpić na kroczek z żadnego postulatu. Według mnie wszystkie postulaty były ważne. Dziś częściowo są pomieszane, ale to też zależy, jak kto interpretuje.

Od początku działałem w Solidarności, na początku była to zgodność i spontaniczność bez zwracania uwagi na gorszych czy lepszych. Kierownikiem mojej brygady był ideowy komunista, ale dobry człowiek. Większość ludzi przystąpiła do Solidarności. Dodać należy też, że dyrekcja stoczni nie była nastawiona negatywnie i nie było żadnych sankcji. Jeżeli

chodzi o członków PZPR nie robili kłopotów. W trakcie strajku był pomysł, żeby wywieźć na taczce tych, co nie popierali strajku. Skończyło się to spokojnie, nikt nie został pokrzywdzony.

Największe osiągnięcie Solidarności to docenienie rzeczywistej solidarności ludzkiej, wniosła nadzieję na zmiany.

Wprowadzenie stanu wojennego (13 grudnia od 1981 do 1983 r.) było wielkim złem. Byliśmy bez praw, bez wieści, co w związku z tym będzie się działo. Wracałem bez przepustki z pracy na statku „Mickiewicz". Zostałem złapany w Gdyni Orłowie, na szczęście mnie puszczono. Byliśmy w szoku. Pytanie, co robić? Rozważanie różnych opcji. Strach. Podjęcie działań. Jeszcze mocniej trzeba było pomóc kolegom internowanym. Ukrywanie kolegów w Dąbkach w Zakonie Sióstr. Byłem cały czas w Solidarności, ale nie chcieli mi dać służbowego paszportu na służbowy wyjazd do Szwajcarii. Stawiali warunek, miałem wystąpić z Solidarności. Wówczas było dla mnie najważniejsze zapewnić spokój żonie i pilnować pracy.

Po zakończonym stanie wojennym do „okrągłego stołu" (lata 1983–1989) pracowałem w stoczni. Po 1989 roku awansowałem do szwajcarskiej firmy Brown Boveri Company. Zaczęły się wyjazdy na Zachód na kontrakty.

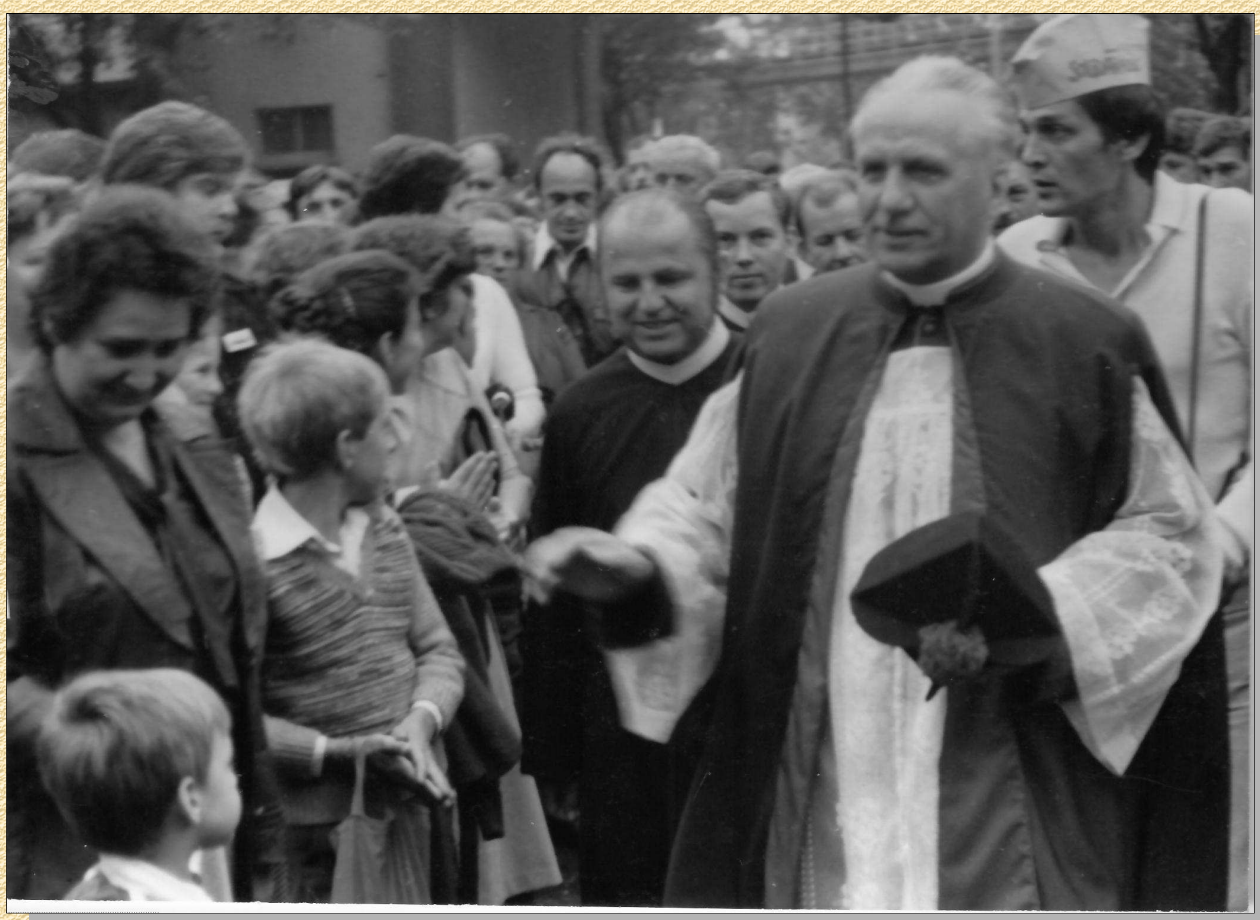
Jeśli chodzi o porozumienia „okrągłego stołu" uważam, że dobrze, że do nich doszło. Szło to w dobrym kierunku, ale już w stanie wojennym jednak zauważyłem, że zaczęły się tworzyć się inne grupy i kolidowały z tą właściwą Solidarnością.

Moje autorytety życiowe to Władysław Bartoszewski, Bronisław Geremek, Jan Paweł II, Jacek Kuroń, Frasyniuk, a w 1980 r. Lech Wałęsa. W wyborach czerwcowych uczestniczyłem, jak najbardziej, żona obraziłaby się, gdybym ja czy ktoś ze znajomych nie poszedł na wybory.

Obecnie mam dobrą sytuację, czuję się spełniony. Warunki mamy bardzo dobre, oboje mimo renty i emerytury dorabiamy sobie pracując. Ja np. pracuję przy agregatach prądotwórczych. Jestem zadowolony z małżeństwa i z tego, że byłem w Solidarności.Cieszę się z tego, co było. Wynikało to z mojego wychowania, ale słowa patriotyzm bym tutaj nie nadużywał.

Zryw sierpniowy w 1980 r. był potrzebny i przyniósł korzystne zmiany, ale jeśli Solidarność zaczyna wchodzić w politykę, to już mi się nie podoba. Porażką jest to, że zaczęli się kłócić ze sobą, pojawiły się odłamy, różnice, przypisywanie sobie nie swoich zasług. Solidarność powinna być z dala od polityki, na zewnątrz. Jestem dumny, że uczestniczyłem w ruchu Solidarności, ale nie chwalę się tym.

Z ostatniego okresu 25 lat niepodległości jestemzadowolony, żona bardzo zadowolona. Żyję w cudnym kraju. Mam tylko pretensje o rozgrabienie stoczni i o to, że szkoły przyzakładowe zniknęły. Mając dzisiejsze doświadczenie życiowe, też przystąpiłbym ponownie do takiego strajku, po prostu powtórzyłbym wszystko tak samo.



Ryszard Górny — ur. 3 kwietnia 1938 r. w Kartuzach. Uczestnik wydarzeń grudniowych 1970 r. w Gdyni i strajku sierpniowego w Stoczni im. Komuny Paryskiej w 1980 r. Członek NSZZ „Solidarność". Obecnie działacz Stowarzyszenia Gryf Pomorski.

Jestem kolekcjonerem wszystkich wydań, dotyczących Ludzi grudnia lat 70-tych i 80-tych, z ogromnym przejęciem wspominam tamte dni i wydarzenia.

Pracowałem w Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni (Produkcja Uboczna). Aktywnie uczestniczyłem w protestach robotników w latach 70-tych w Gdyni. Tak samo aktywnie zaangażowałem się w strajk w 80 r. (z dwudniowym opóźnieniem, spowodowanym zwolnieniem lekarskim) — uważałem, że jest to moim obowiązkiem i jednocześnie nie chciałem, by te wydarzenia mnie ominęły. Podczas strajku byłem doradcą przewodniczącego na swoim wydziale. Byłem wspierany przez żonę, która jednak — po wydarzeniach grudniowych w 70 roku — bardzo się o mnie obawiała.

Za główne postulaty — tak, jak wszyscy — uważałem przywrócenie godności robotnika, podwyżkę pensji, większe zaopatrzenie kraju w podstawowe produkty.

Z serdecznością wspominam wsparcie, które stoczniowcy otrzymywali od rolników, piekarzy i całego społeczeństwa.

Należałem i nadal należę do Solidarności.

W chwili podpisania Porozumienia odczuwałem ogromny entuzjazm, ale byłem świadomy, że nie będzie manny z nieba.

Bardzo ciężkim przeżyciem, zarówno dla mnie, jak i mojej rodziny, było ogłoszenie stanu wojennego — tuż za oknami naszego mieszkania stały czołgi, lufy których były skierowane na ludzi. Najbardziej obawiałem się powtórki scenariusza wydarzeń roku 70, ale mimo wszystko — byłem gotowy na wszystko.

Po stanie wojennym bardzo ciężko się żyło. Podczas obrad „okrągłego stołu" na początku była wiara i nadzieja, którą szybko straciłem...

Teraz jestem aktywnym działaczem w Stowarzyszeniu Gryfa Pomorskiego.



Ryszard Hinc — ur. 7 sierpnia 1949 r. w Pogórzu, gmina Kosakowo, powiat Puck. Pochodzenie robotniczo-chłopskie. Wyznanie rzymskokatolickie. Żonaty, dwoje dzieci. Wykształcenie średnie. Należał do Związku Zawodowego Metalowców. W latach 1963–1985 zatrudniony w Stoczni im. Komuny Paryskiej jako montażysta w produkcji konstrukcji stalowych. Służba wojskowa w latach 1968–1970. W roku 1983 awansował na brygadzistę. Uczestnik wydarzeń grudniowych 1970 roku i strajku sierpniowego 1980 r. Członek NSZZ „Solidarność" od 1980 roku. Od 1985 roku zatrudniony w Gdańskim Przedsiębiorstwie Budownictwa Przemysłowego jako monter, zajmował się konstrukcjami stalowymi. Później na kolei i w oczyszczalni ścieków. Od 1985 lub 1986 r. członek Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego. Aktywny w komitecie obywatelskim do 1998 r. Od 1990 do 1998 roku w Porozumieniu Centrum, a od 2003 r. w Prawie i Sprawiedliwości. W latach 1998–2002 radny powiatu wejherowskiego z list AWS, wcześniej w Radzie Miasta w Rumi. Obecnie na emeryturze.

Moja rodzina mieszkała na Pogórzu, a w Rumi. Była to rodzina robotniczo-chłopska. Ojciec po wkroczeniu Niemców, przez około 3 miesiące, był w obozie w Bytowie i w 1939 r. został członkiem organizacji „Czerwonych Kosynierów" (organizacja lewicowa, komunistyczna). Józef Hinc, brat ojca, walczył pod komendą płk. Dąbka. Po pojmaniu do końca wojny przesiedział w stalagu w Stargardzie Szczecińskim, a później w okolicach Pogórza; drugi brat ojca walczył w obronie Helu. Jan Hinc, mój ojciec, w 1943 r. został powołany do armii niemieckiej (miał do wyboru aresztowanie lub służbę) i służył na froncie zachodnim we Francji, Belgii. Po weryfikacji i przeszkoleniu w Anglii, służył u gen. Maczka w Brygadzie Strzelców Podhalańskich. Skończył służbę w armii polskiej w 1946 r. i w tym samym roku wrócił do Polski; miał nieprzyjemności ze strony Urzędu Bezpieczeństwa.

W trakcie strajków sierpniowych byłem żonaty i miał dwójkę dzieci. W tym czasie miałem wykształcenie średnie uzyskane w latach 1974–1976. W 1979 r. wybudowałem dom w Rumi, „bliźniak", obok domu szwagra. Warto dodać, że przed strajkami należałem do związków zawodowych metalowców oraz koła filatelistów przy stoczni. Rodzina nasza, od kiedy pamiętam, była wyznania rzymsko-katolickiego; nie należałem do żadnej wspólnoty przy Kościele.

W naszym domu wszyscy byliśmy negatywnie nastawieni do komuny, nie uczestniczyliśmy w wyborach i słuchaliśmy Radia Wolna Europa. Kościół i wiara w Boga odgrywały bardzo ważną rolę, to było naturalne. Nie miałem kontaktu z opozycją, ale ulotki człowiek czasami dostał. Moim autorytetem życiowym był Jan Paweł II i oczywiście rodzina.

Gdy wprowadzano podwyżki, w tym czasie dla młodego człowieka na dorobku, każda uciążliwość finansowa powodowała złość i niezadowolenie. Pracowałem w Stoczni im. Komuny Paryskiej od 1963 r. Uczęszczałem do Szkoły Budowy Okrętów, którą ukończyłem w 1966 r. a w 1968 r. zostałem wzięty do wojska i wróciłem w 1970 r. Pracowałem w stoczni od 1963 do 1985 r. byłem tam montażystą w produkcji konstrukcji stalowych. To był przemysł okrętowy, na wydziale budowy kadłubów pracowało około 400 osób. Zawsze byłem szeregowym pracownikiem, a od 1983 r. do końca pracowałem jako brygadzista. Dochody w moim zakładzie pracy nie były takie złe, zarabiałem dobrze, małżonka również pracowała w Domu Książki i do 1979 r. budowaliśmy dom.

Uczestniczyłem w wydarzeniach grudnia 1970 r., gdy szedłem do pracy w Stoczni, a dalej przeżyłem to, co inni pracownicy stoczni, uniknąłem jednak konsekwencji.

Przed strajkiem sierpniowym w 1980 r. chcieliśmy, żeby traktowano nas lepiej. Ryszard Darowski, mój kolega, kontaktował się z Wolnymi Związkami Zawodowymi. W końcu

strajk rozpoczął się 15 sierpnia. To było około 8 czy może po 8 rano, zobaczyłem pana Kołodzieja (wówczas nie wiedziałem, kto to i jak ma na imię), który powiedział, że zaczynamy strajkować. Towarzyszyły mu chyba jeszcze cztery inne osoby. Kiedy skończyliśmy swoją pracę, poszliśmy w miejsce zbiórki obok bramy głównej. Andrzej Kołodziej informował, że Stocznia w Gdańsku strajkuje. W większości do strajku byliśmy pozytywnie nastawieni.

Mówiono o strajku okupacyjnym, później nasz strajk przybrał jakieś ramy. Co drugą dobę wystawialiśmy warty w wyznaczonym rejonie. Czasami pomagałem w kuchni. Byłem przekonany, że to strajk w słusznej sprawie. Trzeba wesprzeć też Gdańsk, nasze — stoczniowców — postulaty, zbierały się od lat, to się nawarstwiało. Nie konsultowałem z nikim swojej decyzji o udziale w strajku. Moja żona o strajku dowiedziała się od szwagra, czułem wsparcie rodziny. Małżonka jednak bała się powtórki z Grudnia 70, bo wówczas brat mojej żony zniknął, nikt nie wiedział, co się z nim stało. O tym, że żyje, dowiedzieliśmy się w dwa lub trzy tygodnie później! Najpierw był przetrzymywany w podziemiach Urzędu Miasta, a następnie wciągnęli go do wojska do Grudziądza.

W sierpniu 1980 r. nie pamiętam, czy miałem jakieś obawy, ale w dyskusjach rosyjska interwencja pojawiała się nader często. W drugim tygodniu strajku, gdy rozmowy trwały, atmosfera się poprawiała. W moim otoczeniu nie słyszałem o ludziach wrogo nastawionych do strajku; jeśli tacy byli, to niezadowolenie trzymali dla siebie.

Uważam, że organizacja strajku była na wysokim poziomie. Posiłki były z barów w stoczni, my tylko pomagaliśmy, ktoś planował i o to dbał. Wszystko funkcjonowało bardzo sprawnie. Nie widziałem chaosu. Informacje związane ze strajkiem, o postępie negocjacji były przekazywane w formie komunikatów i ulotek, wywieszano je na tablicy. Ulotki były drukowane na miejscu, ale nie brałem w tym udziału.

Zmieniły się też relacje wśród załogi podczas strajku; uważam, że było lepiej. Atmosfera była przyjazna, solidarna, byliśmy wspólnotą, byliśmy jednością. Nie było sporów. Myślę, że wszyscy mieliśmy podobne zdanie odnośnie strajku. Moja rodzina dobrze oceniała strajk, co podtrzymywało mnie na duchu. Codzienność strajkowa wyglądała podobnie, wstawaliśmy dowolnie, ale przeważnie rano. Jeżeli nie mieliśmy służby, szliśmy na śniadanie albo byliśmy przy bramie. Tam można było czegoś się dowiedzieć. Stanie w kolejce po koperty i pieczątki strajkowe, to też była jakaś forma rozrywki. Poza tym gra w szachy, karty, czytano lub śpiewano.

Kiedy żona się rozchorowała, to w drugim tygodniu po 18 sierpnia (informując kolegów), razem ze znajomym z Rumi wyszliśmy z terenu Stoczni i pojechaliśmy do domu. Wróciliśmy około 22, może trochę po i na naszej drodze z Grabówka do stoczni natknęliśmy się na dwóch żołnierzy, lecz nie zauważyli nas. Zrozumieliśmy, że Stocznia jest otoczona, a przynajmniej pod obserwacją.

W niedzielę 31 sierpnia, czekaliśmy na komunikat o zakończeniu strajku, byliśmy podenerwowani. Ale gdy usłyszeliśmy informację, że porozumienie zostało podpisane, wśród nas zapanowała radość. Po powrocie do domu otrzymałem gratulacje od sąsiadów. Następnego dnia stawiliśmy się do pracy.

Przystąpiłem do Solidarności we wrześniu 1980 r. Nie pełniłem żadnych funkcji. Choć muszę dodać, że w lipcu 1981 r. z delegacją zakładu, autobusem klubu sportowego „Bałtyk" Gdynia, jechaliśmy do Lublina z okazji rocznicy strajków z lipca 1980 r.

Oceniam Solidarność i wynik strajku, bardzo pozytywnie. Wolne związki zawodowe były jednym z postulatów. Trudno powiedzieć, jaka część załogi przystąpiła do Solidarności. Wydaje mi się, że ponad 50%, może ok. 60%. Liderzy strajkowi weszli do Komisji Zakładowej. W zakładzie pracy ze strony dyrekcji nie było jakiś negatywnych sankcji w stosunku do członków związku Solidarność, a nawet do stanu wojennego można było wiele załatwić z kierownictwem działu. Nikt z PZPR nie rzucił legitymacji, aby wstąpić do związku. Nie pamiętam, by taka sytuacja miała miejsce.

Największym osiągnięciem Solidarności było to, że w wyniku strajku udało się większość postulatów zrealizować. Wolne związki zawodowe, wolne soboty czy uwolnienie więźniów politycznych. Po strajkach zaczęła się solidarność, jedność między pracownikami na wydziale i w całym zakładzie. Po kilku miesiącach to się rozluźniło, ale nie pamiętam, aby wróciło do okresu sprzed strajku. Te więzi rozluźniły się przed stanem wojennym. A jak został wprowadzony, ludzie jakby się zamknęli w sobie. Bardzo ważnym wydarzeniem dla mnie był 17.12.1980 r., kiedy ochraniałem stawianie pomnika ku pamięci ofiar Grudnia 70.

Gdy ogłoszono stan wojenny, byłem w domu. Zaskoczyła mnie ta sytuacja. Byłem oburzony, to był cios i zniszczenie nadziei. Człowiek był świadkiem Grudnia 70, słyszałem o Radomiu i Ursusie w 1976. Uważałem, że były to metody nieadekwatne do sytuacji. Działania związku Solidarność nie ustały, ulotki pojawiły się na wydziale w bardzo skromnych ilościach. Pamiętam, że były zbierane pieniądze, ale nie wiem, dla kogo, chyba na internowanych.

Stosunek kierownictwa do nas był bardziej represyjny. Stosowano wewnętrzne przepustki, jeśli chciałem pójść np. do przychodni na terenie Stoczni. Chodziły patrole, które uniemożliwiały kontakt z innymi wydziałami. Pojawiły się oznaczenia, numery na kombinezonach, kaskach, zwiększono kontrolę i dyscyplinę. Cała sytuacja była podła. Czułem wewnętrzny opór przed takimi działaniami. Ten brak zaufania, szacunku. Z trudem funkcjonowałem i dostosowywałem się do warunków w zakładzie pracy. Czuliśmy się jak w obozie. Z tą różnicą, że po pracy szliśmy do domu. Trzeba było pamiętać o godzinie milicyjnej. To wszystko było przygnębiające. Po wprowadzeniu stanu wojennego, z 14 na 15 grudnia 1981 r. rozpoczęliśmy strajk okupacyjny. Mieliśmy stanowiska, radiowęzeł. Z głośników kazano nam się udać w kierunku bramy głównej. Zobaczyliśmy czołgi, SKOT-y, wojsko. Byliśmy przerażeni. Oni wjechali do stoczni, zniszczyli płot. Zagonili nas koło przychodni przy bramie. Tam nas okrążyli. Wystąpił jakiś oficer, po jakimś czasie stania było przemówienie, że jesteśmy tu bezprawnie i będzie wiązało się to z konsekwencjami. Wyprowadzono nas ze stoczni do pętli autobusowej i peronu Gdynia Stocznia. Przez całą drogę, po obu stronach drogi, stało wojsko, czołgi, transportery. Przez około 2 tygodnie nie było mnie w pracy. Stocznia była zamknięta.

W okresie stanu wojennego, po upływie dwóch tygodni wróciłem do stoczni i pracowałem do 1985 r. Zatrudniłem się w Gdańskim Przedsiębiorstwie Budownictwa Przemysłowego. Byłem monterem, zajmowałem się konstrukcjami stalowymi. Krótko pracowałem w „Przemysłówce", ale na terenie Stoczni, na Grabówku na kolei, na Obłużu i w Dębogórzu (na początku lat 90-tych) przy oczyszczalni ścieków. Gdy krótko pracowałem na terenie Stoczni, Ryszard Darowski prosił mnie, abym dostarczył ulotki na określony wydział, stąd wiem, że ulotki funkcjonowały do 1989 r. Miałem również kontakt z kolegami, z innym wydziałem budowy kadłubów (K-2). O strajkach w 1988 r. wiedziałem i popierałem je. Słyszałem propagandę mówiącą, że teraz jest tak dobrze, a ludzie mimo to strajkują. Odczytywałem to bardzo negatywnie i popierałem strajkujących.

Jeśli chodzi o ruch opozycyjny miałem kontakty z kolegami. Nie spotkałem się z ruchem związkowym w „Przemysłówce", w związku z tym nie działałem w tym ruchu. W 1985 lub 1986 r. wstąpiłem do Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego.

„Okrągły stół" i te porozumienia „okrągłego stołu" to był dziwny twór. Uważałem, że pewne osoby ze strony rządowej nie powinny tam być. Początkowo miałem zaufanie do tej strony solidarnościowej, ale wraz z biegiem wydarzeń, oceniałem to wszystko bardzo negatywnie. Uczestniczyłem też w wyborach czerwcowych, ale choć nie pamiętam konferencji Bronisława Geremka, pamiętam, że byłem rozgoryczony, czułem jakby uderzenie obuchem. Przecież wygrała Solidarność i nagle powtórzenie wyborów. Później wyszły na światło dzienne pewne ustalenia i człowiek był zły. Bronisława Geremka kojarzę jednoznacznie negatywnie.

Dzisiaj jestem na emeryturze, która wynosi około 2130 zł netto. W latach 1998–2002 byłem radnym powiatu wejherowskiego z list AWS, wcześniej byłem w Radzie Miasta w Rumi od 1990 r., ale nie byłem radnym, byłem w komitecie obywatelskim do 1998 r. Od 1990 do 1998 byłem w Porozumieniu Centrum, a od 2003 r. jestem w Prawie i Sprawiedliwości. Poza działalnością społeczną udało mi się dorobić działki (od teścia), domu, samochodu, mam też działkę za miastem. Jestem zadowolony, że dzieci się usamodzielniły, mam wnuki, tak że jest jakaś stabilizacja.

W dalszym ciągu moim autorytetem jest Kościół i Jan Paweł II. Z racji tego, że jestem w PiS, podziwiam Jarosława Kaczyńskiego, że znosi tę nagonkę i całą nienawiść. Mam satysfakcję, że mogłem brać udział w zrywie sierpniowym 1980 r., w tak ważnych wydarzeniach. Odczuwam dumę z tego powodu. Solidarność była bardzo ważna, należy pielęgnować pamiątki z tego okresu. To było częścią mojego życia, bo Solidarność w jakiś sposób mnie kształtowała, człowiek czuł siłę. To określenie: w jedności siła — nabierało nowego znaczenia.

Mając dzisiejsze doświadczenia życiowe zdecydowanie przystąpiłbym ponownie do takiego strajku.

Jestem dumny z udziału w tym proteście, dziś nie mam przed kim się chwalić, może między kolegami ze stoczni — oni to rozumieją. Obecnie ludzie nie czują takich doświadczeń. Solidarność wtedy miała inny wymiar, dziś nie jest siłą wiodącą, negatywna propaganda zrobiła swoje. Uważam, że nie wykorzystano szansy po 1989 r. Może związek nie był tak silny, nie rozpoznano możliwości przeciwnika, a także to, że osoby z Solidarności przeszły na drugą stronę.

Uważam, że po 25 latach niepodległości powinniśmy być na dużo wyższym poziomie. Szczególnie z tego powodu, że były pieniądze z Unii, ale na budowie dróg i stadionów zarobiło wąskie grono osób, a wiele osób zostało oszukanych. Szczególnie od 2007 r. nie ma myślenia państwowego, tylko partyjne. Liczy się ich interes.

Chciałbym, żeby dzisiejszy związek odgrywał większą rolę i mógł więcej, żeby był taki jak w latach 1980–1981. Chciałbym zmienić dysproporcje płacowe. Ceny w Europie czy Polsce są podobne, ale na zachodzie Europy te pensje są wielokrotnie wyższe niż u nas. Są u nas oszustwa bankowe. Moi krewni mieszkający zagranicą mówią, że jest większe bezpieczeństwo klienta. U nas wszystko jest fasadowe. Obywatel pozostaje sam. Instytucje nie robią nic.

Gdybym dzisiaj miał sformułować kilka postulatów „strajkowych", to widziałbym to tak: aby obecne związki zawodowe miały większą kontrolę nad instytucjami zaufania publicznego. Po drugie większa ochrona rodziny i pomoc socjalna. I wreszcie, za każdą umową o pracę powinna iść składka do ZUS, aby to powoli rosło. Walczyłbym o to, popierałbym ludzi, którzy mogliby to wyegzekwować.



Stefan Iżyłowski — ur. 15 czerwca 1935 r. w Warszawie. Pochodzenie inteligenckie. Wyznanie rzymskokatolickie, wierzący i praktykujący. W Gdyni mieszka od 1958 r. Żonaty od 1958 r., jedno dziecko. Ukończył PWST w Warszawie, zdobył zawód aktora. Członek SPATiF-u. Od 1970 r. do chwili obecnej pracuje w Teatrze Dramatycznym w Gdyni. Uczestnik strajku sierpniowego 1980 r. Wspierał strajkujących stoczniowców w Gdyni organizując tam przedstawienia patriotyczne. Wstąpił do NSZZ „Solidarność". Jako aktor recytujący wiersze patriotyczne uczestniczył w mszach za ojczyznę organizowanych przez redemptorystów w Gdyni. Nadal czynny zawodowo.

Od 1958 r. mieszkam w Gdyni. Od tego też roku aż do teraz jestem żonaty. Żona Kamila, jedna córka Beata (obecnie Łęgowska). Pochodzę z rodziny inteligencji pracującej (według terminologii komunistycznej), ojciec pracował w wydawnictwie, był księgowym. Z wykształcenia jestem aktorem, ukończyłem PWST w Warszawie (obecnie Akademia Teatralna im. A. Zelwerowicza). Należałem do Stowarzyszenia Aktorów Teatru i Filmu (SPATiF). Cały czas od września 1970 r. do chwili obecnej pracuję w Teatrze Dramatycznym w Gdyni.

Dochody nie wystarczały nam na dostatnie życie. Małżonka pracowała w teatrze, córka studiowała, dorabialiśmy więc dodatkowymi występami poza miejscem pracy. Ciągle jestem aktywny zawodowo. Jestem zadowolony ze swojej pracy i nadal spotykam się ze znajomymi, którzy już są na emeryturze. Wyznanie rzymsko-katolickie, praktykujący, bardzo zaangażowany. Kościół zawsze był dla mnie i rodziny bardzo ważnym ośrodkiem polskości. Widząc szarą rzeczywistość, poglądy kształtowałem słuchając BBC, Głosu Ameryki, czytałem „Kulturę" wydawaną w Paryżu, czytałem również prasę drugiego obiegu. Byłem co prawda poza głównym nurtem wydarzeń, mieszkałem jednak w środowisku stoczniowców pracujących w stoczni. Prasa podziemna krążyła wśród nas.

Nikt z nas nie przypuszczał, że to wybuchnie, że coś się zmieni i doprowadzi do zmiany systemu. Jednak wyczuwalne było w społeczeństwie, że chcą zmian. Reakcja na wprowadzane podwyżki oprócz depresji, poczucia krzywdy i niesprawiedliwości, przede wszystkim wywołała złość i zdenerwowanie, na to co się dzieje i na ciężką sytuację ludzi.

W sierpniu 1980 r. jako jedyny teatr nie mieliśmy wolnego. Usłyszawszy w teatrze, że rozpoczął się strajk, postanowiliśmy wesprzeć stoczniowców, pojechać do stoczni i przedstawiać tam programy patriotyczne, poetyckie. Byłem przewodniczącym pracowniczej rady zakładowej i zainicjowałem przystąpienie teatru do strajku. Doszło do rozpowszechnienia informacji o możliwości przystąpienia innych teatrów z Polski do Solidarności. Większość ludzi chętnie słuchała naszych programów. Byłem bardzo wzruszony i poczułem, że mój zawód ma znaczenie. Przystępując do strajku nie myślało się o strachu, wspierałem strajkujących jako aktor. Rodzina też wspierała, a przyjaciele wraz ze mną organizowali przedstawienia patriotyczne.

Organizację strajku ocenialiśmy bardzo dobrze, wszystko szło w dobrym kierunku. Wiele nie wiedzieliśmy o tym, co się dzieje na terenie stoczni, bo nawet rodzin nie wpuszczano, ale jak wypytywałem o sytuację, czy jest do wytrzymania, to wszyscy mówili, że dadzą radę i wytrzymają. Rozdawano ulotki prawdziwe i fałszywe, te od komunistów rozróżniano po treści. Komuniści zrzucali ulotki ze śmigłowców. Byliśmy zachłyśnięci postulatami, wszystkie były ważne. W teatrze nie drukowano ulotek, ale przenosiliśmy je i były rozpowszechniane wśród pracowników.

Ludzie z Gdyni przynosili strajkującym żywność i koce. Nasz udział w strajku to organizowanie przedstawień. Występowaliśmy na 3–4 platformach samochodowych pełniących rolę sceny teatralnej. Pomagała parafia Najświętszego Serca Pana Jezusa z księdzem Hilarym Jastakiem na czele. Nie pamiętam jakichś sporów ideologicznych lub personalnych

czy innych konfliktów. Kontakty z dziennikarzami my, aktorzy, mieliśmy dzięki księżom, organizowali oni te spotkania, zwłaszcza ksiądz Hilary Jastak.

Moment podpisania Porozumień oglądaliśmy w telewizji. Wśród nas panował szok, euforia, radość, wspaniała atmosfera w zakładzie. Do Solidarności przystąpiłem od razu, nie pełniłem żadnej funkcji, zresztą wszyscy gremialnie się zapisali, kierownictwo zakładu nie wyciągało negatywnych konsekwencji z tego powodu.

Początkową działalność Solidarności ocenialiśmy bardzo pozytywnie, ale z czasem wyglądało to coraz gorzej, potem euforia minęła i wróciliśmy do rzeczywistości. Jeśli mam wyrazić moje zdanie o działaniu członków PZPR w pierwszym okresie Solidarności, to myślę, że sekretarz partii z Gdańska Tadeusz Fiszbach to jeden z porządniejszych ludzi, jeśli chodzi o zachowanie władz podczas strajków.

Największe osiągnięcie Solidarności to właśnie solidarność i zjednoczenie ludzi. Ludzie pomagali sobie, mimo że byli obcy dla siebie. W pracy wierzyliśmy, że będzie lepiej. Nie spotkały nas żadne represje za udział w strajku. Ogarnęła nas euforia, ale później, jak wspomniałem, wszystko wróciło do normy.

Moje wspomnienie wprowadzenia stanu wojennego zacznę od 12 grudnia 1981 roku.

Wtedy miałem premierę przedstawienia „Król Jeleń II" w reżyserii pana Bohdana Korzeniewskiego. Po premierze była mała uroczystość. Późno wróciłem do domu. Rano sąsiadka obudziła mnie pukaniem do drzwi i powiedziała: „Panie Stefanie, wojna". Wszyscy przyszli do teatru. Nie mogliśmy pracować. Trwało to około tygodnia. Ponadto 13 grudnia rano, kiedy chcieliśmy w domu posłuchać audycji „60 minut na godzinę", okazało się, że jest to niemożliwe. Wprowadzono godziny milicyjne. Bardzo wielu ludzi próbowało się dostać do stoczni. Moja córka jechała z chłopakiem i już w Gdańsku nie mogli dojechać do centrum. Zaczęli iść w kierunku stoczni. Na ulicach była milicja, która strzelała w kierunku ludności cywilnej. Do kaptura bluzy chłopaka Beaty wrzucono petardę. Nic się nikomu nie stało, ale milicja otworzyła do nich ogień.

Jesienią 1981 roku byliśmy na przyjęciu po którymś z przedstawień. Wśród gości były żony oficerów marynarki, które mówiły, że mężowie są skoszarowani, a one nie wiedziały, co się dzieję. Było to ciężkie przeżycie, każdy starał się to jakoś przeżyć. Starałem się funkcjonować normalnie i wspierać ludzi przedstawieniami. Utrzymywałem działalność, ulotki krążyły, koledzy przynosili je do pracy.

Wystawialiśmy „Wieczernik" w reżyserii Haliny Słojewskiej. W stolicy grali to między innymi Krystyna Janda i Daniel Olbrychski, a reżyserował Andrzej Wajda. Graliśmy to po kościołach, (wtedy po raz drugi poczułem, że dobrze wybrałem zawód), ludzie chcieli to oglądać. Msze święte za ojczyznę organizowane przez ojca Edwarda Rybę w kościele oo. Redemptorystów połączone były z recytacją wierszy patriotycznych. Później za karę ojca Rybę przenieśli na inną parafię, gdzieś aż do Gorzowa Wielkopolskiego. Po stanie wojennym aż do „okrągłego stołu" (lata 1983–1989) miałem pracę cały czas. W 1988 roku nie brałem udziału w tych strajkach, ale byłem związany z Solidarnością, interesowało mnie to.

Ustalenia „okrągłego stołu" przyniosły nadzieję, w wyborach 4 czerwca 1989 roku braliśmy wszyscy udział. Oglądaliśmy razem wybór Tadeusza Mazowieckiego na premiera, byliśmy wzruszeni.

Dzisiaj sytuacja jest dobra, nadal gram w teatrze (tym razem Doża w „Otellu"). Mam piękny dom i nie narzekam na warunki materialne. Moim sukcesem jest rodzina: żona i córka, a także praca zawodowa. Po trzyletniej nieobecności znów znalazłem się w teatrze i gram, bo prosili mnie o to moi serdeczni koledzy i koleżanki, którzy mnie docenili.

Uważam, że w zrywie sierpniowym 1980 r. warto było brać udział. Odegrał w moim życiu bardzo ważną rolę. Miałem poczucie, że uczestniczę w czymś istotnym. Nie żałuję tego i przystąpiłbym ponownie do strajku. Niestety, dramatem jest, że niektórzy zapłacili za to najwyższą cenę.

W 1980 roku człowiek był dumny z udziału w tych wydarzeniach. Dzisiaj, niestety, wielu ludzi sprzeniewierzyło się swoim ideałom, dla nich liczą się tylko pieniądze. Ludzie stracili chęć do współpracy, zrzeszania się i pomocy sobie nawzajem. Brakuje uczciwości i wzajemnej życzliwości.

Ostatni okres 25 lat niepodległości oceniam nie najlepiej. Dzisiaj chciałbym, żeby ludzie zaczęli myśleć uczciwie, tak jak w 1980 roku. Boli również fakt, że ludzie nie myślą

nad tym, co się dzieje dookoła nich i nie wyciągają z tego wniosków. Moja córka Beata twierdzi, że kiedyś widoczna była różnica między tymi, którzy postępują uczciwie, a tymi którzy tego nie robią. Wiele z tamtych postulatów z sierpnia 1980 roku nie zostało spełnionych. Brakuje dziś patriotyzmu i miłości dla drugiego człowieka.

Nasze postulaty na dzisiaj, to żeby ludzie zaczęli być uczciwsi w życiu politycznym i społecznym. Na pewno bym się włączył w miarę swoich sił do walki o te ideały. Mówi się, że należy zmieniać się od siebie, ja mogę sobie w lustrze spojrzeć bez problemu w oczy, a patriotyzm jest bardzo żywy w całej naszej rodzinie.



Marian Jankowski — ur. 15 września 1950 r. w Sopocie. Pochodzenie robotniczo-chłopskie. Wierzący i praktykujący. Ukończył technikum i studia wieczorowe na Politechnice Gdańskiej na wydziale budowy maszyn, kierunek samochody i ciągniki. Podjął pracę w Polmozbycie. Ożenił się w 1980 r. Brał udział w sierpniowym strajku 1980 roku. Przystąpił do NSZZ „Solidarność", gdzie pełnił funkcję wiceprzewodniczącego komisji zakładowej. Został też wybrany na wiceprzewodniczącego Rady Pracowniczej. W 1984 roku zwolniony z pracy na podstawie fałszywych dowodów. Po czterech latach zrehabilitowany i ponownie przyjęty do Polmozbytu na stanowisko głównego technologa. W 1989 roku awansował na dyrektora i doprowadził do sprywatyzowania Polmozbytu i utworzenia Spółki Pracowniczej. Pracował tam do roku 2000, potem zajął się pracą na własny rachunek.

Rodzice moi pochodzą z Wielkopolski, ze wsi, która była w okolicy miasta Koło. Koło jest teraz znane z tego, że robią tam armaturę sanitarną. Kiedyś tam była fabryka i moja mama malowała obrazki na talerzach. Ojciec był kowalem na wsi. Po zmianach likwidowania prywatnej inicjatywy moi rodzice przyjechali do Sopotu. Tata był spawaczem, pracował w stoczni, a mama zastała w domu z dziećmi. Ojciec umarł bardzo wcześnie, na białaczkę. Mama ma 97 lat i jeszcze żyje, chociaż to jest takie życie w innym świecie.

Tradycje patriotyczne w naszym domu były duże. Ojciec walczył nad Bzurą. Wujek był pilotem i jest opisany w książce „Dywizjon 303". Kiedy ojciec uciekł z obozu w Niemczech, poszedł do wojsk Maczka. Po powrocie do kraju został zatrzymany, na trzy lata w więzieniu, jako wywrotowiec. Więc mamy tradycje patriotyczne zakorzenione od wielu lat. Tato nawet dostał przed śmiercią medal za wojnę obronną z 1939 r. Ojciec żony był więźniem obozu koncentracyjnego Majdanek. Przeżył dzięki temu, że się zgłosił jako fryzjer, choć nie miał doświadczenia. Niemiec pytał o fryzjera, więc on wypchnął siebie, swego ojca i brata, że to niby fryzjerzy, choć on nigdy fryzjerem nie był. Ale ścinając te włosy w końcu się nauczył obcinać. Opowiadał nam dużo rzeczy o obozach, a mój ojciec o wojnie. Mama pracowała u Niemca, w czasie wojny została wysłana na przymusowe roboty. Więc u nas w domu wiele się na te tematy mówiło, a do tego sam czytam dużo historycznych książek, dla poszerzenia swojej wiedzy. Wiem, że babcia uratowała Żyda.

Moja rodzina ma pochodzenie robotniczo-chłopskie. Skończyłem podstawówkę, potem technikum, a w 1977 r. studia na Politechnice Gdańskiej, wydział budowy maszyn, kierunek samochody i ciągniki. Kończyłem studia wieczorowe, pracowałem w tym czasie jako mechanik brygadzista, po studiach poszedłem do pracy na mistrza do Polmozbytu. Króciutko przed tym strajkami sierpniowymi 7 czerwca 1980 r. ożeniłem się z Grażyną, z domu Żuk. Żona pochodzi z Lubaczowa. 20 km od nich był obóz koncentracyjny Bełżec. Obecnie jest tam pomnik, bo sam obóz został kompletnie zniszczony. To był zawsze teren zapalny, później działali tam Ukraińcy, więc na ten temat się w domu nie rozmawiało, bo teścia od razu brała biała gorączka, wymordowali mu trochę członków rodziny.

Mieszkałem u teściów, którzy mieli domek na tej samej ulicy, na której mieszkam teraz. Dzięki temu dowiedziałem się, że była tu do kupienia działka i ze szwagrem, po pracy, własnymi rękami budowaliśmy tu dom. Zarabiałem wtedy ok. 4500 zł — nie najgorzej, starczało na wszystko. To była moja oficjalna pensja, ale dostawałem wtedy jeszcze wyrazy grzecznościowe. Nikt się z tego tytułu nie tłumaczył, bo to było niezwykle powszechne. To był czas, kiedy niczego nie było, więc jak klient się ze mną umówił na robotę, to ja musiałem mu to zorganizować, wszystkie części, itp. On już wiedział, że mnie ta organizacja części też trochę kosztuje. Pracowałem w takiej branży jak Polmozbyt, więc do mnie przyjeżdżali ludzie z samochodami. A wtedy samochody mieli ci, co prowadzili jakieś biznesy, kierow-

nicy sklepów. On, jak wchodził na stację, to mówił: „Panie, ja panu to i to załatwię, jak pan mi to i to załatwi". Więc nie miałem najmniejszych problemów, by cokolwiek kupić. Dużo rzeczy załatwiałem też pracownikom. Mnie samemu nie było potrzebne 15 dywanów, więc się pytałem pracowników, czy je chcą. Ludzie byli zadowoleni, więc też lepiej pracowali.

Teraz mamy taką sytuację, że wszystko jest w sklepach, tylko ludzie narzekają na pieniądze, a wtedy mogłeś mieć pieniądze, ale nic nie było w sklepach. Wszystko trzeba było sobie jakoś załatwić. Z pracy byłem zadowolony, zawsze chciałem pracować przy samochodach, nie miałem problemów z pracownikami. Bardziej rozumiałem tych pracowników, wiedziałem, na czym polega ta praca, miałem doświadczenie. Na strajk zareagowałem jak większość ludzi. Nie wiedziałem, na czym to polega. Osobiście niczego mi nie brakowało, miałem dostęp do wszystkich dóbr, o jakich sobie mogłem pomarzyć. Do mnie przychodziło całe społeczeństwo, oferując różne dobra, byle tylko mu pomóc. Inni narzekali, że nic nie mogą kupić, bo jak ktoś nie miał tak rozległych kontaktów, to nie mógł nic załatwić. Ja nie znałem tych wszystkich bolączek rynku. Mnie nic nie brakowało. Nasze środowisko Polmozbytu zaczęło strajkować na fali tych strajków, do końca nie wiedząc, o co chodzi. Zacząłem sobie światopogląd wyrabiać przez Wolną Europę, dowiadywałem się, że ludzi się w więzieniach przetrzymywało.

Pracowałem w przedsiębiorstwie państwowym Polmozbyt, byłem tam mistrzem na warsztacie. Polmozbyt miał 2500 pracowników, 15 stacji obsługi, chyba z 70 sklepów, hurtownie części, magazyny. Nasze tereny były od Elbląga do Kwidzyna. Po ślubie wyjechaliśmy z żoną w podróż poślubną, a jak wróciliśmy, to już się atmosfera zagęszczała w całym kraju. Nie działałem w tajnych organizacjach czy w wolnych związkach. Po prostu byłem człowiekiem, który miał swoje poglądy, ale nie udzielałem się jakoś tam na zewnątrz.

Przyszedł sierpień, zaczęły się strajki. Ktoś powiedział, że w stoczni zaczął się strajk, więc i my go zaczęliśmy w Polmozbycie. To była dosyć duża firma państwowa, która zajmowała się sprzedażą, naprawami samochodów, części zamiennych. Miała szereg oddziałów, stacji, sklepów. Ja pracowałem wtedy w Gdańsku, jak to się mówi, przy dyrekcji, bo wtedy były dwie stacje obsługi: przy dyrekcji i we Wrzeszczu. Jak zaczął się strajk, to z początku jeszcze pociągi chodziły, ale autobusy już nie jeździły, więc pierwsze dni chodziło się piechotą. Potem, jak przerwali komunikację pociągiem, to jeździłem rowerem. A potem już był tzw. strajk okupacyjny, wtedy się siedziało w pracy i już się nigdzie nie jeździło. Przy czym moja wiedza wtedy, co się dzieje, była bardzo ograniczona. Zbierało się jakieś strzępy informacji, czasami się jechało pod stocznię, żeby się dowiedzieć, o co tu chodzi. Dużą wiedzę mieliśmy z radia Wolna Europa — mój tato był wiernym słuchaczem Wolnej Europy, zawsze jej słuchał, jak wracał z pracy. Tam nadawali informacje o tym, co się dzieje w Polsce. To kształtowało pewną świadomość, co się w ogóle w tym kraju dzieje, szczególnie w okresie ogromnej propagandy.

W trakcie strajku byłem młodym facetem, miałem wtedy 30 lat. Do końca strajku siedzieliśmy w tym Polmozbycie, co prawda nie spało się na styropianie, tylko na stolikach, na krzesłach. Dołączyliśmy się, jak poszła fama, że stocznia strajkuje. Większe zakłady zaczęły się blokować. Więc i nasz zakład też zaczął się blokować. Nasz zakład miał tyle ludzi, oddziałów, że w samej dyrekcji pracowało ok. 200 osób. Więc my kontaktów z dyrekcją nie mieliśmy, dyrekcja to byli swoi, a na samej stacji to już robotnicy byli. A przecież to był strajk robotniczy, a nie żadnej tam dyrekcji, urzędasów.

Pracowałem z ludźmi na warsztacie. Chociaż byłem inżynierem i mistrzem, to generalnie miałem kontakt z pracownikami fizycznymi. Przyjmowałem zlecenia, rozdzielałem zlecenia, rozliczałem te zlecenia. Taka robota związana z funkcjonowaniem tego warsztatu. U nas to było bardzo spontaniczne, z początku nikt się nie wyrywał do tego, kto ma zostać przywódcą. To była nasza inicjatywa oddolna, mówiliśmy, że strajkujemy i to robiliśmy. Sami bez jakiegoś wielkiego przywództwa. Jeśli się nie mylę, to u nas przywództwo powstało dopiero jakoś w październiku.

Wtedy były u nas wybory, powstała Solidarność jako związek zawodowy, zapisywanie było, powstał komitet zakładowy Solidarności, były wybory na członków prezydium. Zostałem w tych wyborach wybrany na wiceprzewodniczącego Solidarności zakładowej, mój kolega chciał być przewodniczącym, więc ja powiedziałem, że jak najbardziej mu ta rola pasuje. Były to typowe tajne wybory. Po krótkim czasie były wybory Rad Pracowniczych,

żeby pracownicy mogli oddziaływać na formę pracy warsztatu. Kiedyś w firmach głos wiodący miał Komitet Zakładowy Partii, więc to miała być taka przeciwwaga. Zostałem też wiceprzewodniczącym Rady Pracowniczej. Więc miałem te dwa stanowiska, jedno związkowe, a jedno w imieniu ludzi, by, jak to się mówi, patrzeć na ręce dyrekcji. Tak na te ręce patrzyłem, że w końcu mnie wywalili z roboty.

Do nas przyszła informacja, że stocznia strajkuje. Do pracy dojeżdżałem co dzień, w pewnym momencie stanęły tramwaje, a z dworca na Hallera trzeba było jechać z 5 przystanków tramwajem. Więc już się szło piechotą, ale do pracy się przychodziło tak normalnie. Potem stanęła kolej SKM, już nie chodziły pociągi, więc jeździłem rowerem. Potem ktoś krzyknął, że trzeba zrobić okupację zakładu, więc pojechałem rowerem do domu i powiedziałem, że nie wrócę. Wtedy nie było telefonów, a trzeba było jakoś poinformować rodzinę. Te czynniki komunikacyjne najbardziej wpłynęły na nasz początek strajku — jak już człowiek przyjechał, to nie miał jak wrócić.

Jeśli chodzi o żywność, to sami sobie braliśmy kanapki z domu, ale był u nas też taki kiosk, gdzie podstawowe produkty można było kupić. Ale najwięcej to się brało z domu. Gdy się tak zorganizowało, że są dyżury, to część ludzi zostawała, część szła do domu. Tam się non stop nie siedziało, bo można było dostać fioła. Nie było tak, by cała załoga siedziała dzień i noc. Mieliśmy też ze 3 kilometry do stoczni, to chodziliśmy tam, by zorientować się, co się dzieje i po biuletyny. Obawy w czasie strajku wynikały stąd, że żona była w ciąży, ale nikomu krzywdy w czasie strajku nie zrobiłem. Więc nie czułem jakiś obaw, gdyż czułem, że chcę pomagać innym ludziom. Dopiero jak straciłem robotę, zobaczyłem, że na mnie spłynęły konsekwencje, bo starałem się być dobry. Ja tego nie robiłem dla siebie, bo mi to nie było potrzebne, robiłem wszystko dla ludzi.

W strajku przynajmniej robotnicy uczestniczyli prawie wszyscy, nie wiem jak w dyrekcji, dyrekcja pracowała w osobnym budynku. Na poziomie pracowników to generalnie nie było oporów, brali udział niektórzy członkowie partii, którzy szli z falą, choć może myśleli co innego. Ale potem się okazało, że ta fala to była sztuczna fala, bo z jednej strony byli z nami, a tak naprawdę donosili na nas. Członków Solidarności było 10 milionów, a prawdziwych to chyba z 5 milionów. Pozostali byli z poleceń partyjnych.

Decyzję o pozostaniu w zakładzie popierała moja żona, w tym czasie robiła doktorat. Środowisko akademickie kiedyś było bardziej patriotyczne, to byli ludzie o zdecydowanych poglądach, mieli swoje przemyślenia i się z nimi nie kryli. Moja żona pracowała w tym środowisku. W domu wszyscy byliśmy za tym, z rodzicami i z teściami liczyliśmy, że może coś w tym kraju się zmieni, że dobrze, że to wszystko powstało. W roku 1980 ludzie się nad tym nie zastanawiali, o tym nie myśleli. Taka była euforia, że ludzie nie myśleli o skutkach.

Organizacja strajku u nas, jak na strajk bardzo spontaniczny, była dobra. Z własnej inicjatywy zaczęliśmy dozorować warsztat. Jak się pojechało pod stocznię, to nam stoczniowcy mówili, by zrobić patrole obywatelskie, żeby nie było dywersji. Więc u nas takie patrole obywatelskie też wychodziły bardzo spontanicznie. Ludzie sami się zgłaszali, generalnie młodzi się zgłaszali. W nocy chodziliśmy wokół zakładu. Co prawda u nas się nic nie działo, ale wszyscy chodzili, to i my chodziliśmy.

W czasie strajku były wydawane biuletyny, jak się szło pod stocznię, to się je dostawało. Tam było napisane, jak się organizować, były spisane sprawy porządkowe i organizacyjne, więc myśmy na tej podstawie działali. Z tego człowiek się uczył. Tam było o postulatach i podobnych rzeczach. Czytaliśmy te biuletyny, omawialiśmy, to była taka literatura obowiązkowa. Wszystkich postulatów nie wymienię, ale to były postulaty dotyczące środowiska pracy. To nie były jakieś polityczne postulaty. O lepsze buty, o kombinezony, narzędzia, takie rzeczy, które wynikają z pracy. By wentylację zrobić lepszą. Żeby poprawić organizację pracy. Dotyczyło tego, co ludzi interesowało na ich stanowiskach. Chcieliśmy zmienić godziny pracy, ograniczyć pracę w sobotę. Tych postulatów było bardzo dużo, my jako komisja zakładowa weryfikowaliśmy te postulaty. Tak, by coś z tego wyszło.

Po podpisaniu porozumień poszliśmy pod Stocznię, panowała wtedy ogólna euforia. To był 31 sierpnia. Przyszedł tak ogromny tłum, że tam się nie było jak dopchać. Ja to przeżyłem, cały czas się powtarzało, że to wszystko dla nas. Wszyscy o tym gadali. Zaczęły pociągi jeździć, tramwaje, autobusy. Naród odzyskał niby tę swobodę, że wszystko nam wolno, chociaż w sklepach nic nie było. Tylko się poprawiły się nastroje społeczne. W sklepach się nic nie zmieniło, a nawet było jeszcze gorzej. Potem już na wszystko wprowadzono karteczki.

We wrześniu organizowaliśmy związek zawodowy Solidarność. Były wybory do Komisji Zakładowej Solidarności, były biuletyny, które mówiły, by tworzyć komitety zakładowe. W to się zaangażowała koleżanka, która później bardzo przeżyła wprowadzenie stanu wojennego. Jeździła po placówkach, zbierała dane, wszystkich rejestrowała, zaangażowała się w pracę dokumentacyjną. Potem były wybory i powstała Komisja Zakładowa, Grzegorz Korzeniowski został przewodniczącym, ja wiceprzewodniczącym, w sumie było nas z 9 czy 10 osób.

Do Solidarności przystąpiła zdecydowana większość załogi, łącznie z partyjnymi. Wtedy wszyscy się zapisywali, myślę, że to było jakieś 90% załogi. Może się dyrektor nie zapisał i jeszcze jakiś paru. Z początku dyrekcja była przestraszona, tak na zasadzie, że nikt do końca nie wiedział, o co chodzi. Na pewno nikt nie utrudniał, dostaliśmy pokój jako Komisja Zakładowa, meble, mogliśmy wziąć telefon. Mogliśmy na kserokopiarce drukować informatory.

W pierwszej fazie była taka duża przychylność. Ale po pewnym czasie zaczęły się pojawiać z partii wytyczne, co należy robić, jak z Solidarnością działać. Zaczęła się pewna izolacja. Przewodniczący miał etat z firmy w naszej Komisji, ja miałem etat społeczny. Normalnie pracowałem na warsztacie, a sprawy Komisji załatwiałem w godzinach dyżurów. A on siedział tam cały czas. Ludzie do nas przychodzili z różnymi sprawami, więc staraliśmy się ich problemy załatwiać. Nasze załatwianie polegało na tym, że pisaliśmy uchwały i przynosiliśmy dyrektorowi. Nie mieliśmy mocy sprawczej, na wszystko musiała być zgoda dyrektora i w pierwszej fazie się zgadzał, np. na lepsze ciuchy. A potem z biegiem czasu zaczął nas odsyłać, mówiąc, że szukamy dziury w całym. Tak z pół roku była ta przychylność, a potem dyrekcja zaczęła pokazywać niezadowolenie, a potem kolejne pół roku i grudzień 1981 r. Władza już wiedziała, że będzie stan wojenny, a ludzie jeszcze nie wierzyli, że coś takiego może być.

Stan wojenny wprowadzili z soboty na niedzielę. Córka chciała zobaczyć bajkę w telewizji, włączyłem telewizor, ale telewizor nie chodził. Poszliśmy do kościoła na 12.00 i się dowiedzieliśmy, że wprowadzono stan wojenny. I zaczęło się, wszędzie samochody, czołgi. Pamiętam, że wtedy była straszna zima. Na naszej ulicy byli żołnierze, dawaliśmy im zupę i herbatę. Szeregowi żołnierze byli bardziej przestraszeni od nas, im kazali, to stali gdzieś na rogu, ludzie im nosili jedzenie, bo oni nic nie mieli, było ze 30 stopni mrozu wtedy. Zmienił się stosunek ludzi do wojska, jak zaczęły być łamane strajki i zaczęło się tłuczenie pałami przez ZOMO.

W poniedziałek musiałem iść do pracy. Z pewną obawą szedłem, ale nie wypadało nie iść. Przez pierwsze dni nic się nie działo. Po tygodniu przyjechała milicja i wzięła członków Komitetu Zakładowego. Powiedziała, że mają na nas papiery, taka psychoza strachu. Ciągle nas straszyli, że nas zamkną. Cały czas podkreślali, by nigdzie nie jechać, że trzeba będzie się znowu zgłosić, żeby sobie ciepłe skarpetki kupić. Tak to działało na psychikę, że człowiek cały czas myślał, iż go zamkną. Potem się okazało, że wszystkich działaczy centralnych pozamykali. Potem wprowadzono zakaz prowadzenia Komitetu Zakładowego, pokój nam oplombowali. Zaczęło się egzekwowanie, kontakty się przerwały. Ja zostałem oddelegowany na Cisową, naszą Komisję raz dwa rozwalili, tu jednego przenieśli, tu drugiego. Ludzie mieli stracha.

Dopóki nie było stanu wojennego, to było wszystko w porządku i życie toczyło się normalnie. Ale gdy wprowadzono stan wojenny, to zapadł strach. Mieli wykazy działaczy związkowych. Mnie często wzywano na policję, straszono, że jak się czegoś nie powie, to zamkną. Nie byłem działaczem wysokiego szczebla, nie trzeba było mnie internować. Ale już była pewnego rodzaju psychoza. Jak wprowadzili stan wojenny i ludzie ginęli w biały dzień, więc wtedy ludzie zaczęli się zastanawiać. Też poszedłem na tej fali, choć się nie zastanawiałem nad konsekwencjami. Dopiero zacząłem się zastanawiać, gdy dyrekcja zaczęła szukać pretekstu, by się mnie pozbyć. U nas w zakładzie w dyrekcji była taka kobieta, która była bardzo zaangażowana w zmiany sierpniowe. Pamiętam jej reakcję, jak się dowiedzieliśmy, że wprowadzili stan wojenny — ona tak się zmieniła, jakby to była dla niej osobista tragedia. Po pewnym czasie umarła. Ona to tak odebrała, że sam byłem zszokowany, że tak można do siebie przyjąć to, że wprowadzono stan wojenny. To było coś nieprawdopodobnego, jak można taką informację przyjąć do siebie.

Kiedy mieszkałem w Sopocie, to w kościele spotykałem zakładowego pierwszego sekretarza PZPR, który też do kościoła chodził, taka trochę przewrotność. Potem się dowiedziałem, że od niego dostałem poręczenie, że jestem niegroźny i dzięki temu mnie nie zamknęli. W działalność związkową w czasie stanu wojennego się mocno nie angażowałem, trochę spotykaliśmy się poza firmą. To już były kontakty takie konspiracyjne, ale nie planowaliśmy robić wielkich akcji defensywnych, żadnych wysadzeń. Organizowaliśmy bardziej pomoc materialną, było zbieranie paczek, wieźliśmy rzeczy do czerwonego krzyża lub do kościoła. Zresztą Kościół odgrywał rolę informacyjną, był przekaźnikiem informacji, np. z episkopatu. Organizował też pomoc materialną, w naszej parafii raz w tygodniu były wydawane paczki, szczególnie dla osób, które miały małe dzieci. I to dostawało się takie rzeczy, których nigdzie nie można było kupić. Msze się potem zaczęły takie bardziej patriotyczne albo organizowano msze za internowanych. Zawsze byłem i do dziś jestem wierzący i praktykujący.

W końcu wywalili mnie z roboty w 1984 r. po śmierci mego ojca. Przenieśli mnie do stacji na obrzeżach Gdyni, by przerwać moje kontakty z ludźmi. Zostałem służbowo oddelegowany na budowę stacji — stacja obsługi nr 15 w Gdyni-Cisowej. Zamiar był taki, bym sobie tutaj nie dał rady, by mnie wywalić za to, że się nie sprawdzam. Układało mi się to jednak tak szczęśliwie i pomimo tego że nie byłem budowlańcem, to udało się otworzyć stację przed terminem i zostałem jej kierownikiem.

Stacja błyskawicznie ruszyła, a ludzie się wręcz pchali drzwiami i oknami do niej. Co się bardzo nie podobało dyrekcji Polmozbytu. Komitet Zakładowy PZPR postanowił mnie usunąć, bo mam nieodpowiednie oddziaływanie na ludzi, negatywne dla dyrekcji. Nawet był taki czas, że napisałem list do Jaruzelskiego i za to mnie wywalili. Na jakimś tam plenum KC towarzysz Jaruzelski powiedział, że w Polmozbycie są malwersacje i handel samochodami. Nasz komitet zakładowy zrobił otwarte zebranie pracowników, na którym powiedziano, że to nieprawda. A ja, jako bezpartyjny, żeby im wbić szpileczkę, napisałem do towarzysza Jaruzelskiego, że nie mogę się pogodzić, że ktoś neguje słowa Pierwszego Sekretarza Partii. Celowo to napisałem. Przyjechała komisja z KC do naszego dyrektora, dostali „opieprz", więc mnie szybko po tym wyrzucili. Zostałem oskarżony o kradzież mienia państwowego, że okradłem kasę zakładową. Wszystko potwierdziła sprzątaczka. Oczywiście wszystko poszło do prokuratury, w prokuraturze przeliczyli kasę, wyszło, że się wszystko zgadza. Ja nawet nie miałem dostępu do kasy, bo w firmie była kasjerka. Sprzątaczka zaczęła płakać, że ją przymusili, że grozili, że ją zwolnią, jeśli tamtego oświadczenia nie podpisze. I się z tego wycofała. Sąd rejonowy przywrócił mnie do pracy. Ale Polmozbyt się od tego wyroku odwołał do Wojewódzkiego Sądu Pracy. Moją sprawę przejął sekretarz sądu, który był sędzią, ś.p. pan sędzia Tyński. On nawet nie czytając dokumentacji, zobaczył, że jestem oskarżony o kradzież, więc stwierdził, że nie tylko muszę zostać pozbawiony pracy, ale najlepiej jakby mnie zamknęli. Znów zmienił wyrok na pozbawienie mnie pracy.

I tak w 1984 r. zostałem bez środków do życia. Miałem małą córkę, miałem kredyt, a byłem bezrobotny. Byłem na czarnej liście, nie było jak zdobyć pracy. Dowiedziałem się o tym od szwagra, który pracował w stoczni. Był budowniczym statków, do tego był w partii, uważał, że trzeba iść po linii. Poszedł do swojego sekretarza partii, by mi załatwił pracę, ale okazało się, że jest to niemożliwe, bo jestem na tej czarnej liście. By przeżyć, łapałem się różnych robót, rozbierałem domy, trwało to tak 3 lata. W 1988 r. dostałem pismo z Ministerstwa Sprawiedliwości, że moja sprawa będzie rozpatrywana. Sam pisałem do różnych organów, że otrzymałem niesprawiedliwy wyrok. Nawet swego czasu napisałem kolejny list do Jaruzelskiego. Po jakimś czasie otrzymałem informację, że w mojej sprawie będzie rewizja nadzwyczajna.

Musiałem jechać do Warszawy, tego dnia była rejestracja górniczej Solidarności, trudno było się do sądu dostać. Na szczęście, jakoś mi się udało. Odbyła się rozprawa, było chyba 3 sędziów Sądu Najwyższego, był radca prawny Polmozbytu, ja byłem z bratem. Sąd uchylił wyrok i miałem wrócić do pracy. Nie dość, że wróciłem do pracy, to ten cały okres, który nie pracowałem, wliczyli mi do ciągłości pracy.

Dostałem propozycję na stanowisko głównego technologa Polmozbytu, nie pracowałem w dyrekcji, tylko z boku dyrekcji. Dostałem dwóch pracowników i miałem tzw. święty spokój. Oni tylko patrzyli, co ja będę robić. A ja nic nie robiłem. Nie angażowałem się w żadne

organizacje ani w nic, bo czułem, że za moment będzie jakaś kolejna afera. Otrzymałem wynagrodzenie za te 3 lata, to mnie mocno postawiło na nogi, mogłem oddać długi.

Dyrektor Polmozbytu wpadł w alkoholizm. Powołał mnie na dyrektora technicznego Polmozbytu w 1989 r. i teoretycznie pełniłem funkcję dyrektora całej firmy. Dyrektor ciągle przychodził do pracy pijany. W 1990 r. przyjechał na wybrzeże wiceminister przemysłu maszynowego i odwiedził Polmozbyt. Dyrektor był tego dnia pijany, więc go natychmiast odwołano. I mnie zrobili dyrektorem. Sprywatyzowałem Polmozbyt Gdański jako pierwszą firmę państwową w Polsce. W latach 1990 można było przekształcić spółki państwowe w spółki pracownicze. Jeździłem do Ministerstwa Handlu i Usług, dostałem warunek, iż muszę przeprowadzić referendum, odbyło się ono w firmie i 92% było za sprywatyzowaniem. Powstała Spółka Pracownicza, każdy pracownik wpłacał udziały i one stanowiły kapitał założycielski firmy. Państwo nam przekazało majątek Polmozbytu, tzw. leasing pracowniczy, na 40 lat. Zostałem prezesem największej spółki we Wrzeszczu, pracowałem do roku 2000. Po 10 latach podziękowałem. Teraz pracuję na własny rachunek.

Jeśli chodzi o porozumienia „okrągłego stołu" to ja nawet się nigdy nad tym nie zastanawiałem. Mnie trochę wzburzyła ta tzw. „gruba kreska Mazowieckiego". Że przekreślamy i do nikogo nie będziemy mieli pretensji. To dla mnie był taki sygnał, że to coś jest chore. Że ludzie, którzy do tej pory robili krzywdę, mają być nietykalni? I do tej pory my to w tym kraju mamy. Nikogo nie osądzono za te krzywdy. Nie oczyszczono aparatu sprawiedliwości, nikt nikogo nie orzeka. Dla mnie dzisiaj ten „okrągły stół" to był pewien błąd. Ten błąd cały czas pokutuje. W naszym kraju lepiej się czują oprawcy. Opozycjoniści mają ogromny problem z uzyskaniem środków, obecnie często wegetują. A oprawcy nie tylko nie ponieśli żadnej kary, to jeszcze bardzo dobrze się mają.

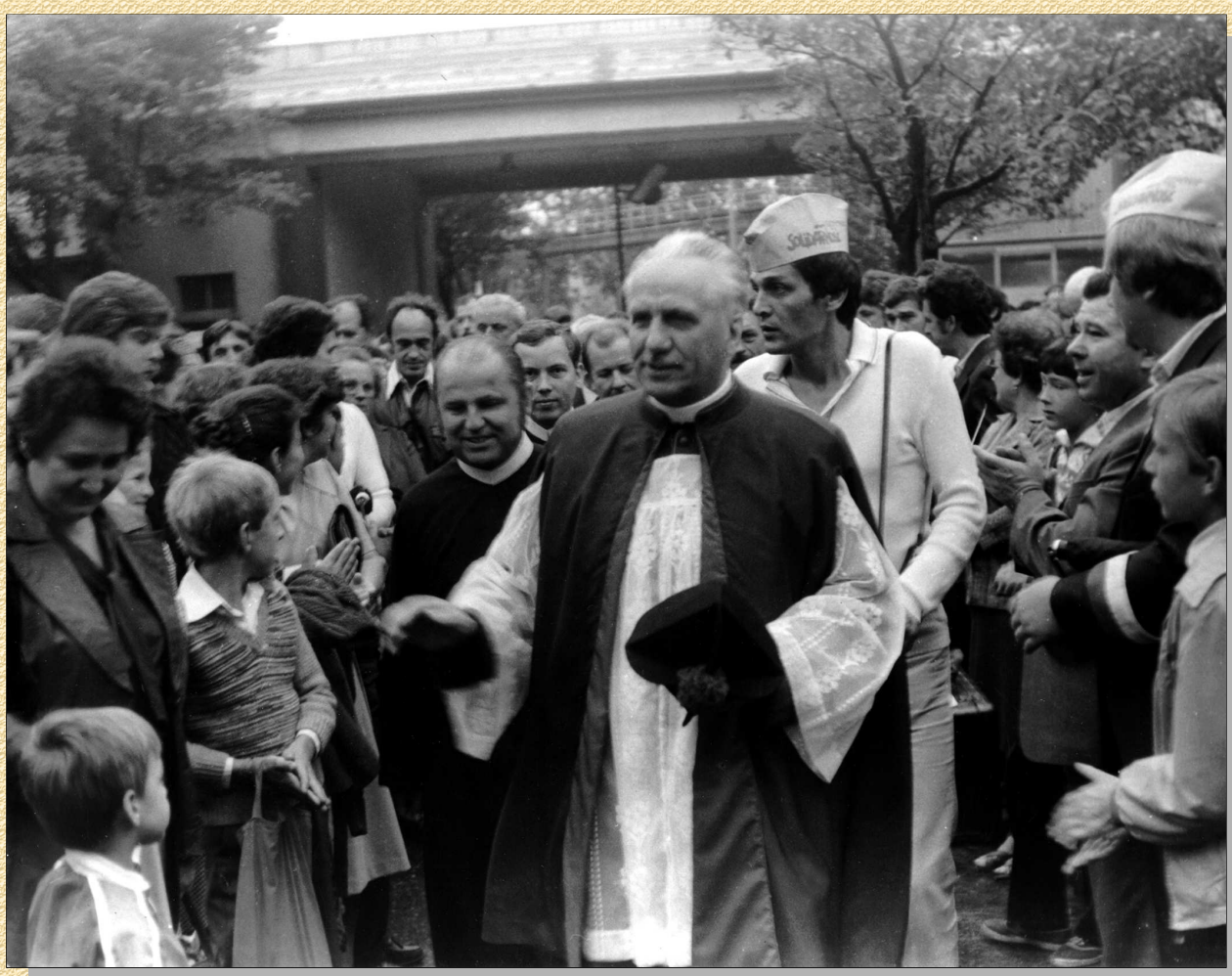
Dzisiaj sam na siebie zarabiam, nie potrzebuję pomocy i nawet innym mogę pomóc. Dzięki temu, że mam pewną wiedzę nabytą, studia, doświadczenie zawodowe, mój pokój to mój gabinet. W stosunku do innych mam dobrze, mam własny dom, nie mam kredytów. Chociaż psychicznie odbieram, że w kraju jest źle, nie ma sprawiedliwości. W każdej dziedzinie jest syf i malaria. Zadowolony jestem z rodziny i z tego, co uzyskałem własną pracą i własnym mózgiem, że jestem samowystarczalny, że nie choruję.

Martwi mnie, że widzę dużo niesprawiedliwości w tym kraju. Gdyby to ode mnie zależało, wiele rzeczy bym dawno zmienił. Kiedyś na wybory w ogólnie nie chodziłem, a teraz chodzę, bo myślę, że coś się w tym kraju powinno zmienić.

Z dzisiejszej perspektywy uważam, że zmarnowano zryw sierpniowy. Jak to się mówi, w mętnej wodzie najlepiej ryby pływają, dopóki jest jeszcze tlen. Jak zabraknie tlenu, to wszystkie wypłyną. Myślę, że taka sytuacja nam grozi. Wszędzie brakuje pieniędzy.

Miałem utopijne patrzenie na Solidarność, miała dla mnie to być solidarność i równość społeczna. Choć nie ma takiego kraju, że wszyscy mają równo. Założenia tej Solidarności były dobre, ale to się tak zmodyfikowało, że śladu z pierwotnych założeń nic nie zostało. Najlepszy przykład, że członkowie najwyższych szczebli ciągle się kłócą i nie rozmawiają ze sobą. Osiągnięcia Solidarności po pierwsze było bardzo krótkotrwałe, była poprawa psychiki, ale potem nic się nie robiło. Taka sinusoida: wpierw była wielka euforia, a potem totalna depresja, że nic się tak naprawdę nie zmieniło. Choć może to trochę wina, że czekaliśmy biernie, ludzie liczyli na to, że coś się zmieni, ale każdy myślał, że za mnie ktoś to załatwi.

Z mojego punktu widzenia, kiedyś, za czasów komuny, gdy się poszło do sekretarza partii na skargę, a sekretarz partii miał dobry dzień, to jednym telefonem załatwił. Dziś cokolwiek chcesz załatwić, to mówią: „idź do sądu" i wszystko się ciągnie 5 lat. A do tego sądy często wydają tak kuriozalne wyroki. Dlatego wszyscy zginęliśmy w dokumentach, a tak naprawdę największą władzę mają urzędnicy.


SOLIDARNOŚĆ

Henryk Jarosz — ko. Wykształcenie zawodowe, później ukończył technikum dla pracujących. Członek związku zawodowego metalowców. Uczestnik strajku sierpniowego 1980 roku. W stoczni przepracował 40 lat, jako spawacz i brygadzista na wydziale kadłubowym, jako elektryk i kierownik narzędziowni na wydziale elektrycznym. Obecnie na emeryturze. Radny od 7 kadencji.

W mojej rodzinie były kultywowane tradycje patriotyczne. Mój ojciec mając 17 lat w 1920 roku uciekł z gimnazjum i po prostu poszedł walczyć w obronie ojczyzny. Walczył z bolszewikami pod Lwowem, pod dowództwem generała Sikorskiego.

W 1980 roku byłem żonaty i miałem wówczas jedno dziecko, mieszkałem z teściami, gdzie było nas w 3 pokojach aż 5 rodzin. Jestem katolikiem, kościół odgrywa bardzo ważną rolę w moim życiu, jest to dla mnie taki przewodnik życia. Miałem wykształcenie zawodowe, a po 1980 r. skończyłem technikum. Moim autorytetem był kardynał Wyszyński. Nie należałem do organizacji politycznych np. PZPR, ale należałem do związków zawodowych metalowców, bo wszyscy wtedy musieli należeć, inaczej by mnie nie zatrudniono.

W stoczni 40 lat przepracowałem, pierwsza praca to było jako spawacz przez 13 lat na wydziale kadłubowym, gdzie byłem brygadzistą, a czasem mistrza zastępowałem. Później pracowałem w głównym energetyku (TM), jako elektronik u kierownika Lewandowskiego następnie byłem kierownikiem narzędziowni na wydziale elektrycznym, gdzie podłożyli mi świnię i niestety ja ją musiałem zjeść.

Zarobki, które miałem w 80 roku, w miarę wystarczały na normalne życie, ale te wszystkie podwyżki, co były, wnerwiały człowieka. Sytuacja ogólna była trudna i w końcu zaczęło się coś dziać. Pojawiła się prasa podziemna. Jak udało mi się gdzieś chwycić ulotki, to je w moim bloku roznosiłem.

Przyznam się szczerze, że nie pamiętam pierwszego dnia strajku, dlatego że w tym czasie byłem na urlopie na Ukrainie. Jak już wróciłem z urlopu, to nie wpuszczali na teren zakładu. Wtedy przyjeżdżałem codziennie pod bramę, brałem od kolegów (Bolka, Zdzisia) różne ulotki pod pachę i rozrzucałem w pociągu, częściowo roznosiłem. Gdzie mi się udało, tam zostawiałem. Ale jak już można było wracać do stoczni, to od razu włączyłem się w wir tej sprawy.

Lista postulatów była mi znana. Strajk był dość przemyślnie zorganizowany i to było wielkim zaskoczeniem dla władz. Prawie wszyscy z załogi przystąpili do strajku. Jeszcze jak byłem na zewnątrz, to przynosiłem kolegom w siatce owoce i inne rzeczy do jedzenia. Na wydziale, gdzie pracowałem, brałem udział w wyborach do władz wydziałowych podczas strajku, ale do tych wyższych już nie. Zauroczyłem się w pierwszych dniach powstaniach Solidarności Wałęsą.

Największym osiągnięciem Solidarności, według mnie, było wywalczenie wolnych sobót, bo wtedy mogliśmy poświecić czas dla rodziny. Drugą rzeczą było to, że zaczęło być troszkę wolności prasy, uwolniona też częściowo telewizja. Później oczywiście oni wrócili z powrotem na swoje stare tory.

Bardzo źle oceniam i wspominam wprowadzenie stanu wojennego, bo akurat przebywaliśmy na terenie stoczni. Pamiętam, jak weszli — bo byłem przy bramie „Gródek" — rozwalili tą bramę. Szli takim szpalerem jak żołnierze Cezara, jak rzymianie, wypisz wymaluj ten sam styl. Szli i długimi pałami o tarcze walili. Wtedy weszli do nas do szatni, bo część z nas tam się pochowała i zaczęli nas wyciągać, a nam się udało drzwi zablokować i przez te rusztowania zaczęliśmy uciekać. Wydostawszy się ze stoczni, biegliśmy na skróty przez Cisową aż do Janowa. Także nam się udało wtedy czmychnąć, co prawda raz dostałem pałą, ale niektórych, co tam zostali, wyprowadzili i ostro spałowali.

Później jeszcze w stanie wojennym brałem udział w protestach, w pracy zastępowałem mistrza i pamiętam, jak szliśmy pod pomnik lub pod krzyż, to były robione zdjęcia.

Pan kapitan UB, który tam był, wezwał mnie do siebie — na stole były rozłożone zdjęcia — i stwierdził, że brałem udział, a ja zaprzeczyłem! Zapierałem się, że nie brałem, ale on pokazał mi zdjęcia, na których byłem. Wtedy zdjęto mnie z mistrza na brygadzistę, zabrano mi wszystkie premie, wszystko, trzynastki, nagrody, wyróżnienia i zero podwyżek do końca, cały można powiedzieć 1982 rok, więc zapłaciłem za moją postawę w tym czasie.

„Okrągły stół" to było pokłosie tego hasła, że my jako prawdziwi związkowcy uważaliśmy, że na 11 milionów związkowców są tylko 2 miliony uczciwych ludzi, a reszta to są szuje. To przy tym „okrągłym stole" wyszło, kto w końcu był tym związkowcem prawdziwym, a kto nie. Oczywiście brałem udział w wyborach czerwcowych.

Największą porażką Solidarności było to, że te 21 postulatów, które myśmy mieli, były wszystkie spełnione. Rzeczywiście była prawdziwa solidarność, ludzie uczciwi u władzy, ale władzę przejęła po prostu postkomuna, liberałowie, wszyscy ci, co byli fałszywymi członkami solidarności.

Teraz jestem na emeryturze, na życie wystarcza, bo jestem radnym już 7 kadencję i są diety. Mam mieszkanie i samochód. Jestem zadowolony z tego, co robiłem i co robię. Dzisiaj tak samo bym postąpił jak wtedy.

Dla mnie w tej chwili największym autorytetem — już nie mówiąc o Janie Pawle II, bo to bezdyskusyjne — dalej jest Jarosław Kaczyński. No niestety, powiem to z przykrością, plują na niego, ja muszę go bronić. Najgorzej, że opinie o nim powstają na zasadzie tego, co to ludzie mówią. Ciężko ludziom przychodzi wyrobienie własnego zdania, nieraz późno im przychodzi rozum do głowy.

Dzisiaj też bym coś robił, aby to zmienić, ale całkiem inaczej niż w 1980 r. Po pierwsze należy zatrzymać dalszą prywatyzację, wyprzedaż majątku Polski, żeby po prostu wrócić do rodzimego przemysłu, do rodzimych zakładów, do rodzimych firm, które utrzymywały rodziny, które dawały jakieś profity dla państwa, bo dawały dużo. Bezrobocia na pewno w tym czasie byłoby dużo, dużo mniejsze. Dzisiaj ludzie wykształceni wyjeżdżają za granice, co jest kuriozalne. Dzisiaj Niemcy budują nowe kopalnie odkrywkowe brunatnego węgla, a nasze są zamykane. Robi się taki po prostu miszmasz, że to dla dobra klimatu, ocieplenia, bo ktoś tam kieruje naszym krajem z zewnątrz. To jest najgorsze.

Potrzebna jest bezbolesna walka, to jest walka na argumenty, ale walka na argumenty w takim sensie, żeby robić więcej spotkań. Za mało jest spotkań robionych z ludźmi, za mało się im tłumaczy. Ludzie są tak naszpikowani tą propagandą TVN i „Gazety Wyborczej", że z niektórymi jak się rozmawia, to aż dziwne, że z rozumu korzystają.



Kazimierz Jeleński — przez 43 lata pracował w Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni. Popierał strajk sierpniowy 1980 r. W stanie wojennym uczestnik akcji pomocy represjonowanym. Żonaty, dzieci, wnuki. Obecnie na emeryturze.

W sierpniu 1980 r. byłem w trzymiesięcznym rejsie jako inżynier gwarancyjny na statku o nazwie „Masofi", budowanym dla Francji i o strajku dowiedziałem się w porcie w Chile z telewizji. Nadawano po hiszpańsku, niewiele z tego zrozumiałem, ale pokazano w telewizji bramę Stoczni Gdańskiej udekorowaną kwiatami, stąd wiedziałem, że coś się dzieje. Wysłałem telegram do stoczni następującej treści: „Pozdrawiam uczestników strajku", ale telegram gdzieś się zawieruszył w szefostwie stoczniowym.

Wprowadzenie stanu wojennego było oczywiście szokiem, ale nie można było być bezczynnym. Włączyłem się w akcje pomocy dla aresztowanych, dla uwięzionych i internowanych, pomoc organizowano w oparciu o kościół św. Brygidy. Tam były przygotowywane paczki, które trzeba było rozwozić. Moim terenem był Sopot, Osowa, Kamienny Potok.

Obrady „okrągłego stołu" to sprawa skomplikowana. Owszem popierałem, ale kto działał w pełnej wierze, a kto reprezentował tzw. farbowane lisy, dopiero po rezultatach można było wysnuć wnioski. „Okrągły stół" nie do końca spełnił nadzieje społeczeństwa, które go popierało. Jednak to zawsze był krok do przodu nie do tyłu. Brałem też udział w wyborach czerwcowych.

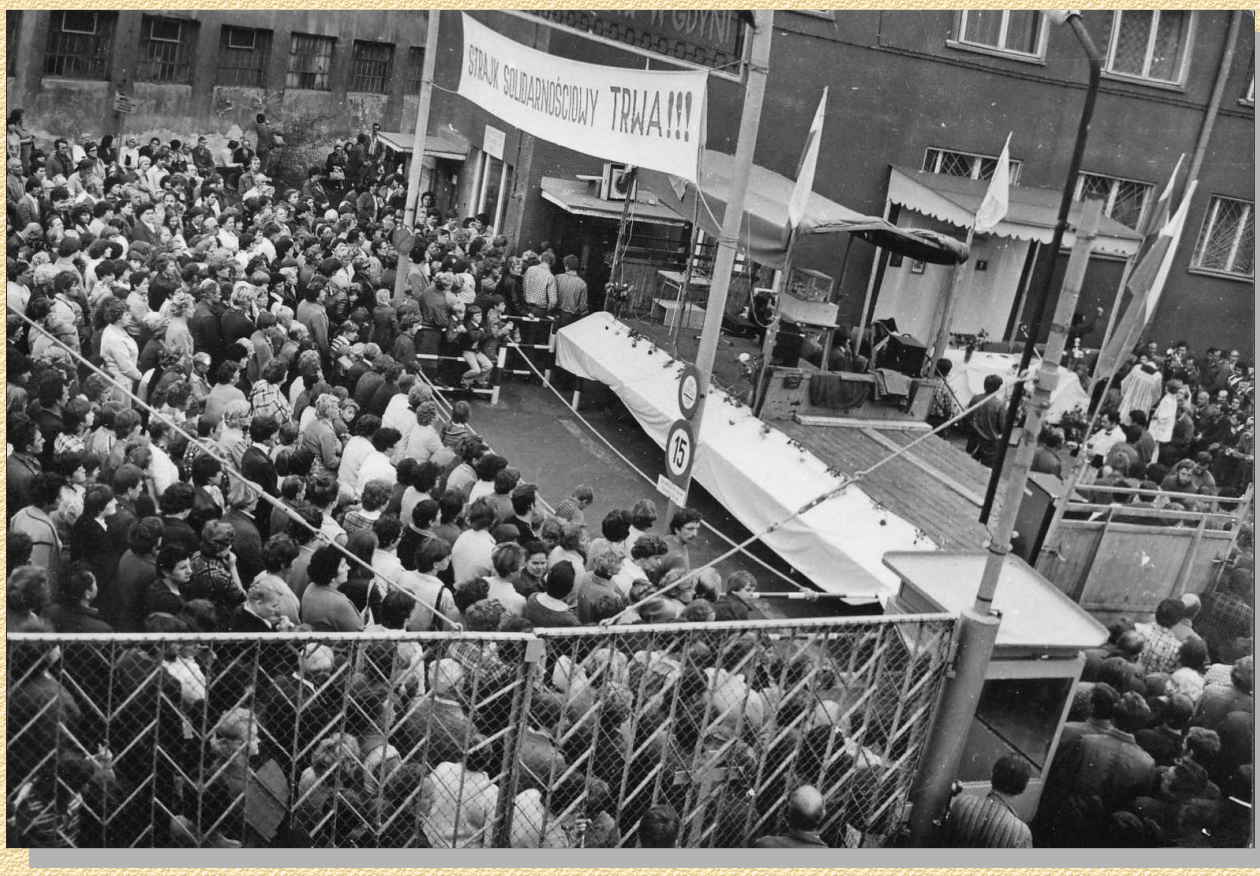
Po 43 latach pracy w Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni przeszedłem na emeryturę.

Jestem zadowolony, mam dobrą żonę, dzieci, wnuki, mieszkanie i samochód.

Oceniając działalność Solidarności przez 25 lat, powiem, że można było więcej osiągnąć. To była to duża siła postępowa, jednak przeciwdziałanie władz i naszych sąsiadów zrobiło swoje. Począwszy od stanu wojennego, później w sposób mniej drastyczny, ale ciągłe negatywne działanie rządów, lekceważące osiągnięcia Solidarności — za wyjątkiem może rządów Kaczyńskiego — choćby w takich sprawach jak rynek pracy, odnośnie praw pracowniczych i wielu innych zagadnień społecznych.

Moim zdaniem zmienić należy sam rząd i jego politykę, bo polityka rządu nie jest propaństwowa, tylko antypaństwowa. Likwiduje się miejsca pracy, doprowadziło się do potężnego bezrobocia, co skutkuje wielką emigracją, zwłaszcza ludzi młodych. Przemysł ciężki praktycznie został zrujnowany, nie ma stoczni, nie ma potężnych zakładów typu Cegielski, Huta Warszawa czy Huta Katowice, zmarnowane rolnictwo. To wszystko zostało rozprzedane albo zlikwidowane, jest to potężny krok do tyłu odnośnie rozwoju kraju.

Aby z tym walczyć, należy poprzez zmianę władzy dążyć do zmiany polityki rozwoju państwa, bo polityka jest nierozwojowa, a zwłaszcza polityka do tej pory prowadzona przez Platformę. Polityka degradująca państwo i skutkująca tym, o czym wspomniałem, potężnym bezrobociem i jeszcze większą emigracją.


STRAJK SOLIDARNOŚCIOWY TRWA!!!
15

Mirosław Jezusek — ur. 2 sierpnia 1934 r. w Kolnie Łomżyńskim. Pochodzenie chłopskie. Wierzący i praktykujący. W 1951 r. ukończył ZSZ, a w 1980 Liceum Ogólnokształcące dla pracujących w Gdyni. Od 1961 r. żonaty, troje dzieci. W 1952 rozpoczął pracę w Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni jako ślusarz maszynowy. Potem przeszedł na wydział ślusarni lekkiej, a wreszcie na wydział elektryczny. Po 1981 r. objął stanowisko mistrza zaopatrzenia i transportu w związku z uzyskaniem średniego wykształcenia. Uczestnik wydarzeń grudnia 1970 roku i strajku sierpniowego. Członek NSZZ „Solidarność". Aresztowany w 1986 r. za kolportowanie nielegalnej prasy, w więzieniu siedział 6 miesięcy. Po wyjściu z więzienia w 1986 r. z powodu zwolnienia ze stoczni i zakazu pracy w urzędach państwowych pracował jako dostawca węgla, ślusarz i monter okien. Od 1993 r. zatrudniony w Elgazie, pracował tam o przejścia na emeryturę.

Przyjechałem do Gdyni w 1952 r. Ukończyłem ZSZ w 1951 roku oraz Liceum Ogólnokształcące dla pracujących w Gdyni w 1980 roku. Moi rodzice mieli gospodarstwo rolne. W 1961 ożeniłem się, z małżeństwa mam 2 córki (Beatę i Dorotę) oraz syna (Jarosława).

Dobrze się żyło, nadgodziny (12 godzin) w stoczni, ale aby spłacić pożyczki, trzeba było dużo pracować, żeby zarobić na życie. W latach 80-tych mieszkałem z rodziną na Płycie Redłowskiej w bloku, obecnie w wyremontowanym starym domu rybackim. Jestem praktykującym katolikiem. Kościół pełni dużą rolę w moim życiu. Msze były bardzo ważne w czasie strajku.

Wcześniej przed strajkami miałem kontakty z księdzem Jastakiem i ojcem Rybą. Nie należałem też do żadnych organizacji politycznych czy społecznych. Rzeczywistość była siermiężna, ale słuchaliśmy radia Wolna Europa i mieliśmy nadzieję na zmiany.

W 1952 rozpocząłem pracę w stoczni im. Komuny Paryskiej jako ślusarz maszynowy. W momencie likwidacji wydziału remontowego i maszynowego przeszedłem na wydział ślusarni lekkiej. Potem na wydział elektryczny. Od 1954 byłem 3 lata w wojsku w Zamościu. W tym czasie przebywałem w Nowym Mieście w Szkole Lotniczej do 1957 roku. Potem byłem ślusarzem wyposażeniowym. W 1981 chciałem odejść na wydział traserski, kierownik jednak nie chciał mnie puścić. Dostałem nowe stanowisko, jako mistrz zaopatrzenia i transportu, w tym czasie miałem już średnie wykształcenie. Było to na początku lat 80-tych. Dzięki pracy jako mistrz miałem swobodę poruszania się po stoczni, miałem też kontakt z różnymi ludźmi na wydziałach. Pracowałem prawie 40 lat do momentu wyrzucenia z pracy. Po wyjściu z więzienia w 1986 roku, pracowałem, jako dostawca węgla, ślusarz i monter okien.

Sytuacja była niespokojna, trudno się żyło i wyniku tego doszło do tragedii Grudnia 70.

Wtedy 16 grudnia 1970 r. ponad 1000 osób wyszło na ulicę Gdyni, przeszliśmy ulicami Dworcową, Władysława IV do Prezydium z żądaniami. Idąc Świętojańską kobiety pisały szminką po szybach w geście poparcia dla stoczniowców, ale my upominaliśmy je, żeby tego nie robiły, żeby było spokojnie. Na 17 grudnia przewidziano strajk okupacyjny, komitet się zawiązał w Domu Portowym na ul. Polskiej i tam w nocy ich aresztowali. Dojechałem do wiaduktu, kierowca powiedział, że dalej nie pojedzie. Idziemy poza wiaduktem i wystrzelili z działa, bo czołg stał miedzy stocznią i wiaduktem. Strzelano ślepakami. Zeszliśmy 10 kroków w dół i nastąpiły strzały z rkm. Szliśmy w stronę dworca. Przyjechał pociąg z Wejherowa, ludzie wysiedli i szli w stronę pomostu. Zomowcy ruszyli w stronę torów i zaczęli strzelać.

Szliśmy w stronę dworca, od strony dworca stało wojsko i policja, doszliśmy na Władysława IV.Dołączyli do na nas ludzie niosąc na drzwiach zabitego przez zomowców młodego

mężczyznę (Janek Wiśniewski to symboliczne nazwisko z ballady). Szliśmy w stronę Prezydium, z helikoptera padały strzały i petardy. Czułem obojętność, nie bałem się, doszedłem do Prezydium. Tam na latarnię wspiął się kolega i rozwiesił sztandar, którym przykryty był zabity. ZOMO zgromadziło się w parku przy Prezydium, nacieraliśmy na siebie, rzucaliśmy brukiem, strzelano do nas na wprost, popędzili nas. Wszyscy zaczęli uciekać na tory i przez tory na ul. Kielecką. Do domu trafiłem dopiero ok. godz. 18–19. Żona telefonowała do wszystkich szpitali. Dwa tygodnie trwało bezkrólewie, do pracy nie przyjmowali. Odbywała się rozmowa z każdym jednym pracownikiem, czy ktoś chce pracować, czy nie chce. Ludzie widzieli taką grozę już w 1970 roku.

Z wydarzeń sierpnia 80 pamiętam początek. Po przerwie śniadaniowej nastąpiło obejście pochodu po wydziałach. Doszliśmy pod bramę stoczni i tutaj zawiązał się komitet strajkowy. Z każdego wydziału był przedstawiciel, u nas wybrano pana Wodniaka (nie pamiętam imienia). Zostałem na wydziale, bo były osoby, które się buntowały, nie chciały strajkować. Po południu uzgodniono, że osoby, które są wątpliwe i nie chcą strajkować, mają opuścić stocznię. Oczywiście kobiety, jeśli miały małe dzieci, mogły iść do domu. Z każdego wydziału byli delegowani ludzie na wartę, do pilnowania. Ja pilnowałem przy bramie stoczni między wartownią, a ośrodkiem zdrowia. Rozstawiliśmy duży namiot i 20 osób mogło tam nocować. Trzeciego dnia dyrekcja chciała rozwiązać nasz strajk. Andrzej Kołodziej przemawiał na jednym wózku, oni (tj. komuniści) na drugim. Jednak zamilkli po wymianie poglądów. Pierwszą mszę w stoczni odprawiał ksiądz Jastak, potem ojciec Ryba.

Ludzie przynosili jedzenie, wręcz przywozili skrzyniami. Żona codziennie przychodziła pod bramę. Ksiądz Makowski przyjechał pod bramę północną i przywiózł kosz ugotowanych jaj. Stołówka była czynna i kobiety gotowały, donoszono śpiwory, koce. Mieliśmy 2-letniego syna i żona pracowała, ale dawała sobie radę. Pomagała teściowa. Oczywiście bała się o mnie, ale jakoś sobie radziła.

Na terenie stoczni produkowano pieczątki, działała poczta strajkowa i osobne pieczątki były produkowane przez nas strajkujących. Nie bałem się przystąpić do strajku, były zupełnie inne nastroje niż w grudniu 1970 roku. Ludzie należący do PZPR, co nie chcieli strajkować, musieli opuścić teren stoczni. Miałem zadania w czasie strajku, rozdzielałem ludzi na wartę, wypełniałem polecenia komitetu strajkowego. Przykładowo, jeśli trzeba było ściągnąć pod bramę ludzi, to ściągałem. Nocą funkcjonariusze SB próbowali przeskakiwać od strony torów na teren stoczni albo drogą wodną podpływali, trzeba było tego pilnować.

Decyzje o strajkowaniu podejmowano spontanicznie. Odnośnie postulatów to najważniejsze były te wolnościowe. Miałem zaufanie do przywódców strajku. Po wystąpieniach pana Andrzeja Kołodzieja nabrałem pewności, że jest dobrym przywódcą, mimo młodego wieku dobrze sobie radził. Strajk był też odpowiednio zorganizowany, jak na tamten czas. Były bardzo dobre relacje między ludźmi, nie było konfliktów. Wysyłano delegacje do Stoczni Gdańskiej, które przynosiły informacje, jaka jest tam sytuacja, jak idą negocjacje. Zaczęto drukować ulotki i prasę. Jak opanowano drukarnię w stoczni, ściągnięto drukarzy i uruchomiono radiostację. Nagłośnienie było ważne, odpowiadał za nie Zygmunt Pałasz. Pracownicy firmy MORS (robili instalacje radiowe na statkach) nagrywali, bo mieli nasłuch, co działo się w milicji, więc trzeba było być ostrożnym. Kontaktowano się z dyrekcją, z dziennikarzami, ale tym zajmował Komitet Strajkowy.

Koniec strajku i podpisanie porozumienia to chwila, na którą każdy czekał; czekał na to, co będzie. Dobrze, że tak się skończyło.

Od początku byłem w Solidarności. Większość załogi też do niej przystąpiła, bardzo dużo ludzi oddawało wtedy legitymacje partyjne.

Największym osiągnięciem Solidarności, w moim przekonaniu, była wolność słowa, częściowa odwilż. W każdą pierwszą niedzielę miesiąca chodziliśmy do oo. redemptorystów, gdzie odprawiano mszę za ojczyznę. W 1983 r. kupiłem krzyż, poświęciłem go i zawiesiłem w świetlicy na wydziale. Partyjni zrobili o to aferę. Pytali, kto zawiesił krzyż i stwierdzili, że nikt inny tylko Jezusek. Przyszło polecenie, że to musi być zdjęte. Zrobiliśmy referendum. Pytanie brzmiało: „Czy jesteś za tym, aby krzyż wisiał?" Proste odpowiedzi „tak" lub „nie". Ponad 90% było za. Kierownik powiedział: „Panie Mirku, ten krzyż nie może tu wisieć, ponieważ są tu portrety przedstawicieli państwa i godło państwowe". Na, co opowiedziałem mu: „Na Golgocie pan Jezus wisiał wśród dwóch łotrów, to i tu może". Po

stanie wojennym kierownik wezwał wszystkich, ponieważ zjawił się przedstawiciel OPZZ i raz w miesiącu miano namówić do wstąpienia przynajmniej 5 pracowników do OPZZ. Opowiedziałem: „Panowie, kto będzie chciał, to się zapisze, czy chcecie być jakświadkowie Jehowy?". Solidarność na wydziałach panowała cały czas.

Było już coraz normalniej, dlatego władza wprowadziła stan wojenny (od 13 grudnia 1981 do 1983 r). Nie byłem wtedy w stoczni, pojechałem do rodziny do Kolna. Wróciłem do Gdyni, stan wojenny już trwał. Było to okropnie przygnębiające, ludzie byli bardzo rozgoryczeni. Pracowało się normalnie, 8 marca poszliśmy z kwiatami do kobiet, kobiety mówiły: „Ludzie, oni was pozamykają!". W stanie wojennym noszono oporniki i jakiś funkcjonariusz SB zauważył u mnie taki. Wezwali mnie na komendę SB w stoczni i jeden esbek pyta, co takiego noszę? Odpowiedziałem, że część radiową, a że pracuję na wydziale elektrycznym, to pewnie nie uwierzył, ale mnie puścił.

Kontynuowaliśmy w czasie stanu wojennego działalność związkową. Spotkania potajemne, zaczęto wydawać biuletyny, współpracowano z „Naszym Czasem". Zaczęliśmy kombinować części metalowe do powielaczy białkowych, kolega Janusz Pelc pracował w CTO (Centrum Techniki Okrętowej). Mieli tam swoją modelarnię, w której budowano modele projektowanych statków z drewna, on odpady brał do domu, wycinał elementy do powielaczy, montował i puszczał w obieg. W Gdyni mieliśmy powielacze, które szły na wymianę w kraju.

Pewnego razu miałem całą wielką ryzę druku. Córce, która miała chyba z 14 lat, włożyłem tę ryzę do tornistra. Córka szła przodem, a ja z powielaczem z tylu. Później mieliśmy sitowe powielacze. Starałem się organizować papier do drukowania. Studenci mogli kupić. Brat żony był studentem, więc nam kupował. Mieliśmy pięć rewizji przed i w trakcie stanu wojennemu. Wydawaliśmy w stoczni „Kadłub". Raz był drukowany w tym mieszkaniu (obecne mieszkanie na Oksywiu), potem Janusz Stegart kompletował drukarzy. Rozprowadzaliśmy druki w Sopocie w Zakładzie „Inka", gdzie kolega pracował. Nazywał się Paweł Slezyngier i dostarczałem mu bibułę.

Prześcieradła na transparenty, wszystko, co było białe i materiałowe, było zabierane z domu. Paliwo trzeba było mieć we własnym zakresie, żeby przykładowo zawieźć drukarzy na punkt do druku. Kiedyś całą noc pilnowaliśmy pod domem, gdzie drukowano, czy nie podchodzi SB. W pierwsze wybory po stanie wojennym rozwieszałem plakaty na słupach mocnym klejem, którego nie można było zdrapać. W Kolnie to było, w mojej rodzinnej miejscowości. Mamie oddałem resztę, która została, żeby to spaliła. Wróciłem do Gdyni. W poniedziałek przyszła SB do mamy. Chcieli niby poobserwować z naszego domu, kto klei te rzeczy. Mama wymówiła się chorym mężem, bo wiedziała, o co chodzi.

Ulotki od Borusewicza naklejałem dzień przed wyborami. Wtedy SB zrobiło nam w domu rewizję. Byliśmy tylko z żoną, a musiała być osoba trzecia. Poszedłem do projektanta z trzeciego pietra (on zaprojektował dar dla Papieża, który wręczyliśmy mu w 1987 r.). Całe szczęście, że funkcjonariusz SB wchodził pierwszy, potem ja, a na końcu projektant. Wyjąłem jakieś druki i kolega projektant zabrał. Miałem umieścić wzmiankę o śmierci ks. Popiełuszki w „Biuletynie Informacyjnym".

Na zebraniu w Kościele NSPJ Serca Jezusa w Gdyni był pewien dziennikarz sportowy i na drugi dzień przyszli do mojego domu z rewizją. Dałem im to pismo w pracy, bo i tak bym nie go nie ukrył. W domu rewizja, szukali wszędzie, na działce, w samochodzie. W domku na działce miałem toaletę i tam schowane pieczątki, milicja jednak ich nie znalazła. W 1986 roku zamknęli mnie i wtedy też była rewizja. W piwnicy była ukryta 5-kilogramowa puszka z farbą do druku i na szczęście nie znaleźli, bo przykryte to było cementem.

Zawsze cały się owijałem masą ulotek czy gazetek i tak wchodziłem na teren stoczni. 16 marca 1986 roku miałem mało, chyba 16 sztuk „Mazowsza". Schowałem je do torby, zamiast się nimi okleić. Traf chciał, że była rewizja. Na bramie stało dwóch młodych wartowników, zajrzeli do teczki i wpadłem, SB przyjechało, młodziaki zarobili za to urlopy. Na drugi dzień odbyła się sprawa sądowa i dostałem 1,5 roku. Siedziałem w więzieniu na Kurkowej w Gdańsku.

W dniu aresztowania kolejna dokładna rewizja w domu. Przyszło ich czterech — lodówka, tapczan, wszędzie zaglądali, wyrzucali wszystko, nawet znaczki z klasera wyciągnęli i zabrali, bo były wartościowe. Siedziałem 6 miesięcy i 10 września wypuszczono

mnie. Ze stoczni zwolniono mnie dyscyplinarnie, na rozprawie już była mowa o zakazie pracy w urzędach państwowych.

Solidarność pomagała, żona dostawała paczki żywieniowe z Gdańska od ks. Jankowskiego. Ze stoczni była tzw. zapomoga pieniężna, ludzie się składali na represjonowanych i żona otrzymywała też pieniądze na utrzymanie domu. Zatrudniłem się po wyjściu z więzienia u szwagra ok. 1,5 miesiąca. Potem w Elgazie pracowałem, jako monter kotłów.

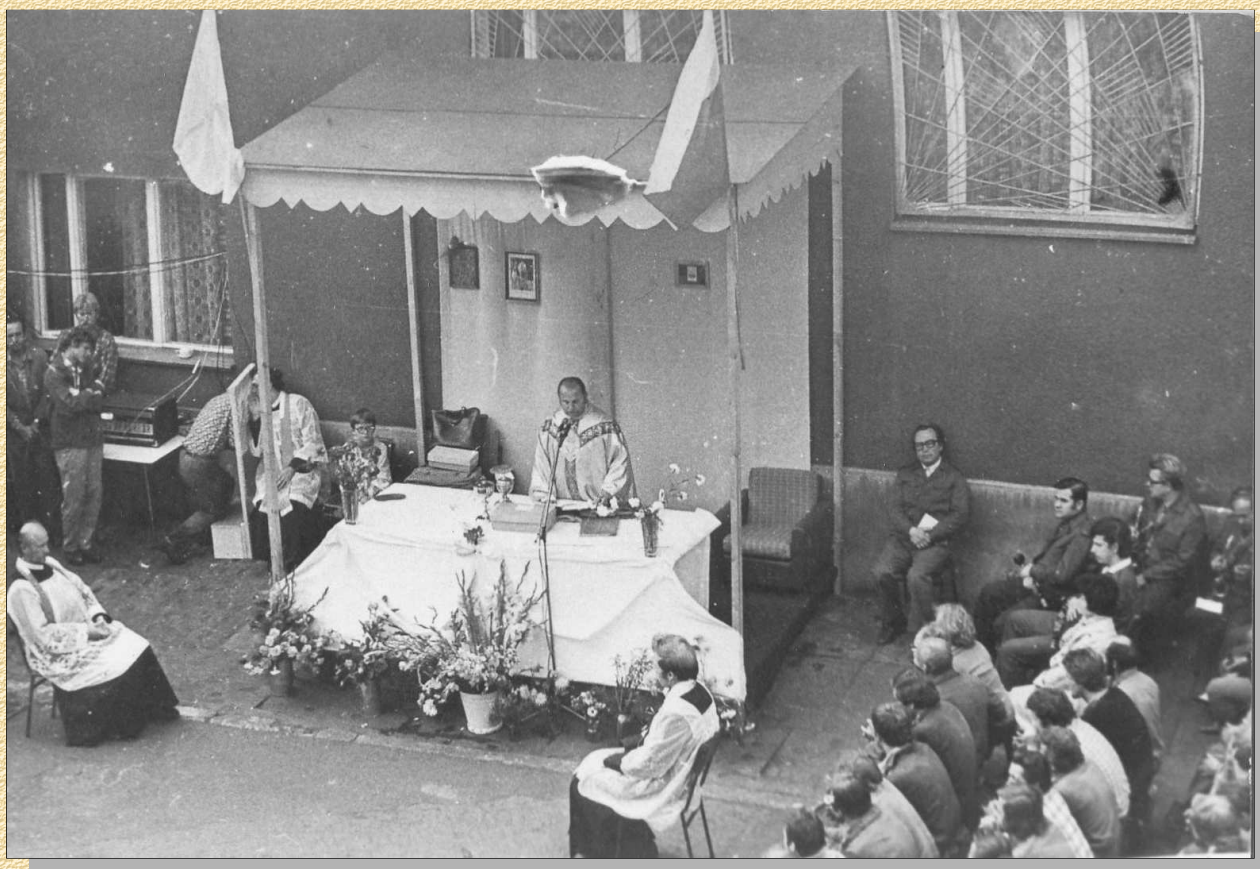
Pracując w Elgazie mieliśmy pielgrzymki na Jasną Górę, opiekowałem się sztandarem stoczniowym. Był początkowo u hafciarki, ale wykupiliśmy go dzięki pieniądzom ze sprzedaży medali Lecha Wałęsy. Ten sztandar był eksponowany w kościele oo. redemptorystów na Portowej, gdy ojciec Ryba został przeniesiony, przyszedł inny zakonnik trochę niepewny. Osobiście przeniósł ten sztandar Andrzej Grot (w 1987 r. zamordowali go ci z SB, mieliśmy mszę rocznicową i w nocy go dopadli i zamordowali) do swojej mamy, do ośrodka zdrowia. Po kilku dniach wziąłem kolegę z Taxi i zabraliśmy sztandar do ks. Jastaka. Umówiliśmy się, że go przechowamy w Kościele. Uzgodniono, że sztandar zostanie u znajomych Roszkowskich (małżeństwo bezdzietne mieszkające nad Pocztą) i oni przynosili sztandar na różne uroczystości. W 1989 został przekazany dla komisji zakładowej. Obecnie jest w Kościele Serca Jezus, a Komisja ma nowy.

Od 1993 roku pracowałem w Elgazie. Potem emerytura. Był strajk w Elgazie pod koniec 1989 r., ludzie domagali się tam związku zawodowego. Mówiłem kolegom, że pomogę, ale nie uczestniczę, bo brakuje mi 2–3 lata do emerytury. Komitet został zwolniony dyscyplinarnie. Do Leksztonia właściciela Elgazu przychodzili z SB, żeby mnie zwolnił. W maju 1989 roku Lekszton powiedział mi, że musi mnie zwolnić, bo inaczej zamkną mu zakład. Rozumiałem to, ale w czerwcu 1989 nastąpiła odwilż i dzięki temu zostałem tam do emerytury.

Dzisiaj uważam, że żyję w wolnym kraju. Trzeba się nawzajem szanować i żyć zgodnie z porządkiem społecznym, a przepisów na co dzień trzeba przestrzegać. Mam dobrą rodzinę, scementowaną.

Wysoko oceniam rolę, jaką w tamtym czasie odegrała Solidarność. W tej chwili nie udałoby się tego samego zrobić. Jestem patriotą i nie żałuję brania udziału w tych wydarzeniach. To było zwycięstwo nad tamtym ustrojem. Niepokoi mnie to, co jest obecnie. Brak wartości moralnych, ogólny materializm wśród społeczeństwa, zupełnie inaczej patrzy się na rzeczywistość.

Moje postulaty na dzisiaj: unormowany system podatkowy, podatek od obrotu, zmniejszyć biurokrację, zwiększenie płacy (tylko trzeba szukać, jakim sposobem), poprawa służba zdrowia, a także bardziej przychylna postawa lekarzy wobec pacjentów. Pomimo tego po 1989 r. polepszyło się bardzo.



Jerzy Kadela — ur. w 1936 r. zm. w 2011 r. Żonaty, jedno dziecko. Przez 45 lat pracował w Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni jako traser. Uczestnik strajku sierpniowego w gdyńskiej stoczni.

Wspomina córka, ***Krystyna Kadłubowska****.*

Tata pracował w Stoczni im. Komuny Paryskiej 45 lat jako traser. Strajk rozpoczął się, gdy miał 43 lata. Podczas wydarzeń sierpniowych martwiłam się o tatę, bo nie było go w domu przez dwa tygodnie. Mama zanosiła mu jedzenie i dodawała słowa otuchy. Tego, co tak naprawdę działo się w stoczni, dowiedzieliśmy się z relacji taty po wyjściu ze stoczni i ze zdjęć, które pozostawił po sobie. W sierpniu strajkowali wszyscy i nikt — również tata — nie wyobrażał sobie, by w strajku nie wziąć udziału. Przypuszczam, że opinia łamistrajka mogła później zostać o człowieku całe życie, a przecież trzeba było z tymi ludźmi żyć w zgodzie. Ponadto — co wiem z relacji męża, również uczestnika strajków — stoczniowców, którzy nie chcieli wziąć udział w strajku, bito dla upomnienia kablami. Stoczniowcy wierzyli, że walczą o coś nowego, lepszego dla Polski i dzięki ich zaangażowaniu uwolnią się od radzieckiego jarzma. Atmosfera strajku udzielała się wszystkim: piekarnie dowoziły chleby do stoczni, dzieci przychodziły pod bramę, matki przynosiły jedzenie. Chciałabym podkreślić rolę Kościoła. Msze święte dodawały ludziom otuchy, Kościół też sprowadzał pomoc z zagranicy.



Elżbieta Kamińska — ur. w 1964 r. w Gdyni. Samotnie wychowywała córkę. Pracowała w Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni. Wspierała strajkujących stoczniowców w sierpniu 1980 roku. Członek Solidarności. Obecnie na emeryturze, angażuje się w działalność emerytowanych działaczy Solidarności.

Od początku byłam w Solidarności, obecnie uczestniczę w działalności emerytowanych działaczy Solidarności, zawsze aktywnie uczestniczyłam w pielgrzymkach ludzi Solidarności, inicjatywach społecznych. Cztery lata starałam się o postawienie ławki przy figurze Matki Bożej w Witominie, co mi się w końcu udało.

W czasie strajków sierpniowych przywoziłam stoczniowcom chleb i masło pod bramę główną rowerem z uwagi na niedziałającą komunikację miejską. Nie miałam karty rowerowej, ale ktoś życzliwy pożyczył mi rower. Nikt mnie nie namawiał do tej inicjatywy. Wzięłam sobie do serca ich los, dla mnie dotarcie do stoczni na rowerze to był kawał drogi, ale zależało mi na tym, aby osobiście dowiedzieć się, jak czują się stoczniowcy, w jakiej są sytuacji. Tyle mogłam dla nich zrobić, wożąc chleb i masło, ponieważ w tym czasie samotnie wychowywałam córkę. Moi rodzicie pomagali mi w tym, opiekując się moją córką w czasie, gdy ja woziłam żywność strajkującym. Konieczność opieki nad córką sprawiła, że nie brałam czynnego udziału w strajku. Mój brat był jednym ze strajkujących, od niego dowiedziałam się o strajku. Do dziś przechowuję zdjęcie córki, która 30 sierpnia kończyła 4 lata. Widać na nim brata, który wprost ze stoczni udał się do mnie. Trzyma na rękach moją córkę. O tym, co przez te kilkanaście dni działo się w stoczni, niewiele rozmawialiśmy. Na zdjęciu jest mój brat, który trzyma ją na rękach. Po strajku wróciłam do pracy w Stoczni. To była moja pierwsza i ostatnia praca, gdzie przepracowałam aż do emerytury. Uczyłam się angielskiego i niemieckiego, ale nie zdecydowałam się na wyjazd z Polski, kiedy miałam taką możliwość.



Tadeusz Kisielewski — ur. 29 września 1939 r. w Grabowcu. Od 1960 r. pracował w Cetniewie w zakładach budowlanych. Od 1975 r. zatrudniony Morskim Porcie Handlowym Gdynia na wydziale transportowym jako ustawiacz pociągów. Uczestnik strajku sierpniowego 1980 roku. Członek związku zawodowego Solidarność. Przez dwie kadencje był przewodniczącym Solidarności na wydziale transportu, później został przewodniczącym Rady Pracowniczej całego portu. Obecnie działa w komisji zakładowej Portu Gdynia w Kole Emerytów i Rencistów. Jest również przewodniczącym Zarządu Okręgu Kaszubsko-Pomorskiego Stowarzyszenia Polskich Kombatantów Obrońców Ojczyzny im. Gen. Władysława Andersa. Po wprowadzeniu stanu wojennego internowany do Strzebielinka, gdzie podjął głodówkę. Po powrocie z internowania zwolniony z pracy. Wygrał sprawę w sądzie pracy i jesienią 1982 roku został przywrócony na dawne stanowisko. Obecnie na emeryturze, nadal działa społecznie jako radny. Odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski w 2009 r.

Rodzice pochodzą ze wsi Skępe, powiat Lipno. Przez 20 lat mieszkałem w woj. bydgoskim, powiat lipnowski. Matka urodziła się w USA, w rodzinie polskich emigrantów, wróciła do Polski przed II wojną światową. Po II wojnie światowej chciała wyjechać z rodziną, ale Służba Bezpieczeństwa jej nie zezwoliła. Ojciec walczył w II wojnie światowej, a później był również internowany w obozie. Nie należał do żadnych organizacji do politycznych, należał tylko do związku marynarzy i portowców.

W 1960 r. przeprowadziłem się do Cetniewa, gdzie pracowałem w zakładach budowlanych, a w 1975 roku rozpocząłem pracę w Morskim Porcie Handlowym Gdynia na wydziale transportu. W latach 80-tych pracowało na nim 8800 osób. Pracowałem jako ustawiacz pociągów na wydziale transportu, obsługując w ten sposób cały port, wszystkie nabrzeża.

Zanim strajk został ogłoszony w stoczni gdyńskiej, załoga w porcie już dzień wcześniej zastrajkowała, mieliśmy kontakt ze stocznią gdańską. W trakcie strajku wydział transportu był jego sercem. Gdyby coś się działo, było zorganizowanych kilka ekip, wsiadało się w samochód i organizowało działania związane z wymianą i rozprowadzaniu ulotek, wyjazdy do powielarni itp. Inne ekipy rozrzucały ulotki w pociągach, które odjeżdżały w dalsze rejony kraju.

Odpowiadałem za bezpieczeństwo całego portu, zabezpieczałem między innymi wjazd do portu, żeby nikt niepożądany się nie dostał. Funkcjonariusze SB próbowali dostać się do portu w przebraniach celników. Cały czas utrzymywaliśmy kontakt ze stocznią gdańską, przedstawiciele nasi jeździli na spotkania, kurier przekazywał najnowsze informacje. Jak nie można było dojechać, to wysyłaliśmy do Gdańska holownik. Pojawiały się również problemy z załogą. Część ludzi występowała o jednodniowe przepustki i nie wracała.

Rodziny dostarczały strajkującym paczki żywnościowe. Jeżeli znajdował się wśród nich alkohol, był oddawany rodzinie. W trakcie strajku panował bezwzględny zakaz spożywania alkoholu. Wśród załogi panowała zgoda, ponieważ wszystkie ustalenia były podejmowane w komitecie strajkowym i były wszystkim znane.

Dostrzegałem bardzo mocno znaczenie wsparcia ze strony księży podczas strajku. Księża z kościołów Najświętszego Serca Pana Jezusa (ksiądz Hilary Jastak) i oo. redemptorystów (ksiądz Edward Ryba) w Gdyni odprawiali dla strajkujących codziennie msze polowe, żona codziennie na te msze przyjeżdżała do portu.

Na podpisaniu porozumień w Gdańsku była (2–3-osobowa) delegacja z portu Gdynia. Po zwycięstwie strajku ludzie odetchnęli, że bez przelewu krwi udało się coś wywalczyć. Po podpisaniu porozumień przedstawiciele PZPR w porcie nie szykanowali strajkujących.

Od sierpnia 1980 r. należałem do Solidarności. Przez dwie kadencje byłem przewodniczącym Solidarności na wydziale transportu, później zostałem przewodniczącym Rady Pracowniczej całego portu. Obecnie działam w komisji zakładowej Portu Gdynia w Kole Emerytów i Rencistów, jestem również przewodniczącym Zarządu Okręgu Kaszubsko-Pomorskiego Stowarzyszenia Polskich Kombatantów Obrońców Ojczyzny im. Gen. Władysława Andersa.

Wprowadzenie stanu wojennego postawiło mnie w bardzo trudnej sytuacji życiowej. Pierwszego dnia stanu wojennego został internowany do Strzebielinka (między innymi z Bogdanem Borusewiczem i Andrzejem Gwiazdą). Rodzina dopiero po tygodniu dowiedziała się, gdzie zostałem osadzony (to dotyczyło również pozostałych internowanych). W więzieniu podjąłem głodówkę, o której informowano w Radiu Wolna Europa. Podczas internowania znalazłem się też w szpitalu. Z internowania zostałem zwolniony w maju ze względu na zły stan zdrowia, na mocy porozumienia wynegocjowanego przez episkopat o zwolnieniu 500 osób.

Po powrocie z internowania zostałem zwolniony z pracy. Wygrałem jednak sprawę w sądzie pracy i jesienią 1982 roku zostałem przywrócony na dawne stanowisko. Dzięki tej wygranej sądowej, nie było więcej zwolnień w porcie. Po tym wszystkim nie byłem już szykanowany w pracy, a w 1988 r. podczas strajków, jeździłem jako konsultant do strajkujących.

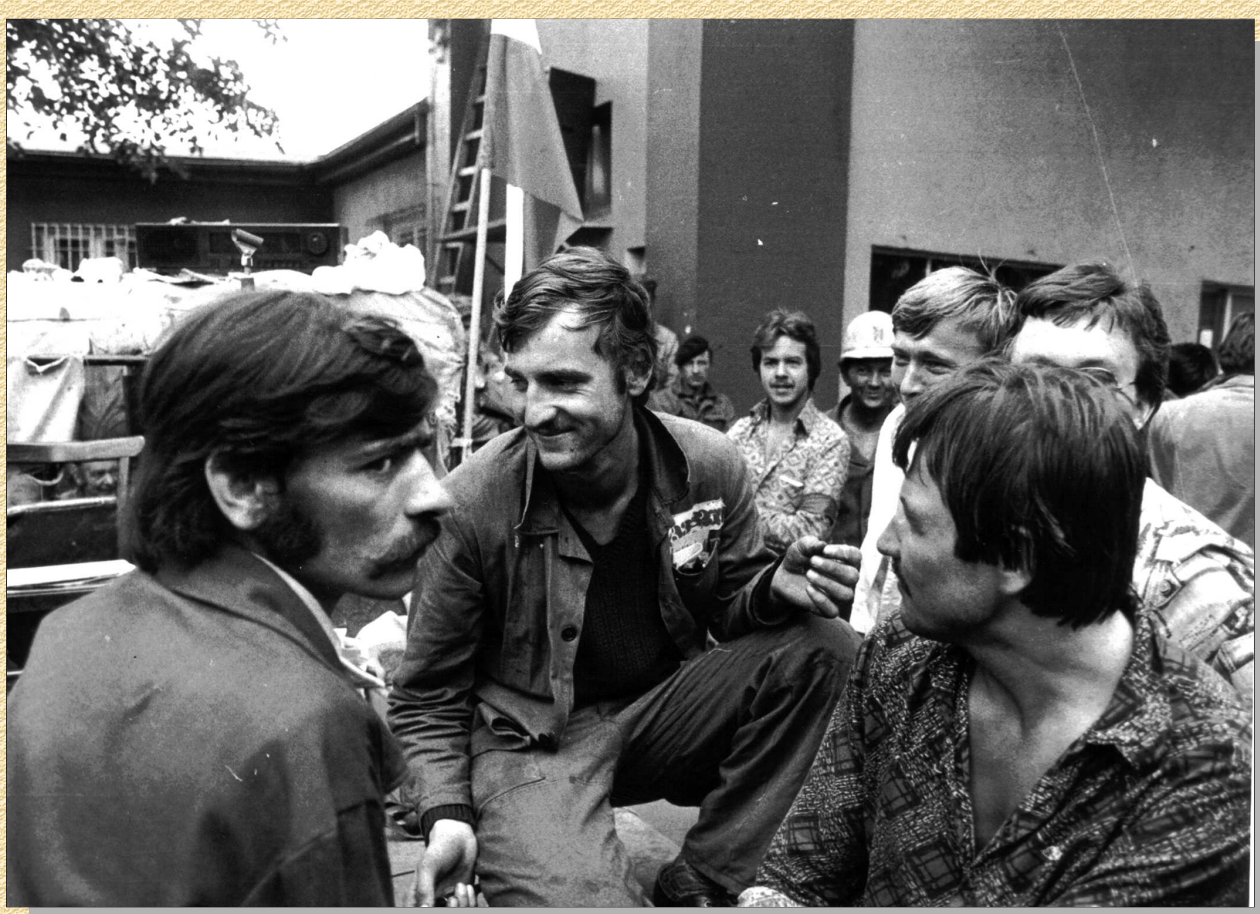
„Okrągły stół" to było coś za coś, my wam damy trochę władzy, ale wy nas nie będziecie ruszać. Oczywiście też brałem udział w wyborach czerwcowych (zawsze chodziłem na wybory).

Teraz żyję sobie skromnie i spokojnie, jestem zadowolony — emerytura moja i żony wystarcza na życie. Lubię działać społecznie. Po 1990 r. zostałem wybrany na trzy kadencje radnym, a przez dwie kadencje byłem przewodniczącym rady.

Uważam, patrząc z dzisiejszej perspektywy, że warto było walczyć, bo jednak trochę się zmieniło.

Po 25 latach wolności przy władzy jednak są jeszcze ludzie ze starego systemu np. w sądach. Boli mnie to, że po 25 latach Kiszczak i Jaruzelski nie zostali do końca osądzeni. Bardzo denerwujący jest nowy rodzaj cenzury w mediach.

Moje zadowolenie, sukces życiowy i wielką satysfakcję powoduje to, że zostałem odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski przez pana Prezydenta Lecha Kaczyńskiego w 2009 r.



Ireneusz Konkel — ur. 24 grudnia 1962 r. w Wejherowie. Pracę w Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni podjął w sierpniu 1980 r. na wydziale kadłubowym. Uczestnik strajku sierpniowego. Członek związku zawodowego Solidarność. W stoczni pracował do 1983 r., później zatrudnił się w sektorze budowlanym, gdzie pracuje do dziś.

W Stoczni po raz pierwszy pojawiłem się w 1977 roku w ramach praktyk szkolnych, następnie płynnie przeszedłem do pełnego zatrudnienia pierwszego sierpnia 1980 r. na wydziale kadłubowym.

Dzień strajku wspominam jako moment bardzo emocjonujący dla młodego człowieka, dopiero co zaczynającego dorosłe życie. Pamiętam, że już dzień wcześniej panowało pewne poruszenie i o czymś się mówiło. W dniu 17 sierpnia został oficjalnie ogłoszony wybuch strajku i wszyscy zaczęli zbierać się przy bramie głównej, było to ok. godziny 8–9 rano.

Głównym przekazem inicjatorów strajku było nawoływanie do jedności i zjednoczenia się przeciwko władzom komunistycznym. Ludzie samoistnie i spontanicznie postanowili pozostać w Stoczni i dołączyć się do strajku. Jedyne wyjścia poza teren były na zasadzie przepustek. Żywość dostarczana była przez stołówki pracownicze, a strajkujący zaopatrywali się również w kioskach pracowniczych na terenie zakładu.

Duże znaczenie w sierpniowych wydarzeniach miało zaangażowanie i pomoc kościoła, już od pierwszych dni organizowane były polowe msze. Był to moment do zadumy, spotkań, a także rozmów między strajkującymi.

Ostatnim dniom, a zwłaszcza 31 sierpnia, towarzyszyła ogólna radość, euforia i podekscytowanie. Nadzieja na lepsze była powszechnym uczuciem wśród strajkujących.

Zapisałem się do Solidarności. W Stoczni pracowałem do 1983 roku, a następnie swoją karierę zawodową związałem z sektorem budowlanym, czym zajmuję się do dziś.

Z perspektywy czasu pojawiają się dwa odczucia żalu, że ogólnopolskie (rządowe) obchody Sierpnia 1980 r. pokazywane są głównie przez pryzmat stoczni gdańskiej, a także bardzo ważny fakt, że Solidarność stała się organizacją polityczną bardziej niż powinna i niż było jej pierwotnym założeniem.


UWAGA
POD NAPIĘCIEM
415 V
W-2
ZAJĘTY

Jan Kościuk — ur. 14 sierpnia 1952 r. w miejscowości Mońki. Pochodzi z rodziny robotniczej. Dzieciństwo spędził w domu dziecka. Nie założył rodziny. Wykształcenie podstawowe. Wyznanie katolickie, przez pewien czas ateista. Pracował w FSO w Warszawie. Nie był członkiem PZPR, ale należał do Związku Młodzieży Wiejskiej. Uczestnik wydarzeń Grudnia 1970 roku i strajku sierpniowego 1980 roku. Członek NSZZ „Solidarność". W 1976 odszedł ze Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni. Od 1979 r. do 1988 r. pracował w „Energobloku", później na rencie. Kilka lat pracował za granicą, ponownie przeszedł na rentę.

Moja rodzina była robotnicza, ale pomieszana. Pamiętam, a byłem dzieckiem, kłótnie pomiędzy moim ojcem a dziadkiem. Dziadek należał do Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików), a mój ojciec do Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość. Ja mam na nazwisko Kościuk, ale mój dziadek miał Kościuch. Mój brat też miał Kościuch, ale to był błąd urzędnika.

Przez całe życie byłem samotny. Mieszkałem w domu dziecka. Nawet z moją siostrą nie miałem rodzinnych relacji. Zawsze byliśmy oddzielnie. Mieszkaliśmy w jednym domu dziecka, ale w innych pokojach. Innych grupach. Czasami się spotykaliśmy. Nie mieliśmy jednak bliższych więzi.

Co do mojego ojca mam pewne informacje, ale nie mam pewności. Nie udało mi się tego udowodnić. Ojciec musiał coś przeżyć, bo bardzo się rozpił. Nawet, gdy dziadek zmarł (jego ojciec), to tata wyszedł z gospody tylko na chwilę. Jeśli był w WiN, to nie mógł zdzierżyć swojego ojca jako komunisty. Dziadek, co często podkreślał, wykorzystywał legitymację, dzięki której mogliśmy jakoś przeżyć.

Miałem podobne zdarzenie w grudniu 1970. Otóż z moją siostrą zostaliśmy rozdzieleni i po śmierci rodziców wychowywaliśmy się osobno. Ona należała do PZPR. Pamiętam, że kiedy nas pognali spod Urzędu. To był jakiś budynek, pierwsze piętro. Wszystko obstawione przez ZOMO. Stukałem w drzwi, ale nikt nie chciał otworzyć. Wpadł jakiś kapitan milicji. Przytuliłem się do siostry, myśląc, że to koniec z nami. Przecież widziałem, jak na Władysława IV kolega z mojego wydziału klęknął, rozpiął kurtkę. Coś krzyknął. Może „Strzelajcie skurwysyny" lub coś podobnego. Dostał cztery strzały. Powiedziałem do tego kapitana milicji: „Jak możecie tak strzelać?" On odpowiedział: „To nie my, to ktoś z tłumu musi walić." Ja mu na to: „Przecież z przodu pokazała się krew." On rzucił, że musi to sprawdzić i poszedł. Wtedy wpuściła nas jakaś kobieta. Powiedziała, żebyśmy przeczekali. Zrobiła nam jakąś herbatę chyba. Moja siostra mieszkała wtedy na Narutowicza lub Okrzyńskiego, zaraz ulicą Kopernika idzie się w górę. Obie te ulice mi się mylą. Nie pamiętam, na której dokładnie mieszkała. I my tą ulicą [Kopernika] szliśmy w górę, w międzyczasie zostawiłem rękawiczki i wyczyściłem buty. Kiedy szliśmy, podeszło do nas dwóch i kazało pokazać dokumenty. Siostra wyjęła legitymację PZPR i nas puścili. Spałem na kwaterze u siostry, a następnego dnia pojechałem do Rumi, gdzie mieszkałem.

Po grudniu otrzymałem swoje dokumenty i wypowiedzenie. Byłem bez pracy przez dwa miesiące. Później, po przyjściu Gierka, sytuacja się poprawiła. Nie wiedziałem jednak, że moja przeszłość za mną chodzi. Odszedłem w 1976 r. Byłem raz w Wejherowie w celu oddania honorowo krwi. Ale czynne było tylko wtorki, czwartki i chyba piątki, a może jeszcze soboty. Wróciłem do pracy i mówię do majstra, że nie byłem, że było zamknięte. Powiedział, żebym wziął zaświadczenie i postanowiłem pojechać tam następnego dnia. A później miałem normalnie przyjść do pracy. Dostałem dyscyplinarne zwolnienie ze stoczni za to, że nie byłem na nocce. Poszedłem do przewodniczącego POP na wydziale i powiedziałem, jaka sytuacja i nie wiem, skąd wziąć zwolnienie. Spytał mnie, czy należę do partii. Kiedy usłyszał, że nie, dodał, że może być problem z załatwieniem mojej sprawy. Ja na to, że przecież partia powinna pomagać robotnikom. Odpowiedział, że zobaczy, co da się zrobić.

Na posiedzeniu Rady Nadzorczej Stoczni ten przewodniczący POP-u mówił, że jestem takim dobrym pracownikiem itd. Jedyne, co zrobili, to przenieśli mnie na inne stanowisko do innego wydziału. Później jeszcze miałem spotkanie z prokuratorem. Chciałem bronić kolegi. Wziąłem część winy na siebie. On „z wdzięczności" zwalił wszystko na mnie i choć nie siedziałem w więzieniu, dostałem wyrok w zwieszeniu, odszedłem ze Stoczni. I tak nie chcieli mnie przyjąć. W końcu od 1979 r. zacząłem pracować w „Energobloku" Wybrzeże. Jeździliśmy na Redę.

Gdy przyjeżdżałem do Gdyni, to miałem wykształcenie podstawowe. Chciałem iść do Technikum Górniczego, ale z racji tego, że byłem w domu dziecka, nie otrzymałem zgody. Zawsze byłem krnąbrny. Była sprawa sądowa, gdzie wychowawca bił głową o ścianę młodego chłopaka. Miał dwa numery za duże buty i zdarł obcasy. To jeszcze ja dostałem, dlatego że zwróciłem mu uwagę. Zostałem bardzo pobity. Przez to wszystko nie miałem zaufania ludzi, trudno mi było złapać kontakt. Byłem z kilkoma kobietami, ale nigdy się nie ożeniłem.

Kiedy miałem te 16 czy 17 lat, FSO w Warszawie organizowało kursy na jakiegoś blacharza czy malarza. Trzeba było mieć zaświadczenie ze Związku Młodzieży Wiejskiej. Zapisałem się tam, ale to nic nie pomogło. Nie płaciłem składek i po jakimś czasie mnie skreślili. Gdy dostałem pracę w Stoczni im. Komuny Paryskiej, to obligatoryjnie należałem do związków zawodowych. A tak nie należałem do żadnej innej organizacji.

Przed 1980 rokiem nie myślałem o otaczającej mnie rzeczywistości. Uwielbiałem czytać „Tygrysy", wtedy nie wiedziałem, że to kłamstwo. Pojawiały się pojęcia, jak „bandy" czy konkretnie „bandy Łupaszki". Jak odzyskaliśmy tę tak zwaną wolność, zacząłem czytać inne rzeczy i zrozumiałem, że to nie były „bandy" tylko partyzanci. Dlatego w tamtym czasie nie myślałem jakoś negatywnie. Żyłem po prostu dniem dzisiejszym.

Chodziły słuchy, że przyspawali do torów wagony, które miały iść do Rosji. Słyszałem i o strajkach czy podwyżkach. Byłem samotnikiem, ale w rozmowach z kolegami śmialiśmy się, że dostawy mięsa do Rosji ich uratowały.

Pracowałem wtedy w „Energobloku". Byłem operatorem koparki. Poprzednio pracowałem w Kombinacie Budowlanym, później znanym jako Gdyńskie Przedsiębiorstwo Budownictwa Miejskiego czy Mieszkaniowego. Byłem na Łużyckiej, na bazie. Pracowałem na sprężarkach. Najpierw chcieli mnie przyjąć na żurawie, ale później zmienili zdanie. Nie zdawałem sobie sprawy, że idzie za mną grudzień 1970. Przecież byłem w milicji robotniczej i pilnowałem dyrekcji, może kogoś sfotografowałem. W marcu 1971 r. zorganizowaliśmy strajk. Ja, Zając i Pacek na Wydziale M, ale tylko dźwigowi. Dzień wcześniej stanął Wydział K-3, ale my pracowaliśmy. A w dniu, kiedy my zrobiliśmy strajk, to powiedzieli, żebyśmy się wypchali. Miałem 18 lat, oczywiście pojawiło się SB. Zabrali nas na Portową. Straszyli nas, a jak to nie pomogło, to próbowali pomóc. Miałem wykształcenie podstawowe, uczyłem się wieczorowo w technikum. Później z akt dowiedziałem się, że mieli mnie wcielić do wojska, co się w gruncie rzeczy stało.

Dobrze zarabiałem. Ale to, do czego muszę się przyznać, to do kradzieży paliwa. Koparka nie spalała tyle paliwa, ile było w normie. Wszystko wiązało się z tym, że gdybym miał maszynę włączoną przez cały czas, to bym to spalił. A wyglądało to tak, że załadowało się jedną ciężarówkę, wywrotkę itd., gasiło silnik i czekaliśmy. Sprzedaliśmy do tzw. „żydów". Jakoś się żyło, pensja była i tu i tu. Kierownik mi obniżył limit spalania o połowę. Miałem pretensję, bo jak się okazało, a pracowałem przy kopaniu rowów melioracyjnych, że dochodziłem do limitu, to przerywałem pracę. Awantura się zrobiła, sprawa oparła się o dyrektora. I przywrócono mi poprzedni limit. Mój przełożony zmusił nas do takiego postępowania. Jak uczciwie zapisywałem, ile spalałem, a że się nie zgadzało, to musieliśmy podjąć taką, a nie inną decyzję.

Pamiętam początek strajku w 1980 roku. Zawsze zbieraliśmy się w Gdyni Chyloni i stamtąd jechaliśmy do Redy w celu budowy rowów melioracyjnych. Ktoś nagle powiedział, że operatorzy mają się zgłosić na bazę. Okazało się, że jest strajk. Niektórzy poszli do domu, a ja i pozostali pozostaliśmy na bazie. Nasza dyrekcja mieściła się przy ul. Dzierżyńskiego (teraz Legionów) 130. Przyjechał zastępca dyrektora, już w trakcie strajku. I jeszcze jakiś esbek. Straszyli, grozili. Cześć się przestraszyła i wyszła. My zostaliśmy. Pamiętam, że była jakaś prowokacja, ale nie pamiętam, gdzie dokładnie. Wyczuwało się napięcie. Początkowo nie było wart, a później już warty postawiliśmy.

Pełniłem wartę na tyłach bazy, koło magazynów. Niektórzy na noc uciekali do domu, a rano wracali. Na zebraniu powiedziałem, że zdarza się taka sytuacja. A jestem sam i dobrze by było, jakby było nas tam ze dwóch. Miałem taki pręt i byłem z kolegą. Raz ktoś próbował wejść. Zagroziłem, że oberwie. Miał pretensję, ale ja powiedziałem wyraźnie, że nie wiem, kim jest ten człowiek. Pokazałem, gdzie jest brama główna i gdzie wpuszczają. Rzucił wiązankę wyzwisk w moją stronę i poszedł. Po tygodniu dowiedzieliśmy, że w Rewie kradli sprzęt, paliwo. Okazało się, że stróż sprzedawał paliwo. Cześć pilnowała w bazie, a część w żwirowni.

Był taki człowiek, który był za dnia, a później wieczorem, gdzieś wyjeżdżał. Jak były wybory, zostało podane jego nazwisko. Powiedziałem, że jak do kolegi, to nic nie mam, ale dobrze wybrać kogoś, do kogo ma się zaufanie. I nie został wybrany. Nienawidził mnie do końca. Kiedyś, gdy dorabiałem do renty, pracowałem na budowie, a on przyjechał ze żwirem. Spytał, co mi dała Solidarność. Odpowiedziałem, że mógł kupić samochód z firmy za bezcen, miał możliwość wożenia żwiru i zarabiania. Odpowiedział, że mam rację, ale pytał, co ja zyskałem. Cóż mogłem odpowiedzieć? Powiedziałem, że nie każdy może dojść do pieniędzy.

Gdy wybuchł strajk, część odeszła, ja zostałem. Brałem pod uwagę, że coś się może stać, ale starałem się o tym nie myśleć. Chodziło o to, aby siedzieć, trwać. Ludzie, rodziny przynosili jedzenie. Dla osób takich jak ja, jedzenie przywożono ze Stoczni im. Komuny Paryskiej. W tym czasie mieszkaliśmy na kwaterze, więc nie miałem kontaktu. Z nikim też się nie konsultowałem w kwestii pozostania czy wyjścia.

Mnie przy tym nie było, jak powstawały postulaty, ale wiem, że ludzie zbierali postulaty. To było w trakcie zebrania. Ktoś krzyknął, ktoś zapisał. Później, gdy czytano postulaty, a następnie zdecydowano, że nasze postulaty zawieziemy do Komuny. Jako całego zakładu. Wszystkie zakłady tak robiły.

Pamiętając o naszym błędzie z 1970 r., gdy wyszliśmy ze stoczni jednej i drugiej, teraz chcieliśmy siedzieć za wszelką cenę. Wyraźnie powiedzieliśmy: kto chce może wyjść, nikt nie będzie miał pretensji. Ci, co zostali, musieli siedzieć. Spało się na styropianach, gdzie popadło. Wstawało się rano, spotykaliśmy się. Jedna osoba zdawała relację. Następnie jedni szli pilnować, a inni grali w karty itd. Tam, gdzie siedzieli przywódcy naszego strajku, można było coś zjeść, napić się kawy, herbaty itd.

Byliśmy operatorami i praktycznie ze sobą nie rozmawialiśmy. Tyle, co do i z pracy. Czasem poszło się na piwo. A w trakcie strajku wszyscy byliśmy bardziej otwarci, milsi. Wszystko zmieniło się na plus. Pamiętam, że ktoś próbował wnieść alkohol. Chodziło o to, aby dać pretekst milicji do wkroczenia. Byłem przez pierwszy tydzień w zakładzie, miałem warty lub spałem. A później pilnowaliśmy sprzętu na Rewie. Przywożono nam jedzenie i nie wiedziałem, co dzieje się na zakładzie.

Pamiętam moment podpisania Porozumień. Była euforia, byliśmy na zakładzie w tym czasie i nie potrafię opisać tej radości. Płakaliśmy też ze szczęścia. Pojawiła się nadzieja na zmiany.

Nie pamiętam dokładnie, kiedy wstąpiłem do Solidarności. Byłem jednym z pierwszych, którzy przystąpili. Byłem szczęśliwy, że brałem w tym udział. Ale tak naprawdę zacząłem działać, jak byłem już na rencie. To była bardziej praca jak w delegacji.

Początkowo chciano zmieniać liderów. Wybrano młodego chłopaka i chciano zrobić jakiś przekręt. Unieważnili całe wybory, ale to po jakimś czasie. Do Solidarności przystępowali nie zawsze dobrzy ludzie. Była też taka kobieta z narzędziowni. Jak pojawiła się Solidarność i otrzymała legitymację, to zaczęła jak większość lżyć komunistów. Gdy jednak nastał stan wojenny, wtedy robiła to w stosunku do Solidarności. Były to najczęściej osoby z Włocławka. Oni od kierownictwa dostawali mieszkania, sprowadzali się z rodzinami. Miałem przez to wszystko kłopoty.

Niektórzy członkowie PZPR przystąpili do Solidarności, tak jak ta kobieta z narzędziowni. Ale jak wprowadzono stan wojenny, to tak jak ona, złożyli samokrytykę. Mówili, że zostali wprowadzeni w błąd itd. A mówiąc szczerze, nie wiedziałem dokładnie, kto był w PZPR.

Pamiętam, jak to było po ogłoszeniu stanu wojennego. Jechaliśmy trolejbusem do pracy. Dojeżdżało się do Chyloni, do Cisowej, tam była moja baza. Później trzeba było

przejść przez tory. Zatrzymała nas kontrola, żołnierze i wozy opancerzone. O wprowadzeniu stanu wojennego dowiedziałem się na kwaterze w domu. Włączyłem telewizor i zobaczyłem Jaruzelskiego. W radiu muzyka poważna. Mieszkałem w takiej willi na kwaterze. Wyszedłem na spacer. Zwróciłem uwagę, że nic nie jechało i było cicho. Jadąc do pracy, widziałem wozy opancerzone, czołgi, milicję, wojsko.

Rozmawialiśmy między sobą, co teraz będzie. W drodze do pracy zatrzymali nas do kontroli. Jechała z nami taka ładna dziewczyna. I ten żołnierz, chyba oficer, przyglądał się dokumentom i jej. Nagle ona zapytała: „Co się pan tak patrzy?" Faktycznie, przyglądał jej się. Rzucił, że ładnie wygląda. A że ja mam cięty język, to powiedziałem: „Lenin jest ładniejszy". Spojrzał się i tak jakby chciał zrobić krok w moją stronę. Ale wychodząc, cały czas mnie obserwował. Gdyby to był milicjant, to by mnie zgarnęli.

Przepustki wydawali w młodzieżowym domu kultury — tam, gdzie lodowisko było. Wszystko było obstawione. Przechodziłem koło krzyża, zdjąłem czapkę i się ukłoniłem. Słyszałem tylko, że dawali sobie jakieś komendy przez krótkofalówkę. I jak wracałem, mając już przepustkę, schowałem ją do bielizny, przeczuwając, że coś się stanie. A dostałem ją tylko dlatego, że nakłamałem. Powiedziałem, że poznałem dziewczynę i planujemy ślub, że chcemy wszystko obgadać. Gdy wracałem, a może to było wcześniej, jak szedłem, słyszałem rozkazy, aby sprawdzić, gdzie pracuję. Polecenie, aby mnie przepuścić pojawiło się, gdy ustalili, że pracuję w „Energobloku", a nie w Stoczni. Mogli mnie zamknąć za to, że ukłoniłem się przed krzyżem i zdjąłem czapkę. A podczas stanu wojennego, to spotykałem się na manifestacjach z kolegami 1 czy 3 maja. I wtedy nas ganiali. Spotykaliśmy się przy pomniku Ofiar Grudnia 1970 i stamtąd szliśmy w kierunku dworca. Dochodziliśmy tylko tam, później już nas przeganiali.

Zbierało się różne rzeczy. Ulotki też były, ale to roznosili inni. A ja tylko je widziałem, podnosiłem je i czytałem.

Żyłem z dnia na dzień. Przed strajkami stało się od nocy w kolejkach. Po strajkach było trochę lepiej, ale stan wojenny wszystko zmienił.

Pracowałem już wtedy w Żarnowcu, chyba od 1983 może 82. A w styczniu 1985 wyjechałem do NRD. Dyrekcja przyjechała z Bełchatowa i było inaczej, trudniej. W Żarnowcu też pracowałem na koparce. I jak wcześniej w „Energobloku", tak i tu nie było czasu z nikim rozmawiać.

Kiedy pracowałem w „Energobloku", to jeździło się do przewodniczącego, spotykało kolegów. Jak pojechałem raz do przewodniczącego związków, to zacząłem mówić, że na bazie bardzo kradną. A on do mnie: „Chłopie, pisaliśmy do Wałęsy i do Sejmu, i do NIK-u, i nic". Dalej opowiadał, jak z Warszawy przyjechała kontrola z NIK. Umieścili ich w hotelu „Gdynia" i trzymali ich przez tydzień. Wysłali do pokoi prostytutki, a w dokumentach zapisali, że wszystko jest w porządku. I tak rozkradali mienie zakładu.

Dzięki ustawie, że spłacanie, odsetki itd. — zostałem właścicielem mieszkania. A z renty nie miałem takiej możliwości. Miałem zawał. Wkrótce rentę mi zabrali, bo nie dałem łapówki lekarce i drugi lekarz, który przyszedł po niej, spytał, czy byłem w NRD. Jak potwierdziłem, to dawał mi do zrozumienia, że coś jest nie tak i odebrali mi rentę. Wyjechałem do Słowacji, a później Czech, i tam pracowałem. Po dwóch latach wróciłem do Polski, byłem na bezrobociu. Później dostałem pismo, że potrzebują naszych pracowników i padło pytanie, w piśmie, czy chcę wrócić. Zgodziłem się, bo nie miałem środków na życie. Wtedy poszedłem do lekarza i przywrócili mi rentę. Dowiedziałem się, że mam cukrzycę i jeszcze inne schorzenia i nie nadaję się do pracy. Chociaż nie chciałem, poszedłem znów na rentę.

Nie mam wielu sukcesów. Nie założyłem rodziny. Najważniejsze jest dla mnie rodzeństwo, Ojczyzna, Bóg. Jak zacząłem głosować na Porozumienie Centrum, już wtedy były fałszowane wybory. To był chyba 1992 r. Pracowałem w Pilźnie w Czechach, a wybory były w konsulacie w Pradze. Jeszcze z czwórką znajomych autokarem przyjechaliśmy. I głosowałem na PC. Oni też mówili, że tak głosowali. To proszę sobie wyobrazić, że na PC od nas nie było ani jednego głosu. Komisja i inne głosujące osoby były w szoku, że wszedłem za kotarę i głosowałem tajnie. Oni chcieli wiedzieć, na kogo głosowałem. Spytałem później swojego kierownika eksportu, czy ma wyniki. Dał mi wyniki i tak jak powiedziałem — dla PC było zero głosów.

Społeczeństwo się zmieniło. Coś takiego, jak po tragedii w Smoleńsku. Była taka nadzieja, radość, jedność. Ludzie zrobili się milsi. A od 1989 niby rządzi opozycja, ale pięć dni od wyborów było już wiadomo, że rządzi SB i jej agentura. Tak po pięciu dniach od katastrofy, ci rządzący jakby się przestraszyli się tego, że ludzie znów byli jednością. I zrobiono to samo, co po stanie wojennym i po 1989 r.

Uważam, że Solidarność to był główny czynnik jakichkolwiek zmian w kraju. Nikt jednak nie przypuszczał, że zostanie to zaprzepaszczone. Byłem oszukiwany, jak istniała Solidarność — wtedy popierałem Lecha Wałęsę.

Porażką Solidarności było przede wszystkim to, że nie umieliśmy znaleźć tych zdrajców, tych kapusiów. Tych, którzy nas rozbijali wewnętrznie. Dobrym przykładem jest Marian Krzaklewski, który jako solidarnościowiec startuje z list partii, która walczy z robotnikami i pracownikami.

Podczas ostatnich 25 lat niepodległości nomenklatura się uwłaszczyła. Prości robotnicy, jak ja, nie mieli możliwości dojść do niczego. Mam świadomość, że musi być ktoś, kto rządzi, ale oni się uwłaszczyli, a robotnicy zostali sami. Cały czas mamy afery, przekręty. Skorzystali zdrajcy i kłamcy.

Chciałbym zmienić mentalność ludzi, nie wiem jak. Zlikwidować tę ich propagandę. To jest przerażające. Boli mnie to, że nie ma wśród nas jedności.

Gdyby szykował się strajk, wziąłbym w nim udział. Oczywiście. Zawsze, gdy bywam w kościele, to śpiewam: „Ojczyznę wolną racz nam wrócić, Panie", bo nie jesteśmy niepodległym, suwerennym państwem. Kto jest przy Komorowskim? WSI i GRU.

Gdybym mógł sformułować kilka postulatów strajkowych, to chciałbym likwidacji umów śmieciowych. Wolałbym, aby było jak kiedyś. Najpierw okres próbny, jak się sprawdzi — to na czas nieokreślony. Minimalna płaca, nie tylko na papierze. Musi ją dostawać. Uważam, że najważniejsze są te sprawy pracownicze. Na pewno lustrację prokuratorów, sędziów, dziennikarzy. A dalej to nie wiem, to musiałbym się zastanowić. Brałbym udział w strajkach okupacyjnych, jeździłbym do Warszawy, wspierał ludzi itd.



Andrzej Kozicki — ur. 21 kwietnia 1945 r. w Grębocinie koło Torunia. W 1969 r. ukończył kierunek budowa okrętów na Politechnice Gdańskiej. W latach 1963–1967 w ZSP. W 1964 r. został mistrzem Polski w wioślarstwie akademickim. Od roku 1969 do 2005 pracownik Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni. Żonaty, sześcioro dzieci. W sierpniu 1980 r. uczestnik strajku w Stoczni im. Komuny Paryskiej, członek Komitetu Strajkowego, delegat do MKS w Stoczni Gdańskiej im. Lenina. Od września 1980 r. w Solidarności, przewodniczący Komitetu Założycielskiego, przewodniczący Komitetu Budowy Pomników Ofiar Grudnia 1970 w Gdyni. W latach 1980–1981 pracownik MKZ w Gdańsku, w lipcu 1981 r. delegat na I WZD Regionu Gdańsk, członek Prezydium Zarządu Regionu, delegat na I Krajowy Zjazd Delegatów NSZZ „Solidarność". 13 grudnia 1981 internowany w Ośrodku Odosobnienia w Strzebielinku, zwolniony 27 lipca 1982. Od 2005 na rencie. Projektuje kościoły.

Jestem absolwentem Politechniki Gdańskiej (kierunek: budowa okrętów). Pracowałem w Stoczni im. Komuny Paryskiej od 1969 roku kolejno jako: konstruktor, kierownik zespołu, specjalista starszy projektant, a po zmianie ustroju i zmianie nazwy stoczni — jako dyrektor zaopatrzenia i główny projektant. Dzięki funkcjom, które pełniłem, i latom, które spędziłem w stoczni, poznałem wielu wspaniałych ludzi, z którymi mogłem szczerze rozmawiać o sytuacji politycznej w Polsce. Wiele z tych przyjaźni przetrwało do dziś. W latach 70-tych byłem jednym z niewielu pracowników, którzy znali języki obce (angielski, francuski), co nie tylko umożliwiało mi zagraniczne wyjazdy, lecz także było przedmiotem zainteresowania wywiadu wojskowego. W latach 70-tych zaproponowano mi nawet wyjazd na staż roczny za granicę, w zamian za „współpracę" , tj. donoszenie, jednak mimo namowy (nawet przyjaciół, co było dla mnie zdumiewające) zostałem w Polsce.

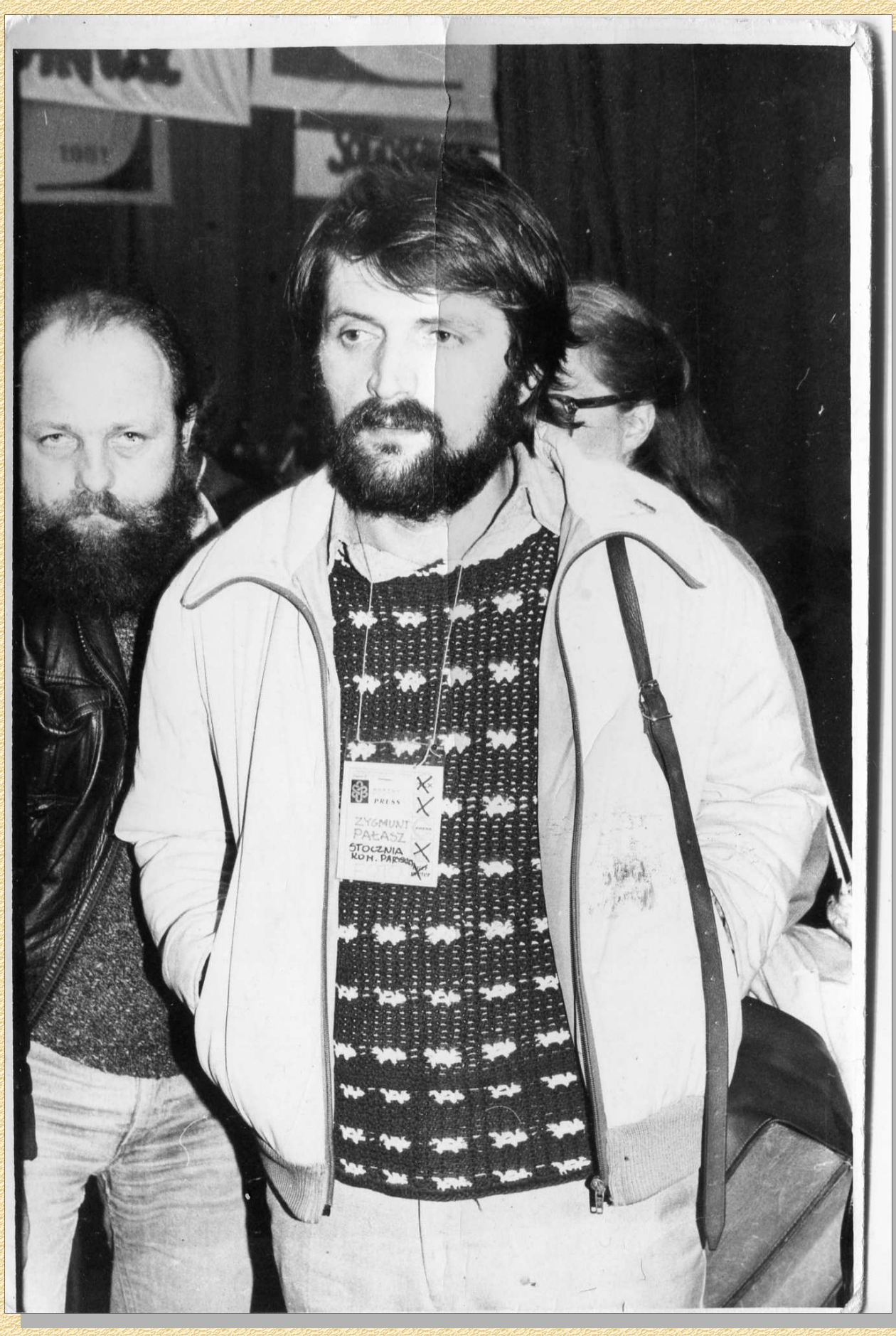
Strajk zobaczyłem z siódmego piętra biura, w którym pracowałem. Widziałem stoczniowców kroczących pod moimi oknami. Różne myśli przebiegały mi wtedy przez głowę. Ale od razu pomyślałem, że w tym kłamstwie dłużej żyć się nie da. Zmieniłem ubranie i dołączyłem do strajku, wtedy — do grupy już 300–400 stoczniowców. Dołączyłem do komitetu strajkowego, potem objąłem funkcję delegata i obserwatora w Stoczni Gdańskiej (decyzją Lecha Wałęsy nie zostałem jednak dopuszczony do rozmów).

Atmosferę w stoczni opisałbym jednoznacznie: ci, którzy nie dołączyli do strajku, najpewniej po prostu się bali. Ideologicznie przeciwnych strajkowi, typowych rusofilów, było niewielu, ok. 5 procent. Najsilniejsze wspomnienie codzienności strajkowej łączę z postacią Anny Walentynowicz, która była odpowiedzialna za zaopatrzenie. Dzięki jej niezłomnej postawie stoczniowcy nie cierpieli głodu.

Podczas strajku odwiedziłem dom rodzinny tylko raz (w nocy między 22 a 5 rano). Mimo ciągłej nieobecności (strajk, dwuletnie internowanie) rodzina w pełni popierała moją działalność. Mamy z żoną — z zawodu architektem — sześcioro dzieci.

Po wydarzeniach sierpniowych zaangażowałem się w społeczny komitet budowy pomników. Na emeryturze projektuję kościoły. Ostatni — pw. św. Polikarpa — jest na ukończeniu.

Co do strajków sierpniowych — oczywiście warto było się zaangażować. To był obowiązek wobec najbliższych i Polski. Po prostu trzeba było to zrobić. Może nie poszło tak, jak marzyliśmy, ale te chwile są niezapomniane: wszyscy doświadczyliśmy wtedy blasku wolności.


PRESS
ZYGMUNT
PAŁASZ
STOCZNIA
KOM. PARYSKIEJ

Elżbieta Kujawa — ur. 24 września 1945 r. w Gdyni. Katoliczka praktykująca. W 1980 roku ukończyła studia wyższe. Wyszła za mąż, dwoje dzieci. Członek Klubu Inteligencji Katolickiej. Pracowała w Zakładzie Elektronicznej Techniki Obliczeniowej ZETO w Gdyni. Od czerwca 1980 zatrudniona w Wyższej Szkole Morskiej jako kustosz w bibliotece naukowej. We wrześniu 1980 roku wstąpiła do związku zawodowego Solidarność. Została członkiem Komisji Zakładowej, później członkiem kolegium redakcyjnego „Biuletynu informacyjnego WSM". Po 36 latach pracy przeszła na emeryturę.

Urodziłam się w Gdyni i do tej pory jestem jej mieszkanką. Rodzina kultywowała tradycje patriotyczne, przykładem ojciec należący do Pomorskiego Oddziału AK. Wielki dramat spotkał rodzinę, gdy ojciec poległ w kwietniu 1945 r.

W 1980 r. skończyłam studia wyższe, wyszłam za mąż, obecnie rodzina to mąż i dwoje dzieci, w 1980 r. posiadaliśmy już własne mieszkanie. Nie należałam do żadnych partii politycznych typu PZPR, jestem katoliczką praktykującą, a także członkiem Klubu Inteligencji Katolickiej. Kościół w moim życiu i mojej rodziny odgrywał dużą i znaczącą rolę, autorytetem życiowym oczywiście był papież Jan Paweł II.

Przed sierpniem 80 nie wierzyłam w zmiany, słuchałam BBC i RWE. Uczestniczyłam też w wyborach, nie miałam kontaktu z prasą podziemną i ludźmi opozycji. Zawsze pojawiało się poczucie niesprawiedliwości społecznej, kiedy wprowadzano podwyżki.

Najpierw pracowałam w ZETO (Zakład Elektronicznej Techniki Obliczeniowej) w Gdyni. Na miesiąc przed wybuchem strajków sierpniowych, od czerwca 1980 r. zatrudniłam się w Wyższej Szkole Morskiej w Gdyni liczącej około 600 osób zatrudnionych, jestem kustoszem w bibliotece naukowej. Dochody były bardzo przeciętne i to mąż utrzymywał rodzinę.

Wydaje mi się, że przed Sierpniem 80 na terenie WSM nie funkcjonowały jakieś struktury opozycyjne typu KOR, ROPCiO, WZZ. Obecnie w dalszym ciągu utrzymuję kontakty towarzyskie. Kadra naukowa z okresu mojej pracy już nie pracuje (emerytury, wyprowadzki z Gdyni), dlatego kontakty te są bardzo ograniczone.

Na uczelni w sierpniu 1980 r. strajku nie było, ponieważ był to okres wakacyjny i urlopowy, ale wszyscy to mocno przeżywaliśmy i niepokoiliśmy o to, jak się to skończy.

Po podpisaniu Porozumień Sierpniowych zapanowała wielka euforia i entuzjazm. Już we wrześniu 1980 r. zapisałam się do Solidarności, zostałam członkiem Komisji Zakładowej, później członkiem kolegium redakcyjnego „Biuletynu informacyjnego WSM". Około 90% pracowników WSM przystąpiła do NSZZ „Solidarność". Na początku nie sprawiano nam trudności (do stanu wojennego), komórka PZPR w pierwszym okresie działania Solidarności zachowywała się obojętnie.

Największym osiągnięciem Solidarności w tym okresie było to, że poczuliśmy się naprawdę wolni, nie myśląc o późniejszych konsekwencjach. Na uczelni obywały się spotkania i zebrania związkowe. Zaczęliśmy drukować „ Biuletyn", robiliśmy z „Kultury" (paryskiej) przedruki książek.

Szybko zabrano nam całą nadzieję, ponieważ wprowadzono stan wojenny przeciwko narodowi.

Przeżyło się wielki strach i niepokój, ale na uczelni, w miejscu pracy, nie byłam szykanowana, miałam pracę. Kontynuowałam działalność związkową w czasie stanu wojennego, kontaktowałam się z „podziemiem". Wydawaliśmy biuletyn, drukowaliśmy ulotki i kolportowaliśmy je, po prostu byłam w strukturach wydawniczych opozycji.

Popierałam również strajki w 1988 r. w ramach zbiorowego poparcia Komisji Zakładowej dla strajkujących, uczestniczyłam w wyborach 4 czerwca 1989 roku.

Porozumień „okrągłego stołu” zdecydowanie nie popierałam, ale niestety nie miałam na to wpływu.

Największym błędem i porażką Solidarności był „okrągły stół”. Gdyby nie konszachty z komuną, może inaczej wyglądałaby Polska.

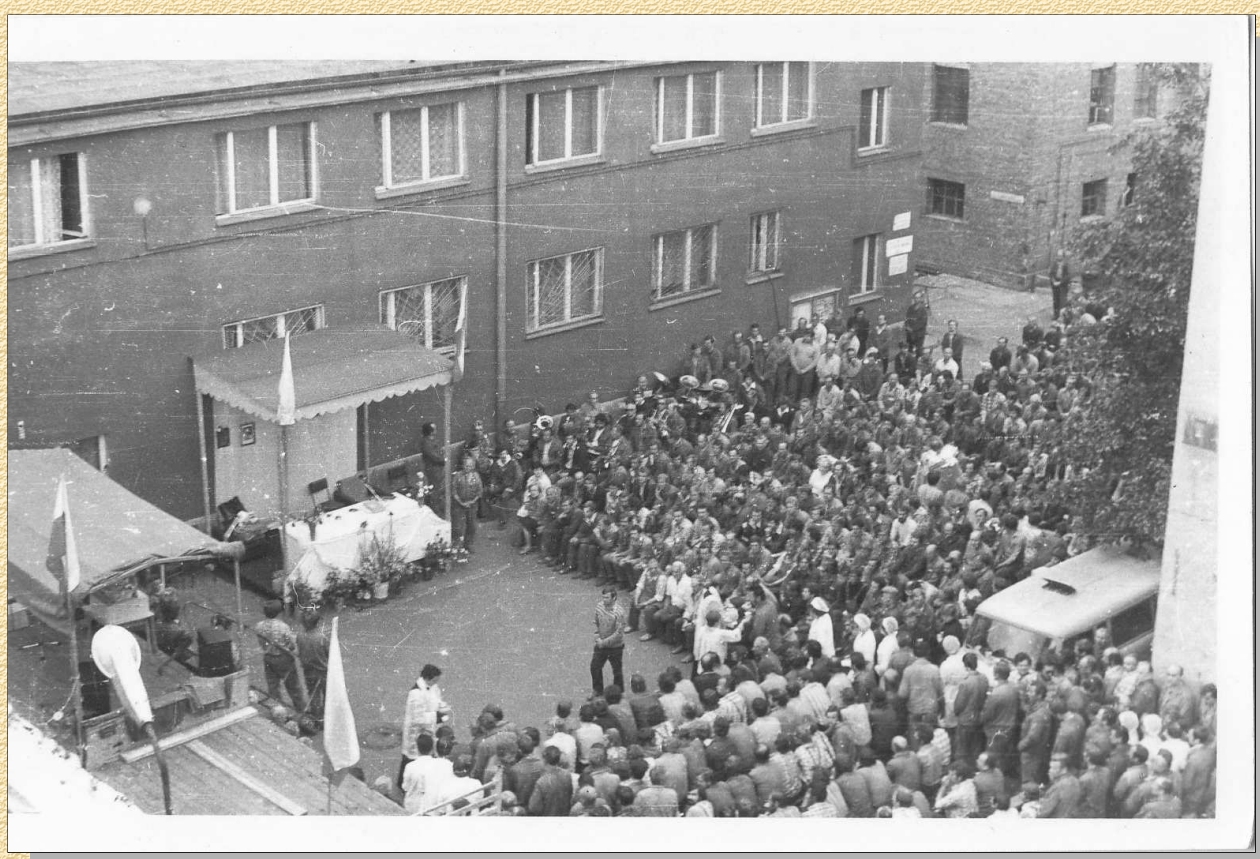
Dzisiaj jestem na emeryturze, po 36 latach pracy 1575 zł netto, mam mieszkanie własnościowe (współwłasność z mężem). Mój sukces życiowy, to wychowanie i wykształcenie dzieci.

Dla mnie najważniejsze wartości życiowe, to dobry kodeks moralny-etyczny, uczciwość, a zryw sierpniowy w 1980 roku wspominam jako najwspanialszy zryw Polaków.

Bardzo duże znaczenie przywiązuję do roli Solidarności, dlatego że wszystko się wtedy zaczęło w polityce i życiu społecznym. Zrodziło się przekonanie, że można coś zmienić, coś zrobić dla kraju, dla Polski.

Dzisiaj ponownie przystąpiłabym do takiego strajku, pomimo że w sierpniu 1980 r. nie strajkowałam (na Uczelni był okres wakacyjny). Solidarność ma duże osiągnięcia polityczne, wprowadziła ogromne zmiany w świadomości społeczeństwa, chociaż nie o taką Polskę walczyliśmy, ale jestem dumna z uczestnictwa w ruchu Solidarności i chwalę się tym.

Ostatni okres 25 lat niepodległości oceniam nisko, jest dużo niesprawiedliwości, która bardzo boli. Przede wszystkim chciałbym zmienić rząd i prezydenta (opinia wyrażona przed wyborami prezydenckimi w maj 2015 r.). Dzisiaj chciałabym zmienić świadomości społeczeństwa, aby patrzyło rozsądniej na to, co się dzieje i zdecydowałabym się o to walczyć.



Szczepan Kutnik — ur. w 1943 roku w okolicach Białej Podlaskiej, woj. lubelskie. Pochodzenie rolnicze, wierzący. Ukończył Technikum Budowy Okrętów w Gdyni. Studiował na Politechnice Gdańskiej, na kierunku maszyny i urządzenia okrętowe. Żonaty, jedno dziecko. Był pracownikiem Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni, początkowo na wydziale ślusarsko-blacharskim, od 1965 r. pracował w biurze konstrukcyjnym stoczni przy opracowywaniu dokumentacji na budowę statków. Świadek wydarzeń grudnia 1970 roku. Uczestnik strajków sierpniowych 1980 roku. Obecnie na emeryturze.

Wywodzę się z katolickiej rodziny, miałem 2 braci i 3 siostry. Wychowałem się i mieszkałem na wsi. Jego ojciec był rolnikiem, zaś matka dbała o domowe ognisko i zajmowała się wychowywaniem dzieci.

Po ukończeniu szkoły zawodowej wyjechałem na Pomorze w poszukiwaniu pracy. W gdańskim urzędzie dostałem skierowanie do stoczni w Gdyni. Wynikało to z zapotrzebowania na nowych pracowników, gdyż wówczas trwała rozbudowa stoczni. Pracownicy stoczni mieli obowiązek przynależenia do związków zawodowych. Około 1970 roku wypisałem się ze związków, gdyż ówczesne warunki okazały się dla mnie niekorzystne. Niestety, szybko odczułem negatywne skutki tej decyzji, gdyż zostałem wyrzucony z kasy zapomogowo-pożyczkowej stoczni.

Wynajmowałem mieszkanie od stoczni (stocznia wynajmowała kwatery dla pracowników spoza Trójmiasta). Dopiero po ślubie z małżonką Haliną, wynajęliśmy mieszkanie prywatne na Płycie Redłowskiej, gdzie później przez dłuższy czas mieszkaliśmy razem z naszym synkiem.

Odczuwaliśmy podwyżki cen, zwłaszcza podstawowych artykułów domowych, to znaczy żywności, chemii itp. Poddawałem się temu faktowi, jak większość, i spokojnie obserwowałem działania podejmowane przez komitet strajkowy. W grudniu 1970 r. pewnego poranka wyszedłem na balkon mieszkania i usłyszałem dobiegającą z ulicy rozmowę, dotyczącą strzelaniny na przystanku Gdynia-Stocznia. Nie chcąc narażać swojego życia i zdrowia, tego dnia zostałem w domu i obserwowałem latające śmigłowce i protestujących ludzi. Miałem wiele obaw podczas strajku, wojsko obstawiało drogi, słyszałem rozmowy na temat tego, że strzelano do ludzi, zabijano. Bałem się o rodzinę, stąd w czasie wydarzeń grudnia 70 przebywałem głównie w mieszkaniu.

Pamiętam, że w sierpniu 1980 r. wraz z kolegami zostaliśmy w biurze. Nasłuchiwaliśmy, co wówczas powie Andrzej Kołodziej z wózka akumulatorowego oraz wieści ze stoczni gdańskiej. Każda informacja z zewnątrz miała istotne znaczenie. Wtedy też zawiązał się MKS, który delegował część działaczy do Gdańska, samodzielnie też zasięgali języka. Odbywaliśmy dyżury, budowaliśmy domki ze styropianu (żeby nocami było nam cieplej), spożywaliśmy też wspólnie posiłki, zaś ludzie z zewnątrz przywozili nam jedzenie i podstawowe produkty codziennego użytku.

Dyrekcja stoczni gdańskiej nie zgodziła się na oddanie drukarni na potrzeby strajku, ale udało się to osiągnąć w Gdyni, gdzie później stoczniowcy drukowali ulotki, sortowali je, a kurierzy rozpowszechniali je na zewnątrz.

Aby opuścić stocznię, potrzebna była przepustka od komitetu strajkowego. Raz wykorzystałem możliwość otrzymania przepustki i wracając z domu wziąłem ze sobą warzywa, którymi podzieliłem się z kolegami.

Regularnie, odbywały się msze święte przy ołtarzu polowym, zbudowanym własnoręcznie przez stoczniowców. Strajk w stoczni oceniam pozytywnie. Pamiętam, że utworzono grupę negocjującą z dyrekcją. Mój kolega z sekcji bardzo bał się finału wydarzeń. Istniał wówczas podział na partyjnych i bezpartyjnych, natomiast kolega należał do cichociemnych, dlatego też należało ważyć słowa w jego obecności. Nastroje były różnorodne.

Za największy sukces Solidarności uważam 21 postulatów, które zgłaszali ludzie, tworzyli je sami i wynikały one z ich wspólnych potrzeb. Największą wagę przywiązywano do ogólnej poprawy warunków, walczono między innymi o prawo do organizowania wolnych związków zawodowych, o wyższe płace.

Niestety, jak już sytuacja poprawiła się, nastał stan wojenny. Wspominam ten czas jako bardzo ponury, smutny. Sam jednak nie udzielałem się w tym czasie, dlatego też uniknąłem internowania. Miałem dostęp do informacji, które docierały za pomocą prasy, ulotek. Niestety, były złej jakości, większość materiałów robiono na powielaczach.

Pamiętam, że jednego z kolegów z biura konstrukcyjnego stoczni zamknięto w więzieniu. Wówczas wraz z innymi kolegami zbieraliśmy pieniądze na jego wykup, ale akurat zbiegło się to w czasie z nastaniem amnestii i więźnia zwolniono.

Druga sytuacja z tamtego okresu, która utkwiła mi w pamięci, dotyczyła Andrzeja Kozickiego. Został on internowany. Niedługo potem zachorował i przewieziono go do szpitala w Wejherowie. Gdy wieść o tym rozeszła się, wraz z kolegami pojechaliśmy odwiedzić Andrzeja. Na szczęście straż dała nam swobodę, więc mogliśmy go odwiedzić i zanieść mu jedzenie.

Obecnie jestem emerytem. Dorabiam sobie do emerytury, gdyż tej wystarcza tylko na część wydatków. Czasy strajku i solidarności wspominam jako bardzo emocjonujące, pełne nadziei, ale też strachu i niepewności dnia jutrzejszego.



Jerzy Lekner — ur. 23 września 1942 roku w Wejherowie. Wierzący. Ukończył szkołę zawodową w 1957 r. i podjął pracę w Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni na wydziale budowy kadłubów. W 1963 r. powołany do odbycia służby wojskowej. Po powrocie z wojska zatrudniony na wydziale maszynowym na stanowisku montera maszyn i urządzeń okrętowych, początkowo jako brygadzista, później jako mistrz. Ożenił się w 1969 roku, troje dzieci. Członek ZMS i Ligi Polskich Rodzin. Uczestniczył w strajku sierpniowym 1980 r. w stoczni gdyńskiej. Zapisał się do związku zawodowego Solidarność. Obecnie na emeryturze.

Pochodzę z Kaszub. Rodzina dystansowała się od partii lewicowych, ani ojciec, ani ja nie mieliśmy skłonności, żeby wstąpić do PZPR. Jak byłem młodszy, to należałem do ZMS, a później wstąpiłem do Ligi Polskich Rodzin, obecnie już nigdzie nie należę. Jestem po szkole zawodowej. Ożeniłem się w 1969 r., pierwsze dziecko się urodziło się 1969 r., potem rok po roku 2 kolejne: Janusz, Iwona, Mirosław. Mieszkałem początkowo z rodziną w Wejherowie, około 1967 r. dostałem mieszkanie spółdzielcze, a w 1980 r. mieszkałem już na swoim.

Byłem i jestem osobą wierzącą, a Kościół w moim życiu odgrywa bardzo ważną rolę. Jeśli chodzi o politykę, brałem udział w wyborach, ale słuchałem też Wolnej Europy, z prasą podziemną niestety nie miałem kontaktu.

Kończyłem w 1957 r. szkołę przyzakładową, czas nauki wliczał się do stażu pracy, nie mieliśmy wakacji, mieliśmy tylko dwa tygodnie urlopu. Od 1957 pracowałem więc w Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni. Początkowo pracowałem na wydziale budowy kadłubów do 1963 r., stąd powołano mnie do wojska na dwa lata, po powrocie zatrudniono na wydziale maszynowym (W-1) na stanowisku montera maszyn i urządzeń okrętowych. Zostałem tam brygadzistą, później awansowałem nawet na mistrza, ale zrezygnowałem. Jeśli chodzi o zarobki w tamtym czasie, jak się pracowało w nadgodzinach, to wypłata z tymi nadgodzinami jakoś wystarczała. Początkowo sam pracowałem, ale gdy wprowadzono system kartkowy, to moja żona również przyszła do pracy. Mimo wszystko musiałem być zadowolony ze swojego miejsca pracy. Ze znajomymi z pracy mam raczej słabiutki kontakt. Nie przypominam sobie, aby w moim otoczeniu funkcjonowały jakieś struktury opozycyjne.

Kiedy wprowadzano podwyżki, to było jak trzęsienie ziemi. Nas, Polaków nie było stać na wiele podstawowych dóbr, każdy grosz się szanowało. Wielkim szacunkiem obdarzałem Wałęsę w 1980 r., ale później zmieniłem zdanie. Dążyliśmy do tego, by w Polsce nastąpiły zmiany, ale za rządu Wałęsy doszło do pierwszych prywatyzacji. Wtedy też doszło do upadłości wielu zakładów, które po II wojnie światowej były odbudowywane przez wiele lat.

Popierałem strajk sierpniowy 80 roku. By nie doszło do tego, co rząd chciał zrobić, mieliśmy nadzieję, że zostaną wywalczone nasze postulaty. Pierwszego dnia o 8 rano już były masówki koło wydziałów kadłubowych i zaczął się strajk okupacyjny. Trwał następne 15 dni, nocowaliśmy w zakładzie pracy. Jeśli chodzi o przywódców strajku i ludzi najbardziej zaangażowanych w pierwszych dniach, to pamiętam jedynie nazwisko Andrzeja Kołodzieja, innych nie mogę sobie przypomnieć. Oczywiście, od razu chciałem się dołączyć do strajku, tylko ciągle żyliśmy w strachu. Mówiono, że mogą nas zaatakować od strony kanału, bo po drugiej stronie była marynarka wojenna. Mieliśmy warty nocne. Ci, co w ruchu ciągłym pracowali, musieli swe obowiązki pełnić. Nie było ludzi przeciwnych strajkowi, obawialiśmy się, że może się powtórzyć rok 1970 i nas zaatakują.

Rodzina pojawiła się po paru dniach (wtedy nie było telefonów komórkowych, a stacjonarne były kontrolowane). Dopiero jak pocztą pantoflową się to rozniosło, odwiedzała mnie

pod bramą, więc miałem z nimi kontakt. Rodzina życzyła mi, żeby się to udało, mieliśmy nadzieję, że będzie nam lepiej. Potem była cała Polska objęta tym strajkiem.

Uważam, że strajk był dość dobrze zorganizowany, ktoś musiał dostarczać towar, dzięki temu mieliśmy zapewnione posiłki. Tego musiało być sporo, w naszej stoczni było około 10 000 pracowników. Nasze zadania to przede wszystkim dyżury. Niektórzy koledzy szli na wartę przy bramach. Były dwie — jedna od ul. Czechosłowackiej, druga od ul. Energetyków. Utrzymywaliśmy łączność ze stocznią gdańską w sprawach postulatów, ja nie brałem udziału w tych posiedzeniach, bo inne osoby się tym zajmowały. Były umówione godziny, w czasie których spotykaliśmy się pod bramą, aby wysłuchać komunikatów i przemówień.

W czasie wolnym na scenie przygotowanej z przyczepy występowała orkiestra zakładowa (grali również w czasie mszy św.). Słońce czasami mocno parzyło, ale i tak wszyscy siedzieliśmy w tym słońcu. Później informacje związane ze strajkiem (o postępie negocjacji itp.), były w większości podawane przez radiowęzeł, ale najwięcej na zbiórkach przy bramie.

Początkowo nie było dostępu do naszej drukarni, była zablokowana. Wielkie znaczenie miały msze święte, można się było wyspowiadać, a w trudnych sytuacjach udzielano ogólnego rozgrzeszenia.

Moment podpisania Porozumień sierpniowych przyjęliśmy z radością. Byliśmy zadowoleni, przyszła ulga, że w końcu do nich doszło. Chyba wszystkich to dotyczyło, bo nawet sekretarz PZPR Fiszbach bywał w kościele podczas mszy świętych w rocznicę podpisania porozumień.

Do związku zawodowego Solidarność przystąpiłem od razu, jak się można było zapisywać. Uważam, że wtedy prawie 80% załogi się zapisało. Później na pierwszym zjeździe okazało się, że zapisało się mnóstwo ludzi partyjnych. Nastawienie dyrekcji do związku było dość negatywne, bo to byli w większości ludzie partyjni, ale było parę osób nam przychylnych. Po tym strajku zmiany w zakładzie pracy może nie były widoczne. Były jednak działania, aby Solidarność jak najszybciej stłumić, a robili to głównie ludzie partyjni.

Po wprowadzeniu stanu wojennego przeżyliśmy wielki szok. Chcieliśmy początkowo się bronić, ale jak w stoczni gdańskiej rozwalili bramę, to trochę się wystraszyliśmy. Na bronienie się nie chciałem się zgodzić. Straszono nas, że ZSRR zrobi to samo, co w Czechosłowacji. Wcześniej były wydarzenia w Poznaniu w 1956 r., wypadki Grudnia 70 na Wybrzeżu, próbowano nas zastraszyć. Wycofałem się wtedy z działalności związkowej. Do obrad „okrągłego stołu" (lata 1983–1989) cały czas pracowałem na jednym stanowisku. Do dzisiaj nam nie ujawniono, jak doszło do porozumień „okrągłego stołu". Byli przy tym ludzie Solidarności i członkowie PZPR. Uważam, że ten „okrągły stół" był jak gra w pokera „my wam damy coś, a wy coś", dlatego nie doszło do dekomunizacji kraju.

Obecnie jestem emerytem (żona już też). Emerytura nie jest zbyt duża. Dzieci się usamodzielniły, jeszcze są w Polsce, na szczęście nie wyjechali jeszcze za granicę.

Sukcesu po sierpniu 80 roku zbytnio nie widzę. Myśmy marzyli, by te 21 postulatów było zrealizowanych, a obecnie zarabiamy 1/5 tego co na Zachodzie, a u nas nie można dobrze żyć, obecnie nie dba się o polską rodzinę. Z tych postulatów, o które walczyliśmy, to myślę, że 3/4 przeszło, ale nie wszystko się udało zrobić. Było to wszystko bardzo piękne, tylko że rządy Wałęsy to wszystko przewróciły do góry nogami. Nie ma już tej mobilizacji, co w sierpniu 1980 r. Zresztą nie ma już dużych zakładów, a nawet jak są, to i tak nie wszyscy pracownicy są w Solidarności, a nieraz nawet nie chcą płacić składek.

„Okrągły stół" według mnie był największą porażką Solidarności, bo powinniśmy wiedzieć dokładnie, jakie były ustalenia. Uważam, że Wałęsa też nas zdradził, był według mnie podstawiony z dwóch stron.

Moim autorytetem obecnie jest prezydent elekt pan Andrzej Duda i w nim nadzieja. Liczę też na jesienne wybory do parlamentu, oby PO nie miało większości.


STOJ
KONTROLA

Stanisław Macholl — ur. 18 października 1947 r. w Gdyni, rdzenny Kaszub, mieszka w Gdyni od urodzenia. Wierzący, praktykujący. Żonaty, jedno dziecko. Wykształcenie średnie poligraficzne. Świadek wydarzeń grudniowych 1970 roku w Gdańsku. Pracował w drukarni akcydensowej w Gdyni, w Muzeum Stutthof, w dyrekcji Kolei Państwowych (od 1974 do 1976), a następnie w Urzędzie Miasta Gdyni od 1976 r. i wtedy należał do Związku Młodzieży Socjalistycznej. Od 1978 roku zatrudniony w Radmorze. W latach 1992–1995 prowadził własną działalność gospodarczą. Uczestnik strajku sierpniowego 1980 roku. Od 1980 r. członek NSZZ „Solidarność". Obecnie na emeryturze.

Pochodzę z rodziny rolniczo-robotniczej, pamiętam od dziecka zniszczenia powojenne w Gdańsku, Gdynia nie była aż tak zniszczona. Moi rodzice po przeżyciu wojny nie byli dobrze nastawieni do tego, co działo się po wyzwoleniu, uważaliśmy, że po 1945 r. wprowadzono sowietyzację, byliśmy zniewoleni. Ojciec mój, Feliks Macholl, był na to bardzo zły, był przecież żołnierzem Gryfa Kaszubskiego, który później nazywał się Gryfem Pomorskim.

W sierpniu 1980 r. byłem już żonaty, wynajmowaliśmy mieszkanie, miałem syna, który urodził się w 1969 r. Muszę podkreślić, że moja rodzina jest bardzo wierząca, jesteśmy rodziną katolicką i kościół odgrywa bardzo dużą rolę w sferach duchowych oraz uczy patriotyzmu, podobnie jak przed wojną. Naszym autorytetem życiowym był papież Jan Paweł II. Miałem wtedy wykształcenie zawodowe, teraz mam średnie poligraficzne. Od początku pracy zawodowej, działałem w Związkach Zawodowych, ale nie należałem do żadnych organizacji politycznych. Pracowałem w drukarni w dyrekcji Kolei Państwowych (od 1974 do 1976), a następnie w Urzędzie Miasta Gdyni od 1976 r. i wtedy należałem Związku Młodzieży Socjalistycznej, ale tylko po to, aby wyciągnąć pieniądze na wycieczki. Rzeczywistość w tym czasie, według mnie, była przygnębiająca i taka szara, nie było nic. Jako pracownik poligrafii, dobrze zarabiałem, ale szedłem do sklepu i nie mogłem kupić tego, co chciałem. Reżim potrafił gospodarczo umęczyć, żyło się jak w klatce. Robiłem wszystko, by zmienić sytuację w kraju, poczynając od swojego podwórka, bo wierzyłem w zmiany. Raz tylko brałem udział w wyborach w 1967 lub 1968 r., ale tylko z ciekawości, dostałem za to burę od ojca. W domu była taka tradycja, że wieczorami słuchaliśmy Radia Wolna Europa. Chciałbym jeszcze powiedzieć, że w styczniu 1970 r. siedziałem na SB przez 2 dni, chyba za wiersze polityczne. W grudniu 70 byłem w Gdańsku i brałem udział w zajściach, widziałem, co się działo.

W roku 1970 pracowałem w Muzeum Stutthof (ok. 50 osób), wcześniej pracowałem w Drukarni Akcydensowej Gdynia, gdzie było około 200–300 osób, od 1976 do 1978 r. pracowałem w Urzędzie Miasta Gdyni jako poligraf, w 1978 r., chyba w kwietniu, przeszedłem do firmy Radmor (od 1992 lub 1993 do 1995 r. miałem jeszcze swoją działalność gospodarczą). Radmor był przedsiębiorstwem, które robiło produkcję dla wojska i wyposażenie na statki — produkcja morska. W sprzęt zaopatrywaliśmy nie tylko statki, ale też milicję, straż pożarną czy teletaxi. W Radmorze pracowało około 2000 osób, generalnie produkcja szła na rynek polski, ale radary montowane na budowanych u nas statkach szły też w świat. Byłem tam kierowcą zaopatrzeniowcem. Pracowałem sam i przed strajkiem nie awansowałem, proponowali mi koledzy, żebym przeszedł do innych działów, ale kierownik nie chciał mnie puścić, byłem koleżeński, zawsze pomagałem i mogłem wiele załatwić. Byłem zadowolony z pracy, zarobki miałem dobre, jeżeli normalna płaca wynosiła 4 miliony, ja zarabiałem około 12 milionów, rodzina nie musiała nam pomagać.

Miałem też kontakt z KOR-em, który działał na terenie naszego załadu, mój kolega, Antoni Meyer z firmy „Radmor" mówił, że też należy (lub działa) na rzecz KOR-u, czasami i ja rozwoziłem jakieś ulotki.

Przed wydarzeniami Sierpnia 80 byliśmy zniesmaczeni działaniami władzy, ludzie byli źli i nerwowi po wprowadzeniu podwyżek. W sierpniu 1980 r. (chyba 7 sierpnia) byłem już na Stoczni Gdańskiej. Strajk w moim zakładzie zaczął się od zebrania na rampie. Słyszeliśmy o strajku, przyszli przedstawiciele starych związków zawodowych i partii, myśmy chcieli zawiązać komitet strajkowy, a oni grozili, że może się to źle skończyć. Mietek Walczak ze związków również odradzał nam strajk. Po 40 min. wszyscy się rozeszli, oburzenie jednak w ludziach pozostało, ale i tak dwa lub trzy dni później cały zakład stanął. Rozmowy były na rampie i informowano o wszystkim, przywoziliśmy ulotki ze Stoczni im. Lenina. Zrozumiałem, że wreszcie coś się dzieje, wiedziałem, że nie możemy się cofnąć. W razie porażki groziło nam więzienie, ludzie się bali, nie wiedzieli, co zrobi władza. Bano się interwencji żołnierzy, władzy sowieckiej, rozlewu krwi oraz tajnych aresztowań przez ubecję. Były takie osoby, której bały się uczestnictwa w strajku.

Włączenie się do strajku to była moja osobista decyzja. Poza partyjnymi nie spotkałem się z wrogością, nie dyskutowaliśmy z niechętnymi. Bano się utraty pracy, to był zakład wojskowy, zaczęły pojawiać się lojalki. Jedną podpisałem, dlatego że dotyczyło tajemnicy zakładu, drugiej nie podpisałem, bo dotyczyła lojalności wobec zakładu, nieangażowania się w strajk. Za nawoływania do strajku grożono zwolnieniem. Moja mama mówiła: „Uważajcie na siebie, ale wytrwajcie (byłem z bratem)", dawała jedzenie. Mój brat był w komitecie strajkowym w Porcie, a ja miałem samochód i jeździłem po zakładach i informowałem Wałęsę o sytuacji w nich. Zresztą Lech Wałęsa, Andrzej Gwiazda i Anna Walentynowicz, z którymi zetknąłem się w Stoczni, to byli moi idole i autorytety. Ja obsługiwałem komitet strajkowy, informowałem ludzi w Radmorze, co dzieje się w Stoczni i na odwrót, wiedziałem o sytuacji strajkowej, zatrzymaniach, miałem za zadanie informowanie o tym innych strajkujących. Początkowo były prowadzone rozmowy z dyrekcją, ale później odsunięto ich od postulatów i całego strajku, rządził Komitet Strajkowy, a dyrekcja nie miała wpływu na sytuację w zakładzie. Relacje wśród załogi podczas strajku były pozytywne, kierownictwo było bardzo przyjazne wobec pracowników, nawet niektórzy z partyjnych. Oczekiwano zmian.

Organizację strajku i jego przywódców oceniałem dobrze, miałem do nich zaufanie, często działali wcześniej i wiedzieli, jak to robić. Zakłady pracy zgłaszały postulaty, które MKS zbierał i formułował odpowiednio, dotyczyły one przede wszystkim wolnych związków zawodowych. W Stoczni cały czas przez mikrofon podawano różne informacje, były msze św. oraz różaniec. W Radmorze pamiętam życzliwość, ciekawość. Na terenie Radmoru posiłek organizował każdy sam sobie, u nas był strajk włoski, czyli protest trwał za dnia, a popołudniu szliśmy do domu, zostawały patrole strajkowe. Masarnie, piekarnie i inne firmy przywoziły żywność do stoczni. Ja też często przywoziłem. Kobiety i mężczyźni robili kanapki i można się było częstować.

Dwa wydarzenia utkwiło mi pamięci, zatrzymanie samochodu ludzi z polską flagą, zatrzymała ich milicja i legitymowała. Pamiętam również spontaniczność w MKS-ie, że jest nas dużo, jesteśmy w grupie silni. Bardzo dobrze pamiętam Gwiazdę, Walentynowicz, Wałęsę, Krzywonos, Lisa. Nie przypominam sobie Borusewicza, nazwisk innych ludzi nie pamiętam. W czasie wolnym piło się kawę, herbatę, spacerowało się po terenie Stoczni. Spotykało się w grupach i dyskutowano, nie grało się w karty, każdy musiał być czujny. Kiedy przy negocjacjach był minister/pełnomocnik Jagielski, to byłem świadkiem dyskusji. Były odblokowane media i informowano w Gdańsku o postępach. Milicja w czasie strajku kontrolowała mnie parę razy, co kilka kilometrów była kontrola.

Moment podpisania Porozumień sierpniowych to była euforia, wygranie Polski w meczu piłkarskim, strzelenie gola. Pojechałem do brata, aby go poinformować, dostałem koperty ze stemplami. Gdzieś 2 dni później w domu przy mamie relacjonowaliśmy, co się działo. Rodzina, mama i rodzeństwo, bali się o mnie i o brata. Znajomi dopiero po strajkach zaczęli się wypowiadać na ten temat. Kiedy byłem w Koninie, to im opowiadałem, jak to było na Wybrzeżu.

Do Solidarności przystąpiłem we wrześniu 1980 r., myślę, że 95% złogi też przystąpiło, bo i pezetpeerowcy, którzy porzucali legitymacje partyjne, również przystąpili. Nie pełniłem żadnych ważnych funkcji, początkową działalność Solidarności była prężna i dobra, tego ludzie oczekiwali.

Ogólnie nastawienie kierownictwa zakładu do Solidarności było negatywne, choć nie wszyscy kierownicy wchodzili w drogę Solidarności. Wiem, że było parę osób, które odeszły. Dyrekcja dawała do zrozumienia, że te osoby muszą odejść. Ale nie wiem, czy to było związane ze strajkiem czy z Solidarnością. Było uprzedzenie do Solidarności. Zdawali sobie sprawę, że jak Solidarność się wzmocni, to oni wylecą. Członkowie PZPR dawali do zrozumienia, aby każdy zastanowił się, czy chce wstąpić do Solidarności. Inni patrzyli przez palce, ale nie przeszkadzali.

Największym osiągnięciem „S" było to, że mogliśmy mówić prawdę. Mogliśmy mówić wprost kierownictwu, jeśli coś nie grało. Była swoboda porozumiewania się, minęło niebezpieczeństwo zwalniania ludzi, nie zastraszano już ich. Byłem przekonany, że będzie lepiej i to, co zniknęło, już nie wróci. Niestety wróciło.

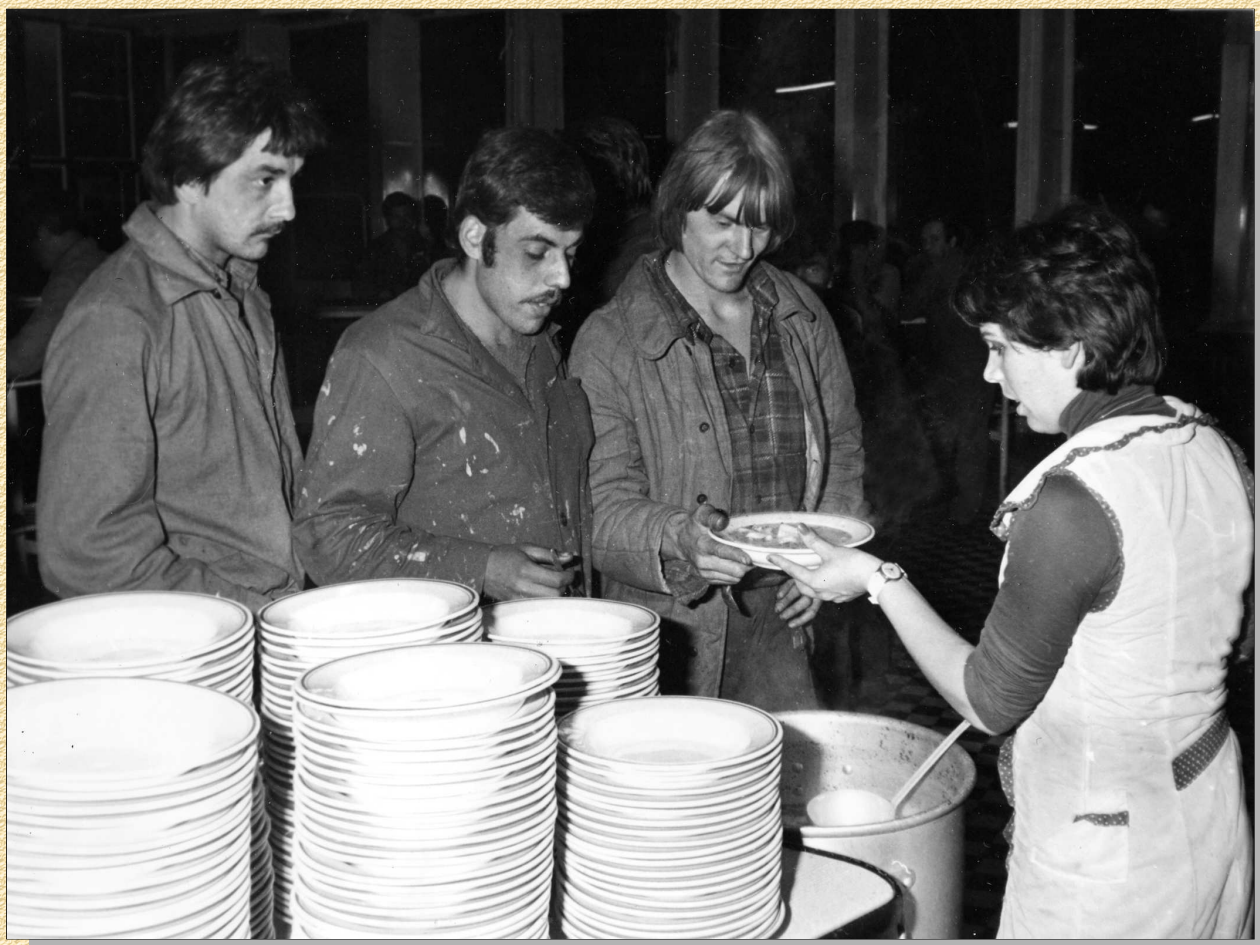
O stanie wojennym dowiedziałem się rano z telewizji. Ale w nocy widziałem masę milicji, jak jechałem samochodem. To było po 24.00, gdy wracaliśmy od kolegi, naprawialiśmy u niego telewizor. Gdyby mieli te informacje, to byłbym aresztowany. Rano zapukała straż zakładowa i zabrali mnie do Radmoru. Zawiadomiłem rodzinę, nie wiedziałem, co będzie. Kiedy wszedłem do zakładu, zobaczyłem jakiś pułkowników. Usłyszałem, że mam przydział do wojska i jestem dyżurnym kierowcą, który ma obsługiwać grupę ludzi. Musiałem mieć przepustkę, aby móc samochodem poruszać się po mieście, bo byłem po cywilnemu. Miałem kontakt ze zwykłymi żołnierzami, mogłem uzyskać od nich informacje o zagrożonych miejscach w Gdyni, co pozwoliło mi informować o tym ludzi z Solidarności. Nie wiedziałem, po co jest ten stan wojenny. Od brata dowiedziałem się o zebraniach związków zawodowych, a stan wojenny ma na celu zniszczenie Solidarności. Wtedy w narodzie zrodziła się nienawiść do rządzących.

Trochę angażowałem się w działania związku, między innymi pojechałem do żony Romana Knopa, który był internowany, zrobiliśmy zrzutkę i daliśmy jej pieniądze, początkowo nie chciała ich przyjąć. Miałem też kontakt z kolegami z Solidarności i informowałem o zagrożonych miejscach w mieście. Głównie chodziło o kolegów z Radmoru. Moim głównym celem było usamodzielnienie się, co w końcu się urzeczywistniło. Wtedy też podjąłem pracę na Ośrodku Wczasowym Radmor, gdzie pracowałem od 1979 do 1990/91. Po zniesieniu stanu wojennego nadal pracowałem w Radmorze jako zaopatrzeniowiec, popierałem strajk w 1988 r., bo mój syn — Ireneusz — strajkował, ale nie wiedziałem, o co chodziło. Cały czas byłem związany z ruchem związkowym, przegadaliśmy wiele godzin, byłem nastawiony na solidarność względem drugiej osoby.

Nie za bardzo popieram „okrągły stół". Dobrze się stało, że rozmawiano, ale nie wiadomo o czym. Poszli na układy — to dało mi do myślenia, pozostał niesmak. Obecnie jestem na emeryturze, otrzymuję 1700 zł netto, mam mieszkanie i samochód, kupiłem ziemię i postawiłem dom, żyję spokojnie. Najważniejsze, że mam zdrowie i to jest mój sukces, radzę sobie w życiu i nie narzekam.

Dzisiaj najważniejsze, żeby był spokój, żeby ludzie się szanowali, pomagali sobie i mieli odrobinę człowieczeństwa. Bardzo dobrze wspominam zryw sierpniowy w 1980 r., to był wielki, znaczący symbol wolności, dał szansę godnego życia, bylibyśmy zsowietyzowanym, ubogim narodem, gdyby nie Solidarność. Choć jestem trochę rozczarowany, że nie wszystko się udało. Solidarność dała mi wolność, swobody i możliwość samorozwoju. Umożliwiła mi różnymi drogami dojście do lepszego życia. Teraz nie ma się czym chwalić, bo cała Solidarność, która się za takową uważa, poszła na układy i sprzeniewierzyła się dla pieniędzy. Nie było prawdziwej dekomunizacji, zrobiły się grupy kolesiowskie, wspierały się i nie przeszkadzały sobie. Uważam, że od kierowników do centrali powinno być to towarzystwo wyrzucone. Ale jestem dumny z okresu do 1990 r. Dzisiaj przystąpiłbym ponownie do takiego strajku, bo chciałbym obecną władzę wywalić na zbity pysk!

Obecnie żyje się łatwiej tym, którzy mają pracę. Ludzie bez pracy są sponiewierani, śmieszne zarobki. Są plusy, ale dostrzegam też wiele minusów. Dzisiaj moje postulaty to: poprawa bytu, pełna niepodległość, stworzenie warunków do pracy. Zdecydowałbym się o to walczyć, ale nie z tymi ludźmi — musiałaby nastąpić zmiana pokolenia. To musiałby być strajk generalny aż do skutku, bo inaczej będzie to samo.



Alicja Malczewska-Mosek — ur. 22 lutego 1933 r. w Tarnogórze (woj. lubelskie). Wyznanie rzymskokatolickie, praktykująca. Wykształcenie wyższe pedagogiczne. W Gdyni mieszka od 1957 r. Przez 18 lat pracowała w Szkole Podstawowej nr 17, a od 1975 r. w Zespole Szkół Budownictwa Okrętowego. Mąż był nauczycielem, później marynarzem. Dwóch synów, obaj ukończyli Wyższą Szkołę Morską. Członek ZNP do 1980 r. Przewodnicząca Komisji Zakładowej. Później członek Międzyzakładowej Komisji Oświaty. Na emeryturze od 1986 r. Przewodnicząca Koła Emerytów związku Solidarność.

Ojciec prowadził paramilitarną organizację młodzieżową Krakusów. Rozstrzelany w ramach akcji AB w 1940 r. w Kumowej Dolinie pod Chełmem.

Do Gdyni przyjechałam w 1957 r. na wakacje do przyjaciół rodziny. Miałam wykształcenie wyższe pedagogiczne. Zdecydowałam się tu zostać, ponieważ załatwili mi pracę w Szkole Podstawowej nr 17 przy Szkole Morskiej. Pracowałam tam 18 lat. W 1975 r. przeniosłam się do Zespołu Szkół Budownictwa Okrętowego i pracowałam tam do emerytury, czyli do 1986 r.

Zamężna. Mąż był nauczycielem, a później marynarzem. Dwóch synów, studenci Wyższej Szkoły Morskiej. Artur skończył w 1985 r., Mirek w 1988 r.

Należałam do Związku Nauczycielstwa Polskiego. Po 1980 wypisałam się. Zdecydowanie negatywnie oceniałam rzeczywistość przed strajkiem 1980 r. . Mąż słuchał RWE, to ja też. Czytałam i kolportowałam przywożone przez męża książki w stylu „Inny Świat", „Archipelag Gułag", „Zaproszenie do Moskwy" itp. Docierała do mnie również prasa podziemna ze stoczni gdańskiej, opozycjonistów nie poznałam.

Gdy w 1980 roku ogłoszono wprowadzenie podwyżek, byłam oburzona i zdenerwowana, zwłaszcza że nauczyciele niewiele zarabiali. Zdecydowanie mniej, niż robotnicy. Ale nauczyciele nie mieli siły przebicia.

W tamtym czasie moimi autorytetami byli nauczyciele szkoły morskiej: Mieczysław Jurewicz, Maksymilian Bureta — przedwojenne, gruntowe wykształcenie, historyk Tadeusz Kucharski — podrzucał nam książki, papież Jan Paweł II.

Kiedy wybuchły strajki, byłam przerażona, bo miałam w tyle głowy rok 1970. Nie wszyscy nauczyciele popierali strajk. Pamiętam jednego, który demonstracyjnie czytał np. „Żołnierza Wolności".

Byłam przewodniczącą Komisji Zakładowej do jesieni 1980 r. Później członkiem Międzyzakładowej Komisji Oświaty. Przewodniczącą była Eryka Staniszewska.

Początkową działalność Solidarności pamiętam jako ruch ludzi pełnych zapału, gotowych do dużych poświęceń. Nikt nie wierzył w sukces, ale co było możliwe, to się robiło. Generalnie oceniam bardzo pozytywnie. Chęć do pracy bez perspektyw.

W moim zakładzie pracy do Solidarności przystąpiło ok. 80%. Dyrektor pedagogiczna, z-ca dyrektora, Bogumiła Strumiła,przystąpiła do Solidarności. Główny dyrektor, Lenckowski, nie przystąpił, ale sprzyjał.

Największym sukcesem Solidarności było to, że mogliśmy się policzyć. Ile jest „nas", myślących podobnie.

Mieliśmy walkie-talkie, bo mąż przywiózł dla synów. Władze o tym wiedziały, bo taki sprzęt musiał być rejestrowany. Kilka dni przed 13 grudnia dostałam telefon, że mam przynieść walkie-talkie na komendę, ale były już rozmontowane, zniszczone przez synów. Byłam przekonana, że założyli mi podsłuch w telefonie.

O stanie wojennym dowiedziałam się od znajomego, który przyszedł do naszego mieszkania.

Pierwsze spotkanie MKZ odbyło się w jej mieszkaniu przy ul. Starogardzkiej, kilka dni po wprowadzeniu stanu wojennego. Zdecydowaliśmy, że każdy działa na własną rękę

— priorytetem jest pomoc aresztowanym (co kto potrzebuje). Zbierałam produkty żywnościowe, a jak ktoś miał to też pieniądze, i przekazywałam Eryce Staniszewskiej. Eryka zanosiła do księdza z kościoła pw. św. Wawrzyńca, a ten dostarczał do p. Bronisława Sarzyńskiego. U Sarzyńskiego ukrywali się Bogdan Borusewicz i Alina Pieńkowska. Trwało to kilka miesięcy. Eryka wyjechała do USA do pracy i struktura się rozpadła.

Najważniejszym było w tym czasie przetrwać i pomóc innym w miarę możliwości. Nikt nie liczył, że coś się zmieni na lepsze. W tym czasie starszy syn się żenił, więc musiałam się też zająć organizacją wesela.

Potem byłam ciężko chora i wycofałam się z wszelkiej działalności.

Zapisałam się do Solidarności jako emerytka. Byłam przewodniczącą koła emerytów.

Największym sukcesem zawodowym było to, że pracując mogłam również poświęcać się społecznie, bezinteresownie. Spełniłam swoją powinność. Cieszyłam się szacunkiem koleżanek, uczniów.

Obecnie cenię niektórych dziennikarzy — Jacka Żakowskiego, Dominikę Wielowieyską, Janinę Paradowską.

Sierpniowy zryw w 1980 był rzeczą niebywałą, doprowadził do zmiany systemu. Cieszę się, że Polska się tak zmieniła.

Moim zdaniem największym błędem Solidarności było to, że środowisko jest podzielone. Że Wałęsa wystartował na prezydenta, zamiast zostać w związku. Bracia Kaczyńscy, obraziwszy się na Wałęsę, zaczęli pogłębiać podziały.

Obecnie bolączką jest bezrobocie. Świadomość młodych ludzi — żeby byli bardziej mobilni. Padło szkolnictwo zawodowe. Trzeba zmienić system oświaty. Należy umożliwić działanie ludziom przygotowanym do innowacji, z pomysłami, wprowadzenie takich ludzi do polityki.



Ryszard Mańkowski — ur. 17 sierpnia 1954 r. w Gdyni. Ukończył Zasadniczą Szkołę Zawodową, później po podjęciu pracy zapisał się do Technikum Budowy Okrętów dla Pracujących. Zdobył wykształcenie technika mechanika. Żonaty, jeden syn. Uczestnik strajku sierpniowego w Stoczni im. Komuny Paryskiej. Członek Solidarności. Pływał dwa lata na kontraktach. Obecnie na emeryturze.

Ojciec był zmuszony do służby w Wehrmachcie mając 19 lat. On był 1920 rocznik. Jego matka była Niemką. Marta Fridemann wyszła za mąż za dziadka wbrew woli rodziców swoich. Szybko zmarła. Dziadek się ożenił drugi raz. Ojciec był w Wehrmachcie razem ze swoimi braćmi. Dwóch z ich zginęło w czasie wojny w czołgu. Ojciec miał na imię Gerhard. Chciał to zataić i przedstawiał się Gerard. To był temat tabu w domu. Ojciec poddał się do niewoli do aliantów i służył w armii Andersa. Nie wiem, dokąd przeszedł. Jak się skończyła wojna, to znalazł się w Anglii. Dostał propozycję, by tam zostać. Mógł też wyjechać do Kanady. Z tego skorzystał mamy brat, pojechał do Ottawy.

Ojciec wrócił w 1947 r. Dostał pracę z wielkimi trudnościami w Zarządzie Portu Gdynia. Tam w początkowej fazie pracował jako pracownik fizyczny, potem był brygadzistą. Był niezwykle sumienny. Nas było 4 dzieci. Dwóch chłopców i dwie dziewczyny. Matka nie pracowała. Ojciec tam na okrągło w tym porcie. W soboty, niedziele.

W domu była bieda. Nikt nie miał żadnego wspomagania. Pamiętam, nie zapomnę tego, to były lata 60-te. Ojciec otrzymał propozycję awansu — miał zostać starszym brygadzistą. Warunkiem było zapisanie się do partii. Mamy się pytał, co robić. Ojciec się nie zgodził. Nie przyjął tej propozycji. Pracował do końca, do emerytury jako brygadzista. Nie pełnił żadnej kierowniczej funkcji, bo nie był w partii.

Ojciec nie za bardzo o tym mówił, o wojnie. Bał się, że może miałby jakieś represje. Zniszczył dokumenty — to były zdjęcia z Wehrmachtu, z kolegami. Później zdjęcia w mundurze aliantów. Niemcy o swoich nie zapomnieli.

Byłem żonaty. Ożeniłem się w 1978 r. Nie, dzieci jeszcze nie było. Na świat przyszło pierwsze dziecko — Leszek w 1981 r. Mieszkałem u rodziców, w domu, który ojciec wybudował. Na strychu, przy pomocy ojca zrobiłem sobie mieszkanie — kuchenka mała, pokój, łazienka. Przez 12 lat tam mieszkałem. Rodzice stawiali na mnie, że ja mam w tym domu zostać, a nas była czwórka.

Mój brat pracował w kombinacie budowlanym i miał propozycję budowy — w latach 80-tych. Była taka akcja dla młodych — budowy domów szeregowych. On dla siebie nie mógł, bo miał mieszkanie spółdzielcze. Brat wytypował mnie. Miałem okazję, państwo dawało 1,5 mln pożyczki na niskim procencie. Trzeba było mieć rodzinę i ciężkie warunki oraz książeczkę mieszkaniową. Ja to miałem. Pracowałem w stoczni na produkcji, to zarabiałem dobrze. Miałem co najmniej 50 nadgodzin miesięcznie. Był też taki okres, że jak terminy goniły, to miałem około 150–160 nadgodzin. Takie dwa miesiące były. Zostałem z rodzicami, matka chciała, bym został z nimi. Zrezygnowałem z budowy. Do dzisiaj nie mogę sobie tego darować. Wszyscy byli zdziwieni, że odmówiłem — koledzy ze stoczni. Tam się byle kto nie dostał — ja nie byłem ani w partii ani w ZMP.

Skończyłem Zasadniczą Szkołę Budowy Okrętów. Poszedłem do pracy. Pracując z marszu poszedłem po zakończeniu zawodówki do Technikum Budowy Okrętów dla pracujących. Pracowałem, a wieczorem się uczyłem. Trzy lata to trwało. Skończyłem to technikum — jako technik mechanik. Pozwoliło to dostać o grupę więcej. Nigdy nie zajmowałem kierowniczych stanowisk, nie dążyłem do tego. Może też nie miałem predyspozycji.

W 1980 r. małżonka też pracowała. Do czasu, aż Leszek się urodził. On się urodził 28 stycznia 1981. Żona pracowała w zakładach mięsnych w Gdyni, w rzeźni. Pracowała w biurze, bo była po liceum ekonomicznym.

Nie należałem do żadnych organizacji. Jedynie do Solidarności się zapisałem. To była nadzieja — Solidarność — taki żywioł. Nadzieja na zmianę. Bez hamulców zostałem, jak strajki wybuchły. Człowiek został w pracy z dnia na dzień. Andrzej Kołodziej to zorganizował. Trzeba to przyznać. To był odważny człowiek. Miał charyzmę, pociągnął ludzi. Ludzie byli niezadowoleni. Każdy chciał zmian — człowiek już słyszał — Zachód to, Zachód tamto. Co niektórzy wyjeżdżali już za granicę.

Było to przeżycie. Przede wszystkim pierwsza msza święta. Przeżywałem tę mszę. Jestem praktykującym katolikiem. W domu otrzymałem wychowanie katolickie. Przykład od rodziców szedł, by się szło do kościoła. Wierzę w Boga i mu ufam. To było naprawdę przeżycie ta msza święta.

Na wózku Andrzej Kołodziej. Ja byłem szeregowy. Był entuzjazm, ludzie byli zaangażowani. Kołodziej potrafił przemawiać. Jak strajki miały się skończyć — euforia Kołodzieja — jak prosił, by się nie rozchodzić do domów — poszła informacja, że stocznia gdańska się poddała. Zostałem wtedy. On tak prosił, by zostać, by nie się rozchodzić, bo przegramy. Zostałem.

Jak władze się zawiązały — też się angażował Andrzej Kozicki — sprawiał wrażenie rozsądnego człowieka. Miałem takie mniemanie, że będzie moje interesy dobrze reprezentował. Zostałem do końca, na przepustki wychodziłem, jak już później była możliwość. Szedłem bramą od Energetyków i do domu. Żona przychodziła do mnie. Jedzenie przynosiła. Zresztą było co jeść. Ludzie przynosili.

Wolne związki zawodowe to była moja nadzieja, z postulatów to ten był najważniejszy. Była nadzieja, że będzie obrona. Wiadomo było, że władza tak szybko władzy nie odda, bo ma wojsko, milicję. Związki zawodowe to była nadzieja, że będzie można coś powiedzieć. Ja byłem zniesmaczony upartyjnieniem systemu. Kto był w partii, ten był na świeczniku. Kupowali ludzi — kto był w partii, ten miał talon na samochód, mieszkanie. Niczego nie dostałem, bo nie należałem. Partia bardzo pomagała, dlatego mieli tyle zwolenników. Dlatego też tam samo jest dzisiaj — nie patrzy się na ręce osobom, które są po stronie partii.

Były też bibuły. To wszystko było dobrze zorganizowane. Jak jest euforia społeczna, i wszyscy się do tego garną, to tak wychodzi.

Szkoda, że to zostało zmarnowane. Uważam, że zostało zwycięstwo zaprzepaszczone. Zgadzam się często z Wildsteinem. Ludzie są niezadowoleni u nas, ale nie wierzą w zmiany. Celem jest wykształcenie bierności rządzonych, to się zgadza. Nasza III RP to poprawiony PRL. Jawny totalitaryzm zastąpiony został oligarchią. Zgadzam się z tym artykułem. Jest kontrola życia społecznego. Zmiana obecnej władzy — to nadzieja — że odbudujemy demokrację. Kaczyński też o tym mówi. Żeby oni mieli jakiś hak na niego, to by go zniszczyli, ale on jest patriotą.

Od początku zapisałem się do Solidarności i to kontynuowałem. Miałem też dwa lata bezpłatnego urlopu w stoczni — pływałem na statkach. Dorabiałem. Udało się jakoś to załatwić, że mogłem pływać. Pływałem na kontraktach. Wynagrodzenie było 500 dolarów miesięcznie, z czego 22% było trzeba oddać agencji morskiej — bo była bariera językowa. Trochę poznałem świata zachodniego. Na morzu byłem w sumie, na kontrakcie, 27 miesięcy. Pierwszy kontrakt 10 miesięcy bez przerwy. W domu nie było telefonu, więc tylko listy. Nie było kontaktu, myślałem, że zwariuję.

Wałęsa tyle zła narobił. Ci, co chcieli lustracji, to teraz się z nich robi oszołomów. Np. Macierewicz — ja się w 100% nie zgadzam z nim, ale generalnie ma dużo racji.

Wierzyłem w to, że system się zmieni. Wierzyłem też w Wałęsę. Postrzegałem go jako przywódcę. Nie znałem jeszcze tych faktów, kim on się obstawił. Że jest parasolem starego systemu. I jest egoistą. On nie chciał służyć ludziom, tylko sobie. To jest też niesmaczne, że Jarosław Wałęsa jest europosłem i nas reprezentuje. On był uwikłany w sprawę Beaty Sawickiej. Bierze łapówkę, afiszuje się, poseł. Do czego to doszło. Jak to można odwrócić.

Myśmy słuchali, praktykowaliśmy słuchanie Radia Wolnej Europy. Radio mieliśmy. Człowiek tak do tego nie przykładał wagi, ale się tym żywił. Może też takie trochę moje nastawienie było z tego — byłem uświadomiony. Oczywiście, że człowiek jest omylny.

Bardzo duża rola Kościoła i wiary. Ogólnie z kościołem byłem mocno związany. Tata się mocno udzielał w parafii św. Andrzeja Boboli na Obłużu — wtedy ten kościół był budowany. Tata pomagał internowanym, jakieś paczki, itd. Ja zawsze na prośbę taty szedłem i sam od siebie też coś dawałem.

Ogłosili stan wojenny — a my poszliśmy do pracy. Dyskusja, to tamto, że zostajemy. Związki były. Byliśmy przekonani, że będziemy dalej strajkować. Zrzucano nam ulotki, by się rozejść. Naciski władzy i kierownictwa, by iść do domu. Masa ludzi poszła. Trudno mi powiedzieć, ile osób zostało.

Dla mnie stan wojenny — rozmiar tego — to było ogromne zaskoczenie. Jak to wszystko zostało wyreżyserowane. To było nad ranem, ja byłem w stoczni, na szlifierni u kolegi. Nie zapomnę tego — ten marsz zomowców, bicie pałkami o te tarcze i ten marsz. I ten napór, nacisk na nas, którzy byli przy bramie głównej. Ja myślałem, że to będzie koniec. Za bramą główną czołgi na chodzie. Motory zapalone. Lufy na tę bramę. Byłem w sercu tego. Miałem niesamowitego pietra — żona, małe dziecko, no koniec. Miałem wtedy 28 lat. Nie było nas tam dużo. Może przed bramą 150 osób, a może nawet nie tyle. W końcu dostali rozkaz zomowcy, by się cofać. Przez mikrofony nadawali, byśmy się do domów rozpuścili. My tam krzyż mieliśmy postawiony. Przed tym krzyżem padłem — dziękując i prosząc o pomoc. Ten krzyż do dzisiaj tam stoi. Wszystko inaczej wygląda, ale krzyż został. Jak odpuścili atak — pacyfikację zakładu — to poszedłem do domu. Mieszkałem na ulicy Boisko.

Nie zapomnę, jak wszedłem do domu. Przywitałem się z żoną i dzieckiem rozgoryczony.

Gdy wprowadzono stan wojenny, byłem bardzo zniesmaczony i przekonany, że rządzący chcą się za wszelką cenę utrzymać przy władzy. Aparat nacisku był — SB, ZOMO, milicja. To był tak rozbudowany aparat nacisku. To była armia zabijaków. Szli na każdy rozkaz. Mieli dobrze. Dużo pili alkoholu.

Stan wojenny, jak ja to przeżyłem i ludzie. Uważam, że nie powinni go wprowadzić. ZSRR nie odważyłby się nas zaatakować. To była obrona tych dzisiejszych pseudokomunistów. Był straszak — Czechosłowacja. Władza wtedy zmuszała, poszedł do Czechosłowacji człowiek z Polski. To była decyzja bardzo błędna wąskiej grupy ludzi. Grupa ludzi rządzących, a po bokach akceptacja ludzi. To nie był tylko Jaruzelski. Dzisiaj przywódca ma władzę.

W stanie wojennym trzeba było podpisać papiery — możliwość powrotu do pracy była uwarunkowana podpisaniem takiego dokumentu. Długo to trwało, że się siedziało w domu, chyba do końca stycznia. To był nacisk.

Pracowaliśmy — kontynuowałem pracę na wydziale maszynowym. Urlop bezpłatny wydeptałem w 1985 r. (po spełnieniu warunków). Co mi utkwiło w pamięci. Były takie operatywki kierowników — to był komisarz, i to nie jeden, był komisarz wojskowy. Służba mundurowa.

Jednym z komisarzy był później prezes Nowakowski — prezes Spółdzielni „Stoczniowiec". Poszedł na emeryturę — był pułkownikiem — potem objął funkcję kierowniczą, był prezesem spółdzielni. Był także komunistą, potem się odmienił, bo syn został księdzem. Jak już nie był prezesem naszej spółdzielni, to był prezesem spółdzielni RSM Stoczni im. Komuny Paryskiej. RSM — Robotnicza Spółdzielnia Mieszkaniowa.

W czasie stanu wojennego proboszcz decydował, dla kogo mają iść paczki, gdzie to szło. Ja nie dzieliłem już, kto co zostawał. Byłem związany z Kościołem. To był taki dobry gest z Zachodu, że przychodziły te produkty.

Miałem kontakt z prasą podziemną — krążyła między nami bibuła. Przeczytało się, dawało się dalej. Dużo tego było.

Frasyniuk też za bohatera uchodził, a jestem nim teraz tak zniesmaczony. Co on gada.

Tusk jak był, to robił, co chciał. Miał jakieś opory ze strony swojej partii? Żeby chociaż coś dobrego robił... Ale szło to w złym kierunku. Ja nie mam nic przeciw Niemcom, trzeba z nimi trzymać. Z Rosjanami nie, bo to zły naród. Mogliby mieć najlepiej w Europie, gdyby zajęli się tym, co mają po rozpadzie ZSRR. Mają surowce i wszystko. To jest zaborczy naród.

Nie uzupełniałem wykształcenia. Skończyłem technikum budowy okrętów — technik — mechanik. Małe egzaminy w Urzędzie Morskim i miałem papier jako marynarz. To mi umożliwiło zmianę pracy. Na tym samym wydziale przeszedłem na inne stanowisko. Sprawdzało się, jak on tam będzie działał. Trzeba było obsługiwać statek. Działałem na dwóch stanowiskach.

Absolutnie nie popierałem porozumień „okrągłego stołu". Jak wyszło to, jak Wałęsa rozwiązał tej nocy rząd Olszewskiego, to już było wiadomo, kim on jest. Jak Macierewicz chciał lustrację pchnąć. Wachowski to był SB-ek. A zrobił go szefem kancelarii. W jego

karierze służył mu jako kierowca. Dalej go ma u siebie. W telewizji występuje Wachowski. Chwali Wałęsę.

Jestem na emeryturze. Nie wstydzę się swoich poglądów. Nie, absolutnie. Mam wiarę w to, że nasz kraj pójdzie tą drogą, jaką wskazują już teraz coraz częściej publicyści. Na duchu mnie to podtrzymuje, że zwycięstwo musi nastąpić. Dobro zawsze zwycięża nad złem. Żeby nas tak nie oszukiwano. By to była merytoryczna dyskusja. Wiadomo, że się robi błędy, ale trzeba za nie ponosić konsekwencje, a nie nagrody dostawać.

Zryw sierpniowy w 1980? Było, minęło. W euforię nie wpadam, podkreślając swoje rozczarowanie. Nie zaowocowało to, nie poszło w tę stronę, co powinno. Rządzący powinni dbać o interes narodowy. Jak słucham Dudy, to mu wierzę. Jak się rozczaruję, to trudno. On ma chęć.

Solidarność wspominam bardzo pozytywnie. Z wielką nadzieją podchodziłem do tego. Rozczarowałem się, jeżeli chodzi o Wałęsę — zapomniano mu — że on chciał odwołać strajk, co nas wtedy Kołodziej przytrzymał. Tak łatwo mu to zapomniano, że on chciał skończyć.

Jak ja teraz słyszę Wałęsę, to mam ochotę wyjść — on bełkocze, nic nie gada na rzeczy. Dla dobra kraju nic tam nie ma. On ma takie mniemanie, że był Bogiem i carem. Na pewno musiał być wtyką. Nici powiązań tam są.

Jak już powiedziałem rozczarowałem się. Dużą nadzieję pokładam teraz w Piotrze Dudzie. To jest mądry człowiek. Wie, co powiedzieć, potrafi się obronić sam. Ma wiedzę.

Kraj trzeba uporządkować, wtedy będzie dobrze. Nie może być takich dysproporcji, jaka teraz jest. Jestem daleki od tego, by dawać coś za darmo — bo się tego nie szanuje. Każdy, kto coś robi, powinien robić to maksymalnie dobrze. Jeżeli się tego nie robi, to powinno się pozbawiać tych funkcji takie osoby. U nas nie ma żadnej odpowiedzialności.

Ucieszyłem się, że dostałem to wyróżnienie od Prezydenta Szczurka i Andrzeja Kołodzieja. Z zadowoleniem to przyjąłem, że zaczęto dostrzegać prostych ludzi i ich doceniać. Nie każdy ma predyspozycje jak Piotr Duda. Dobrze, że tacy ludzi godzą się na coś takiego. To jest jedna wielka walka. Jest to ciężkie.

Jeżeli byłaby taka potrzeba, to przystąpiłbym ponownie do takiego strajku. Uzmysłowiłem to sobie, jak był ruch w obronie wolnych mediów w Warszawie. Poszukałem dróg i pojechałem. Jak do Gdyni dzwoniłem i podałem, że chcę jechać, miejsca już nie było. To pojechałem z Lęborka, tam były miejsca. Pojechałem, by ich wesprzeć. I nie żałuję. Gdyby była jakakolwiek akcja, którą uznam za stosowną, że będzie służyła innym i krajowi, to bym się nie wahał. Nie żeby się bić, chyba że zaszłaby taka potrzeba.

Osiągnięcia Solidarności oceniam dzisiaj nieodmiennie na plus. Trzeba to trzymać, by już nigdy w życiu nie zdarzył się już ktoś taki jak Wałęsa. Solidarność to duma. Jestem dumny z przynależności do Solidarności. Dalej należę. Płacę składki. Nawet chciałem, by emerytom podnieść składkę na co najmniej 10 złotych miesięcznie, a płacimy 3 złote. A my przecież też mamy opiekę prawną itd. Związek powinien mieć swoje pieniądze. Powinno też państwo dotować. Powinny iść pieniądze od państwa. Absolutnie jestem przeciwny finansowaniu partii z budżetu państwa. Ja trochę liznąłem i wiem, kto nami rządzi.

Największym błędem Solidarności było bezapelacyjnie przywództwo Wałęsy. Bardzo dużą wagę przykładam do tego, kto jest na górze. Kto pociąga sznurki. Musi być to osoba kompetentna.

Ostatni okres 25 lat niepodległości? PO ma za duże wpływy. Mają takie wpływy w urzędach miasta — wszyscy zwolennicy PO pójdą głosować, bo się boją. To jest strach. Myślę, że my nie wygramy. Oni wygrają. Oni nie chcą przemian, ani PO, ani ich elektorat. To jest bardzo przykre i płytkie, bo państwo się pogrąża, jak nie ma porządku.

Jak słucham kandydata na prezydenta Andrzeja Dudy, to mam nadzieję. Jeżeli on pójdzie tą drogą, którą prezentuje, to spełni moje oczekiwania. To będzie żmudna droga, będzie trzeba mu w tym pomóc swoimi czynami. Bezwzględnie komuterstwo wyeliminować. Kolesiostwo. Nie przesuwać na inne stołki, tylko wywalić, jak ktoś nie spełnia oczekiwań. To jest perspektywa lat, te przemiany.

Życzę sukcesu naszemu krajowi. Żeby się zmieniło. Chodzi o przyszłość. Chciałbym, żeby to nasze społeczeństwo poszło tak jak w Niemczech. Tam jest inaczej, tam się o ludzi dba. Merkel to jest dobra przywódczyni, uważam. Dobra dla swojego kraju. Takiego przywódcę co najmniej jak ona chciałbym dla Polski. Widać, że ona dba o swoich.



Władysław Mechell — ur. 1 stycznia 1950 r. w Wejherowie. Wierzący, wyznanie rzymskokatolickie. Żonaty, dwoje dzieci. Z wykształcenia stolarz. W Stoczni im. Komuny Paryskiej pracował od 1968 kolejno jako: technik budowy okrętów, technik mechanik wyposażenia okrętowego, technolog materiałowy na wydziale W-5, kierownik sekcji (od 1979 r.). Członek PZPR, szef zakładowego ZSMP. W czasie stanu wojennego wystąpił z obu organizacji. Uczestnik strajku w Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni w 1980 r. Do Solidarności zapisał się w 1980 roku. Podczas stanu wojennego zdegradowany na niższe stanowisko. W 1991 roku zwolniony ze stoczni. Z powodu problemów zdrowotnych na rencie. Zmuszony do „dorabiania".

Rodzice posiadali gospodarstwo rolne na Śmiechowie (Wejherowo). Mama zajmowała się domem. Ojciec w trakcie wojny został zmuszony do walki po stronie Niemiec i wywieziono go do Francji, skąd zbiegł. Trochę przebywał w Maroku, we Włoszech, a także w Anglii. Walczył w I Dywizji Pancernej gen. Maczka. Koniec wojny zastał go w Holandii. Do Polski wrócił dopiero w 1946 r. Został fałszywie oskarżony o kradzież i pół roku przesiedział w więzieniu. Po wyjściu na wolność zajmował się gospodarstwem. Miałem 7 rodzeństwa.

Z wykształcenia jestem stolarzem. W stoczni pracuję od 8 lipca 1968 r. Najpierw pracowałem, jako technik budowy okrętów, ale szybko awansowałem na technika mechanika wyposażenia okrętowego. W 1976 r. zacząłem pracę jako technolog materiałowy na wydziale W-5 (wyposażenie). W 1979 r. zostałem kierownikiem sekcji.

Przed 1980 r. dostałem mieszkanie w Wejherowie — kawalerka na osiedlu 1000-lecia.

Przed 1980 r. należałem do PZPR. Musiałem wstąpić do Partii ze względu na stanowisko, jakie zajmowałem w pracy. Byłem też szefem zakładowego ZSMP (Związek Socjalistycznej Młodzieży Polskiej). Rozwiązałem ją w trakcie stanu wojennego. Wtedy też wystąpiłem z Partii. Z powodu moich działań spotykały mnie później nieprzyjemności, ale ja nie chciałem być częścią tego, co się wtedy działo.

Przed strajkiem 1980 roku miałem kontakt z bibułą i wszelkiego rodzaju prasą opozycyjną. Kryłem podwładnych, którzy rozpowszechniali ją w stoczni. Jednego z nich prawie na tym złapano i o mały włos nie stracił pracy. Zostałem wezwany w jego sprawie do kierownika i poręczyłem za niego głową. Po rozmowie ostrzegłem go o tym, co się dzieje, a bibułę wyrzuciłem do ogólnie dostępnego kosza i przykryłem innymi papierami. Niczego nie znaleziono i zarzuty wobec kolegi zostały oddalone. Ukrywałem bibułę w skrytkach w magazynie tak, aby moi podwładni nie zostali przyłapani na jej rozprowadzaniu.

Autorytetami dla mnie byli w tym czasie moi koledzy z pracy, niektórzy za swoją działalność zostali represjonowani. Wyrzucano ich z pracy i musieli walczyć o swoje dobre imię i o to, by móc wrócić. Mój kolega Marian Tyszko został za swoją działalność zwolniony po stanie wojennym.

Wiedziałem, kto z moich podwładnych działa w opozycji. Udawałem, że nic nie wiem i starałem się ich kryć przed dyrekcją.

Gdy ogłoszono podwyżki w 1980 roku, wiedziałem, co się dzieje i że w każdej chwili coś może wybuchnąć. Strajk rozpoczął się na wydziale K-2 i z tego wydziału pracownicy szli w kierunku bramy głównej. Inni, widząc co się dzieje, przyłączali się. Kiedy moi podwładni zaczęli się przyłączać, szefostwo prosiło, abym zdyscyplinował pracowników. Powiedziałem, że nic nie mogę z tym zrobić, bo pracownicy idą po materiały. Kiedy moja zmiana dobiegła końca, powiedziałem pracownikom: „Kto chce, może iść do domu". Wysłałem do domu wszystkie kobiety, a sam postanowiłem zostać. Czułem się odpowiedzialny za podwładnych. Nie miałem wątpliwości, że muszę z nimi być.

Byłem zawzięty na władzę, chciałem coś zrobić. Czułem się odpowiedzialny za kolegów, mimo że bałem się o siebie. Żona i brat przyjechali pod bramę, widziałem się z nimi.

Pilnowałem pożarku wśród swoich podwładnych. Czułem się odpowiedzialny za nich i za sprzęt w stoczni. Wspieraliśmy się. Ja nie chciałem być przywódcą. Należałem do PZPR i nie chciałem, by posądzano mnie o to, że jestem tu, by przeszkadzać i bruździć. Chciałem, żeby robotnicy sami wywalczyli sobie wolność.

Nie uczestniczyłem ustalaniu listy postulatów, ale zgadzałem się z nimi. Rozmawialiśmy na ten i wiele innych tematów z kolegami. Naradzaliśmy się we własnym gronie.

Moim zdaniem strajk był zorganizowany bardzo dobrze. W dużej mierze to zasługa pana Kołodzieja. Kiedy strajk się rozlatywał, to odprawienie mszy bardzo pomogło ludziom odzyskać wiarę w sukces.

Pamiętam, że poproszono, abym wydał z magazynu trochę styropianu dla innych strajkujących. Zrobiono z niego takie małe miasteczko przy bramie głównej. Bałem się trochę, że zostanę później pociągnięty do odpowiedzialności, jako że duża część nie nadawała się później do wykorzystania.

W wolnym czasie rozmawialiśmy często o rudnych sprawach, słuchaliśmy Wolnej Europy i relacji z wojny w Afganistanie.

Po 10 dniu strajku przyszedł kryzys. Naradzaliśmy się z kolegami. Korzystaliśmy z przepustek, ja pojechałem do domu na jedna noc. Cały czas staraliśmy się, żeby na wydziale była osoba, która zapanuje nad sytuacją i będzie pilnować porządku. Starałem się tylko dbać o robotników, to była ich inicjatywa. Nie brałem udziału w kontaktach z dyrekcją i mediami.

Gdy podpisano porozumienia, ciężko było, bo każdy z nas bał się, że to tylko na chwilę i że spotkają nas represje za to, co zrobiliśmy, a na trwałe nic się nie zmieni.

Do Solidarności od razu się zapisałem. Wtedy wyglądało to dość dobrze. Większość pracowników przystąpiła do Solidarności. Nastawienie kierownictwa zakładu do Solidarności było dobre.

Początkowo wszystko było dobrze. Dopiero po stanie wojennym zaczęły się większe represje. Część moich kolegów wyrzucono, a mnie zdegradowano do stanowiska mistrza. Obowiązki miałem te same i dalej kierowałem ludźmi, ale zabrano mi ok. 1/3 pensji. Po stanie wojennym tych, którzy działali najaktywniej, zaczęto zwalniać z pracy po cichu.

Pamiętam, co się działo, jak wprowadzono stan wojenny. W niedzielę rano żona poszła do kościoła. Gdy wróciła płacząc, opowiedziała, co się dzieje na ulicach. Pamiętam, że widziałem przemówienie Jaruzelskiego w telewizji. W poniedziałek normalnie pojechałem do pracy. Zdecydowaliśmy się z kolegami spędzić noc w stoczni. Rano na terenie stoczni zjawiło się wojsko i milicja, wjechał czołg. Chwyciliśmy się za ręce i razem ruszyliśmy w ich stronę. Koledzy się bali, ja też, mimo tego starałem się podtrzymywać ich na duchu, mówiłem, że sam mam rodzinę, ale że się nie boję i jestem z nimi. Rozmawiali z majorem. Uspokajaliśmy kolegów, którzy chcieli się bronić. Ani on, ani my nie chcieliśmy rozlewu krwi. Pozwolono nam opuścić stocznię.

Dla mnie wprowadzenie stanu wojennego to było mniejsze zło. Sytuacja w kraju była coraz gorsza. Wszystkiego brakowało w sklepach. Myślę, że to, co się stało, pozwoliło się opamiętać i uspokoić niektórym osobom po obu stronach w rządzie i w Solidarności. Bałem się, że Rosjanie mogą wejść do naszego kraju. Gdyby nie stan wojenny, to nie wiem, czy by to nie nastąpiło.

Byłem szefem zakładowego ZSMP (Związek Socjalistycznej Młodzieży Polskiej). Rozwiązałem członkostwo w trakcie stanu wojennego. Wtedy też wystąpiłem z Partii. Nie chciałem uczestniczyć w tym, co się działo i co władza robiła z ludźmi.

Po stanie wojennym zaczęły się represje wobec mnie. Chcieli mnie zamknąć. Nasłano na mnie kontrolę z Izby Skarbowej z Gdańska. Próbowano mi udowodnić nieścisłości w papierach (brak 20 dag gwoździ wartych wtedy 27 zł i 2 l pokostu, które niby ukradłem, kiedy remontowano drzwi do mojego biura). Kontrola chciała nawet zrywać farbę z nowych drzwi, żeby zobaczyć, czy jest pod nią pokost. Zdegradowano mnie na niższe stanowisko i obcięto pensję, mimo że dalej miałem te same obowiązki.

Zostałem zwolniony ze stoczni w 1991 r. Moje zdrowie przez ten czas bardzo ucierpiało. Renta, jaką dostałem, była bardzo mała i musiałem dorabiać. Chodziłem na różne „fuchy". Przez jakiś czas pracowałem na budowie, jako kierownik zaopatrzenia, prowadziłem własną działalność gospodarczą.

Nie popierałem porozumienia „okrągłego stołu”. Usiedli do tego nieodpowiedni ludzie. Ci, którzy wybili się na garbach robotników wyżej, czerpali korzyści z pracy i poświecenia ogółu. Powinno się od razu odsunąć od władzy ludzi z PZPR, a nie zrobiono tego. Mazowiecki był według mnie na to za miękki.

Największym osiągnięciem Solidarności było według mnie to, że udało nam się wywalczyć wolność i demokrację. Uczestniczyłem w wyborach czerwcowych.

Jestem na rencie. Dorobek mojego życia to mieszkanie, trochę ziemi i dom. Żona i dzieci to mój największy sukces. Najważniejsza jest dla mnie rodzina. Cieszę się z tego, co osiągnęli.

Zryw sierpniowy w 1980? Jakieś 30% z tego wszystkiego jest dobre. Źli ludzie tym kierowali i dzięki temu się wybili. Gdyby nie to, dałoby się zrobić więcej. Jestem dumny, że mogłem w tym uczestniczyć. Jestem dumny, że jestem Polakiem i Kaszubem. Popieram Solidarność za to, że potrafi walczyć o pracownika.

Największym błędem Solidarności moim zdaniem było to, że nie załatwiono dobrze spraw ludzi ze wsi. Nie zadbano należycie o pracowników PGR-ów. Zmarnowano duży potencjał, kierownictwo dorobiło się na tej sytuacji, a zwykli ludzie zostali z niczym.

Ostatni okres 25 lat niepodległości? Jest nieźle, ale państwo jest źle zarządzanie i tutaj na pewno potrzeba zmian. Nie jestem zadowolony z naszego państwa — z tego jak jest zarządzane. Mam żal do władzy, że nie uratowała stoczni przed upadkiem. To nie jest coś łatwego do odbudowania. Takie struktury tworzy się przez dziesięciolecia, by dobrze funkcjonowały. Władze zmarnowały to, co było.

Dzisiaj walczyłbym o sprawiedliwość społeczną. Ci, którzy mają pieniądze w dzisiejszych czasach, rządzą, a biedni muszą tylko płacić podatki.



Edmund Mehring — ur. 15 czerwca 1932 r. w Wejherowie. Pochodzenie robotnicze. Wykształcenie zawodowe, elektryk. Żonaty, troje dzieci. Wyznanie rzymskokatolickie, praktykujący. W stoczni pracował ponad 28 lat. Uczestnik strajku sierpniowego 1980 roku. Od początku członek zawiązku zawodowego Solidarność. Od 1990 roku na emeryturze.

W rodzinie ojciec był murarzem, czyli z takiej rzemieślniczej rodziny pochodzę. Cały czas murował. Budował Wejherowo, Gdynię, jak się rozbudowywała. Tutaj w Wejherowie na końca pracował, do emerytury, do 65 lat pracował i jeszcze dłużej trochę. Było 300-lecie, o ile się nie mylę, Wejherowa, a on robił wszystkie ozdoby na fasadach, na gzymsach, na dole, dlatego oni go przetrzymali nieco dłużej.

Obecnie jestem wdowcem od 5 miesięcy. W 80 roku normalnie miałem rodzinę, dzieci. Trojkę dzieci. Miałem wykształcenie zawodowe, jako elektryk pracowałem. W 1980 roku, mieszkałem tutaj, już z żoną, dziećmi. Mieszkanie spółdzielcze miałem.

Nigdy nigdzie nie należałem do PZPR-u, ani do ZMS-u, ani nigdzie, byłem antykomunistą.

Jestem katolikiem, wyznanie rzymskokatolickie. Praktykujący, obecny do tej chwili.

Moim autorytetem był papież. Byłem tu, na Jego wizytach, w Gdyni, w Sopocie. Mama zdjęcia jego wszystkie, zrobiłem dużo zdjęć z Gdyni, Sopotu.

Przed 80 rokiem słuchałem Rada Wolna Europa cały czas. Mógłbym wnet do więzienia się dostać, bo ja słuchałem Wolnej Europy i Głosu Ameryki. Trzy razy słuchałem, kto by chciał z Polski mieć zdjęcia kolorowe z lotu Apollo, proszę pisać pod Tomasz Walczak. Jakiś tam numer i USA. Pomyślałem, że ja to sobie spiszę, bo do tej pory zdjęciami się zajmuję. Zastanawiałem się, czy mam tam pisać czy nie. Czy oni tu na mnie nie będą źle patrzyli, że piszę do USA. Tak sobie myślałem, że oni mnie przymkną za to. Ale postanowiłem zaryzykować. Zaryzykowałem i dostałem te zdjęcia. Format A4, wszystkie zdjęcia po kolei były opisywane po polsku, aż do lądowania z powrotem na dół. To mam to wszystko, to jest taka mapa, rozkładana duża, gdzieś tak metr na metr, wszystkie zdjęcia są duże. Jak je dostałem, to poszedłem do roboty i kolegom na warsztacie pokazałem. Nasz mistrz się zainteresował, jak myśmy tę mapę oglądali. Pytał, czy mam jakąś styczność z Ameryką. Powiedziałem, że dostałem przesyłkę, że sam do nich pisałem. Wtedy oni uznali, że ja już byłem podejrzany.

W 1980 roku, jak się tu zaczęło z tym naszym Kołodziejem, to początkowo nie wiedziałem, co się dzeje. Bo ja do pracy wychodziłem akurat, i widzę, że tam chmara ludzi idzie, krzyczą. Ja sobie myślę, co to tam jest? Patrzę, stoję, a oni przyszli tam do nas bliżej. To z wszystkich hal, jak ten hałas był, to z wszystkich hal wychodzili i z obrabiarek itd. Nasz wydział wszystkie maszyny miał wyłączane i wszystko stało na ulicy. Ja też stałem, Wojtka nie widziałem. Od razu ktoś wziął wózek i do bramy przystawił, a Andrzej wszedł na wózek. Najpierw pracowałem tam, jak się idzie na malarnię, w cynkowni. Ten pierwszy wysoki dom, tam myśmy mieli akumulatorownię, stąd wózki były.

Kołodzieja — tego przywódcę strajku — znam. Przez cały czas strajku byłem w stoczni. Jak stocznia była zamknięta, to nawet na przepustkę nie poszedłem. Ja byłem wszystkie dni, od pierwszego dnia do końca strajków byłem na terenie stoczni i siedziałem na bramie.

Leczyłem się, byłem trochę chory. Wykorzystywałem to, żeby po prostu być w pracy. Byłem tam potrzebny, bo bardzo dobrze znałem pracę stoczni, maszyny. Ponieważ ciągle chodziłem do lekarza na te zabiegi, byłem zwolniony od wszystkich obowiązków na stoczni. Siedziałem cały czas przy bramie głównej, spałem tam, gdzie krzyż jest postawiony. Dwa metry od krzyża spałem, dwie noce na styropianie.

Przebieg strajku oceniam dobrze, bo widziałem, jak to się tworzyło. Najpierw był Kołodziej potrzebny, a wtedy dużo było tych pracowników z kadłubowni. Tak długo, aż tam

się unormowało wszystko. Technicy, nie technicy, może też jacyś inżynierowie, oni zrobili komitet strajkowy. Wtedy Kołodzieja już nie widziałem.

Jedzenie braliśmy z naszych stołówek. Tak samo od razu ręka była położona na drukarnie. Drukarnię to ja pamiętam dobrze, bo wszystkie maszyny elektrycznie tam naprawiałem. Zresztą ja na całej stoczni byłem. Gdzie tylko była maszyna, to ja tam byłem. Tam główny mechanik nie naprawiał.

Bardzo dobrze pamiętam moment podpisania porozumień. Byłem zadowolony z tego wszystkiego, klaskaliśmy tak jak każdy inny. Od razu wstąpiłem do Solidarności. Początkową działalność solidarności oceniam bardzo dobrze, ja byłem zadowolony z tego.

Wprowadzenie stanu wojennego dla mnie było przykre. Właściwie to ja nie wiem, bo to zrobił Jaruzelski ten stan wojenny, dla mnie to byłoby niepotrzebne. Pamiętam, że odkładaliśmy pieniądze, dawaliśmy tym, co siedzieli w Strzebielinku. Rodziny tych więzionych też dostały te pieniądze. Tak to było.

Popierałem porozumienia „okrągłego stołu". Brałem udział w wyborach czerwcowych — głosowałem.

W stoczni pracowałem chyba 28 lat i coś. Myśmy z żoną pracowali, to jakoś nam to pasowało, ale troje dzieci mieliśmy, ale to potem nauka była i pracowali chłopacy po szkole zawodowej. A ten najstarszy syn udzielał się w stoczni w „Naucie".

Od 1990 roku jestem na emeryturze.

Ponownie bym wstąpił do Solidarności, jeśliby teraz powstała taka potrzeba. Jeżeli byłaby to właściwa Solidarność, to czemu nie. Na pewno tak, pomimo że mam swój wiek.

Oczywiście jestem dumny, że należę do Solidarności. Nadal jestem jej członkiem, mam książeczkę.

Chciałbym pomagać w tworzeniu demokracji. Robiłbym to, co byłoby konieczne. Tylko w tej chwili nie wiem, jak ja bym mógł pomóc. Jeżeli bym wiedział, o co tu chodzi, to jeśli coś byłoby potrzebne, to byłbym tam i współpracował ze wszystkimi, aby było dobrze. Aby Solidarność była dalej.



Zdzisław Zbigniew Miętki — ur. 28 października 1939 r. w Gdyni. Rodzina pochodząca z Pomorza, patriotyczna, bardzo wierząca. Wykształcenie średnie techniczne. Żona, dzieci. W 1957 skończył Technikum Budowy Okrętów i rozpoczął pracę w Stoczni Marynarki Wojennej. Następnie zatrudniony się w Stoczni Remontowej „Nauta" jako kierownik gospodarki materiałowej. Odmówił wstąpienia do PZPR, zdegradowany przeniósł się do Elektrospółdzielni na stanowisko kierownika technicznego. Przed 1970 r. trafił na „Batorego". Pracował w Stoczni Komuny im. Paryskiej jako inspektor robót elektrycznych. Aresztowany w stanie wojennym. Członek Solidarności od 1980 roku. Organizował strajk w Stoczni po wprowadzeniu stanu wojennego. Aresztowany po pacyfikacji kopalni Wujek, z powodu pamiątkowej tablicy. Po wyjściu z więzienia pracował w Spółdzielni Robotniczej, opracowywał technologię regeneracji akumulatorów. Obecnie na emeryturze.

Wysiedlenie nas nie objęło, ponieważ ojciec pracował w zakładzie energetycznym i znał wszystkie sieci energetyczne. Mój ojciec wykorzystał to w drugą stronę. Miał swoją brygadę ludzi i wywiad był, gdzie jakieś [ustalano] sztaby wojskowe niemieckie czy rosyjskie. Tam, gdzie pracował ojciec, najczęściej dochodziło do awarii. Walutą w tym czasie było jedzenie i za to robiono różne rzeczy. Była taka sytuacja, kiedy ojciec od sztabu rosyjskiego otrzymał jedzenie i harmonię. Nie zdążył zejść do piwnicy, podszedł Rosjanin i przystawił pistolet do jego głowy, każąc mu oddać wszystko.

Rodzina była bardzo patriotyczna. Brat mojej matki walczył w Gryfie Pomorskim. Lesman, leży w Borach Tucholskich. Mój ojciec pracował na roli. Urodził się w 1907. Mój dziadek zginął, gdzieś na froncie francuskim. W 1980 r. byłem żonaty, miałem dzieci i wnuki. W tym czasie miałem wykształcenie średnie techniczne. Mieszkam od lat w spółdzielczym mieszkaniu. Nigdy nie przebywałem w żadnej partii czy organizacji. Cenię sobie niezależność. Rodzina jest bardzo wierząca. Była wtedy i jest do dnia dzisiejszego.

Pamiętałem czasy rozruchów w października 1956 r. Także te gdańskie z 1956 r. i następne wydarzenia. Nie miałem powodów do radości z sytuacji w Polsce. W 1979 r. byłem na wczasach w Muszynie. Koledzy ze Stoczni, z racji że byłem pracownikiem umysłowym, nie chcieli rozmawiać ze mną tak otwarcie. Ten dystans później się zatarł. Wtedy powiedziałem, że sytuacja jest tak napięta, że wkrótce to wszystko wybuchnie. W trakcie strajków pytali, skąd wiedziałem. Miałem takie przeczucie, że tak się stanie. Sam miałem dosyć i myślałem nad wyjazdem zagranicę. Radia Wolna Europa słuchałem, aż do mojego aresztowania w stanie wojennym.

Kościół odgrywał zasadniczą role w moim życiu. Wiara dodawała mi sił. Czułem potrzebę codziennego uczestnictwa na Mszy Św. Moim autorytetem życiowym był Jan Paweł II.

Nie szukałem żadnych kontaktów z opozycją. Dostawałem ulotki, biuletyny, gazetki, które wnikliwie czytałem. Nie chciałem jednak się w to angażować, nie chciałem być w to zamieszany. Bałem się, że ktoś mnie zobaczy i doniesie.

W 1957 skończyłem Technikum Budowy Okrętów. W tym roku rozpocząłem pracę w Stoczni Marynarki Wojennej, krótko odbyłem szkolenie w Ustce. Nie chciałem służyć w wojsku. Udałem, że mam chore nerki, a w szpitalu Marynarki Wojennej poznałem swoją żonę. Wróciłem do Stoczni Marynarki Wojennej, a następnie zatrudniłem się w Stoczni Remontowej „Nauta". Tam byłem kierownikiem gospodarki materiałowej. Proponowali, abym wstąpił do partii, skoro byłem na kierowniczym stanowisku, ale odmówiłem, argumentując to tym, że nigdy nie łączę tych funkcji. Po tej odmowie (w międzyczasie dostałem kredyt

ze Stoczni), zdegradowali mnie, a ja potraktowałem to jako wypowiedzenie. Wtedy zacząłem pracować w Elektrospółdzielni jako kierownik techniczny. Przed 1970 r. trafiłem na „Batorego". W grudniu 70 roku ZOMO chciało zrobić tam sobie bazę wypadową, ale nie zgodziłem się na to. Powiedziałem, że jak zostanę przez Bejma zwolniony z odpowiedzialności, wtedy ich wpuszczę. To był koniec mojej pracy. W Stoczni Komuny im. Paryskiej byłem inspektorem robót elektrycznych. Zarabiałem sporo, ok. 8 milionów.

Przed wybuchem strajków sierpniowych byłem zadowolony ze swojego miejsca pracy, to była ciekawa praca. Miałem kontakt z ludźmi, z wykonawcami. Choć raz wydarzyła się interesująca sytuacja. Trudno było awansować w Stoczni. Łatwiej było osobie partyjnej. Kiedy były zebrania partyjne i aktywiści szli na zebranie, mój kierownik powiedział, że jestem jedyną porządną osobą na Wydziale.

Zdarzały się kradzieże na budowach. Nieraz widziałem, że jak ktoś chciał coś zabrać, to wolałem, żeby zabrał, niż zniszczył. Pijaństwo często pojawiało się po pracy.

Przed sierpniem 1980 pamiętam bardzo dobrze ulotki. Była jednak nieufność pracowników fizycznych i umysłowych, a ponadto nie chciałem zostać na niczym przyłapany. Miałem inne zdanie, wbrew kierownictwu czy dyrekcji, ale to wszystko.

Gdy ogłoszono kolejne podwyżki w 1980 roku, poczułem wściekłość. Strajki w Lublinie dawały pewną nadzieję na zmianę sytuacji w naszym kraju. Pracowałem wtedy w Stoczni im. Komuny Paryskiej jako inspektor nadzoru robót elektrycznych.

Sam strajk sierpniowy rozpoczął się w godzinach porannych. My mieliśmy nadzór w doku suchym przy ulicy Energetyków. Wiedziałem, że w Gdańsku jest strajk i miałem nadzieję, że tak będzie u nas. Gdy usłyszałem, że protestować zaczął wydział K-2, próbowałem z pomocą elektryków wyłączyć prąd. Nie udało się w niektórych miejscach. Ale tam, gdzie rozdzielnie nie były zamknięte, wyłączyłem prąd. Czy to na K-2, czy suchym doku. Później poszedłem pod bramę, gdzie zbierali się już ludzie.

Nie miałem żadnych obaw przystępując do strajku. Była taka sytuacja, że jeden człowiek, nie pamiętam wydziału, prosił, aby wypuścić go do domu. Powiedział, że był na Syberii i chce wracać do domu. Powiedziałem żeby go puszczono, bo ludzie, w szczególności młodzi, nie wiedzą, jak to było w trakcie niemieckiej okupacji czy sowieckich wywózek. Mnie nie zależało na utracie pracy, choć żywiłem nadzieję na jak najdłuższą współpracę.

Były osoby, które kontaktowały się z dyrektorem od spraw inwestycyjnych. To tyle, co wiem. Kazano im zostać na miejscu. One były zdezorientowane, ale jednak wrogo nastawione do strajku. Trzeba jednak dodać, że jedność i siła ludzi zmuszała ich do milczenia.

Byłem zwykłym protestującym. Nie pełniłem żadnej funkcji. Ale muszę dodać, że nie byłem przez cały czas w Stoczni. Zachorowałem, miałem zwolnienie lekarskie. Po jakimś czasie nawiązałem kontakt z ks. Prałatem Hilarym Jastakiem. Jeździliśmy do Pucka, do jego znajomych. Rozwoziłem ulotki, a także przywoziłem księży na mszę do Stoczni. Miałem pozwolenie na wjazd na teren Stoczni. A tak, to byłem w domu. Rodzina i przyjaciele się bali, nie wiedzieli, jak to wszystko się rozwinie. Moja żona pamiętała grudzień 1970 i śmierć chłopaka na ul. Kieleckiej. Ja jednak robiłem swoje.

Nie brałem udziału w ustalaniu postulatów. Był dystans między pracownikami umysłowymi a fizycznymi. Jednak popierałem wszystkie postulaty, które były wysuwane.

Miałem zaufanie do przywódców strajku, ale nie znałem ówczesnych liderów. Nie angażowałem się tak mocno na Stoczni, a jak byłem na zwolnieniu i później byłem z Jastakiem, to tylko jakieś przelotne spotkania. Ale w początkowym okresie wszystko wyglądało sprawnie.

Ludzie byli pozbierani na wachty wydziałami. Pracownikom umysłowym kazano iść do domu. Ale ludzie starali się wytrwać razem. Jedzenie przynosiły rodziny, było dowożone oraz przez cały czas pracowały bary. Prawdę mówiąc, nie wiem, jak spędzano czas wolny podczas strajku. Byłem 3 lub 4 dni na Stoczni, a następnie byłem na zwolnieniu. Jako łącznik między ks. Jastakiem, a strajkującymi widziałem przede wszystkim ludzi przy bramie.

Radiowęzeł oraz ulotki informowały o postępach w negocjacjach oraz sytuacji w innych zakładach, w szczególności w Stoczni Gdańskiej. Ulotki naturalnie były drukowane w Stoczni, ale nie brałem w tym udziału.

W tym czasie nie miałem bezpośredniego kontaktu z milicją. Choć chyba była sytuacja, że jechali za mną, ale im umknąłem. Oni nie mieli odwagi nas zatrzymywać. Ksiądz

Edward Ryba z początku nie chciał odprawiać mszy w Stoczni, chyba się bał. Dopiero ks. Jastak wyraził takie zainteresowanie. Wtedy milicja nawet nie myślała, by nas zatrzymywać, kiedy wiozłem Ks. Prałata do Stoczni.

Wśród pracowników słyszałem raczej o tym, że strajk się szybko skończy. Na szczęście tak się nie stało.

Byłem w domu, kiedy doszło do porozumień. Byłem zadowolony, że to się wszystko udało.

Od razu po powstaniu Solidarności do niej wstąpiłem, ale nie pełniłem żadnych istotnych funkcji. Początkowo oceniałem działalność Solidarności bardzo pozytywnie. Mobilizacja wśród ludzi była ogromna i zastanawiałem się, jak długo będzie to trwało. Radykalne wypowiedzi niektórych liderów Solidarności były jednak niepokojące. Myślę, że prawie 100% zakładu przystąpiła do nowego związku. Nie wszyscy przywódcy strajkowi zostali wybrani do władz zakładowej Solidarności. Andrzej Kołodziej przeniósł się do Gdańska. A tu był Pławiński i Kozicki. Nie słyszałem o większych zmianach.

Według mnie nie było żadnego problemu z kierownictwem i jakiś sankcji też sobie nie przypominam. Każdy się zastanawiał po prostu, jak długo to potrwa.

Działacze PZPR nie wyróżniali się swoimi działaniami. Wydaje mi się, że nie wykonywali żadnych działań przeciwko Solidarności. Przynajmniej, jeśli mówimy o trójmiejskich działaczach partyjnych.

Największym sukcesem była samorządność związku. To pozwoliło na zmiany w Stoczni. Choć widoczne były zmiany w zachowaniu i wypowiedziach, niektórych członków Solidarności. Rzucało się to w oczy.

Nie chciałbym wymieniać nazwisk, jednak niektórzy działacze Solidarności byli zbyt butni i myśleli, że prawie wszystko im wolno. Zdjęcia, które robiłem w trakcie strajku, chcieli przejąć dla siebie i trudno było im wyperswadować, że są moją własnością.

Nie byłem w czołówce Solidarności, dlatego gdy wprowadzono stan wojenny, nie byłem internowany. O samym wprowadzeniu stanu wojennego dowiedziałem się, jak szedłem rano do kościoła. Zastanawiałem się w tym czasie, co dalej będę robił. Żona się o mnie bała i nie chciała, bym wychodził z domu. Ale musiałem pójść w poniedziałek do pracy. A jak oceniałem stan wojenny? Negatywnie.

Kiedy wprowadzono stan wojenny i rozpoczął się strajk w Stoczni, który został rozbity, wróciłem na Wydział i namawiałem do tego, aby strajk rozpocząć raz jeszcze. Pracownicy fizyczni chcieli dostać się do radiowęzła. Powiedziałem, żeby się nie włamywali, tylko, że ja pójdę do dyrektora i poproszę o klucz. Rozmawiałem z dyrektorem Bagińskim i powiedziałem, że jeśli nie chce rozlewu krwi, to aby oddał klucz dobrowolnie. Ciekawa rzecz, po Sierpniu 80 komendanci byli życzliwi dla mnie i dla reszty załogi, a jak zaczął się stan wojenny, to okazali się wredni. Jeden próbował mnie właśnie usunąć, a przynajmniej blokował dostęp do dyrektora. Bagiński, słysząc moją argumentację, oddał klucz bez większych problemów. Radiowęzeł był rozłączony, a ja podłączyłem to wszystko. Milicja mnie jako jednego z ostatnich wyprowadzała z radiowęzła. Jak nas wyprowadzali, to doświadczyłem ścieżki zdrowia. Ale od razu weszliśmy w tłum.

Rano kapitan żądał, abyśmy opuścili Stocznię, a później gdy zapędzono nas pod bramę, wystąpiłem rozmawiając z owym kapitanem. Właśnie w tym dniu koledzy nabrali do mnie większego zaufania, czułem ich wsparcie za swoimi plecami. Powiedziałem owemu kapitanowi, że chcę wydać komunikat, aby wszyscy zebrali się przy bramie, że razem opuścimy Stocznię. Konsultował to chyba ze swoimi przełożonymi. Chciałem pójść raz jeszcze do radiowęzła i nadać taki komunikat. I rano wyszliśmy

Po pacyfikacji Stoczni, udałem się do Oliwy i tam spotkałem Andrzeja Gwiazdę i jego żonę. W tym czasie rozwoziłem też ulotki, bibułę itd. Zależało mi, aby utrzymać w ludziach nadzieję. Zrobiłem nawet dekorację w NSPJ w Gdyni. Kościelny naskarżył do ks. Jastaka, ale wyjaśniłem, że zrobiłem to, aby utrzymać w ludziach nadzieję i aby mieli miejsce do modlitwy. Później jednak jeden ksiądz zabronił się modlić w kaplicy.

Z Anią Walentynowicz nawiązałem współpracę po tym, gdy ks. Jastak ją u siebie zatrudnił. To była bardzo dobra współpraca, choć ona była bardzo uparta. I zawsze pozostawała przy swoim stanowisku. Wyszła z inicjatywą upamiętnienia krwawej pacyfikacji Kopalni Wujek. Wtedy wpadłem na pomysł, aby jeszcze ufundować jedną tablicę upamiętniającą podpisanie porozumień sierpniowych w Jastrzębiej Górze. Ania pojechała wcześniej,

a ja po kilku dniach. W przedziale, w którym jechałem, był jakiś wojskowy. Wyglądał mi dość podejrzanie i nagle tak mówi: „Pan z jakimś pakunkiem jedzie". Ja odpowiadam: „No tak, to jest tablica nagrobkowa". A to były dwie tablice. Nie konsultowałem z Anią, jak będą wyglądały tablice. Ania w Katowicach się spóźniła, ale udało się na dworcu spotkać. Poszedłem w międzyczasie do swojej rodziny i później ponownie spotkaliśmy.

Kazimierz Świtoń był przy mojej rozmowie z Anią Walentynowicz. Powiedziałem: „Słuchajcie, według mnie, niech jedna będzie w Jastrzębiu, a druga w Katowicach w kościele, aby ludzi nie narażać". Ale Świtoń nalegał, aby jedna z tablic zawisła na Kopalni Wujek. Po prostu nie chciałem narażać ludzi na jakieś represje. Uważałem, że jeśli będzie odpowiedni moment, to możemy tę tablicę na kopalni zawiesić. Bardzo się wtedy poróżniliśmy.

Wówczas podjąłem decyzję, że zabiorę tablicę i pojadę do Jastrzębia. Ale ksiądz proboszcz, powiedział, że on sam bez zgody biskupa nie może wydać pozwolenia na zawieszenie tablicy. Zdawałem sobie sprawę, że mogę być obserwowany. Z Jastrzębia wraz z miejscowymi działaczami pojechaliśmy do Katowic do kurii. Księdza biskupa spotkaliśmy, jak wychodził. Przedstawiłem swoją sytuację i prośbę, ale biskup powiedział, że nie może wyrazić takiej zgody, bo nie wie, co to za tablica, jaką ma treść itd. Powiedziałem, że to będzie na odpowiedzialność księdza proboszcza, a później ksiądz biskup wyciągnie konsekwencje. Nie dał się jednak przekonać. Wówczas zachowałem się bardzo niegrzecznie i złapałem księdza biskupa za sutannę lub płaszcz, przycisnąłem do framugi drzwi i powiedziałem, że nie puszczę go, dopóki nie wyrazi zgody na zawieszenie tablicy. Wtedy się zgodził. Na odpowiedzialność księdza proboszcza.

W nocy ostatecznie montowałem tablicę w kościele. Poprzedniego dnia była barburka, zostawiłem swoje rzeczy u księdza i powiedziałem podczas mszy kilka słów od stoczniowców z Gdyni itd. Kolega z Jastrzębia zaprosił mnie do siebie na obiad. Nie chciałem się zgodzić, bo czułem, że już za to przemówienie mnie zamkną i jego przy okazji. Dałem się w końcu namówić. Po jakiejś godzinie przyszła milicja i tacy zdziwieni mówią: „O, co tu Gdańsk robi?" Ale w dowodzie miałem wpisaną Gdynię. Zabrali mnie do wyjaśnienia na komendę do Jastrzębia. Na początku przesłuchanie wyglądało spokojnie. Ale widocznie moje wyjaśnienia im nie wystarczyły. Weszło do pokoju jeszcze kilku milicjantów i zaczęli mnie bić i okładać. Nie udawało mi się zawsze osłonić głowy i później była cała opuchnięta. Ale nie chcę o tym mówić. Milicjanci próbowali rozmawiać ze mną na różne tematy, ale ja powiedziałem, że nie będę z nimi rozmawiał. Dodałem, że oni wiedzą więcej niż ja i lepiej. Zostawili nawet otwarty sejf z bronią. Z Jastrzębia brali mnie do Katowic, do więzienia. Przesłuchiwali mnie, a później wypuścili.

Chciałem zobaczyć, czy Ania i Świtoń zawiesili tablicę, następnie udałem się na dworzec. Wtedy ponownie mnie zwinęli. W celi czy w pokoju było ich 9 czy 10 i nie było żartów. Bili mnie po głowie i nie tylko. To chyba było SB, a nie milicja. Jak zabrali mnie na dół do celi, to profos widząc mnie powiedział: „To skurwysyny". Przypuszczam, że ubecja z milicją się nie lubili. Przy kolejnym przesłuchaniu grozili, że mnie zabiją. Mówili, że „przynajmniej z jednym skurwysynem będzie spokój". Włożyli mi dowód osobisty do marynarki i w czwórkę zaprowadzili/zanieśli do okna. Zacząłem się modlić. Początkowo chcieli namówić na współpracę, abym podpisał. Ale powiedziałem, że nie chcę. W końcu mnie wypuścili po jakimś czasie. Ale nie lubię tym rozmawiać...

Dla mnie najważniejsze było, aby ludzie nie stracili nadziei. Ludzie masowo rezygnowali, załamywali się. Rozmawiałem w jednym przedsiębiorcą, który wcześniej był w partyzantce. Pytałem dlaczego rezygnuje z walki. Powiedział wtedy, że zapisał się do partii, żeby móc normalnie pracować. Później pomagał w dobie Karnawału Solidarności. Ale zadał mi konkretne pytanie, czy ja wiem, z kim my walczymy? Powiedział wprost. W ten sposób nie wygramy, dopóki ich nie wystrzelamy co do jednego, dopóty będą nas ustawiać, jak im się podoba i niszczyć na każdym kroku. Należy ich tylko powystrzelać, inaczej nigdy nie będzie spokoju. Raz w kościele zrobiłem napis Solidarność. Ksiądz Ryba poprosił, abym nieco spuścił z tonu, ponieważ go nachodzą. Wtedy zgodziłem się i zmieniłem napis, na Solideo. Ksiądz zaczął się śmiać i mówi: „Panie Zdzichu, no coś Pan tera zrobił?" Później podzieliłem napis "Solidarność" na biało-czerwonej fladze. Tak działałem w Serca Jezus i u redemptorystów.

Po wyjściu z więzienia pracowałem w Spółdzielni Robotniczej i miałem za zadanie opracować technologię regeneracji akumulatorów. Pracę zaproponował mi działacz partyjny ze Stoczni. I tam uległem wypadkowi. Na Stoczni w 1989 r. zorganizowałem strajk,

manifestację. Same strajki popierałem, oczywiście. Oczywiście nic z tego nie wyszło, bo nie było już takiej siły jak w Sierpniu, a mnie za chwilę ponownie zwinęli.

Po stanie wojennym nie odnowiłem deklaracji Solidarności. Pisałem wtedy, aby ludzie przestali się kłócić.

Nie popierałem porozumień „okrągłego stołu". Uczestniczyłem w wyborach czerwcowych. Z tego co pamiętam, byłem mężem zaufania. Byłem jednak za Olszewskim. Na drugą turę już nie poszedłem głosować. Byłem rozgoryczony, wściekły. Miałem pretensję do wielu działaczy Solidarności. Stan wojenny znów poróżnił mnie z wieloma kolegami, którzy pracowali fizycznie. Po jakimś czasie odnowiłem legitymację, ale szybko zrozumiałem, że znowu coś jest nie tak.

Jestem na emeryturze. Mam rentę i emeryturę, razem ponad 2 tysięcy. Dorobek życia — mieszkanie. Samochody zawsze miałem stare.

Jestem dumny, że nigdy się nie zeszmaciłem. Miałem żal do osób, które nie zawsze postępowały tak, jak należy.

Autorytet? To Jan Paweł II. Jestem w grupie Odnowy w Duchu Św. Współpracujemy z egzorcystą Kowalczykiem. Widziałem, sam na własne oczy, co szatan może zrobić z człowiekiem. Ja mam tylko nadzieję, że odejdę z tego świata godnie. Zresztą jestem przygotowany, chciałbym nawet teraz... odejść.

Zryw sierpniowy w 1980 nauczył dla mnie bardzo dużo. Ale przez działanie niektórych działaczy Solidarności, którzy poszli za bardzo na układy, ma to trochę inny wydźwięk. Kiedyś rozmawiałem z Lechem Wałęsą i powiedziałem: „Ty nie masz prawa niczego podpisywać. Ty możesz z Nimi rozmawiać." On argumentował, że Pan Jezus też rozmawiał, ja powiedziałem, że tak, bo trzeba rozmawiać, ale nie wolno niczego podpisywać. Czułem, że komuniści wrócą do władzy, a działacze Solidarności za bardzo szli na jakieś porozumienia. Było kiedyś spotkanie w Gdyni, był Hall i chyba Pastusiak. Ludzie wtedy mocno psioczyli na Solidarność, kościół, konkordat.

Solidarność cały czas miała dla mnie duże znaczenie. Ale zawiedziony byłem działaniami niektórych osób. Mając dzisiejsze doświadczenia życiowe, przystąpiłbym ponownie do takiego strajku. Tak, bezwzględnie.

Miałem propozycję wyjazdu do Szwecji. Chodziło o mój język i poglądy. Czułem się patriotą. Tak jak było w tych Katowicach. Tłukli mnie kilka godzin. Jak w stanie wojennym mnie aresztowali, to żonie powiedzieli, że za chwilę wrócę. Zrobili kipisz w mieszkaniu, a jej udało się mnie znaleźć po tygodniu. Nic nie wiedziała, ślad zaginął. Wtedy już byłem przetrzymywany w Gdańsku. Przewieźli mnie z Katowic do Gdańska, bo ostatecznie odmówiłem rozmowy. Przez tydzień też zrobiłem głodówkę. Pisałem tylko skargi do prokuratorów. Jak po tak długim czasie zobaczyłem ponownie swoją żonę, to jej nie poznałem. Myślałem, że to osoba podstawiona, tak się postarzała. Uważam, że najbardziej naraziłem swoją rodzinę. Jak były możliwości odszkodowania, to trwało 5 lat, udowadnianie co robiłem, z kim itd. Ubecja musiała poniszczyć dokumenty, ale mieli pozaznaczane, co i jak. Nie dziwię się, że jeden esbek nie chciał się nawet pofatygować na rozprawę. Powiedział po prostu, że nie pamięta. Jeden z działaczy Solidarności, którego wezwałem na świadka, a w tym czasie podwoziłem i z nim współpracowałem, powiedział, że sobie nie przypomina. To jest to chyba przykre, prawda?

Mam satysfakcję, że byłem w Solidarności. Ale mam żal, że nie wszystko poszło tak, jak powinno. Największym błędem to był brak zgody, animozje. Porażka to likwidacja dwóch stoczni. Komunistom się nie udało, a Solidarności się udało.

Ostatni okres 25 lat to jeszcze nie jest niepodległość. Te 25 lat niepodległości powinno być w cudzysłowie.

Co przede wszystkim chciałbym zmienić? Odesłać starych dziadków na emeryturę. Dał szansę młodym. Obniżyłbym sejm o połowę, zlikwidował senat. Utworzył tylko Radę Prawników. Powstało tyle ustaw, nowelizacji i bubli prawnych, że nikt od pracodawców, urzędników, ministrów po zwykłych obywateli nie wie, jakie w danej chwili obowiązuje prawo. Powinna też być prawdziwa lustracja. Sądów, prokuratur itd. Nie karać, oceniać indywidualnie. Sam wiem, jak to było na przesłuchaniu. I nieraz się zastanawiałem, czy coś podpisać, powiedzieć. Pytali mnie o Anię Walentynowicz, bo ona została z drugą tablicą. A mnie w końcu wypuścili. Wysiadłem w Orłowie, a później autobusami do siebie.

Widziałem, że wszystko było obstawione. Chyba mieli mnie pilnować. Nie wiadomo, jakby się zachował ktoś inny, tak bity. Nie ma co karać. Nikt nie wie, jakby postąpił, co by zrobił.

Dzisiaj sformułowałbym takie postulaty „strajkowe". Po pierwsze — oprzeć się o wartości chrześcijańskie. Uważam, że kościół powinien mieć zdanie w kwestiach moralnych. Te wszystkie ludzkie wynaturzenia, za dużo się o tym mówi. Jak katolicki naród może wybrać Palikota? Po drugie — służba zdrowia. Po trzecie — wolny rynek. I wreszcie — większe prerogatywy dla Prezydenta RP.

Jak ja mogę teraz w tej sytuacji walczyć? Mogę tylko dyskutować, namawiać młodych ludzi, aby się obudzili. Jest wielu ludzi wykształconych. I jeżeli ktoś jest dobry, powinien dobrze zarabiać. A także należy zadbać o rozliczanie ludzi z ich zadań.



Jerzy Milewczyk — Od 1979 r. pracował w Dyrekcji Rozbudowy Miasta Gdańska, gdzie w 1980 r. założył komórkę Solidarności.

Pracę w Dyrekcji Rozbudowy Miasta rozpocząłem 1 września 1979 roku. A zakończyłem 31 maja 1982 roku na zasadzie porozumienia stron. To było przed sierpniem 1980 r. Już były strajki. Darek Kobzdej pracował jako lekarz na oddziale wewnętrznym w starym szpitalu przy ul. Św. Jacka u doktora Kazimierza Formana. Bardzo opanowany, spokojny człowiek, potrafiący przekonać ludzi. Wierzył w to, co mówił. On dużo pomagał, wiedział jak załatwić wiele rzeczy. Mój brat Tadeusz zadzwonił do mnie z pracy i powiedział, że Kobzdej chciałby się spotkać ze mną. Darek ze szpitala i my spotkaliśmy się tak w połowie na rynku. Darek przedstawił, że warto zakładać te związki, że są strajki itd. No i żeśmy tak porozmawiali, jak to ma wyglądać. I rozpoczęliśmy zakładanie związków zawodowych. Jak czegoś nie wiedziałem, to udawałem się do szpitala do Darka, zapytać. Był zawsze do dyspozycji. I tak się nawiązała współpraca.

Wiedział, że pracujemy w Dyrekcji Rozbudowy Miast i pytał, czy będzie mógł skorzystać czasami z podwiezienia, bo mamy wyjazdy do Gdańska czasami samochodem, bo mieści się tam nasza dyrekcja. Po jakimś czasie prosił nas, czy byłaby możliwość skorzystania z tego samochodu, bo jakaś akcja strajkowa trwała na terenie Gdańska, no to on tutaj w szpitalu organizował opatrunki. Również koledzy w Akademii Medycznej w Gdańsku też organizowali lekarstwa i opatrunki, żeby to wszystko dostarczyć na potrzeby regionu gdańskiego. I w taki sposób żeśmy jeździli chyba ze dwa razy z Darkiem, gdy miałem wyjazd do Gdańska. Warto wspomnieć, że wspaniały był kierowca tej wołgi, pan Władek Wasiak, to on nas woził. No na owe czasy przewożąc i jadąc do akademii, gdzie Darek szmuglował opatrunki, przy tych esbekach, którzy wszędzie niuchali i widząc, że taka wołga podjeżdża niezgodnie z trasą, jako kierowca mógł się narazić. Kierowca Władek nie zapisał się do Solidarności, on był przed emeryturą, ale mówił, że będzie nas wspomagał. Tak samo dyrektorzy. Właśnie o takich ludziach trzeba mówić. Ci, co nie byli w Solidarności, czasem robili więcej niż jej działacze.

Każdy zakład na początku był w sobie zamknięty, nie było tego, że ktoś wyszedł i powiedział „chodźcie, będziemy coś robić". Najpierw każdy starał się zająć własnym zakładem pracy; jakie problemy były, to każdy wiedział. Później, jak już powstały te komisje, zostały zarejestrowane, to wtedy już zaczęto szukać kontaktów.

Było jakieś spotkanie z starym przewodniczącym CRZZ. Oni robili masówki i właśnie tam chodziło o takie podstawowe sprawy, że nie mamy ręczników, nie ma mydła. Wszystko na terenie dyrekcji, spotkanie załogi itd. No i po tym zebraniu, jak człowiek to wszystko usłyszał, to powiedziałem, że już dosyć tych kłamstw, dosyć tego wszystkiego i się całe towarzystwo rozeszło. I wtedy właśnie podjęliśmy decyzję, że musimy podjąć działalność, są strajki, działamy. Już wiedzieliśmy o innych strajkach. Tak zwany nasłuch radiowy nas poinformował. Piętro niżej mieszkał teściu i miał radio, no i się słuchało Wolnej Europy, że tam w Gdańsku coś się dzieje. Później dopiero, jak się jechało w stronę Gdańska, to się zaczęło troszeczkę bibuły brać. Ja w dyrekcji to z Gdańska, ale szybciej jeszcze jeździłem do Gdyni Stoczni. Bo oni też bibułę wydawali, zawsze pod bramę i brałem tam bibułę i przywoziłem do dyrekcji i z tego żeśmy wiedzieli. Wtedy rozpoczęły się u nas wybory, co ciekawe: w takim małym zakładzie były trzy związki, gdzie ludzi było chyba 40 paru. Doszliśmy do wniosku, że zakładamy Solidarność. Zrobiliśmy listę, kto się zapisuje do Solidarności i większość się zapisała. A pomysłu na strajk nie było. Nie wiedzieliśmy, czy strajkować, bo mieliśmy przychylną dyrekcję. Tu był spokój, na razie gadaliśmy.

Przewodniczącym zostałem wybrany ja, zastępcą Andrzej Bianga, później weszła jeszcze Lidia Grabowska (Okrój), pani Maria Nazaruk, no i ukonstytuował się Zarząd. Wiadomo, trzeba było zarejestrować się w Gdańsku, numer nam nadali i złożyliśmy wniosek o wydanie przepustek na MKS i wtedy od razu wystąpiliśmy do banku o czeki, trzeba

było konto założyć, bo na takiej zasadzie działaliśmy, że przejęliśmy bez pieniędzy zobowiązania starych zawiązków zawodowych z tytułu urodzenia dziecka, śmierci itd. My nie mielimy na piśmie, to były wolne związki zawodowe. Mieliśmy małe składki, bo nas było mało. Dzięki Bogu, że tak mało urodzeń było. Chyba żeśmy dwa zasiłki wypłacili, z tytułu urodzenia dziecka.

Jak już otrzymaliśmy przepustki, to wiadomo, że jeździłem co czwartek jako przewodniczący na MKS-y i przywoziłem te dokumenty i w piątek przeważnie bibuła była już świeża. Te spotkania w Gdańsku to raczej na żywioł były zorganizowane. Duża sala na parterze, stali i wpuszczali za okazaniem przepustek, był stół prezydialny. Różnie bywało, w zależności od tego, kto prowadził. Nie było tylu krzeseł, tu stali i gadali, tam inni. Tematyka się zmieniała zależnie od sytuacji. Spotykamy się i nagle jest informacja, że od jutra szykujemy strajk ostrzegawczy, bo w Bydgoszczy pobito Rulewskiego. I już na drugi dzień się przyjeżdżało i zdawało relację. Dziś się mówi, że Stocznia Gdańska to potężnie zakłady, ale gdyby nie takie małe zakłady, jak my na obrzeżach, to oni by Gdańsk czapkami obstawili. Co już zresztą miało miejsce. Błąd, że ludzie wyszli za bramę. Natomiast już po doświadczeniach z 70 roku wiedzieli w 1980, żeby nie opuszczać terenu zakładu.

Odbył się Pierwszy Zjazd Solidarności w hali Oliwi, no więc znowu trzeba było po przepustki jechać. Uczestnikami tego zjazdu, nie delegatami, a uczestnikami byłem ja i Andrzej. Byliśmy tam. Rozmawiamy z Andrzejem Gwiazdą przed wejściem, napiliśmy się kawki i żeśmy tam parę zdań powiedzieli. Już wtedy było widać, że zaczyna się robić rozłam. Wałęsa ciągnął w swoją stronę, a Gwiazda w swoją. Kto tam się wtedy przewijał: Kaczyńscy, Lech Bortkowski, Mazowiecki, Kuroń — wtedy te nazwiska robiły wrażenie. Nikt nie pytał, czy byłeś partyjny czy bezpartyjny. Chciałeś należeć do Solidarności, to należałeś, droga wolna. PZPR robił prześwietlenia życiorysu i albo się wejdzie, albo nie. A to była ta siła. Wolność.



Eugeniusz Możejewski — mieszkaniec Rumi. Pracownik stoczni „Nauta". Aktywnie działał podczas strajku 1980 roku. Wiceprzewodniczący Solidarności w stoczni „Nauta". 13 grudnia internowany, odsiedział 8,5 miesiąca.

Podczas strajków 1980 roku pracowałem w stoczni „Nauta". Byłem łącznikiem między Stocznią Remontową a Stocznią Gdańską. Zarejestrowałem zakład „Nauta" jako siódmy w MKS-ie i później jeździłem między stoczniami. Chyba w 4 lub 5 dniu strajku nas aresztowano, przesłuchiwano przez 5 godzin w Orłowie.

Potem w wyborach zostałem wybrany jako wiceprzewodniczący Solidarności w Naucie. Przewodniczył Marek Grabowski.

13 grudnia 1980 roku zostałem internowany. 8 i pół miesiąca siedziałem. Byłem w jednej celi z Jackiem Markelem, Andrzejem Gwiazdą. Siedziało nas razem 16 osób w celi. Jedni wychodzili po tygodniu, po dwóch, po miesiącu. Ja siedziałem 8,5 miesiąca, bo nie chciałem podpisać lojalności.

Byłem przeciwny porozumieniom „okrągłego stołu" i uważam to za porażkę.

Uważam, że Wałęsa mógł zrobić dużo więcej. Jeśli Wałęsa nie chciał ujawnić akt, jeśli Wałęsa spowodował to, że Olszewski musiał odejść, bo chciał ujawnić odkrytą prawdę — to później stało się tak, jak się stało.

Teraz to już o nic bym nie walczył. Od tego jest Sejm, od tego są instytucje państwowe, które są wybierane demokratycznie i trzeba je kontrolować, by wykonywały postulaty i wolę wyborców.



Zygmunt Noske — ur. 19 stycznia 1938 r. Zamieszkały w Wejherowie. Wykształcenie wyższe, uzyskane w trybie wieczorowym. Praktykujący katolik. W 1956 roku rozpoczął pracę w Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni na stanowisku technologa. Uczestnik strajku sierpniowego 1980 roku. Od 1980 członek Solidarności. Obecnie na emeryturze.

Przed strajkiem 1980 roku uczestniczyłem w wyborach i słuchałem Wolnej Europy. Kościół odgrywał zawsze pierwszoplanową rolę w moim życiu. Czasami docierały do mnie pisma z drugiego obiegu.

Pierwszą reakcją na podwyżki wprowadzone w 1980 były złość i bunt. Pamiętam oczywiście nazwisko przywódcy strajku, pana Kołodzieja. Przystępując do strajku najbardziej obawiałem się ataku milicji. Byłem zwykłem uczestnikiem. Miałem zaufanie do przywódców strajku. Popierałem wszystkie postulaty. Zgadzałem się z nimi. O informacjach dotyczących strajku dowiadywaliśmy się przez radiowęzeł. Pamiętam, że momentowi podpisania Porozumień towarzyszyła atmosfera radości i zwycięstwa.

Przystąpiłem do Solidarności, ale nie pełniłem żadnej funkcji. Początkową działalność Solidarności oceniałem dobrze. W moim zakładzie pracy do nowego związku wstąpiło około 95 procent załogi.

Największym osiągnięciem sierpniowych strajków było dla mnie podpisanie porozumienia. Dostrzegalną zmianą po zakończeniu strajku było polepszenie warunków pracy.

Na wprowadzenie stanu wojennego zareagowałem strachem. Oceniałem go negatywnie. Starałem się coś robić. Prowadziłem charytatywną działalność kościelną. Najważniejsze było wtedy dla mnie zachowanie pracy. Miałem pracę i popierałem strajki.

Nie popierałem porozumienia „okrągłego stołu". I uczestniczyłem w wyborach czerwcowych.

Teraz jestem na emeryturze. Dorobiłem się mieszkania i samochodu. Za swój sukces życiowy uważam dożycie do emerytury. Teraz moim autorytetem życiowym jest Prawo i Sprawiedliwość PiS.

Zryw sierpniowy w 1980 oceniam pozytywnie. Wspominam tamten czas z radością. Ze względu na podeszły wiek nie przystąpiłbym ponownie do takiego strajku. Oczywiście, jestem dumny z uczestnictwa w ruch Solidarności. Jej osiągnięcia są duże, bardzo ważne, niestety obecnie słabnące. Dzisiejsza Solidarność straciła na prestiżu i ważności. Przez ostatni okres 25 lat niepodległości można było zrobić więcej. Największą bolączką jest brak uczciwości, niesolidność polityków.

Dzisiaj sformułowałbym kilka takich postulatów strajkowych: praca dla wszystkich, walka z bezrobociem, uczciwość sądów, usunięcie z rządu komuchów i ludzi SB i UB. Dziś już nie zdecydowałbym się o to walczyć, jestem w zbyt zaawansowanym wieku, ale chętnie głosowałbym na solidną grupę ludzi.



Daniel Nowak — ur. 8 marca 1953 r. w Straszynie. Duchowny, w 1980 roku pracował na parafii w Gdyni Obłuże. Podczas stanu wojennego zorganizował konspiracyjną drukarnie na plebanii. Od 1984 proboszcz parafii Wejherowo. Budowniczy kościoła w Piaśnicy pw. Chrystusa Króla i bł. Alicji Kotowskiej i kaplicy poświęconej ofiarom pomordowanym w lasach piaśnickich.

W naszej rodzinie autorytetem był ksiądz Bolesław Lewiński, proboszcz w Karwi. Człowiek, który mocno był związany z ziemią kaszubską. Sam się czuł Kaszubą, zresztą był nim i też skupiał bardzo dużo ludzi wokół siebie. Próbował budować kościół w latach 70-tych tu, w Wejherowie-Śmiechowie, wtedy jeszcze siła władzy komunistycznej nie dopuściła do wybudowania tego kościoła. Był prześladowany przez Urząd Bezpieczeństwa, zachowały się akta z IPN-u. Myśmy je wyciągnęli, opisują właśnie, jak był prześladowany, jak był śledzony, jak przeszkadzali. Są tam te wszystkie pseudonimy, niestety wśród nich także byli księża z dekanatu. On był w mojej rodzinie właśnie takim autorytetem, a nasza rodzina była właśnie taka, że wokół niego się wszyscy skupiali. Jeździliśmy wszyscy na odwiedziny do dziadka i babci. Tam się wtedy ciągnęło do tego środowiska, no i ja tam wzrastałem w cieniu tych różnych rozmów. Poza tym u nas był jeszcze taki nurt patriotyczny i taki usadzony tutaj w tej naszej polskości. Dwóch członków rodziny zginęło w Piaśnicy w czasie wojny. Dziadek, czyli mojego ojca ojciec i mamy brat, więc to też w rodzinie był taki motyw. Jak były spotkania rodzinne, to w rozmowach gdzieś się wracało zawsze do tych tematów.

Jeśli chodzi o strajk 1980 roku, to pamiętam, bo byłem na Obłużu. Wiadomo, że Obłuże to stoczniowcy i wojsko. To były te dwie grupy ludzi, które zamieszkiwały w tych nowo oddanych blokach, wszyscy to młodzi ludzie. Jak się zaczęły strajki, dotarło to dość szybko. No to żeśmy nadsłuchiwali, jak wiadomości przekazywali, ludzie nam przynosili różne informacje, ulotki, te stemple, znaczki zaczęły się pokazywać. Weszliśmy w ten klimat z takim popierającym nastrojem. Był to też nastrój pełny niepokoju, że były strajki i zrodziła się ogromna życzliwość między ludźmi, taka solidarność. Mężowie strajkowali, byli w różnych zakładach, rozsiani po całym Trójmieście, a te kobiety jechały do stoczni. Komunikacja przecież strajkowała, ludzie życzliwi, jedni drugim pomagali, chlebem się wręcz dzielili. W czasie strajku taki epizod się zachował, że właśnie na terenie parafii się pojawił, bo jakiś człowiek podjechał żukiem i zaczął zarabiać jako taksówkarz. Chciał zabierać ludzi z Obłuża, kobiety, które jeździły z posiłkami dla swoich mężów. No to one wtedy go prawie zlinczowały, bo był strajk, nikt nie pytał o pieniądze, nie szukał zarobku. Cały czas nasłuchiwaliśmy wiadomości, zmieniały się z minuty na minutę. Stoczniowcy, gdy wychodzili do domu, to przychodzili też na parafię i opowiadali, co się dzieje, przynosili materiały, drukowali różne ulotki,

Stan wojenny tak pamiętam. Na ziemi leżał lekki śnieg, sobota wieczorem, myśmy długo siedzieli, radio sobie tam grało. Po północy zaczął tylko Chopin lecieć, muzyka poważna, tylko na fortepianie. Ktoś zwrócił uwagę na to, zawsze o tej porze leciały jakieś rozrywkowe piosenki, a tu taka poważna muzyka. Poszliśmy spać, ale rano już było wiadomo, dlaczego tak było. Ogłoszono stan wojenny, aż ciarki przeszły po plecach. Msze tego dnia się odbywały normalnie, w sumie zawsze się odbywały normalnie z tego tytułu nas nie ograniczali. Żołnierze, którzy mieli kończyć służbę wojskową jesienią, zostali przetrzymani dłużej. Nie było komunikacji z rodzinami, telefony zatrzymane. Oni byli bojowo nastawieni przeciwko władzy, tego też władza się obawiała, bo nie mieli przygotowanych ludzi do panowania nad zamieszkami ulicznymi. Załogi się dopiero formowały, więc dla władzy to też była nowość. Nie wiedzieli, jak ci żołnierze zareagują i rzeczywiście oni byli po naszej stronie. Po ulicach, po osiedlach chodziły dwuosobowe patrole z karabinami maszynowymi, ale oni mieli ślepe naboje. Ci na nocnej zmianie przychodzili do nas na kawę, gospodyni robiła kolację tym chłopakom i oni wylewali swoją złość na stan wojenny. Nic nie wiedzieli,

kiedy wrócą do domu itd. Siedzieli i tak nam opowiadali o dużej zmianie, mówili, jaka była życzliwość z strony ich przywódców, że nagle się stali tacy bardziej ojcowscy, dawali im przepustki. Mogli chodzić do kościoła na mszę, jak chcieli. Spowiedzi bożonarodzeniowe się zbliżały, to przychodziły nawet całe kompanie. Opowiadali, że Wigilia jak domowa była i mogli na mszę przyjść. Oczywiście, nie indywidualnie, ale to wszystko było zorganizowane. Nagle się jedzenie poprawiło. Była taka atmosfera.

Natomiast jak przyszedł potem maj kolejnego roku i ludzie chodzili wieczorami, bo byli na komunii dzieciaków, godziny milicyjnej nikt nie przestrzegał. Te patrole jeździły i łapały tak po godzinie 22. Byłem zaproszony z kolegą księdzem do jednej rodziny Wracaliśmy późno licząc, że nikt nas nie zatrzyma. Zatrzymali nas blisko kościoła. Uciekliśmy do bloku. Nie zdążyliśmy się schować do jakiegoś mieszkania. Aresztowali nas i prowadzili na dół na posterunek przy kościele. Tam przesiedzieliśmy ze dwie albo trzy godziny. Ten patrol był taki 5-osobowy w marynarskich ubraniach. Zameldowali milicjantowi, że nas przyłapali, jak staliśmy na przystanku autobusowym i uciekaliśmy mając teczkę ze sobą i rozwieszaliśmy ulotki, a tą teczkę mieliśmy gdzieś po drodze wyrzucić. Milicjant, taki starszy pan, zobaczył, że księża w koloratkach, to zaczął nas przepraszać. Wtedy się okazało, że o ile tamto stare wojsko było tak negatywnie nastawione do stanu wojennego, to ci marynarze już byli po stronie władzy. To już byli zupełnie inni ludzie i już nie szło normalnie pogadać.

Potem, jak już stan wojenny się rozwinął, to wiadomo ruszyła młodzież, która angażowała się na różny sposób. My też nie byliśmy bierni, w kazaniach różne tematy się pojawiały. Ludzie poszukiwali się i lgnęli jedni do drugich i wyczuwało się, kto jakiej jest opcji. Ja miałem takie kazania patriotyczne, no i zaczęła się zbierać młodzież, gromadziła się wcześniej w Oazach. Młodzież w pewnym momencie się zgłosiła, kilka osób, żeby ulotki drukować. No i powstała taka konspiracyjna drukarnia, bardzo prymitywna. Wałek żelazny ktoś przyniósł, ładnie wytoczony, pewnie w stoczni, kawał szkła, na szkle tusz drukarski, ktoś tam zdobywał te matryce. Ja im pisałem te matryce, bo biegle piszę na maszynie, to się pisało bez tej taśmy, tak dobrze szło. Jeden papier kładł, drugi wałkiem przeciągał, trzeci odbierał, wszyscy byli wysmarowaniu od tego tuszu, od tej farby drukarskiej. To był moment takie wydrukowanie ulotek na parafii u mnie w pokoju. Chowaliśmy wszystko w takiej niewielkiej walizce w kratkę po skończonej pracy, a schowek był na cmentarzu w pustym grobie. Tak to było wykombinowane, że jak oni wychodzili, jeden brał walizkę, szedł do grobu i tam ja chował.

Tak się ten stan wojenny przeżywało. Proboszcz nam załatwiał kartki na paliwo, stoczniowcy przynosili papierosy z metra, takie długie. A potem w 84 roku poszedłem do Wejherowa. To już było na etapie księdza Jerzego Popiełuszko i zaczęło się organizowanie duszpasterstwa solidarnościowego, msze za ojczyznę i ja to prowadziłem w Wejherowie ku życzliwości mojego proboszcza księdza Tkacza. Te msze ruszyły raz w miesiącu i rzeczywiście kościół był pełen. Ludzie z Trójmiasta przyjeżdżali na te msze. Uwzględnialiśmy też elementy dekoracji świąt liturgiczno-kościelnych, znaczy kościelno-patriotycznych. Potem wystroje też miały te akcenty narodowo-polityczne, na Wielkanoc Polska z martwych wstaje, potem ksiądz Jerzy Popiełuszko, jego śmierć, to też mobilizowało ludzi. Po śmierci księdza Jerzego zrodziła się inicjatywa, by przy krzyżu postawić figurę księdza Jerzego. Zamysł był taki, by była to postać stojąca, leżąca lub klęcząca. Myśmy ten cokół wybudowali, na którym w przyszłości miała figura stanąć, ale dostaliśmy list, że zakazują. Wykazali, że przy kościołach przed wojną protestanckich, to ziemia jest państwowa, a jeżeli na ziemi państwowej chce się coś robić, to trzeba mieć zezwolenie.

W 1986 roku był taki dokument wydany o wszczęciu budowy nowego kościoła na osiedlu, gdzie jest to potrzebne. Najpierw wychodził taki dokument, w którym znajdowały się informacje o terenie. Kuria występowała do władz miejskich, że planuje się tu na tym osiedlu wybudować kościół. Miasto wydało dokument z tą informację o terenie i w ciągu dwóch lat trzeba było się co do tego dokumentu ustosunkować. Po śmierci księdza Adama Tkacza wyznaczono mnie do budowy tego kościoła. To był mój siódmy rok kapłaństwa, miałem 32 lata. Urząd Miasta zaproponował trzy działki, no i los padł na tę, dlatego że ona była uzbrojona. Zastanawiałem się, jakiego wybrać patrona, a ponieważ kościół miał leżeć obok szosy krokowskiej, która była ostatnią drogą do lasów piaśnickich, postanowiłem, by ukoronować jakoś ten cały obiekt jakimś pomnikiem.

Jak już miałem dekret, że mam organizować parafię, pojechałem do biskupa, a on wyraził zgodę, żeby kościół dostał nazwę Chrystusa Króla, chociaż to się dziwne wydawało niektórym. Co za związek ma Chrystus Król z Piaśnicą. A kiedy błogosławiona Alicja Kotowska była wyniesiona jako męczennica Piaśnicy, wtedy wystąpiłem do biskupa o drugiego patrona, błogosławioną Alicję Kotowską. W związku z tym zaczęło powstawać sanktuarium. Architektom przedstawiałem, czemu ma służyć ten kościół i że ma być upamiętnieniem ofiar piaśnickich i dobrze by było, żeby w tym kościele udało się wyłonić jakieś jedno miejsce, które byłoby poświęcone męczennikom piaśnickim. Tam ta kaplica jest do dzisiaj. Ponieważ w Piaśnicy podjęto próbę zatarcia śladów, postanowiłem umieścić imiona i nazwiska pomordowanych — przynajmniej tych, których znamy — w tej kaplicy i stąd na ścianie są te tabliczki kamienne z imionami i nazwiskami tych osób. Ksiądz biskup Tadeusz Gocłowski wyraził zgodę, by skierować pismo do wszystkich parafii i diecezji, aby proboszczowie zechcieli ogłosić, że tutaj właśnie taka powstaje kaplica w kościele dedykowana męczennikom Piaśnicy i osoby, które mają wśród pomordowanych swoich znajomych albo krewnych i czują się związane z tym miejscem, żeby zaczęły ich zgłaszać, bo chcemy ich upamiętnić.

Klęską Solidarności było dużo błędów, z czego często nie ludzie prawi, a prześladowcy korzystają. Kościół każe przebaczać, ale trzeba pamiętać, że przebaczenie wtedy jest możliwe, kiedy obie strony godzą się naprawdę. Jeżeli tego nie ma, to jest to fikcja przebaczenia. To jest coś gorszego i tego dopuścił się Mazowiecki, bo pominął najważniejszą prawdę i niby podkreślamy grubą kreską, ale to jest zafałszowane. Niby jest zgoda właściwie na to, co jest dzisiaj, czyli WSI rządzi, a kto nimi? Nie wiadomo, czy dalej z Rosji, czy doszli do zachodu. To fałszywe przebaczenie z grubą kreską powoduje to, co zawsze Ojciec Benedykt XVI podkreślał, żeby przebaczenie zaistniało, musi być oczyszczenie. Gdyby Macierewicz zrobił oczyszczenie w 90-tych latach, jakby mu pozwolili, to dzisiaj pewnie Polska byłaby niczyja, a tak to my nie mamy ani porządnych partii politycznych, ani w gruncie rzeczy nie wiadomo, kto nami rządzi. Są tacy, którzy gdzieś tam szukają korzyści tylko dla siebie, z Polski zrobili ładny folwark. My tylko widzimy wygaszanie Polski, bo likwiduje się wszystkie gałęzie przemysłu, wszystkie banki poddaje się pod rządy.

Solidarność to była tak jak Ewangelia, czyli tak jakby była nowina o życiu naszego narodu napisana w tych 21 punktach, to nie były jakieś idee, tylko codzienne sprawy, ponieważ one dotykały istotnej żywotności narodu polskiego. Była kwestia wyżywienia, kwestia tożsamości, kwestia szacunku, godziwych zarobków. Wyrażało się w tym codziennym życiu, że nie ma chleba, że są oszustwa, że nie ma związków zawodowych. Stworzono to, co konstytucją bym nazwał, która jest aktualna po dzień dzisiejszy. Ale niestety, z nią się stało jak z Konstytucją 3 Maja. Udało się piękny dokument napisać, stworzyć, a nie udało się go wcielić w życie i to się wszystko rozeszło po kościach. Historia kołem się toczy. „Gruba kreska" spowodowała, żeby je wprowadzić w życie, tego do dnia dzisiejszego nie ma i stąd losy polskie potoczyły się tak nędznie, tak jak Konstytucja leży w szufladzie.

Mamy za sobą już 35 lat, a „Solidarność" ma dwa znaczenia. Pierwsze to ten ruch społeczny roku 80-go roku, dziesięciomilionowy zryw. To nie był do końca związek zawodowy, w sumie to było stowarzyszenie. Już wtedy było wiadomo, że ten początkowy związek był potrzebny, żeby ta siła w Polsce przejęła władzę, chociaż w zamierzeniach strajkowych wcale nie było przyjęcia władzy. To też było zaskoczeniem dla samych strajkujących. Myślę, że Walentynowicz i Gwiazda też nie spodziewali się, że mogą aż tyle poprzez strajki zyskać. Im chodziło właśnie o te wolne związki zawodowe, możliwość wypowiedzenia się, ograniczenie cenzury, żeby była władza przyjazna dla ludzi. O to chodziło, a nie o zmianę władzy. A tu nagle pojawia się możliwość zmiany władzy i wokół tego nurtu zaczęli się zbierać cwaniaki. Niemniej to było potężne stowarzyszenie ludzi, którzy podobnie jak dzisiaj ta partia Kukiza, którzy powiedzieli głośno „nie", ale nie mieli żadnego programu. Kościół był jedynym takim miejscem, gdzie ludzie mogli swoje powiedzieć, zademonstrować, co z tym społecznym stowarzyszeniem o nazwie Solidarność zrobić. A stan wojenny wiadomo, gdzie dochodzi do walki między dobrem a złem, zawsze dobro zwycięża. Wydawało się, że oni tu zaczęli rozwijać solidarność, a to właśnie był czas oczyszczający dla solidarności i wiadomo było też, że z tej 10-ciomilionowej grupy narodu nie stworzy się jednego związku zawodowego i dopiero z tego zaczną właśnie pączkować różne partie polityczne, grupy zawodowe. To było coś naturalnego, że właśnie związek Solidarność jako stowarzyszenie ludzi po roku 90 zaczęli tworzyć, umiejscawiać swoją wizję Polski. Jedni w partiach

politycznych, dlatego z tego związku wyrastają wszystkie nurty, jakie są w Polsce, i te prawicowe, i te lewicowe, nie tylko zakorzenienie w PRL-owskich, ale też w tym zrywie. Więc do końca im nie można odmawiać, że oni zawsze byli poza. Oni też przeszli ten nurt przemiany, życie pokazuje, że więcej w tym jest fałszu i oni się przefarbowali, by na nowo władzę zdobyć.

Kiedyś Piłsudski powiedział, że Polska to jest taki naród, że człowiek człowieka zabije, brat brata oszuka, ale jako naród nie ma lepszego w świecie, bo jak jest jakaś tragedia, to potrafimy się zjednoczyć.

Dużo potrzeba tu zachodu, znowu pojawia się przed nami szansa, myślę że taka jaka na 35-lecie, jaka nam się szykuje.

Nigdy nie miałem pretensji do Kaczyńskiego, bo w złym świetle zawsze go media przedstawiały

i robili z niego kłótnika, guzik prawda. O wiele, wiele więcej złośliwości prezentują politycy PO, z Komorowskim na czele. I kampania prezydencka też. Oni musieli najpierw w nienawiść uciec, dlatego zaczęli swoją kampanię od przypominania, jak to było źle za rządów PIS-u.

Ludzie są nasiąknięci głupią telewizją. Wybory pokazały, że Duda wygrał, że dostała po nosie telewizja i głupi dziennikarze, te Lisy i inni. Ja tu jako ksiądz i jako wierzący widzę palec Boży. Były wybory — w dzień Zesłania Duch Św. To czas ważny dla nas ludzi wierzących , dla polityki to nie ma żadnego znaczenia , no on jakby ratuje Kościół. Tą komunie św. która została zwiana gdzieś przez wiatr. A Duda ją podnosi i niesie do Ołtarza. Więc to też jakiś znak, że to będzie właśnie Prezydent, który przywraca wartości chrześcijańskie, które umożliwiają nam przyjmowanie tej Eucharystii. Teraz obejmie stanowisko. 6 sierpień to jest dzień Przemienienia Pańskiego — wielkie święto w kościele, gdzie Apostołowie są blisko Jezusa i mówią do niego: „Panie, dobrze, że tu jesteś". To tak jakby przywrócenie wiary naszemu narodowi. Panie dobrze, że jesteśmy w Polsce i chcemy Ci dziękować za to. Znaki ciekawe, od nas zależy, czy my je będziemy umieli wykorzystać.



Stanisław Pacholec — ur. 23 czerwca 1947 r. na Kujawach, koło Lichenia, w wiosce Chrząszczewo. Ukończył szkołę zawodową w Gdyni, później technikum, zdobył specjalność obróbka ze skrawaniem. Żonaty, troje dzieci. Od 1974 r. mechanik w Stoczni im Komuny Paryskiej, współpracownik Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża, brał udział w strajku sierpniowym 1980 r. Członek związku zawodowego Solidarność. W stanie wojennym uczestnik manifestacji i organizator akcji antykomunistycznych. W Stoczni pracował do 1983 roku, potem wyjechał na Dolny Śląsk, pływał na zagranicznych statkach, wreszcie założył własną działalność gospodarczą.

Urodziłem się w glinianym domu, gdzie się urodziła moja mama. Moja mama była najstarsza, miała dwie siostry. Wszyscy rodzili się w tym samym budynku, tam przychodziła akuszerka.

Mój ojciec urodził się w lubelskim, w mieście Zaklików. Pochodził z rodziny wielodzietnej, było tam 6 dzieci. Przyszła II wojna światowa, mój ojciec miał 15 lat i moja mama również, ale wtedy się nie znali. Niemcy ich wywieźli za Lipsk, głęboko i daleko do Niemiec. Tam się poznali. W niewoli byli 5 lat.

Po skończeniu wojny, Amerykanie, którzy ich wyzwolili, namawiali, by zostali na Zachodzie. Ale mama chciała wrócić na Kujawy, do rodziców.

Wracali przez Zieloną Górę, na Poznań. Gdzieś w polu ich pociąg zatrzymali Ruscy, kazali im wysiąść i zabrali wszystko. Amerykanie dali im pościel, koce, takie rzeczy na początek. Ojciec mówił, że nawet rower mógł wziąć, ale nie było jak. Ruscy im wszystko zabrali, prócz tego, co mieli na sobie. Ojciec ledwo to przeżył.

Pobrali się w Sąpolnie, wynajęli mieszkanie w gospodarstwie nieopodal. Urodziłem się ja, po dwóch latach mój młodszy brat. W tamtej okolicy tereny są torfowe, znajdują się kopalnie węgla brunatnego, więc zaczęliśmy jako dzieci chorować. Lekarz polecił zmienić dla naszego zdrowia otoczenie. Wyjechaliśmy do Zaklikowa, gdzie były lasy i piaski. Po krótkim czasie, w 1951 r. matka zmarła na raka piersi. Ojciec został sam, pracował na kolei. Poznał kobietę, która miała syna w moim wieku, do tej pory się z nim przyjaźnimy. Ojciec się ponownie ożenił. Ale tam, na Lubelszczyźnie, była bieda, ojciec pracował przy robieniu podkładów kolejowych z drewna. Na ziemiach zachodnich powstał rynek pracy, komuniści utworzyli PGR-y. Mieszkała tam moja ciotka — koło miasteczka Kalisz Pomorski jest wioska Giżyno. Ciotka była przewodniczącą kołchozu i nas ściągnęła. W bydlęcym wagonie jechaliśmy chyba ze trzy dni. Dostaliśmy mieszkanie i ojciec rozpoczął pracę w PGRze jako hodowca zwierząt, później zrobił dyplomy na mistrza hodowli zwierząt.

Ojciec był pracowity, od 5 rano do wieczora, świątek, piątek czy niedziela. Jak podrosłem, to mu pomagałem. W Gdyni mieszkał młodszy brat mojego ojca. Więc tak mi to utkwiło, by się wyrwać właśnie tam. Byłem w 6 klasie szkoły podstawowej, a wtedy było 7 klas. Powiedziałem sobie, że muszę się wyrwać. Skończyłem 6 klasę, na wakacje pojechałem do wujka i 7 klasę kończyłem w Orłowie. Wujek wziął też mojego młodszego brata, bo nasza macocha nie bardzo nas lubiła. Ojciec się zgodził. Wujek, mimo iż miał swoich pięcioro dzieci, to nas dwóch przyjął. Po roku wujek umarł na raka, więc ciotka nie była nam przychylna. Mój młodszy brat chodził do podstawówki, musiał wracać do Giżyna, ale ja sobie załatwiłem szkołę z internatem i powiedziałem, że na wieś nie wrócę. Skończyłem szkołę zawodową, kiedyś była to szkoła Czerwonych Kosynierów, teraz to Szkoła Morska. Trzeba było iść do pracy.

Ojciec nie lubił komunistów. Mocno przez Rosjan ucierpiał, w oczy mówił, co o nich myśli. Przez to nigdy nie był w pracy nagradzany, zawsze stał na uboczu, ale nie zmieniał swoich poglądów.

W lubelskim bracia ojca walczyli w partyzantce, ale wtedy nie było mody, by o tym rozmawiać, więc szczegółów nie znam. Najstarszy brat ojca przeszedł cały szlak bojowy, szedł frontem z polskim wojskiem i skończył wojnę na Czechosłowacji. Pod Lublinem miał gospodarstwo rolne i miał 5 dzieci.

Jeszcze w szkole zawodowej miałem dobrego kolegę i często chodziłem do niego do domu. Mieszkałem w internacie przy ul. Energetyków, ale czasem zostawałem u tego kolegi i jego rodzina bardzo mnie lubiła. Jego mama miała siostrę w Nidzicy, więc wymyśliła sobie, że będę dobrym kandydatem na męża dla córki tej siostry. Kiedyś mnie tam zawieźli, do Barbary; jej ojciec był dyrektorem Państwowego Ośrodka Mechanizacji, a matka pracowała w urzędzie miasta. Wszyscy byli komunistami, łącznie z córką. Do kościoła nie chodzili. Ożeniłem się, w 1971 r. urodziła się nam Ewa, która w tej chwili mieszka w Anglii, ma siedmioletnią córeczkę Maję. Ale to nie trwało zbyt długo, rozwiedliśmy się po trzech latach.

Pracę w stoczni Komuny Paryskiej rozpocząłem w 1974 r. w dziale głównego mechanika; wtedy już byłem technikiem-mechanikiem, specjalność obróbka ze skrawaniem. Choć byłem młody, dostałem najwyższą 9 grupę. Kaszubi zaczęli mnie gryźć; choć znałem doskonale rysunek techniczny i byłem dobrze przygotowany zawodowo, miałem przerąbane z powodu ich zazdrości. Nigdy premii nie miałem.

Mieszkałem po kwaterach stoczniowych. Należałem do związków zawodowych, ale to było przymusowe. Nie było chcesz — nie chcesz.

Byłem wierzący. Wyniosłem to z domu; moja rodzina na Kujawach i w lubelskim — wszyscy byli katolikami.

Przed rokiem 80. docierały do mnie broszurki podziemne, słuchałem Wolnej Europy. Wtedy działacze, tacy jak Gwiazda, Walentynowicz, Borusewicz, ujawnili się i podali swe adresy domowe. Borusewicz mieszkał w Sopocie; napisałem do niego list, że chciałbym coś robić, podałem swój adres. Po jakimś czasie otrzymałem odpowiedź, spotkaliśmy się na peronie w Gdańsku Żabiance. Podał mi wtedy adres do Krzysia Jankowskiego, tu w Gdyni. Pojechałem do niego, jego ojciec też pracował w stoczni i tak to się zaczęło. Później dostawałem następne kontakty, do Wiesi Kwiatkowskiej (już nie żyje, walczyła o to, by ukarać za masakrę na Wybrzeżu, siedziała kilka lat); bywałem u niej w domu. Później Ania Gadziałowska z Gdyni. Dostarczali mi duże ilości różnych ulotek, w stoczni pracowałem na trzy zmiany, więc gdy miałem nocną zmianę, to te ulotki przemycałem. Roznosiłem po wydziałach, gdzie nie było ludzi, żeby mieli co czytać, gdy rano przyjdą do pracy. Z czasem Jankowski zaproponował, by u mnie w domu założyć drukarnię. Miałem malutkie mieszkanie, 26 m^2;, jednopokojowe. Był problem z papierem drukarskim, więc jeździliśmy z Krzysiem do Wejherowa, Pucka, Rumi i kupowaliśmy całe stosy. Oczywiście był potrzebny do tego denaturat, mieliśmy matrycę, tyle tego było, że w pokoju nie miałem gdzie spać.

Ponieważ byłem sam, to dostałem kawalerkę, pokój z kuchnią na Witominie w Gdyni. Obok, z prawej strony, mieszkał komandor, który uczył wojskowości studentów, a z lewej strony jakiś dziennikarz z marynarki wojennej, więc obstawę miałem bardzo dobrą. Na klatce czuć było denaturat jak cholera, ale jakoś się udało. Krzysiu parę razy mnie odwiedzał w domu, ale wszystko grało, nigdy nie było żadnej wpadki w moim mieszkaniu.

Jeździłem też po Polsce z tymi ulotkami. Miałem taką metodę: wsiadałem do pociągu, a gdy ruszał, z ostatniego wagonu rzucałem ulotki na perony. Do Poznania jeździłem do zakonnic i im ulotki zostawiałem, na własny koszt. Za wszystkie podróże nikt mi nie dawał pieniędzy na bilety.

17 września1979 r. była rocznica napadu Sowietów na Polskę. Poznałem kolegę, nazywał się Gerard Olter. Z nim drukowaliśmy ulotki o napadzie Sowietów na Polskę, załatwiliśmy sobie po litrowym słoiku kleju butapren i siedemnastego ruszyliśmy do centrum miasta, by oblepić słupy i inne widoczne miejsca, przystanki autobusowe. Gdy zakończyliśmy ul. Świętojańską i weszliśmy w ulicę 10 Lutego, tajniacy nas dopadli. Wsadzili w samochód, zawieźli na komisariat milicji przy Dworcu Głównym w Gdyni (teraz tego komisariatu już nie ma). Z tymi ulotkami i klejem siedziałem parę godzin, ale to była zwykła milicja i po paru godzinach zawieźli mnie na komisariat na ul. Harcerskiej. Klej i ulotki były dowodem zbrodni; wzięli mnie do specjalnego pokoju, przyjechało 2 tajniaków z Gdańska. Zaczęli wypytywać, myśleli, że będę zastrachany i wszystko im zacznę śpiewać, a ja ich się spytałem, czy są Polakami i jakie szkoły skończyli, że nie wiedzą, czym jest dla

Polaka data 17 września 1939. Wpadłem w taki amok, że w ogóle się nie bałem. Tak to trwało ze 2 godziny — oni swoje, a ja swoje. W końcu jeden z nich powiedział: „K..., dajmy mu spokój, bo i tak nic nie powie". Przyszedł komendant komisariatu — było widać, że w porządku człowiek — więc mu powiedziałem: „Ulotki przepadły, ale klej mi się przyda". „K..., dam ci ten klej, ale na moim terenie tego nie rób" — odpowiedział. No i mi ten klej oddali. Szedłem na bezczelnego, nie miałem nic do stracenia. A klej się wiele razy przydał.

Jeździliśmy na różne rocznice, pod pomnik Sobieskiego w Gdańsku. Nie było pomnika trzech krzyży, więc Wałęsa powiedział, by 17 grudnia każdy przyniósł choć jeden kamień, to usypiemy kopiec. Mój ojciec też przyjechał, z kamieniami zebranymi z pola. Przyjechał 300 km pociągiem.

W sierpniu 1980 r. czuć było w powietrzu, że coś się dzieje. Nie było wiadomo, czy to będzie 14 czy 15 sierpnia. Zaczęło się od Stoczni Gdańskiej im. Lenina 14 sierpnia. My zaczęliśmy dzień później. Jak myśmy zaczęli, to mądry Wałęsa przerwał strajk w stoczni Lenina i ludzie się już rozchodzili. Dzięki Walentynowicz i ludziom, którzy od nas pojechali do Gdańska, strajk został wznowiony.

W naszej stoczni od rana 15-go ludzie zaczęli wychodzić z wydziału pod główną bramę; ja też pobiegłem na mój wydział i mówiłem chłopakom: „idziemy pod bramę". Wiadomo, komuniści nie poszli. Postawiono wózek akumulatorowy pod bramę i młody, nikomu nieznany chłopak, Andrzej Kołodziej, wskoczył. Pracował w stoczni od dwóch dni i zaczął rozkręcać strajk. Miał takie gadane, że cały dzień gadał.

To było jakieś dwa lub trzy dni przed niedzielą. I trzeba było jechać po księdza, do prałata Jastaka. Zrobili na wprost bramy ołtarz. Po dywan poszliśmy do dyrekcji, dyrektor był oburzony, ale mu ten dywan prawie spod nóg wyrwaliśmy. Pojechali samochodem po księdza prałata, który był straszony przez ubeków. Ale to twardy Kaszuba z Kościerzyny; powiedział, że pojedzie i to była chyba pierwsza msza za komuny na terenie zakładu pracy.

Brama była otwarta, dużo ludzi przyszło, rodziny z dziećmi. Plac był pełen ludzi. Potem każdego dnia były jakieś tam wiadomości z Polski, że nas przybywa, że jest nas coraz więcej.

Po kilku dniach padło hasło z zarządu strajkowego, by z odezwą od stoczniowców jechać w Polskę. Więc ja się zgłosiłem do Wrocławia, wziąłem kolegę z mego wydziału. Dali nam parę złotych, by dojechać do Rębiechowa, bo tam miało być wszystko ułożone, byśmy samolotem polecieli do Wrocławia. Odezwy mieliśmy bardzo dobrze schowane, więc później, jak żeśmy wpadli, to ubecy nic nie znaleźli. Chodziliśmy po lotnisku, ale nie znaleźliśmy umówionego człowieka, za to znalazła nas ochrona lotniska. Wzięli nas do swego kantorka, mieliśmy ze sobą przepustki stoczniowe. Przeszukali nas dokładnie — nic nie znaleźli. Ale do Wrocławia nie polecieliśmy, bo przetrzymali nas do trzeciej nad ranem. Pieszo szliśmy do Gdyni, przez lasy. Opowiedzieliśmy całą historię w stoczni i wróciliśmy do strajku.

Tyle tysięcy ludzi trzeba było wyżywić; dyrekcja umyła ręce, bo dla nich to był strajk nielegalny.

Kierownicy wydziałów, jeśli nie życzyli sobie udziału w strajkach, byli zwalniani do domów, komuniści też. Dyrekcja jeszcze jakiś czas była, wystraszona jak cholera, nie wiedzieli, co mają ze sobą zrobić.

Nie umiem sobie wytłumaczyć, jak można było tyle tysięcy ludzi wyżywić. Było kilka stołówek na terenie stoczni i panie kucharki zostały z nami. Gotowały zupy z kiełbasą. Kiedy się ludzie w mieście dowiedzieli o strajku, to hurtownie i rolnicy ze wsi przywozili nam warzywa, ziemniaki, wędliny i mięso. Nawet widziałem osobiście, jak wojsko w nocy przywoziło nam świeży chleb. Aż się wierzyć nie chce. Mało tego — przy bramie, przy ścianie (był to chyba budynek kadry głównej) były wyrysowane takie kwadraty i na każdym był wypisany wydział: „W-1", „W-2"... I rodziny zaczęły znosić nam jedzenie. Na siatce było napisane nazwisko-imię-wydział — wszak nie zawsze przy bramie można było danego stoczniowca złapać.

Wtedy nie było komórek, więc gdy ktoś przyniósł jedzenie, to dyżurni przy bramie przyjmowali i można było sobie od nich odebrać. Zupy były zawsze z wkładką, przez cały strajk. Śniadania i obiady każdy robił sobie sam — był czajnik, kawa, herbata.

Były też obchody, takie straże, trzeba było pilnować nabrzeży, by ruskie wojsko nie przepłynęło.

A spało się na podłodze. Gdzie człowiek znalazł coś miękkiego, to się kładł i spał. Nie wiem skąd, ale znaleźli dużo styropianu i na nim najlepiej się spało. Łaźnie były czynne, ciepła woda — można było się umyć, ogolić.

Przez radio cały czas śpiewał nam Jacek Kaczmarski, dawał nam otuchy. Rano szło się pod bramę — tam był Andrzej Kołodziej i cały zarząd, w nim był mój młodszy brat Marek Pacholec, on pracował na wydziale kadłubowym W-2. Rano był rozdział zadań — to nie było tak, że siedzieliśmy na beczce i sobie śpiewaliśmy. Każdy miał coś do roboty.

Człowiek był w ciągłym napięciu, więc czas wolny nie był potrzebny, byliśmy w takim stanie, jakbyśmy się najedli jakiegoś narkotyku. I człowiek tak się w tym wirze znalazł. Nikt nie wiedział, jak to się skończy, czy Ruscy przyjdą, czy nas zamkną.

Trzeba było chodzić po stoczni, bo były wypadki, że tworzyły się grupy wywrotowców i komuniści robili takie grupy bojówkarzy. Myśmy się bali, że jakiś wydział podpalą. Ale szybko ich usuwaliśmy. Strajk był dobrowolny, nikt nikogo nie trzymał siłą.

Oczywiście nie wolno było pić alkoholu, to było ściśle zakazane.

Przyjeżdżali z Polski do nas, nawet górnicy i z innych zakładów pracy. Andrzej Kołodziej udostępniał mikrofon i słuchaliśmy ich odezwy. Opowiadali, co u nich, co w Poznaniu u Cegielskiego. Mieliśmy takie informacje i to dosyć dokładne.

Rano była obowiązkowa obecność pod bramą i Andrzej meldował, co się dzieje w innych zakładach pracy.

W stoczni Komuny Paryskiej jest potężna drukarnia, największa w Trójmieście. Szybko ją przejęliśmy i drukowaliśmy setki tysięcy ulotek każdego dnia. Też tam pracowałem. To już były prawdziwe maszyny, zecerzy, duża hala, na piętrze. Bo te drukarnie, co były na mieście, to nie wiem, czy je milicja opanowała, a tutaj już dostępu nie mieli.

Podpisanie Porozumień było pokazywane w telewizji, myśmy to na bieżąco przeżywali, oglądali, słuchali przez głośniki w radio. Pod koniec sierpnia byliśmy na bieżąco informowani. To dopiero się gotowało w każdym z nas, nadzieja była wielka.

Na nasze strajki przyjeżdżał nasz ojciec. Przeżywał to okropnie, mówił, że wreszcie się doczekał wolnej Polski.

Do Solidarności od razu się zapisałem. Szkoda, że nie dawali książeczek solidarnościowych, jak np. książeczka wojskowa. Byłby to teraz ważny dokument.

Zapisali się wszyscy, którzy brali udział w strajkach. Oczywiście wypisywaliśmy się z komunistycznych związków zawodowych.

Zaraz po zakończeniu strajku dyrekcja była grzeczna, bo sami nie wiedzieli, jak to będzie. Mój kierownik wydziału nawet powiedział przy bramie, że chce iść do domu i pytał, czy go wpuścimy z powrotem. Oczywiście podjęliśmy pracę, a po stoczni zaczęli chodzić tajniacy i wyłapywać takich aktywnych i zamykać. To się zdarzało.

Dalej działałem. Powstała gazeta codzienna „Solidarność", którą kupowaliśmy na terenie stoczni; były tam wiadomości z całego kraju.

Ja pracowałem, jak przedtem, nic się specjalnie nie działo. Zaś mój brat — ponieważ był w zakładowym komitecie strajkowym — miał kłopoty na wydziale. Chcieli go zwalniać z pracy, choć tego nie zrobili.

Gdy już nastąpił stan wojenny, to zaraz w niedzielę wziąłem żonę, kolejką pojechaliśmy do Wrzeszcza do hotelu Sasanka, do siedziby Solidarności. Był tam Wałęsa i Walentynowicz. Na miejscu były tłumy ludzi, a wokół pełno czołgów, milicji, szyby powybijane — pozabierali, co się dało. Przyjechaliśmy tam manifestować. Ks. Jankowski z Gdańska prosił, by się rozejść, że to nic nie da, że przecież nie pójdziemy na czołgi. Ludzie zaczęli się rozchodzić. Przyjechaliśmy do domu.

W poniedziałek miałem mieć drugą zmianę, więc rano wziąłem plecak, kupiłem żywność, chleb, papierosy (choć sam nie paliłem) i pojechałem szybko do stoczni. W stoczni było ogromne przygnębienie, siedzieliśmy i nie wiedzieliśmy, co dalej. Przyszła noc, pilnowaliśmy bram, płotów, nadbrzeża, z wysokich budynków prowadziliśmy obserwacje. W nocy podjeżdżało wojsko. Gdzieś tak może o 2 lub 3 nad ranem czołgi przypuściły szturm na bramę. W Gdańsku normalnie rozbili bramę, a u nas była cała kolumna, ostatni czołg chyba był przy dworcu. Przez megafon zaczęli nas straszyć, że otworzą ogień. Co było robić... Weszli do środka i kazali iść do domu. Była zima, śnieg — pozwolili nam iść do swoich wydziałów i zabrać rzeczy. Nad ranem kazali nam opuścić stocznię, bo przejęło ją wojsko. Szliśmy pieszo, wzdłuż tych czołgów jak niewolnicy.

Doszliśmy do dworca, a tam były plakaty, że wszyscy są zwolnieni z pracy, a stocznia zamknięta. Było napisane, że będziemy zawiadamiani oddzielnymi komunikatami. Potem zrobili kilka punktów w mieście, podzielonych alfabetycznie i robili weryfikację. Brata nie dopuścili do pracy. Ja przeszedłem przez to sito i wróciłem do pracy. Brat miał kłopoty, a miał dwoje dzieci, mieszkał na kwaterze stoczniowej, którą musiał opuścić. Jego żona miała do mnie pretensję, że go wciągnąłem w te rzeczy. Zacząłem chodzić do kierownika wydziału K-2, by przyjął brata do pracy. Po jakimś czasie powiedział, by brat do jego gabinetu przyszedł. I na jakichś warunkach, nie wiem, dali mu inną grupę czy mniejszą pensję, ale przyjęli go. Znów dostał kwaterę stoczniową.

Ta praca była już taka, jakby ptakowi skrzydła odciął. Ale przez głośniki dalej Kaczmarski śpiewał. Stan wojenny trwał prawie 2 lata. Oczywiście nie wolno było wyjechać z miejscowości, trzeba było iść do urzędu po przepustkę, kolejki jak cholera, nie było jak rodzinę odwiedzić. Dawali je, ale trzeba było stać w kolejce. Kartki na mięso chyba już wprowadzili. W sklepach nic nie było — ocet i musztarda. Solidarność była zawieszona, związki zawodowe, te komunistyczne, rozwinęły skrzydła, komuniści zaczęli się panoszyć, podnosili głowy. W nocy nie wolno było się poruszać, od 22 do rana była godzina milicyjna, ale ja miałem specjalną przepustkę, bo pracowałem na 3 zmiany. W nocy trzeba było coś robić, a że jestem mechanikiem i z zawodu kreślarzem technicznym, to przyniosłem raz do stoczni duże arkusze tektury, odpowiednie noże i ołówki. I z kolegą wyrysowałem logo „Solidarność", powiększyłem kilka razy. Wyciąłem to. Czerwoną farbę miałem, wziąłem drabinę i kolegę i na związkach zawodowych, komunistycznych, odbiliśmy na ścianie logo Solidarności. Zapomniałem o rozpuszczalniku, ręce miałem całe czerwone, a trzeba było przepustkę pokazać. Ale jakoś się udało.

Były też gabloty partyjne i za szybą mieli tam swoje wiadomości. Zawsze, jak przechodziłem, wszystkie szyby tłukłem. Wściekali się.

Jeździło się do Gdańska na różne manifestacje, raz nawet były czołgi. Były różne protesty, gazy łzawiące na nas rzucali. Tak mocne były te gazy, że ludzie w przejeżdżających pociągach płakali. Komuniści zatrzymywali pociągi w Oliwie, ale mieliśmy taką determinację i te 10 kilometrów do Gdańska szliśmy torami pieszo.

Na pochody pierwszomajowe też się odpowiednio przygotowywaliśmy, odpowiednie transparenty. I grupą ok. 100 osób, wzdłuż chodników czekaliśmy na odpowiedni moment, przed skwerem Kościuszki, gdzie była trybuna. Na wysokości kościoła na Świętojańskiej złapaliśmy moment, gdy była przerwa między jedną na drugą grupą. Wkroczyliśmy w ten pochód i rozwinęliśmy swe transparenty, wrzeszczeliśmy „precz z komuną", ludzie na trybunach oniemieli. Kawałek dalej musieliśmy się zwijać i rozpraszać, no i milicja ludowa miała problem — była za mało czujna.

Mimo stanu wojennego nie staliśmy w miejscu. Dalej działaliśmy, dalej były ulotki. Nie przestraszyliśmy się Kiszczaka czy Jaruzelskiego.

W stoczni pracowałem do 1983 r. Potem wyjechałem na Dolny Śląsk. Pracowałem też w Niemczech, Grecji, potem pływałem na statkach — po całym świecie. W końcu założyłem własną działalność gospodarczą. I byłem wolnym człowiekiem.

Jestem bardzo zadowolony z mojego życia, czuję się spełniony. Zwiedziłem pół świata, mieszkam w Gdyni, gdzie mi się podoba. Najstarsza córka jest w Anglii, przyjeżdża tu na wakacje. Młodsza, Ania, skończyła filologię angielską. Syn Paweł skończył w Orłowie szkołę plastyczną i poszedł w tym kierunku. Zdawał egzaminy na Akademię Sztuk Pięknych, ale się nie dostał. Jest grafikiem komputerowym. Bierze komputer pod pachę i jedzie do Paryża czy do Londynu, nie musi siedzieć w domu.

Sierpień to było cudo, to było bardzo potrzebne. Szkoda tylko, że tak to się posunęło dalej.

Gdyby się udało takie coś, to bym jeszcze raz uczestniczył. Za dużo teraz się dowiaduję, co się stało później, po „okrągłym stole", jaki mamy rząd, jak nas oszukują. Rządy są nieudolne, prezydent nie ma autorytetu.

To było największe wydarzenie, które mogłem przeżyć w życiu. Stan wojenny był przygnębiający, ale tym Sierpniem byliśmy tak naładowani, że tego nie dało się przerwać. Ale to dzięki mojemu ojcu, który był tak nastawiony, że jak słyszał słowo „partia" to cały kipiał. Ja to przejąłem po nim.

Naród przestał się bać. To był najważniejszy moment. Zaczął być obywatelski, choć do tej pory nam tego brakuje. Ludzie poczuli się gospodarzami tego kraju.

Największą porażką był Wałęsa. Że taki się znalazł, który wszystko rozpieprzył. Był sterowany przez komunistów. I że Jaruzelski przez tyle lat rządził, zaprzepaścił taką szansę, cała gospodarka upadła. Chwalą się, że mamy 25 lat demokracji. Ale co wybory, to sfałszowane, rząd nie liczy się z narodem. No i cóż, daleka droga przed nami. By Polska stanęła na nogi, potrzeba co najmniej 50 lat... Chyba, że coś się po drodze stanie.



Zygmunt Pałasz — ur. 2 maja 1948 r. w Rumi. Praktykujący katolik. Kończył Technikum Elektroniczne przy Stoczni Marynarki Wojennej w Gdyni. Żona nauczycielka, dwoje dzieci. Od 1962 roku pracował w Stoczni. Podczas strajku sierpniowego w 1980 r. kierował radiowęzłem w Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni. Od początku członek Solidarności. Archiwizował materiały z Sierpnia 1980. W 2000 roku wyrzucony z radiowęzła, przeniesiony na wydział elektryczny, musiał z dobywać nowe uprawnienia, aby zostać brygadzistą. Od 2008 roku na emeryturze.

Pochodzę z rodziny robotniczej, rodzice miejscowi, rdzenni Kaszubi. Ojciec był u generała Maczka. Po powrocie do kraju ojciec do końca był prześladowany, bo posiadał broń. Później ja też byłem przez to prześladowany. Ojciec demobilizował się w Polsce, a nie w Anglii.

W 1980 r. miałem żonę i dzieci. Żona pracowała — w szkole, była nauczycielką. Mieszkaliśmy w Wejherowie w mieszkaniu spółdzielczym.

Żona miała studia, a ja skończyłem Technikum Elektroniczne przy Stoczni Marynarki Wojennej. Jedyna w swoim rodzaju szkoła. Wykłady mieliśmy w Wyższej Szkole Morskiej. Nas było pięciu cywili, reszta to wojskowi, którzy robili maturę.

W 1980 r., jak wszyscy, należałem do związków zawodowych metalowców — to był przymus. Potem już tylko do Solidarności. Automatycznie zostało to rozwiązane. Przedtem jeszcze byłem członkiem ZHP, ale już w 1980 nie należałem do żadnej organizacji.

Byłem praktykującym katolikiem. Nie przynależałem do żadnych wspólnot, chodziłem za to na pielgrzymki. Kościół był zawsze u mnie priorytetem. Bóg na pierwszym miejscu.

Moim autorytetem był przede wszystkim ojciec, Jan Pałasz.

Wierzyliśmy w zmiany. Dzięki tej wierze, że coś się zmieni, że to musi runąć, ojciec mój żył. Wierzył, że komuna upadnie. Ja również wierzyłem, że to padnie. Widziałem, jak się żrą sekretarze. Kiedy przyjechał do stoczni pierwszy sekretarz Gierek, to pierwszy sekretarz Gdańska kazał mi go nagrać i dać mu taśmę. Każdy każdego kazał nagrywać. Czuło się, że coś się kroi. Była paranoja. Myśmy w radiowęźle mieli trzy pokoje. W jednym pokoju miałem dwa magnetofony, a w drugim miałem trzeci, dla mnie. Szefowi powiedziałem, że muszę nagrać to, co się dzieje tam na sali, że muszę zrobić też kopię. Dla siebie robiłem na tym trzecim zapasowym magnetofonie kopię.

U mnie w domu słuchało się Radia Wolna Europa — nie było innej stacji. To była podstawa. Dyrektor mnie kiedyś zawołał, żebym ustawił mu Radio Wolna Europa. Wszyscy wiedzieli, że słucham. Mój kierownik był taki czerwony. Ścigali mnie, jak nie wiem, ale z drugiej strony mówili, że nigdy nie będę ich.

Nie chodziłem na żadne pochody pierwszomajowe. Miałem wtedy długie włosy, wyglądałem jak hipis. Nie musiałem nigdzie chodzić.

Nie miałem kontaktu z prasą podziemną, ludziom załatwiałem jakieś tusze, farby, ale nie przypominam sobie, bym znał kogoś. A książki z drugiego obiegu docierały, rosyjskich pisarzy. O Katyniu się czytało. Ja pracowałem w radiowęźle i tam przychodziło wszystko. Miałem dostęp do wszystkiego. Zawsze dostawałem coś od kogoś.

Podwyżki nie zrobiły na mnie wrażenia — latało mi to wszystko. Miałem wykształcenie, pracę. Żona pracowała, ja pracowałem, mieliśmy dwoje dzieci. Dało się żyć. Gdybym nie był elektronikiem, to byłoby cienko. Starczało na średnią egzystencję. Miałem rodzinę w Niemczech, to mi pomagali. Słodycze przysyłali.

W 1980 r. pracowałem w centrali telefonicznej, do której należał radiowęzeł. Byłem elektronikiem, technikiem. W stoczni pracowałem od 1 września 1962 r. do 9 maja 2008 r. Pracowałem w stoczni już w wieku14 lat. Pracując skończyłem szkołę zawodową i później technikum. Moja praca była samodzielna. Mój szef miał w d..., co ja robię, miało mu

wszystko grać. Główny energetyk był moim szefem. On był bardzo czerwony. W kierownictwie wszyscy byli mocno czerwoni.

Jak były jakieś podwyżki, to zawsze byłem ostatni w kolejce. Naprawiałem telewizory, jakoś z tego żyłem. U mnie nie było możliwości awansu. Nie miałem na co awansować. To było stanowisko jednoosobowe.

Nie wiem, czy na terenie stoczni były jakieś struktury opozycyjne. Nie miałem takiej wiadomości. Na pewno były, ale nie wiedziałem o tym.

Pamiętam, jak zaczął się strajk sierpniowy. Pisałem pamiętnik na bieżąco. Skojarzyłem sobie rok 1970, tak samo się zaczęło — od takiej, jakby powiedzieć, agresywnej akcji kobiet: wrzeszczały, krzyczały. Tak samo było w 1970. Była analogia. Wyłączyli prąd w centrali telefonicznej. Wtedy było wiadomo, że coś się kroi.

Pamiętam wszystkich najbardziej zaangażowanych — Andrzej Kołodziej, Andrzej Kozicki, Tadeusz Pławiński, Tadeusz Piwko, Henryk Mierzejewski zakładali strukturę — Komitet Strajkowy. Między innymi oni byli pierwszymi najbardziej czynnymi.

Kołodziej był gwiazdą komitetu, był wykładnią strajku. Strajkiem rządził Tadeusz Pławiński. Był inżynierem. Pracował na dziale energetyki. Pierwsze trzy dni Kołodziej był wiodącym, później toczyło się bez niego, dzięki Pławińskiemu. Kołodziej był w Gdańsku.

Byłem wtedy w zakładzie pracy. Kupiłem sobie dużo jedzenia i już nie opuszczałem stoczni. Wiedziałem, że coś będzie, że coś się kroi. Znając już historię 70 r., co się działo w Komunie, chciałem coś sobie nagrać.

Nie bałem się. Byłem młody, miałem wykształcenie, wiedziałem, że pracę dostanę wszędzie. Bali się tylko działacze partyjni, moi przełożeni się bali, bo mieli dużo do stracenia. A mój ojciec cały czas na to czekał — aż strajk się rozpocznie, aż coś się zacznie.

Wszyscy moi przełożeni byli wrogo nastawieni do strajku. Zaś z moich znajomych nikt nie wyszedł ze stoczni, wszyscy zostali.

Kołodziej gadał przez tuby i było źle słychać. Wezwał nas dyrektor — co zrobić, by dyrektor mógł zostać w swoim miejscu i by to słyszał. Powiedziałem, że zrobię nagłośnienie. Sobie chciałem nagrać kopię. Kołodziejowi też powiedziałem, że dyrektor będzie go słyszał. Wtedy już chodziło nagłośnienie placu. Radiowęzeł nie był jeszcze wtedy zdobyty przez Kołodzieja.

Kopiowałem wtedy, ile się dało, co się dało i kombinowałem od ludzi z miasta, by mi przynosili taśmy magnetofonowe. Podłączałem obsługę mszy, nagłaśniałem. Mieliśmy swoje kino — też to obsługiwałem. Starałem się, by radiowęzeł był czynny dzień i noc, by każdy mógł podejść i powiedzieć, co chciał. Ja to cały czas nagrywałem. Dzwonił Kołodziej z Gdańska, to nagłaśniałem, co mówił i nagrywałem, by reszta wiedziała, co się dzieje. Do domu zadzwoniłem i dałem ojcu posłuchać pierwszej mszy. Ojciec był dumny ze mnie. Wszyscy byli dumni.

Kołodziej zaproponował dyrektorowi, żeby oddał radiowęzeł. Dyrektor naczelny się zgodził, bo wiedział, że nikt nie będzie w stanie go uruchomić. Tylko ja i jeszcze jeden kolega potrafiliśmy. Wyszliśmy z radiowęzła. Rano wróciłem, nic nie zginęło. Radiowęzłem był punktem newralgicznym. Nie było wiadomo, gdzie wyłączyć, jak się nie wiedziało gdzie. Ktoś w nocy wyłączył bezpieczniki. Rano odpaliłem to na swoją odpowiedzialność. Wszystko to, co się działo na placu, było słychać na całą stocznię i poza. Tak miało być.

Radiowęzeł i msza to była podstawa. W Gdańsku trzy razy podejmowali pracę w czasie strajku, u nas nie.

Do nas przychodziły zakłady pracy ze swoimi postulatami. U nas stworzono 17 punktów. Pamiętam, jak to ustalili. Dla Kołodzieja główną zasadą było uwolnić więźniów politycznych. Nikt tego nie ujął. On jedyny to miał. A dla mnie najważniejsze były wolne związki.

Organizacja strajku była wzorcowa. To był wzór, który trzeba byłoby zapisać. To był model. Jedyny, który się sprawdził.

W stoczni pracowali młodzi ludzie, średnia 24 lata. Całe kierowanie przejęło biuro konstrukcyjne z wyższym wykształceniem. Ludzie ich znali. Wszyscy mieli do nich zaufanie. Ja też, bezwzględne.

Z tego, co najbardziej utkwiło w pamięci, podobała mi się msza, na którą przychodzili wierzący, niewierzący, praktykujący, niepraktykujący. Wszyscy brali komunię, śpiewali.

Za bramą stały kobiety, dalej robotnicy, którzy nie pracowali w stoczni. Msza to był ewenement nie do powtórzenia. Wszyscy czekali na to kazanie księdza Ryby.

Pierwsza msza to ksiądz Hilary Jastak. Organizowałem tę mszę. Była spowiedź powszechna. W stoczni mieliśmy orkiestrę dętą. Grali, że aż huczało. Grali w podartych kombinezonach.

Nagłośnienie na całą parę. Słyszała to nie tylko stocznia. Było też poza stocznią. Port słuchał. Uszy aż puchły od hałasu. Nagrałem to sobie. Kontrolowali mnie z Komitetu Strajkującego, bo bali się tego, że nagrywam, ale chęć nagrywania była większa.

Codzienność strajkowa? Rano się budziłem. Dzień i noc włączone były mikrofony i radiowęzeł. Przez całe dwa tygodnie. Spaliśmy z dwoma kolegami w pokrowcach po głośnikach. Rano trzeba było się było przywitać z kumplami i iść na śniadanie. Były zupy, jakaś kiełbasa, chleb. Potem szło się pogadać z kumplami z różnych wydziałów i cały czas była walka o taśmy magnetofonowe. Przynosili mi z miasta, siostra mi przynosiła także. Kraty z naszego radiowęzła wychodziły na teren poza stocznię, więc z miasta mogli mi podawać przez te kraty, nie wchodząc na teren stoczni.

Potem obiad, kolacja i cały czas przygotowania — przyjeżdżali aktorzy z teatru, filmy. Trzeba było przygotować nagłośnienie, w zależności od tego, czy film, czy aktorzy. Nagrywać trzeba było, nagrywać, nagrywać. Musiałem się pilnować, bo wpadli kiedyś do mnie z komitetu strajkowego, chcieli wiedzieć, co nagrywam. Powiedziałem im, że nagrywam mszę. A w trzecim pokoju, gdzie nikt nie wiedział, nagrywałem na żywo wszystko. Nie powiedziałem im o tym. Trochę się bałem. Wiedziałem, jaką ma to wartość. Te nagrania to dokument, którego nie da rady przerobić. Nagrania nie da się sfałszować. Robiłem, co mogłem, by jak najwięcej nagrać. Siostra czy żona zabierała moje taśmy, czy ja woziłem, te z nagraniami, by nie były na miejscu. W sumie to był problem z taśmami, nie można było tak iść do sklepu i kupić.

Dzwoniło się do Kołodzieja. Przyjeżdżali ludzie z Gdańska, trzeba było z nimi pogadać. Ja miałem też mikrofon u siebie, by móc komentować, podawać. Jak ktoś dzwonił z Gdańska, to też się to na żywo nagłaśniało dla ludzi.

Były porobione warty. Ludzie chodzili, sprawdzali. Niektórzy tworzyli piosenki — „Boże nasz" — ja to nagrywałem. Mam to wszystko po kolei nagrane, jak się tworzyło. Codziennie była msza. Wieczorem filmy, koncerty i wiadomości, co się dzieje dalej — w Polsce i w MKS-ie. To się wszystko nagłaśniało.

Generalnie pogoda była ładna i można było sobie na placu siedzieć i spać na styropianie.

Pisałem też pamiętnik na żywo. Dałem go do skopiowania do archiwum, ale do mnie nie wrócił. Moje pamiętniki były drukowane w dwóch biuletynach. W gazecie „Czas" też były drukowane moje wspomnienia.

Ludzie nie mogli się bać, bo jakby się któryś bał, to by go wzięli na wózek i musiałby głośno powiedzieć, czego się boi, a ludzie by go wygwizdali. Wszystko było nagłośnione. Jeden facet bał się i wrócił do domu. To go żona przyprowadziła do pracy, bo koledzy strajkują, a on nie.

Inny też czmychnął, powiedział, że ma chore dziecko. Wyszedł i spotkali go na hali, jak jabłka kupował, to go na sąd koleżeński przyprowadzili do stoczni. Chcieli go koledzy z portu zlinczować. Tadeusz Pławiński zrozumiał go i powiedział, że każdy człowiek ma prawo się bać i może ze strachu kłamać — żeby go tylko wygwizdać i do domu puścić. Tak zrobili, wygwizdali go i puścili do domu. Nie miał wstępu do stoczni i do portu.

Sekretarza też wzięli na wózek i musiał się tłumaczyć, dlaczego te ulotki są zrzucane. Sekretarz mówił, że nie miał z tym nic wspólnego. Było dwóch sekretarzy — Jasiński i Stefanowski. Chcieli się tłumaczyć, ale Kołodziej i Pławiński im nie pozwolili. Wygwizdano ich tylko i kazali im pójść. Ani dyrektor, ani sekretarz nie mógł się tłumaczyć publicznie, co robią i dlaczego. Musieli się za bramę wynosić.

Całe moje kierownictwo w kanałach w podziemiu siedziało. Kazali tam sobie zupę przynosić. Bali się wychodzić. Nikt nie wiedział, gdzie oni są dokładnie — w tych kanałach podstacji. Nikt też ich specjalnie nie szukał.

Najbardziej mi się podobały spotkania z aktorami i msze. Msze były bardzo budujące. Każde zdanie księdza Ryby miało podtekst. On umiał mówić. Docierało to do ludzi. No i Jastak, który zrobił pierwszą mszę, która była najważniejsza, z ogólnym rozgrzeszeniem

i komunią dla wszystkich. Komunię każdy wtedy przyjął — strach był ogólny, nikt mi nie powie, że się nie bali. Ci, co mieli najwięcej do stracenia, to stracili — pracę, rodzinę — Mierzejewski, Pławiński, oni dużo stracili. Tadek Pławiński był przewodniczącym w stoczni. Jego oskarżali w sądzie, że buduje radiostacje, nagrywa i nagłaśnia to wszystko. Na tej rozprawie, na której byłem i ja, był taki stale podstawiany świadek. Rozpoznaliśmy go, chcieliśmy go wygwizdać, to nas wyrzucili z Polski. Tadek Pławiński został wyrzucony z Polski.

W stoczni drukowano ulotki. W drugiej połowie strajku było już czynne ksero. Tam Zbyszek Bulczak pracował, on dzień i noc tam drukował z kolegami. Szło nie z drukarni, a z ksera.

Ja pilnowałem radiowęzła i spraw związanych z nagrywaniem. Do radiowęzła prowadziły trzy bramy. Wydawaliśmy specjalne przepustki dla ludzi, którzy chcieli wejść do radiowęzła. Na placu z przodu była brama, obok kadry główne, gdzie był radiowęzeł. Tam siedział zarząd strajkowy. By wejść do radiowęzła czy zarządu, trzeba było przejść przez kontrolę — po co się wchodzi, na co itd. Ja miałem stałą przepustkę.

Mam nagranie na taśmach (dwa telefony były czynne) — słyszeliśmy, jak milicja mówi, że chyba będzie musiała podjechać pod stocznię, bo tam jest bałagan. Puściłem to na całą stocznię przez radiowęzeł — żeby posprzątali wszystko, choć był porządek.

Milicja pilnowała, by ulotek nie wywozić. Od nas ulotki wywozili karetką. Ludzie te ulotki odbierali i wysyłali do Nauty, do Gdańska, wrzucano je do pociągów, by szło na całą Polskę — to robili chłopcy. Myśmy mieli profesjonalną drukarnię, w Gdańsku mieli offsety.

Strajk zintegrował wszystkich ludzi. Wszyscy mówili i myśleli jednym głosem. Było paru panikarzy, co krzyczeli, że łodzie podwodne widzieli na morzu.

Średnia wieku w stoczni to było 24 lata. Młodzi liczyli na to, że się coś zmieni. Najgorzej się bała kadrowa, która zatrudniła Kołodzieja. Bała się, że będzie miała problemy, że go zatrudniła.

Każdy mógł opuścić stocznię. Nikogo nie trzymano na siłę. Każdy mógł stanąć na wózku, powiedzieć publicznie, że się boi i wyjść. Ale każdy, choćby nawet się bał, wstydziłby się. Chociaż się bał, nie mógł się bać. Nie mógł się bać ze względu na to, co by go później czekało.

Nie było takich sytuacji, by ktoś zakłócał nam spokój, czy jakieś otwarte konflikty.

Nie zauważyłem czegoś takiego jak spory ideologiczne lub personalne. Sekretarzy wygwizdali i wyrzucili, zabrali przepustkę. Kto próbował coś mieszać z partyjnych, od razu lądował na wózku i za bramę. Ludzie od razu donosili na partyjniaków. Oni nie mieli okazji się wykazać.

Dyrekcję całą i sekretarzy Kołodziej zamknął w jednym pokoju. Mieli dostęp do toalet, pilnowało ich 20 ludzi. Donoszono im jedzenie. Dyrekcja miała z nami kontakt przez radiowęzeł. Słyszeli dokładnie, co się u nas dzieje. Zrobiłem dyrekcji taki podsłuch, by mogli słyszeć. Ludzie, jak chcieli o coś zapytać, to pytali na placu i dyrekcja to słyszała. Później dyrekcja mogła na wózku odpowiedzieć na te pytania.

Każdy pamięta podpisanie Porozumień. Wszyscy siedzieli jak na igłach. Myśmy mieli nasłuch słuchawkowo-mikrofonowy. Kto był w Gdańsku, dzwonił do nas i ja to puszczałem na stocznię. O wszystkim na bieżąco wiedzieliśmy. Jak podpisali, była wielka ulga.

Ludzi ze strajku wypuszczali według porządku. Najpierw kobiety, później kolejne wydziały miały opuszczać zakład pracy.

U nas w stoczni wcześniej było tak, że różne oddziały pracowały na różne godziny, by kolej i autobusy nie były zapchane. Dyrekcja i biura na ósmą, ja na szóstą, inne wydziały na siódmą. Zaczynało się od szóstej do ósmej. Z wyjściem też było trzeba tak zrobić, by nie było zatorów i kolejek.

Była satysfakcja, że coś osiągnęliśmy, że rząd musiał z czegoś rezygnować. Pierwszy raz zobaczyliśmy, że można pertraktować z rządem. Uwierzyliśmy, że w jedności siła. Że jak się razem zbierzemy, to można naprawdę dużo. Wszyscy byli zadowoleni. Wracaliśmy z tarczą. Traktowali nas jak bohaterów. Jak ludzi, którzy czegoś dokonali.

Od razu pomyślano o pomniku Grudnia 1970. U nas w Stoczni w Gdyni ogłosili konkurs na projekt pomnika. Miał być zatwierdzony przez ministra. Minister nie miał pojęcia o tym, co się w Grudniu działo. Że jakieś rozruchy były, że milicja strzelała do robotników. Podpisał zgodę na ten pomnik — na upadającego robotnika i siódemkę.

Do Solidarności przystąpiłem od razu, gdy tylko powstała. Zaraz się wpisałem, jak większość ludzi. Nie pełniłem żadnej funkcji. Znałem wszystkich, archiwizowałem materiały. W tym czasie nikomu nie zależało na układaniu i archiwizowaniu materiałów. Zacząłem je zbierać, układać. Myślałem, że może się to komuś przydać. Uzależniony jestem od archiwizowania. Na mnie później mówili, że jestem archiwistą życia stoczni.

Miałem takie pismo z Solidarności, że zbieram różne materiały. Jeździłem do Gdańska, do Trójmiasta, nagrywałem na magnetofon, robiłem zdjęcia. To było publikowane w biuletynach. Starałem się, żeby żadnych pieniędzy za to nie brać. Później w stanie wojennym szukali ludzi po tych wynagrodzeniach.

Uważałem, że Solidarność naprawdę reprezentuje ludzi. Uważałem, że to jest to, co powinno być. Że jak coś się złego ludziom dzieje, to pomagają. Solidarność była naprawdę dobra.

Potem już widziałem, że ludzie Solidarności stawali się urzędnikami, już nie działaczami. Stawali się urzędnikami Solidarności.

Do Solidarności przystąpiło 90% ludzi. Próbowali partyjni zrobić związki branżowe — powstały dwa związki nowe, trzymali tam partyjniaków na siłę. Ale większość ludzi należało do Solidarności.

Na początku we władzach zakładowej Solidarności byli ludzie ze strajku — Tadeusz Pławiński, Henryk Mierzejewski i Andrzej Kozicki. Po stanie wojennym wszyscy zostali internowani, oprócz Kozickiego, i wywaleni ze stoczni. Kozicki został w stoczni. Potem Kozickiego zmienił Śniadek. Kozicki miał siedmioro dzieci, SB go przycisnęło, by szedł na wcześniejszą emeryturę i się nie włączał.

Przywódcy byli wybierani podczas wiecu. Mam to nagranie — Kołodziej powiedział, że Wałęsa jest Bolkiem, to dostał mało głosów. Nie wybrali go.

Kołodziej pracował jako emisariusz czas jakiś, po zakładach. Później pojechał do Czechosłowacji, został aresztowany i tam został. Siedział cały wyrok w Pradze. Wałęsa już był przewodniczącym Komisji Krajowej i nic nie zrobił, by go zwolnić. Po powrocie Kołodziej mieszkał w Zagórzu, był trochę wójtem. Później wrócił do Gdańska. Zamieszkał z Walentynowicz, działał w Solidarności Walczącej.

Kołodziej apelował, by nie dać pełnej władzy Wałęsie, ale nikt go nie słuchał.

Gros ludzi wchodziło z bloku konstrukcyjnego — ludzie, którzy kręcili stocznią. Oni wspomagali i wspierali mocno Solidarność.

Prawie wszyscy z kierownictwa byli w Solidarności. Nie musieli w to wierzyć. Należeli, składki płacili. Kierownicy nie mieli prawa, by okazywać jakieś negatywne emocje, czy wyciągać sankcje względem nas. Nie było kierownictwo wylewne, nie pomagało, ale nie przeszkadzało nam w zebraniach Solidarności i działaniach.

Partyjni — jedni rzucali partię i zapisywali się do Solidarności, inni mieli książeczki partyjne i należeli do Solidarności.

Pamiętam, przyjechał Wałęsa do stoczni i jeden facet wstaje, przedstawia się, że jest pracownikiem W-3, na Helu buduje pierwsze struktury Solidarności. Dwa lata wcześniej ten facet do Gierka powiedział: „Towarzyszu, ja jako pierwszy na Helu zacząłem zakładać struktury partyjne". Ten facet musiał się wykazać, miał potrzebę, nieważne po czyjej stronie.

U nas w stoczni nie było żadnych trudności. Nawet dostali pomieszczenia większe niż chcieli. Większość ludzi była za Solidarnością. Oficjalnie więc nikt nam nie przeszkadzał.

Największym osiągnięciem Solidarności było postawienie krzyża na terenie stoczni. To taki, jakby powiedzieć, wrzód na d... komuny. Pośrodku stoczni, przy samej bramie postawili krzyż podświetlony. Stawiali przy nim kwiaty. Wszystkie zebrania były przy krzyżu później organizowane. Do tej pory tam stoi. Ten krzyż postawili tam, gdzie były pierwsze msze. Jeżeli ktoś wierzył w komunę, to ten krzyż musiał go strasznie boleć.

Podobało mi się też to, że przez radiowęzeł można było powiedzieć to, co się dzieje. Nawet w Radio Wolna Europa nikt tego nie negował. Można było ogłaszać wszystko przez radiowęzeł. Ludzie bardzo wierzyli temu, co się przez radiowęzeł ogłaszało.

Plusem pierwszego okresu Solidarności było to, że ludzi mówili wszystko i o wszystkim oficjalnie, głośno. Kierownicy byli w Solidarności, ludzie byli w Solidarności. Można było powiedzieć głośno wszystko. Wszystko było jawne, to mi się bardzo podobało. Nic się nie działo poza plecami, bo byłyby z tego powodu sankcje.

Stan wojenny dopadł mnie w Zakopanem. Dostałem cichą delegację, by pogadać z księdzem w Zakopanem o budowie kościoła. Ktoś ze Szwecji chciał wspomóc tę budowę. Wziąłem delegację i pojechałem. Mieszkałem u kuzynki. Rano dzieci do mnie mówią: „Wujek, nie ma teleranka". Włączyłem Radio Wolna Europa. Wszystko było dobrze słychać. Czeska telewizja mówiła, co się dzieje. Stąd wiedziałem.

Poszedłem na miasto narty kupić. Podjechał do mnie jeep, ludzie wyszli, docisnęli mnie do muru i pytali, czy wiem, że nie można nosić nart, bo można na nich do Czechosłowacji uciec. Ja powiedziałem, że mam to w d... Zwinęli mi te narty i zabrali mnie do paki. Zapytali, skąd jestem. Powiedziałem, że z Gdyni. Oni zmienili, że z Gdańska. Przesłuchiwali mnie, co robię, dlaczego. Ja na szczęście zameldowałem się wcześniej w Zakopanem. Odpowiadałem, że jestem z Gdyni, a nie z Gdańska. Kazali mi wyjechać w przeciągu trzech godzin. Poszedłem do kuzynki, ona — że pójdzie do milicjantów, że ich zna. Poszła do nich, a się okazało, że nie jest zameldowana w Zakopanem, tylko ma tam dom. Też dostała nakaz wyjazdu z Zakopanego do Wrocławia, gdzie była zameldowana. Jej dzieci musiały zostać w Zakopanem.

Dla nas to była przygoda, ten stan wojenny. Wychodziliśmy w nocy, by sobie ciśnienie podnieść. Stan wojenny kojarzy mi się z tym, że się Polska poddała, zupełnie niepotrzebnie. Była to umowa dla komuny.

Cały czas mówiłem wszystkim, co mnie sprawdzali — milicji — że to nie jest stan wojenny. Pytałem się ich, gdzie tu jest wróg? Z kim walczymy?

Chodziłem do Gdyni na kurs języka niemieckiego. Kiedyś wracałem wieczorem i złapała mnie milicja. Na przesłuchanie mnie wzięli — co robię, skąd wracam. Powiedziałem, że wracam z kursu języka obcego. Przesłuchiwali mnie, dopytywali, jakiego języka. Gdy powiedziałem, że niemieckiego, to pytali, dlaczego niemiecki. W końcu mnie puścili, ale do domu już nie wróciłem, bo wiedziałem, że znów mnie mogą złapać. Poszedłem do stoczni i tam przekimałem, przeczekałem noc. Nie miałem jednak skłonności, by się bać.

Miałem taką przepustkę, że mogę opuszczać miejsce pracy i chodzić po całej stoczni. Roznosiłem wtedy ulotki itd. Miałem też taką przepustkę, że także w nocy mogę chodzić do pracy. Miałem więc taką wolność, że w dzień i w nocy się poruszałem.

Nie kontynuowałem żadnej działalności. Jeździłem na wszystkie zadymy do Gdańska itd., ale oficjalnie nie podpisywałem się. Chciałem zbierać materiały, ale nie chciałem się oficjalnie wiązać, deklarować, bo wiedziałem, że mogę to wszystko stracić. Nie miałem potrzeby wykazywania się.

Stan wojenny tak naprawdę mnie mocno nie zmienił. Do pracy chodziliśmy. Przepustki miałem na wszystkie godziny. Nie było tak, żebym się czegoś bał. W Gdyni nie było ciężko, nie chodzili kacykowie i nas nie spisywali. Gdynia się rządzi swoimi prawami.

W czasie stanu wojennego nie zostałem zdegradowany. Byłem jedynym elektronikiem, który obsługiwał radiowęzeł. Nie mieli dużego wyboru. Dalej pracowałem, ale mówili mi, że ty nie jesteś nasz, ale miałem to w d... Nie musiałem się bać o żadną pracę, a jeszcze byłem na bieżąco z tym, co się dzieje.

Każdy sekretarz musiał oglądać dziennik, to był taki obowiązek. Nasza stocznia dostała magnetowid od Gierka. Gdy sekretarze jechali na imprezę, po mnie przyjeżdżało auto, nagrywałem ten dziennik i później mnie odwozili do domu. Sekretarze oglądali ten dziennik w poniedziałek.

Z radiowęzła wyrzucili mnie w 2000 r. Dostałem resocjalizację. Poszedłem na wydział elektryczny, niby ze względów finansowych. Majster mówił, że nie mam uprawnień elektrycznych, a miałem elektroniczne, więc kazał mi iść kopać rowy itd. Dopiero jak poszedł na emeryturę, po paru latach, to mogłem zrobić kurs i zostałem brygadzistą.

Nie byłem związany z ruchem związkowym czy opozycją. Ja miałem swoją działalność. Zbieranie materiałów, ulotek, itd. Jak ludzie coś chcieli, to do mnie przychodzili.

Nigdy nie popierałem i nie tolerowałem porozumień „okrągłego stołu". Nigdy nie będę tego popierał. Dużo rzeczy wiedziałem na temat Geremka — jak źle traktował ludzi, jak mówił, że Żydzi powinni przejąć całą władzę, bo będą wiedzieli, jak rządzić. On traktował instrumentalnie Polaków. Traktował nas z góry. Nie podobało mi się to. „Okrągły stół" to było poddanie się. Poderżnięcie gardła kurze, która znosi złote jajka.

Aktualnie nie staram się o nic walczyć. Nigdy nie paliłem, nie piłem. Spłacam kolejny kredyt, spłacam kolejne alimenty. Na życie ledwie, ledwie, ale mi starcza. Samochodu nie mam, niczego nie mam. Do końca życia już chyba nie będę miał niczego.

Mam swoje hobby, fotografię, malowanie i mam pełno przyjaciół, na których mogę liczyć. To jest moim sukcesem. Nie muszę się niczego wstydzić, mogę chodzić z podniesioną głową. Nikogo nie okradłem, nie okłamałem. Nic też za darmo nie dostałem.

Zryw sierpniowy 1980 r. zrobiło nasze pokolenie, jedyne pokolenie, które nie zaznało wojny, okupacji. Ja traktuję to jako tzw. drugi cud warszawski. Zdobyliśmy wolność drugi raz, wyłamaliśmy się spod komuny. Choć komuna ma teraz pieniądze, a dzięki pieniądzom ma władzę. Znałem kilku sekretarzy i każdy ma się dobrze.

Solidarność wspominam jako uczucie, uczucie solidarności było bardzo ważne. Mógł człowiek liczyć na to, że zostanie poparty, że nie zostanie sam. Solidarność międzyludzka była bardzo ważna. Była ta świadomość i wiara, że można liczyć na pomoc.

Na początku Solidarność, jako związek zawodowy, to było coś fajnego. Potem ludzie stawali się urzędnikami, a ruch partią. Mieli swoje cele wyznaczone i nie słuchali już ludzi. Brali pod uwagę ogół ludzi, a nie pojedynczych. Nie jakiś pojedynczy zakład, a ogół ludzi.

Gdyby trzeba było ponownie wziąć udział w takim strajku — jak najbardziej bym przystąpił. Może i tak będzie, że historia koło zatoczy i będzie trzeba strajkować.

Nie wiem, jak dzisiaj ocenić osiągnięcia Solidarności, no nie wiem. Na początku były duże. Co nam pozostało — Kościół, mamy msze w radio, telewizji, mamy paszporty, mamy telewizję. Teraz mogę jechać, gdzie chcę i kiedy chcę i nikt mnie nie pyta.

Wtedy wyjeżdżanie za granicę było poniżające. Mam trzy paszporty pełne pieczątek, bo tak mnie sprawdzali. Demontowali drzwi, opony, wszystko, jak się jeździło. Teraz na spokojnie. Nie chciałbym wracać do tamtego, co było kiedyś. Jak się kiedyś jeden dzień spóźniłem z paszportem, to milicja przyszła w nocy i mi drzwi wyważyła, żeby go zabrać. Później tylko miałem problem, musiałem też iść odzyskać dowód, bo również mi zabrali.

Mam też do dziś na pamiątkę kawę wystaną w kolejce w Polsce. Na wszystko trzeba było czekać.

W latach 80. pisałem o pozwolenie do Kiszczaka, by móc zamontować antenę satelitarną. Dostałem na to zgodę. Miałem antenę, tłumaczyłem, że chcę wiedzieć, co się dzieje za zachodzie, bo mam tam rodzinę. Miałem 60 programów.

Największy błąd Związku był taki, że członkowie Solidarności — ludzie pracujący na etatach — stali się urzędnikami, a Solidarność stała się partią, a nie związkiem.

Ostatnie 25 lat to tak zwana niepodległość uzależniona od tak zwanych braci większych — Niemiec i Rosji, już nie mówię o Unii. Niemcy i Rosja zawsze nami będą dyrygować. Jesteśmy wolni, ale nie do końca.

Sprowadziłbym prezydenta Węgier do Polski, by wszystkie sklepy potężne opodatkował, by wszystkie banki opodatkować, by były dopłaty do stoczni, zakładów, które robią śmigłowce. Coś, żeby młodzi ludzie nie musieli jechać za granicę.

Lecznictwo — leczenie dla ludzi, pracowników tak jak było kiedyś. By było działanie od razu, by to nie zależało od pieniędzy. By lekarze leczyli w zakładach pracy za darmo, dentyści za darmo. Nie podoba mi się, że trzeba za wszystko płacić — jeżeli chce się mieć od razu.

Szkoły też powinny być za darmo, wszystko — książki i inne materiały do nauki. To wszystko powinno być za darmo.

W tej chwili ja tylko mogę się spotykać z młodymi ludźmi i tłumaczyć im, że może być lepiej, że do tego trzeba dążyć. Mogę im tłumaczyć, by nie wyjeżdżali za granicę. Trzeba apelować do młodych ludzi. Ludzie, którzy uczyli się w Polsce, lekarze, dentyści, powinni to wszystko spłacić, jakiś czas powinni odpracować to w Polsce.

Wszystkich sędziów, którzy pamiętają komunę, wysłałbym na emeryturę — staż większy niż 40 lat — emerytura. Całe sądownictwo powinno być ułożone od nowa. Wszystkie stanowiska, jak prezydent miasta, Polski, to powinno być maksymalnie dwa lata, by nie zdążyli wejść w żadne struktury wzajemnych zależności. Dwie kadencje maksymalnie, przerwa i znów może startować.



Władysław Paszak — ur. 9 grudnia 1936 r. Wierzący, praktykujący. Wykształcenie średnie techniczne, technolog. Żonaty, sześcioro dzieci. Zatrudniony w Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni w biurze konstrukcyjnym. W 1980 r. uczestnik strajku sierpniowego w gdyńskiej stoczni. Nie wstąpił do Solidarności, ale zawsze z nią sympatyzował.

W 1980 roku byłem żonaty, miałem 6 dzieci. Wykształcenie średnie techniczne, technolog. Mieszkanie właśnie w dzielnicy przedwojennej o nazwie Spółdzielnia Robotnicza Katolików Polskich w Gdyni. Nie należałem do żadnych organizacji i nigdy nie będę należał. W moim życiu Kościół rolę odgrywał bardzo dużą, w okresie przedwojennym, okupacyjnym jak i obecnie. Moim autorytetem cały czas w tym czasie był Kościół — ksiądz proboszcz Franciszek Wróblewski, który pochodził z Kaszub.

Pracowałem w stoczni, później w biurze konstrukcyjnym, a w międzyczasie byłem w marynarce wojennej w szkole w Ustce, a następnie w Sądzie Marynarki Wojennej za niesłuszne skazania, kiedy Gomułka doszedł do władzy. Zarobki nie wystarczały, chociaż dorabiała żona, niestety, musiałem pracować częściowo dorywczo w porcie...

Pamiętam bardzo dobrze początek strajku, pamiętam, jak tworzyli pierwszą listę postulatów. Ja nigdy się nie obawiałem przystąpienia do strajku, wierzyłem w nową ideologię, którą Polska powinna odzyskać.

W stoczni w czasie strajku, tak się złożyło, że jest to historyczna sprawa, zakończono budowę drugiego SD2, drugiego doku, gdzie byłem pracownikiem dyrekcji pionu inwestycyjnego stoczni. I w momencie, kiedy nastąpił strajk, był cykl rozliczenia drugiego doku i wyszliśmy na zero bez jakichkolwiek długów.

Zorganizowałem w pionie inwestycji koło solidarnościowe i przekazałem listę założycielską do komitetu strajkowego.

Moment podpisania porozumień zapamiętałem jako bardzo uroczysty, ucieszyłem się, myślałem, że Polska wreszcie zrozumie, wejdzie na inne tory, będzie sama się rządziła w późniejsze lata.

Nie przystąpiłem do Solidarności, ale sympatykiem i będę zawsze popierał. Obecnie został założony „Zawiązek Solidarnościowy Polskich Kombatantów".

Największe osiągnięcie Solidarności to przede wszystkim wolność słowa i sumienia.

„Okrągły stół" pierwotnie podobał mi się, ale jego idea została spaczona i od tego momentu nie uczestniczyłem w jego obradach.

Z perspektywy sierpnia 80 myślałem zawsze o rozwoju Polski niezależnej, od nikogo, niepodległej i bez żadnych paktów.

Największy błąd Solidarności to taki, że nie rozliczyła się do chwili obecnej w ogóle z osób, którzy nie powinni do niej przenikać i są w dalszym ciągu, i wprowadza ten system do dnia dzisiejszego, do obecnych wyborów.

Teraz w Polsce zmieniłbym całą strukturę administracyjną, żeby Polska była zupełnie samodzielna, żeby nie była kierowana z różnych stron przez osoby niemieszkające w naszym kraju. W obecnym układzie i tym czasie, niestety jest to niemożliwie, ponieważ zbyt dużo jeszcze starej nomenklatury jest w różnych strukturach.



Władysław Pawelec — ur. 10 listopada 1943 r. w Gdyni. Od 1966 r. pracował w Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni, był brygadzistą w warsztacie mechanicznym. Ukończył technikum dla pracujących. W 1980 r. żonaty, dwójka dzieci. Uczestniczył w strajku sierpniowym, członek komitetu strajkowego. Członek związku zawodowego Solidarność. Od 2001 r. na emeryturze.

Moja mama była z pochodzenia Ślązaczką (Dolny Śląsk), która przyjechała za pracą na Żuławy. Ojciec pochodził z okolic Stargardu Gdańskiego.

W Stoczni pracowałem od 1966 r.

W 1980 r. byłem żonaty i miałem dwie córki (12 i 8 lat). Mieszkaliśmy wtedy w spółdzielczym mieszkaniu na Zamenhofa (tym samym, w którym mieszkam obecnie z żoną).

Pobierałem wówczas względnie dobre wynagrodzenie, ponieważ był to okres zamówień dla Norwegów. Byłem zadowolony z miejsca pracy. Utrzymanie rodziny było jednak trudne, ponieważ byłem jej jedynym żywicielem — żona opiekowała się córkami. Z tego powodu często brałem nadgodziny — wypracowywałem do ok. 100 nadgodzin miesięcznie, żeby wystarczyło na utrzymanie rodziny.

Pamiętam pierwszy dzień strajku. Informacje, że coś się może dziać, pojawiały się w rozmowach między ludźmi pracującymi na hali. Wracając od lekarza, zobaczyłem pochód z Andrzejem Kołodziejem. Po powrocie na swój wydział informowałem, co się dzieje przy bramie.

Wśród załogi nie było lęku. Towarzyszyły myśli o tym, co się będzie działo, ale lęku nie było. Wielu młodych pracowników działało przy bramie, dowodził nimi Andrzej Kołodziej.

Należy podkreślić duże zorganizowanie i dyscyplinę, jak na tak dużą skalę strajku. Każdy dzień przebiegał według pewnego porządku zadań: rano przyjęcie pod bramą tych, którzy do stoczni chcieli wejść lub wjechać, potem przygotowywanie informacji do wydziału, obecność na posiedzeniach komitetu strajkowego. W rezultacie dyscyplina była lepsza niż podczas normalnej pracy.

Niektórzy odstępowali od strajku, bo żniwa, choroby — przyczyny niezależne. Zdarzały się dobowe przepustki ze stoczni za zgodą wydziału.

Pierwszej nocy miałem wartę. Było się wtedy wystawionym praktycznie jak do odstrzału.

Każdy wydział miał swój teren do pełnienia warty.

W stoczni zaproponowano mi oddelegowanie do regionu, jednak ze względu na żonę, która bardzo przeżywała moje zaangażowanie, nie przyjąłem tej propozycji, gdyż nie miałby wówczas kontaktu z rodziną. Jeden raz byłem na przepustce w domu ok. 26 sierpnia. Poza tym żona przychodziła pod bramę, przynosiła paczki żywnościowe. Żona nie odwodziła mnie od udziału w strajku.

W trakcie strajku po wybraniu komitetów strajkowych zostałem dokooptowany do komitetu strajkowego na wydziale K-1 (400 osób pracujących). Z posiedzeń komisji przenosiłem na wydział informacje, które były nadawane przez radiowęzeł.

Postulaty były zbierane na wydziałach, z wydziałów przenoszone do centrum (komitetu strajkowego). Stocznia Gdynia cały czas miała łączność z Gdańskiem, ponieważ zadbał o to Andrzej Kołodziej. Na terenie stoczni informacje były przekazywane przez radiowęzeł.

Podczas strajku sprawnie działała drukarnia i informacje o tym, co się dzieje, rozchodziły się nie tylko po stoczni, ale szły również na całą Polskę.

Żywność ludzie i sklepikarze dostarczali za darmo, działały również bary stoczniowe. Rodziny dostarczały paczki, którymi dzielono się z osobami samotnymi.

W stoczni od pierwszej niedzieli odprawiane były słynne msze — ksiądz Jastak, ksiądz Ryba przychodzili na teren stoczni ze swoich parafii. Robili to bez oficjalnej zgody swoich zwierzchników.

Msze bardzo umacniały ludzi w tych niepewnych dniach. Dzięki temu prawdopodobnie nie było większych konfliktów, poza drobnymi spięciami.

Do kontaktów z dziennikarzami został wytypowany jeden przedstawiciel — Tadeusz Pławiński (po 81 r. zmuszony przez władze do emigracji, obecnie mieszka w Kanadzie).

Podczas podpisania Porozumień Andrzej Kołodziej, będący wtedy w Gdańsku, na bieżąco informował o sytuacji, potem informacje były przekazywane załodze wydziału przez radiowęzeł.

Do Solidarności przystąpiłem w sierpniu 1980 r. Z mojego wydziału na 400 pracujących tylko 4 osoby nie zostały członkami Związku.

Pierwsza Solidarność to był dla jej działaczy synonim czegoś pozytywnego, czegoś dobrego dla Polski. Wielu przywódców strajkowych zostało wybranych do władz Solidarności. Ja po strajkach byłem aktywnym działaczem związkowym, delegatem na region.

W pierwszym okresie Solidarności wszystkie decyzje przechodziły przez związek (system płacowy itp.), były z nim konsultowane.

Podczas ogłoszenia stanu wojennego byłem w szkole (uczęszczałem do technikum dla pracujących robotników). Nie zostałem zatrzymamy ani nie byłem represjonowany.

Podczas zatrzymań kolegów pojawiały się pytania o mnie, ale nie ukrywałem się i nie zostałem zatrzymany.

W 1988 r. wydział, na którym pracowałem, udzielił bezwzględnego poparcia strajkującym. Potwierdzeniem tego była kukła gen. Jaruzelskiego zawieszona na wydziale oraz kolportowane ulotki.

„Okrągły stół" był początkowo nadzieją, jednak z czasem, kiedy człowiek przejrzał na oczy, zobaczył, że to był blef. Brałem udział w wyborach w 1989 r., byłem członkiem komisji zakładowej, delegatem na plenum.

Z ruchem związkowym związany jestem nieprzerwanie do dzisiaj.

Jestem trochę rozczarowany zachowaniami ludźmi dawnej Solidarności. Gdybym wiedział, że finał działań Solidarności będzie taki, jak dzisiaj, to bym nie przystąpił do Związku. Uważam, że nie o to walczyliśmy. Dzieje się wiele złych rzeczy — dawni działacze odwracają się od ruchu.

W mojej ocenie strajk w tamtym momencie był potrzebny, ale efekt obecny jest trudny do zaakceptowania. Boli mnie, że młodzi ludzie, tak jak moja córka, muszą wyjeżdżać za granicę, żeby zarobić na godne życie.



Zofia Pawłowska — z domu Haciska, ur. 2 lutego 1927 r. w majątku Stołowicze, pow. Baranowicze, woj. nowogródzkie. W 1940 r. wywieziona z rodziną do łagru na Syberię, skąd wydostała się z armią gen. Andersa. Maturę zdała w Afryce w 1946. W 1948 r. przyjechała do Polski. Studiowała w Warszawie w Szkole Głównej Planowania i Statystyki, potem w Wyższej Szkole Handlu Morskiego w Gdyni. Po ukończeniu studiów pracowała w banku, później wyszła za mąż i wyjechała do Brazylii. Po powrocie pracowała w ZOO, potem dostała się do Wyższej Szkoły Morskiej w Gdyni. Po Sierpniu pracowała w sekretariacie Solidarności WSM. W latach 80-tych zaangażowana w działalność opozycyjną, współpracowała z Solidarnością Walczącą. Obecnie na emeryturze.

Wywodzę się z rodziny ziemiańskiej. W domu były tradycje patriotyczne. Tato walczył na froncie II wojny światowej na wschodzie, był w niewoli litewskiej. Pradziadek był generałem gdzieś we Francji.

Jak Rosjanie wchodzili do Polski, myśmy uciekali ze Stołowicz, majątku rodzinnego, bo się baliśmy nalotów niemieckich. Ojciec był w wojsku, a my z mamą, babcią i rodziną mamy — kuzynem i jego babcią — jechaliśmy do mamy majątku, przy granicy białoruskiej. Po drodze zatrzymało nas wojsko, już wkraczali Rosjanie na czołgach. Postanowiliśmy wracać z powrotem do domu.

Panowała atmosfera napięcia — przyjechał wujek Wacław, rodzony brat ojca; wieczorem przyszli po niego i powiedzieli, że jest wezwany na posterunek. Wyszedł, nie wracał. Denerwowaliśmy się. Babcia poszła na posterunek; powiedzieli, że nigdzie go nie wzywali. W południe znaleziono go w polu zabitego. Całe plecy miał poharatane plecy od kul. Jakiś robotnik znalazł go na tym polu i przyniósł do nas. Wielkie przerażenie, co dalej. Szybki pogrzeb wujka.

Spakowaliśmy się. Służba nas ostrzegła, że chcą nas zamordować. Wieczorem na wozie drabiniastym wyjechaliśmy do Baranowicz. Tam przygarnęli nas znajomi ziemianie, Wysoccy. Byliśmy u nich do 10 lutego. Myśmy z siostrą zaczęły chodzić do szkoły.

10 lutego wracamy ze szkoły, a tam stoi wóz. Myśleliśmy, że to goście. A to „goście" z karabinami — kazali się nam zbierać. Wieczorem zaczęli wywozić na dworzec do towarowych wagonów. W każdym wagonie towarowym ponad 30 osób. Razem z tobołami, workami. Porobione były tam prycze — górne i dolne. Naprzeciw wejściowych rozsuwanych drzwi wycięta dziura na ubikację. Na górnej pryczy byliśmy wszyscy — mama, babcia, siostra i brat. Tam tak nie wiało. To była zima, 40 stopni mrozu. Na każdym rozsuwanym stopniu, na schodach, stał żołnierz z karabinem. Nic nam nie powiedzieli, gdzie jedziemy i po co. Ta podróż trwała blisko miesiąc. Wszystkie miasta były omijane. Wiem, że mijaliśmy Moskwę.

W Gorkach nas zatrzymali w lesie. Nic tam nie było, tylko las, śnieg i mróz. Kazali się nam wyładowywać z wagonów. Załadowali nas na sanie i wieźli. Nie wiedzieliśmy dokąd.

Dojechaliśmy do posiołka Południewica, Szaryjskij rejon. Niedaleko było miasteczko Łapciuk. Obóz składał się z 13 drewnianych baraków, było również parę mniejszych domków drewnianych. Wszystko otoczone drutami kolczastymi pod prądem.

Był tam też szpital, choć nie było lekarstw. Wielu ludzi pochorowało się, przeważnie dzieci. Mama dostała się do tego szpitala jako pielęgniarka, a nas, młodsze dzieci, posłali do szkoły. Długo to nie potrwało. Nasz wielki profesor od wszystkiego kazał nam mówić, że człowiek od małpy pochodzi. Ja zbuntowałam klasę z jeszcze jedną koleżanką. Tylko jeden chłopak odpowiedział, że człowiek pochodzi od małpy, więc go wypuścił. Po trzech godzinach wszystkich wypuścili, tylko nie mnie. Przyszedł dyrektor, tłumaczył mi, że nie ma Boga. Wściekł się, wyrzucił mnie. Bałam się, że da mnie do poprawczaka. Nic takiego

się nie stało, ale mamę dali na 48 godzin do więzienia miejscowego. Ja podpadłam. Wezwał mnie dyrektor obozu. Chciał mnie do Moskwy wysłać, ale powiedziałam, że nie, że zawsze z mamą będę. Zaczęła się bieda.

Dali nam obozową odzież, narzędzia — piłę, siekierę — i posłali na wyrąb lasu. To było straszne. Zima, mróz. Nasza praca polegała na odrąbywaniu gałęzi z drzew i piłowaniu ich na mniejsze. Po jakimś czasie zmienili nam pracę na okorowywanie drzew. Chleba przydziały po 200 gramów dla niepracujących — dla babci, a dla pracujących 400 gramów. Przydziały były w sklepiku. Nieraz o 2 nad ranem wstawałam po ten chleb i stałam w kolejce, a później już o 6 rano do pracy.

Wieczorami zawsze był obchód i sprawdzano, czy wszyscy są. Trzeba było się kłaść na pryczach i dotykali głów. Myśmy się też wieczorami modlili, przeważnie przy tej naszej kabinie, jak już poszli z kontroli; codziennie odmawialiśmy różaniec. Czasem ktoś doniósł, wiec przychodzili i nas rozganiali.

Miałam problemy z wrzodami i zapaleniem okostnej. Cała byłam opuchnięta. Ząb mi wyrwano obcęgami do gwoździ. Wyszłam z tego. Zaczęły się choroby, krwawa dezynteria — czerwonka.

Wybuchła wojna, było trochę lżej. Już z naszego obozu wypuszczano do armii Andersa. Mama się zgodziła. Zapakowali nas do tych towarowych wagonów. Jechaliśmy w kierunki armii Andersa, ale przywieźli nas do kołchozu w Uzbekistanie w miejscowości Łapciuk. U Andersa już nie było miejsc.

Ulokowali nas w kibitce. Właściwie to był kurnik. Kury wygnali i tam porobili prycze. A tam — pluskwy i wszy. Poszłyśmy do pracy na pole z siostrą, a mama nam bardzo chorowała. Obawialiśmy się, że nie przeżyje. Był straszny głód — była wojna, brakowało chleba. Gotowaliśmy zielsko. Jeśli pracowaliśmy, to dostawaliśmy trochę mąki, wymieszanej z piachem. Chodziłam na żebry po kołchozie. Sprzedawałam prześcieradła, swoją spódniczkę za jakąś lepioszkę. Uzbecy mnie lubili. Nauczyłam się trochę po uzbecku.

W posiołku była z nami pani Mielnikowa, żona pułkownika. Zaprzyjaźniła się z mamą. Była mamie bardzo wdzięczna, bo jak mama była pielęgniarką w szpitalu, to ją wspierała. Mąż jej zmarł, syn także. Kiedyś do naszego posiołka podjechał wojskowy. Jej starszy syn doszedł do wojska, udało mu się — Zbyszek, moja sympatia. W wojsku spotkał przyjaciela ojca, który wysłał wojskowego, żeby ją zabrać z tego kołchozu. Wojskowy przyjechał po panią Mielnikową. Ona powiedziała, że bez nas nie pojedzie. Żołnierz zdecydował, że i nas zabierze. Takim sposobem dostaliśmy się do wojska.

Noce spędzaliśmy w szwalni, gdzie szyto mundury. Na dzień trzeba było się wynosić.

Po tygodniu, dwóch mama dowiedziała się, ze tworzą szkołę junaczek. Postanowiła nas tam oddać — mnie i siostrę. Brat był za młody. To było gdzieś na peryferiach miasta. Szkołę zorganizowano w opuszczonym kołchozie. Wybuchła tam jakaś zaraza, dlatego wszyscy uciekli. Nawet woda była zatruta. Umieszczono tam i chłopców i dziewczęta. Może 200–300 osób tam umieszczono. Spaliśmy w namiotach. Była tam przychodnia lekarska, ale nie było lekarstw. Był lekarz, zakonnica, która próbowała nas czegoś uczyć. Nie było zeszytów i książek. Zadania odrabiałyśmy na piasku, patykiem.

Były tam węże. Myśmy podstawiały im mleko w miseczce, żeby się te węże napiły. Były przypadki ukąszeń. Skorpiony też się pałętały, bardzo niebezpieczne. Pani komendantka zaprotestowała w końcu i zabrali nas do innego obozu.

Tam również spaliśmy w barakach i namiotach nad dużą rzeką. Znowuż pojawiła się malaria. Wszystkie zachorowałyśmy.

Dostałyśmy mundury. Za duże... Ćwiczyli nas chłopcy.

Kiedyś przyjechał do nas generał Anders. Mnie przypadło w udziale powitanie generała — miałam dobrą dykcję. Na zakończenie miałam krzyknąć „Niech żyje generał Anders", a krzyknęłam „Niech żyje generał Sikorski". Popłakałam się, Anders mnie przytulił.

Po kilku miesiącach zaczęto szykować wyjazdy do Persji. W pobliże Krasnowodska dowieziono nas pociągiem. Ogolono nas, ubrano w wojskowe uniformy. Przypłynęliśmy do Pachlewii.

Maturę zdałam w Afryce w 1946. W 1948 r. przyjechałam do Polski. Studiowałam w Warszawie w Szkole Głównej Planowania i Statystyki, potem w Wyższej Szkole Handlu Morskiego w Gdyni. Skończyłam studia i zrobiłam też magisterkę. Najpierw pracowałam

w banku, później wyszłam za mąż i wyjechaliśmy do Brazylii. Po powrocie nie mogłam znaleźć pracy. Pracowałam przez pół roku w ZOO w dziale ekonomicznym. Potem dostałam się do Szkoły Morskiej.

Mój mąż i ja słuchaliśmy stale Radia Wolna Europa. Byliśmy związani z tymi sprawami. Przeszłam Sybir i, jak wróciłam i zobaczyłam, co się dzieje, jak komuna ogarnia nasz kraj, to byłam trochę przerażona. Włączyłam się do grupy koleżanek i kolegów ze studiów, protestowaliśmy na swój sposób. Jak były zbiórki i pochody z ruskimi sztandarami, to uciekaliśmy. Wierzyłam, że się coś zmieni. Obracałam się między ludźmi, którzy wierzyli, że w Polsce będzie lepiej, że ta komuna padnie. Od najdawniejszych czasów wierzyłam, że będzie lepiej. Sądziłam, że jak Polska jest katolicka i ludzie są przywiązani do wiary, to coś wymodlą i staną po stronie dobra, a nie zła.

Mój udział w strajku sierpniowym to tyle, co brałam ulotki i roznosiłam. Jakieś takiej specjalnie funkcji nie miałam. To, co mogłam robić, robiłam. Pisałam, ulotki roznosiłam. Na spotkania różne chodziłam. W tłumie brałam udział w protestach. Włączałam się, gdzie mogłam.

Najważniejsze dla mnie było uzyskać wolność. Żeby Polska była Polską, a nie pod butem Rusków, których miałam okazję poznać bardzo dobrze.

Kiedy stocznia zaczęła strajkować, to się zrobił duży ruch w Szkole Morskiej. Zaczęli się cicho organizować. Na razie mnie do tego nie włączyli, bo byłam sekretarzem rektora. Jak się zaczęły protesty i powstała Solidarność, to się w to zaangażowałam.

Od razu jak powstała Solidarność, zapisałam się. Na początku w szkole mieli pretensje, że nie należałam do partii. Później mnie wyrzucili z rektoratu. Jak powstała Solidarność w Szkole Morskiej, to się tam przeniosłam i prowadziłam sekretariat Solidarności.

Rozwieszaliśmy różne ulotki. Pisało się krótkie ogłoszenia. Biuletyny i broszurki pisaliśmy. Włączyła się w to też nasza grupa. W Szkole Morskiej była drukarnia i włączyła się w drukowanie biuletynów i ulotek. Powstała tam taka grupa, opracowywano wiadomości, biuletyny, drukowano to w Szkole Morskiej w naszej drukarni.

W czasie stanu wojennego miałam dużo kłopotów. Nigdzie mnie nie chcieli.

Jak się zaczął strajk, jak najechało wojsko, to nie było sekretariatu Solidarności. Byłam traktowana bardzo źle. Chodziłam od jednego do drugiego sekretariatu, by pomagać na terenie Szkoły Morskiej. Chcieli mnie wyrzucić ze szkoły, ale ja się nie dałam. Później jeden z prorektorów, lubił mnie bardzo, przyjął mnie do pracy w sekretariacie. Miał sekretarkę, ale przyjął mnie jako dodatkową. Tam pracowałam, bo pomoc sekretarki urodziła dziecko i miała urlop macierzyński. Później pracowałam na wydziale mechanicznym. Tam też był sekretariat, ale ja pracowałam w dziale wydziału mechanicznego. Tam był dział, który załatwiał przeróżne sprawy, nie tylko związane z sekretariatem. Tam pracowałam chyba ze dwa lata, do końca, do emerytury.

Było tak, że Ewa Kubasiewicz zebrała nas wszystkich w Szkole Morskiej. Do uczelni wjechały czołgi. Rektor nakazał, by nikt nie wychodził, obawiał się, że może dojść do jakiejś strzelaniny. Później, jak zaczęły się najazdy na Szkołę Morską, szkołę zamknięto. Studentów też nie wypuszczano, by nie narażać ich na śmierć. Strzelano. Myśmy przez kilka dni w ogóle ze szkoły nie wychodzili.

Jak zaczął się strajk i stan wojenny później, to myśmy w tej szkole siedzieli pierwszego dnia, gdy rektor ogłosił, by już nie strajkować. Rektor nie chciał narażać ludzi. Przyszedł do nas i powiedział, byśmy przerwali strajk. Może nas było 30–35 osób. Ewa Kubasiewicz prowadziła to spotkanie. Myśmy chcieli strajkować okupacyjnie. Kto się bał, wyszedł. Było trochę takich osób. Zostało nas może dwadzieścia kilka osób. Przyszedł rektor i prosił, by zakończyć. Na prośbę rektora odśpiewaliśmy „Boże coś Polskę" i wyszliśmy.

Później było spotkanie u jednej z koleżanek. Komuniści odkryli to spotkanie, tę kryjówkę. Tam się ukrywała Ewa Kubasiewicz, Jurek Kowalczyk i Bożena. Zgarnęli ich i do więzienia. Ja byłam wzywana, myślałam, że w sprawie strajku. Odsiedziałam ze 6 godzin. Już wzięłam szczoteczkę do zębów. Przetrzymali mnie i zapytali, czy byłam świadkiem, jak jakiś sklep okradli...

Ukrywałam się u znajomych i do swojego mieszkania nie wracałam. Później u mnie zjawił się Andrzej Kołodziej.

U mojego znajomego na Przymorzu była drukarnia i tam drukowali. Bali się, że ktoś donosi. Ktoś mnie poprosił, by to przewieźć do mnie. Pojechaliśmy na to Przymorze taksówką. Wzięliśmy maszynę do pisania i przyjechaliśmy do mnie. Zaczęli tu to wszystko do

drukowania przywozić. Drukowało się w nocy. W dzień była cisza. Parę razy obstawili to moje mieszkanie, gdyby weszli do mieszkania i zobaczyli maszynę... Do wanny zlewało się te wszystkie farby — ciągle była czarna.

Ja w jednym pokoiku spałam, reszta była dla drukujących. U mnie przez jakiś czas mieszkali Roman i Andrzej. Mieliśmy umówiony znak, bo przychodzili różni ludzie, których nie znałam. Miałam medal pozłacany. Był umówiony znak, jak dzwonić, by otworzyć drzwi. Młodzi chłopcy przychodzili drukować. Z tym medalem mogły wchodzić nowe osoby. To był znak rozpoznawczy.

Tutaj też były większe zebrania, ale ja jednego dnia podczas zebrania wyszłam na zakupy. Przychodziła tu do mnie pani, która sprzątała. Jednego dnia ona była, ja wyszłam, a mieli jakiś cynk, że tutaj coś się dzieje. Nie byli umundurowani. Pilnowali i stali na schodach i czekali. Ta babka wyszła, zamknęła drzwi na klucz i oni myśleli, że nikogo nie ma i poszli sobie. Uratowała ich.

Musiałam bardzo uważać. Jak wracałam z pracy, to czułam, że mnie śledzą, musiałam wracać naokoło do domu, by ich zgubić.

Później niestety Andrzeja i Romana dopadli gdzieś, nie w moim mieszkaniu, i uwięzili.

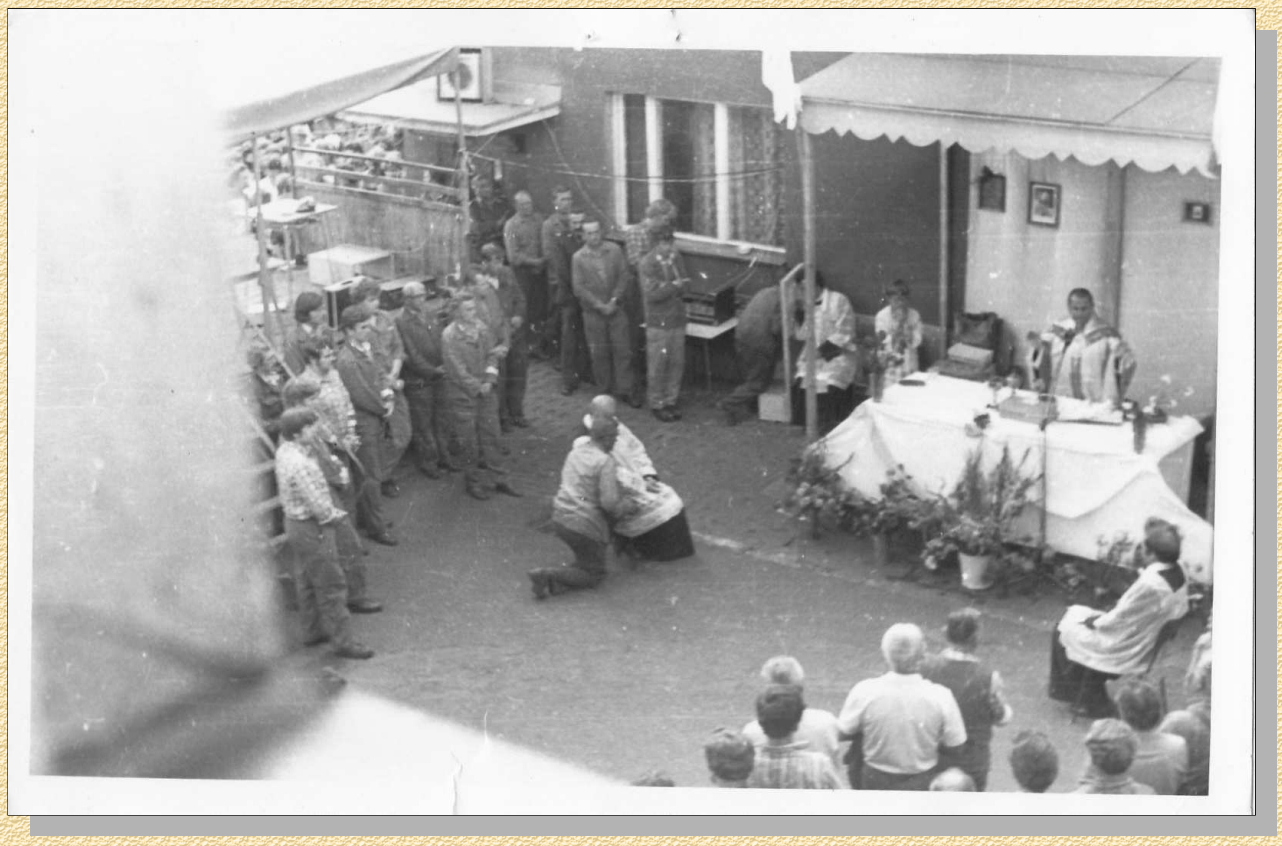
Obecnie jestem na emeryturze. Moim sukcesem życiowym jest przeżycie Syberii. Chciałabym być na tyle zdrowa, aby pomagać innym.

Zryw sierpniowy z 1980 roku wspominam jako radość, wielką nadzieję, że będziemy prawdziwym polskim krajem. Solidarność była wstrząsająco dodatnia. Liczyłam, że Solidarność odbuduje prawdziwą Polskę. Żałuję, że się skończyło, jak się skończyło. Solidarność bardzo zbladła. Rozczarowała mnie ta druga.

Największą porażką Solidarności było, że się podzieliła. To jest największą bolączką. Podzielone społeczeństwo, nie taka działalność. Wydawało się, że Solidarność odbuduje to, co nam komuna zabrała.

Przez ostatnie 25 lat były i wzniosłe chwile i upadki. Urzeczenie, że komuna upadnie, a później rozmydliło się to wszystko. Chciałabym, żeby w Polsce rządzili ludzie, którzy są prawdziwymi patriotami.

Przede wszystkim leżą mi na sercu sprawy niepodległości, bo przy dobrej niepodległości poprawi się byt ludzi.



Bogusław Pełka — ur. 9 grudnia 1952 r. w Nowej Rudzie. Ukończył Zasadniczą Szkołę Żeglugi Śródlądowej we Wrocławiu. Pracował w PTH Eldom Wrocław, oddział w Nowej Rudzie. Od 1974 r. monter maszyn i urządzeń okrętowych w Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni. Uczestnik strajku sierpniowego, członek Solidarności. W stanie wojennym zaangażowany w Duszpasterstwie Ludzi Pracy, następnie w strukturach podziemnych, związany z Solidarnością Walczącą. W 1988 r. został zwolniony ze Stoczni. Pracował w firmie Trapex sp. z o.o. W 1990 wyjechał na kontrakt do Grecji. Pracował tam do 1991 r. W 1992 wrócił do Stoczni Gdyńskiej jako ślusarz i pracował do 2009 r. Po przejściu kursu ochroniarskiego był ochroniarzem w Stoczni Gdynia. Potem pracował jako ślusarz konserwator suwnic w firmie Rubo. Od grudnia 2012 r. na emeryturze.

Tata był antykomunistą. Jego rodzina wojnę spędziła na robotach — byli chłopami. Do Nowej Rudy trafili w 1946 r. Ukończyłem Zasadniczą Szkołę Żeglugi Śródlądowej we Wrocławiu. Pracowałem w PTH Eldom Wrocław, oddział w Nowej Rudzie. SB naciskała, bym został tajnym współpracownikiem — miałem donosić na subkultury młodzieżowe. Nie zgodziłem się — nie dawali mi żyć, więc w 1974 r. wyjechałem do Gdyni i we wrześniu zatrudniłem się w Stoczni im. Komuny Paryskiej jako monter maszyn i urządzeń okrętowych.

Pracowałem w zespole — w brygadzie, na produkcji, w systemie akordowym. Na życie wystarczało — byłem kawalerem. Brałem nadgodziny tylko dlatego, że musiałem, by załapać się na wyższe grupy.

W sierpniu 1980 r., kiedy stanęła Stocznia Gdańska, byliśmy strasznie wściekli, że w Gdyni nie ma strajku. Nagle coś się ruszyło. Nie doszliśmy do statku, bo zobaczyliśmy, że idzie korowód ludzi i się do nich dołączyliśmy. Nikt nie znał Kołodzieja, ale ten wyskoczył na wózek i zaczął przemawiać. Cieszyłem się, że taki młody człowiek przewodzi strajkowi.

Dyrektora ściągnęli na wózek i przedstawiano mu żądania. Zaufani dziennikarze byli wpuszczani za bramę, chyba mieli jakieś identyfikatory.

Miałem zaufanie do przywódców strajku. Organizacja była wspaniała. Nikt nie pił alkoholu, ale zdarzało się, że rodzina próbowała coś dostarczyć w darach z zewnątrz — wtedy to zwracano. Nie było kradzieży, wszyscy byli zdyscyplinowani. Codzienność strajkowa — pogodna, spokojna. Było dużo wolnego czasu, to ludzie dyskutowali. Przyjeżdżali aktorzy, były msze. Ja się nie nudziłem, bo miałem co robić.

Byłem w straży, pilnowałem stoczni — ściągałem uciekinierów z płotów. Ok 10% załogi chciało uciec, ale większości się nie udało. Inni chcieli wychodzić pod pretekstem tęsknoty za rodziną itp.

W zakładzie zostali niektórzy partyjni, którzy próbowali dzielić strajkujących. Partyjnych wyłapywano, stawiano ich na wózkach i ludzie krzyczeli „powiesić ch...!" Wywalali ich za bramę.

Żywność była z paczek. Mieliśmy bardzo dużo jedzenia. Dzieliliśmy się z innymi zakładami, które miały mniej. Wszystko szło na stołówkę, gdzie panie za dnia pracowały i robiły normalnie posiłki. Kobiety na noc wracały do domów.

Informacje związane ze strajkiem przekazywano przez radiowęzeł, który został opanowany drugiego dnia.

Ponieważ byłem w straży strajku, broniłem stoczni przez milicją, która sondowała możliwość dostania się na stocznię nocą. Straż miała kamienie, ostre narzędzia itp. Milicja to widziała, więc nie podpływała. Dodatkowo strajkujący mieli do dyspozycji żurawie. Milicja miała broń, ale nie odważyła się strzelać.

Po Sierpniu wstąpiłem do NSZZ „Solidarność". Prawie wszyscy przystąpili, ale partyjni nieszczerze. Załoga miała pretensje do władz Związku, że pozwalały być w Solidarności partyjnym.

System pracy był wtedy nienormalny, ale dyrekcja nie chciała go zmienić. Generalnie — nie chciała współpracować z Solidarnością.

Kiedy wprowadzono stan wojenny, zostałem w stoczni na noc, ale zostałem wyprowadzony przez ZOMO następnego dnia.

W stanie wojennym nie miałem kontaktu z opozycją. Ale nie podpisałem lojalki, więc nie przyjęli mnie do pracy. Wróciłem do pracy po dwóch tygodniach, mimo niepodpisania lojalki. Po stanie wojennym wstąpiłem do struktur podziemnych, zajmowałem się kolportażem, zbieraniem składek dla potrzebujących itp. Później związałem się z Solidarnością Walczącą. Uczestniczyłem w demonstracjach, w walkach ulicznych. Malowałem napisy w stoczni itp. Pomagałem Bielińskiemu robić broń. Podjąłem działalność w Duszpasterstwie Ludzi Pracy w Gdyni przy ul. Halickiej. Duszpasterzem był Edmund Skierka.

Ze stoczni zostałem zwolniony we wrześniu 1988 r. Zawieźli mnie do Sopotu i rozpocząłem pracę w firmie Trapex sp. z o.o., gdzie świadczyłem usługi dla różnych stoczni. W 1990 zmuszono mnie do wyjazdu na kontrakt do Grecji. Pracowałem tam do 1991 r. W 1992 wróciłem do Stoczni Gdyńskiej jako ślusarz, pracowałem do 2009 r. Kupiłem kiosk, ale musiałem sprzedać. Później poszedłem na kurs ochroniarski. Byłem ochroniarzem przez pół roku w Stoczni Gdynia. Po pół roku dostałem pracę w firmie jako ślusarz konserwator suwnic w firmie Rubo. W grudniu 2012 przeszedłem na emeryturę.

Nie popierałem porozumień „okrągłego stołu".

Ta Polska miała być inna. Jestem zawiedziony. Narażałem życie, a nie o taką Polskę walczyłem. Dziś najważniejsza jest zmiana sytuacji w kraju, żeby ludzie godnie żyli, żeby nie wyjeżdżali za granicę.

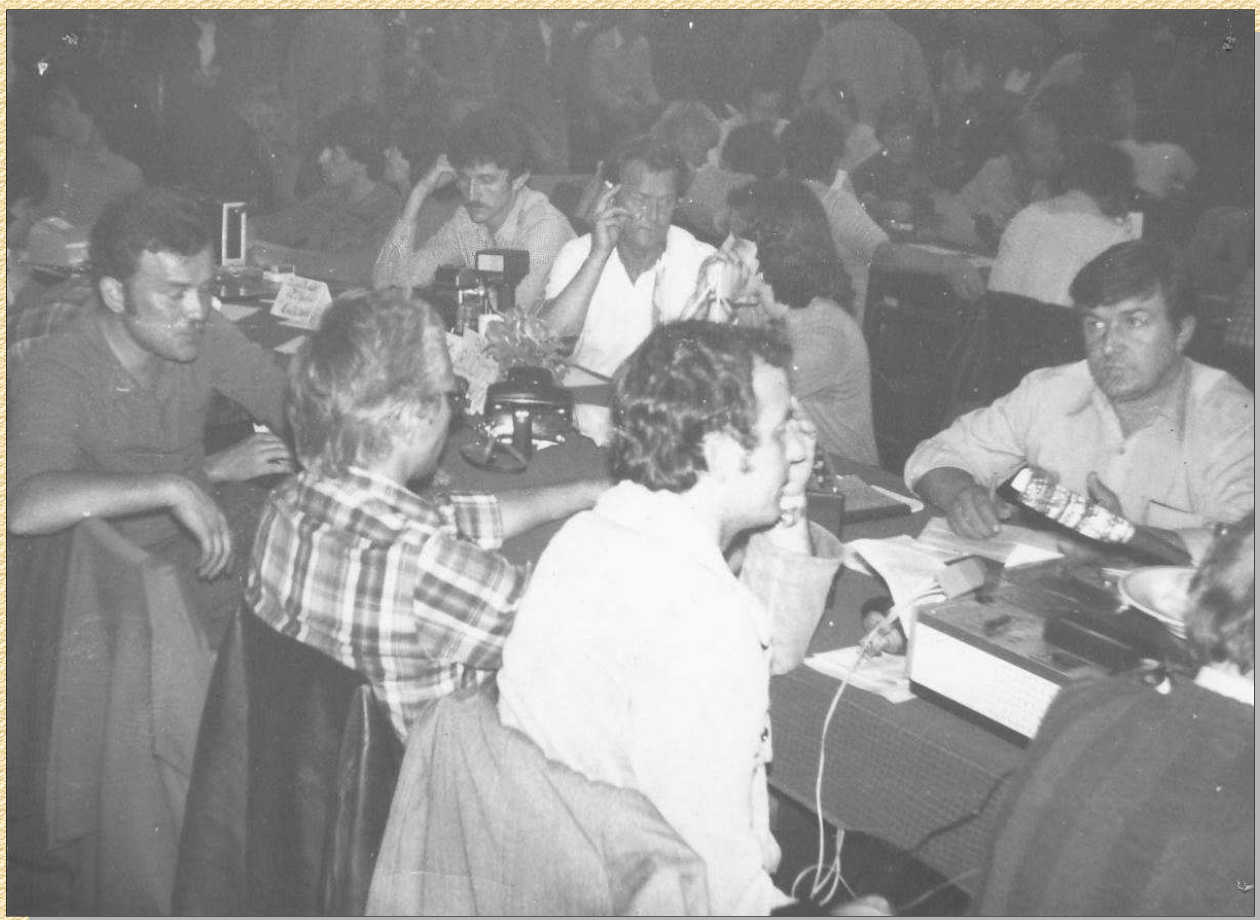
Zryw sierpniowy 1980 r. wspominam raczej negatywnie. Szkoda mi ludzi, którzy się w to zaangażowali. Choć jakbym mógł, to zrobiłbym to samo. Solidarność na mnie wpłynęła pozytywnie. Dobrze się czułem w roli, którą wykonywałem. Myślałem, że spełniają się moje marzenia, ale się nie spełniły.

Początkowo byłem dumny z uczestnictwa w ruchu Solidarności, później już nie. Jestem dumny z uczestnictwa w Solidarności Walczącej.

Ostatni okres 25 lat oceniam negatywnie. Ludzie zostali sprzedani.

Po 1990 władze Solidarności nie chciały niczego załatwić (ubrań roboczych itp.), nie dbały o pracowników fizycznych, nie chciały załatwiać spraw pracowniczych. Umysłowi sobie załatwili wysokie pensje, a fizycznych lekceważyli. Zapisałem się więc do związku „Stoczniowiec".

Gdyby doszło do kolejnego zrywu... — tylko na to czekam. Mógłbym służyć doświadczeniem. Podpisałbym się pod wszystkim, co byłoby słuszne dla kraju i narodu.



Józef Petkowski — ur. 16 lutego 1949 r. w Kisielnicy. Uczestnik wydarzeń grudniowych w 1970 roku. Po wyjściu z wojska w 1970 podjął pracę w Porcie Gdynia. Żonaty. W sierpniu 1980 r. przewodniczący komitetu strajkowego w gdyńskim PKS i członek Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego. Od początku członek NSZZ „Solidarność". Po wprowadzeniu stanu wojennego podjął pracę w SPON-ie, następnie w stoczni „Nauta" w firmie Polkon. Po zawale przeszedł na rentę, później na emeryturę.

Urodziłem się 16 lutego 1949 r. w Kisielnicy. Z wojska wróciłem w 1970 r., zatrudniłem się w Porcie. 16 czy 17 grudnia zobaczyłem hasła na ul. Polskiej. Szła pierwsza tura protestujących stoczniowców. Wtedy nas powstrzymano, ale za drugą grupą protestujących wyszedł już prawie cały port, a może wszyscy. Przyszliśmy pod Prezydium, gdzie do nas wyszedł Mariański. Powiedział, że on to będzie załatwiał, żebyśmy rano poszli do pracy.

Przypuszczam, że było to o 6 rano w czwartek 17 grudnia. Mieszkałem na ul. Starowiejskiej. Jechałem do pracy do Portu. O 6.15, może 6.20 słyszałem pierwsze strzały. Poszedłem na autobus na ul. Jana z Kolna. Autobusy nie chodziły. Poszedłem do stoczni na piechotę. Na ul. Polskiej stały wozy pancerne, które nie wpuszczały ani nie wypuszczały nikogo ze stoczni. Okazało się, że pierwsze osoby, które padły, to ranna kobieta i jakiś mężczyzna.

Gdy zaczęli strzelać, to ludzie ruszyli do dworca. Poszliśmy pod komitet partii. Za nami stało ośmiu zomowców. Ktoś z tłumu chciał walczyć, to inny powiedział, że jak się ruszy, to tak jak w Gdańsku — nazwą nas chuliganami.

Poszliśmy pod Prezydium, ale Mariański się nie pojawił. Wróciłem pod wiadukt i wtedy znosili tego chłopaka — Zbyszka Godlewskiego. Jak mu kula weszła z prawej strony, to z lewej chyba pół ucha miał wyrwane. Jeszcze żył, gdy przyjechała karetka. Nie chcieliśmy go oddać. Tam niedaleko były baraki mieszkalne. Niektóre drzwi były przyspawane od góry i nie dały się wyjąć. Wyjęliśmy tylko jedne i ułożyliśmy na nich ciało Godlewskiego.

Szliśmy ul. Morską; chcieliśmy przejść wiaduktem na ul. 10 Lutego, ale stały tam czołgi. Przeszliśmy dworcem i 10 Lutego na Świętojańską. Jedna kobieta chciała wziąć szturmówkę z kościoła. A ja dostałem po oczach gazem, który zrzucali z góry. Kolega zabrał mnie do jakieś budynku i pomógł przemyć oczy. Był tam starszy pan, który powiedział, że nie o taką Polskę walczył. Następnie wróciliśmy do tłumu i poszliśmy pod Prezydium. Ktoś rzucił, żeby z tym zabitym iść do Gdańska.

Z budynku wybiegło ZOMO. Uderzając w tarcze, szli w naszym kierunku. Chcieliśmy iść za Prezydium, ale tam były wozy pancerne. Zabitego zostawili w klatce, a ZOMO rozgoniło tłum. Ludzie uciekali w różne kierunki, nawet do lasu za torami. Wtedy szły w ruch kamienie. Jak szli zomowcy, to za chwilę byli odrzucani. Kiedy protestujący przestawali rzucać kamieniami, wtedy zomowcy atakowali. Byłem już zmęczony. Brat, który już nie żyje, schował się w kościele. Spotkaliśmy się po południu. Człowiek się bał.

Od 1979 albo od 1980 pracowałem w PKS, ale tylko 3,5 roku. Szykanowali mnie, bo chciałem założyć związki zawodowe. Byłem kierowcą i konduktorem. Podrzucali lewe bilety i fabrykowali raporty. Zarzucali mi, że sprzedawałem bilety na krótkie trasy, a pieniądze brałem jak na długie. Nie miałem cenników i brałem normalne pieniądze. Znaleźli bilet na masce silnika, ale maska była z tyłu, więc śmiałem się z oskarżeń kierowniczki. Chcieli mnie zwolnić dyscyplinarnie. Wszystko się obiło o dyrektora. W końcu zgodzili się, że odszedłem za porozumieniem stron.

W sierpniu 1980 r. pracowałem w PKS. Początkowo nie wierzyłem, że jest jakiś strajk w Stoczni w Gdańsku.Wróciłem z nocy i dowiedziałem się, że PKS w Gdańsku stoi. Zadzwoniłem tam — powiedzieli, że popierają Stocznię Gdańską. Zjechałem na bazę i powiedziałem, że Gdańsk stoi i spytałem, czy ich popieramy. Odpowiedzieli, że tak. Kazałem

zamknąć bramę i poleciłem, by każdy ostatni, który dojedzie, blokował bramę i nie wyjeżdżał.

Wiedziałem, jak to się może skończyć. Mówiłem, że komuniści będą nas ścigać. Był taki Zdzichu Kędzierski z towarówki, obaj jeździliśmy do Gdańska; rozmawialiśmy, że tak może być. I tak było. A czy miałem się czego bać? Uciekać z Polski? Przed Ruskimi? Piłsudski się nie bał, to ja mam się bać?

Swoją decyzję konsultowałem z żoną. Nie wiedziała, co to jest, jak to się skończy. Nikt nie wiedział, co będzie. Doszedłem do wniosku, że trzeba wybrać przewodniczącego. Zaproponowałem Zygę Marchel, ale wybrali mnie.

Tylko partyjniacy byli przeciwni strajkowi — Paweł Hirsz, Józef Szymkowski. Hirsz zmiękł, ale i tak go wywalili, bo podobno kapował do dyrektora. Ale to był strajk okupacyjny i nie wyszliśmy. Nie chcieliśmy powtórki z Grudnia. Nie mieli prawa do nas strzelać. Byłem odpowiedzialny za wszystko i wszystkich. Nie było picia, zamieszek, było czysto i posprzątane. Był utrzymywany porządek. Oczywiście żony przynosiły jedzenie, załatwiano jedzenie z innych zakładów. Zostali głównie młodzi, a starsi uciekli. Zapewniłem później dyrektora, że odpowiadam za porządek i nie musi się martwić.

Miałem dwóch czy trzech, którzy byli odpowiedzialni. Jeśli jechałem do Gdańska, oni dbali o porządek. Byłem przedstawicielem zakładu, więc jeździłem do Stoczni w Gdańsku. Odpowiadałem za spokój na bazie, dyscyplinę. Przekazywałem również informacje o postępach negocjacji. Raz samochodem brałem ulotki ze Stoczni im. Lenina i zostawiałem na ul. Świętojańskiej przy kościele oraz na Placu Kaszubskim i przy Prezydium i zaraz na ul. Węglową na bazę. Na ul. Hutniczej mieliśmy chłopaków, powtarzałem im, aby jechali wzdłuż stoczni z tymi ulotkami. Milicja wysłała helikopter, który zrzucał przemówienia Gierka. Trochę może i spadło na Stocznię, ale przez wiatr reszta poleciała do zatoki.

Rano jechało się do Gdańska, a o 21 do Gdyni. I tak prawie codziennie. Czekaliśmy, aż ktoś przyjedzie z rządu. Ale nikt się nie pojawiał. Zbliżał się wrzesień, a my stoimy. W końcu pojawił się Jagielski. Chciał wjechać w bramę Gdańskiej Stoczni, ale stoczniowcy nie puścili. Byli przedstawiciele innych zakładów, ale my byliśmy jednością. Jak szedł Jagielski ze swoją świtą, to jak na szubienicę. Ale po dwóch czy trzech wizytach Jagielski przyjeżdżał sam na rozmowy. Początkowo byliśmy w dużej sali, a później negocjacje przeniosły się do mniejszej. Po prostu było bardzo dużo ludzi.

Lechu Wałęsa, Bogdan Lis, Anna Walentynowicz i Andrzej Gwiazda byli w komitecie strajkowym dańskiej Stoczni i na sali ustalaliśmy postulaty. Czekaliśmy na przedstawicieli rządu.

Kiedy podpisywano Porozumienia, byłem w Stoczni Gdańskiej. Byliśmy szczęśliwi. Wróciłem na bazę. Zapanowała radość. Posprzątaliśmy i rozeszliśmy się do domów.

Od razu zapisałem się do Solidarności. Ale nie pełniłem żadnej funkcji. Partyjni też się masowo zapisywali, a w stanie wojennymi wypisywali.

Kierownictwo różnie reagowało. Miałem takiego, który mnie ostrzegał. I dzięki niemu mogłem od 13 grudnia 1981 r. się ukrywać przez trzy tygodnie. Ale to był stan wojenny; w okresie karnawału Solidarności to było dobrze. Raczej nie mieliśmy problemów. Pracowaliśmy normalnie. Solidarność miała postulaty, do których kierownictwo się dostosowało. Nastroje były bardzo dobre. Większy szacunek do robotników.

Gdy ogłoszono stan wojenny, byłem w Łebnie na nocce. Zdzisiek mi powiedział, żebym na bazie zostawił autobus i ukrywał się. Mówi: „Jaruzelski stan wojenny ogłosił", a ja mu na to: „Co? Ruskie na Polskę napadli?" — tak z uśmiechem. Nie chciałem wierzyć. Później jak się dowiedziałem, to faktycznie by weszli. W Ustce była przysięga, ludzie ze Śląska przyjeżdżali. To było 13 grudnia, miałem kurs z Gdyni do Słupska. Zgodziłem się. Napakowałem ludzi jak sardynki. Partyjniak Zbigniew Lisiewicz sobie komplecik wziął; wtedy mu nawtykałem. Kiedy już dojechałem i rozładowałem ludzi, to za chwilę zaczęła się „góralska muzyka". Nie mogłem założyć OPZZ, to rozpoczęło się kopanie dołków pode mną.

Próbowałem założyć związki zawodowe, mieliśmy zgraną ekipę. Ale nie było takiej możliwości. Musiałem się ukrywać. Trzymałem się z kolegami z zakładu oraz z innymi jednostkami, bo podlegaliśmy pod Hel. Chcieliśmy, aby nie ścigali nas, kierowców. Bo ktoś miał proporczyk symbolizujący Grudzień 70 albo jakiś żołnierz wyskakuje z krzaków i chce podwózki, bo mu się iść nie chce. Na zebraniu postawiliśmy warunek, żeby dali nam mundury. Przecież wojskowi, także oficerowie, pracowali na tirach. Ale znieśli to.

Mnie raz zatrzymali na rogatkach. To był Wielki Kack. Pytali, czy nie przenoszę ulotek, a ja się śmieję — przecież ja tu mam prokuratorów, milicjantów, wojskowych itd. Dałem temu żołnierzowi papierosa i pogadaliśmy chwilę. Później przyczepił się jakiś oficer. Coś mu nie pasowało. Chciał zrobić przeszukanie. Jak wszedł do miejsca bagażowego, mówię, że to nie jest chlew — należy powiedzieć dzień dobry, przedstawić się. Dałem mu papierosa. Wszyscy odpuścili. Też mieliśmy mundury. W końcu wojsko naciskało, żeby PKS-ów nie kontrolować.

Ja uważam, że wprowadzenie stanu wojennego było słuszne. Bo albo tu by była wojna domowa, albo Ruskie by weszli. Tak uważam. Ja na kompanii miałem ruskiego oficera, który jeździł na Kreml. Wszystko się mogło zdarzyć.

Jakiś czas nie mogłem znaleźć pracy. To było albo w stanie wojennym lub po. Jak ktoś mówił, żebym przyszedł za trzy dni, dowiadywali się, że byłem przewodniczącym strajku, to nie miałem pracy i byłem na zasiłku. Później pracowałem w SPON-ie, następnie się zwolniłem, bo była redukcja. Nie mogłem dostać pracy, aż w końcu w stoczni „Nauta" zatrudniłem się w firmie Polkon (firma krzak), byłem brygadzistą. I tam miałem zawał. Pracowałem tam rok, później drugi. Potem chorobowe, renta i teraz emerytura.

Nie uczestniczyłem w konspiracji. Miałem kontakt z kolegami, ale nie wiedziałem, gdzie są jakie organizacje itd.

Popierałem strajki w latach 1988–1989. Na temat „okrągłego stołu" nie miałem zdania, a w czerwcowych wyborach 1989 r. brałem udział.



Stanisław Piotrowski — ukończył Wydział Elektryczny na Politechnice Gdańskiej, po czym został asystentem naukowym w Państwowej Szkole Morskiej. Uczestnik wydarzeń marcowych i grudniowych. Od 1978 r. uczestnik manifestacji niepodległościowych, a w 1980 r. — strajku sierpniowego. Członek NSZZ „Solidarność" od 1980 r. Kronikarz Sierpnia 1980, autor wielu artykułów wspomnieniowych oraz treści na stronie Solidarności Akademii Morskiej.

Pochodzę ze Strachociny (podkarpacie), trafiłem na Pomorze z inspiracji brata, który rozpoczął naukę w ówczesnej Państwowej Szkole Morskiej (dziś Akademia Morska). Ukończyłem Wydział Elektryczny na Politechnice, po czym zdecydowałem się zostać asystentem naukowym w Państwowej Szkole Morskiej. Otrzymałem również propozycję pozostania na Politechnice, jednak nie mogła zostać ona zrealizowana, gdyż ówczesne władze wiedziały o moim udziale w wydarzeniach marcowych, zostałem także zatrzymany z powodu częstych wizyt w Konsulacie Chińskim (robiłem to bardziej dla żartów i dla znaczków z Mao). Od młodych lat miałem poglądy antysocjalistyczne i antyludowe — wyniosłem to z rodzinnych stron. Często żartowałem sobie z władzy, co czasem przysparzało mi kłopotów.

W 1980 roku pracowałem nad doktoratem, chociaż mój Sierpień zaczął się już 1978 roku, kiedy poszedłem na spotkanie ze Stefanem Kisielewskim. Następnie wziąłem udział w demonstracji 11 listopada z okazji odzyskania niepodległości, a potem regularnie brałem udział w organizowanych manifestacjach (np. na 3 maja). W grudniu 1970 roku byłem także wśród tłumów, do których strzelała milicja. Widziałem, że ludzi, którzy nie zgadzają się z systemem, przybywa, czytywałem bibułę i m.in. „Rewolucję bez rewolucji" Moczulskiego. Nie prowadziłem działalności opozycyjnej, jednak miałem swoją grupę koleżeńską o takich samych poglądach, z którymi m.in. uczyliśmy się na pamięć piosenek wyrugowanych w PRL, np. „Legiony" („My pierwsza brygada..."), słuchałem Wolnej Europy.

Państwowa Szkoła Morska była szczególnym przypadkiem instytucji, gdzie pomimo ciągłego silnego wpływu Partii zdołało się utworzyć „reakcyjne", jak na tamte czasy, środowisko, skupione wokół pracowników naukowych, a później studentów.

W sierpniu 1980 roku byłem na wakacjach na Podkarpaciu, ale gdy dowiedziałem się z Wolnej Europy o strajkach, postanowiłem z żoną szybko wrócić. Bardzo się spieszyłem, aby zdążyć na te wydarzenia — codziennie chodziliśmy z żoną i małym synem pod Stocznię w Gdyni.

22 sierpnia doc. Mikołaj Kostecki zwołał w Szkole Morskiej zebranie, na którym gremialnie poparto stoczniowców i ich postulaty, co było wyrazem poglądów kadry naukowej w tej państwowej przecież szkole. Pamiętam entuzjazm ludzi i wiarę w zmiany, nieporównywalny do wszystkich następnych.

Pierwszym krokiem było przyjęcie Wyższej Szkoły Morskiej do MKS oraz zbiórka pieniędzy dla stoczniowców. Następnie pracownicy rozpoczęli przygotowania do stworzenia w Szkole związków zawodowych (do 5 listopada 1980 r. do uczelnianej Solidarności przystąpiło 505 osób). W następnych latach stale organizowali kolportaż solidarnościowej prasy i zbiórki dla osób represjonowanych. Po zakończeniu strajków rozpocząłem swoje dokumentacje tamtych czasów — między innymi budowę Pomnika Ofiar Grudnia 80.

Późniejszą Solidarność oceniam różnie, przestałem się później angażować, lecz do dzisiaj oceniam Wałęsę jako sztandar Solidarności, mimo że później utracił swoje zalety robotniczego bohatera i aktywisty.

Gdybyśmy wtedy wiedzieli, że uda nam się wskrzesić wolną Polskę, to dalibyśmy za to na mszę, ale dzisiaj nie jesteśmy do końca zadowoleni z sytuacji w kraju, bo „apetyt rośnie w miarę jedzenia".

W pewnym sensie czuję się kronikarzem tamtego okresu. Jestem autorem wielu artykułów wspomnieniowych oraz treści na stronie Solidarności Akademii Morskiej.



Tadeusz Piwko — od 1952 r. pracownik Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni w szefostwie zaopatrzenia i kooperacji. Uczestnik protestów w grudniu 1970 r. W sierpniu 1980 r. członek komitetu strajkowego.

W stoczni pracowałem od 1952 roku. W latach 80-tych byłem zatrudniony w szefostwie zaopatrzenia i kooperacji, gdzie prowadziłem sprawy reklamacji dostaw krajowych. Podczas strajku reprezentowałem ten wydział w komitecie strajkowym.

Przed strajkiem nie wyczuwało się, że coś takiego zaistnieje. Stoczniowcy byli zaskoczeni sytuacją, ale ochoczo przyłączyli się do strajku. Nie miałem żadnych wątpliwości. To, że trzeba się przyłączyć i wspólnie walczyć o wspólne sprawy, było dla mnie czymś naturalnym.

Były to dni niesamowitych przeżyć, ale też wewnętrznych napięć, niepewności jutra i zwątpień dotyczących sposobów rozwiązań końcowych.

Szczególnie zapamiętałem nieopisaną rolę księży redemptorystów w czasie strajków. Stoczniowcy podjęli starania o odprawienie mszy świętej polowej na terenie stoczni. Pierwszą historyczną Mszę — pomimo sprzeciwu władz — odprawił ks. Hilary Jastak. Od tamtego czasu msze odprawiane były codziennie. Następne msze odprawiał ks. Edward Ryba. Jego homilie stanowiły duchową podporę dla stoczniowców. Co warte podkreślenia, nawiązane wówczas kontakty podtrzymywane były po zakończeniu strajków, zarówno w 1980, jak i 1981 roku, a szczególnie bezpośrednie stały się po wprowadzeniu stanu wojennego, kiedy to plebania i kościół parafii portowej stały się oazą zepchniętych do podziemia działaczy Solidarności.

Chciałbym, żeby Polska rzeczywiście stała się Polską, aby Polak czuł się Polakiem we własnym kraju, aby były przedsiębiorstwa prowadzone przez kolejne rządy, kolejne ekipy parlamentarne, kontrolowane, pilnowane, żeby było tak jak było za czasów komuny. Polska była Polską, miała własne zakłady, bo w tej chwili nie mamy żadnych zakładów, żadnego przemysłu, wyprzedaje się resztkę, zaczyna się sprzedawać właśnie ziemię i to oczywiście obcym obywatelom innych państw. Dla mnie Polska pozostała tylko z nazwy, ponieważ została sprzedana. Nazywam to kolejnym rozbiorem Polski bez żadnego wystrzału, bez zgody Polaków, bez zgody obywateli, tak kolejne ekipy parlamentarne, rządowe nam rządzą.

Aż przykro będzie umierać, bo jak się jedzie, przypuśćmy, ze śródmieścia na Obłuże, czy na odwrót w przeciwnym kierunku, patrzy się na bok, stoi w porcie 3, 5, 8 do 10 statków, ale wszystkie pod obca banderą. Nie ma ani jednego polskiego statku, pomimo że Polskie Linie Oceaniczne w 1989 roku miały jeszcze ponad 300 statków. Istniał jeszcze Dalmor, istniała Stocznia.



Władysław Potrykus — ur. 2 lutego 1951 r. w Lęborku. Wierzący, praktykujący. Żonaty, jedno dziecko. Od 1975 do 1980 r. członek ZSMP. Z wykształcenia technik elektryk. Po ukończeniu szkoły podjął pracę w latach w Stoczni Marynarki Wojennej w Gdyni jako elektromechanik w magazynie kabli, później w zaopatrzeniu. Uczestnik strajku sierpniowego. Przystąpił do Solidarności w 1980 r. Po przepracowaniu 42 lat, w 2011 roku przeszedł na emeryturę. Obecnie członek Koła Emerytów i Rencistów NSZZ „Solidarność" w Wejherowie.

Ojciec podczas wojny służył w armii angielskiej na okręcie „Ślązak". Posiadam zdjęcia z tego okresu. Generał Anders był na ich okręcie, w Plymouth była baza... Wystąpiłem w imieniu ojca, poprzez ambasadę brytyjską, o honorowe odznaczenia. Bardzo się ucieszył, że w jakimś stopniu to doceniono.

W 1980 roku byłem żonaty, 7 lat po ślubie, miałem jedno dziecko. Z wykształcenia technik elektryk. Mieszkaliśmy z żoną i rodzicami — trzy pokoje, trzy rodziny — w Oliwie. Wcześniej należałem do ZSMP, w 1975 roku. Ale jak tylko pojawiły się znaki Solidarności, to zerwaliśmy z tą organizacją, bo widzieliśmy, jakie zakłamanie, jaki fałsz.

Jestem katolikiem. Całe życia zawsze kierowałem się naukami Kościoła.

Wolna Europa dodawała otuchy, sił w przezwyciężeniu załamania. Mój kontakt z prasą podziemną to ulotki, które nam dostarczano, chociaż było to bardzo ograniczone, bo to teren wojskowy, a pracowałem w stoczni marynarki wojennej.

Ja i moja rodzina biednie żyliśmy, więc podwyżki w 1980 r. to był jeden z ważniejszych motywów, które kazały nam przeciwstawić się czynnie, słownie, w jakiejkolwiek formie.

Wówczas moim autorytetem był Wałęsa, jako przywódca; potem niejednokrotnie nas zawiódł. Ale na początku tej drogi wierzyliśmy w niego jak w bóstwo.

Pracę podjąłem 29 czerwca bez wakacji, bez niczego w stoczni marynarki wojennej w Gdyni na Oksywiu — to był mój pierwszy zakład zaraz po szkole — i to do 2011 roku 42 lata pracy, jako elektromechanik, w magazynie kabli i końcowy okres — zaopatrzenie, 25 lat. Moje zarobki wtedy, w 80 roku, nie wystarczały — ciągle pożyczki, nie było na nic ekskluzywnego — na jakiś wyjazd, coroczny urlop — nie było stać.

Tego dnia, gdy zaczął się strajk, pracowałem na wydziale elektrycznym. Jednym z organizatorów był Kwiatkowski z kadłubowni. Pochód ruszył z kadłubowni i przyszedł pod nas wydział elektryczny — krzyczeli „chodźcie z nami, chodźcie z nami", ale było takie zastraszenie komunistycznego kierownika, on rękę na poręcz i że nie wolno nam wychodzić, a my pod tą ręką — co odważniejsi — duża część z nas poszła, a reszta to zastraszeni.

Przywódcom strajkowym ufałem całkowicie, bo swoim życiem, swoją postawą zasługiwali na zaufanie, nigdy w tym okresie nie zawiedli, nie byli tacy dwulicowi.

Do Solidarności przystąpiłem w grudniu 1980 roku; należeliśmy wcześniej, ale potem kazali nam przymusowo się wypisać, a później to reaktywowali w grudniu.

Stan wojenny to był szok. Na pewno nie przeżyłem tego jak przywódcy strajku — ich z domu wyciągali. Myśmy, zwykli członkowie, tak mocno tego nie odczuli, tylko utrudnienia w sklepach, dojazdy...

Teraz, z perspektywy czasu, popieram porozumienia „okrągłego stołu", ale Magdalenka to jednak coraz bardziej dociera do świadomości, że była to zdrada. Uczestniczyłem w wyborach czerwcowych w 1989 r. U nas w Janowie jechał wóz nagłaśniający, mam nadal cegiełki od Wałęsy. Wciąż mam kontakt z przewodniczącym związku, bardzo ubolewał, że nas zwolniono w 2011 i on nic nie mógł zrobić, bo mieliśmy w tytule upadłości „likwidacyjne" i wtedy działacze związkowi, wszyscy zwolnieni musieli odejść. On to przeżywał bardzo, nazywał się Kamieński Mirosław. W Strzebielinku był internowany.

Co do strajków sierpniowych, to ja nie żałuję, zrobiłbym to ponownie. Błędem Solidarności było to, że miała takich przywódców, którzy okazywali się zdrajcami. Każdy ciągnął w swoją stronę, interesy partykularne widział.

Teraz należę do koła emerytów Solidarności na Hallera w Wejherowie. Koło ma 19 osób, nie jest prężne. Wielu z tych, co to budowało, odeszło.



Piotr Prill — ur. 3 listopada 1956 r. w Gdyni. Stan cywilny — wolny. Elektryk, w latach 1974–1986 pracował w Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni. Uczestniczył w strajku sierpniowym, wkrótce potem wstąpił do Solidarności. Po stanie wojennym podjął pracę w innej firmie. Nadal czynny zawodowo.

Pamiętam rok siedemdziesiąty — siódma klasa szkoły podstawowej — zamknięto nas w szkole. Widać było przez okna, że wszyscy idą tą Morską, wszyscy do centrum, później zaczęły się marsze... Strzelano z rana... Z tego, co się później dowiedziałem, to zginął uczeń z mojej szkoły — jakoś się tak urwał i też został zabity.

W sierpniu 1980 r. w stoczni wszyscy byli za strajkiem, ale niektórzy nie wrócili z urlopów — na ogół byli to ludzie starsi, pamiętający rok siedemdziesiąty.

Ja akurat wtedy miałem zostać ojcem chrzestnym, ale ksiądz z parafii uznał, że — ze względu na sytuację — może mnie zastąpić ojciec.

Organizacja strajku zaskoczyła mnie naprawdę — był porządek, ludzie się zorganizowali, na bramach pilnowali, nie było wrogów, nie było jakiś tam zatargów, że kto tu ma rządzić, wszystko poukładane.

Nasz oddział reprezentował Tadeusz Pławiński.

Dzień codzienny na strajku — przede wszystkim posiłki, zebranie, rozmowy, spacer, chyba były trzy czy cztery msze. Rozmawialiśmy, słuchaliśmy, co się dało, głownie radia. Mieliśmy piłkę i troszeczkę pograliśmy sobie w siatkówkę czy kometkę.

Siedzieliśmy wszyscy zamknięci, tak że nikt nie wychodził. Michy się pilnowało, bo były bary otwarte, to tu się poszło, to tu coś zjadło. Trochę przytyliśmy — nie spalało się tyle kalorii...

Pamiętam, że Bałtyk grał — pierwszy mecz w pierwszej lidze — wtedy wyprosiliśmy przepustkę na mecz. Pamiętam z Odrą Opole wygrali jeden-zero, bardzo zadowoleni wszyscy karnie, grzecznie wrócili, nikt nie uciekł...

Ulotki były na pewno drukowane. Nawet później słyszałem, że dostali od Japończyków czy od kogoś jakieś drukarki czy coś, a część może była przywożona z Gdańska. Jeździli nawet karetką pogotowia do Gdańska, żeby oszukać milicję, jeździli i utrzymywali kontakt z Gdańskiem.

Milicji nie było widać, jeśli byli, to po cywilnemu, a człowiek ich nie znał. Ale raczej nie, bo nie wpuszczano — były posterunki i oprócz wartowników byli ludzie ze Stoczni, nie było tak łatwo wejść ani wyjść ze Stoczni, więc z milicją to kontaktu raczej nie było.

Pamiętam, jak żeśmy się ucieszyli, gdy strajk się skończył — wracamy do domu, rano oczywiście wszyscy do pracy. Wszyscy zadowoleni, że to się naprawdę skończyło tak jak się skończyło. No bo różne plotki chodziły, że to się szykują... A jednak się udało, z wielką nadzieją wszyscy byli zadowoleni. To jednak było wielkie coś, to pokazanie, że czegoś takiego w kraju chyba nie było od kupy, kupy lat.

Do Solidarności wstąpiłem jak wszyscy — od razu, bez zastanowienia, w momencie, kiedy mi złożono propozycję. Nie wiem, czy jeszcze było to w czasie strajków, czy tuż po — po prostu były listy i zgłosiłem się. Było nas prawie dziesięć milionów, wszyscy byli tacy zadowoleni — bo coś się ruszyło w tym kraju, to była prawie jedna trzecia ludności. Każdy miał taką wielką nadzieję, że się coś w końcu zmieni, że jakaś lepsza przyszłość nas czeka, że zaczniemy jakoś żyć.

Nie wiem, ilu się zapisało z mojego wydziału, osiemdziesiąt parę, może dziewięćdziesiąt parę procent. Tego nikt nie sprawdzał. Wiem, że paru się nie zapisało — może byli to ludzie, którzy musieli się tłumaczyć, dlaczego nie byli na strajku, inni może na zasadzie przekory...

Na moim wydziale kierownik z nami siedział cały czas na strajkach, po prostu nie robił żadnych wstrętów — wręcz przeciwnie, po prostu, jako kierownik pilnował, żeby to

wszystko było jako tako. W czasie strajku, nie mogę powiedzieć, bardzo ekstra się zachował.

Co do osiągnięć to, z perspektywy czasu, powiem tak: wolne soboty, wolność słowa (fakt, nie każdemu na tym tak bardzo zależało), no i ogólnie, że ktoś zaczął z ludźmi rozmawiać, że ktoś chociaż w końcu zaczął się liczyć z robolami.

Stan wojenny to było duże przeżycie. Z początku myśleliśmy, że niemożliwością, żeby tak zdołować ludzi, tyle milionów, ale jednak zrobili, co chcieli. No nie było to miłe, bo akurat żeśmy strajkowali i pamiętam, jak nad ranem szli taką tyralierą. Było zimno, mróz, śnieg skrzypiał, a oni szli i tak walili pałami. Cały czas te megafony — że proszę opuścić, bo tam takie paragrafy... No i jak takie mumie, barany na rzeź nas wyprowadzili. Mało tego, przy bramie głównej mieli te SKOT-y, stali ze skrzyniami z amunicją — nie wiem czy dla pokazania swojej siły, byłem w wojsku, wiem jak to wygląda — skrzynie z amunicją przekładali, takie było upodlenie.

Nogi się nie trzęsły, w pory nie robiłem, nie było przyjemnie, byłem zły, ale co mogliśmy zrobić? Po prostu każdy chce żyć — nie wiadomo, czym by mogło się skończyć, mogło się skończyć jeszcze gorzej niż w Kopalni Wujek. Zostało w pamięci troszeczkę takie poniżenie, upodlenie.

Związki dalej działały, pomimo że był zakaz, to żeśmy składali się, bo nasi koledzy, jeden się ukrywał przed internowaniem i żeśmy się tak składali co miesiąc. Tadziu Pławiński — żeśmy się składali, bo on się ukrywał chyba półtora roku. Jego obowiązki w Komisji zakładowej czy wydziałowej przejął wtedy chyba Tadziu Chrzan i on się właśnie tym zajmował i właśnie on ulotki dostarczał — tak mieliśmy troszeczkę więcej wiadomości. Ci, co byli w Solidarności, każdy karnie płacił, ładnie i bez ociągania, nikt nie zrezygnował z Solidarności, z przynależności do Związku.

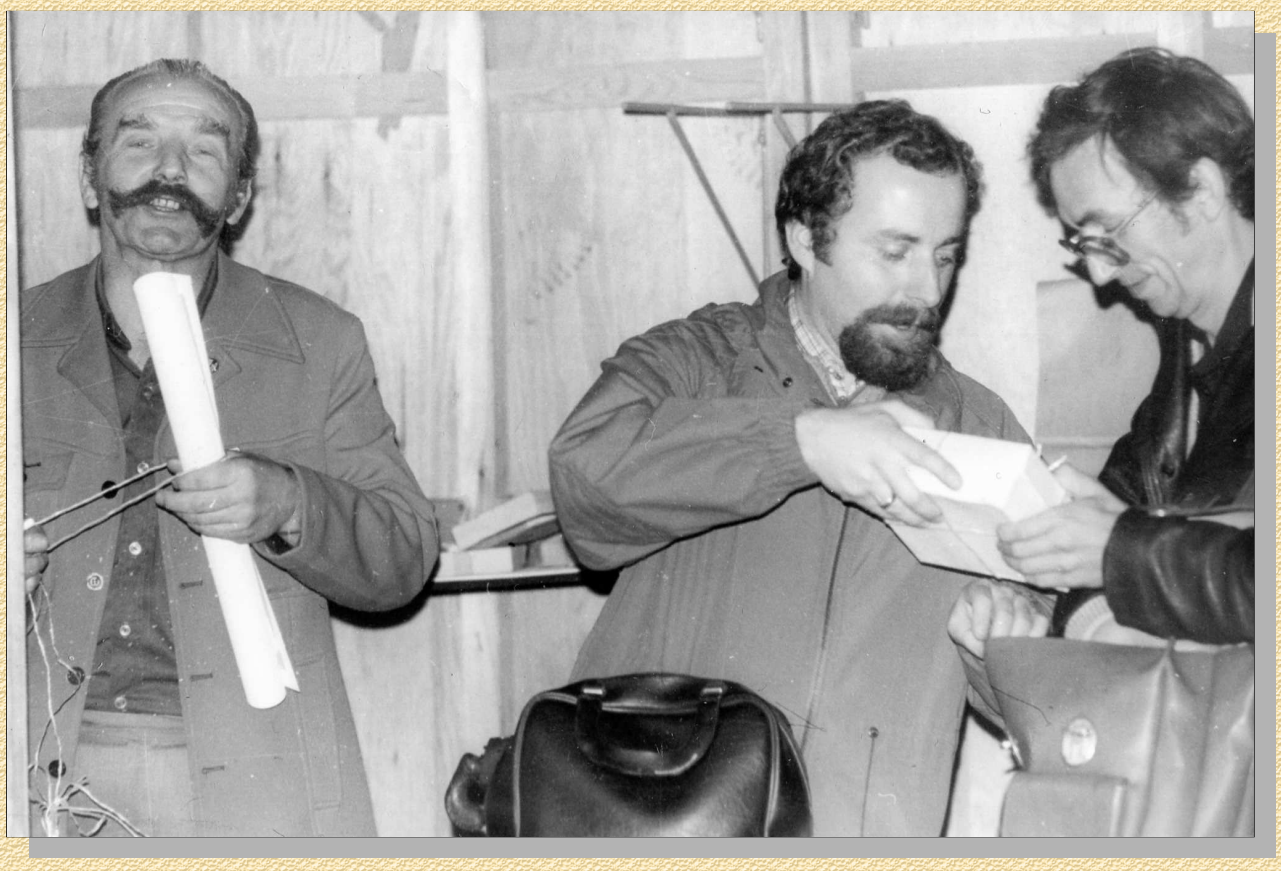
Po stanie wojennym już pracowałem w innej firmie. Gdy odszedłem ze Stoczni zerwały mi się kontakty. Od tego momentu — to był osiemdziesiąty szósty rok bodajże — już nie byłem związany z ruchem.

Nadal jestem stanu wolnego. Pracę mam. Dzięki panu Tuskowi jeszcze będę pracował 7 lat, właściwie 8. Zostałem oszukany, bo zaczynając szkołę, było 40 lat w stoczniowym, a w tej chwili...

Wspominam ten rok 80 dobrze. To było coś naprawdę wspaniałego. Tylu ludzi porwać, wszyscy chodzili z tymi opaskami, wszyscy dla siebie byli mili. Solidarność, „V" na paluszkach... Tak, naprawdę to było piękne, wprawdzie trwało to krótko, bardzo krótko. Później to się wszystko porozłaziło... Może działacze coś osiągnęli, ale zwykli członkowie Solidarności to nic.

Największym błędem dla mnie jest odejście od pewnych zasad. Solidarność już od 89 roku wzięła się za politykę. Zaczęli działacze różni walczyć między sobą, tworzyć jakieś struktury, które są poza ludźmi pracy, dla których to związek zawodowy miał być, a zrobił się przybudówką jakieś tam partii, odskocznią do polityki, świetnym zabezpieczeniem działaczy. To dla mnie jest już kompletne nieporozumienie, co się zrobiło. Uważam, że te 25 lat to zmarnowane lata. Rządzą partie, zwykli ludzie nic nie znaczą, wymiar sprawiedliwości jest do niczego, służba zdrowia do niczego, policja do niczego, armia tym bardziej. Stocznie z dawnej NRD wszystkie istnieją, a u nas nie ma żadnej.

Teraz trzeba przede wszystkim odstawić partyjne ścierwa. Miała być administracja bezpartyjna. Takie rzeczy, jak światopoglądy, to zostawmy ludziom samym sobie, a weźmy się za gospodarkę, bo jest bardzo źle. Ja już raczej nie zdecydowałbym się walczyć — po prostu straciłem nadzieję.



Mieczysław Puzdrowski — ur. 24 kwietnia 1949 r. w Gdyni. Ukończył Szkołę Budowy Okrętów w Gdyni. Żonaty. W grudniu 1970 r., po zakończeniu służby wojskowej, podjął pracę w Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni, a w 1977 r. w stoczni „Nauta". Uczestniczył w strajku sierpniowym, zaraz potem wstąpił do Solidarności.

W 1982 r. zwolniony z Nauty, zatrudnił się w MPO, a następnie w Stoczni Gdańskiej. Uczestniczył w strajkach 1988 roku.

Pochodzę z rodziny robotniczo-chłopskiej, kaszubskiej. Ojciec z gospodarki, ale później w centrali rybnej pracował. Mama był Kaszubką, pierwszą mieszkanką Gdyni, odznaczoną przez prezydenta. Tato — Kaszubem, ale z Brodnicy Górnej. W domu się mówiło po kaszubsku.

Mama kończyła szkołę niemiecką, tato był w wojsku niemieckim, o ważnych tematach rozmawiali w domu po niemiecku, żebym tego nie rozumiał. O Katyniu dowiedziałem się dopiero, jak miałem 18 lat — mój przełożony w wojsku mi wytłumaczył, co to był Katyń.

Chodziłem do zawodówki na Wronią, gdzie dyrektor szkoły nam mówił, że miał przed wojną lepiej, ale takich ludzi jak on, to były jednostki.

Tato mi powtarzał, że teraz mam lepiej, niż on miał, bo musiał być parobkiem przed wojną, na Kaszubach bieda, piaszczyste ziemie. Tato do mnie, że mam zawodówkę — przed wojną byłoby to nie do pomyślenia.

W sierpniu 1980 r. jeszcze nie byłem żonaty. Wyznaczyliśmy datę ślubu na 19 września. 15 sierpnia mieliśmy jechać do Borkowa z Jolą. Po śniadaniu dowiedziałem sie, że nie będziemy pracowali, bo jest strajk. Musieliśmy zostać, Joli kazałem kupić bilety na pociąg, by gdzieś koło 15-tej jechać do Borkowa. Dzwonię do niej, że musimy to odwołać, że ja nie mogę jechać, że muszę zostać. Tak zostałem, od pierwszego do ostatniego dnia. Miałem chyba dwie przepustki — musiałem iść do krawca, bo mi garnitur szył.

Pamiętam początek strajku. Po śniadaniu usłyszeliśmy decyzję, że nie pracujemy. Nie wiem, kto tę decyzję podjął — że do drugiej mamy nie pracować. W godzinach pracy 100% frekwencji — nie pracowało się. Godzina 14.30, czyli wyjścia do domu, ludzie zaczęli się rozchodzić, 40% zostało na noc w pierwszy dzień strajku. Dopiero w niedzielę rano zaczęli wracać.

Ucieszyłem się na wiadomość o strajku, ale nie wierzyłem w żaden sukces. Nie wierzyłem w ten sukces. Wróciłem na łono Kościoła, bo dla mnie to był cud, że się udało coś zmienić.

Początkowo zmieniali się przywódcy strajkowi. Na przyczepie przemawiali. Jednego dnia Marek Formela wskoczył na wózek i przemawiał, żeby spalić wszystkie ulotki — które nam zrzucali z samolotów — nawołujące, by się rozejść do domów. Zrobiliśmy ogromne ogniska i spaliliśmy je tak, by je widzieli. Już przestali nam zrzucać. Marek krzyczał, że to propaganda, byśmy nie wierzyli. Wydaje mi się, że od niedzieli, od następnego dnia Marek został przywódcą — gadką poderwał tłumy. Tak, ludzie mu zaufali. Ja byłem tak nauczony, że ktoś powinien rządzić, pierwsze godziny to był chaos w Naucie. Dla nas najważniejsze było, to co mówił Marek, opanowanie radiowęzła, by szły komunikaty, by ludzie wiedzieli, co się dzieje. Później szły te komunikaty przez radiowęzeł — co się dzieje w Gdańsku, w Gdyni. Bo radio i telewizja były zablokowane. Chyba w poniedziałek rano już był radiowęzeł opanowany i szły słowa Marka.

Z racji pełnionych stanowisk — kierownik czy dyrektor — nie mógł namawiać do strajku. Oni też byli zaproszeni na scenę — mówił dyrektor Pawlak, że nas popiera, itd., ale żebyśmy wrócili do pracy. Nie mógł przecież inaczej powiedzieć. Chciał, byśmy rozmawiali, ale później pracowali. Wygwizdali go ludzie. Komu się chciało w sierpniu w ładną pogodę pracować...

Nie bardzo się angażowałem w jakieś przemowy. Chodziliśmy na warty, nieraz na kuchnię pomagać kobietom. Stałem z boku, wszystkiemu się przyglądałem. Spałem przy bramie w ciągu dnia — tam były rozłożone bramki. Przez bramę nie można było przejść, tam była przyczepa i na niej zrobiona mównica. Wieczorem spałem na statkach, które były remontowane. Myśmy spali w łóżkach na przetwórniach rybackich, nie było potrzeby, by narzeczona przynosiła jakieś koce czy inne rzeczy.

Pierwszy dzień, drugi dzień nie było jeszcze dobrze zorganizowane z jedzeniem. Później kobiety ze stołówki przystąpiły do strajku. 100% ludzi otrzymywało jedzenie. Było bardzo dobre zaopatrzenie. Wszystko szło na kuchnię. Kobiety przygotowywały jedzenie. Wszyscy z tego korzystali, nawet dyrektor. Nieraz się przy jednym stole siedziało z nimi. Kobiety o 16-tej opuszczały stocznię, bo to były matki, zostawała jedna, dwie, to szli mężczyźni i im pomagali posprzątać, pozmywać.

Dyscyplina była straszna w czasie strajku, jak się człowiek spóźnił, to musiał odrabiać później w kuchni, pomagać kobietom. Ale tak jak się najadłem podczas strajku, to tak w domu nie jadłem. Wszędzie pełno kiełbasy, masła, ludzie to kartonami przywozili.

Była bardzo duża pomoc ludzi z zewnątrz. Przynosili papierosy, wszystko. Ludzie, którzy nawet nie mieli znajomych, to przynosili jedzenie. Wręczali puszki mięsne, rybne. To wszystko szło do jednego kosza i na stołówkę. Indywidualnie jeszcze mi narzeczona przynosiła, to mogłem sobie podjeść — jak było coś dobrego w międzyczasie.

Obawiałem się wejścia milicji. Bałem się, że żołnierze radzieccy mogą wejść. Zdawaliśmy sobie z tego sprawę, że to nie będą przelewki.

Cały czas była mowa o tym, że my nie chcemy zmieniać socjalizmu, że chcemy mieć wolne związki zawodowe.

Postulaty? Nie wierzyłem w pierwszy — zgoda na zarejestrowanie i zalegalizowanie wolnych związków zawodowych. Wiedziałem, że jest to nie do przeskoczenia. Było kilka takich postulatów, które mnie absolutnie nie dotyczyło. Przedszkola, msza w radio, to mnie nie cieszyło. Mnie wtedy najbardziej cieszyło to, że pensja ma podskoczyć o 2000. Nikt wtedy nie zdawał sobie sprawy, że pensja podskoczy o 2000 i że chleb będzie tyle kosztował.

Najbardziej mnie uderzyła pierwsza msza i ci ludzie. Przecież wcześniej się nie rozmawiało o wierze czy w ogóle. A przyszło na mszę 100% ludzi, nawet komuniści. Stali pod drzewami. Było nas tyle...

Najważniejsza była bibuła — czekało się na nią. Nieraz milicja zabierała całe samochody z bibułą. To była taka ciekawość, co się dzieje. Co się dzieje na mieście itd. Narzeczona mi też informacje przynosiła. Do nas nie docierało nic. Ciekawi byliśmy, co się w Gdańsku dzieje — jeżeli Gdańsk by upadł, to my też nie mielibyśmy, co robić.

Źródłem informacji była tylko bibuła, później ktoś wziął ulotkę i czytał przez radiowęzeł.

Po jakimś tygodniu drukowano komunikaty. Chyba otrzymaliśmy drukarkę z Komuny.

W czasie strajku nie miałem kontaktu z milicją. Nie wychodziłem ze stoczni — tylko na przepustkę, do krawca. Pod stocznię milicja nie przychodziła.

Była między nami solidarność, a z drugiej strony nienawiść do tych ludzi, którzy byli naszymi majstrami, kierownikami. Cały nasz szef produkcji czy od spawania, słynny majster, był zarazem przewodniczącym komisji, która przydzielała mieszkania. Ludzie mu to pamiętali, że nie przydzielał mieszkań. Po zakończeniu strajku od razu go wymienili.

Podczas strajku nie było żadnych kłótni. Najważniejsze było to, że nam za te strajki zapłacą. Wtedy okazało się, że pod bramą stoją znów tłumy i ludzie chcą dołączyć. Każda taka osoba musiała na wóz stanąć i się wytłumaczyć, co robił i ludzie mieli zdecydować, czy wpuszczają czy nie. Już podczas porozumień ustalono, że każdemu zapłacą.

Nie wiem, jak uzgadniano taktykę strajku. Nigdy z Markiem o tym nie rozmawiałem. Marek zmobilizował ludzi i dlatego mu uwierzyli. Trzy miesiące po strajku zmienili przewodniczącego — Marek przegrał w wyborach.

Wtedy Marek był potrzebny — trzymał kasę, wszystko. Ludzie z nim nie dyskutowali. Jak Marek powiedział, to tak miało zostać.

Ludzie nie chcieli kłótni, chcieli, by ktoś rządził w czasie strajku.

Pamiętam moment podpisania Porozumień. Po pierwsze nie byliśmy dwa tygodnie w domu. Każdy na to czekał, kiedy to już wreszcie nastąpi. Myśmy się kąpali codziennie, wszystko tak niby było ok, ale każdy chciał już wrócić.

Na bibule były cały czas komunikaty, by nie opuszczać zakładu, aż nie ogłosi tego telewizja. Taki był scenariusz. Mamy zobaczyć podpisanie umowy między premierem Jagielskim a Wałęsą. Potem Wałęsa powie, że mamy opuścić zakłady i wtedy dopiero możemy wyjść. Obawiano się manipulacji.

Do Solidarności przystąpiłem jeszcze w czasie strajku, albo nie, po strajkach. Jeszcze nie były zarejestrowane wolne związki przez sąd, ale już można było się organizować, już powstawały listy. Nie pełniłem żadnej funkcji. Przewodniczącego oddziału wybraliśmy, został nim Szmuda. Wtedy pani doktor powiedziała, że ja już jakiś czas pracuję tutaj, może mnie trochę do sanatorium wysłać. Są u mnie jakieś ogniska zapalne, że mam jechać. Szmuda mi powiedział, że on musi sprawdzić mnie — a ja do niego, że on jak komuna, że sprawdza jak komuna — że przecież mnie zna. Nie angażowałem się dlatego.

Szmuda był wydziałowym, społecznym przewodniczącym. Na etacie był tylko Marek Formela. Do pierwszych wyborów Marek Formela prowadził Solidarność. Wszystko trzeba było zmieniać.

Ze strony dyrekcji nie było żadnych przeszkód. Zmienił się stosunek ludzi — to kiedyś dla kierowników i dyrektorów było ujmą, by się z robotnikiem równać.

Dla mnie najważniejsze były — wtedy miałem 30 lat — stosunki międzyludzkie. Nasi przełożeni wtedy się dowiedzieli, że my też jesteśmy ludźmi. Oni mieli do nas szacunek i my do nich, jak się okazało, że są dobrzy.

Mnie nigdy polityka nie interesowała. Nas to bolało, że członkowie PZPR, którzy nic nie umieli, dostawali talon na samochód, zapisywali się na listę mieszkaniową itd. Jak się nie było w partii, to się nic nie miało. To się zmieniło w czasach Solidarności.

Taka radość wśród ludzi, euforia, że wyjdziemy z tego dołka — a tu nagle stan wojenny i stawiają nam semafor. Myślę, że ludzie z PZPR też byli zaskoczeni.

Mój ślub odbył się 19 września, zgodnie z terminem.

Jak ogłosili stan wojenny, to nie wróciłem do domu. Teściowa zniszczyła wszystkie pamiątki z czasów strajku i innych wydarzeń. Miałem krzyż orła z koroną, wszystko teściowa zniszczyła, bo się bała.

Stocznią nie rządził wtedy dyrektor, a komisarz wojskowy, Kamiński. Po godzinie 22 nie można było wychodzić, ale ja miałem nocki, więc miałem specjalną przepustkę. Musiałem zgłaszać te osoby. Śniadanie mieliśmy w czasie nocnej zmiany o 12. Jednego dnia ktoś nakleił Wałęsę — Kamiński do mnie, że mam to zerwać, bo to na mojej zmianie. Ja nie odkleiłem. Zgłosił mnie do kierownika. Pytał mnie, dlaczego nie zerwałem tego Wałęsy — powiedziałem, że nie zerwałem, bo jeszcze by było, że to ja nakleiłem.

Wtedy za rzucenie ulotki groziły represje. Znam chłopaka, który od nas z Nauty trafił do więzienia w stanie wojennym. Rewizja w domu.

Grabowskiego — przewodniczącego Solidarności — wywieźli karetką ze stoczni. Marek Formela już się ukrywał. Później go zwinęli.

Był 3 dzień stanu wojennego, gdy podjechałem pod stocznię. Jak przyszedłem do domu, to zrozumiałem, co się stało — wprowadzono stan wojenny. Usiadłem na tapczanie i dwie godziny nie mogłem dojść do siebie. Wjechały te czołgi do stoczni Nauta i mówią do nas, że mamy opuścić stocznię. Marek Formela do niego, żeby mu pokazał, kto jest wrogiem, że my też będziemy z wrogiem walczyć. Marek dostał wyrok, chyba 3 lata. Ja nie mogłem dojść do siebie, co się stało z tymi ludźmi wielkimi. Włączyłem telewizor i słyszę, stary porządek przywrócony.

Po dwóch czy trzech dniach przyjechali do mnie, by przyjść do stoczni — na specjalnych przepustkach przyszliśmy i kazali nam z dachów zrzucać śnieg. Później wezwali nas do domu kultury — tam ogłosili, że będą nowe przepustki — jak ktoś nie dostanie nowej przepustki, to znaczy, że już nie pracuje w stoczni. To wszystko, kto zostaje w stoczni, zależało nie od komisarza wojskowego, a naszych dyrektorów. Grabowski i Formela dostali wyroki. Formela jako wróg układu warszawskiego.

Początek 1982 r. pojechaliśmy z Markiem Formelą do Nowej Soli, nikt nie wiedział, kim jesteśmy. Później na winobranie do Zielonej Góry. Marek zatankował fiata, zapłacił, a płacąc zostawił portfel. Milicja zajechała. Sprawdzili nam wszystko — przejrzeli moje dokumenty — że podejrzany politycznie jestem. Marek Formela że z Nauty, że przewodniczący strajku. Właściciel stacji dał milicjantom portfel, by nas dogonili i oddali dokumenty. Niepotrzebnie im uciekaliśmy. Po 4 godzinach nas wypuścili. Ja już z Nauty byłem

zwolniony, Marek nie mógł wrócić. Dlatego wyjechaliśmy. Na 2–3 miesiące pojechaliśmy z Markiem. Wróciliśmy, to dostałem wezwanie, że unikam pracy. Wtedy zatrudniłem się w MPO. Pracowałem 8,5 h i miałem mieć wszystkie soboty wolne. Przyszła zima i wezwali mnie, że mam w soboty pracować. Ja się zbuntowałem, że w soboty nie będę pracował, bo je odpracowałem przez te 8,5 h. Na własną odpowiedzialność nie poszedłem w sobotę do pracy. Nic mi nie zrobili.

Zbierałem te śmieci w MPO — jak mi wstyd było. Nawet na początku nie radziłem sobie z tymi śmietnikami. Nie chciałem się dorzucać do wina w mojej drużynie — przez to podejrzewali mnie, że jestem podstawiony. Musiałem im tłumaczyć, kim jestem. Jakoś przeżyłem przez 9 miesięcy. Pracowałem i zarabiałem po 5 zł, a w stoczni już wtedy 20 miałem za godzinę. Te pierwsze dni to były dla mnie bardzo ciężkie, bo nie pracowałem fizycznie od lat.

Wpadło mi w ręce ogłoszenie, że stocznia gdańska szuka pracowników. Pomyślałem, nie mam w papierach, że mnie zwolnili, więc spróbuję. Wszystkie badania przeszedłem. Przyszedł kierownik, rozmowa z nim. Powiedziałem mu, że mogą być jakieś problemy. Zatrudnił mnie Tadeusz Fedorczyk — to był mój mistrz. W stoczni gdańskiej wszyscy sobie na ty mówili. Ja byłem tak z Nauty przyzwyczajony, że do mistrza się zawsze na pan mówiło, że nie mogłem się odzwyczaić od tego. Przestrzegali mnie też przed ludźmi z SB. To musiało być pod koniec 1982 r. , kiedy się zatrudniłem. Wałęsa już wyszedł z internowania i chyba był znów w stoczni. W stoczni gdańskiej poznałem, co to jest Solidarność, jak się wszyscy bronią.

Jako młody chłopak widziałem Wałęsę, jak mu nie uwierzyć? Mówił: „Zrobię rewolucję, nie wybiję żadnej szyby". Wałęsa przy strajku majowym mówił, że bez ludzi nic nie znaczy, że musi mieć poparcie. Strajk majowy — to był chyba 1988 r. — należałem do strajku. Sierpniowy został zawieszony, bo powiedziano, że będzie okrągły stół. W maju szliśmy przez cały Gdańsk i do Brygidy poszliśmy. Tak nam bili brawo, tak ludzie wrzeszczeli, że „musimy zwyciężyć". Już nie pamiętam, czemu strajk został przerwany. Nawet nie pamiętam, o co szło. O godzinie 14 czy 15 przerwaliśmy i szliśmy do Brygidy. Za każdy dzień strajku dostaliśmy wtedy pieniądze — Solidarność była już tak zorganizowana. Prowadziło się listy, kto należał do strajku, kto nie. Wypłacili nam normalnie tak, jak byśmy pracowali. Listy ludzi zostały w kościele i mnie to nie interesowało już.

Strajk sierpniowy tak samo. Też nam płacono za każdą godzinę. Przez cały czas był z nami Piotr Szczepanik, pamiętam te jego koncerty. Śpiewał „Czarną Madonnę". Szczepanik był moim idolem — mogłem z nim rozmawiać. Codziennie mielimy mszę świętą. Przychodzili do nas aktorzy. Mieliśmy różne rozrywki. Strajk prowadzony był przez Szablewskiego, bo Wałęsa nie mógł. Tak to zapamiętałem. Strajk sierpniowy miał 7 dni. Styropiany już poniszczone, bo zrobiliśmy kukły Jaruzelskiego z zapytaniem „dokąd nas ślepcze prowadzisz".

Między majem a sierpniem mieliśmy szkolenia w Brygidzie — jak to wszystko będzie wyglądało. Jak te stocznie będą nasze, jak będziemy decydować o wszystkim. Gdzie to wszystko jest? Rozmawiało się ze Stelmachowskim, z Wałęsą — wcześniej się o nich słyszało, a w stoczni z nimi pracowałem. Wszyscy polityką w domach żyliśmy. Tylko o tym się rozmawiało — dokąd nas ten Wałęsa zaprowadzi.

Wałęsa pojechał na rozmowy — powiedział nam, że musimy przerwać strajki w całej Polsce i wtedy może dojść do rozmów. Tak nam Lechu mówił na wiecu. Po raz pierwszy został wygwizdany wtedy. Przemówienie się skończyło i on został wygwizdany.

Rozmowy trwały i trwały, Wałęsa wyjechał, a my do pracy. Strajku już nie było. Nigdy się nie dowiedzieliśmy, co było podpisane. Wałęsa po przyjeździe zrobił spotkanie z mieszkańcami Gdyni. Przyszło dwóch Kaczyńskich, przyszedł Lis, Borusewicz. Pod tą Kamienną Górą nam tłumaczył, że mamy wolne wybory, że teraz już będzie nam o wiele więcej wolno. Spotkanie trwa, a przylatują trzy samoloty i hałasują nam, zagłuszają nas. Lechu podszedł do mikrofonu i „odlećcie panowie, doszło do porozumienia". Odlecieli. Wszyscy się tak cieszyli, że Lechu ma władzę. Tak naprawdę nic nie wiemy, co się podpisywało. Nikt z robotników nie wiedział, co było podpisane.

Nikt nie sądził, że wszystko wyprzedadzą.

Ja uważam, że to wszystko to zaprzepaścił Wałęsa. Teraz bym mu ręki nie podał. Ludzie nie chcieli i ja nie chciałem, by on usiadł do „okrągłego stołu" z Kiszczakiem. Ludzie podczas strajków majowych go wygwizdali przed „okrągłym stołem".

Pierwszy raz chyba od 20 lat poszedłem na wybory 4 czerwca 1989 r. Z żoną braliśmy udział.

Bardzo dużo w Polsce się zmieniło. Jesteśmy w Unii itd. Mam paszport. Niemniej jednak ten czas oceniam negatywnie — zostałem oszukany przez swojego przywódcę, przez Lecha. Zlikwidowanie przemysłu, stoczni itd. Czuję się oszukany. To bardzo boli.

Dzisiaj popieram Dudę.

Wolności nie ma. Nigdy się nie spodziewałem, że nie będzie rozliczenia z komunizmem. Nie ma wolnej Polski. To jest naprawdę przykre. Jak nas robią w konia. Wstyd jest mi za ten zryw — a wie pani, z jaką ochotą się szło. Jak wtedy się chętnie szło. A teraz nie jesteśmy w stanie już nic zmienić. Doszło już do tego, że dziś fałszują wybory. To już nie jest demokracja, jak się fałszuje wybory. To w czasach komuny się fałszowało i dlatego nie chodziło się na wybory.

Ja nie miałem źle — nie mieliśmy dzieci, byłem majstrem, żona pracowała w Pewexie. Najgorzej mieli młodzi, którzy nie mieli mieszkań w czasach komuny. Teraz jest gorzej niż za komuny — kto by pomyślał, w czasach komuny płacili za każdą nadgodzinę, ubrania robocze wszystko było itd. Teraz? — Gdzie to wszystko jest? Brakuje nam wszystkiego — nie ma ubrań roboczych, kombinezonów, rękawiczek, itd. Mnie boli to państwo w państwie. PO lepiej się tłumaczy niż komuniści. Dlaczego się ich nie rozlicza za ich władzę? Jest parodia dzisiaj.

Dopóki nie będzie rozliczenia z komuną — ludźmi, którzy do nas strzelali — nie będzie pokoju. Cały czas trwa spór o Katyń, o Smoleńsk. Dlaczego nie mogła u nas wejść taka ustawa jak w Niemczech, rozliczająca się z komuną? Gdyby było rozliczenie, to może byłaby teraz inna Polska.

Niestety w niektórych sprawach jest gorzej niż za komuny — szpitale, itd. To jest tragedia. Pieniędzy jak nie było, tak nie ma. Dlaczego c,i co są na dole, mają najgorzej? My wypracowywaliśmy ten budżet przecież. Jeżeli dwoje ludzi pracuje i ma trójkę dzieci, to te dzieci chodzą głodne. Za komuny te głodne dzieci dostawały obiady. Teraz nic. Nie ma opieki społecznej i prorodzinnej dla rodzin wielodzietnych.

My tak dużo pracujemy — najwięcej w Europie. Wszystko potrafimy. Dzisiaj, żeby nie Republika telewizja, to musiałbym słuchać tych manipulacji. Jak oglądam Republikę i TVN, to wyłaniają się dwie różne Polski.



Wiesław Ratkiewicz — ur. 21 grudnia 1953 r. w Gdańsku. Po ślubie w 1977 r. przeprowadził się do Gdyni; tu ukończył Technikum Budowlane, a następnie podjął pracę w Kombinacie Budowlanym, gdzie w 1980 roku uczestniczył w strajku, a po Sierpniu wstąpił do NSZZ „Solidarność", w którym został mężem zaufania. W czasie stanu wojennego skazany na 3 i pół roku pozbawienia wolności. Karę odbywał w Braniewie, skąd został zwolniony w sierpniu 1983 r. w wyniku amnestii. Obecnie na emeryturze.

Początek roku 1980 pamiętam jako ogólny spadek wydajności, spowodowany głównie brakiem materiałów. Dni w pracy dłużyły się, a pracownicy robili wszystko, żeby ich zachowanie na terenie zakładu wyglądało efektywnie, pomimo iż praktycznie nie mieli na czym pracować. Moją uwagę zwróciło wtedy również zbieranie opinii na temat związków zawodowych — pracownicy byli wzywani do dyrekcji i odpowiadali na pytania w tej sprawie.

W przeddzień Sierpnia w Kombinacie Budowlanym panował chaos. O wybuchu strajku dowiedzieliśmy się z pogłosek, potem z mocno cenzurowanego przekazu telewizyjnego; ze strony zakładu nie był żadnych informacji. Niemal natychmiast utworzyły się grupy strajkowe. Wiele osób przyłączyło się do tej idei, co wynikało z trudnych warunków życia, a także ogólnej niechęci do ustroju komunistycznego. Strajkujący nocowali po budowach na styropianie, a pożywienie organizowali sobie głównie ze stołówek pracowniczych. Wśród społeczeństwa było pełne poparcie dla inicjatywy 1980, ludzie wykazywali się wobec siebie życzliwością i pomocą.

Po strajkach niemalże od razu zapisałem się do Solidarności, gdzie zostałem wyznaczony na stanowisko męża zaufania. Wiązało się to z przekazywaniem informacji oraz wszelkich zastrzeżeń pracowników z poszczególnych miejsc pracy do władz związkowych.

Z okresu mojego pobytu w więzieniu w Braniewie — w latach 1981–1983 — chciałbym podkreślić ogromną pomoc Kościoła, zarówno duchową, jak i materialną. Również władze Solidarności dbały o to, aby mojej małżonce i dziecku niczego nie brakowało w tym trudnym czasie. Nastawienie społeczeństwa do władz komunistycznych ogólnie było wówczas bardzo negatywne i wszyscy pragnęli odejścia komunistów od władzy, jedynie na poziomie personalnym był to w jakimś stopniu ignorowane.

Obecnie nie pracuję — jestem już na emeryturze — jednak nadal żywo interesuję się polityką i tym, co dzieje się na świecie. Miniony czas wspominam z pewnym żalem, ale również rozrzewnieniem.


ODZNACZENIA
STOCZNI REMONTOWEJ NAUTA
1976
1976
1966
1979
1978
1979
1973
POTRZEBNY JEST PORZĄDEK, DYS LINA
I ODPOWIEDZIALNOŚĆ KAŻDEGO NA DYM
SZCZEBLU ZA TO CO POSTANAWI
CO ROBI I JAKIE SA TEGO SKUT
SOLIDARNOŚĆ

Henryk Różański — ur. 5 listopada 1940 r. w Służewie, woj. bydgoskie. Żonaty, dzieci. Szkołę zawodową ukończył w Radziejowie Kujawskim. Skazany w zawieszeniu za próbę obalenia siłą władzy ludowej. Otrzymał nakaz pracy w Pafawagu, ale pracę podjął w Zakładach Chemicznych w Bydgoszczy. Półtora roku pracował w Solcu Kujawskim, a potem przeniósł się do Stoczni im. Komuny Paryskiej, gdzie pracował przez 40 lat.

W szkole zawodowej, gdy miałem 18 lat, założyliśmy organizację zbrojną, której nadaliśmy nazwę „Ptasia rodzina". W tym czasie wszystkie miasta i miasteczka zostały otoczone kordonami wojsk pancernych, przeważnie ruskich. Po tym wydarzeniu założyliśmy organizację. Każdy z nas miał pseudonim pochodzący od ptaków. Było to jeszcze w fazie założycielskiej, był projekt statutu, projekt przysięgi. Była to organizacja zbrojna. Było nas 11-stu. W międzyczasie organizowaliśmy pogadanki, dyskusje historyczne, spotkanie z człowiekiem z Westerplatte, którego zaprosiliśmy. W tym okresie sprzeciwiliśmy się uczeniu się języka rosyjskiego. Co dziwne, przystano na to. W zamian za to, żeśmy wprowadzili pogadanki z przeorem klasztoru franciszkanów, który tam funkcjonował.

Wracając jeszcze do okresu otaczających wojsk pancernych, to Radziejów był zryty czołgami. Myśmy z tymi Ruskimi próbowali takimi grupkami walczyć i nawet wsypaliśmy im piasek do luf. To było przed okresem Bożego Narodzenia. Dwóch kolegów z Oświęcima koło Płowic gdzieś tam sobie postrzelało i ich zgarnięto. Była taka umowa, że organizujemy broń, ale jej nie używamy. Fakt był taki, że wpadliśmy. Od jednej z łączniczek, która dostarczyła przygotowane wstępnie statut i przysięgę, przejąłem te dokumenty i zniszczyłem. Nie było możliwości przechowywania w tym czasie. W tym samym czasie miałem jeden egzemplarz broni gładkolufowej. Ukryłem ją, ale potem wrzuciłem do wychodka. Wiedziałem, że po mnie przyjdą. Wcześniej naświetliłem sobie oczy spawarką. Dyrektor przyszedł do mnie z tajniakami, a ja leżałem w łóżku z bandażami na oczach owinięty, nic nie widziałem. No i na jakiś czas dali mi spokój. Miałem wówczas okazję zorientowania się, co w trawie piszczy, jakie przyjąć tłumaczenie. Gdy byłem przesłuchiwany, to w tym samym czasie, w tym samym pomieszczeniu — bez stołów i biurek, w kącie stał tylko kosz — była przesłuchiwana dziewczyna, pamiętam ją z mamą, do której mówiono pani generałowo. Ale nie mogę skojarzyć tych osób, pamiętam tylko duże oczy tej dziewczyny. Proces trwał trzy dni, zakończył się wyrokiem w zawieszeniu, dwa lata na trzy w zawieszeniu. Byliśmy oskarżeni z paragrafu 36 Kodeksu karnego, który mówi, że kto chce obalić władzę ludową siłą, temu grozi od 5 do 15 lat. Pamiętam do dziś nazwisko mojego obrońcy, mecenas Prydzyński. To były wspaniale wystąpienia tych obrońców.

Potem trzeba było ukończyć szkołę. To była trzecia klasa zawodówki. Po zakończeniu szkoły wprowadzono nakaz pracy. Przydzielono mnie do Bydgoszczy do Pafawagu, ale gdy to wszystko obejrzałem, to już się tam nie pokazałem. Przyjąłem się w Zakładach Chemicznych w Bydgoszczy pomimo wyroku. Co ciekawe, na wydział remontów kotłów do produkcji trotylu. Zrobiliśmy tam taki bunt młodzieży. Gdy mówiliśmy, że nam się coś należy, to dyrektor — nazywał się Kopeć — mówił, że rodzice powinni jeszcze dopłacić, że nas wykształcili. Opuściłem zakład bez wypowiedzenia, bo bałem się, że mi dokooptują do tych dwóch lat. Poszedłem do Solca Kujawskiego, tam pracowałem półtora roku i przeniosłem się do Gdyni. Tak zaczęła się praca w stoczni, która trwała 40 lat.

Przed strajkiem 1980 roku byłem na urlopie z żoną i dziećmi. Usłyszałem, że Stocznia Gdańska już stanęła. Wróciliśmy z rodziną dzień wcześniej niż powinniśmy, a pociąg, którym mieliśmy jechać, wykoleił się. Na liście było moje nazwisko i cała rodzina zjechała się, bo myśleli, że zginąłem w wypadku. Przyszedłem na strajk, wyłączyłem urządzenia i zmusiłem do przestoju. Wtedy mistrzem był Perlicki Zygfryd, wielki żeglarz. On przystał do tego strajku, wszystko było zabezpieczone, ochranialiśmy nasz obiekt i uczestniczyliśmy w całym procesie strajkowym — przychodzenie pod krzyż, msze św.

Razem z Perlickim, Tyszką i Zarzyckim byliśmy u dyrektora z petycjami. Potem na drugiej bramie byłem głównym kierującym, zabezpieczaliśmy te bramę. Z kolegą Jurkiem na budynku rozwiesiliśmy baner z napisem „Strajk Generalny" i wywiesiłem flagę podwójnej długości, na samym szczycie, gdzie wisiała do Bożego Narodzenia.

Radio Wolna Europa podała wiadomość, że w stoczni Gdynia zabarykadowaliśmy się i chcemy wysadzić ją w powietrze. Było to tak. Gdy wjechały czołgi i rozwaliły bramę wraz z platformą, stanęły przy płocie obok tlenowni. Przechodziłem z kolegą przy płocie obok nich i ostrzegałem, aby nie palili i nie strzelali, bo w jednym zbiorniku jest 36 ton ciekłego tlenu, a czym to grozi, powinni wiedzieć. A oni tak to opowiedzieli.

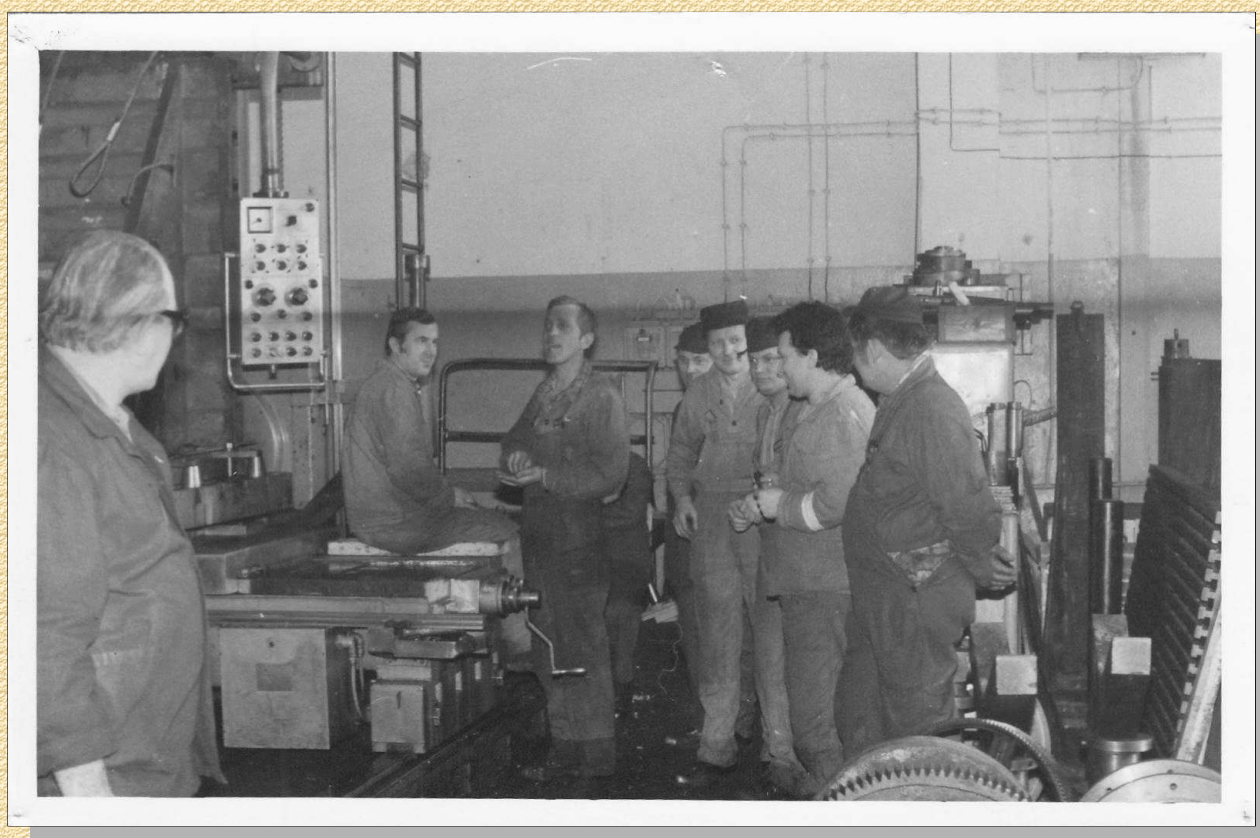
Potem trzeba było opuścić teren. Pławiński, który był pierwszym przewodniczącym, był w Szczecinie, wrócił nocą. I jak trzeba było wyjść, to z Pławińskim opuszczałem jako ostatni Stocznię. Szliśmy przez te szpalery, a oni stali i walili w tarcze pałkami, a tu się szło i na bramie były reflektory.

Pławiński zawsze powtarzał: „Pamiętaj o pomniku, żeby ten pomnik był". I rzeczywiście, pamiętałem cały stan wojenny, prowadziłem prace takie sprzątające, za to byłem karany naganą. Adam Gotner później mnie bronił, jak ja się sprzeciwiałem, więc dostałem na piśmie karę, ale nie było za co, bo byłaby to pamiątka, że byłem karany za sprzątanie terenu pomnika. Sprzątałem w ten sposób, że brałem melexa z Gródka, jechałem publiczną drogą z narzędziami. Grabki i łopatki kładłem z boku i kto chciał, to podchodził i robił. Nie było nagonki, żeby przychodzić. Każdy, kto chciał, mógł swobodnie przychodzić. Natomiast kara była za to, że jechałem tym melexem i sprzętu państwowego użyłem do takich celów.

Stocznia jest, teraz jej nie ma, ale stocznia cały czas była. Nie była w upadłości, dopiero od miesiąca jest upadłość. Jakim prawem Stocznię w taki sposób załatwiono? To powinna zbadać prokuratura.

Mam jeszcze akcje stoczniowe, ale to te moje można na ścianę nakleić tylko. Natomiast mam je jako pamiątkę.

Jeśli chodzi o resztę działalności, to byłem przewodniczącym energetyka, wydziału, który miał z początku 700 ludzi. Później to się zmniejszało, moja aktywność była dość duża, dlatego nie chcieli mnie zmieniać, pierwszy przewodniczący to Pławiński.



Jan Schmidt — ur. 27 stycznia 1946 r. w Gdyni. Katolik praktykujący. Absolwent Studium Nauczycielskiego Wychowania Fizycznego w Gdańsku (1966) i Politechniki Gdańskiej (1975), inżynier. Żona nauczycielka, dwie córki. W latach 1969–1977 pracował w Gdańskiej Stoczni Remontowej. Później (1978–84) w Spółdzielni Inwalidów „Sinema" jako kierownik działu kierowania jakością. Świadek wydarzeń grudniowych 1970 roku w Gdańsku. Zorganizował strajk w swoim zakładzie pracy. W Solidarności od IX 1980 r., był członkiem Komisji Międzyzakładowej w Porcie oraz członkiem Zarządu Regionalnego. Obecnie na emeryturze.

Urodziłem się w Gdyni i całe życie tutaj mieszkałem. Moja najbliższa rodzina nie brała udziału w wojnie, ale wiem, że gdzieś tutaj na Kaszubach z rąk Niemców zginęli kuzyni od strony ojca. Siostra mojego ojca była bardzo zaangażowana patriotycznie. Jej maż zginął w czasie wojny, straciła dwóch synów także. Jej najstarsza siostra jeszcze żyje, ma ponad 90 lat. W rodzinie ojca były działania patriotyczne i tradycje patriotyczne. Nas była pięcioro. Mówiło się o patriotyzmie, ale sami się kształtowaliśmy. W zasadzie wszyscy jesteśmy podobnie ustawieni mentalnie.

W 1980 r. już byłem żonaty. Mieszkałem w Gdyni przy Zamenhoffa. Już były dwie córki wtedy. Jednak z 1974 i druga z 1978 r. Moja żona była nauczycielką, były momenty, że pracowała, ale w 1980 chyba nie pracowała. Utrzymywałem tylko swoją rodzinę. Rodzice byli samodzielni. Ojciec miał emeryturę.

Jestem absolwentem Studium Nauczycielskiego Wychowania Fizycznego w Gdańsku (1966) i Politechniki Gdańskiej, Wieczorowe Studium Inżynierskie, Wydział Mechaniczno-Technologiczny (1975). W 1975 r. skończyłem Politechnikę Gdańską, byłem inżynierem. Studiowałem przez 5 lat. Zacząłem w 1970 i w 1975 r. skończyłem. Byłem świadkiem zdarzeń 1970 r., właśnie na Politechnice. Wydział Mechaniczny skończyłem. Zajmowałem się technologią spawalnictwa.

Mieszkałem w swoim mieszkaniu. Mieszkaliśmy na Chyloni. Było to osiedle domków jednorodzinnych. Dostaliśmy trzy mieszkania ze spółdzielni — brat, ojciec i ja. Od 1970 r. tam mieszkałem. To było moje spółdzielcze mieszkanie. Dali nam kredyt. Spłacałem potem.

Nie należałem do żadnych związków zawodowych. Wcześniej, w latach 1966–9 byłem w ZNO z automatu.

Grałem w piłkę nożną w klubie Doker Gdynia, na poziomie rezerw. Grałem w piłkę ręczną w latach 60. Trochę w siatkówkę grałem — ale zupełnie amatorsko. W latach 1975–1987 byłem trenerem piłki siatkowej w SKS Start Gdynia. Później pracowałem w klubie, jako trener młodzieży. Od 1998 r. grałem dla seniorów. Jestem czterokrotnym mistrzem Polski weteranów w siatkówkę.

Jestem katolikiem. Chrzczony w Kościele św. Mikołaja. Byłem zaangażowany w życie religijne. Wierzący, praktykujący. Pracowałem przy rozbudowie kościoła społecznie.

Słuchałem Radia Wolnej Europy i BBC. Już jako chłopiec całe wakacje spędzałem na Kaszubach u dziadków i tam słuchałem Radia Wolna Europa — wujek mnie tym zainteresował.

Nie pamiętam, czy uczestniczyłem w wyborach, albo oddawałem kartkę pustą, albo nie uczestniczyłem. Już nie pamiętam. Już byłem zdecydowanie cały czas anty.

W grudniu 1970 uczestniczyłem strajku w GSR i protestach ulicznych w Gdańsku.

Zacząłem pracę w 1966 jako nauczyciel wychowania fizycznego. Później pracowałem jako robotnik. Już na 5 roku studiów zostałem szefem laboratorium radiologicznego (1975). Wcześniej pracowałem w lata 1969–1977 w Gdańskiej Stoczni Remontowej. W latach 1978–1984 pracowałem w Spółdzielni Inwalidów „Sinema". Byłem kierownikiem działu

kierowania jakością. Kierowałem zespołem ludzi. Prezes był po zawodówce, partyjny, buntowałem się przeciw temu. Socjalizm był okropny. Człowiek się nie liczył, rozliczali z wyniku ekonomicznego. To miała być praca przez terapię dla ludzi niewidomych, ale tak nie było. Wiele osób sobie ręce ucięło.

Byłem niezadowolony z zasad panujących w moim zakładzie pracy. Stałem po stronie ludzi — niewidomych, którzy byli wykorzystywani. Pracowali wtedy na akord. To było niepojęte. Poza tym była jeszcze chałupnicza praca. Musieliśmy tym osobom zrobić maszyny specjalne i oni po tych chałupach robili te druty. Im też płacili na akord, ileś od sznura. Już nie miałem gdzie awansować. Na prezesa bym nie awansował. Możliwość teoretyczna była. Może mógłbym być prezesem, wiceprezesem, ale szans nie było, bo byłem bezpartyjny. W pracy nie było alkoholizmu. Jak w każdej firmie wtedy, to jakieś pojedyncze przypadki popijania.

W 1980 r. w moim zakładzie pracy nie było strajku. Była gotowość strajkowa i komitet strajkowy. Zgłosiliśmy akces, byliśmy na liście wspierających. Ja też byłem w tym komitecie, jako jeden. Za to mnie później zdegradowali na zwykłego technologa. Większość pracowników należała do tego komitetu strajkowego, poza kadrą wyższą. Z kadry wyższej tylko ja i główny mechanik, Janusz Karaś oraz pracownicy niewidomi, z narzędziowni, etc. zgłosili gotowość strajkową.

Atmosfera była raczej pozytywna. Było zadowolenie z tej sytuacji. Wszyscy z tego, co wyczuwałem, wewnętrznie to wspierali. Małżonka wspierała mnie. Sama była po tej stronie co ja. Nie bałem się. Gdybym się bał, to bym nie był. Nie znam takiego uczucia jak strach. Czuję pogardę dla konformistów i hipokrytów. Nie toleruję tego.

Pojedynczy pracownicy techniczni wspierali, z kierownictwa nie. Wspierał też podstawowy skład robotników. Została zgłoszona gotowość do strajku. Były spotkania i komunikaty przez radiowęzeł o stanie strajku, sytuacji strajkujących itd.

Na pewno w tamtym czasie moim autorytetem była cała Solidarność i Wałęsa, na którym się zawiodłem.

Nie potrafię teraz powiedzieć, czy któryś z postulatów był dla mnie szczególnie ważny. Wszystko całościowo było dla mnie ważne. Sam fakt, że są te postulaty, to było dla mnie ważne. Wtedy nikt nie zastanawiał się nad treścią, sensem. Sam fakt, że one były, że są spisane. To był bardziej symbol. W zakładzie pracy nie było strajku. Przez radiowęzeł przychodziły do nas informacje o postępach negocjacji i odbywały się zebrania przez jakiś czas. Stąd były informacje. Ja doradzałem, wspierałem. Przychodziły ulotki z obiegu do nas do pracy. Niczego nie drukowaliśmy u siebie w zakładzie pracy. To był stary cwaniaczek nasz prezes, wykazywał zachowawczą postawę. Czekał na rozwój sytuacji. Nie miał raczej do mnie pretensji o to, że jako jeden z kierujących zespołem ludzi zgłosiłem akces i gotowość do strajku.

Nie pamiętam samego momentu podpisania Porozumień. To jest tak rozmyte.... Ja nawet miałem wszystkie nagrania, bo to gdzieś w radio leciało. Były w radio transmisje. Teraz już nie pamiętam.

Od razu przystąpiłem do Solidarności i cały czas jestem w Solidarności. Od IX 1980 byłem w Solidarności, byłem członkiem KZ w SI „Sinema". Legitymacja mi się gdzieś zapodziała, ale cały czas jestem. Miałem tylko okres zawieszenia. Pełniłem funkcje w Solidarności, byłem członkiem Komisji Międzyzakładowej w Porcie. Byłem przez 3 kadencje Członkiem Zarządu Regionalnego. Brałem udział w mszach za ojczyznę u dominikanów w Gdańsku, już w czasie stanu wojennego. U nas w Gdyni też jeździłem na msze.

Początkową działalność Solidarności oceniam bardzo pozytywnie. Wałęsa do nas przyjeżdżał. Nie było wtedy pragmatyki, były emocje. Dopiero z perspektywy czasu bardziej negatywnie zacząłem oceniać, w latach 90. W tej chwili czuję największą pogardę do Bogdana Borusewicza. On był u nas zatrudniony, był członkiem Solidarności portu Gdynia.

Największym osiągnięciem Solidarności był chyba sam fakt, że ona powstała. Zmieniła, otworzyła oczy Polakom. Otworzyła serca większości Polaków. Spowodowała zmianę mentalności ludzi, innego postrzegania rzeczywistości. To jest to.

Wprowadzenie stanu wojennego to tragedia. Nie spodziewałem się. Dla mnie to było absolutne zaskoczenie. Nie byłem zdegradowany. Nic się nie zmieniło. Wprowadzono dyżury tylko w zakładzie pracy, więc musiałem brać udział w tych dyżurach. Na wszelki wypadek musiałem tam być.

W czasie stanu wojennego wszystko jakby zamarło. Cicho było. Pracując tam — w „Sinemie" — nie miałem możliwości działania. W porcie (Morski Port Handlowy Gdynia) byłem od 1984 r. Tam też na początku nie mieli do mnie zaufania, więc nie działałem. Później byłem w Komisji Międzyzakładowej. Wybrano mnie do Rady Pracowniczej.

W stanie wojennym jeździłem z pomocą do internowanych. Jak się dowiedziałem, że mój kolega ze studiów, pracownik Hieronim Rawiński, jest w Ośrodku Odosobnienia w Strzebielinku, to do niego jeździłem. Woziłem tam książki, żywność. Z żoną jego jeździłem i woziłem mu rzeczy. Całą bibliotekę straciłem na jego rzecz. Papierosy mu dawałem. Sam wtedy pracowałem, bo żona była na macierzyńskim. Od wojskowego kupowałem papierosy i woziłem mu. To, co mogłem robić, robiłem. Wspierałem osoby aresztowane właśnie tymi książkami i paczkami żywnościowymi i papierosami. To wszystko oddałem. Nie zastanawiałem się. Oczywiście rodzina to podstawa, dbałem o ich dobro. Małżonka jednak wspierała mnie, jak znikałem, by wspierać więźniów — całe dnie mnie nie było w domu. Wspierałem ich.



Mieczysław Selin — ur. 7 listopada 1959 r. w Wejherowie. Wyznanie katolickie — wierzący i praktykujący. Ukończył szkołę podstawową. Brak wykształcenia zawodowego. Ukończył kurs operatora urządzeń transportowych. W wieku 18 lat podjął pracę w Zakładach Radiowych „Radmor" w Gdyni. Żonaty, 6 dzieci. Zorganizował strajk w sierpniu 1980 roku w swoim zakładzie pracy. Zwolniony w 1982. Przeszedł na rentę chorobową. Wraz z żoną ufundował krzyż na Kalwarii Wejherowskiej.

Rodzina mojego prapradziadka wywodziła się spod Szwecji, kuzyn Jarosław Selin mnie to przekazał. Rodzina patriotyczna. Dziadek walczył przeciwko Rosji, mam jego książeczkę wojskową w dowodzie. Ojciec był w II Korpusie, walczył pod Monte Cassino i Bolonią. Wujek też i brat ojca także. Jeden też albo u Maczka albo u Sosabowskiego. Mam zdjęcia z tego okresu. Dużo pamiątek posiadam. Tego nie wiem, czy od strony mamy było zaangażowanie. Brat mamy służył na okręcie wojennym w Anglii. Mam też zdjęcie tego wujka. Przywitał ich generał Anders na tym okręcie.

Ojciec raczej na ten temat z nami nie rozmawiał. Wiedziałem o Katyniu. Ojciec nam o Katyniu mówił. W szkole nawet o tym mówiłem, ale hamowali mnie. Ojciec zawsze śpiewał „Czerwone maki na Monte Cassino". Miał tytuł porucznika, jak umarł. Był odznaczony gwiazdą Włoch i medalem brytyjskim od królowej brytyjskiej i jeszcze coś tam dostał od królowej.

Ojciec nie został doceniony w Polsce. O wszystko musiał się sam starać. Nie byliśmy rodziną bogatą, raczej biedną. Ojciec był po wojnie bardzo mocno prześladowany przez UB. Leżał nieraz w wodzie po pół metra z pistoletem przystawionym do głowy. Straszyli, że go załatwią. Oprawcy mieszkali niedaleko niego. Teraz już nie żyją.

W 1980 r. byłem kawalerem. Mieszkałem na ulicy Gniewowskiej 14, tam gdzie się urodziłem. Pracowałem już wtedy. Pierwszą moją pracę zaczynałem w ogrodnictwie w Redzie. Mając 18 lat zatrudniłem się w Zakładach Radiowych „Radmor" w Gdyni. To był zakład zmilitaryzowany, wojskowy. Robili tam części dla wojska i policji — krótkofalówki, radia, ale też inne rzeczy. W 1978 r. zostałem zatrudniony, a zwolniony w 1982. W tamtym czasie chorowałem.

Brałem udział w strajkach 80. r., ale w okresie stanu wojennego zachorowałem. Ominęło mnie to, udało mi się, że mnie nie internowali — nie byłem dzięki temu internowany. Ta choroba mnie uratowała. Wszystkich namawiałem do strajku.

Nie mam wykształcenia. Jestem po szkole podstawowej. Ukończyłem kurs operatora urządzeń transportowych. Jak zostałem przyjęty na mój dział, dział gospodarczy, byłem wszędzie w pracy. Po pół roku zostałem brygadzistą i miałem 4 ludzi pod sobą. Zakład musiał być sprzątnięty, wykoszone. Robiliśmy wszystko, i przeprowadzki, i kładzenie wykładziny, etc.

Mieszkałem z rodzicami. To było mieszkanie komunalne. Ojciec nie mógł dostać tego mieszkania, ponieważ walczył pod Andersem. Nas było 6 dzieci, razem 8 ludzi i w dwóch pokojach mieszkaliśmy, na 33 metrach można powiedzieć.

Nie przynależałem nigdzie, do żadnej organizacji. Ojciec zawsze mi gadał, by się nigdzie nie zapisywać. By nie było żadnych śladów działalności, bo mogą grozić prześladowania za to.

Należałem do klubu Wejherowo — boksowałem, jak byłem młodym chłopakiem. Mój brat był bardzo dobrym bokserem tutaj na Wybrzeżu. Był w wadze koguciej. Tradycje sportowe w rodzinie. Słynni bokserzy. Tradycje także muzyczne. Mama grała na akordeonie.

Wyznanie katolickie z dziada pradziada. Wierzący praktykujący. Ufundowaliśmy z żoną krzyż na Kalwarii. Wejherowo go postawiło po zakończeniu II wojny światowej, był bardzo zniszczony i my z żoną zdecydowaliśmy się go odnowić. Cały nowy klucz w 1991 roku postawiliśmy. Jako wotum. Podziękowanie za to, że mamy 6 dzieci, że się nic nam nie stało.

Słuchałem Radia Wolnej Europy. Nie byłem przekonany do końca, że może się coś zmienić przed strajkiem. Jak strajk się już zaczął, to myślałem, że ludzie potrzebują zmiany, że może się coś lepszego zrobi w tym kraju. Tak daleko nie sięgałem. Nie zdawałem sobie z tego sprawy. Było wiadomo, że była komuna, Rosjanie. Myślałem, że może zmieni się gospodarczo coś — lepsze zarobki. Nie sądziłem jednak, że może się coś z władzą zmienić. Miałem 18 lat wtedy i tak daleko nie sięgałem.

Byłem bardzo związany z kościołem. Z klasztorem franciszkanów. Później byłem w Akcji Katolickiej, księża mnie znali. Pomagałem społecznie w kościele. Byliśmy wytypowani na ochronę papieską w Gdyni. We dwójkę z Edkiem Formelą byliśmy. Mieliśmy najmocniejszy posterunek. To wtedy jak papież po raz pierwszy do Gdyni przyjechał.

Ja się nigdy nie pchałem na pierwszą linię u siebie w zakładzie pracy. Dałem iskrę w 1980 r. Byłem pierwszym, który się narażał. Chodziłem, nawoływałem. Byłem młody, energiczny. Miałem tego ducha.

W 1980 roku nawet sobie nie zdawałem z tego sprawy, że były jakieś podwyżki. Moja pensja wysoka nie była, niecałe 20 tys. Za połowę tego mogłem pojechać i kupić spodnie na hali w Gdyni. Nie przywiązywałem do tego wagi. Nie zwracałem na to uwagi, że były te podwyżki. Myślę, że to nie o to chodziło, to nie było przyczyną strajku. Mnie się wydaje, że tam o coś innego chodziło. Społeczeństwo było zmęczone.

Powiem uczciwie, kto był moim autorytetem życiowym. W tamtych czasach był ksiądz Jerzy Popiełuszko i Jan Paweł II. Dobrego prymasa mieliśmy. U mnie w Wejherowie się angażowałem. Ksiądz Hilary Jastak był moim autorytetem. Wspierał nas, z każdym umiał rozmawiać. On nam doradzał, czy brać udział w strajkach, czy nie. Wszyscy się z nim liczyli wtedy. To był wielki patriota, przyjaźnił się z prymasem Polski. Księża byli moimi autorytetami.

Matka moja i ojciec zawsze się martwili, by się nie wychylać za bardzo.

Byłem brygadzistą w dziale gospodarczym. Już w 1980 r. miałem zespół ludzi pod sobą. Pierwszy powiesiłem tam w pomieszczeniu socjalnym krzyż. Powiesiłem na korytarzu. Mały krzyż nad drzwiami i u siebie też powiesiłem. Ze mną pracował pan Rąbalski, on też miał przeszłość wojenną. Był ze mnie dumny. Nikt się mi nie sprzeciwiał, że powiesiłem ten krzyż. Kierownik mój był bardzo dużym komunistą, ale mnie lubił, więc nie prześladował mnie. Liczył się ze mną kierownik. Radzili się mnie, co zrobić z różnymi sprawami. Nikt do mnie nie miał żadnego żalu o te krzyże.

Miałem bardzo dobre środowisko u siebie. Na początku nie chciałem zostać brygadzistą. Kierownik namawiał mnie, bym poszedł do szkoły, bo chcieli mnie na stanowisko kierownicze dać. Lubiłem tam jeździć.

Były słuchy, że Gdynia zacznie strajkować. Że Gdańsk strajkuje, że zakłady pracy w Gdyni stają. Rano przyjechałem do zakładu pracy, a my rano wszystko musieliśmy sprzątnąć, przygotować, itd. Ja byłem na każdym dziale. Wszędzie się poruszałem po każdym dziale i mobilizowałem ludzi do strajku. Doszedłem do wniosku, że trzeba zrobić strajk, że trzeba stanąć. Wszędzie strajkowali, to i my. Byli ludzie, którzy się wahali, nie chcieli. Myśmy z radia się dowiadywali. W końcu podjęta została decyzja, by wyjść na główny plac.

Trzeba było wybrać delegację. Delegacja powinna pojechać do Gdańska do Stoczni. Zgłosili się ludzie ze starej rady zakładowej. Po paru godzinach wrócili z Gdańska. Myśmy się znów zebrali na placu. Latałem po działach zakładu i nawoływałem, by wychodzili na plac i byśmy podjęli decyzję o strajku.

Krzyknąłem, że trzeba nowych przedstawicieli wybrać do delegacji. Ja nie chciałem być w delegacji, bo mówiłem, że nie jestem wystarczająco wykształcony. Ruszyłem ludzi do strajku. Nowa delegacja pojechała i jak wrócili z Gdańska, to powiedzieli, że to są poważni ludzie tam, że chcą wolnych sobót, że nie chcą wojny wcale, jak mówiła pierwsza delegacja. Ci ludzie chcieli zmian.

Zaczęło się później. Wybrano nowy komitet. Taki strajk, by rano do pracy przyjeżdżać, przez dzień strajkować, a na noc do domu. Pilnowałem głównej bramy. Nikogo nie mogłem wypuszczać z zakładu pracy. Nie wiedzieliśmy, czy nie będzie jakiegoś najazdu milicji czy wojska. Mieliśmy pewną grupę ludzi, którzy nami kierowali. Nie pamiętam już ich.

Nawoływałem, by inni się przyłączyli do strajku. Mobilizowałem, by się nikt nie wyłamywał ze strajku. Chodziłem po współpracownikach i nawoływałem, by się nie wyłączali.

Matka mówiła, bym się nie angażował, bo mnie mogą zabić, wywieźć gdzieś. Ojciec też prosił, bym się nie angażował. Wszyscy pamiętali rok 1970, strzelanie, itd. Cały czas była żywa pamięć roku 1970. Za dużo krwi się wtedy przelało na Wybrzeżu. Mój brat wtedy pracował. Jak strzelali, to kolega mojego brata padł. Brat uniknął śmierci. Był uczestnikiem. Bałem się, że będą nocne najazdy na ludzi i ich zamykanie. Ojciec zawsze mnie o tym mówił, że mogą być nocne łapanki. Baliśmy się tego.

Była pewna grupa ludzi, a raczej pojedyncze osoby, które nie chciały strajkować. Niektórzy chcieli pracować dalej, takie łamistrajki, ale ludzie ich gnębili za to. Na każdym dziale byli przecież partyjniacy — kierownicy, dlatego ludzie się bali. Bali się o własne jutro. Nie był to strajk okupacyjny, choć na początku tak chcieliśmy. Był to strajk zamknięty, ale w godzinach naszych prac. Mieliśmy strajkować dopóki nie skończy się w Gdańsku, dopóki oni nie podpiszą postulatów.

Moja główna funkcja w czasie strajku polegała na pilnowaniu, by nikt nie opuścił zakładu pracy. Stróżowałem przy bramie. Była dyscyplina, że alkoholu się nie spożywało w zakładzie pracy.

Najważniejsze postulaty dla mnie to: demokracja, wolność, związki zawodowe. Same postulaty nie były spełnione tak, jak ja bym to oczekiwał wtedy. Nie spełniono nawet i dziś tych postulatów. Ja mam 21 oryginalnych postulatów z 1980 roku. Strajkowy Biuletyn Informacyjny wydał postulaty i je mam do dzisiaj w oryginale.

Pewna grupa ludzi uchwaliła te postulaty, ale nie mieli świadomości chyba tego, co się stanie później. Likwidacja miejsc pracy. Likwidacja stoczni, hut, etc. Ludzie Solidarności teraz nic nie mają, a walczyli o to.

W tamtym momencie miałem zaufanie do organizatorów strajku. Może to byli ludzie podstawieni. Nie wiedziałem wtedy tego. Już w stanie wojennym było dla mnie to dziwne, że wszyscy o wszystkim wiedzieli. Ja chciałem być tak w środku, nie wychylać się za bardzo. Obawiałem się internowania. Uważałem, że nie muszę być przywódcą. Każdy miał swoje zadanie przydzielone. Jedzenie każdy musiał mieć swoje. Nie było organizowanego jedzenia. Nikt nic nie przywoził. Ludzie też nam nie donosili. Przez radiowęzeł informacje przechodziły. Jeden drugiemu też przekazywał informacje. Ulotki raczej z Gdańska przywożono. Małe zakłady pracy nie miały takich drukarni.

Nastroje były różne. Niektórzy się bali, przeczuwali, że może to jest pic na wodę. Inni mieli nadzieję, że może się zmienić, że pójdzie w dobrym kierunku. Nikt aż takich zmian nie przeczuwał. Ludzie chcieli może trochę lepiej i godniej żyć. Działała opatrzność i Jan Paweł II, że to się wszystko zmieniło. Dzięki Kościołowi wszystko się zmieniło.

Do nas dziennikarze nie przyjeżdżali. Gdynia — port, Gdańsk, tam było całe ognisko. Tam było bardzo dużo dziennikarzy.

Pamiętam moment podpisania Porozumień. To była niedziela. Było w telewizji o tym. Miałem nadzieję, że to się skończy bardzo dobrze. Jednak nie ufałem tamtej władzy tak do końca. Żeby cokolwiek zrobić, musieliby być wszyscy ludzie usunięci. Władza została ta sama w naszych zakładach i władza na czele państwa została.

Funkcji żadnej nie pełniłem w Solidarności. Wolałem być wolnym strzelcem. Jeździłem na każdą demonstrację do 1989. Jeździłem na msze za ojczyznę z Formelą i z nim na demonstracje. Kierował nami ksiądz. Grupa ludzi z Wejherowa jeździła cyklicznie na te msze, na te sumy do księdza Jankowskiego. Nie byłem w żadnych strukturach, wiedziałem, że będą mnie mieli, jeżeli będę w strukturach.

Powiem uczciwie, że nie byłem zafascynowany aż tak bardzo początkową działalnością Solidarności. Uważałem, że było tam dużo ludzi z PZPR, co rzucali książeczki PZPR i wchodzili do Solidarności. Partii na tym zależało, by mieć wtyczki w Solidarności. Nie wiem, ile osób należało do Solidarności ode mnie.

Kierownik z zakładu pracy, dyrektor bał się o własne stanowisko. Bał się zmiany władzy. W tamtym czasie nie tępili, nie wiedzieli, jak się wtedy ustosunkować. Może kogoś szykanowano już po 1980 roku, ale tak wtedy w samym 1980 r. raczej mieli respekt do robotników, bali się, ale nie gnębili. Bardzo dużo osób rzuciło książeczki partii i zapisali się do Solidarności. Przez to w stanie wojennym dużo wiedzieli. To były tak zwane wtyki. Ja przed tym przestrzegałem, by nie przyjmować tych osób, że to są wtyki. Wszystko wiedzieli, każde nazwisko, wszystko.

Sukcesem Solidarności może była ta prasa niezależna. Może wolność medialna trochę. Faktycznie jednak, cenzura była cały czas. Czy my tę wolność mieliśmy?

Gdy zaczął się stan wojenny, była obawa, że będę internowany. Brat mówił, bym się nie pokazywał w zakładzie pracy, bo mają na mnie oko. Brata się nawet pytali, gdzie jestem. Do domu nie przyjechali do mnie. Ukrywałem się przez jakiś czas. Może nie byłem taki dla władzy groźny i dlatego po mnie do domu nie przyjechali. Nic w pracy mi nie zrobiono. Wiedziałem, że jest bardzo źle. Wiedziałem, że dużo osób jest pozamykanych. Czołgi ze Słupska jechały przez Wejherowo. Atmosfera była przerażająca. Bałem się.

Miałem historię z milicjantem, jak wyszedłem trenować w czasie stanu wojennego. Milicjant mnie zatrzymał, przyłożył mi broń do skroni i powiedział, że może mnie zastrzelić. Myślałem, że on po mnie przyjechał, ale on do sąsiadki przyjechał. Ja się tłumaczyłem, że do ubikacji, bo w domu nie miałem ubikacji. To już godzina milicyjna była. Nie zwinęli mnie i kolegi na szczęście do suki.

Chyba 4 lata byłem na rencie zdrowotnej. Później byłem bezrobotny. Byłem sympatykiem Solidarności. Działałem jako wolny strzelec. Bardzo czynnie, bardzo aktywnie. Byłem kurierem. Rozwieszałem ulotki. Zostawiałem je po ławkach, dworcach. Brałem nakłady od Jabłońskiego, kolegi, brałem też ze stoczni. W stoczni cały czas działała drukarnia. Stamtąd brałem. Także od ludzi, ludzie z okien nawet rzucali te ulotki. W tramwajach, na dworcach. Działałem z grupą znajomych. Byłem wolnym strzelcem. Walczyłem o wolną Polskę.

Powiem uczciwie, że nie byłem przekonany do porozumień „okrągłego stołu", bo byli to ludzie z PZPR. Dużo osób przez nich zginęło. Nie miałem zaufania.

W czasie wyborów czerwcowych 1989 r. uczestniczyłem w strukturach wyborczych na terenie miasta. We wszystkich wyborach generalnie uczestniczyłem, do dzisiaj.

Co ja mogę powiedzieć o dzisiejszej sytuacji. Powiem uczciwie, że jest Polska, uczciwa Polska. Taka Polska wymarzona, moja Polska, gdzie wszyscy obywatele, że jesteśmy równi, że nie czujemy do siebie nienawiści. Dla mnie autorytetem cały czas jest Kościół. To jest autorytet mojego kraju. Cała historia jest z Kościołem związana.

Jeżdżę do Gdańska, do Gdyni. Biorę udział w różnych uroczystościach. Jeżdżę do Andrzeja Kołodzieja. Tam, gdzie widzę zagrożenie, to tam jadę i staram się działać. Moja małżonka, synowie wspierają mnie. Mają takie poglądy jak ja.

Solidarność była ważna, było to bardzo ważne. Odzyskaliśmy wolność. Dla mnie ta wolność jest największym darem. Za tę wolność jestem wdzięczny. Nie jest to ta wymarzona wolność, ale jest wolność. Nie ma godnej pracy, godnych zarobków. Nie są ludzie tak uczciwi, jakbym chciał.

Jestem dalej jeszcze czynnym obywatelem przemian w Polsce. Chodzi o oddzielenie zła od dobra. Tam, gdzie będzie zło, będę się przeciwstawiał. Nie będę stał z boku.

Dzisiaj osiągnięcia Solidarności zostały trochę zaniechane w pewnym sensie. Ludzie zostali trochę przez niektórych działaczy oszukani, opuszczeni. Nie mówię, że to przez całą Solidarność, ale przez pewnych działaczy Solidarności. Ta Solidarność 1980 r. miała wyglądać inaczej, inaczej ją sobie wymarzyliśmy.

Największą porażką, po tylu latach mogę powiedzieć, jest to, że Solidarność dopuściła do tego, że nie odizolowała pewnych ludzi, tych ludzi, którzy działali w starej władzy. Ten podział władzy i „okrągły stół" to był błąd.

Powiem uczciwie, dla mnie 25 lat niepodległości to powinna być nowa konstytucja. Powinniśmy mieć inną konstytucję, konstytucję ludzi solidarności. Konstytucję o lepszych prawach dla ludzi, by zbliżała ludzi do siebie. Mamy konstytucję komunistów.

Co ja chciałbym zmienić? Chciałbym ludzi zmienić, by ludzie byli naprawdę solidarni, by się szanowali, by takiego rozwarstwienia nie było. Chciałbym, żeby Polska była silna, by się każdy z nią liczył. To trzeba budować na encyklikach Jana Pawła II, na nauce Kościoła.



Paweł Slezyngier — ur. 25 kwietnia 1944 r. w Gdyni. Wychowywał się na Grabówku. Wyznanie rzymskokatolickie. Ukończył Technikum Mechaniczno-Elektryczne w Gdyni. Amatorsko trenował kolarstwo w klubie SKS Tęcza Gdynia. Żonaty od 1967 roku, troje dzieci. Pracę w Stoczni jako spawacz rozpoczął w 1959 roku po ukończeniu szkoły przyzakładowej. Za podpisanie deklaracji wieloletniej pracy w stoczni otrzymał z zakładu pracy spółdzielcze mieszkanie. Pracował w Stoczni jako instruktor spawalnictwa, później jako mistrz. Świadek wydarzeń z grudnia 1970 roku. Należał do PZPR. Aresztowany w 1982 roku. 210 dni spędził w więzieniu. Po wyjściu z więzienia w latach 1983–90 pracował w Zakładach Stowarzyszenia PAX INCO Sopot. W 1990 roku wrócił do Stoczni na dawne stanowisko. Po roku przeszedł na pływanie u zagranicznego armatora. Po wyjściu z więzienia małżeństwo zaczęło się rozpadać, ostatecznie rozwód w 2012 r.

Ojciec przyjechał z Wieruszowa port budować. Mama z poznańskiego, koło Krotoszyna. Mieszkaliśmy na Grabówku. Buda postawiona w nocy, rano już stała, nie można było rozwalić i tak już mieszkali przed wojną. Miałem jeszcze siostrę i dwóch braci. W tej chwili już nikt nie żyje.

Niewiele się w domu rozmawiało. Ojciec pracując w porcie gdyńskim — te plany pięcioletnie, sześcioletnie — dostał radio pionierkę — nasłuchiwaliśmy Radia Wolnej Europy. Śledziliśmy, co się dzieje. Sąsiada wyciągnęli z karabinami, już go więcej nie widziałem. Był z AK.

O tatusiu bardzo mało wiem. Mieszkał w rejonie, gdzie brali do niemieckiego wojska. Wiem, że z niemieckiego wojska uciekł i się ukrywał. Ze szczegółami nic nie wiem.

Rodzice nie byli partnerami — nie było bezpośredniej rozmowy. O czym chcieli rozmawiać, o tym się rozmawiało. Mamusia była bardzo mocno z Kościołem związana.

Ojczulek w 1956 r. do szkoły na Grabówku — do której ja i rodzeństwo chodziliśmy (wybudowana w 1950 r. jako pomnik) — załatwiał księdza, to go za to zdegradowali ze stanowiska kierowniczego. Został zwykłym robotnikiem. Miał problemy przez to, że załatwiał księdza do szkoły.

Poszedłem do szkoły przyzakładowej w stoczni. W stoczni zacząłem pracować w 1959 roku. Pracowałem i się uczyłem. Byłem uczniem spawaczem, tak byłem przyjęty. Skończyłem zawodową szkołę. Później chodziłem do technikum. Mam średnie wykształcenie. Technikum Mechaniczno-Elektryczne w Gdyni.

Żonaty byłem od 1967 r. Pierwszy syn w 1968 roku się rodził, Piotrek. Ania w 1972, wtedy dostałem mieszkanie to, gdzie teraz jestem. To było wówczas spółdzielcze. Stocznia mi trochę pieniędzy dołożyła, pod warunkiem że przepracuję ileś tam lat w stoczni. Podpisałem tzw. cyrograf, że będę pracował Wówczas pracowałem jako spawacz w stoczni. Trzecie dziecko urodziło się 18 maja 1980 r. Razem z papieżem się rodził mój syn. Bardzo ważna jest ta data.

Pracowałem w Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni. Byłem mistrzem już kupę lat. Brygadzistą byłem już przed wojskiem. Dobrze spawałem. Byłem mały, miałem dobrą rączkę. Nigdy do pracy się nie spóźniłem. Nigdy nie nawaliłem. Byłem bardzo ambitny w pracy. Musiałem zawsze zrobić najwięcej. Budowaliśmy też dla Norwegów. W 1973 r. pojechałem na szkolenie do Norwegii. Pojechaliśmy się tam uczyć, a okazało się, że lepiej spawaliśmy niż oni. Na migi mu powiedziałem, że mu pokażę jak spawać. Namawiali mnie w 1973 r., bym został. Ja miałem już dwójkę dzieci, a wtedy już bym do Polski nie mógł wrócić. Na 6 tygodni pojechaliśmy, a ja na jedzeniu 100 dolarów zaoszczędziłem. To była

półroczna moja pensja, bo po 20 dolarów zarabiałem. Tam w Norwegii nabrałem pewności siebie.

W 1970 roku pracowałem w stoczni im. Komuny Paryskiej. Idę do pracy, a do nas strzelają. Wynajmowałem wtedy pokój na Obłużu, nie miałem mieszkania. Wszystko czołgami obstawione. Pistolety wystawione. Przez tory szliśmy z sąsiadem i poszliśmy na Gdynię. Doszliśmy na wysokość Miejskiej Rady Narodowej. Staliśmy na wałach na ulicy Władysława IV i helikoptery nad nami. Patrzymy, niedaleko nas padł człowiek. Mówię do kolegi: „Franek zmykamy, bo za chwilę ktoś z nas może paść". Wszędzie gazu pełno, strzelanina.

Ten grudzień w oczach mi stał. Chciałem być przez to bardzo aktywny, że nam się coś należy, że nie tylko praca. Wiedziałem, że tylko przez zebrania partyjne można do tego dojść. Byłem w partii. Mówiłem na tych zebraniach, co nam się należy. To plama na honorze. Nam się należało pół kostki „Białego jelenia" i pół kostki tego najgorszego proszku. Jak ja się odezwałem, że chciałbym mieć normalne mydło, to na mnie naskoczyli. Ja chciałem napyskować, buzię otwierać, a nie identyfikowałem się z partią. Na naszym wydziale K-2 zawsze ceniono przynależność partyjną — dość dużo miałem wiadomości politycznych przez to. Według mojego oglądu grudzień był wyreżyserowany przez nich.

Jak doszło do Sierpnia 1980 r., to Fiszbach naciskał, bym nie opuszczał partii. Byłem w niej, bo chciałem coś dla siebie i dla ludzi. Fiszbach mnie prywatnie prosił. Kierownik mnie do Gdańska zawiózł do sekretarza, by mnie namawiał, bym nie występował. Wystąpiłem i 36 innych osób też. Lubiłem zabierać głos i stąd ta przynależność do partii.

Syn mój młodszy był w Marynarce Wojennej, w wojsku. Pojechałem do niego na przysięgę. Jak wróciłem, to żona miała już wszystko tutaj przemeblowane. Córki już nie było. Jarek mieszkał w tym dziecinnym. Jak wróciłem, to żona poszła do drugiego pokoju. To był początek końca naszego związku.

Siedziałem w więzieniu 210 dni, czyli 7,5 miesiąca siedziałem. Wówczas nie podejrzewałem, że żona gdzieś coś. Jak wróciłem ponownie do Stoczni, źle się czułem tam po odsiadce w więzieniu. Mnie początkowo Stocznia nie przyjęła po wyjściu z więzienia. Przyjął mnie dyrektor z Zakładu Stowarzyszenia PAX INCO Sopot.

W tym INCO, jak ja tam pracowałem, to było tam 140 osób. W INCO, z racji stanu wojennego, wszystkie związki były zawieszone. Na terenie całego kraju było 36 zakładów INCO. Dyrekcja INCO w Warszawie doszła do wniosku, że należy wybrać zakładowego, społecznego inspektora pracy. Ludzie mnie wybrali. Zostałem. Pracowało tam sporo kobiet. Moja żona każdą rozmowę z inną kobietą traktowała jak zdradę. Była zazdrosna. Mnie odwiedzały w domu kobiety, ale z mężami. W tym INCO miałem dobrze. Ludzie mnie przyjęli dobrze. Cieszyłem się, że mnie tak dobrze przyjęli. Przed dyrektorem prezentowałem całą załogę. Tak było do 1988 roku. Pracowałem w INCO od 1983, jak wyszedłem z więzienia. Pracowałem od 1983 do 1990 r. Wyszła ustawa, że ludzie zwolnieni politycznie muszą być przyjęci do poprzedniego zakładu pracy. Wiedziałem, że INCO się rozpada — jeździłem do Warszawy — wiedziałem, że zakład upadnie. Do emerytury dużo lat zostało.

W 1990 postanowiłem wrócić do stoczni. Kierownik był już inny w stoczni. Mnie wywieźli w kajdanach ze stoczni. W INCO byłem zakładowym społecznym inspektorem pracy. Później wniosek do sądu o reaktywację NZSS „Solidarność". Zostałem przewodniczącym Solidarności. To była funkcja społeczna. W INCO pracowałem później jako spawacz.

Miałem rozmowę z szefem, bym został szefem produkcji, ale ja odmówiłem. Będzie pierwszy maj, pan chciałby, by INCO występowało w pochodzie, a na to mnie pan nie namówi. Nie dojdziemy do porozumienia. Nie zgadzam się. On był zdziwiony.

W stoczni, na naszym wydziale K-2, gdzie byłem przewodniczącym, członkiem partii PZPR był Tadeusz Fiszbach. Z Fiszbachem miałem dużo do czynienia. Z moim zdaniem się liczyli. Fiszbach również. Jak chciał przekonać ludzi, to wcześniej starał się przekonać mnie. Fiszbach spowodował, że w czasie stanu wojennego mnie nie aresztowali. Jednak kiedy Fiszbacha usunęli, to i mnie dopadli. Ochronę robił mi Fiszbach, od razu mnie nie aresztowali. Dopiero po roku czasu.

Uważałem, że delegalizacja Solidarności to była wina junty i Jaruzelskiego. Jak mnie ktoś zaczepiał, to ja mówiłem, że ludzie mnie nie odwołali. Jak ludzie odchodzili na emeryturę, to ja wręczałem kwiatki, książki. Nie pozwalali mi. Szukali pretekstu, by mnie zamknąć.

Zamknęli mnie 9 grudnia 1982. Przyszedłem do pracy. Zawołali mnie do kadr. Kazali mi wziąć przepustkę. Przyjechała szara Wołga i zabrali mnie na Kurkową. Siedziałem na Kurkowej we więzieniu. Siedziałem 210 dni.

Grupa związkowców działała w 1980 przed wprowadzeniem stanu wojennego. Należałem do niej, ta grupa działała legalnie. Tam poznałem kolegę, który pracował z Gwiazdą. Ufałem mu. On mi przyniósł 2 tys. sztuk „Mazowsza", który pisał o Nagrodzie Nobla Wałęsy. Dopiero jak przyjąłem, to się dowiedziałem, że oni wiedzieli, że ten kolega przyniósł te biuletyny i czekali na mnie.

W stoczni mieliśmy taki punkt dystrybucji biuletynów. Pojechałem do tego kolegi, z którym mieliśmy roznosić ten biuletyn. Okazało się, że jego nie było — ulotek nie wziąłem ze sobą. Postanowiłem czekać, aż on wróci. Mnie ta milicja warszawska pilnowała. Dłużej już nie mogła ta milicja czekać — chcieli mnie z tymi ulotkami złapać. Przyjechali do mnie do domu, zrobili rewizję i znaleźli te ulotki. Miałem je w pawlaczu w przedpokoju. Żona powiedziała, że ona o tym nie wiedziała i całe szczęście, bo chcieli ją aresztować. Te ulotki wzięli i przyjechali do stoczni po mnie. Na moich oczach załadowali broń, mnie w kajdany i zawieźli mnie na Kurkową.

Wyroku nie było cały czas. Było śledztwo. Do końca byłem w celi, w której robili rozeznanie. Osoby, które przesłuchiwali przede mną, zeznawały, że mam powiązania różne. Zeznali, że miałem powiązania z Lisem. Ja sobie żartowałem, że nie będę rozmawiał z nimi. Jeden mój pierwszy śledczy miał brudne ręce, to mu powiedziałem, że w ogóle nie będę z nim rozmawiał, jak nie umyje rąk. On się tłumaczył, że w ogródku robił.

Jak ogłosili amnestię w lutym, to znałem każdego. Komunikowaliśmy się alfabetem Morse'a. Pierwsze sto dni nie miałem żadnego widzenia. Miałem cichą celę, stare książki i gazety. Na spacery chodziłem sam. Miałem nauczyć się myśleć. Po pierwszych stu dniach, jak przyszła żona na widzenie, to przy malutkim stoliku siedziała żona, ja i obok śledczy. Powiedzieli, że jak jedno słowo będzie nie o rodzinie, to nam przerwą. Widzenie miało trwać 30 minut, nie wiem, czy tyle trwało, bo żona się rozpłakała. Trwało z 10 minut. Byłem blady.

Jedzenie w więzieniu było słabe. Niejedno jedzenie było takie, że od razu do kibla wrzucałem i spuszczałem wodę. Przez cały czas przed te 210 dni boczek — to się nazywało boczek, a to był tłuszcz wielkości pudełka od zapałek. To takie jedzenie. Paczki można było dostać. 3-kg paczki wraz z opakowaniem. Żona tam woziła rzeczy i tak pakowała, by opakowanie jak najcieńsze było. Jak smalec, to krajali cały i sprawdzali, czy nic tam nie ma. Głody nie chodziłem, bo chleba mieliśmy pod dostatkiem. Chleb to się przez kraty wyrzucało ptakom.

Długo byłem sam. Później dostałem kogoś, kto mnie miał wyciągnąć do rozmowy. Cały czas byłem w celi śledczej, na młodzieżówce. Nic ode mnie nie wyciągnęli. Zastraszali mnie pełnym uzbrojeniem. Mnie w spacerniku nie wolno było chodzić w kółko, a tylko pod ścianą.

Nieraz mnie na dół wyprowadzili na spacer, a ja do nich: „zrezygnowałem, wprowadźcie mnie z powrotem". Jakoś udało mi się przeżyć. Myśmy w tej celi mieli ograniczone wszystko. Nie można było mieć nic ostrego. Myśmy sobie tam czaj parzyli — herbatę Madras. To była najbardziej pospolita herbata, którą na wypisce można było dostać. Parzyło się taką mocną herbatę. Ja po tym czaju jeszcze lepiej spałem niż normalnie. Rano zawsze o 6 wstawałem, byłem pierwszy. Inni po czaju nie mogli zasnąć. Myśmy nie mieli gorącej wody w celi. Nie chcieli nam nosić tej wody. Gniazdka też nie było. Od żarówki się robiło przewód z tuby od pasty do zębów. Do żarówki podłączałem te haczyki, plus to ta żarówka, minus to kaloryfer. Jak klawisz przychodził i kazał to zdjąć, to ja do niego, że mnie to nie przeszkadza, że jak chce, to niech to zdejmie. Grzałkę się robiło z puszki po konserwach — dwa denka, kijek w środku, z pościeli nitkę do zawiązania. To się podłączało — to była nasza buzała — zwana po więziennemu. W zlewozmywaku robiło się korek i tam się parzyło wodę. W misce też się grzało wodę. Jak byłem chory, to w zlewie też grzało się wodę i ja tam grzałem nogi. Kazali nam to zdejmować, a my znów nakładaliśmy, jak nam zdjęli. Jak na spacerze byliśmy, to też nam przewracali wszystko, sprawdzali, czy niczego nie mamy. My się nie poddawaliśmy.

Później po spacerniku chodziłem z lekarzem szpitala wojennego, siedział za to, że wypisał zwolnienie dla członka Solidarności. Pytałem się go, czy ten czaj może szkodzić. On powiedział, że nie, że jak mam dobre serce, to nie.

Więzienie bardzo przeżywam. Jak później wróciłem do Stoczni w czerwcu 1990 r., to kierownik był inny niż ten, co mnie zwalniano. Nie chciał, bym wracał, bo byłem mistrzem. Prowadziłem grupę produkcyjną ludzi. Zanim byłem mistrzem, byłem instruktorem spawalnictwa. On chciał mnie jako instruktora spawalnictwa. Ja powiedziałem mu, że nie, że z tego miejsca wywieziono mnie w kajdanach, jeżeli mam wrócić, to na to samo stanowisko. Śniadek był już przewodniczącym Solidarności. On zadzwonił tam, interweniował. Przyjęli mnie na to stanowisko.

Kierownictwo było raczej podległe na owe czasy. Co sobie ktoś od góry życzył, to tak ustawiali. Ci niepokorni nie byli na stanowiskach. Nie mieliśmy za dużo do powiedzenia. Jak zostałem znów mistrzem, to dawali mi młodych ludzi, którzy nic nie umieli robić. Jak ja miałem tych 50 ludzi, to produkcja nie szła. Nic nie szło. Nie mogłem tego znieść. Napisałem o urlop bezpłatny do dyrektora. Kierownik mi napisał, że nie wyraża zgody na udzielenie bezpłatnego urlopu rocznego. Z dyrektorem widziałem się na stoczni, on mnie znał z czasów Solidarności. Pismo szło do dyrektora, choć przez kierownika, on mi wyraził zgodę na ten urlop. Tak też mi powiedział, że mi wyrazi zgodę. Ostatecznie dostałem ten urlop. Ja wiedziałem, bo pani sekretarka mi powiedziała, że kierownik mi napisał nie, więc dlatego rozmawiałem z dyrektorem Stanisławem Żebrowskim. Po tygodniu czasu kierownik do mnie podszedł i powiedział, że mam urlop.

Dostałem ten urlop i udałem się na morze. Płynąłem greckim statkiem, choć wody się bałem. Spotkałem człowieka w Gdańskiej Stoczni Remontowej — on też był z Solidarności i go od nas zwolnili — który zaproponował mi pływanie. Powiedziałem, że trochę się boję. Ale po trzech dniach zadzwonił, że mam się stawić w Warszawie i będę do Hiszpanii, do Bilbao płynął. To był statek grecki. Rozładowywałem rudę. Nic mi na szczęście nie było. Sztormy, nie sztormy. W czasie rejsu naprawiałem statek, byłem fiterem. Wymieniałem sześć blach w czasie rejsu. Wypalałem i wymieniałem. Liczyłem na to, że po roku czasu, jak przyjadę, że się w tej stoczni zmieni. Trochę się zmieniało.

W stoczni już zaczęła działać trochę Solidarność. Powołali komisję do zbadania normatywów, do zbadania podziału stanowisk i pieniędzy, by było widać wszystko. Miał być opracowany nowy podział pracy i zarobków. Miałem prawo przerwać rejs, jak statek będzie w Europie, a ja byłem i w Mozambiku, Erytrei, Ameryce Południowej, Nowym Jorku itd. Opłynąłem niemal cały świat. Jak wróciłem, to coś się tam zmieniło. Później czułem, że patrzyli, bym za daleko nie zaawansował.

Po wyjściu z więzienia w INCO byłem spawaczem jedynym, uniwersalnym — srebro, złoto, wszystko spawałem. Byłem lepszy od poprzedniego. Jako spawacz w INCO miałem najwyższą pensję z pracowników. Dawali mi taką pensję, bym został. Byłem naprawdę dobrym spawaczem. Nauczyłem się w stoczni fachu. W stoczni uczył mnie Błański. On wychował bardzo dużo spawaczy. Chcieli mu zarobić pogrzeb z pompą, a okazało się, że pod pachą miał SS napisane. Byłem „złotą rączką" zwany i „synkiem", „synek złota rączka".

Jak wróciłem do stoczni, to stocznia miała placówkę w Elblągu — było trzeba ich wspierać, rozkręcać pracę. Pojechałem do Elbląga szkolić ludzi w Elblągu, bo mnie wytypowali.

W 1980 r. mieliśmy wiadomości, że w stoczni gdańskiej dzień przed się zaczęło. Chyba 16 sierpnia się zaczęło. Wcześniej były sygnały z Radomia. Pierwsze strajki w Radomiu, to organizacja partyjna od razu organizowała wiec, chyba na Długiej ulicy, nie pojechałem tam. Był to wiec poparcia dla Gierka, by potępić warchołów. Atmosfera była niedobra. Mnie dali bilety, bym ludziom rozdał na ten wiec. Podkablowali mnie, że tych biletów nie rozdałem. Bardzo mocno musiałem się tłumaczyć, dlaczego tych biletów nie rozdałem. Przed sierpniem też w stoczni był Gierek. Do mnie się zwrócono, że jak będzie przechodził Gierek, to mam krzyczeć „niech żyje Gierek". Nie zrobiłem tego.

Jak strajk wybuchł u nas, to wszystko działo się tak powoli. Ludzie podjęli decyzję, że nie będą pracować, ale znaleźli się nadgorliwi, którzy chcieli pracować. Ludzie ich wygwizdywali. Ze mną też była rozmowa, jak ja to widzę — przyszedł przewodniczący związku. Ja jako mistrz byłem jednym z niewielu, który się włączył w ruch robotniczy. Większość ludzi ze stanowisk umysłowych się nie włączała. Zostaliśmy na terenie stoczni jako strajk okupacyjny. Włączyłem się w ruch robotniczy. Wśród ludzi cały czas byłem. Na warty z nimi chodziłem.

Baliśmy się strasznie przystępując do strajku. Podbudował nas ks. Jastak. To trzeba przyznać. Zbieraliśmy się wszyscy pod bramą stoczni. Stał tam taki wózek elektryczny,

który był mównicą. Można było się wypowiedzieć. Myśmy się domagali, by wybrać przedstawicieli z wydziałów i się naradzać, co robić. Dopiero drugiego, trzeciego dnia zaczęło to przybierać kształt. Pierwszego dnia podbudował nas Jastak, który przyjechał do nas. Nie miał nawet pozwolenia biskupa, a przyjechał. Podbudował nas kazaniem.

Baliśmy się, latały helikoptery. Pamiętaliśmy Grudzień. Ci, co się bali, to nie zostali. Ja byłem od pierwszego do ostatniego dnia. Do domu nie chodziłem. Później wszystkie inne msze prowadził ksiądz Ryba, bo to jego parafia była portowa. Msze nas scalały — kazanie itd. Ludzie zobaczyli, że zdecydowana większość to katolicy. Nie wstydziliśmy się spowiadać, klękać, przystępować do komunii. To nas scalało.

Pierwsze dni, to był strach. Próbowali nam zrzucać ulotki nawołujące, by przerwać strajkowanie.

Po tych całych strajkach, to mnie próbowali zwerbować do starych związków. Bym co innego organizował. Już ulotki mieli przygotowane. Wyśmiałem ich. Oni byli zdziwieni, że odmówiłem.

Początkowe dni sierpnia, to dużo strachu, by nie strzelali. Patrole mieliśmy. Przez całą dobę pilnowaliśmy płotu i kanałów. Ja na dyżury z ludźmi też chodziłem. Uważałem, że nareszcie będę miał możliwość, by się wypowiedzieć.

Na pierwszych wyborach wybrali mnie Przewodniczącym Solidarności. Byłem chyba pierwszym wybranym tzw. umysłowym. Ludzie do umysłowych nie mieli przecież zaufania. 1200 osób pracowało na wydziale K-2, a wybrali mnie.

Do Solidarności około 100 się może nie wpisało na listę. Reszta się wpisała. Myśmy to wszystko ręcznie pisali. Księgi, wszystko na pieszo wypisywane.

Później mnie pytali, czy będę na etacie, ale ja nie chciałem być na etacie. Zgodziłem się na pół etatu dla pani sekretarki. Była ona suwnicową i prowadziła papierkowe rzeczy. Z kierownikiem pogadałem, że jak będzie pilnie, to niech idzie do góry, mimo tych 4 godzin, co miała być dla Solidarności.

Za moich czasów na wydziale kierownikiem Solidarności był Mackiewicz, którzy płynął dookoła świata na „Kopernikusie". Nie był magistrem i inżynierem. Skończył studia, ale nie miał obrony. To mu wyrzucili, wiec musiał z drzwi wydrapać to. To był w gruncie rzeczy dobry, przyzwoity człowiek. Po tym rejsie był tylko budowniczym. Obronił pracę i miał inżyniera.

Po wprowadzeniu stanu wojennego wołali wpierw kadrę. Kierowników, mistrzów. Mnie też zawołali. Tam był Fiszbach i ja też należałem do partii. Za dwa czy trzy dni zawołali mnie, że mam się stawić. Idziemy do tego kierownictwa, ja szedłem ze znaczkiem Solidarności. Kazali mi zdjąć ten znaczek. Odpowiedziałem, że nie. Ludzie mnie wybrali i nie zdejmę. Później w klapach z opornikami chodziliśmy. Nawet ja przynosiłem te oporniki, kto chciał, to zakładał. To był stawiany opór przez te oporniki.

To nie było taką zmorą. Zmorą było to, co się stało z rodziną. Jak syn poszedł do wojska, to ja już z żoną żyłem osobno. Przyjmowałem dzieci na święta, Nowy Rok, a mama wychodziła. Żona sobie ułożyła nowe życie. W 2012 r. po 45 latach małżeństwa, był rozwód bez orzekania o winie. Jak wnuczek był u Pierwszej Komunii, tylko jej nie było.

Byłem w Rzymie na pogrzebie papieża. Tam spotkałem kolegę, który obok mnie mieszkał. On mnie namówił na rower. A ja już 30 lat nie jeździłem. A przed pracą byłem kolarzem, jeździłem w klubie SKS Tęcza Gdynia.

Po sierpniu nie było już możliwości, by do partii przynależeć. U Jankowskiego byłem w Bractwie Oblatów św. Brygidy. Byłem też wybrany tam na przełożonego przez co najmniej 8 lat od momentu wyjścia z więzienia. Byłem znany w środowisku Stoczni Gdańskiej, Remontówki, Portu Gdańskiego. Dużo ludzi mnie znało.

Na dzień dzisiejszy chodzę codziennie do kościoła rano. Jeszcze na majowe chodzę. Jak w kościele coś trzeba pomóc, to pomagam. W „Caritasie" też pomagam. Jak wiem, że biednie jest, to staram się pomóc, na ile mnie stać. Sekunduje mi jeszcze syn. Z synem robimy paczki dla biedniejszych. Ja nie mam złej emerytury. Mam ponad 3 tys. Żyję dniem dzisiejszym. Nie odkładałem pieniędzy i pomagałem ludziom.

Poświęciłem się wszystkiemu i wszystkim swoją działalnością, a rozpadła się rodzina. Lubię pomagać ludziom.



Jerzy Słabuszewski — ur. 17 września 1949 r. w Augustowie. W 1968 roku, po ukończeniu szkoły, zamieszkał w Gdyni i podjął pracę w Stoczni im. Komuny Paryskiej. Ożenił się w 1975 roku, ma dwóch synów. Ukończył Technikum Budowy Okrętów w Gdyni. Świadek wydarzeń grudnia 1970 r. W 1980 roku był specjalistą ds. zaopatrzenia (narzędziownie i statki). Uczestniczył w strajku sierpniowym 1980, członek Solidarności od 1980 r. Po zmianie zakładu pracy w 1986 r. na „Kombet" założył tam związek Solidarność. Pod koniec lat 80-tych, pracował jako mechanik pokładowy w polskiej flocie i u obcych armatorów. Od niedawna na emeryturze. Kolekcjonuje guzików z mundurów żołnierzy polskiej marynarki wojennej i polskich sił zbrojnych.

Urodziłem się w Augustowie. Miejsce urodzenia było jednym z punktów powojennej tułaczki i ukrywania się mojej rodziny i ojca żołnierza Armii Krajowej przed nową władzą.

Do Gdyni przeniosłem się z Podlasia, gdzie moja rodzina osiedliła się po wojnie. W 1968 roku, po ukończeniu szkoły, zamieszkałem w Gdyni i podjąłem pracę w Stoczni im. Komuny Paryskiej. Osiedlenie się w Gdyni było moim marzeniem od czasu wycieczki szkolnej kilka lat wcześniej.

Ojciec pochodził z Grójca koło Warszawy, potem osiedlił się w Brześciu, gdzie był pracownikiem kolei. Tam poznał swoją przyszłą żonę i moją matkę — pochodzącą z Wileńszczyzny córkę urzędnika kolejowego kolei Wilno-Warszawa, który w ramach reorganizacji został przeniesiony do Brześcia.

W czasie II wojny światowej mój ojciec był członkiem Armii Krajowej — obwód AK Brześć IV. Po wojnie tułał się z rodziną po kraju uciekając przez represjami władzy. Schwytany w 1954 roku we Wrocławiu, odsiedział w więzieniu 2 lata aż do amnestii w 1956 roku. Po wszystkim rodzina osiedliła się na Podlasiu, by potem przenieść się do Iławy.

Od 1968 r. jestem mieszkańcem Gdyni i pracownikiem Stoczni im. Komuny Paryskiej. W 1975 roku ożeniłem się. Rok później urodził nam się pierwszy syn. W sierpniu 1980 roku żona była w zaawansowanej ciąży z drugim dzieckiem (drugi syn urodził się w październiku).

Po przeprowadzce do Gdyni i podjęciu pracy w stoczni ukończyłem w trybie wieczorowym Technikum Budowy Okrętów Gdyni. Był już wtedy absolwentem szkoły zawodowej w miejscowości Nurzec na Podlasiu.

W 1980 r. mieszkaliśmy w wynajmowanym mieszkaniu w Wejherowie, dopiero w 1981 dostaliśmy przydział na mieszkanie w Janowie, w którym żyjemy do tej pory.

Ważnym elementem kształtowania światopoglądu i oceny rzeczywistości były dla mnie wydarzenia grudnia 70 r. Oglądałem je z perspektywy żołnierza czynnej służby wojskowej. W 1969 r. zostałem powołany do odbycia służby w niebieskich beretach we Wrzeszczu. W grudniu 1970 roku zostałem wysłany na pierwsza linię patrolu do Gdyni. W momencie zaognienia wydarzeń w mieście zostaliśmy zamknięci w jednostce, żebyśmy nie rozpowszechniali informacji o przebiegu strajku. Prawdopodobnie to miało swój wpływ na fakt, że potem, mimo braku zaangażowania w konkretnych organizacjach, chętnie czytałem publikacje drugiego obiegu, słuchałem radia Wolna Europa.

Dodatkowo byłem w PTTK — była to swego rodzaju opozycyjna instytucja w oficjalnych strukturach, dosyć hermetyczna. W rozmowach jej członków wielokrotnie pojawiały się tematy niewygodne dla władzy. Przed 80-tym rokiem rzadko głosowałem w wyborach, mimo nacisków ze Stoczni.

Zauważyłem pozytywną rolę Kościoła w wydarzeniach roku 1980. Pamiętam, że księża Miszewski i Jastak, którzy odprawiali msze za ojczyznę, byli z parafii pw. Serca Jezusa.

Z ludźmi opozycji nie miałem przed strajkiem kontaktu. Prasa podziemna i ulotki jednak docierały, głównie za pośrednictwem moich sióstr Zofii i Elżbiety.

Reakcją na wprowadzone podwyżki 1980 roku były: złość i bunt. W biurze, w którym wówczas pracowałem, emocje z tym związane nie były jednak aż tak silne jak na produkcji.

Pracowałem w Stoczni Gdyńskiej od 1968 r. W sierpniu 1980 r. jako specjalista ds. zaopatrzenia narzędziowni i statków. Była to praca biurowa. Swego rodzaju awans w ramach rozwoju zawodowego. Zaczynałem pracę w Stoczni w 1968 r. od najniższych stanowisk z pensją 700 zł. Potem, po zrobieniu kursu spawacza, dostawałem już lepsze wynagrodzenie (2–3 tys. zł). Po 15 latach pracy zostałem pracownikiem umysłowym w szefostwie technicznym Stoczni, na wydziale zaopatrzenia. Żona była technologiem inspektorem w firmie „Kombet", ale w 80-tym roku przebywała na urlopie wychowawczym.

Praca dawała mi satysfakcję, nie narzekałem na brak możliwości awansu. Wynagrodzenie wystarczało na zaspokojenie podstawowych potrzeb rodziny będącej wówczas na moim utrzymaniu. Sytuacja w pracy nie miała więc bezpośredniego wpływu na udział w strajku. Bardziej była to kwestia patriotycznych i opozycyjnych tradycji w rodzinie — wychowania jakie odebrałem.

W 1980 r. pracowałem w zaopatrzeniu. Idąc do pracy zobaczył pierwszy pochód z Andrzejem Kołodziejem na czele. Poszedł do swojego wydziału, gdzie część kolegów uciekła. Trzech zostało i wspólnie przetrwali w Stoczni do końca strajku. Później okazało się, że prawdopodobnie jeden z nich był donosicielem. W stoczni zatrudnionych było ok. 12 tys. ludzi, z czego 30% stanowiły kobiety. Kobiety dostały nakaz opuszczenia stoczni, tylko nieliczne z nich zostały. Z załogi męskiej ok. połowa została w zakładzie i wzięła udział w strajku. Demonstracja była dla mnie zaskoczeniem, ponieważ pracując w biurze, nie na produkcji, miałem kontakt z ograniczoną liczbą osób i nie znałem nastrojów oraz planów.

W pierwszych dniach strajku zaangażowałem się do pilnowania płotu — zabezpieczenia ogrodzenia przed przedostawaniem się niepowołanych osób. Po jakimś czasie Lusia Wróbel zaangażowała mnie do poczty strajkowej w Stoczni. Szefem poczty strajkowej był Zbigniew Sankowski (były żołnierz armii gen. Andersa). Dla zespołu i dla mnie był autorytetem. Podtrzymywał nas na duchu, traktowaliśmy go jak ojca. Całe archiwum poczty strajkowej ukrywałem potem w domu. Michał Guć napisał książkę o działaniu poczty strajkowej.

Żona, mimo że była wówczas w zaawansowanej ciąży z drugim dzieckiem, wspierała mnie w podjętych decyzjach, dostarczała paczki żywnościowe. Sama otrzymała wsparcie ze strony znajomych, którzy jej pomagali w tym trudnym czasie. Wiele kobiet takiego wsparcia nie miało i ze strachu o mężów wywierało na nich presję.

Okoliczni gospodarze, piekarnie za darmo dostarczali do stoczni żywność. Sklepy i stołówki stoczniowe były również trochę zaopatrzone jeszcze sprzed okresu strajku. Dodatkowo rodziny dostarczały paczki żywnościowe. Na terenie stoczni panował absolutny zakaz spożywania alkoholu. Dzień strajkowy zaczynał się o godz. 8-ej i kończył o 23-ej. Nie było właściwie czasu wolnego. Wydział poligraficzny na bieżąco drukował ulotki i nakazy.

W czasie strajku nie było właściwie czasu wolnego. Może dzięki temu funkcjonowanie strajkujących przebiegało w pełnej zgodzie i dobrej organizacji. Wspomniany szpieg próbował siać zamęt i zwątpienie, ale bez skutku. Dużą rolę w samodyscyplinie i podtrzymywaniu na duchu odegrał Kościół. Codzienne msze bardzo trzymały wszystkich.

Postulaty strajkowe poznałem dosyć szybko. Akceptowałem ich treść, ponieważ zawierały to, co nas wtedy interesowało. Podsumowując swoje wspomnienia dotyczące strajku mogę powiedzieć, że tam za bramami stoczni czuliśmy inną Polskę — powiew wolności. Najwspanialszy był powrót do domu i zetknięcie z obcymi ludźmi, którzy widząc wracającego ze strajku stoczniowca gratulowali mu.

Zostałem członkiem Solidarności w sierpniu 80 r. Został na swoim wydziale wybrany mężem zaufania. Kiedy potem w połowie lat 80-tych, zmieniłem pracę w Stoczni na firmę „Kombet", założyłem tam Solidarność.

Początkowej działalności Solidarności towarzyszyła euforia, poczucie, że robi się coś pożytecznego. Prawie 100% załogi przystąpiło do Solidarności. Przywódcy strajkowi zostali wybrani drogą demokratycznego wyboru i wybrane osoby raczej się nie zmieniały. Szefowa Elżbieta Lidzbarska (żona lokalnego działacza PZPR) na odprawach poprzez perswazję próbowała zniechęcić do Solidarności, ale nie podejmowała konkretnych działań.

Solidarność miała wpływ na decyzje dyrekcji, była ciałem doradczym i współdecydującym — była więc to duża zmiana.

Przez pierwsze dwa tygodnie stanu wojennego ukrywałem się w miejscowości Gowidlino na Kaszubach. Potem zostałem schwytany i byłem przesłuchiwany, jednak przesłuchania nie były ciężkie. Przesłuchiwał mnie Andrzej Dolata, który potem pracował w Stoczni. Po powrocie do domu sytuacja trochę się uspokoiła. Delegacje ze Stoczni zapraszały do pracy. Ze względu na sytuację życiową: niepracująca żona i dwójka małych dzieci, wróciłem do pracy w Stoczni.

W tamtym czasie wprowadzeniu stanu wojennego towarzyszył nam strach przed wojną. Na kontynuowanie działalności związkowej nie było możliwości ze względu na internowania i ze względu na rodzinę, której w tamtym czasie trudno byłoby sobie poradzić: dwoje małych dzieci, szwagier internowany. Jedynym sposobem na przetrwanie tamtego czasu była wzajemna zorganizowana pomoc, np. paczki dla internowanych.

Zwolniłem się ze stoczni w 86 r., bo nieciekawie się tam robiło. Pracowałem w „Kombecie". Potem, pod koniec lat 80-tych, pracowałem jako mechanik pokładowy w polskiej flocie i u obcych armatorów. Tak przez następne 10 lat.

Od początku krytycznie oceniałem „okrągły stół". Uważałem, że nie ci ludzie tam powinni być, że brak dekomunizacji zniszczy Polskę. Komunistów trzeba było wtedy całkowicie odsunąć od władzy. Uczestniczyłem w wyborach czerwcowych i wszystkich następnych. Uważam to za nasz obowiązek i przywilej.

Od kilku tygodni jestem na emeryturze. Oddaję się działalności społecznej oraz swoim zainteresowaniom. Jestem kolekcjonerem guzików z mundurów żołnierzy polskiej marynarki wojennej i polskich sił zbrojnych. Dużą część swoich zbiorów (polskie orzełki, hełmy) przekazuję do Muzeum Marynarki Wojennej Miasta Gdyni oraz Muzeum Emigracji. Moja pozycja materialna jest zadowalająca. Mam własnościowe mieszkanie. Jestem na emeryturze.

Tamta Solidarność była inna od tej. Wałęsa niepotrzebnie kandydował na urząd prezydenta, przez to stracił poważanie. Pozytywnie oceniam rozwój sektora prywatnego. Cała reszta wygląda już jednak gorzej: likwidacja przemysłu stoczniowego i likwidacje w innych dziedzinach.



Henryk Socha — ur. 12 sierpnia 1946 r. w Egiertowie, gmina Kartuzy, Kaszub. Wyznanie rzymskokatolickie — wierzący, praktykujący. Wykształcenie zawodowe. Ślub zawarł w 1971 roku i w tym roku rozpoczął pracę w Porcie Gdynia. Pracował jako ślusarz i monter operator. Troje dzieci. Żona zajmowała się haftem kaszubskim. Należał do Związku Marynarzy i Portowców. Codziennie dojeżdżał do pracy na trasie Gdynia-Kościerzyna. Uczestniczył w strajku 1980 roku. Był członkiem Solidarności i Komisji Zakładowej. Na emeryturę przeszedł w 2011 r. Od czasu emerytury zaangażowany w Kole Emerytów Związku Solidarność przy Porcie Gdynia.

Moja rodzina to z dziada pradziada rdzenni Kaszubi. Mieszkałem w Egiertowie. Z rodzicami jako młodzieniec mieszkałem. Do czasów wojska w Egietowie.

W rodzinie były tradycje patriotyczne. Ojciec z matką zawsze szanowali patriotyzm, wybory — uczestnictwo w wyborach, do późnego wieku chodzili na wybory. Wszystkie święta państwowe — 3 maja i 11 listopada, to także. Tutaj po wojnie zawsze jest msza w lesie, bo tam Hitlerowcy rozstrzelali naszego księdza i innych ludzi. Dużo Kaszubów przyjeżdża. Myślę, że Niemcy chcieli go do niemieckiej armii wciągnąć, ale on się ukrywał, z tego co wiem.

W domu mówiło się o Katyniu, to było w tajemnicy trzymane, ale w domach, na spotkaniach, mimo tajemnicy się o tym mówiło. Sąsiad nam o tym też opowiadał i o Sikorskim także. W tamtych czasach jeszcze mówili, że to Niemcy zrobili, dopiero się potem okazało, że to była całkiem inna prawda.

Żeniłem się w 1971 r. Jeszcze pamiętam wydarzenia grudniowe. Jak były wydarzenia grudniowe, nie pracowałem w porcie, bo niemal całe życie w porcie pracowałem. W 1971 r. rozpocząłem pracę w porcie i aż do emerytury od 2001 r. na emeryturze. Cały czas na emeryturze, ale jestem w kole emerytów Solidarności przy Porcie Gdynia i byłem cały czas członkiem Komisji Zakładowej do zeszłego roku. W zeszłym roku już się nie dałem wybrać.

Pierwsza córka urodziła się w 1973 roku, druga w 1976, ale zmarła przy porodzie, trzecia córka w lipcu 1979, czyli miała roczek, jak się strajki rozpoczęły. Żona z nią na odwiedziny do Gdyni przyjeżdżała w czasie strajku. Nas nie wypuszczali ze stoczni, chyba że na jakąś krótką przepustkę. Bardzo nas pilnowali. Inaczej zostałby tylko Komitet strajkowy, bo to już za dużo trwało.

Małżonka pracowała. W 1980 r. była na wychowawczym — jak się dzieci rodziły. Potem chałupniczo w domu pracowała. Zajmowała się haftem kaszubskim.

Pracę w porcie rozpoczynałem w latach 70-tych mając 25 lat. Pracowało tam prawie 10 tys. ludzi. W porcie było tyle roboty, że można było naprawdę dużo pracować — w soboty, niedziele, nadgodziny. Jak praca była, tośmy dobrze zarabiali. Myśmy mieli trzykrotne pensje krajowe. W tej firmie dzięki pracy żyło mi się średnio. Nie dobrze. Dało się wyżyć.

W porcie pracowałem na początku jako ślusarz mechanik Potem zmiana była, to byłem monterem, operatorem. Potem byłem brygadzistą technicznym przez ostatnich 15 lat. W 1980 r. byłem ślusarzem. Pracowałem na warsztacie, było nas około 30 ślusarzy. Pracowałem w elewatorze zbożowym, na wydziale 4. Myśmy tylko tam remonty robili urządzeń w tym elewatorze.

Mam wykształcenie zawodowe. Szkoła Zawodowa w Gdyni. Nie pamiętam, kiedy skończyłem. Pracowałem w swoim zawodzie cały czas, do końca. Kursów to ja miałem różnych. Dotyczyły zakładu pracy — kurs spawania elektrycznego, gazowego, podnośników, itd. Pełno kursów, wszystko, co się dało. To wszystko były urządzenia poddozorowe, więc musiały być specjalne uprawnienia nadane przez Urząd Morski.

W 1980 mieszkałem już tutaj, gdzie teraz. W 1970 r. ten dom od podstaw budowaliśmy z żoną. Kupiliśmy działkę, bo na mieszkanie nie było szans, a w porcie się jako tako zarabiało. Chyba w 1975 r. się tutaj wprowadziliśmy z żoną. Dom własnościowy. Teren także. Nasza wspólna własność.

Był obowiązek przynależenia do związku. Należałem do Związku Marynarzy i Portowców. Już na drugi dzień, jak się zatrudniłem, to mnie zapisano. Co miesiąc się składki odprowadzało.

Potem jak już Solidarność, to już Solidarność. Nowa legitymacja, nowy związek i tak już do dzisiaj. Codziennie dojeżdżałem do Gdyni na trasie Gdynia–Kościerzyna. Żona też do Gdyni wcześniej dojeżdżała do pracy.

Wyznanie rzymskokatolickie. Wierzący i praktykujący. Ksiądz poprosił, to się pomagało. Nie przynależałem do niczego. Chyba do dzisiaj u nas tego nie ma.

Zawsze uczestniczyłem w wyborach. Do dzisiaj. Żona też. Słuchałem Radia Wolnej Europy. Chociaż była zakłócana, ale słuchałem. Wierzyłem i do dzisiaj jeszcze wierzę, że ten system nie mógł dłużej wytrzymać. Już wszystko było tak zbankrutowane, że musiało to kiedyś paść.

Jak w 1970 doszedł do władzy Gierek i Jaroszewicz, to już w 1976 już były protesty. W porcie już mówiono, że Amerykanie jakąś bombę szykują, my wiece przeciw temu organizowaliśmy. W Radomiu jak się zbuntowali, to w porcie na siłę organizowali wiece poparcia dla władzy. Było przerwanie pracy i na wiec. Obowiązkowo trzeba było w tym uczestniczyć.

Jak rozpocząłem pracę w 1971, były tam warunki szkodliwe dla zdrowia, wszyscy pracowali przez 6 godzin, a płacone było za 8 godzin. My jako warsztat byliśmy z tego wyłączeni. Buntowaliśmy się bardzo, bo nam kazali pracować po 8 godzin. My też chcieliśmy po 6 godzin, ale jakieś tam przepisy były, które kierownik trzymał w szufladzie, jakiś układ zbiorowy pracy, którego nam nie pokazał. Myśmy się kiedyś zbuntowali, może w 1973 lub 1974, przerwaliśmy pracę. Poszliśmy na dyrekcję — tak koło 30 osób. Jak tylko szliśmy, to już dyrekcja była o tym powiadomiona. Najpierw na nas z buzią, byśmy się wystraszyli. Myśmy się nie wycofali, to dyrektor nas zaprosił na salę konferencyjną na rozmowy. Dyskutowaliśmy, dyskutowaliśmy. Dyrektor powiedział, że wróci do nas za jakiś czas, byśmy już do pracy wracali. Myśmy w końcu tych 6 godzin sobie wywalczyli.

Tak samo było, jak wprowadzono jedną wolną sobotę. Cały port miał, oprócz nas. Mówili, że nam się nie należy, bo mamy skrócony czas pracy. Też awantura była. Udało się wywalczyć też wolną sobotę. Potem już udało się wywalczyć wolne wszystkie soboty.

Już wrzenie było. Ja jeszcze wtedy nie działałem w związkach — mówię o latach 70-tych — ale już zrywy były. Byli ludzie odważni. Po tych wszystkich szumach, potem przychodził sekretarz na takie rozmowy. Sekretarz PZPR zachęcał: „Może byście wstąpili do partii, a po co te szumy, damy wam stanowisko, będą awanse, ale uspokójcie się."

Za Gierka na talony na przydział były maluchy. Na nasz rejon, tam ponad 300 osób, to miał być jeden talon dla nas. Ludzie się zapisywali, ja też się zapisałem. W końcu ten talon dostał kierownik. Do mnie później przychodzili i mówili, że jeśli chciałbym mieć talon na auto, to musiałbym się wcześniej do partii zapisać.

Kościół odgrywał w moim życiu ogromną rolę. Redemptorysta na ulicy portowej w Gdyni — ksiądz Ryba albo ksiądz Jastak. Przecież codziennie odbywały się msze w porcie. Nawet księża wspierali, ukrywali. Papież przede wszystkim. Słynne przemówienie w 1979 r.

Miałem kontakt z prasą podziemną i ludźmi opozycji. Myśmy bibuły nosili po cichu. Jakie były plany, co chcemy osiągnąć, to się wszystko po cichu dawało. Ludzie czytali to. Zawsze za pośrednictwem kogoś otrzymywałem bibułę — kolportowali — i ja przenosiłem dalej.

Na podwyżki reagowałem z gniewem. Denerwowało to strasznie, bo to z dnia na dzień podnosili ceny. Tak też w 1970 r. było, gdy Gomułka podniósł ceny. Dlatego te protesty w 1970 r. Tragiczne skutki. W 1980 r. to przemocy aż takiej nie było, ale nie mówię, że się nie bałem, straszyli nas Rosjanami. Straszyli też, że będzie desant milicji od strony wody. Wszystko było możliwe. Różne warianty były rozważane.

Moimi autorytetami życiowymi byli przywódcy związkowi — pan Wodyk Wiesław załóżmy. Bardzo zaangażowany i jeszcze paru innych. Śleszyński Ryszard, już teraz nieżyjący.

Pracowałem zazwyczaj w zespole. Przeważnie 2–3 szło na daną robotę. Prace były różne, na wysokościach, w piwnicach, Jeden to by nie mógł sam. Przede wszystkim były niebezpieczne prace. Nie można było palić, bo było zagrożenie wybuchem. Przy spawaniu to musiała straż przyjeżdżać, specjalna asysta.

Przed wybuchem strajków sierpniowych byłem zadowolony ze swojego miejsca pracy. Zadowolony jeszcze dzisiaj jestem. Całe życie to było moje ulubione zajęcie. Niczym innym się nie zajmowałem. Tylko w swoi zawodzie. Podwyżki były regularnie co roku. Brygada liczyła 15 osób, to 10 dostało. Każdy musiał stanąć do egzaminu, by dostać podwyżkę. Kto nie odpowiedział na pytania komisji, to nie dostał podwyżki. 75% dostało podwyżkę z brygady.

Były też wypadki, że niektórzy dostali po cichu, w międzyczasie, tak zwane ciche przeszeregowania. Dla niektórych było. Ale to już bez egzaminu. Oczywiście, ja takiej nigdy nie dostałem. Jak były normalne przeszeregowania, to zawsze dostałem. Stawałem do egzaminu i zawsze dostałem podwyżkę. Później te ceny już tak galopowały, że my dwa razy w roku bez przeszeregowania dostawaliśmy podwyżkę z automatu. To już każdy dostawał. Może nie wszyscy równo dostali, ale każdy dostał.

Pamiętam to jak dzisiaj, jak zaczął się strajk. Przyszliśmy do pracy rano, normalnie. Jak każdego innego dnia. Gdzieś tam koło południa pewna grupa ludzi chodziła po wydziałach i mówiła, że przerywamy pracę, jest strajk, zwoływali wszystkich w jedno miejsce. To miejsce było blisko Stoczni im. Komuny Paryskiej, by mieć bliski kontakt komitetów strajkujących z portu i ze stoczni. Zebrania nie były przy dyrekcji.

Postawili tam krzyż drugiego czy trzeciego dnia. Przed tym krzyżem — ten krzyż do dzisiaj tam stoi — odbywały się msze. To całe dowództwo było przy krzyżu. Śpiewali, modlili się. Opowiadali różne rzeczy. Trzeba było tych ludzi zachęcić. Nikt nie przypuszczał, że będzie to trwało ponad 20 dni. Myśleliśmy, że dwa trzy dni i będzie koniec.

Jak nas tam zwołali, poszliśmy na ten plac. Już wszyscy z portu byli zebrani, wtedy zaczęły się poważne rozmowy. Różne meldunki przychodziły — że stocznia stoi, że „Dalmor", zakłady mleczarskie i kolej też strajkują. Przychodziły meldunki, że strajk już przekształcił się w międzyzakładowy. Po paru dniach już był komunikat, że cała Polska stoi. To wszystko nam na bieżąco przekazywano.

Przywódcą strajku był Tarasiewicz, chyba Henryk. Wiceprzewodniczącym był Wodyk Wiesław. Komitet strajkowy chyba z 30 osób. Został tam powołany. Decydował o wszystkim. On się sam ukonstytuował, żadnych wyborów do komitetu nie było. Ci, którzy wierzyli w zwycięstwo i wiedzieli czego chcą, garnęli się sami do komitetu. Wszystko dobywało się na podstawie rozmów. Rekrutacja ciągła odbywała się.

W porcie funkcjonował radiowęzeł, został przejęty przez strajkujących, przez komitet strajkowy. Dyrekcja nie pracowała. Cały port stał. W dyrekcji — byli tacy, którzy byli nastawieni pozytywnie i byli też nastawieni negatywnie. Na razie czekali na rozwój sytuacji. W pojedynczych rozmowach można było wyczuć, kto jest przeciw, a kto za strajkiem. Cała dyrekcja i umysłowi nie strajkowali. Nie uczestniczyli w strajku. Cała dyrekcja była w biurowcu przed bramą, ale na terenie portu. My w zakładzie strajkowaliśmy. Dyrekcja wszystko słyszała przez radiowęzeł. Wiedziała, jak się rozwija sytuacja.

W porcie byli wartownicy, tak zwana straż portowa. Takie budki były tam. Ci zostali zawieszeni, jak się strajk rozpoczął. Ich funkcje przejęli strajkujący. Wzdłuż płotu po jednej i po drugiej stronie chodziły warty i pilnowały, by ludzie nie uciekali. Było pilnowane. A kto kradł, czy się sprzeniewierzył, bo alkohol też był w porcie. Wszystko było w porcie — tego też musieliśmy pilnować. Były warty, które pilnowały tych towarów — alkoholu, itd. Kawa też była, było trzeba pilnować, by nikt tego nie kradł. Pilnowali, by nie pito alkoholu, był zakaz przynoszenia i picia alkoholu na terenie zakładu. To było bardzo przestrzegane w tamtym czasie.

Była obawa, że mogą się powtórzyć wypadki grudniowe. Była obawa, że nas rozpędzą. Nawoływali, by przerwać strajk. Taka panika wśród tłumy też była. Ta terenie portu też zrzucano ulotki ze śmigłowca, by przerwać strajk.

Gdy przyjechałem do pracy i zaczął się strajk, podjąłem decyzję, że zostaję. Chyba dzwoniłem do żony. Media zresztą tak trąbiły, że Wybrzeże strajkuje. Jak nie przyjechałem na noc, to żona już wiedziała. Decyzja z tłumu była, że strajkujemy i zostajemy do końca przy strajku.

W czasie strajku nie pełniłem żadnej funkcji. Byłem uczestnikiem strajku. W zasadzie jak się strajk rozpoczął, to było lato, sierpień, kazali nam zostać na placu. Port jest duży, a∞ ja pracowałem na warsztacie, tam było gdzie się przekimnąć. Tam były styropiany, tam spałem. Rano po śniadanku, zjedliśmy na warsztacie, szliśmy na plac przed bramę do głównego wejścia. Tam się prawie do wieczora siedziało. Dostarczali nam prowiant. Z miasta ludzie też przynosili, zakłady, piekarnie — bułki, ciasta — to później było dzielone, można było sobie wziąć.

Żona przyjeżdżała z córką i przywoziła jedzenie. Przyjeżdżała raz na jakiś czas do mnie. Żona nie miała innego wyjścia, musiała popierać mój udział w strajku. Nie miała na to żadnego wpływu. To był moja decyzja, żeby zostać. Decyzja była moja i komitetu strajkowego.

Ktoś chciał zwiać ze strajku, no i go warta złapała. On mówił, że już nie chce, że jest zmęczony. Różne ludzie mają predyspozycje. Jak złapali kogoś na przewinieniu, to były palety. Musiał na nich stanąć na tych paletach. Przedstawiano go, mówili, co zrobił. Ludzie go wygwizdali i już mógł podjąć decyzję, czy zostaje, czy wychodzi. Byli tacy, co się opamiętali i zostali, a byli też tacy, co się wycofali. Odbywały się samosądy co jakiś czas. Tłum taki duży, więc zawsze się jakaś zakała znajdzie.

Pamiętam pierwszą mszę w porcie, to było chyba drugiego czy trzeciego dnia. Zaprosili księdza i odprawił mszę. Można było się wyspowiadać. Ksiądz też mówił, że jest zbiorowe odpuszczenie grzeszków — bo sytuacja wyjątkowa, ale ciężkiego nie, był konfesjonał.

Mój brygadzista — Tyszka — należał do partii. Jak już się gorąco robiło, to mi mówił: „Heniu, ja już chyba z 15 lat nie byłem u spowiedzi. Co ja mam teraz robić?" Ja mówię: „Nie wiem, zależy, jakie masz grzechy." Poszedł do spowiedzi. Stracha dostał. Na mszach było wiele osób, ci z partii też. Przystępowali do komunii.

Pierwszy sekretarz i członkowie PZPR chodzili i agitowali, mówili, że to się nie uda. Nic z tego nie będziemy mieli.

Przychodziły rodziny pod port, różne delegacje przyjeżdżały z mniejszych zakładów do nas. To wszystko było oficjalnie ogłaszane przez radiowęzeł. Że przyjeżdża delegacja np. z Kosakowa i przywiozła napoje mleczne.

Mnie się zdaje, że około 4–5 tys. ludzi mogło strajkować. Liczę, że 60% strajkowało, reszta się wysmyknęła przez bramy gdzieś tam. Część była chora, niektórzy mieli ciężką sytuację rodzinną. Wiadomo, że musiał być w domu. Rodzina bała się o mnie. Nie było wiadomo, co przyniesie następny dzień. Mogło być tak, że się nie powiedzie strajk i nas wszystkich zwolnią. Chodziły też pogłoski, że może dojść do jakiejś masakry. My się sami baliśmy. Były podawane terminy, że do tego i tego dnia mamy przerwać strajk. Decydował komitet strajkowy, do kiedy mamy zostać, strajkować. Bez komitetu strajk by się nie utrzymał. Musiał ktoś tym kierować. To byli ludzie, których podziwiam. Miałem do nich pełne zaufanie.

Do przywódców strajkowych w stoczni w Gdańsku także miałem zaufanie. Zakłady strajkowały, a naprawdę decyzje były podejmowane w stoczni gdańskiej. Decyzje przychodziły do nas i były powielane. Decyzje ogólnokrajowe — to wszystko w Gdańsku. Łącznicy byli, jeździli tam, bo telefony zablokowane. Wszystkie informacje były przywożone do portu. Wskazówki, które dotyczyły naszego zakładu, były napisane i powielane w formie biuletynów. To już powielano na miejscu.

Z postulatów było dla mnie najważniejsze to, żeby była zmiana ustroju — by związki zawodowe nie były państwowe, dyrekcyjne. Nasz związek wszystko ustalał z dyrektorem. Chodziło o to, by wszystko samodzielnie zdecydować, co my chcemy. Chciałem też zmiany ustroju, by wreszcie komuna upadła. Nie podobało się nam to, że o wszystkim decydowała partia — wyjazdy na wczasy, wszystko — każda zgoda podpisana przez sekretarza partii, to się ludziom nie podobało. Było negatywne nastawienie do ustroju, do ZSRR, czuliśmy tam wroga. Czuliśmy, że jesteśmy gnębieni. O wszystkim decydował ZSRR .

Pamiętam moment podpisania Porozumień. To była wielka ulga, że to już się skończyło, ale i wielka nadzieja. Przyszedł moment, że koniec strajku, podpisane, że już do domu wychodzimy. Każdy się pakował i do domu. To już parę razy było bliskie podpisania, ale chcieli dograć do końca i przedłużało się. Jak już było podpisane, to wielka ulga. Wcześniej nas straszyli, że nam nie zapłacą, że zwolnią z pracy. Niektórzy się bali. Potem

nawet taka wersja, że kto nie uczestniczył w strajku, to nie będzie miał zapłacone. Myśmy dostali zapłacone za ten czas, kiedy strajkowaliśmy.

Przystąpiłem do Solidarności w 1980 r., zaraz jak strajk się zakończył. Została podjęta praca, struktury w porcie już powoli zaczęły działać. Zaczęło się od tego, że byłem zwykłym członkiem. Do czasów delegalizacji Solidarności byłem zwykłym członkiem. W czasie delegalizacji nie mogliśmy, wszystko było zabronione, nie wolno się było nawet przyznawać do tego, że się należało do Solidarności. Człowiek był wyśmiewany i jako wróg traktowany.

W konspiracji działało cały czas. Jednak związek uważał się, że istnieje. My dalej działaliśmy nieoficjalnie, a w podziemiu. Jak już po stanie wojennym doszło do rozmów i przywrócili Solidarność, wtedy zaczęła się moja działalność. Przyjeżdżał do mnie kolega z ulotkami. Roznosiłem je po wydziale, że mamy zamiar nowe struktury. Jeszcze na piśmie oficjalnie nie było. Przygotowywałem to, że jak już będzie oficjalna decyzja, to od razu przystąpimy do działania.

Działałem, jak jeszcze Solidarność nie została na nowo przywrócona. Zacząłem się kontaktować, działać. Były wybory, a ja zostałem już wtedy wybrany na wiceprzewodniczącego. Wiceprzewodniczącym byłem do chwili, póki przewodniczący zrezygnował. Wtedy przejąłem jego funkcję. To było na początku po przywróceniu, nie pamiętam roku. Funkcję przewodniczącego pełniłem aż do emerytury, do 2011 r. Byłem w różnych komisjach — członkiem komisji międzyzakładowej, w komisjach socjalnych. To była funkcja wydziałowa, a nie etatowa. Etatowa była w komisji zakładowej. My jako wydziały działaliśmy społecznie. Potem zakładowa przekształciła się w międzyzakładową, a nasza w zakładową, ale działanie i obowiązki były te same. Do mnie należało zarządzanie, agitowanie, by związek był prężny i wszystkie sprawy pracownicze. Bronić ludzi.

Samo powstanie Solidarności to była wielka euforia. Byliśmy z tego wszyscy dumni. Werbowało się ludzi do Solidarności. Wiązaliśmy z tym nadzieje takie, że wreszcie będziemy mieli coś do powiedzenia jako pracownicy, by nas bronili. Związek zawodowy miał bronić naszych praw pracowniczych, godności, przy przeszeregowaniu, by nie nękano, prześladowano. To się udawało w dużej mierze. Bardzo się liczyli. Nastąpiła zmiana dyrektora i kierowników, związek w porcie miał bardzo dużo do powiedzenia. Przystępował, kto chciał. Przystępowali ci, co byli w związku marynarzy. W międzyczasie powstał tzw. Związek OPZZ — prozakładowy, prorządowy. Do dzisiaj w zasadzie OPZZ funkcjonuje. Cały czas były tarcia, bo Solidarność inaczej myślała.

Na początku wszystko bardzo przyjemnie. Później Solidarność zaczęła się rozwijać, to się nie spodobało wyżej. Solidarność żądała zmiany ustroju, mówili, że związek zawodowy nie powinien się interesować polityką. A tak się przecież nie dało. Polityka idzie w parze z tym. Zauważyłem zmiany. Dużo się zmieniło. Zaczęli rozmawiać z nami.

Wybuch stanu wojennego nie zaskoczył mnie. Przewidywałem, że może się coś takiego zadziać, ale nie żeby aż tak długo to trwało. Tarcia były, były i w końcu — Wałęsa coraz bardziej cisnął Jaruzelskiego — było wiadomo, że musi partia coś zrobić, by się utrzymać na stanowiskach.

Pamiętam jak dzisiaj, jak to ogłosili. Była zima. Telewizja głucha, radio, jakieś komunikaty co jakiś czas — że Jaruzelski wprowadził odezwę i stan wojenny. Wieczorem pojawił się spiker w mundurze wojskowym, że wprowadzono stan wojenny i że apelują o przestrzeganie zasad. Co wolno, czego nie wolno — nie wolno się gromadzić, strajkować — takie różne obostrzenia. Wtedy zaczęła się prawdziwa walka przeciw władzy. Ludziom się to nie spodobało, że złapali ich za gębę i „cicho masz być".

Zaczęły się aresztowania przywódców, co działali na większą skalę. Nocą aresztowali. Jakieś przecieki były, że może coś takiego nastąpić. Jaruzelski wszystkie najwyższe funkcje w państwie podjął i przewodniczącym WRON i premierem itd., wszystko w jednym ręku, coś chcieli zrobić, to już było widać. Nie obawiałem się, że mogą mnie prześladować. W stanie wojennym myśmy chodzili pod pomnik grudnia — wtenczas był najbardziej strzeżony i nie można było się tam gromadzić. ZOMO tam patrolowało. Był też pobór do wojska chłopców.

Wprowadzenie stanu wojennego odczułem tak, że jest to po to, by nas zastraszyć, że mamy siedzieć cicho i nie atakować obozu rządzącego. W 1980 r. na półkach nie było nic. Podejrzewam, że to było celowe, by pokazać, że jak Solidarność powstała, to bieda w kraju — że to wszystko przez Solidarność, że Solidarność strajkuje, Solidarność żąda, itd. Niczego

nie było — tylko ocet. Mięsa nie było, cukru, a produkcja szła — celowo to przetrzymywano w magazynach, by nam pokazać, macie za swoje.

Solidarność działała w podziemiu. Co miesiąc odprowadzałem składki. W porcie nie było silnych prześladowań. SB chodziło miało swej wtyki, ale nie prześladowano tak silnie. Pod pomnikiem grudnia niektórzy byli spałowani, jak się tam gromadziliśmy, bo nie było wolno. Im więcej było zakazów, tym naród bardziej się mobilizował. Jak już stan wojenny znieśli, to już nikt się pod pomnikiem nie gromadził. A wcześniej tam tłumy były. Ja tam zawsze 13 grudnia jestem. Tam zawsze przed stocznią w Gdyni jest nabożeństwo i apel. Zawsze jadę na ten dzień.

Na początku popierałem postanowienia „okrągłego stołu", ale później nie. Całej prawdy to my jeszcze dzisiaj nie znamy z „okrągłego stołu". Jednak po tych wszystkich przeciekach okazało się, że oni podzielili wszystko pomiędzy siebie. Na tym wszystkim najmniej skorzystali ci wszyscy ludzie, którzy o to walczyli. Już jak podzielili wybory — mam takie mieszane uczucia. Wałęsa chyba trochę się za mocno dogadał. Tam były uzgodnione, wy premiera, my prezydenta, prezydentem był przez trzy miesiące Jaruzelski. Dopiero potem Wałęsa.

Teraz po tylu latach, z perspektywy czasu różnie na temat Wałęsy mówią. Szeregowi — dzięki nim to wszystko się stało — a Wałęsa się odwrócił od nich. Obraziliśmy się wszyscy na Wałęsę. Borusewicz został znienawidzony przez Solidarność. Jak się ukrywał w stanie wojennym, to fikcyjnie był u nas do portu przyjęty. U nas brał wynagrodzenie i nie pracował. To mu załatwili tę pracę moi koledzy. Później, jak się do niego zwrócili, to się wypiął. Dzisiaj on szkaluje, to samo Wałęsa. Ci wszyscy przewodniczący i Krzaklewski, i Śniadek — Śniadka bardzo dobrze znam, im wszystkim w końcu władza się marzyła. Każdy z nich dostał się do władzy. Jak na razie nie mam zastrzeżeń do Dudy. Jak na razie idzie dobrze — broni pracowników i się nie boi. A reszta to zapomniała o tym, na czyich wózkach wyjechali, kto ich wyciągnął. Teraz wszystkie firmy zamykają, podnoszą wiek emerytalny. Mam do nich wielką pretensję.

Myślę, że Solidarność upadnie, to już teraz nie ma bytu. Wszystko teraz jest na nie, co robi Solidarność. U nas w porcie było 80% członków Solidarności, a teraz... 190 członków. A jak będzie mniej jak 15, to już nie będzie etatu. Trzymają się tych 150, a kiedyś u nas w związku były 4 etaty płatne — sekretarka, przewodniczący, wiceprzewodniczący i drugi wiceprzewodniczący. To jest gorzkie, ale to trzeba powiedzieć.

Mój sukces życiowy — to, że mam zdrowie, dom, mam gdzie mieszkać. Mam rodzinę, emeryturę i teraz sobie spokojnie żyję. A sukces, jeżeli chodzi o sprawy polityczne, to został obalony komunizm. Jeszcze nikt lepszego systemu od kapitalizmu nie wymyślił. Co prawda nie mamy kapitalizmu jak w Stanach, ale jest to młody kapitalizm. Może młodzi będą mieli lepiej niż my.

Solidarność odegrała wielką rolę w moim życiu. To był taki zryw, na który każdy liczył. A że troszeczkę poszło to w innym kierunku... A tak myślę, że gdyby Jaruzelski wiedział wtedy, z czym się to wiąże, to chyba by się nie zgodził na to. Wątpię, żeby on się zgodził, gdyby wiedział.

Dzisiaj znowu bym przystąpił do strajku. Byłem już na emeryturze, a nieraz dla kolegów jechało się na jakieś pikiety. Jechało się wspomagać. Emeryci też byliśmy w Warszawie — wtedy ja nie byłem — ale z portu byli w Warszawie.

Największym błędem Solidarności było przejęcie władzy. Według mnie, jak związek był powołany do obrony praw pracowniczych, to nie powinien iść tak wysoko. To jedno drugiemu później zaprzeczało.

Ta niepodległość — ona jest — ale rządzący starają się — nie wiem, czy się boją (Rosji). Jedni mówią, że nie ma niepodległości, że jesteśmy uzależnieni od Rosji. Mam żal o katastrofę smoleńską, że nie dano umiędzynarodowić sprawy — po 5 latach nie mamy ani skrzynek, ani wraków, nic. Odczuwam to tak, że byliśmy uzależnieni. Nasi na wszystko się zgodzili. Ja mam tam bardzo wielkie podejrzenia. Mam wątpliwości. Jeszcze cały czas jesteśmy uzależnieni od Rosji albo władze są za słabe, albo nie chcą.



Marian Stachura — ur. 9 kwietnia 1935 r. w Przemyślu. W latach 1946–51 pracował w Wałbrzychu, przeniósł się na Wybrzeże do siostry i jako młodociany 16-latek dostał się do stoczni. Uczył się w wieczorowej Zasadniczej Szkole Budowy Okrętów w Gdyni. Od 1951 roku pracuje w Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni. Żona, jedno dziecko. Uczestnik wydarzeń Grudnia 1970 roku w Gdyni. Brał udział w strajku sierpniowym w stoczni gdyńskiej. Po wprowadzeniu stanu wojennego działał w opozycji. Od 2001 roku na emeryturze.

Po wyzwoleniu Przemyśla wyjechaliśmy na Ziemie Odzyskane do Wałbrzycha, tam spędziłem parę lat i w 1951 roku wróciłem na Wybrzeże, gdzie wstąpiłem do pracy w Stoczni Gdynia im. Komuny Paryskiej 27 marca 1951 roku.

Pamiętam, że 15 grudnia 1970 roku po ogłoszeniu przez Gomułkę podwyżki cen żywności, robotnicy zebrali się przed dyrekcją stoczni, zaczęli protestować po prostu, żeby anulować tę podwyżkę, ale rząd w żadnym wypadku nie chciał na to przystać. Zebrało się więc parę tysięcy ludzi — stocznia liczyła wówczas 12 tysięcy ludzi — zebrali się przed dyrekcją i skandowali: „precz z Gomułką", „precz z podwyżką." Dyrekcja zwlekała, to się przedłużało od rana, od porannej do popołudniowej zmiany dyrekcja nie otrzymywała po prostu żadnej odpowiedzi z Warszawy. Więc wtedy robotnicy ze stoczni postanowili utworzyć komitet strajkowy.

Ta delegacja strajkowa oczekiwała na konkrety, ale do godziny wieczornej nikt nam nie raczył odpowiedzieć z Warszawy. Ponieważ nikt odpowiedzi nie uzyskał, więc taka była decyzja komitetu strajkowego, żeby normalnie iść do prezydenta miasta Gdyni, do Mariańskiego, żeby w naszej sprawie interweniował w Warszawie. I tym sposobem rząd wykorzystał sytuację, że myśmy się rozeszli do domów i w domu każdy słuchał, co się dzieje na Wybrzeżu. Więc wiadomości z Gdańska były — że rozróby, podpalenie Komitetu Wojewódzkiego. Dużo manifestacji, dużo rozrób było, po prostu, że ludzie normalnie milicjantów łapali, bili, sklepy, grabieże i tak dalej. Natomiast w Gdyni takich wypadków nie było. Więc rano, gdyby rząd powiedział, żeby stoczniowcy i portowcy nie szli do pracy, byśmy nie szli, ale mimo to wszyscy idą do pracy.

Rano, o godzinie pół do szóstej, pociągi zaczęły się zjeżdżać z Gdańska i z Wejherowa co 3 minuty. Zjawił się tłum ludzi na pomoście, wiadukt był pełen po prostu, kładka przejściowa między ulicą Czechosłowacką a Czerwonych Kosynierów, po prostu cały czas napierało coraz więcej ludzi. Tak że ja, będąc w pierwszych szeregach, zobaczyłem, że to uzbrojeni żołnierze czy milicjanci byli — nie wiedziałem, kto to był w pierwszej chwili — ale zobaczyłem, że byli gotowi do strzału, mieli pistolety.

Godzina szósta, a ja już widząc, jaka sytuacja się tworzy, wycofałem się najpierw na schody, a ze schodów zszedłem na peron. Padł pierwszy strzał o godzinie szóstej rano, z czołgu normalnie i z karabinów maszynowych kałasznikowa — strzelali do nas, ludzie padali. Kilkanaście osób padło. Widziałem, jak tych kolegów zbierali do samochodów i jechali do szpitala miejskiego. Natomiast wojsko i milicja napierały na nas. No i my się wycofaliśmy, niektórzy uciekali; ja cały czas leżałem na torach, bo się bałem, że kule mnie dosięgną. Dosłownie ludzie na tamtej drugiej stronie ulicy, na ul. Czerwonych Kosynierów, padali, też zabici byli, i cały czas oni na nas napierali. Myśmy ze strachu, bojąc się — z góry, z helikopterów, z samolotów, strzelali do nas — wycofaliśmy się na drugą stronę tej kładki, czyli na Czerwonych Kosynierów. Tam zabity padł młody chłopak, którego wzięli na ramiona, potem wyciągnęli drzwi z kasy, położyli go i szliśmy z pochodem do miasta. Na ulicy pod tunelem, między 10 Lutego a Czerwonych Kosynierów, wojsko i milicja zagrodziły nam drogę i musieliśmy przez tory, przez podejście pod tunelem z tym ciałem zabitego iść. A tam SKOT-y stały, wozy pancerne, czołgi, broniły dworca głównego i sądu.

Wtedy uformował się dalej pochód robotników i z ciałem tego zabitego mężczyzny, ulicą 10 Lutego, szliśmy w kierunku Prezydium. Po drodze cały czas nas atakowali. Atakowali nas rzucając petardy, gazy łzawiące, żeby nas powstrzymać, ale myśmy nie zawracali i tak doszliśmy do Prezydium. Przynieśliśmy tego zabitego człowieka i chcieliśmy wejść do środka. Nie dało rady, bo stała tam milicja i nas nie puściła. Jak doszliśmy tam, widzę, że od ulicy — dzisiaj to jest ulica Piłsudskiego — tam tej milicji w tarczach, w przyłbicach, taki szpaler. Ludzie widząc, co się dzieje, zaczęli ze strachu uciekać, ja też ulicą Kielecką wycofałem się na zaplecze tej milicji.

Wycofałem się do domu. Przyszli sąsiedzi, żona była, a ja nie mogłem wytrzymać, tam koledzy ginęli, a ja mam siedzieć tu w domu? Uciekłem przez okno i inną ulicą pobiegłem pod Prezydium. Straszna strzelanina tam była, przeszliśmy na Wzgórze Nowotki, uciekaliśmy tam przez tory, kamieniami rzucaliśmy w milicjantów. Jak nas zagonili do bramy, to kilka razy dostałem pałką od milicjantów i wycofałem się do domu.

Całe to zamieszanie trwało do późnych godzin i zginęło tam kilkanaście osób. Na drugi dzień było tak, że sklepy, banki pozamykali. Myśmy na książeczce mieli oszczędności — nic nie można było wybrać. Po iluś dniach zaczęli ludzi przyjmować do pracy. Ci, co najwięcej rozrabiali, byli narażeni na represje ze strony rządu — ich nie przyjmowali. Ludzie zaczęli się dopominać zebrania. Rodziców zabitych wzywali w nocy, ale nieraz po jednym, ojciec albo matka, żeby rozpoznali zwłoki i po cichu chowali bez księdza i bez niczego. Oburzeni ludzie byli, że zebrania były, spotkania z tymi żołnierzami, którzy strzelali. Nie wiedzieliśmy, ile osób padło wtedy ani nic.

Społeczny komitet budowy pomnika Ofiar Grudnia działał i pojechała nawet jego delegacja do prymasa Wyszyńskiego, jako do honorowego prezesa tego komitetu. Zaczęli gromadzić pieniądze, żeby postawić pomnik. Był też konkurs, żeby wybrać pomniki dla tych poległych. No i powstał jeden taki projekt, ten „1970" Stanisława Gerarda, no i my zbieraliśmy pieniądze, żeby ten pomnik wybudować. Wiesława Kwiatkowska była członkiem komitetu i ona najwięcej działała, żeby jak największe sumy zebrać i żeby ukarać tych, co strzelali.

Długo to trwało. Potem zablokowali nam te pieniądze. Były też represje ze strony rządu — ci, co byli w komitecie strajkowym i ci, co byli w delegacji do prezydenta Mariańskiego, zostali aresztowani i nie wolno było ich do pracy przyjmować jeszcze przez długi czas. Okazało się później, że w nocy ten komitet strajkowy, co był u Mariańskiego, został zlikwidowany, a prezydenta Mariańskiego zawiesili w czynnościach służbowych, tak że zostaliśmy z niczym dosłownie. Zaraz szantaż, groźba ze strony rządu, żeby nas zniszczyć, ale myśmy się nie dali.

15 sierpnia 1980 roku przyszliśmy do pracy, każdy jeden na swój wydział. Stocznia, jak wiadomo, liczyła wtedy 12 tysięcy ludzi. Pracowałem wtedy jako ślusarz wyposażenia okrętowego. Mówiąc szczerze, poszliśmy wtedy na stanowiska pracy, jeden na jednostce, drugi na jednostce, trzeci na jednostce, każdy z wydziału był na jednostce, no i godzina mniej więcej 9.00–10.00, nagle zgasło światło. Nie było energii na statkach, powychodziliśmy na molo, patrzymy, co się stało. A tu idzie tłum robotników, na czele jakiś młody człowiek, którego wtedy żeśmy jeszcze nie znali i coraz więcej ludzi z wydziałów się przyłączało, bo widzieli, co się dzieje. Krzyczeli, że to chyba strajk jest, bo światła nie ma. I idziemy pod bramę główną. Coraz więcej ludzi się tam zbierało i wyszedł wtedy jeden z tych młodych chłopców i mówi, że jest strajk i kto chce iść do domu, niech idzie, a kto chce zostać z nami, niech zostaje. Część załogi, która się bała o swoje rodziny, wychodziła.

Opanowaliśmy bramę główną, zablokowaliśmy drugą bramę, straż przemysłowa nam pomagała, bo ze straży przemysłowej też byli członkami Solidarności. Zostało nas i przyłączyło się do strajku około 8000 ludzi. Wszedł na wózek akumulatorowy Andrzej Kołodziej, młody chłopak, który z Krosna nad Sanem do nas przyjechał. Po prostu przywiózł kilkanaście ulotek, bo on był członkiem Wolnych Związków Zawodowych i to wszystko z Bogdanem Borusewiczem zorganizowali. Kołodziej przyjechał do stoczni nad ranem, był dwudniowym pracownikiem stoczni w Gdyni. Dwa dni robił w stoczni jako spawacz. No i on przyszedł na wydział, przyniósł te ulotki i mówi: „Co, będziecie pracować? Strajkujemy!" I rozrzucił te ulotki między swoich pracowników na wydziale K-2 i przeszli wtedy przez bramę i wzywali: „Chodźcie z nami, strajkujemy!"

Coraz więcej ludzi się gromadziło, a ludzie jeszcze nie wiedzieli, kim on jest. A on stanął na tym wózku i mówi, że jest z Wolnych Związków Zawodowych, z Bogdanem Borusewiczem, nazywa się Andrzej Kołodziej. „Nie bójcie się — mówi — idziemy walczyć o słuszną sprawę, i żeby wszystkie postulaty zebrać, jakie mają stoczniowcy ze wszystkich wydziałów" — w ten sposób powstały te petycje, te 21 postulatów. Andrzej Kołodziej przez 3 dni sam walczył jako jeden z tych organizatorów.

Mieliśmy w stoczni wolną drukarnię. Wolna drukarnia była zamknięta przez dyrektora stoczni, kluczy nam nie chciał dać, ale Andrzej powiedział, że jeśli nie dadzą nam kluczy, to rozbijemy drzwi i wejdziemy na siłę. I weszliśmy na siłę. Ale okazało się, że te maszyny były uszkodzone, bo dyrektor i ludzie z drukarni tak zrobili i wtedy poprosiliśmy na pomoc drukarzy z Gdyni. A oni nam pomogli, ale dużo czasu straciliśmy na naprawę.

Potem obstawiliśmy tę drukarnię swoimi ludźmi, to dyrektor nie pozwolił nam wejść do radiowęzła stoczniowego, ale weszliśmy też. Baliśmy się, żeby te gazy nie eksplodowały, żeby czegoś nie wysadzić w powietrze, żeby ktoś dywersji nie zrobił, bo statki były po próbach. Opanowaliśmy radiowęzeł i mieliśmy już głos. I co? Były z nami kobiety... gotowały w stołówkach i barach. Andrzej Kołodziej widząc, że są wśród nas kobiety, a miały przecież rodziny, chciał je zwolnić ze stoczni, ale delegacja tych kobiet przyszła do komitetu i powiedziała, że chcą strajkować, chcą wygrać — i zostały z nami. Dzięki temu 8,5 tysiąca posiłków było rano i wieczorem rozdawane.

Stocznia miała fundusz socjalny i domagaliśmy się od dyrektora, by ten fundusz przekazał na rzecz strajkujących. Stocznia nasza była zakładem samożywieniowym. Potem się do nas przyłączył port i inne stocznie i my też dawaliśmy posiłki innym. Przez 3 dni Andrzej nie spał, biedak; przez 3 dni sam tym wszystkim zarządzał, bo był przewodniczącym komitetu strajkowego.

17 sierpnia, to była niedziela, delegacja pojechała do księdza prałata Hilarego Jastaka w Gdyni, żeby odprawił mszę św. w stoczni. I zawiadomili wszystkich, że o 9.00 rano będzie uroczysta Msza w stoczni. Odprawiał ks. prałat Jastak. Zrobiliśmy prowizoryczny ołtarz na platformie od przyczepy, ustawiliśmy krzyż, zrobiliśmy zadaszenia, zebrała się stoczniowa orkiestra. Masa ludzi przyszła pod bramę, rodziny strajkujących i tak dalej. Msza się odbyła, rozgrzeszenie dostaliśmy, Komunię św. Była spowiedź powszechna, rozgrzeszenie, Komunia. A nad nami krążyły cały czas samoloty, helikoptery i zrzucały rządowe ulotki, żeby zrezygnować ze strajku, żeby wrócić do pracy.

Sankcje też dyrektor na nas nałożył, że wszyscy zostaniemy zwolnieni, że wyrzuceni z pracy, żeby się jeszcze zastanowić. A jeszcze co, to próbowali zastraszać ludzi na poszczególnych wydziałach przez sekretarzy partii, bo byli wśród strajkujących, ale wtedy Andrzej Kołodziej powiedział, że do godziny 14.00 mają wszyscy sekretarze opuścić stocznię dobrowolnie, bo jak nie, to będą wyrzuceni siłą. Niektórzy wychodzili, niektórych wyrzucaliśmy siłą. Ale oni bali się tego, że każdy z tych sekretarzy musiał stanąć na wózku, przed całym tym ośmiotysięcznym tłumem i powiedzieć, co miał do powiedzenia, ale wtedy byli wyśmiewani, wygwizdywani i wyrzucani z hukiem za bramę.

Dyrektor też chciał rozmawiać z Andrzejem Kołodziejem i Andrzej już miał iść, ale się bał, że ludzie się mogą wystraszyć, jak pójdzie i rozejść się. Kiedy zobaczył, że dyrektor też próbował zastraszyć strajkujących, a oni pospuszczali głowy, to stanął na wózku, przeprosił dyrektora i powiedział, że będziemy jednak walczyć.

Potem poszła pogłoska, że w Stoczni Gdańskiej, która była naszym współpartnerem, strajkujący podpisali umowę, że dostaną po 160 zł podwyżki i że zaczęli wychodzić ze stoczni, że Wałęsa taką umowę podpisał. I wtedy Ania Walentynowicz, Halina Pieńkowska, Joanna Gwiazda i Andrzej Gwiazda powiedzieli, że oni w Gdyni walczą, a wy do domu idziecie? I sprzeciwili się. Niektórzy zaczęli wracać, a niektórzy poszli do domu. A Wałęsa przeskoczył mur i wrócił do stoczni.

Andrzej się bał, żeby nie doszło do takiego rozłamu w Gdyni. I powiedział: „Nie, kochani, my się nie poddajemy. Oni nie chcą strajkować, niech idą do domu, ale my będziemy strajkować. I nasze petycje i nasze 21 postulatów, my będziemy prowadzić dalej." Czwartego dnia strajku, 18 sierpnia, powstał Społeczny Komitet Strajkowy. Z 39 wydziałów stoczniowych, po prostu każdy z tych wydziałów wybrał swojego przedstawiciela do komitetu strajkowego i m.in. ja zostałem z wydziału W-3 przewodniczącym tego komitetu strajkowego. Miałem legitymację 022. Wydział W-3 specjalizował się w ogólnej konstrukcji po-

mników Ofiar Grudnia 1970 roku, to stal nierdzewna. A jeszcze nadmienię, że po wydarzeniach grudniowych mieliśmy do tego pomnika do dyspozycji blachy na 1 cm grube i mieliśmy palnik plazmowy i ten palnik plazmowy ktoś nam zlikwidował. Pamiętam, że dyrektor, chyba Bagiński, postanowił sprowadzić go z Anglii, za 2000 tysiące dolarów czy tam jakoś, 2 miliony? I robiliśmy nim.

Gdy powstał Społeczny Komitet Strajkowy, Andrzej miał ulgę i nie musiał samodzielnie działać. Zbierał się komitet i o wszystkim decydowaliśmy razem. Bo on (Andrzej) już był tak zmęczony, że raz go podstępem zmusili do snu. On nie chodził spać, bo się bał, że jak pójdzie, to się strajk rozsypie. To raz dyrektora na klucz zamknęli, zawołali Andrzeja, kazali mu się przespać na fotelu, żeby się nie bał, bo dyrektor zamknięty. Jedzenie i picie mu donosili i Andrzej kilka godzin się przespał.

Przez cały strajk byłem w stoczni. Nie mogłem skonsultować się z rodziną, bo jakbym wyszedł, to by mnie aresztowali zaraz. Nie mogłem. Żona o mało zawału serca nie dostała. Syn miał 3 latka, byłem cztery i pół roku po ślubie. Mieszkaliśmy na Wieniawskiego, przy Domu Marynarza. Przez kolegów się dowiedziała, że jestem w stoczni, w komitecie strajkowym i nie mogę wyjść.

Uformował się komitet strajkowy, Andrzejowi było lżej. Drukarnia działała. Kilkadziesiąt tysięcy ulotek i wysyłali z nimi kurierów na miasto, potajemnie, nieraz to nawet i karetka pogotowia rozwoziła ulotki. Co robili kurierzy? Po prostu wsiadali rano do kolejki. Na Chyloni jest wagonownia i ustawiane są wagony. Kurierzy rano wchodzili do tych wagonów i zostawiali tam mnóstwo ulotek. A podróżni jak wsiadali rano do tych pociągów, to już mieli informacje, co się dzieje i przekazywali to dalej. To jechało dalej w Polskę. Ludzie w Polsce mogli się dowiedzieć tym sposobem, co się dzieje na Wybrzeżu, bo rząd informował, że to bandyci w stoczni, że demolują sklepy, biją milicjantów — a to nieprawda była, wszystko było pod kontrolą. Myśmy się nie załamali.

Powstał Międzyzakładowy Komitet Strajkowy, ludzie byli już zorganizowani, delegacje z różnych zakładów zjeżdżały do Gdańska na spotkania robocze. Mnie zrobili chorążym sztandaru Solidarności MKZ-tu, wiedząc, że ja byłem chorążym sztandaru Obrońców Wybrzeża z 39 roku. Arcybiskup gdański Marian Przybylski poświęcił ten sztandar przy prezydium.

Zaraz na początku, jak strajk się rozpoczął, to już byłem członkiem Solidarności. Cały czas byłem członkiem komisji zakładowej Stoczni im. Komuny Paryskiej. Dlaczego powstał rozdźwięk taki między Gwiazdą a Wałęsą? Bo Wałęsa nie chciał strajku generalnego, a Andrzej Gwiazda chciał i rozdźwięk między nimi do dzisiaj trwa, że Andrzej Gwiazda i jego żona, Joanna, są z Wałęsą skłóceni. Powstało Wolne Radio Solidarności, którego autorem był Tadeusz Pławiński. Teraz jest w Kanadzie, wyjechał do Kanady z żoną, nauczycielką i dziećmi, elektronik ze stoczni.

Mieliśmy zorganizowaną wartę — taką, że jak coś się działo wokół, podjeżdżały jakieś samochody pod bramę albo jednostki pływające, to na molach stali i pilnowali. Agregatami oświetlaliśmy, jak jakieś samochody podjeżdżały. Zaraz taki, co pilnował, dzwonił do Andrzeja Kołodzieja i było wiadomo. Mieliśmy takie swoje posterunki, paliliśmy ogniska, żeby oni wiedzieli, że my czuwamy. Nie załamaliśmy się, chociaż rząd robił wszystko, żeby nas złamać. Wytrzymaliśmy te 15 dni, do końca strajku, mimo nielicznych wypadów, że rzucali z helikoptera takie pogłoski, ale myśmy się nie dali zastraszyć. I naród się dowiedział, że my nie jesteśmy żadnymi rozrabiakami, tylko że jesteśmy normalnymi robotnikami, którzy walczą, żeby te podwyżki cen żywności zlikwidować.

Gdy Gierek nastał, zarobki były dobre, ale żywność była coraz droższa. On obiecywał pomniki — postawiliśmy dwa, jeden na ul. Czechosłowackiej, a drugi na Al. Piłsudskiego. Zostałem odznaczony przez prezydenta miasta Gdyni medalem Bohaterów Sierpnia 80, jeszcze 290 nazwisk było nas bohaterów.

Cała załoga tworzyła postulaty. Większą część postulatów myśmy w Gdyni napisali, a Gdańsk dokooptował niektóre. Chodziło nam po prostu o lepsze warunki życia. To była walka o byt dla mojej rodziny i dla społeczeństwa.

W czasie trwania strajku najbardziej się bałem o żonę i o dziecko, żeby nie byli represjonowani, żeby nie spotkała ich jakaś krzywda ze strony władz. (Nasz syn nie żyje, zginął tragicznie na Helu w czasie pracy nad filmem kręconym pod wodą, o zatopionym U-boocie.) Koledzy ze stoczni powiedzieli żonie, że zostałem w stoczni, że jestem w komitecie, żeby

się nie bała. Rodziny przychodziły pod bramę. Przynosiły jedzenie itd. Jeśli ktoś przynosił wódkę, to taka butelka od razu przy bramie była rozbijana, nie wolno było ani kropli alkoholu wypić.

Wierzyliśmy, że możemy coś zrobić. Jak nastał Gierek wierzyliśmy, że coś się zmieni, ale tak się nie działo. Kiedy nastał Jaruzelski, nie pozwolił, żeby Solidarność dalej działała. Robili wszystko, żeby zniszczyć nasz związek zawodowy, żeby mu nogi podkładać, żeby nie działał jak należy. Było 10 milionów członków Solidarności, to członkowie PZPR-u wchodzili w nasze szeregi, żeby od środka nas rozbijać. Tak samo Wałęsa, on mówi, że był prezydentem, że przewodniczącym, ale wobec nas, strajkujących stoczniowców, on był negatywnym bohaterem Sierpnia. Dla mnie bohaterem to jest Andrzej Kołodziej. On tu ma na ul. Morskiej siedzibę. Jest po zawale, a to młody chłopak przecież, on ma w tej chwili coś 40 lat.

Byłem pracownikiem stoczni, byłem wierzącym, to wszystko. Nie wychylałem się, nie byłem w podziemiu. Ale jak były jakieś manifestacje czy coś, to uczestniczyłem. Co roku obchodzona jest rocznica 17 grudnia 1970, o godzinie 6.00 jest msza, salwa ku czci pomordowanych stoczniowców — to w takich rzeczach biorę udział.

Moment podpisania Porozumień sierpniowych? To się odbywało w stoczni gdańskiej i tam naszym delegatem był Andrzej Kołodziej. My tutaj mieliśmy w Gdyni radio i telewizor i mieliśmy możliwość uczestniczenia w taki sposób. Po podpisaniu atmosfera była radosna, każdy był szczęśliwy, że udało nam się te 15 dni wytrzymać psychicznie przy tych napięciach. Pogodę mieliśmy bardzo piękną, opalaliśmy się też, cały czas komunikaty szły z Radia Wolna Europa i Głosu Ameryki. Telewizja i radio na bieżąco. Msze — ojciec Ryba. Byliśmy cały czas w kontakcie ze stoczniowcami i portowcami.

Byli tacy, co się wyłamywali, różni byli. Byli tacy, co szli do miasta i próbowali przemycić na przykład alkohol. Ale my powiedzieliśmy na początku: kto chce iść do domu, niech idzie do domu. Ludzie się najbardziej bali tego stanięcia przed wszystkimi na wózku akumulatorowym. Tak się niektórzy bali, że próbowali uciec do Stoczni Marynarki Wojennej przez wodę, ale nie dopłynęli, bo jak nasi stoczniowcy ich zobaczyli, to wysyłali holownik i ich ściągali. A ci, co nam przeszkadzali, to na szafkach im pisaliśmy „łamistrajki". Ja na moim wydziale postawiłem ludzi z opaskami i nie wpuszczali obcych, bo baliśmy się, żeby nam sabotażu nie zrobili. Na innych wydziale też tak było, niemożliwe było, żeby jacyś niepożądani ludzie mieli możliwość robić jakąś dywersję. Każdy wydział przeprowadził potem powołanie swojego komitetu strajkowego i na każdym wydziale były wybory. Komitet miał strukturę. Też była m.in. Wiesia Kwiatkowska — ona walczyła, żeby przed sądem postawić Kociołka, do tego nie doszło, ale ona siedziała 5 lat w więzieniu za działalność.

Gdy zakończył się strajk, nie wychodziłem głównym wyjściem, bo się bałem, że będą stały „suki" i że mogą mnie aresztować. Bo byli wśród nas kapusie i jak się wychodziło po strajku, to oni pokazywali, kto był członkiem komitetu strajkowego i tacy byli od razu aresztowani. Tak, po strajku, byli aresztowani. Bałem się, żeby nie przyszli do domu i mnie nie aresztowali, bo związek już niby był i Porozumienie, ale aresztowania i szantaże nadal były, wciąż były. Ludzie się bali jeszcze. Kiedy wróciłem do pracy, moje kierownictwo było do mnie bardzo przychylnie nastawione, oni już widzieli, że ja nie jestem jakiś rozrabiaka, jakiś buntownik. W czasie strajku dawaliśmy przepustki, jak np. kierownik czy zastępca, chciał iść na 2–3 godziny do domu, dawałem przepustkę. Był taki pracownik w moim wydziale, który dostał naganę od kierownika i kiedy kierownik chciał przepustkę, to ten mu nie dał, chciał się zemścić. Dowiedziałem się o tym i mu wydałem przepustkę. Do dzisiejszego dnia mam szacunek u kierownictwa.

Kierownictwo, mistrzowie, grupowi — oni w większej części byli partyjni, więc nastawienie do Solidarności mieli negatywne. W stanie wojennym ludzie na naszym wydziale wieszali na przykład ulotki podziemne i kierownik mnie wyzwał, bo fama poszła, że to ja rozwieszam te ulotki i byłem posądzany, a to nie ja rozwieszałem. Ludzie pociągami do pracy jeździli, to z pociągów mają, przynoszą i wieszają.

W stosunku do mnie nie wyciągano jakichś negatywnych wniosków. Widzieli, że ja mam pozytywny stosunek do POP, że jeśli w czasie strajku nie dawałem przepustki sekretarzowi, to nie dlatego, że nie chciałem, tylko dlatego, że takie były zasady ustalone przez komitet strajkowy, sekretarze nie mogli wychodzić na przepustki.

Nas było 12 tysięcy ludzi i część tych ludzi była normalnie pozytywnie nastawiona do wprowadzenia stanu wojennego. Na terenie stoczni były 3 związki zawodowe, dwa inne obok Solidarności. Nie podobała im się Solidarność, to sobie zawiązali jakieś inne, społeczne związki zawodowe. Więc część była pozytywnie nastawiona, a cześć negatywnie. My walczyliśmy o wolne związki zawodowe, to jak mieliśmy być pozytywnie nastawieni? Ale kierownictwo na przykład w stanie wojennym chodziło w mundurach, byli pozytywnie nastawieni.

Prowadziłem zebrania wydziału, żeby też kierownicy widzieli, jak jest, żeby też się do naszych petycji dostosowywali. Robiliśmy pomnik na wydziale przecież, to jeden zastępca kierownika nawet pomagał nam organizować stawianie tych pomników. Bo ten pomnik przy prezydium — było bardzo ciężko z jego stawianiem — trzeba było załadować na pontony, przewozić, a ten drugi to na ciągnik, przyczepa i już. Do tego drugiego potrzebny był dźwig na 12 kół, bo ten pomnik był bardzo ciężki, helikopter by nie dał nawet rady.

Z robotnikami, którzy działali w opozycji, to mieliśmy kontakt bezpośredni, spotykaliśmy się, na msze za ojczyznę chodziliśmy... W niedzielę zawsze mieliśmy spotkanie w kościele redemptorystów na Portowej, tam się zbierała podziemna Solidarność, jej członkowie, i za ojczyznę msze były. Oficjalnie utrzymywaliśmy, że nie działamy w podziemiu, ale działaliśmy. Rozpowszechnialiśmy ulotki. Ten pomnik Ofiar Grudnia 1970 przekazałem ojcu Rybie. Na ulicy Portowej w gablotce było moje zdjęcie, no i SB się dowiedziało, ale nie internowali mnie, a moich kolegów internowali.

Ludzie byli nastawieni do tego stopnia, że jednej drugiego strzegł, jeden drugiemu pomagał. U nas w kościele była pomoc dla rodzin internowanych i prześladowanych. Ja też prosiłem naszego proboszcza, żeby temu dał, temu dał, że żona z dziećmi bez środków do życia została, więc tym ludziom pomagałem. Pomagaliśmy żywnościowo i pieniężnie też. Była taka sytuacja, że członek Solidarności lubił wypić i pił, więc kierownik chciał go zwolnić, a on miał czworo dzieci. Jego żona do mnie przychodziła, bo on dostawał wypłatę i w 3–4 dni to przepijał. Kierownik chciał go dyscyplinarnie wyrzucić i ja poręczyłem za niego swoją głową. Ale powiedziałem mu, że poręczyłem za niego i on dzięki mnie nie wyleciał, więc teraz ja będę odbierał jego wypłaty i przekazywał jego żonie, bo ona jest bez środków do życia. „Ty będziesz z tej wypłaty na piwo dostawał, resztę ona." I tak robiłem przez rok. I ten chłopak się tak przez ten rok poprawił, do dzisiaj jeszcze żyje i jak mnie spotka, to nie wie jak dziękować i jego żona też. Ona była taka szczęśliwa, jak ja jej te pieniądze z jego pensji zanosiłem, że ktoś się nią wreszcie zaopiekował. Bo ja mam wielkie serce.

Baliśmy się wszyscy, bo w każdej chwili mogła wejść milicja, pobić nas, aresztować, ja zresztą byłem 48 godzin w areszcie w Wejherowie za działalność solidarnościową. Na wieść o zaginięciu księdza Popiełuszki poszliśmy do ks. prałata Jastaka, żeby wystosować petycję o uwolnienie księdza Popiełuszki. Między nami był chyba jakiś kapuś, przyszli do domu, krótko przed 30 kwietnia, bo wtedy są imieniny Mariana, i na oczach syna zabrali mnie.

50 lat przepracowałem w jednym wydziale, bez nagany, bez upomnienia, bez niczego. Mam masę dyplomów, wzorowy robotnik, odznaczony złotym krzyżem zasługi, platynowym krzyżem, jeden z najdłużej pracujących w stoczni pracowników. Bo ja jestem przemyślanin. Przemyślanie to każdego przyjmą jak członka rodziny, serdeczność taka jest. Między nami taka sama serdeczność jest, jak się spotykamy z działaczami Solidarności, niektórzy żyją, niektórzy już pomarli. Jak brat z bratem. Nie ma między nami jakichś, co by strachali się... Łamistrajki — takich to od razu odrzucaliśmy. My wiemy, co to za ludzie są.

Na Jasnej Górze jako wotum składaliśmy miniaturę pomnika Ofiar Grudnia. Sześć razy z Torunia na Jasną Górę z pielgrzymką Solidarności szliśmy. Kilkanaście razy nas zatrzymywali, nie baliśmy się. Solidarność do dnia dzisiejszego między nami jest, jak się spotykamy, to wspominamy to wszystko. Masę moich pamiątek przekazałem Andrzejowi Kołodziejowi.

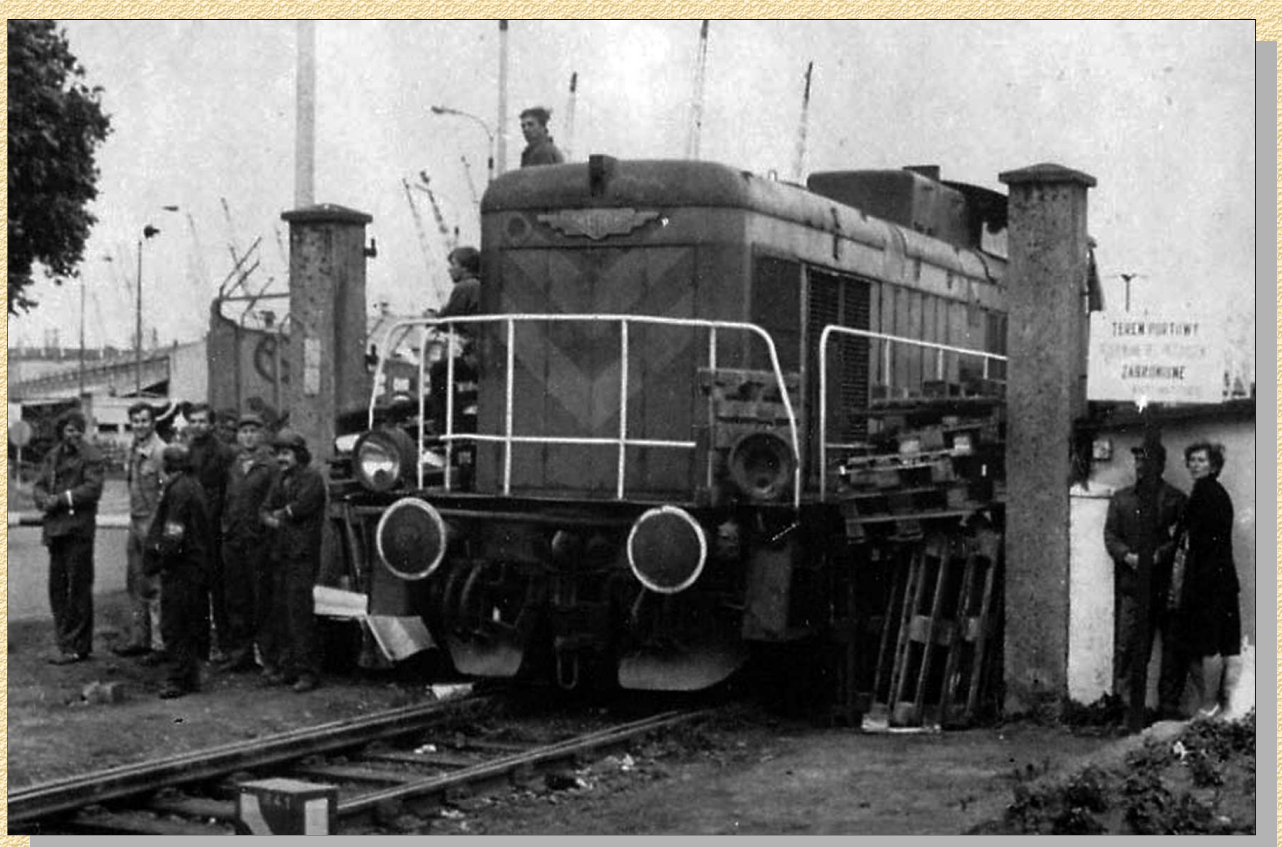
Dzisiaj są działacze Solidarności, którzy mają ciepłe posadki, którzy są w rządzie — Rulewski, Lis, Frasyniuk na przykład — a o działaczach innych, o rodzinach ofiar nikt nie pamięta. Oni mówią, żeby im społeczeństwo pomagało. A ci działacze dawni mają małe renty, umierają z głodu, dosłownie umierają. Kilka przypadków na Wybrzeżu tu było. Ich

działalność w latach 70–80 była bardzo duża, a w tej chwili są żebrakami. Są też ludzie, którzy ofiarnie pomagają, ale ci, którzy mogą zawalczyć o działaczy Solidarności (którzy nie mają na życie), to oni nic nie robią, tak się zachowują tak, jakby nigdy działaczami Solidarności nie byli.

Obecnie mam chorobę zawodową, słabo słyszę. Mam pierwszą grupę niepełnosprawności, więc emeryturę mam względną.

Gdy patrzę na te wydarzenia z dzisiejszej perspektywy, to uważam, że nie robiliśmy tego wszystkiego na darmo. Zyskaliśmy te związki zawodowe, troszeczkę zrozumienia społeczeństwa dla nas, ale na przykład w 21 Postulatach walczyliśmy o wolne soboty, a ich nie ma, bo ludzie pracują w soboty. Harują w soboty i niedziele, zamiast iść do kościoła, bo nie są w stanie wyżywić rodziny, w dodatku za marne grosze pracują. Masa ludzi wyjeżdża, nie ma po prostu w kraju dla nich roboty, a powinna być. Stocznię rozwiązali, a my przecież byliśmy jedną z największych stoczni w Europie, w świecie, największą po Japonii. Budowaliśmy statki dla prawie wszystkich krajów świata. Najwięcej dla Niemców. Stocznia Gdańska istnieje, ale tak aby, aby.

Co my mamy z tego Sierpnia 80? Nic nie mamy. Rozbili nam to, co najważniejsze było: jedność w narodzie. Na Śląsku Duda walczy o wybór na prezydenta. Zamiast go poprzeć, to oni go nie popierają, nie wiem dlaczego. Gdzie jest solidarność? Solidarność międzyludzka powinna być. Powinni go poprzeć, żeby były wolne soboty, żeby młodzi nie wyjeżdżali. Szkoły, studia kończą i gdzie mają jechać? Bo tam mają pracę.



Andrzej Szczerba — ur. 29 listopada 1942 r. W Radomiu. Od 1945 roku mieszka w Gdyni. Pochodzenie inteligenckie. Ukończył I LO w Gdyni. Studiował na Wyższej Szkole Ekonomicznej w Sopocie ekonomikę portów. Po studiach w 1967 roku podjął pracę Zarządzie Portu w Gdyni. Uzupełniał studia na Uniwersytecie w Antwerpii na kierunku Administracja i Eksploatacja Portów. Potem ukończył podyplomowe studia managerskie, organizowane przez Uniwersytet. W roku 1980 rozpoczął doktorat na Wyższej Szkole Ekonomicznej w katedrze portów. Przerwał z powodu strajków. Związek małżeński zawarł w 1969 roku, dwoje dzieci. Wyznania protestancko-ewangelickiego. Żona katoliczka. Świadek wydarzeń grudniowych 1970 roku w Gdyni. Popierał strajki sierpniowe. Po strajkach 1980 roku wstąpił do Solidarności, członek Komisji Zakładowej. W 1995 został dyrektorem od spraw handlowych. 17 lat temu przy współudziale wspólników utworzył firmę znaną na rynku. Wspólnie z dziećmi pracuje na własny rachunek.

Przed wojną ojciec pracował w Gdyni, w firmie spedycyjnej, nie pamiętam nazwy. Został wysłany jako przedstawiciel spedycji firmy Społem na obszar Zaolzia, skąd pochodził, dla organizowania współpracy z ciężkim przemysłem, który był na terenie Zagłębia Ostrawsko-Karwińskiego — huty, kopalnie, drutowanie i tym podobny asortyment. To był też czas, kiedy Zaolzie było przejęte ponownie od Czechów. Była to umowa między ówczesnymi władzami o przejęciu przez Polskę rdzennych ziem polskich, by nie dostały się w ręce Niemców. Mówię o rdzenności, bo moja rodzina ma udokumentowaną w archiwach 300-letnią historię, jako polska rodzina.

Na Zaolziu tato się ożenił w czasie okupacji niemieckiej z Polką z tamtego obszaru. Wkrótce po zajęciu przez Niemcy tego obszaru, w tempie błyskawicznym rodzice przenieśli się do Radomia, gdzie ojciec miał jakieś układy. Nie chciał być wcielony do armii niemieckiej. Po wojnie natychmiast koledzy go ściągnęli na Wybrzeże, chyba w kwietniu 1945, kiedy miałem już 3 lata. Z rodzicami na węglarce przybyliśmy na Wybrzeże. Jak rodzice wspominali — dwie walizki i to było wszystko. Od tego czasu nieprzerwanie mieszkam w Gdyni, w różnych dzielnicach.

Rodzice byli zagorzałymi Piłsudczykami, nazwijmy to w ten sposób. Odziedziczyli to po swoich rodzicach. Matka przed wojną była nauczycielką na Zaolziu. Po włączeniu szkół do macierzy — czyli do Polski — wychowywała dzieci, które uczyła w duchu polskiego patriotyzmu. Ojciec był ekonomistą, matką nauczycielką po szkole średniej. To była rodzina inteligencka. Ja poszedłem po stronie ojca, nie tylko wykształceniem, ale i pracą zawodową.

Potem ojciec, jak wrócił po wojnie, od razu poszedł do firmy spedycyjnej — w Gdyni. W każdym razie bardzo szybko awansował i został wysłany na obszar Zaolzia jako oficjalny przedstawiciel żeglugi, kolei i portów. Przebywał tam chyba ze dwa, trzy lata na tym przedstawicielstwie. Potem słuch o nim zaginął — nie było ani telefonów, ani nie odpowiadał na listy. Potem się okazało, że został zgarnięty przez prawdopodobnie Urząd Bezpieczeństwa — i co w tym czasie, przez trzy miesiące się działo — nigdy rodzice nie chcieli o tym mówić, ani jak byłem dzieckiem, ani później. Nie wykluczam, że miał jakieś problemy polityczne — ze strzępków słów dochodziły do mnie sprawy, takie jak — że był polskim szowinistą w Czechach i że jako przedstawiciel Polski w Czechach nie miał socjalistycznego i internacjonalistycznego ducha. Ojciec znał chyba ze 4–5 języków obcych. Uczył się — tam było w oświadczeniu — na szkodę ludowego państwa polskiego. Od dziecka nie mogłem być wychowywany w innym duchu, tylko w patriotycznym i antysystemowym.

Pamiętam też taki epizod, który wpłynął na to, że byłem antysystemowy. W szkole — jak już byłem uczniem — przyszła milicja i obiecywała, prosiła nas uczniów, że dostaniemy cukierki, jeżeli doniesiemy, powiemy im, w których domach przetrzymuje się broń. My dzieci w lesie mieliśmy kryjówkę — tam były granaty, itd. Wzięliśmy z naszej kryjówki te nasze granaty, założyliśmy hełmy i poszliśmy na milicję, bo przecież mieli dać cukierki. Nie dali cukierków, dali nam w d... Rodzice nie przyszli wieczorem, a rano. Ojciec przyszedł po mnie i powiedział — „nigdy więcej nie wierz milicji". Nie zbił mnie, jak moich kolegów zbili ich rodzice.

W konsekwencji po powrocie z Zaolzia ojciec miał zakaz pracy w gospodarce morskiej, w żegludze, portach. W podobnej sytuacji znalazł się profesor Andruszkiewicz, z którym razem pracowali, jak „Społem" w „Hartwig" się przerodziło. Obaj pozbawieni zostali pracy — jako element wrogi państwu socjalistycznemu. Ojciec pracował jako podrzędny referent. Po długich miesiącach, gdzie żadnej pracy nie mógł dostać, wreszcie załapał się na referenta. W dzieciństwie mówił — tak to pamiętam — że nie chce być pasożytem, że musi pracować. Pracował w Gdańsku w zakładach mięsnych jako referent. W 1956 profesora Andruszkiewicza obsadzono jako dyrektora w Porcie Gdynia. On ściągnął mojego ojca. Była nadzieja, że coś się zmieni. Dokładnie to pamiętam.

Pamiętam jeszcze jeden epizod, który wpłynął na mnie. W latach 50-tych koledzy ze starszych klas, chyba z 11, zgarnęli mnie ze sobą. Dali mi gwizdek i nakazali, bym gwizdał, jak się ktoś pojawi. Zostawiali mnie w jakimś miejscu, a jakby ktoś przechodził, to miałbym gwizdać, a oni znikali. Następnego dnia dowiedziałem się, o co chodziło. Na szkole, na ogólniaku namalowali różne antypartyjne hasła. To było moje kolejne doświadczenie patriotyczne. Uczestniczyłem bezwiednie, nie wiedząc w czym. Jak się dowiedziałem, to byłem bardzo zadowolony.

Dopóki ojciec był na stanowiskach w „Hartwigu" i placówce w Pradze, to matka nie pracowała. Powodziło się nam, jak na tamte czasy, bardzo dobrze. Po ojca przyjeżdżał samochód. Mieliśmy panią, która prace domowe wykonywała. Była pomoc domowa. Świadczy to o statusie materialnym.

Gdy ojciec stracił pracę, to żyliśmy cholernie biednie i cholernie skromnie. Do dziś pamiętam, że nawet jak już byłem w ogólniaku, na ogół miałem ubrania po kimś. Rodziców nie było stać na to, by coś kupić. Matka w tym ciężkim czasie poszła też do pracy. Nie mogła być nauczycielką, poszła do jakiejś biurowej pracy, podrzędnej w administracji.

Byłem jedynakiem. Ożeniłem się w roku 1969 r.

W roku 1970 r. miały miejsce słynne zajścia w Gdańsku i Gdyni. Pojechałem do Gdańska, by zobaczyć, jak to wygląda. Następnego dzień na własnej skórze przeżyłem to w Gdyni, gdzie ówczesny Kociołek, sekretarz komitetu wojewódzkiego, wzywał do pracy. W związku z tym poszedłem piechotą do pracy. Autobusy nie jeździły. Ulica Świętojańska była zastawiona, więc poszedłem ulicą dzisiejszą Piłsudskiego w kierunku morza, po bulwarze. Tam było ich pełno — nie pamiętam już, czy wojska, czy milicji, czy ZOMO. Wszystko przed nimi uciekało, a ulice boczne zastawione. Nie było gdzie uciec. Część tłumu, która nie zdążyła się pochować po bramach czy po biurach, doszła, a ja z nimi, do placu przed Urzędem Miejskim w Gdyni. Spotkałem tam kolegę ze studiów. Śmialiśmy się, że marnują ślepaki. Do czasu, jak zobaczyliśmy, że koło nas jeden padł, potem drugi. Wtedy dostaliśmy zwykłego, ludzkiego strachu. Na szczęście matka tego kolegi mieszkała tuż przy Urzędzie Miejskim. Uciekliśmy w ostatniej chwili przed goniącymi nas zomowcami do klatki schodowej, z nami jakieś inne osoby. Ten kolega miał klucz do bramy, zamknął bramę. My do mieszkania matki kolegi i zza firanki obserwowaliśmy rozwój wydarzeń. To było kolejne doświadczenie 1970 r. W Gdańsku było już po wszystkim, jak tam pojechałem, a w Gdyni wielki strach. Do tego stopnia, że jak później przechodziłem przez plac, miałem bardzo niesympatyczne wrażenie. Zdawałem sobie sprawę z tego, że tak jak ci wszyscy padli, tak i mnie mogło to spotkać. Miałem to szczęście, że nie we mnie celowano. A strzelano jak do kaczek. Nie pod nogi. Kolejne bolesne doświadczenie, które wpłynęło na to, że byłem anty.

W życiu nie zapisałem się do żadnego PZPR czy stronnictwa demokratycznego. Namawiali mnie: „podpisz, bo chcemy cię jako kierownika obsadzić". Odpowiadałem, że jeżeli chcecie obsadzać, to obsadzajcie, a ja niczego nie podpiszę. Mówiłem to głośno, a nie w duchu po kątach. Z tego powodu, ówczesny sekretarz, a kolega mojego kolegi powiedział mi

wprost: „Andrzej, jeżeli jesteś, jaki jesteś i nie zrehabilitujesz się, to nigdy żadnego kierowniczego stanowiska, nawet kierownika sekcji mieć nie będziesz." I tak było. Nie miałem za co kochać tej władzy.

Pracowałem w Zarządzie w Porcie Gdynia. Najpierw przed studiami przez rok, potem wszystkie praktyki na wszystkich studiach, kierunek ekonomika portów. Po studiach w 1967 roku ponownie powróciłem do pracy w porcie. Pracę dyplomową pisałem na temat portu Gdynia.

W latach 1961–1967 studiowałem na kierunku dziennym magisterskim. Studiowałem w Wyższej Szkole Ekonomicznej w Sopocie. Wcześniej kończyłem I LO na Orłowie.

Uzupełniałem wykształcenie. Na trzy miesiące zostałem z kolegami wysłany do Antwerpii, gdzie uczestniczyliśmy na wykładach i ćwiczeniach na Uniwersytecie Antwerpskim na kierunku Administracja i Eksploatacja Portów. Jednocześnie różne praktyki w przedsiębiorstwach portowych. Miałem wtedy 50 lat. To musiał być 1992/1993, na przełomie roku. Potem ukończyłem podyplomowe studia managerskie, organizowane przez Uniwersytet. Rozmaite, przeróżne kursy do tego.

Rozpocząłem też doktorat na Wyższej Szkole Ekonomicznej w katedrze portów. Nie skończyłem. Był ostatni rozdział i wybuchła Solidarność, więc rzuciłem to. Zaangażowałem się w kierunku budowy i odnowy naszego społeczeństwa. Nie było na to czasu. Potem, jak chciałem kontynuować, to stwierdziłem, że konteneryzacja idzie w tak piorunującym tempie, że 90% moich przemyśleń i rozwiązań, które w pracy zawarłem, nadają się już tylko do historii. Wtedy próbowałem od początku wszystkiego, ale znowu nie było czasu — znowu stan wojenny, znowu inne czasy, inne warunki. Zabrakło determinacji i sensu. Robiąc doktorat robiłem go na zasadzie, że może jak zrobię doktorat, to zaczną mnie cenić. Tymczasem doszedłem do wniosku, że mimo doktoratu, jako antysystemowy, nie mogę na nic liczyć. Nie mogłem wziąć legitymacji, a myśleć po swojemu, mnie to psychicznie nie odpowiadało. Żona mnie w tym wspierała. Aczkolwiek wielokrotnie bała się. Szczególnie o sytuację, co z dziećmi, jak mnie stanie się krzywda.

Żona, ja i dwójka dzieci — syn i córka. Córka była starsza, urodziła się w 1970 r. w rocznicę ślubu, syn po 7 latach. Żona wzięła ze mną ślub w momencie, jak kończyła studia na Akademii Medycznej w Gdańsku. Po skończeniu studiów urodziła córkę i przez trzy lata nie pracowała. Była dentystką. Dla lekarzy dentystów wtedy było bardzo ciężko o pracę w Trójmieście. Kierowali wszystkich na wioski. Dostała pracę w Bolszewie za Wejherowem, gdzie musiała 30 minut pociągiem, a później 30 minut pieszo. Dopiero po latach udało się załatwić jej pracę w szkole w Rumi, potem w Gdyni. Żyło się nam biednie. Pensje lekarzy — nie mieliśmy prywatnej praktyki — były głodowe. Moja pensja to były śmieszne pieniądze. Dzieciaki, tak jak ja, miały ubrania po kimś.

Mieszkaliśmy w mieszkaniu, które było matki. Ojciec zmarł, jak byłem na pierwszym roku studiów. Było to ładne, słoneczne, dwupokojowe mieszkanie z kuchnią, łazienką, w blokach, spółdzielcze. Nie było żadnych szans, bym dostał mieszkanie z tzw. przydziału, z oczywistych względów, nie pasowałem do systemu, co też mnie oficjalnie mówiono, ja i tak, że się nie zapiszę. Jeden pokój matka wydzieliła dla nas. Drugi pokój miała dla siebie. Po latach udało się to mieszkanie zamienić, z pewnymi finansowymi dodatkami, na dwa mieszkania. Jedno mieszkanie — pokój z kuchnią dla matki i drugie, dwa pokoje z kuchnią dla nas.

Jestem protestantem-ewangelikiem. W dzieciństwie były nieprzyjemne sytuacje, które tonowali nauczyciele. Miałem nieprzyjemną rozmowę z katolickim księdzem, który próbował mnie przekształcić na katolicka. Ja mu powiedziałem, że jeżeli jest 300 lat historii wiary ewangelickiej, to się nie wyłamię. I tak ożeniłem się z katoliczką, a zostałem przy swojej wierze. Wszyscy znajomi odnosili się z szacunkiem. Wiedzieli, że jestem z Zaolzia i z rodziny z tradycjami. Było to dla nich naturalne. Z żoną była taka umowa, że jeżeli pierwsze dziecko będzie dziewczynką, to będzie to katolik, późniejsze dzieci też, jeżeli syn, to ewangelik i inne dzieci też. Nie było żadnych zgrzytów w rodzinie.

Z reguły, jeszcze w LO, nie chodziłem na pochody, a z grupą kolegów mieliśmy ambicję pokazać się na pochodzie, jak się zbiórka odbywała i iść się wykąpać na Orłowie w morzu, niezależnie od pogody. Potem w czasie pracy, gdy nie uczestniczyłem w pochodach. Któregoś dnia, po kolejnym przemarszu, kierownik mnie przywołał i powiedział: „Panie Andrzeju, chciałbym panu kolejny raz dać podwyżkę, ale nie mogę, bo pan jest anty, nie

pozwolą mi na to." Na drugi raz już poszedłem, ale byłem chyba jeden albo dwa razy, a potem korzystałem z tej samej formy, co w czasie ogólniaka — pokazałem się, że jestem, ale nie uczestniczyłem. W czasach LO w szkole mówiłem, że idę z harcerzami, a u harcerzy mówiłem, że muszę iść ze szkołą. Byłem kryty. Dawało mi to pewną satysfakcję.

To nie wiara miała wpływ na moje życie. Podstawowe znaczenie miało wychowanie, jakie odebrałem, jak również wewnętrzne przekonania i literatura, którą zachłannie czytałem — oficjalna i ta, która nie była powszechnie obecna. Szczególnie różne patriotyczne książki z okresu międzywojennego, które udało się przechowywać mojej ciotce.

Wielokrotnie byłem za granicą — służbowo i prywatnie — zarabiałem na życie. Przed urodzeniem się syna, ponieważ nie było pieniędzy, a robiłem doktorat, wybrałem się na wycieczkę po terminalach kontenerowych, na temat których kończyłem doktorat, by to ugruntować. Miałem propozycję pracy, odmawiałem. Wracałem zawsze do kraju. Nie miałem tych ciągotek żadnych, a wręcz za dyshonor to uważałem. Mimo że było mi bardzo ciężko finansowo. W pierwszej kolejności byłem Polakiem.

Przed strajkami nie miałem kontaktów z opozycjonistami. Właściwie starałem się być anty, ale apolityczny. Miałem kontakt z nielegalnymi wydawnictwami — w formie książek i gazet, gazetek. Nie angażowało mnie to, w sensie czynnym.

Wtedy podziwiałem takie postacie, jak Michnik i Kuroń. O Wałęsie wtedy mniej się słyszało. Te dwa nazwiska, plus Modzelewski, to mi utkwiły w pamięci. Nawet pamiętam, byłem na tajnym spotkaniu z Kuroniem, gdzie wygłosił tezę, która mi się szalenie podobała. Mowa była: „Nie palcie komitetów, zakładajcie własne", mnie to szalenie zaimponowało.

Z nostalgią wspominam dawne czasy. Oficjalnie mówię, że nie o to, co jest, nadstawiałem kiedyś głowę. Nie kryję się z takim poglądem. Inaczej to sobie wyobrażałem. Byłem zbyt wielkim idealistą i optymistą.

Pracowałem w Porcie, byłem na stanowisku specjalisty do spraw rozwoju portów. W komórce dwuosobowej. Była ona utworzona w konsekwencji polecenia NIK-u, że port nie posiada takiej komórki, która by się zajmowała rozwojem. Pracowałem z patriotą portowym, inżynierem. Obsadzono nas w roli osób inspirujących tematykę rozwojową portu. W tym czasie, jak rzuciłem się w tę działalność, zaczęły się strajki.

Ponieważ szereg osób, nawet na tzw. rejonach wiedziało, jakie jest moje nastawienie, a dyrekcja nie strajkowała, a ja pracowałem w dyrekcji, z ciekawości — ile jest prawdy w tym, co mówi oficjalna propaganda, a co mówią ludzie — chciałem się dostać do portu, do serca wydarzeń. Zatrzymano mnie na bramie, jak chciałem przejść. Powiedziałem im, że nie byłem nigdy partyjny. Jakiś facet na bramie powiedział, że mnie zna, że nie byłem partyjny. Zabrali mnie do jakiegoś pomieszczenia — powiedziałem im raz jeszcze, że nie jestem partyjny, że jestem po to, by się przekonać, jak to wygląda i później dać sprawozdanie dyrekcji, jak to wygląda. Wpuścili mnie. Poszedłem z jednym z robotników po porcie — zobaczyłem, jak to wygląda — jak jedzą, jakie są nastroje, itd. Wróciłem, powiedziałem w dyrekcji, że byłem, a nikt o tym nie wiedział. Opowiedziałem im o tym.

W porcie — ludzie niezbyt czyści, rozpolitykowani, nieogoleni — robotnicy. Nie bardzo mogłem zrozumieć odzywki typu — „bo wam tam w dyrekcji jest dobrze", „my tu głodem przymieramy". Tłumaczyłem im, że ja też nie mam dobrze, że moje dzieci też ubranek nie mają. Oni nie chcieli tego słuchać. Odrzuciło mnie to w pierwszej chwili. Potem przemyślałem to sobie — to są zwykli ludzie, mówią to, co myślą. Gdzie się mają przebrać, jak nie mają koszuli? Gdzie się mają ogolić i czym? Po kilku dniach te refleksje.

Po podpisaniu porozumień natychmiast rzuciłem się w wir tworzenia rad. Dałem sobie za zadanie uświadamianie ludziom rzeczywistości z punktu widzenia obiektywnego i historycznego, a nie z tego, że my robotnicy, a wy urzędnicy. Bardzo szybko przekonywało to ludzi. W szybkim tempie, jak doszło do powstania rad pracowniczych, byłem w powszechnym głosowaniu, najwięcej głosów dostałem — zostałem przewodniczącym rady w porcie. To była funkcja wyłącznie społeczna. Pierwsze przymiarki do powstania rad pracowniczych — początki tworzenia, zostały przerwane przez stan wojenny.

Natychmiast jak była zgoda na tworzenie związków — Solidarności — natychmiast zgłosiłem się jako kandydat na członka. Były problemy natury zawodowej. Tłumaczono mi, że ja człowiek z dyrekcji i idę do Solidarności, gdzie jest działalność antyinteligencka, a ty idziesz z nimi. Ja im, że większość rewolucjonistów, to byli szlachcice i inteligentni

ludzie, którzy przez swoją działalność chcieli kształtować ruch. Nieprzyjemności nie miałem. Pracowałem w biurze rozwoju, a chciano mnie tam obsadzić na jednym z rejonów jako zwykłego pracownika. Nie chciano mnie wypuszczać poza biuro, bym nie miał wpływu na ludzi w terenie.

W czasie Solidarności byłem w Komisji Zakładowej, byłem w grupie Komisji Uchwał i Wniosków. Na podstawie dyskusji nad różnymi problemami, formułowaliśmy opinię, uchwały, które oddawano pod dalszą dyskusję, aż do uchwalenia przez całe gremium. Przez cały czas trwania pierwszej Solidarności aktywnie w tym uczestniczyłem. Wybrany zostałem do Komisji Zakładowej, potem w ramach Komisji Zakładowej zostałem wybrany do Komisji Uchwał i Wniosków. To była też funkcja społeczna.

Przed wybuchem stanu wojennego, do ostatniej chwili, chyba do godz. 23 uczestniczyłem w posiedzeniu komisji zakładowej Solidarności, której byłem członkiem. Debatowaliśmy nad różnymi rozwiązaniami. Ponieważ już długo debatowaliśmy, a następnym dniem była niedziela, więc zdecydowaliśmy, że idziemy się wyspać, a rano znów się spotkamy, by kontynuować wybory zastępczego komitetu strajkowego — na wszelki wypadek.

Kilku kolegów, w drodze do domu czy z domu, Bezpieka zgarnęła do ośrodków internowania. Rano jak się obudziłem, włączyłem TV, zobaczyłem Jaruzelskiego i komentarze. Wiedziałem, że nie ma po co do portu iść, bo się nie dostanę. Była zima, śnieg — wziąłem sanki, dzieciaki i poszliśmy do lasu. Na rogatkach widzieliśmy czołgi opancerzone, transportery, wojsko, ZOMO. Pytali się mnie i pytali: „A obywatel dokąd?" — Do lasu, na sanki.

Jak wróciłem, to wszystkie wydawnictwa, książki, które były z czasów Solidarności, wyłożyłem na wierzch, przygotowałem maszynkę do golenia — jak przyjdą, to niech mi nie przewracają, niech zabiorą wszystko, co mam i mnie. Na szczęście nikt nie przyszedł i mnie nie zgarnął. Cieszyłem się z tego, bo do dziś nie wiem, jak bym zareagował. Udało się bez aresztowania i bez internowania. Nie miałem charakteru bojowego.

W tym czasie nie mogłem w porcie żadnych funkcji zajmować — nawet kierownika sekcji. Dopiero po 1990 zaproponowano mi objęcie funkcji, które przyjąłem. Po już po wznowieniu Solidarności.

W czasie stanu wojennego zajmowałem się wożeniem latającej biblioteki — groziło to zabraniem auta. Byłem łącznikiem pomiędzy portem a Wyższą Szkołą Morską. Takich łączników było wtedy między różnymi zakładami wielu. Nie o wszystkich nawet człowiek wiedział. Spotkałem kiedyś na ulicy koleżankę, która przedstawiła mnie koleżance, z którą szła. Po cichu powiedziałem, że walczę z komuną — zapytała, czy mam dostęp do ulotek. Powiedziałem, że nie. Zaprosiła mnie, bym wpadł do jednej z jej koleżanek — dała mi tam dostęp do ulotek i namiary na inną koleżanką. Od niej brałem ulotki i roznosiłem je dalej.

Jeżeli chodzi o książki, to jedna z pań podjęła się prowadzenia latającej biblioteki — książki trzymało się jako bibliotekę i wypożyczało się zaufanym osobom. Dostarczało się nowe pozycje. Namiastka latającego uniwersytetu. Na zasadzie samokształcenia. W oddziale bibliotecznym wypożyczało się te książki. Powielało się je wcześniej. Była też zasada — przeczytałeś coś ciekawego, to przynieś, by i inni przeczytali, podziel się. Ryzyko było szalone. Biblioteka była prowadzona przez panie bezpośrednio w dyrekcji Zarządu Portu. Przechowywane były w miejscu, gdzie nikomu nie przyszłoby do głowy, że może coś się tam położyć. Dostarczałem książki, ale nie było to regularne, to było okresowe na zasadzie „Andrzej, wpadnij na kawę" albo „co tam słychać u ciotki, masz jakieś nowe wieści?" — to była zabawa w konspirację. Dostawałem sygnał i jechałem. Również dostawałem ulotki od różnych osób bezpośrednio z portu i roznosiłem je dalej. „Tygodnik Mazowsze", „Robotnik" — z inklinacją PPS, plus jeszcze coś tam.

Większą ilość bibuły trzymałem w samochodzie po odebraniu serii — miałem wtedy malucha — a nie w domu. W maluchu był bagażnik wypełniony wszystkim, więc łatwo było ukryć tę bibułę między tymi sprzętami do naprawy malucha. Miałem szczęście — pamiętam takie zdarzenie — to były czasy, kiedy ja szereg lat pracowałem w porcie, a wielu kolegów poszło do partii i awansowało na dyrektorskie i kierownicze stanowisko. Raz spotkałem kolegę i miałem całą bibułę przy sobie. Przekładając z ręki do ręki, wypadło mi wszystko. Rozsypało się. Kolega do mnie: „Andrzej, pozbieraj to szybko, ja nic nie widziałem". Nie dość, że był dyrektorem, to jeszcze partyjny. Zachował się jednak jak człowiek.

Szczególnie zapamiętałem okres, kiedy w Solidarności zaczęły narastać problemy „nie matura, a chęć szczera". Wywołało to we mnie odruch jakiegoś takiego sprzeciwu, który się źle dla mnie skończył. Zgrzyt nastąpił także kolejny, gdzie ważyły się losy ustawy o portach. Byłem jej zdecydowanym przeciwnikiem, ustawy w kształcie proponowanym pod zarządem państwowo-miasto. Byłem zwolennikiem autonomii. Dzisiaj widać, że ten zarząd wspólny Skarbu Państwa i miejski jest garbem powszechnie odczuwanym. Narobiłem sobie przeciwników. Nie wystąpiłem jednak z Solidarności.

W latach 90. zostałem dyrektorem handlowym w jednym z zakładów portu. W tym momencie uznałem, że nie mogę powtórzyć tego, że byłem wcześniej w Komisji Zakładowej i jednocześnie być szefem Rady Pracowniczej, bo to kolidowało. Nie mogę być jednocześnie działaczem związkowym i dyrektorem, bo dla mnie się to kłóciło. Zawiesiłem swoją działalność w Solidarności, ale się nie wypisałem. W którymś momencie zakład się rozleciał, w którym pracowałem. Powiedziałem sobie, że nie pójdę na pracownika młodszego jak wielu innych, a że spróbuję coś zrobić na własną rękę. To był czas, kiedy nie było pracy w porcie, nie było ładunków, zwalniano ludzi. Ja zdecydowałem, że będę robił ładunki — wszyscy się w głowę pukali, co ja będę robił, jak nie ma przeładunków. Ale ja tylko to umiałem robić. Utworzyłem spółkę swoją, wziąłem ludzi. W tym momencie zapytali się, czy chcę być w Solidarności, ja powiedziałem, że jestem w zawieszeniu. Oni do mnie, że za długo jestem w zawieszeniu. Ja do nich, żeby oni zdecydowali. Wykreślili mnie. Dziś jak na to patrzę, to mogłem dalej należeć.

Dzisiaj żałuję zmarnowanego doktoratu, że ja i moja rodzina cierpieliśmy biedę. Córka ostatnio mi powiedziała, że nie wspomina tego źle, że chodziła w sukience po kimś. Podbudowała mnie trochę.

Na własne życzenie się nie zapisałem do partii — były wnioski już wypełnione za mnie — tylko do podpisu, a ja się nie zdecydowałem. Nie zapisałem się do partii.

Popierałem porozumienie „okrągłego stołu" z euforią, z potężną nadzieją. Z przekonaniem, że to się musi udać. Nie miałem żadnych obiekcji. Wychodziłem z założenia, że „diabła można obalić tylko z diabłem". Nastawienie moje było dokładnie takie. Nieważne, skąd przychodzisz, ale co robisz.

Wielu członków partii przystąpiło do Solidarności, nie wychodząc z partii. Bardzo wielu takich porządnych ludzi było, którzy byli w partii, czy dla pieniędzy, czy z przymusu. Uczestniczyłem w czerwcowych wyborach. Nie wyobrażałem sobie, by nie uczestniczyć. Tym bardziej, że przez lata całe nie uczestniczyłem.

Jestem zadowolony, 6–7 lat temu spłaciłem swoich wspólników — był to okres, kiedy mieliśmy wyjątkowo duże zyski za ostatnie dwa lata. Uczestniczyliśmy w budowie głębokowodnego kontenera w Gdańsku. Zaproponowałem wspólnikom, że dostaną wszystkie środki finansowe, jakie posiada spółka, a ja zostanę z meblami i nazwą. Zgodzili się. Po czym stopniowo zacząłem odbudowywać spółkę. Udziały po wspólnikach podzieliłem na syna i córkę. Firma utworzona została jako kontynuacja sensu stricte polska i rodzinna.

Za czasów studiów i po studiach zdawałem sobie sprawę, że mając taki stosunek do komunistów, jaki mam, to chciałbym dożyć takich czasów, kiedy w porcie będę mógł być dyrektorem w porcie. W 1995 r. zostałem dyrektorem w zakładzie portu, dyrektorem od spraw handlowych. Największy sukces to, że nie poszedłem na chleb socjalny, a utworzyłem firmę przy współudziale wspólników, bo sam nie miałem ani grosza. Sukcesem jest dla mnie to, że firmę ciągnę już 17 lat jako prezes i jesteśmy firmą znaną na rynku. Największym sukcesem jest to, że nigdy nie mieliśmy długu wobec Urzędu Skarbowego, ZUS-u czy kontrahentów. Uważam to za zawodowy sukces.

Zryw sierpniowy w 1980 oceniam jak zbawienie Polski, nazwijmy to tak, narodu, państwa. Jako największą rewolucję ze wszystkich dotychczasowych. Prawie wszystkie rewolucje kończyły się klęską i krwawo, natomiast tu udało się nam — wprawdzie w sposób krwawy, bo były ofiary — uzyskać tę wolność najmniejszym kosztem krwi obywateli. Po raz pierwszy ten sukces był dlatego, że pierwsza faza nie była „ja, ty, on, ona," a „my". Tylko dzięki temu ten sukces został odniesiony. Dziś niestety jest „ja, ty on, ona, oni, wy", co może przekreślić dorobek czasów „my".

Przynależność do Solidarności to był jeden z najważniejszych elementów mojego życiorysu. Aczkolwiek, jak podkreślam, nie byłem nigdy działaczem. Zawsze się uważałem za szarego obywatela.


PORZĄDEK , DYSCYP
KAŻDEGO NA KAŻ
POSTANAWIA ,
TEGO SKUTKI .
SOLIDARNOŚĆ

Czesław Szweda — ur. 18 kwietnia 1947 r. w Foshucie, gmina Stara Kiszewa. Pochodzenie chłopskie. Wyznanie rzymskokatolickie. Zamieszkał w Gdyni 1964 roku po ukończeniu szkoły zawodowej. Po odbyciu służby wojskowej w 1968 roku został zapisany do ZMS, na własną prośbę wypisany. Podjął pracę w Stoczni im. Komuny Paryskiej. W 1978 zawarł związek małżeński, doczekał się trzech synów. Należał do związków CRZZ. Pracował w Stoczni na wydziale drzewnym W-5 jako stolarz, a później jako monter stolarskiego wyposażenia okrętowego. Uczestnik strajku sierpniowego 1980 roku w stoczni gdyńskiej. Wstąpił do NSZZ „Solidarność" na samym początku. W czasie stanu wojennego zaangażował się w pomoc internowanym i ich rodzinom. Po 43 latach pracy w 2007 roku przeszedł na emeryturę.

Tata pochodził z pow. starogardzkiego, a matka z woj. rzeszowskiego. W czasie wojny była wywieziona do Niemiec na roboty przymusowe, zaś ojciec został powołany do armii niemieckiej. Nie jestem pewny, gdzie służył ojciec, ale na pewno w Norwegii. Potem został przerzucony na front wschodni, gdzie został postrzelony w nogę. W wyniku postrzału, noga została amputowana. W Niemczech, w szpitalu, ojciec poznał swoją przyszłą żonę.

Przyjechałem do Gdyni z Chwarzenka koło Kościerzyny w sierpniu 1964 r. po szkole zawodowej. Wybór na Gdynię padł, dlatego że nim skończyłem szkołę, przyjechało dwóch panów. Mieli dwie propozycje pracy. Jedna ze Stoczni im. Komuny Paryskiej, a druga z Zakładu Przyborów Szkolnych (Drzewny) w Kartuzach. Pomyślałem, że Kartuzy są małe, a Gdynia... blisko plaża, duże miasto. W 1980 r. byłem już dwa lata po ślubie (1978 r.) i mieszkałem na kwaterze w Gdyni. Żona mieszkała 100 km od Gdyni. W 1982 r. urodził się pierwszy syn, drugi w 1986, a trzeci w 1991. Miałem wykształcenie zawodowe i bez zmian, aż do dziś. W wojsku (1966–1968) namawiali nas do wstąpienie do Koła Młodzieży Wojskowej. Kiedy przyszedłem do Stoczni, zostałem wciągnięty do CRZZ. Zaraz po zakończeniu służby wojskowej, nie wiedząc o tym, zostałem wpisany do ZMS. Kazałem im mnie skreślić. Były drobne nieprzyjemności, ale rozeszło się po kościach. Moja rodzina, jak i ja, od zawsze do dziś byliśmy i jesteśmy wyznania rzymsko-katolickiego.

W wojsku próbowali wpisać nas do PZPR. Kolega się zapisał, bo chciał pracować w PLO. Ja byłem wrogo nastawiony do PZPR i nie byłem zadowolony z sytuacji w kraju. Ojciec nie interesował się polityką, mama bardziej. Widziała nędzę w domu i dookoła. U rodziców nie słuchaliśmy RWE. Słuchaliśmy na kwaterze u żony.

Kościół odgrywał ważna rolę w naszym życiu. Moim zdaniem można było trafić na bardzo dobre kazania. Dyskretnie, dyplomatycznie skrytykowano nieraz — a byłem w wielu kościołach — partię czy komunizm. Jan Paweł II wiele zmienił. Jego kazania i język, jakim przemawiał, był inny niż kacykowie u nas. Jak Jaroszewicz zachorował i przemawiał Gierek po odjeździe papieża, słychać było zmieniony, zardzewiały głos. Tak to zapamiętałem.

Mój kontakt z prasą podziemną był sporadyczny. Tylko z ludźmi jadącymi z Wejherowa. Ktoś wyrzucił na peron ulotki informujące m.in. o rolnictwie czy zadłużeniu. Nie pamiętam jednak, kto to wydawał.

Gdy zostały ogłoszone podwyżki, moim zdaniem Lublin bardziej je odczuwał. Zwracałem uwagę na strajki w Lublinie, a mniej na kwestię finansowe. Nie odczuwaliśmy tych podwyżek, pracowaliśmy po 12 godzin i nie mogliśmy za dużo o tym myśleć. Byłem jednak niezadowolony i czuło się to napięcie. Rodzina również odczuła podwyżki. Ale nie czuliśmy potrzeby buntu. Byliśmy niezadowoleni, ale czekaliśmy na kogoś, kto nas poprowadzi.

W tamtym czasie moim autorytetem życiowym był tylko Papież Jan Paweł II. Choć też Prymas Wyszyński. Wyczuwało się nacisk władz na niechodzenie do kościołów. Płacono 1000 zł za chrzest w urzędzie. Była widoczna walka z Kościołem. Awans w pracy był tylko

finansowy na 2–7 lat, ale tylko na wniosek kierownictwa. Taką możliwość mieli jeszcze partyjni.

Żona pracowała w sklepie. Miałem nadgodziny. Później pojawił się pierwszy syn, mniejsze opłaty za mieszkanie na wiosce. Nie mogłem narzekać.

Przed wybuchem strajków sierpniowych byłem zadowolony ze swojego miejsca pracy. Miałem zaufanie do kolegów. Po 1980 było gorzej. Nawet do 2400 osób rocznie się zwalniało. Kradzieże, to pamiętam. To była plaga. W szatniach włamania do szafek. Ubrania, narzędzia, to był cel złodziei.

Pamiętam, jak zaczął się strajk w zakładzie, było gorąco. Pracowałem na drugą zmianę w nocy. Było parno i trudno było oddychać. Przyszliśmy na drugą zmianę. Bramy były zamknięte. Tysiące ludzi, człowiek na wózku. Wtedy nie wiedziałem, że to Andrzej Kołodziej. Zaczęło się od K-3, chyba. Bez problemu wszedłem z kolegą mimo straży. Drzwi były otwarte dla drugiej zmiany.

Byłem zaskoczony. Rozmawialiśmy o Lublinie, ale nie spodziewaliśmy czegoś takiego u nas. Chodziło w lubelskim o podwyżki cen i wywożenie towarów do Związku Sowieckiego. Moja rodzina o strajkach i ich przebiegu dowiedziała się później. Trochę obawiali się powtórki z grudnia 70 roku, choć mieszkali poza Gdynią. W samej Stoczni były takie obawy.

Strach nas obleciał 16 sierpnia, gdy Gdańsk przestał strajkować. Dyrektor Willi Fandrey był zły i kazał zakończyć strajk. Później też kierowca dyrektora namawiał nas do zakończenia strajku. Andrzej Kołodziej miał rozmawiać o postulatach. Wtedy zakład się podzielił. Obawiałem się, że duża część ludzi wyjdzie. Kołodziej uspokoił załogę. Nie spaliśmy praktycznie tej nocy i trzy kolejne. Czekaliśmy na interwencję Marynarki Wojennej.

Ludzie z zewnątrz pomagali, były paczki, pomoc finansowa. W tym czasie kilka osób wyszło. Wrogość sąsiadów była wobec tych, co nie strajkowali. A osoby wrogo nastawione, nie miałyby szans przeżycia. Tak zwani nieznani sprawcy. Oni niszczyli butelki z mlekiem, robili krzywdę różnym ludziom. Prowokowali. Wiem, że ta propaganda miała wpływ na ludzi. Przypisywali to strajkującym.

W tym czasie w zasadzie nie miałem kontaktu z rodziną. Wiem, że żona po tygodniu przekazała mi paczkę i rozmawialiśmy ok. 20 min. Wydaje mi się, że nie rozmawialiśmy o pozostaniu czy wyjściu [ze Stoczni]. Nie chciała już przyjechać. Stocznia w tej sytuacji kojarzyła jej się z obozem koncentracyjnym.

Uczestniczyłem w strajku jak zwykły uczestnik protestu. Codziennie na mszę. Rozmawialiśmy z mężami zaufania i słuchaliśmy informacji z kraju. Bardzo ważne były msze ks. Prałata Hilarego Jastaka i słowa Kołodzieja: „Już nigdy więcej z bolszewickich stołów ochłapów jeść nie będziemy!”

Dla mnie na pierwszym miejscu postulatów było utworzenie Wolnych Związków Zawodowych. Załogi spotykały się na wydziałach i spisywały swoje postulaty. Następnie donoszono je do Sztabu Głównego i tam prawdopodobnie przechodziły procedurę selekcji.

Miałem zaufanie do przywódców strajku, absolutnie tak. Dbano o majątek Stoczni, o zabezpieczenie statków. Nie znaliśmy kolegów z innych wydziałów. Były osoby, które robiły krecią robotę i sztab kazał ich zamknąć (to byli budowniczowie). Byliśmy jednością, byliśmy razem. Nie było chaosu, wszystko było bardzo dobrze zaplanowane.

W pamięci utkwiła mi serdeczność między ludźmi. Artyści wspierali strajkujących. Msze również były czymś, co zmieniało monotonię strajku. Pamiętam, że były kolejki po pieczątki strajkowe.

Spaliśmy przeważnie w szatniach. Nigdzie nie było wygody. Wstawaliśmy, o której chcieliśmy. Toaleta, pralnia, śniadanie. Ludzie szli pod krzyż. Słuchanie transmisji obrad z Gdańska, gra w karty, czekanie na obiad, kolejki po pieczątki. Do końca strajku z kiosków wycofano niebezpieczne produkty, jak np. benzyna do zapalniczek. Odbywały się jeszcze zebrania z kierownictwem na wydziałach. Posiłki to obiady, przeważnie zupy, były przywożone do barów w Stoczni. Ewentualnie produkty do barów, gdzie przygotowywano jedzenie.

Radiowęzeł nadawał bezpośrednie transmisje. Nie pamiętam, czy radiowęzeł został zdobyty legalnie, czy drzwi rozbito młotami.

Ulotki były drukowane, dostarczane do załóg i też wywożone na zewnątrz. SB ścigało cywilnymi samochodami. Miejsca, gdzie ulotki były drukowane, nazywano Wolne Drukarnie Gdynia. Ale nie brałem w tym udziału.

Była solidarność, jedność. Z każdym dniem co raz bardziej wierzyliśmy, że może się udać.

Konflikty czy kłótnie? Nie słyszałem i nie pamiętam, by coś takiego miało miejsce. Kierownictwo nawet odnosiło się do nas w miarę pozytywnie. Ale oni nie mieli łatwego życia. Rotacje kierownictwa powodowały, że czasem była wrogość. Była walka z dyrektorem Stoczni. Byli członkowie PZPR, którzy zapisywali się dla korzyści. Byli też ideowcy. Ale jedni i drudzy raczej milczeli. Decyzję najpierw podejmował Andrzej. Później dostał 5 czy 6 doradców. Nie byłem jednak tego świadkiem. Naszymi przedstawicielami byli mężowie zaufania. Oni reprezentowali nas przed MKS.

Zagranicznych dziennikarzy wpuszczał tylko sztab. Podobnie rozmowy z dyrekcją i taktyka. Przypuszczam, że MKS wpierw naradzał się we własnym gronie, a później rozmawiał z dyrekcją. Następnie wszystkie ustalenia były ogłaszane publicznie.

Pamiętam moment podpisania Porozumień. Szczecin był pierwszy. Później napięcie rosło. Myślę, że dobrze, że skończyło się to 31 sierpnia. Nie wiem, czy wytrzymałbym jeszcze trochę. Wszystko siadło, gdy Szczecin podpisał porozumienie. Sztab wydał polecenie, żeby ludzie posprzątali. Ustalono jeszcze, kto następnego dnia przychodzi do pracy. Kiedy podpisano porozumienia, ludzi szli w kierunku bramy. Ale to wszystko uspokoił sztab.

Od razu wszedłem do Solidarności, a załoga wybrała mnie na przewodniczącego Komisji na wydziale. Wydawało mi się, że w trackie [strajków], były grupki i rozmawialiśmy o tym, co kto myśli o PZPR, Związku Sowieckim. Uważałem, że w przeszłości, były mocarstwa, po których nie ma śladu. Sowieci też mogą się skończyć. Wybrano mnie do komisji. Chciałbym dodać, że Marian Tyszko z mojego wydziału dostał się do władz Solidarności, a ja byłem tymczasowym Przewodniczącym Komisji Wydziałowej. Potem za miesiąc czy za dwa odbywały się wybory.

Moim zdaniem, podobało się, że coś się zmienia, coś zaczyna się dziać. Było widać korupcję, zapisywanie się do PZPR dla korzyści, ceny wysokie przy zarobkach, awansowania partyjnych itd. Na niektórych wydziałach brak było widać człowieczeństwa, chamstwo. Patrząc na to, na moim wydziale nie mogę powiedzieć, żeby taka sytuacja była. No i przede wszystkim wizyta papieża. Inna mowa, czułem, że coś się zmieniło. Inna mowa. Jakby meteoryt spadł i wszystko zmienił. Nie znalem żadnego kardynała Wojtyły. Tutaj, na Pomorzu, nasza prasa wiadomo jak pisała o Kościele. Ale zobaczyć pierwszy raz papieża bezpośrednio i swoje przemówienia, to według mnie wpływ był niesamowity. Było widać, że partia kontrolowała wiece, kto ma przyjechać, ludzi. A tu, było widać niezależność. Pierwszy raz niezależność tych tłumów. Tego, że się nie bali. Były prowokacje, ale było widać siłę. W Warszawie Papież miał królewskie przywitanie. Człowiek czuł siłę w tłumie, sam nie. Na Zachodzie, kiedy ludzie chcą zmiany, dają szansę komuś innemu. U nas, po Sierpniu nic nie można było zrobić. Zakłócano zmiany niesamowicie. Jak nie PZPR, to służby specjalne, ale próba była, była nadzieja. Wszystko powoli szło do przodu.

Do Solidarności przystąpiło 100% załogi. Powiem tak, że u mnie duże zaufanie miał Marian Tyszko i on został wybrany na wydziale i miał swoje zadania w tymczasowych władzach. Ja byłem tymczasowym przewodniczącym komitetu na wydziale. Później w trakcie wyborów kandydat musiał pokazać program, swoje zdjęcie, taka książka była wywieszana w Stoczni. I wtedy na wydziałach odbywały się wybory i wewnętrzne władze wydziałów i delegatów wydziałów na walne zebranie zakładu. I na walnym zebraniu delegatów centralne władze zakładu były wybierane. Przewodniczący wydziału automatycznie wchodził do Komisji Zakładowej. Natomiast Marian Tyszko do Prezydium. Ja nie startowałem w wyborach. Uważaliśmy, że sprawdził się w czasie strajku i miał wśród nas duże poważanie.

Na kierownictwo nie mogę powiedzieć nic złego. Ale słyszałem, że na innych wydziałach działy się niesamowite rzeczy, że głowa boli. U mnie było spokojnie. Kierownictwo zachowywało się przyzwoicie. Ponadto warto dodać, że nie mogli sobie pozwolić na nic takiego. To był czas, kiedy robotnik mógł wszystko. Chcieliśmy utrzymać jedność. Przecież nikt nie zdawał sobie sprawy z tego, co będzie jutro, pojutrze. Ale były obawy, że taki pan Breżniew za jednym machnięciem pałki spowoduje, że za 5 minut jest zgniecione wszystko. Mówiło się, jeszcze dzień, jeszcze miesiąc i będą „białe niedźwiedzie". To powodowało strach wśród ludzi startujących w wyborach. Była niepewność jutra. Słyszałem później relacje, że ktoś wyżej postawiony przyszedł do kierownictwa i mówił: „Słuchajcie, dobrze się dzieje. Oni się kłócą i to długo nie potrwa." Przecież animozje między Andrzejem

Gwiazdą, Lechem Wałęsą czy Andrzejem Kołodziejem były. Za to, co zrobił Marian Jurczyk w Szczecinie, nie był później poważany. I różne indywidualności, np. przewodniczący Huty Katowice, który był skierowany na prawo, ale skrajnie. Byli różni ludzie, różne ścierające się poglądy. PZPR wykorzystywała te nieporozumienia.

U mnie na wydziale był taki poseł, Jan Mendałka, i on miał chyba dwie kadencje, był mistrzem. Był wzywany [do Centrali?], jako przedstawiciel Stoczniowców Wybrzeża. Co on zrobił, że musiało dojść do tego, co było. Ukrywał się parę dni. Ludzie mówili mu: że oni cię znajdą w każdej dziurze. Po paru dniach poszedł i pytania: „Co z socjalem? Co z pieniędzmi? Dlaczego społeczeństwo jest takie biedne?" Odpowiedział jednoznacznie: „Ja nie wiem. Jakie pieniądze przeznaczyli mu do podziału, tak je podzielił." I Andrzej Kołodziej nazwał go „pajacem na sznurku".

Wydaje mi się, że największym osiągnięciem Solidarności było dążenie do samorządności od początku. Autonomia w różnych regionach. I po kolei zmiana władzy. Stawianie na listach wyborczych ludzi takich, jakich życzy sobie społeczeństwo, a nie PZPR. Nawet jeśli Polska ma być taka, jak za PZPR, jeśli naród tego sobie życzy. Ale stawiając kandydatów niezależnych, PZPR wiedziała, co by było. Były osoby, które wiedziały, kogo mamy za sąsiada i chciały wszystkie protesty, takich działaczy jak Jaworski czy Bujak, przeprowadzić w dyskretny sposób. Krótko mówiąc, dążenie do wolności.

Po strajku udało się zrealizować wszystkie postulaty na życzenie. Jeśli ktoś miał ubranie cywilne i robocze, nie było problemu, aby dołożyć jeszcze jedną szafkę. Spowodować, że pojawił się nowy bojler, tak aby dla dziesięciu była ciepła woda. Kierownicy oczywiście nie mogli przeskoczyć dyrekcji, ale socjalnie się poprawiło. Nie było na przykład nadgodzin, a wcześniej były. Zmalały jednak zarobki. Atmosfera była wspaniała, była jedność, wolność. W Gdańsku czy Warszawie władze Krajówki były popierane. Niesamowita nadzieja. Wszyscy myśleli, że doganiamy Zachód. Ale ludzie, którzy wyjeżdżali i wracali, opowiadali, że nie było tak „różowo".

Gdy wprowadzono stan wojenny, nie byłem internowany. Byłem w tym czasie w Piekarach Śląskich. W tym czasie, a było to tydzień przed stanem wojennym, miała być barburka. Moja żona ma na imię Barbara, umówiliśmy się z żoną, że uroczystości urodzinowe zorganizujemy tydzień po barburce, czyli w sobotę, 12 grudnia. Była impreza, położyliśmy się o 24 lub o 1 w nocy. Rano córka chciała oglądać program, byliśmy wówczas zaspani, ale zamiast bajki, programu, czegokolwiek był szum. W radio tylko przemówienie Jaruzelskiego. Nie wiedziałem nic o stanie wojennym, ale wyczuwało się, że coś się dzieje. Jeszcze to agresywne przemówienie Stefana Olszowskiego, ministra spraw zagranicznych. Zachowywał się jak typowy Moskal i ten atak na Komisję Krajową, Kuronia, Michnika i innych. To był symbol, że coś się szykuje. Zima była ostra i w telewizji tylko dziennikarze w mundurach mówili, za jakie przestępstwa będą jakie kary. Non stop. Jechałem do zakładu i już w pociągu niesamowicie klęli. W tym pociągu jechali oficerowie, a ludzie na głos klęli, wyzywali, krzyczeli na władzę, a ci wojskowi nic, ani słowa. Mówili, że nadzieja została złamana. Przyjechałem na swój wydział, był protest. Cały zakład stał. Komitet został powołany. Decyzje ciągle się zmieniały. Nie wiedziano, co z kolegami, bo ten i tamten aresztowany. Od nas kilka osób internowano. Powołano nowe władze. Dostaliśmy legitymacje, widziałem po twarzach, że nie każdy chciał. I następny dzień tak samo, protesty, wszystko stało. Komitet strajkowy wydawał dyspozycje. Przychodzili cały czas tzw. „kurierzy" w skórzanych płaszczach, którzy grozili, że nie pozwolą, że wejdą. Gdy usłyszeliśmy, że górnicy strajkują, znaliśmy ich siłę. W nich była nadzieja, że zjechali i strajkują. My nie byliśmy tak pewni swojej pozycji. A zaraz potem strzały w Wujku. W kraju była prawie żałoba.

Wprowadzenie stanu wojennego zdecydowanie uważałem za zbrodnię. Była o tym mowa, ale w pierwszym dniu nie, dopiero w następnych, że można było wprowadzić stan wojenny. Wtedy kiedy obradował sejm, bo Rada Państwa nie miała takiego prawa i udowadniają, że konstytucja została złamana. Stan Wojenny oceniałem negatywnie i zdawałem sobie sprawę z powrotu do tego, co było. W dalszym ciągu była nadzieja. A w tym czasie ona zaczęła gasnąć. Komuniści odżyli.

Nie pamiętam daty pacyfikacji stoczni. Ale to się wyczuwało. Cały dzień z jedzeniem było biednie i towarzyszyło nam to dziwne uczucie, że coś się stanie, napięcie. Poszliśmy spać w nocy ok. 23 lub s24. Ja chyba nie spałem, czuwałem. Marian Tyszko poprosił mnie, żebym otworzył pomieszczenie z syreną. Przeczuwaliśmy, że mogą wejść. W ten sposób

mogliśmy wszystkich obudzić. Miałem jednak pęk kluczy i nie zdążyłem znaleźć właściwego. Mieliśmy bramę zabezpieczoną, ale nie było problemu, żeby wejść przez młot. I tak się stało. Betonowy młot został zniszczony i weszła ich cała masa.

Nikogo nie bili, ale ZOMO i wojsko, milicja uderzała pałkami o tarczę. To była noc, robiło to wrażenie niesamowite. Wszyscy pamiętaliśmy 1970 rok i myśleliśmy, że teraz będzie strzelanina. Zapędzali nas 100 metrów w tą i 100 metrów w drugą. Pławiński (inżynier elektronik, przewodniczący Komisji Zakładowej) podszedł do milicjantów. Pytał, czy są dobrymi obywatelami, czy dobrze robią rzucając się na robotników, a mówili, że władza jest robotnicza. Oni się nie odzywali. To był wówczas jedyny człowiek, który miał odwagę podejść i z nimi rozmawiać. Weszli gdzieś między 2 a 3 w nocy. Między 3 a 4 wydali komunikat, że kto wyjdzie dobrowolnie do godziny 6 z zakładu, ten ma zagwarantowane bezpieczeństwo. Wszystko było obstawione. Ludzie się rozchodzili, wiedzieli, że nie ma szans na żadną walkę. Słyszałem, że oficerowie chodzili do kierowników wydziałów i z nimi rozmawiali. Ale nie wiem, o czym.

Po wyjściu ze Stoczni, wezwał mnie kierownik Konopka i wręczył mi przepustkę. Na chyba całą dobę. Mogłem się poruszać po mieście. Byłem zaskoczony. Korzystając z okazji, pojechałem do żony i byłem tam dwa tygodnie. Po dwóch tygodniach pojawiła się informacja, że można wrócić do Stoczni, ale trzeba odebrać przepustkę. Były chyba dwa punkty. Jeden w Chyloni, a drugi w hotelu na ul. Śląskiej. W obu nie było mojej przepustki. Na drugi czy trzeci dzień w wyznaczonym punkcie przyszedłem odebrać przepustkę. Nie pamiętam pani, która za to odpowiadała, ale powiedziała, że trzeba podpisać oświadczenie, aby otrzymać przepustkę. Wtedy wszyscy to podpisywali, ale nie pamiętam, czego ono dotyczyło. Ja i parę osób nie podpisaliśmy. Wróciłem do żony. Miałem kontakt z kimś ze Stoczni i po trzech tygodniach dostałem wiadomość, że mam odebrać przepustkę. W dniu, kiedy przyszedłem do zakładu, musiał przyjść mój mistrz, aby mnie odebrać. I tak wtedy pracowałem jak inni, oprócz tych, którzy zostali aresztowani.

Po ok. tygodniu spotkałem na dworcu Jasia Romana. Nie pamiętam, były jeszcze trzy inne osoby. Było zimno i poszliśmy do kawiarni przy kościele Najświętszego Serca Pana Jezusa. Dostałem teczkę z jakimiś biuletynami. W Stoczni trzeba było mieć dowód osobisty i przepustkę. O dowodzie zapomniałem. Koledzy i ja mieliśmy przy sobie biuletyny. Piliśmy kawę i weszło ZOMO. Zaczęła się kontrola wszystkich. Gdy doszli do mnie, okazało się, że nie mam dowodu osobistego. Byłem pewny, że to koniec. Wytłumaczyłem, że na zakładzie trzeba mieć dowód i przepustkę. Dodałem, że nie ma problemu, możemy jechać do zakładu. Podszedł drugi zomowiec, krótko się naradzali i doszli do wniosku, żeby zostawić mnie w spokoju. Miałem szczęście. Po tym wszystkim zawiązano siatkę i na wydziałach zbieraliśmy pieniądze (szczególnie z wydziałów wyposażeniowych) dla internowanych. Nawet członkowie PZPR dawali pieniądze. Zbierałem pieniądze do samego końca, mimo częstej kontroli. Szczególnie, gdy jeszcze Marianem Tyszko i Aleksandrem Kozickim jeździliśmy do Wejherowa. Mieliśmy później wykłady z historii, z prawa pracy. To historię wykładali na przykład esbecy, a prawo pracy miałem z Lechem Kaczyńskim. To wszystko w podziemiu było. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że niektóre osoby były z SB.

Najważniejsza w czasie stanu wojennego była walka, jak w sierpniu, i pomoc osobom internowanym i ich rodzinom. Byłem w trudnej sytuacji. Nie miałem własnego mieszkania, nie mogłem ukrywać u siebie biuletynów czy prasy podziemnej. Bałem się, gdy zbierałem pieniądze. W szafce miałem biuletyny, książki, ale następnego dnia kolportowałem je po Stoczni. Jeśli ktoś widział, to musiałem się tego pozbyć. Ciągle zmieniające się kadry, powodowały brak zaufania. Zabroniono nam zbierania pokwitowań pod odbiór pieniędzy, ale szanuję publiczne pieniądze i robiłem to po to, aby nikt nie oskarżył mnie o kradzież. Wiem, że gdyby mnie załapano z tymi kwitami, mogłoby wpaść masę osób. Raz zostałem okradziony przez jednego esbeka. Biuletyny w szatni rozdawałem otwarcie. Ale nie miałem pojęcia o konspiracji, ryzykowałem bardzo. Nawet milicjanci czytali, przynajmniej tak słyszałem.

Po 1988 roku z opozycją spotykaliśmy się w Stoczni. Rozdawanie biuletynów. RWE podawało, kto i za co został aresztowany. Do samego końca tak to wyglądało. Solidarność Walcząca była bardziej radykalna, miała oczywiście rację, ale ja nie miałem takich poglądów. Ja wiedziałem, że nie wszyscy komuniści są źli i można przez przypadek skrzywdzić

niewinnego człowieka. Ale już po fakcie przyznaję, że SW miało najlepsze rozeznanie i wiedziało, jak to się skończy. Te porozumienia itd. Tak, popieraliśmy. Gdańsk strajkował, ja byłem w Zarządzie Regionów i pojechaliśmy do Stoczni Gdańskiej dać im nasze poparcie. Później Nowa Huta zaczęła strajkować, Szczecin chyba. Myśleliśmy, że zaczyna się sytuacja jak przed Sierpniem i będzie to systematycznie narastało. Władza mówiła, że jest normalizacja. Ale kiedy zaczęły się strajki, to byliśmy zszokowani. Bardzo mało osób strajkowało. Ludzie popierali, ale nie chcieli brać w tym udziału. Do ostatniego dnia zbieraliśmy pieniądze, książki, biuletyny, do samego końca wspierałem ruch związkowy. Aż do wyboru nowych władz.

Popierałem porozumienia „okrągłego stołu" absolutnie. Nie znając kulisów, popierałem „okrągły stół" i uważałem, że takie porozumienie jest konieczne. Nigdy nie brałem udziału w komunistycznych wyborach. Raz musiałem w wojsku. Mówili z Solidarności, że trzeba było. A ja znam przypadek człowieka, który nigdy nie brał udziału w wyborach. I ja też nie brałem. A 4 czerwca 1989 brałem udział.

Widziałem konferencję Bronisława Geremka, który mówił: „Pacta sunt servanda". Pamiętam to. Ale pamiętam, że głosy kilka dni były liczone. Z Radia Wolna Europa mówiono, że głosy są liczone w Belwederze, że Jaruzelski trzyma nad tym pieczę. Ale nawet jeśli były jakieś nieprawidłowości, to uważam, że Jaruzelski za bardzo się bał. Ale była druga tura i w niej startowali komuniści, którzy w pierwszej nie uzyskali 50%. Dla tej części Solidarności, która się dogadywała, nie miało znaczenia czy kogoś dopiszą czy usuną. Tak mówili. Chciałbym jeszcze dodać, że po wybraniu nowych władz Solidarności, chcieliśmy z Marianem Tyszko założyć Fundację Chorobową. Byliśmy zszokowani, że dostaliśmy tyle pieniędzy. Ale udało się. Udało mi się tak zrobić, że nikt, kto pracuje w Fundacji, nie może wziąć nawet 50 groszy.

Pracowałem 43 lata. Głównie na statkach. Trudne warunki. Zostałem oszukany przy podliczeniach przez państwo. W wojsku kazano zakładać książeczki oszczędnościowe, pieczątki, podpisy. A ja miałem 18–19 lat i nie myślałem o tym. Nie mam policzonych zarobków za okres tuż po zakończeniu służby wojskowej. Ówczesne prawo mówiło, że można zniszczyć dokumentację w kwestii zarobków, 12 lat do tyłu. Mieszkanie M-3, żona, trójka dzieci. I od wypłaty do wypłaty.

W 2007 r. przeszedłem na emeryturę.

Jestem dumny, że mogłem pomagać ludziom pokrzywdzonym przez los. Dla mnie najważniejsze to utrzymać tą wolność. A nie będzie to łatwe, po tym co widzimy na Ukrainie. Obecni przywódcy to nie jest format Reagana, Thatcher czy Kohla. Obecnie papież Franciszek i szacunek dla Benedykta.

Uważam, że zryw sierpniowy 1980 roku był początkiem demontażu tego strasznego systemu. Przecież skorzystały z tego inne państwa. Dzisiaj każdy może wyjechać, wtedy trzeba było napisać podanie do SB i to oni decydowali, kto wyjdzie, a kto nie.

Miałem szczęście, że spotkałem uczciwych, porządnych ludzi. Przed Solidarnością ludzie wstawali, szli do pracy i wracali do domu. Tam czarno-biały telewizor, zastanawiano się, co zrobić do jedzenia, ile będzie wynosiła łapówka, aby zostawić dziecko do przedszkola. To się zmieniło i można mówić, że mam satysfakcję, że Solidarność zrobiła dużo. Ona dodawała mi siły i mogłem pomagać innym osobo.

Mając dzisiejsze doświadczenia życiowe przystąpiłbym ponownie do takiego strajku. Absolutnie, tak. Moim zdaniem do dzisiaj i to było już od jakiegoś czasu, że kiedy Solidarność wystawiła 21 postulatów, które były aktualne i potrzebne, przywódcy strajku powinni byli zostać w swoich zakładach. I oni powinni byli rządzić państwem, działacze by pomagali w realizacji postulatów. Niestety, niektórzy zbyt szybko chcieli się dorwać do władzy. Ale najważniejszym osiągnięciem to były wolne wybory i uruchomienie gospodarki.

Najgorsze było to, że w szeregach związku były osoby, których nie znaliśmy. Skąd mieliśmy znać Kuronia, Michnika, Geremka, Bujaka, Wałęsę, Frasyniuka, bo widzieliśmy, jak zaczęli pluć na pierwszą Solidarność. Jeśli to robi członek PZPR Bratkowski, który pisał w gazecie, to rozumiem. Zaczęły się podziały. Wszystko było za Mazowieckiego. Jedni potrafili sobie poradzić z całą sytuacją, inni siadali i płakali.

W czasie ostatniego okresu 25 lat niepodległości jest parę plusów i parę minusów. To jest kraj dwóch prędkości. Tym, którzy się urządzili i ci, którym się nie udało. Nie oceniam jednak zbyt pozytywnie. Tak było po 1989 i tak jest do dzisiaj, zlikwidowano prze-

mysł w wielu regionach kraju, zlikwidowano wielkie przedsiębiorstwa i została tylko sama ziemia. Uważam, że nie ma żadnych perspektyw na emerytów czy rencistów.

Gdybym dzisiaj formułował postulaty strajkowe, dotyczyłyby służby zdrowia, kwestii socjalnych i rodziny, możliwości założenia własnej firmy oraz rozliczenia przestępców z poprzedniego systemu i tych z naszych czasów.

Zdecydowałbym się o to walczyć tylko przez popieranie porządnych ludzi. Oni mogą coś zmienić i zawalczyć o to.



Edward Śliwiński — ur. 4 lutego 1940 r. w Żninie na Kujawach. Pochodzenie robotnicze. Katolik z dziada pradziada. Ukończył 9 klas, zdobył wykształcenie zawodowe. W wieku 18 lat zakończył naukę w szkole. Robił kursy uzupełniające w Szkole Morskiej (radarowe, radiowe, nawigacyjne). W latach 1958–60 pracował w bydgoskiej żegludze na Wiśle. Na dwa lata trafił do wojska do Marynarki Wojennej w Ustce. Po wyjściu z wojska pracował w Żegludze Gdańskiej na statkach pasażerskich. W 1964 przeniósł się do Portu Gdynia i pracował w pilotażu — był kierownikiem jednostki — kapitanem. Należał do związków zawodowych CRZZ. Żonaty, troje dzieci. Uczestnik wydarzeń grudniowych 1970 roku. W 1980 roku przeprowadził się do Gdyni. Uczestniczył w strajku sierpniowym 1980 roku. Wstąpił do NSZZ „Solidarność". W 1984 rozpoczął pracę w Porcie Gdynia. Podczas bezpłatnych urlopów pływał na kontraktach. Do 2000 r. pracował w porcie w Gdyni, po ukończeniu 60 lat przeszedł na emeryturę.

Wywodziłem się z rodziny robotniczej, ojciec był kolejarzem, mama nie pracowała. Mama jakąś działkę uprawiała u ciotki — tam była ziemia. Na wykopki, żniwa się chodziło. Mama typowo ze wsi pochodziła, spod poznańskiego.

Miałem 18 lat, to było w 1958 r. i przyjechałem na Pomorze. Z początku pływałem w bydgoskiej żegludze na Wiśle, byłem bosmanem. Pływałem do Gdyni, Gdańska i Wybrzeżem ogólnie. Tam pracowałem trzy lata, a potem poszedłem do wojska. W latach 1958–1960 pracowałem w bydgoskiej żegludze na Wiśle. W 1960 r. dostałem powołanie do wojska do Ustki do Marynarki Wojennej. Dokładnie 25 miesięcy byłem w wojsku, miesiąc nam przedłużono na wykopki jesienią. To było tez płatne, ale miesiąc dłużej nam przedłużyli służbę.

Po wyjściu z wojska zatrudniłem się w tzn. białej flocie w Żegludze Gdańskiej na statkach pasażerskich. Z Gdańska na Hel, na Westerplatte woziliśmy wycieczki. W 1963 r. wiosną poszedłem do Żeglugi, przezimowałem w rodzinnych stronach u rodziców, a potem już wywędrowałem do Gdańska.

Mieszkałem wtedy w Gdańsku na Przymorzu. Było to mieszkanie zakładowe, spółdzielcze, M-3, 38 metrów kwadratowych. W Gdańsku na Przymorzu były słynne leningradzkie bloki (dar Związku radzieckiego dla biednej Polski — wszystko z Leningradu przywozili).

W 1964 r. skończyłem pracę w Żegludze i się przeniosłem do Portu Gdynia i pracowałem w pilotażu — byłem kierownikiem jednostki — kapitanem. Miałem swoją załogę. Dyrekcję mieliśmy na ulicy Wały Piastowskie 24, zaraz przy pomniku, nazywaliśmy to Watykanem. Do 2000 r. pracowałem w Porcie w Gdyni, równo 60 lat skończyłem i udałem się na emeryturę. W porcie byłem na kontrakcie u Greka. Port dał mi bezpłatny urlop i byłem sternikiem manewrowym. W międzyczasie pływałem na kontraktach, zimą w białej flocie tak pływałem, jak się ludzi nie woziło.

Ojciec słuchał Wolnej Europy, do 1946 r. był na robotach w Niemczech, był kolejarzem. Dopiero rok po zakończeniu wojny wrócił, po oswobodzeniu przez aliantów i regulacjach. Mógł nas ściągnąć, nas było 5 braci, do Niemiec. Chciał do Polski. Ojciec opowiadał o wojnie, o trudnych warunkach, jak musieli kraść kartofle robiąc tory, bo takie nędzne porcje dostawali.

Półgębkiem mówiło się o Katyniu, to z Radia Wolna Europa się dowiadywaliśmy. Wujek, mamy siostry mąż zginął gdzieś tam, bo był oficerem. Znam to z przekazów.

W 1980 r. byłem żonaty. W 1968 r. brałem ślub w Elblągu. W 1968 i w 1969 r. rodzili się synowie. Potem córka w 1974 r.

Ukończyłem 9 klas, mam wykształcenie zawodowe. Jak 18 lat skończyłem to odszedłem ze szkoły i nie ukończyłem. Robiłem kursy uzupełniające w Szkole Morskiej, radarowe, radiowe, nawigacyjne. Zdawałem egzaminy, dyplomy. Trzeba było mieć 17 różnych uprawnień, by móc pływać.

W 1980 r. przeprowadziłem się do Gdyni. To było mieszkanie 60-metrowe. To było ładne mieszkanie. Przed wojną jako pensjonat było budowane. To była 7-rodzinna kamienica. Należało to pod Zrzeszenie Właścicieli Nieruchomości, mieli to oddać do miasta, a nam miało to miasto sprzedać za złotówkę. Niestety zwodzili nas, nie dostaliśmy tego mieszkania.

Należałem do związków zawodowych, bo wszyscy musieli należeć. Należałem do CZRR. To byli porządni ludzie, opiekowali się nami. Nie mam żadnych zastrzeżeń, mimo że to za komuny było. Jak z wojska się wracało było KMW — Koło Młodzieży Wojskowej, na siłę do partii zapisywali. Mnie kolega tam wciągnął, byłem jako kandydat tylko. Jak wróciłem już do żeglugi wystąpiłem z miejsca, nie chciałem być członkiem. Odrzuciłem z miejsca tę opcję.

Jestem katolikiem z dziada pradziada. Jak najbardziej związany z Kościołem, wierzący praktykujący. Lubię przebywać w grupie ludzi wierzących. Nie przynależałem do żadnej wspólnoty kościelnej, tylko do parafii.

Władze — fałsz i zakłamanie, stale pogarszające się warunki płacy i pracy. Było słabo. Kolejki wszędzie, ciężko było zdobyć coś dobrego do jedzenia. Nawet alkohol dzielili, takie czasy były. Jedno musze przyznać, socjale były dobre — mieszkania. Jak nam kiedyś wypłaty nie dali na czas, to dzwonili, wyjaśniali, z innej puli środki przeznaczali. Gierek nabrał dużo pożyczek i cały czas nam obiecywano, że będzie lepiej. Propaganda, te środki zostały spożytkowane nie tak i jeszcze do tej pory spłacamy te długi.

Uczestniczyłem we wszystkich wyborach. Byłem, chodziłem. Nie byłem w ruchu oporu, ale miałem negatywny stosunek do władzy. Niemniej jednak na wybory chodziłem. W Żegludze myśmy mieli książeczki międzynarodowe, to jak paszport, by to zdobyć trzeba było nie mieć żadnych zadziorów, więc musiałem chodzić na wybory. Człowiek nie mógł się wychylać. Żyło się życiem codziennym, ale swoje się myślało.

Słuchałem Radia Wolnej Europy, BBC też, jeszcze było Radio Swoboda, wszystkie te polskojęzyczne słuchało się. Radio Wolna Europa — Głos Wolnej Polski, zawsze na wstępie. Bibułka docierała od czasu do czasu. Wszystkie ulotki, nie ulotki. To docierało.

Brałem udział w wydarzeniach grudniowych 1970 r. ,jak się „Reichstag" palił. Od 1970 r. coś się takiego zrodziło, że jak PZPR może strzelać do własnych ludzi, skoro mają „polska" w nazwie. Zacząłem się od tego czasu przejmować. Nie mogłem sobie tego wytłumaczyć, jak mogą strzelać do robotników, że tyle ich zginęło. A milicja jeździła w karetce pogotowia i kontrolowała miasto. Kociołek przemawiał — „do pracy....." Ja osobiście znałem rodziców Janka Wiśniewskiego, on się nazywał Godlewski. Oni z Elbląga byli. O nim jest piosenka, co go na tych drzwiach nosili.

Autorytet moralny? Oj był, ale się tak zawiodłem. Wałęsa to była świętość dla mnie. Teraz to już inaczej, tak się zmienił. Ja byłem na jego wszystkich wystąpieniach. Jak Jagielski przyjechał do Gdańska podpisywać porozumienia sierpniowe, to Wałęsę na rękach nosiliśmy. Jak Wałęsa został prezydentem, żegnaliśmy się z nim pod pomnikiem, krzyczeliśmy do niego, by o nas pamiętał, a nie pamiętał. Był moim autorytetem, ale zawiodłem się bardzo. Jeszcze Lis, Bujak, myśmy w nich wierzyli. Michnik, to wszystko najgorsze szumowiny. Nie ma człowieka z tamtych czasów porządnego. Dlatego człowiek ma taki niedosyt wszystkiego.

W Gdańsku pracowałem na Promie Wisłoujście. Byłem kierownikiem jednostki, kapitanem statku porucznikiem żeglugi przybrzeżnej. W 1984 r. przeszedłem do Portu Gdynia. Kierowałem zespołem. Przewóz pasażerów i samochodów osobowo-towarowych. Skromnie było. Żona też pracowała, ale było skromnie. Żona była kasjerką, bileterką w kinie.

Lubiłem swoją pracę, byłem zadowolony bardzo. Niemniej jednak nie odpowiadali mi komuniści. Oni nastawiali wszędzie piersi. Ja byłem odznaczony brązową i srebrną odznaką jako pracownik dobry. Że nie należałem do partii, skończyło się na srebrnej, nie mogłem dostać złotej.

W 1980 roku wiedziałem, że nareszcie coś się dzieje. Nareszcie coś się dzieje, dokładnie tak. Idzie w dobrym kierunku, zmierza w dobrym kierunku. Niczego się w tym czasie nie bałem. Byłem młody, przebojowy, miałem dobrą załogę. Potem codziennie pod bramę

chodziłem w Gdańsku, pod stocznię. Wiece były, Wałęsa przemawiał. Nawet Jankowski przychodził spowiadać stoczniowców, komunikował. Wszystko tak się odbywało.

To była wspólna inicjatywa, by strajkować. Ja wziąłem pełną odpowiedzialność za siebie, jako kierownik promu. Byłem szefem. Prom został ogłoszony jednostką interwencyjną. Na drugi dzień zjechaliśmy do bazy. Tam były różne wiece przy udziale innych załóg ze statków. Wszystko zmierzało w kierunku założenia Solidarności. Ludzie byli bardzo zadowoleni, że zmierza ku lepszemu. Ustalono 21 postulatów. Wolność słowa, godne życie, to wszystko było dla mnie ważne. Mam te wszystkie postulaty do dzisiaj. Wolność prasy. Postulaty to były na takiej sklejce wypisane przed stocznią, na bramie. Pamiętam jak dzisiaj.

Wtedy miałem wtedy zaufanie do dowódców strajku. Nie mogę patrzeć z punktu dzisiejszego. Wtedy miałem ogromne do nich zaufanie. Jak Wałęsa wchodził na wózek elektryczny i przemawiał. Raz się nawet potknął, mało nie spadł.

Pamiętam też wozy pancerne, skoty — „obywatele miasta Gdańska, dajemy wam 5 minut, proszę się rozejść" a potem sikawki i woda, by nas rozbić. Ja nigdy na pierwszym froncie nie byłem, bo miałem dzieci, nie chciałem ich zostawiać. Narażać na uszczerbki. Zupełnie na pierwszy front nie szedłem.

Pamiętam moment podpisania Porozumień. No nareszcie świeży oddech, świeże powietrze, coś nareszcie konkretnego. Że ludzie, robotnicy potrafili to sobie wywalczyć. Pamiętam, jak Wałęsę wynosi na rękach ze stoczni „Lechu, Lechu" krzyczeli. Jagielski był u nas, wicepremier i rozmowy prowadzili. Gwiazda wychodził, Lis, wszyscy po tym zwycięstwie wychodzili. Kaczyńskich pamiętam — to jeszcze takie młode chłopaki z wąsami. Też pamiętam. Już tam przemawiali i byli dosyć tacy zaangażowani w to. Teraz ich się za najgorszych uważa.

Od 1980 r. przystąpiłem do Solidarności. Od 1980 r. mam legitymację. Byłem w Komisji zakładowej, jeszcze w żegludze gdańskiej, nasze pieniądze, nasz budżet przepadły w czasie stanu wojennego.

Początkową działalność Solidarności oceniałem jako bardzo dobrą. Pamiętam panią Walentynowicz, ale wtedy już małe tarcia były. Już baronowie ze Śląska — Frasyniuk, Bujak z Warszawy — potem przepraszał za Solidarność. Już były tarcia.

Do nowego związku przystąpiło 80% stanu osobowego, sześćset parę osób. Kierownicza kadra nie mogła, jej nie było wolno. Załoga prawie cała przystąpiła. Nastawienie kierownictwa zakładu do Solidarności? To był temat tabu. Oni byli po drugiej stronie, choć nic nie mówili. To się okazało potem w stanie wojennym. Ja też byłem na tapecie, dlatego przeniosłem się do Portu Gdynia, ani awansów, ani podwyżek, ani nic. Byłem za to karany.

W Porcie Gdynia mieliśmy prężną organizację Solidarności, jeździliśmy na wszystkie akcje, gdzie tylko było trzeba. Wspomagaliśmy wszystkie strajki. Mieliśmy bardzo dobrego przewodniczącego Solidarności, on nam wszystko organizował. Do Częstochowy jeździliśmy co roku. Związek dużo pieniędzy dopłacał. Nawet do tego mieszkania, w który teraz jestem, związek dał mi małą zapomogę.

Byłem też w Komisji Zakładowej, na wszystkich zebraniach, spotkaniach. Spotykaliśmy się też z biskupem. Dużo mieliśmy wspólnego z prałatem Jankowskim z Brygidy. Zawsze jeździłem na msze za ojczyznę. Człowiek zawsze dążył do lepszego.

Przed wprowadzeniem stanu wojennego była napięta atmosfera, czuło się, że coś się zadzieje. Jak rozpoczął się stan wojenny, to się dowiedziałem, jak już było pusto i cicho w Gdańsku, wracałem z pracy z przystani, znad Motławy. Już taka atmosfera, cicho, coś się wyczuwało, że się coś dzieje. Rano z telewizji natomiast się dowiedziałem o stanie wojennym.

Okropnie to oceniałem. Myślałem, że Jaruzelski bawi się w podchody, ja nie mogłem sobie tego wytłumaczyć, dlaczego. Poszedłem pod stocznię, była tam normalnie walka, odrzucaliśmy im materiały pirotechniczne. Wyparliśmy ich pod sam pomnik. Potem już siły specjalne przyjechały, sikawy, więc już było ciężko.

Jak był stan wojenny, miałem dostać wilczy bilet i zostać zwolniony. Obroniła mnie kasjerka, tłumaczyła przed dyrektorem, że mam trójkę dzieci. Trzeba było podpisać lojalki przez kadry — że chcę nadal pracować. 800 osób musiało to podpisać, 3 nie podpisało, z miejsca zostali zwolnieni. W tamtym czasie dla mnie było najważniejsze dzieci, rodzina. Nie byłem internowany, byłem w komisji międzyzakładowej, więc miałem mieć wilczy bilet, uratowała mnie ta kasjerka.

Kościół odgrywał dużą rolę w moim życiu. Ksiądz Jankowski wiele nam pomagał. Prałat Jankowski z Brygidy. A w kościele jak śpiewano, to wszyscy ze znakiem victorii. Wałęsę też pamiętam, chodził do kościoła.



Jan Świnoga — ur. 28 czerwca 1947 r. w Tomaszowie Mazowieckim. Pochodził z rodziny robotniczej. Praktykujący katolik. Otrzymał wykształcenie zawodowe. W latach 1963–66 pracował w Słupsku w Fabryce Maszyn Rolniczych oraz w Przedsiębiorstwie Wodno-Melioracyjnym. W Gdyni mieszkał od 1966 roku. W Stoczni pracował jako tokarz i ślusarz remontowy. W 1972 roku zawarł związek małżeński, doczekał się dwojga dzieci. Działał w Stoczniowym Klubie Płetwonurków „Meduza", gdzie pełnił funkcję skarbnika. Uczestnik strajku sierpniowego 1980 roku. Podczas strajku pełnił funkcję przedstawiciela wydziału W-7 w komitecie strajkowym. Podczas ogłoszenia stanu wojennego przebywał na zwolnieniu, później prowadził działalność z ukrycia (zbiórka pieniędzy, roznoszenie ulotek). Obecnie na emeryturze.

Trudno powiedzieć, czy przed sierpniem 80 funkcjonowały struktury opozycyjne. Nadal utrzymuję kontakty z kolegami z pracy. Mam dużo znajomych, nurków, płetwonurków, wędkarzy i innych.

Strajk zaczął się na wydziale kadłubowym K-3, następnie na K-2 i K-1, rurownia, elektryczny i tak dalej. Zgromadziliśmy się pod bramą nr 1, ustawiono wózek akumulatorowy, z którego Andrzej Kołodziej prowadził i utrzymywał strajk i ludzi na bramie. Wreszcie coś się zaczęło, rekcja współpracowników była podzielona, większość była za. Najbardziej obawialiśmy się wczasów w jedną stronę — to jest na daleki wschód, na zsyłkę. Niektórzy uciekli ze strajku, a po strajku wrócili do pracy. Decyzję o pozostaniu na strajku podjąłem sam. Zostałem wytypowany przez załogę wydz. W-7 do komitetu strajkowego. Rodzina wspierała mnie i dowoziła żywność.

Na placu ludzie podchodzili i zgłaszali postulaty, które przegłosowywaliśmy. Było ich 21 — wszystkie ważne. W tym czasie miałem pełne zaufanie do przewodniczącego A. Kołodzieja.

Delegatów do MKS typował komitet strajkowy i przez komitet strajkowy byli wybierani.

Żywność donosiła rodzina, przywozili dostawcy z zewnątrz, działały stoczniowe bary. Zaangażowałem się w działalność w komitecie strajkowym. O wszystkim dowiadywaliśmy się dzięki wykorzystywanej drukarni zakładowej, działał też radiowęzeł. Regularnie drukowano ulotki. Niektórzy stoczniowcy sobie popijali — zostali wydaleni z terenu Stoczni.

Czas strajku to dla mnie przede wszystkim nerwówka. Strajk trwał ponad 2 tygodnie, więc podpisanie porozumień ludzie przyjęli z ulgą.

Przystąpiłem do Solidarności od momentu jej powstania i zostałem wybrany w pierwszych wolnych wyborach na przewodniczącego na wydziale W-7. Trwało to do wprowadzenia stanu wojennego. Początkową działalność Solidarności oceniam dobrze. Myślę, że do nowego związku przystąpiło 85% załogi. Z czasem częściowo zmieniono liderów. Dawne kierownictwo nie wiedziało, jak się ustawić. Niektórzy chodzili i buntowali.

Według mnie, największym osiągnięciem Solidarności były Wolne Związki Zawodowe plus 21 postulatów. Nowością w zakładzie pracy po strajku były transmisje z posiedzenia Komisji Zakładowej przez zakładowy radiowęzeł.

Podczas ogłoszenia Stanu Wojennego przebywałem na zwolnieniu lekarskim i nie wiedziałem, co się będzie dalej działo i czy przyjdą po mnie. Tym bardziej iż 5 dni przed wprowadzeniem stanu wojennego na komisji zakładowej nazwałem PZPR partią faszystowską.

Wprowadzenie stanu wojennego oceniałem negatywnie. Podczas jego trwania kontynuowałem działalność z ukrycia (zbiórka pieniędzy, ulotki). Życie wymusiło jednak swoje — trzeba było pracować, aby przeżyć i utrzymać rodzinę.

Po stanie wojennym nadal pracowałem tak jak poprzednio, popierałem strajki w 1988 r. Za dużo się nie dorobiłem. Jedyne co się zmieniło w moim życiu, to chyba to, że nauczyłem się palić papierosy w 1980 roku. Później również byłem związany z ruchem opozycyjnym i zainteresowany jego działalnością.

W 1988 roku starałem się o urlop bezpłatny, aby wyjechać na pływanie. Na początku trudno było go otrzymać, ale po pewnym czasie przyznali mi go. Czasem myślę, że dlatego aby mnie nie było w czasie „okrągłego stołu" i ponownej działalności.

Jestem na emeryturze. Mam własne mieszkanie. Za mocno nie ma się z czego cieszyć. Najważniejsze, że jest zdrowie, a autorytety szlag trafił.

Zryw sierpnia był potrzebny, ale według mnie został zmarnowany i wypaczony. Ponownie przystąpiłbym do takiego strajku. Solidarność z 1980 r. praktycznie została planowo zniszczona przez stare układy, do tego doszli kolejni cwaniacy i pseudo działacze. Gruba krecha Mazowieckiego, otwarte drzwi dla wszelkiej maści przekrętów, złodziei i to na wysokich stanowiskach. Zero odpowiedzialności. Prawnicy — są to przecież rodzinne klany. Uchwalają bezprawie i go pilnują, to jest ich biznes, a istnieją od zakończenia II wojny światowej, nikt ich nie rozliczył. Szkolnictwo leży, służba zdrowia wyjeżdża i leży oraz dba, aby chorych było coraz więcej, też chodzi o pieniądze. Przemysł został w większości zdecydowanie zniszczony, sprzedany i rozkradziony. Duża to zasługa Janusza Lewandowskiego, jak i aktualnie zarządzających PO i PSL. Można dużo wyliczać.

Musi się zmienić prawo i bardzo dużo prawników. Podstawowe punkty prawa powinien ustalać naród, a prawnicy mieliby ich pilnować i egzekwować. Należy walczyć o mocne okrojenie senatu — o 75% oraz sejmu — o 50%.

W kraju największy zakład pracy to biurokracja, minimum 50–60% do likwidacji. Należy zabiegać o powstanie — tak jak przed wiekami — rad starszych na szczeblu wojewódzkim i krajowym z uprawnieniami takimi, aby ludzie mieli się do kogo odwoływać i można by odwołać osobę pełniącą funkcję publiczną, jeżeli działała ona na szkodę państwa i narodu polskiego.

Zlikwidować immunitety, aby wszelkiej maści cwaniaczki i złodzieje robiący przekręty oraz bezczelni magnaci i hrabiowie nie mogli się za tym kryć i śmiać się narodowi polskiemu w twarz. W tej chwili następuje planowy rozkład państwa polskiego oraz niszczenie i zmuszanie do emigracji narodu. W czasach Wilczka powstał związek spółek skarbu państwa, który — jak widać na dzień dzisiejszy — stał się bardzo sprawnym tworem przystosowanym do wielkich defraudacji, kradzieży i przekrętów bez żadnej odpowiedzialności. Jest to piękny temat do napisania dużej powieści kryminalnej.



Władysław Jerzy Trzciński — ur. 23 marca 1942 r. w Warszawie na Żoliborzu. Na Wybrzeżu mieszka od 1945 roku. Wykształcenie średnie. Od 1961 zatrudniony w Żegludze Gdańskiej. Pracował na przystani w Gdyni. Później pływał na tramwaju wodnym po Bałtyku. W 1980 był kierownikiem zespołu magazynów handlowych PSS „Społem". Żona, piątka dzieci. Popierał strajki sierpniowe 1980 roku. Organizator Solidarności w „Społem" — przewodniczący zakładowej Komisji Solidarności PSS „Społem" w Gdyni, wojewódzki szef Solidarności i szef krajowej sekcji pracowników „Społem". W 1981 roku zatrzymany i skazany na 9 lat więzienia, 5 lat pozbawienia praw publicznych i przepadek mienia. Odsiedział w więzieniu w Gdańsku i Koronowie 1,5 roku. Na skutek szykan z całą rodziną wyjechał do USA. W 1993 roku wrócili do Polski. Nadal pracuje, teraz jako dealer samochodów Renault.

Rodzina pochodziła w Warszawy i z Kujaw. Wojnę przeżyłem w Warszawie, po upadku powstania warszawskiego przenieśliśmy się z matką do Aleksandrowa Kujawskiego (do jej rodzinnego domu).

Na Wybrzeże trafiliśmy w 1945 r. W Gdańsku trudno było znaleźć miejsce do zatrzymania się, więc w rezultacie zamieszkali w Stargardzie Gdańskim. Tam uczęszczałem do szkoły podstawowej i liceum. Po ukończeniu liceum podjąłem pracę w Żegludze Gdańskiej (ok. 61 r.). Zaczynałem od podstaw: najpierw jako stażysta, potem zastępca kierownika przystani na Skwerze Kościuszki. Po pewnym czasie zrezygnowałem. Potem wyrobiłem książeczkę żeglarską i pływałem na tramwaju wodnym po Bałtyku (do Leningradu).

W „Społem", gdzie pracowałem, struktur organizacji typu KOR, ROPCiO nie było, ale miałem świadomość, że istnieją. W 1980 r. miałem na utrzymaniu żonę i trójkę dzieci. Mieszkałem z rodziną w mieszkaniu otrzymanym od teściów (tym samym, w którym mieszkamy do dzisiaj). Żona w tym czasie również pracowała, więc rodzina miała zapewnione względnie dobre warunki bytowe. Przed sierpniem 80 r. uczestniczyłem w luźnych spotkaniach z Ewą Kubasiewicz i ludźmi, którzy później byli aktywni podczas strajku, ale to nie była zorganizowana działalność czy przynależność formalna.

W połowie sierpnia 1980 roku, kiedy strajkowały poszczególne zakłady, zebrałem w „Społem" ludzi, z którymi utworzyliśmy komitet założycielski popierający Stocznię Gdańską i Gdyńską. Na tym zebraniu podjęto uchwałę o wydelegowaniu mnie do kontaktu ze Stocznią Gdańską. W Stoczni otrzymałem dyspozycję, że pracownicy PSS „Społem" mogą tylko popierać strajk, nie strajkować czynnie, ponieważ zwykli ludzie nie powinni odczuć strajku. Na ladach sklepów stały więc wazoniki z chorągiewkami oraz logiem Solidarności. Klienci odnosili się z szacunkiem do decyzji popierania strajku. Dzięki takiej postawie załogi „Społem" można było dostarczać żywność do strajkującej Stoczni im. Komuny Paryskiej.

Regularnie jeździłem do Stoczni Gdańskiej na konsultacje (odbywały się one w sali BHP). Załoga PSS „Społem" cały czas pracowała, tylko w przerwach rozmawiali, m.in. o założeniu związku zawodowego.

Widząc w Gdańsku problemy zachodnich dziennikarzy w kontakcie z przywódcami strajku, zwróciłem uwagę na potrzebę zorganizowania dla nich tłumacza i pomogłem nawiązać z nim kontakt. Dzięki tej interwencji dziennikarz z New York Timesa przeprowadził cykl wywiadów z obydwoma stronami sporu — dostał za to nagrodę Pulitzera.

Organizowałem Solidarność w PSS „Społem". Po strajkach zostałem przewodniczącym zakładowej Komisji Solidarności PSS „Społem" w Gdyni, wojewódzkim szefem Solidarności i szefem krajowej sekcji pracowników „Społem".

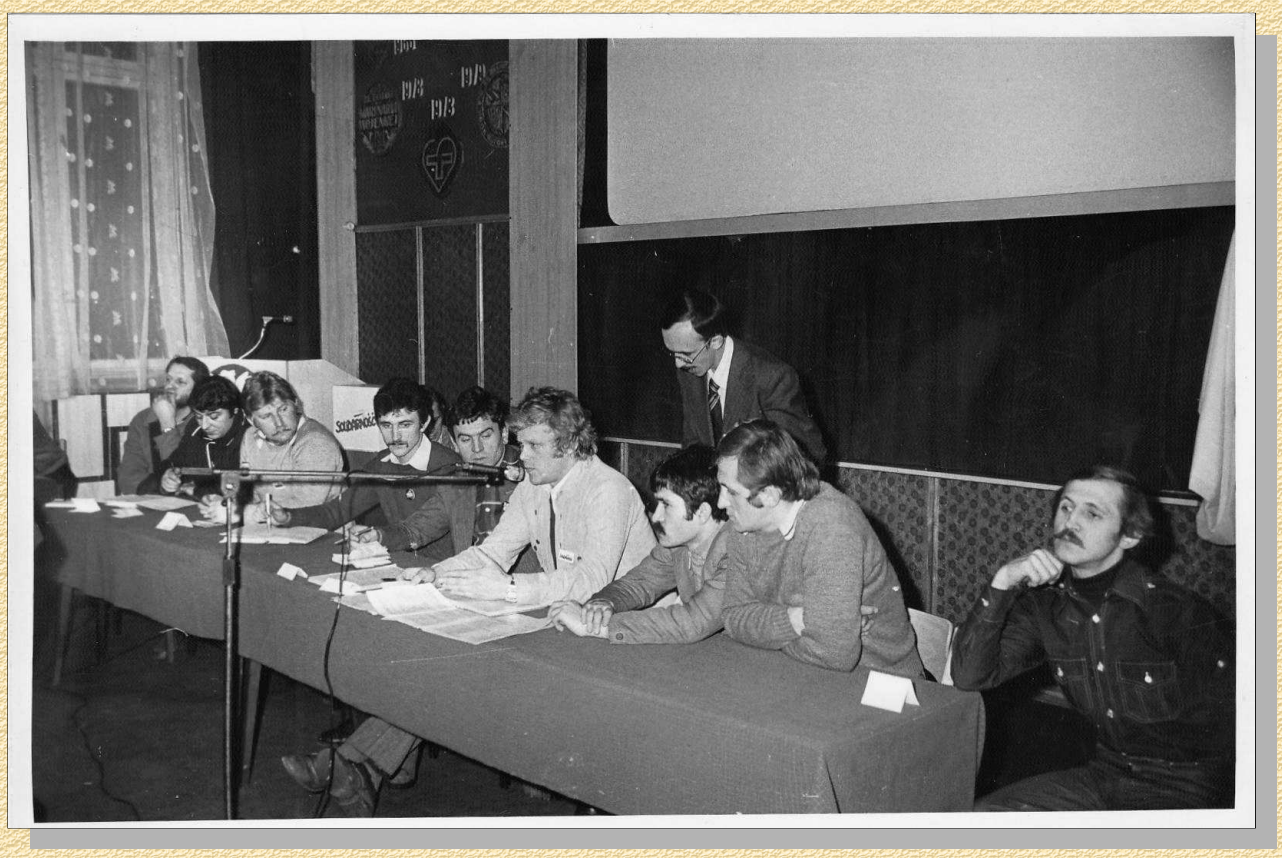
Od ogłoszenia decyzji o wprowadzeniu stanu wojennego ukrywałem się u różnych osób. 20 grudnia 1980 r. zostałem zatrzymany i osadzony w więzieniu pod zarzutem przewożenia samochodem materiałów godzących w ustrój. Na rozprawie nie zostało to udowodnione, mimo tego zostałem skazany na 9 lata więzienia, 5 lat pozbawienia praw publicznych i przepadek mienia. Razem ze mną aresztowano grupę 12 działaczy skupionych wokół Ewy Kubasiewicz. Wszyscy dostali wysokie wyroki. Odsiedziałem w więzieniu 1,5 roku. Byłem osadzony w więzieniach w Gdańsku i Koronowie (w ostatnim było szczególnie ciężko, ponieważ byli tam osadzeni najgroźniejsi przestępcy).Wyszedłem na wolność na podstawie rewizji nadzwyczajnej wyroku przez SN wojskowy w Warszawie.

Po wyjściu z więzienia działałem bardzo aktywnie. Spotykało mnie za to dużo szykan, które trafiały również wprost w moją rodzinę. Troską o bezpieczeństwo rodziny (żona oraz piątka dzieci) była podyktowana decyzja o wyjeździe za granicę. Cała rodzina spędziła kilka lat w USA.

W 1993 roku wraz z rodziną wróciłem do Polski, z ogromnymi nadziejami na lepsze.

Koledzy z działalności opozycyjnej byli wówczas u władzy. AWS z Krzaklewskim okazał się jednak koszmarem. Ocena „okrągłego stołu" jest bardzo pozytywna: nie było innej możliwości wyjścia z tej sytuacji. Po powrocie ze Stanów pracowałem jako dealer Renault, nadal pracuję, ponieważ emerytura jest zbyt niska.

Postulaty sierpniowe, w mojej ocenie, w pełni odzwierciedlały ówczesną rzeczywistość, to czego ludzie pragnęli. Dawały gwarancję na to, że zostaną spełnione, były rękojmią przyzwoitej przyszłości dla mnie i dla rodziny. Były to proste i jasne prawa, które stworzyłyby warunki do dobrego funkcjonowania.



Zygmunt Tworkowski — ur. 2 maja 1951 r. w Gościnie. Ukończył szkołę zawodową w Kołobrzegu, Technikum Budowy Okrętów w Gdyni. Mieszka w Rumi. Od 1968 pracował w Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni, po jej likwidacji w różnych spółkach: Eurorust, Rubo. Uczestnik wydarzeń Grudnia 1970 w Gdyni oraz strajku sierpniowego w Stoczni. Po 43 latach pracy przeszedł na emeryturę.

W 1970 roku pracowałem na wydziale K-2 na pierwszym przelocie i już czuć było, że coś będzie, że w powietrzu coś pachnie, takie było wyczekiwanie. Jak zauważyliśmy grupę, potężną grupę ludzi wychodzącą z doku D-1, to zaczęto zamykać bramy na wydziale K-2, ale myśmy otworzyli no i ruszyliśmy wszyscy razem pod dyrekcję. Najpierw ruszyli kadłubowcy, później wyposażenie. Wtedy, mój kolega Jasiu Wertepny, zamknął dyrektora Tymińskiego w gabinecie. Klucz wyrzucił. Jasiu dalej żyje, jest na emeryturze.

Później wyszliśmy na miasto przez port. Byłem we wszystkich punktach, pod PZPR-em, tam gdzie teraz chyba jest ZUS. Jak nas wezwano do pracy 17 grudnia, wysiedliśmy z kolejki i szedłem do pracy razem z Zygmuntem Polito, który był spawaczem na K-2 na trzecim przelocie, i on zginął. Mieszkał na ulicy chyba Kochanowskiego.

Jak zaczęli strzelać, nie stałem na wiadukcie, już przeszedłem aż za pałąki mostu i wtedy ostro strzelano. Wszędzie tylko huczały kule i myśmy się wycofali na peron, gdzie stał pociąg. Chwyciliśmy za kamienie i zza pociągu rzucaliśmy. Na peronie jeszcze był żółty, murowany budynek, w którym wszystkie szyby wyleciały. Wycofaliśmy się z pociągiem do Gdyni. Znalazłem się w Gdyni z moim kolegą Jasiem Zarębą aż chyba przy Urzędzie Miasta. Wracając stamtąd szliśmy ulicą Czerwonych Kosynierów i na klatce schodowej stała grupa starszych państwa i starszy mężczyzna i nagle młody chłopak pada przy drzewie na chodniku. Mózg rozlany na płytach chodnikowych. Ja go złapałem za nogi, Jasiu Zaręba za ręce i pociągnęliśmy do klatki schodowej i wtedy ten pan powiedział, że jest lekarzem i stwierdził zgon. Mnie się zrobiło źle, nawet wymiotowałem, bo pierwszy raz widziałem mózg i krew.

Położyliśmy zmarłego przy schodach, a kiedy szła grupa ludzi z wiaduktu — stoczniowcy z flagą — zamoczyli tę flagę we krwi i wzięli zwłoki chłopaka najpierw na ramiona. Następnie wyrwano drzwi, takie kremowe i położono go na drzwiach. Przeszliśmy przez dworzec na ulicę Jana z Kolna, ale ta była zagazowana i nie mogliśmy przejść. Cofnęliśmy się i przechodziliśmy Świętojańską. Cały pochód zatrzymał się przy kościele Najświętszej Maryi Panny. Byłem wtedy przy drzwiach, pierwszy z lewej wskoczył do kościoła, ściągnął z ołtarza drewniany krzyż z podstawką, postawiono go między nogami zabitego i przeszliśmy jakieś 200–300 metrów. Kordon milicji zatrzymał nas, były jakieś tam negocjacje, puścił nas. Drugi kordon już nie puścił. Ten młody człowiek został na kostce bazaltowej położony na drzwiach, no i nas pałami rozgoniono. To było przed Urzędem Miasta. Ja z Janem Zarębą akurat trochę tam dostaliśmy pałą i uciekliśmy do góry na czwarte piętro. Chcieliśmy, by nas wpuszczono do mieszkania, bo już na klatce był gaz, ale otworzyła nam kobieta mówiąc, że to jest mieszkanie wojskowe. Musieliśmy uciekać stamtąd. Przy Prezydium myliśmy ręce śliną, bo sprawdzali nam łapy, czy rzucaliśmy kamieniami. Na ul. Władysława IV stały skoty. Szliśmy powoli przez dworzec, bo na Wzgórzu Nowotki była straszna ruchawka, normalna wojna. Z Gdyni już nic nie kursowało do Chyloni, więc doszliśmy pieszo torami do Rumi. Co ciekawe, zwolniono nas z pracy na dwa tygodnie, a po dwóch tygodniach dostałem przepustkę. Kazano nam się tam zgłosić do weryfikacji i przyjęto nas do pracy. Przeszedłem w stoczni od robotnika po brygadzistę, potem od kierownika oddziału aż do kierownika wydziału w Euroruście.

Rok 1980 natomiast był bardzo ciekawy. Brałem udział wszędzie i we wszystkim, nawet chodziłem do drukarni, gdzie Irek Brzoskowski drukował ulotki i różne pisma. Pracowałem wtedy na wydziale W-8 i nawet robiliśmy ławki przed bramą dla strajkujących,

ściągnęliśmy platformy i robiliśmy zadaszenie nad platformą. Strajk zorganizował Andrzej Kołodziej, który prawdopodobnie tylko kilka dni pracował na K-1 i podziwiałem tego człowieka. Młody, kudłaty człowiek, a gadanego miał niemożliwego. Gadał dwa dni chyba bez przerwy na wózku akumulatorowym, co mnie się tam podobało.

Jak Wałęsa już chciał zakończyć strajk, bo wywalczył 10 czy 15% podwyżki, to rozmawialiśmy, że nie może być tak, bo nie wszystko jest załatwione, bo papu nie jest najważniejsze i Andrzej Kołodziej z grupą ludzi został oddelegowany do Gdańska. Pojechał z Kozickim i Mierzejewskim i odwołali to wszystko.

Uważam, że ten strajk w 80 roku u nas w stoczni w Gdyni, to na pewno zasługa Kołodzieja i innych ludzi, ale głównie Kołodzieja, bo był niemożliwie odważny. Stocznia była kupą SB-ków i partyjnych, a starsi ludzie byli zastraszeni. W 1980 roku ludzie szli odważnie, bo już tej komuny mieli dosyć. Średnia wieku w stoczni to były 24 lata. Na wydziałach kadłubowych bardzo młodzi ludzie byli. Także dwa tygodnie strajkowaliśmy i później spokojnie ruszyliśmy do pracy.

Nastał 1981 rok, część stoczniowców wyszła, gdy ogłoszono stan wojenny, a myśmy zostali całą noc. Wtedy Pławiński, bardzo porządny człowiek, pracował na elektronice, siedział z nami do końca. Nigdy się nie bałem, ani w 1970, ani w 1980, ale w 1981 miałem stracha, jak wjechali tymi czołgami. Czołgi stały przy przychodni, zryli wszystko przy straży pożarnej i nas nad ranem wygoniono ze stoczni. Pałami bili w te swoje tarcze, to w nocy dawało taki straszny odgłos, to celowa robota była tych łobuzów.

Moja żona myślała, że mnie zamknęli, bo wróciłem do domu koło 12-tej. Jeszcze jako ciekawostkę dodam, że byłem wtedy zastępcą przewodniczącego Solidarności na wydziale W-8. Dwa tygodnie przed ogłoszeniem stanu wojennego wezwano grupę stoczniowców, między innymi mnie, na Świętojańską chyba do WKU i zabrano nam karty mobilizacyjne. Myśmy o tym nie wiedzieli, co się szykuje. Mówiłem, żeby jeszcze książeczkę wzięli, to bardzo brzydko nas potraktowano. No i po dwóch tygodniach ogłoszono stan wojenny. Także raczej chyba byłem człowiekiem niepewnym, bo do wojska wszystkich brano, a pewnej grupie zabrano karty mobilizacyjne, by nikt obcy nie dostał się w szeregi ludowego wojska polskiego.

Pracowałem w stoczni od 17 roku życia, przepracowałem 43 lata, do samego końca i żal mi stoczni, że taki łajdak — jak Tusk i Grat — przy pomocy związków zawodowych prowadzili jakieś kłótnie i rozmowy, a na tym kto inny skorzystał. Likwidacja stoczni to było największe łajdactwo, bo zlikwidowali przemysł, parowóz, który ciągnął to wszystko, ale zlikwidowali również myśl techniczną, kilka wydziałów na politechnice, technika, zawodówki. Młodzież teraz nic nie potrafi, nie można porozmawiać ani o statkach ani o przemyśle, nie wiedzą, co to dziób ani co to rufa statku.

„Okrągły stół" to była taka zdrada narodowa. To było podzielenie się władzą, początek zła. Podzielili się nietykalnością, gospodarką. Nie można było skazać przestępców typu Jaruzelski, Kiszczak. Do tej pory to jakieś niepisane prawo nad tym panuje, że to są nietykalni ludzie, to jest straszny błąd. „Okrągły stół" i gruba krecha oczywiście.

Stoczniowców straszne zniszczono, bardzo dużo ludzi popełniło samobójstwa, miało zawały. Ja sam miałem wylew krwi do mózgu, leżałem dwa tygodnie bezwładny. Ludzie przeżywali to, bo brali kredyty, mieli pewną pracę. Zniszczono nie tylko stocznie, wszystkie zakłady w ogóle, zniszczono Cegielskiego, całą kooperację. Uważam, że to było przestępstwo, że Tusk zrobił prawie tyle samo co Hitler, to jest normalny łajdak! On i oczywiście jego partia rządząca!



Andrzej Tyrka — ur. 3 maja 1955 w Gdyni. Pochodzi z rodziny robotniczej. Praktykujący katolik. Wykształcenie zawodowe. Od 1973 roku pracował na kolei. W latach 1975–77 był w wojsku. Później podjął pracę w Stoczni Komuny Paryskiej na stanowisku ślusarza remontowego, mechanika maszyn i urządzeń okrętowych. Uczestnik strajku sierpniowego 1980 roku w Gdyni. Kontakty z księdzem Skierką. Od 1983 członek Solidarności Walczącej, wcześniej w NSZZ „Solidarność". Czeka na emeryturę.

W latach 70-tych w żyło się w miarę. Potem ludzie zaczęli odczuwać frustrację. Ciągłe kolejki po meble i inne sprzęty powodowały jeszcze większą niechęć ludzi do otaczającej rzeczywistości. Sam pamiętam moment, kiedy z żoną staliśmy całą dobę po telewizor. Trzeba było pracować w nadgodzinach, sklepy puste i mimo że miało się pieniądze, nie mogliśmy nic kupić. Kolejki po meble, telewizor.

Przed 1980 rokiem przyjmowałem prasę, ulotki, książki, zbierałem pieniądze dla ludzi.

Kiedyś wracałem od kolegi, z którym to rozprowadzaliśmy i poszedłem na kolej. Wiedziałem, że mam „ogon", zrobiłem zmyłkę zamiast na kolej do Gdańska pojechałem do Wejherowa, ale nie wsiadłem, dojechałem do przystanku Gdańsk Stocznia, czekali mnie, ale nie zatrzymali, ale wewnątrz czułem, że jakby podeszli, to nie wiadomo, co by się stało.

Nie miałem jakiegoś konkretnego autorytetu. Dopiero po strajku 1980 roku przejrzałem na oczy. Zobaczyłem, jak wygląda sytuacja, że potrzeba coś zmieniać. Moim priorytetem, wolą stała się walka o lepszą Polskę, o zmiany w systemie.

W roku 1980 jechałem na drugą zmianę. Był czwartek lub piątek i zostałem już w Stoczni do końca sierpnia. Zorganizowano to bardzo dobrze. Było jedzenie, dwie otwarte stołówki. Raczej się nie bałem. Żona na pewno się martwiła, przychodziła pod Stocznię. Nawet byłem przepustce, żeby taką dostać, trzeba było się zarejestrować u przełożonego. Większość strajkowała. Ludzie odczuwali pewnie jakiś strach, ale wiedzieli, że dzieje się coś ważnego. Pełniłem wartę na terenie Stoczni, żeby nikt niepowołany nie przedostał się do nas.

Wszystko było dobrze zorganizowane, był Komitet Strajkowy, w którym byli Pławiński, Pawelec, Slezyngier. Ogólnie 39 osób. Po 3–4 dniach od rozpoczęcia strajku zaczęła działać drukarnia, władze zrzucały ulotki z helikoptera, nawołujące żeby nie strajkować. Sam łapałem te ulotki, w których przestrzegano nas przed strajkiem.

W wolnym czasie ciągle coś się działo. Przyjeżdżali artyści, śpiewano piosenki patriotyczne, odbywały się msze. Pierwszą mszę odprawił ks. Ryba i ks. Jastak. Byli kurierzy, którzy przynosili informacje ze Stoczni im. Lenina. W czasie strajku nie było konfliktów. Wszyscy byli solidarni.

Podczas strajku nie miałem kontaktów z policją. Poza strajkiem pamiętam takie sytuacje. Dwa razy byłem aresztowany, raz na 10 h w Gdańsku na Okopowej siedziałem. Drugi raz na 48 godzin za zorganizowanie strajku. Na ul. Portowej SB mnie podduszało. Raz była rewizja w latach 80-tych, gdy zatrzymano mnie na 48 godzin. Na szczęście nic nie znaleźli.

Gdy podpisano porozumienie, towarzyszyło mi uczucie, że wreszcie się skończyło — wygraliśmy. Myśleliśmy, że będzie inaczej, była nadzieja, że będzie lepiej.

Od 1983 byłem w Solidarności Walczącej, wcześniej w NSZZ „Solidarność". I do dziś jestem.

Początkową działalność Solidarności oceniałem dobrze. Wstąpił we mnie jakiś duch, że trzeba coś zrobić dla kraju. Pod wpływem tych wydarzeń w Stoczni. Większość ludzi przystąpiła do strajku.

Po zakończeniu strajku nie było represji, tylko po wprowadzeniu stanu wojennego do Komitetu Dzielnicowego trzeba było się zgłosić o wydanie przepustki na wejście do Stoczni. W styczniu musiałem po taką przepustkę pójść.

Wszystkie postulaty były ważne, każdy z osobna był istotny. Największym osiągnięciem Solidarności były wolne związki zawodowe. Fakt, że będzie można je zakładać. Nadzieja na poprawę bytu robotnika. Po strajku pracowaliśmy normalnie, związki zawodowe zaczęły działać i to była istotna zmiana.

Kiedy ogłoszono stan wojenny, szliśmy do pracy, noc była mroźna 15–20 stopni. Pamiętam, miałem wartę na wieży traserskiej, która ma rzutnik i rzuca światło na plac, gdzie odrysowane były szablony do produkcji blach i konstrukcji okrętowych. Była godz. 2 lub po 2 w nocy. Byłem bardzo zmarznięty, mieliśmy telefony, czuliśmy, że coś może się wydarzyć. Wojsko jechało ulicą Marchlewskiego (teraz Wiśniewskiego), zeszedłem na warsztat. Rozdzwoniły się telefony z informacją, że wszyscy mają iść pod bramę stoczni. Zmarznięty stanąłem ok. godz. 3 pod bramą stoczni. Staliśmy tak pod tą bramą. Każda z bram stoczni obstawiona była wojskiem i milicją, przez głośniki nawoływali nas do opuszczenia Stoczni. Byliśmy skupieni w jednym miejscu, pamiętam do dziś moment, kiedy zomowcy szli na nas, a ja stałem w pierwszym szeregu naprzeciw nich. Patrzyliśmy sobie w oczy z odległości 1,5 metra i myślałem, że albo będzie walka, albo zginę. Zomowcy mieli oczy podkrążone, z buzi ciekła im ślina. Staliśmy i patrzyliśmy na siebie. Ludzie faktycznie zaczęli wychodzić, kazali nam się ubrać po cywilnemu. Około 5.30 opuściłem teren zakładu. Oczywiście wozy opancerzone były rozgrzane, co powodowało huk, szum. Żołnierze również byli zmarznięci do kości. Poszliśmy w końcu do domu.

Stan wojenny przekonał mnie bardzo mocno do tego, żeby działać jeszcze intensywniej. Wprowadzenie stanu wojennego odebrałem jako zamach na ludzi pracy, na cały naród.

Jestem zdecydowanym przeciwnikiem „okrągłego stołu" do dziś. Uczestniczyłem w czerwcowych wyborach.

Dzisiaj mamy wszystko w sklepach, wiec łatwiej się nam żyje. Ludzie jednak za długo pracują, po 12 do 16 godzin. I tymi godzinami się wyrabia pensję. Problem z młodzieżą, której bardzo dużo wyjechało. Młodzi ludzie mają ciężko. Młodego człowieka dopiero się uczy pracy, gdy ją znajdzie. Brak szkół zawodowych kształcących poszczególne specjalności, dobrych rzemieślników.

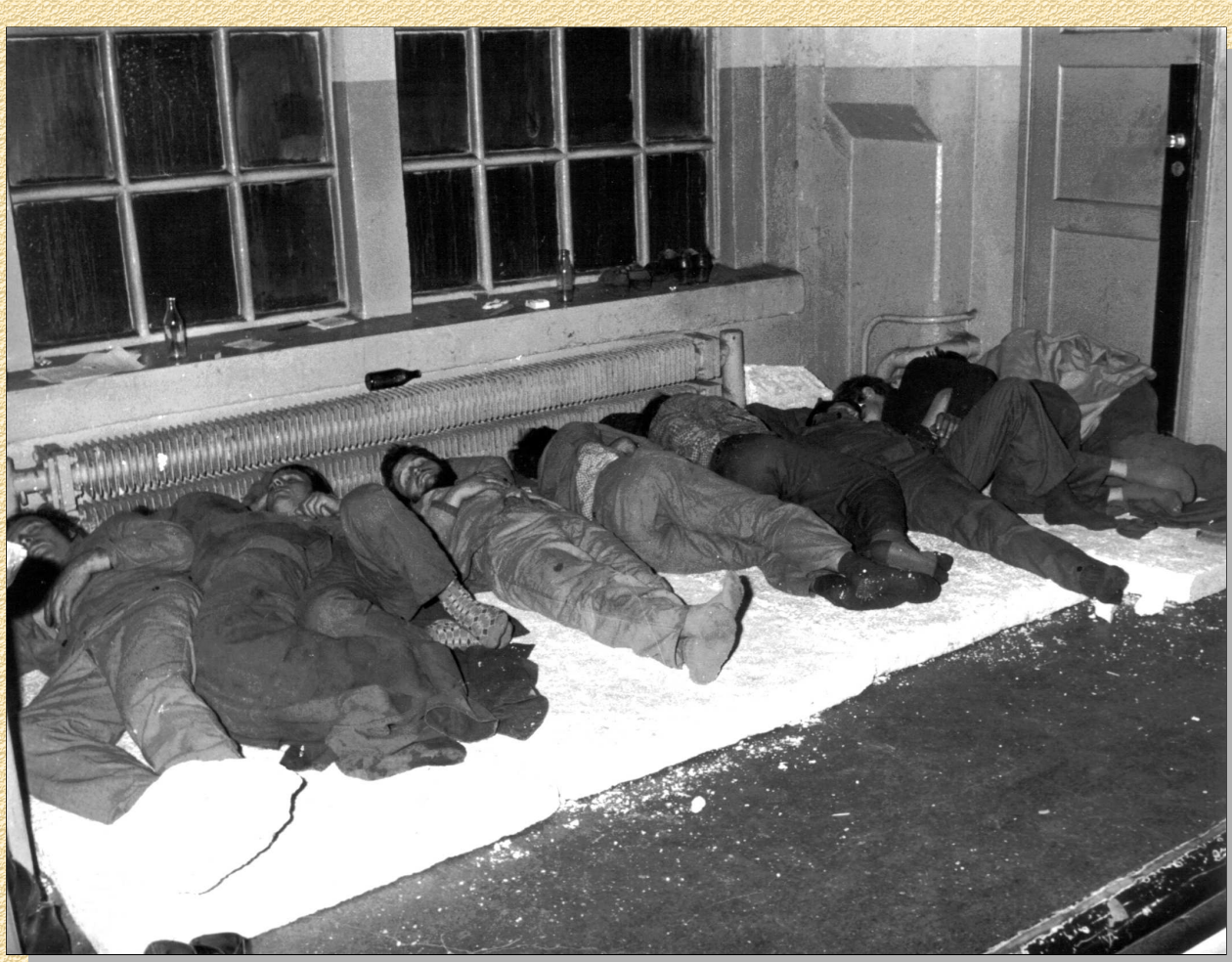
Jestem zadowolony z tego, że coś zrobiłem dla Polski, nie stałem z boku. Uczestniczyłem aktywnie w tym, co się działo.

Dzisiejsza Solidarności, to nie to co kiedyś — ruch 10 milionów ludzi. Przyjmując do związku zawodowego, trzeba sprawdzać, kogo się przyjmuje, a nie przyjmować każdego, aby tylko było więcej członków. Nie patrzeć tylko na to, żeby więcej składek można było uiszczać, tylko na budowanie jakości związku.

Jestem dumny z uczestnictwa w ruchu Solidarności, mamy Polskę wolną i niepodległą.

Największą porażką Solidarności jest to, że ruch się rozpadł (ten pierwszy). Gospodarka po 1989 roku jeszcze bardziej padła. Plan Balcerowicza zamknął nawet te zakłady, które funkcjonowały dobrze.

Największą bolączką obecnie jest: gospodarka, służba zdrowia, wiek emerytalny, umowy śmieciowe, działalność gospodarcza i problemy z jej prowadzeniem. Szkoda mi młodzieży i dlatego bym pomógł. Walczyłbym.



Kazimierz Waldowski — ur. 12 kwietnia 1949 r. w Donimierzu. W Gdyni mieszka od 32 lat. Katolik. Pod koniec 1980 roku zawarł związek małżeński. Czwórka dzieci. Skończył technikum. Pracował w Porcie Gdynia na stanowisku dokera od 1968 roku. Był członkiem KOR. Uczestniczył w strajku sierpniowym 1980 roku. Do 1991 roku pracował w Porcie Gdynia jako brygadzista. Od 2014 na emeryturze. Jeden z założycieli Solidarności Rolników Indywidualnych.

Rodzice prowadzili gospodarstwo rolne ok. 10 ha. Ojciec walczył w I i II wojnie światowej. Wpajał mi katolickie wartości. Mówił mi: „Synu, ty jesteś młody, energiczny idziesz w moje ślady, masz dużo przyjaciół, ale wśród tych przyjaciół może być jedna czarna owca." Po latach okazało się, że miał rację. Było nas dziesięcioro. Byłem najstarszym synem, oprócz mnie była jeszcze o 2 lata starsza siostra. Musiałem zacząć pracować bardzo wcześnie. Nauczyciele widzieli, że mam talent. Ale ojciec potrzebował mojej pomocy, wiedział, tak jak nauczyciele, że jestem zdolny, wiedział też, że mimo wszystko dam sobie radę.

Od wczesnego dzieciństwa pracowałem na roli. Mając 14 lat zacząłem pracę w magazynie Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska". Byłem młody, ale szybko się uczyłem. Przełożeni to zauważyli i z czasem dawali mi coraz to nowe zadania. Pracowałem na niskim stanowisku, ale potrafiłem zastąpić nawet kierownika magazynu.

W 1980 roku nie miałem żony i dzieci. Mieszkałem w pokoju u rodziców. Po ślubie zmiana. Nie mogłem dostać mieszkania. Czwórka dzieci. Zarabiałem ponad 3000 tys. zł. Pomagałem rodzicom.

Po 1980 roku skończyłem technikum. Później kończyłem różne kursy i szkolenia.

Przed 1980 rokiem miałem kontakt z prasą opozycyjną. Ukrywałem bibułę w domu. Żona wiedziała, że mam kontakty z opozycją i że aktywnie działam. Pogodziła się z tym. Miałem przez to kłopoty, 2–3 razy milicja robiła w domu rewizje. Miałem w domu prasę zagraniczną, ukryłem ją w piwnicy pod ziemniakami. Milicjanci grzebali w ziemniakach, ale nic nie znaleźli. Represje za moją działalność dosięgły też członków mojej rodziny, moja siostra straciła pracę. Byłem przeciwko władzy i temu, co się dzieje. Przeciwko systemowi, nie przeciwko ludziom. Wśród członków PZPR też byli uczciwi ludzie.

Pracowałem na stanowisku dokera w Porcie w Gdyni, ale ze względu na to, że szybko się uczyłem i można było na mnie polegać, pracowałem na różnych stanowiskach. Często zastępowałem kolegów na ich stanowiskach pracy.

Podjąłem pracę w porcie m. in. po to, żeby móc uczęszczać na różne kursy i w ten sposób się doszkalać. Miałem jednak z tym duże problemy, ponieważ nie należałem do PZPR i moje podania odrzucano. Byłem pojętny i szybko radziłem sobie z nowymi obowiązkami, dlatego przełożeni interweniowali w mojej sprawie i w końcu wysłano mnie na kurs brygadzistów. Mimo jego ukończenia nadal nie zarabiałem zbyt wiele.

Byłem działaczem KOR. W rodzinie wiedział o tym tylko mój ojciec. Zaangażowałem się wraz z moimi kolegami. Kolportowaliśmy ulotki w zakładzie pracy.

W 1980 roku wiedziałem, że strajk się zaczął. Byłem wtedy na platformie przy stoczni w Gdyni. Widziałem wystąpienie pana Andrzeja Kołodzieja. Stoczniowcy przeszli przez nasz zakład. Powyłączali dźwigi tym, którzy nie chcieli przerwać pracy i zejść. Wróciłem do domu. Gdy kolejnego dnia jechałem do pracy, milicjanci wywołali mnie z autobusu. Wywieźli mnie do lasu i pobili. Wróciłem do domu i byłem tam 3 dni. Potem przyszedłem do zakładu. Organizowałem też Solidarność Rolników Indywidualnych.

Wiedziałem, że potrafię dać sobie radę. Bałem się o moją rodzinę. Wiedzieli, że chcę tam być. Żona wiedziała, co robię i się z tym pogodziła. Strajk był dobrze zorganizowany. Wszyscy sobie ufaliśmy i współpracowaliśmy ze sobą. Oficjalnie byliśmy solidarni i zjednoczeni. Była wtedy jedność. To było coś pięknego i nadzwyczajnego. Istniały między nami różnice, ale mieliśmy wspólne stanowisko.

Pamiętam moment podpisania Porozumień. Rozpłakałem się z radości. Na 80% wierzyłem, że ich pokonamy. Byłem zadowolony z tego, co się wtedy działo. To był dobry ruch. Kierownictwo zakładu nie stawiało nam większych przeszkód.

Największym osiągnięciem Solidarności mim zdaniem było to, że byliśmy zjednoczeni w walce o wspólną sprawę.

O wybuchu stanu wojennego dowiedziałem się od kolegi. Przyszedł do mnie w nocy i powiedział, co się dzieje. Musiałem zniknąć na 3 dni. Po trzech dniach dostałem wiadomość o tym, że z moim ojcem coś jest nie tak. Pojechałem do domu. Na przystanku autobusowym złapało mnie dwóch tajniaków, ale puścili mnie. Jak się okazało, tylko dlatego że w moim domu było wojsko. Straszyli moja rodzinę. Mówili, że organizuję przewrót i jestem buntownikiem. Chciałem to skonfrontować i zapytałem: „Skąd to wiecie?" Przeszukanie w domu nic nie dało. Kazali mi się zgłaszać, co jakiś czas. Stwierdziłem, że nie dam rady, bo muszę pracować, a każda dniówka potrzebna. Dali mi żyć. Upiekło mi się wtedy.

Wprowadzenie stanu wojennego cofnęło nas o parę lat. Było to bardzo złe. Mnóstwo ludzi zginęło niepotrzebnie. Dalej byłem w Solidarności. Milicja wiedziała, co robię. Wzywano mnie na przesłuchania i próbowano złamać. Chciano, żebym podpisywał niemal puste kartki. Nie dałem się. Podpisywałem tylko to, co zeznawałem i nic więcej. Jeden z milicjantów na przesłuchaniu bardzo się zdenerwował, kiedy wytknąłem mu, że robi błędy i nie chciałem podpisać prawie pustej kartki z zeznaniami u dołu strony (bałem się, że sfabrykują moje zeznania).

Do 1991 r. pracowałem w porcie jako brygadzista. Uczęszczałem na różne kursy.

Nie popierałem „porozumienia okrągłego stołu". Ja bym się na to nie zgodził. Nikt nie wie, co by było dalej. Różni ludzie byli przy „okrągłym stole", niektórych tam być nie powinno. Wiele rzeczy nie zostało załatwionych. Uczestniczyłem w wyborach czerwcowych.

Jestem na emeryturze. Działam społecznie i staram się pomagać ludziom. Sukces materialny — mieszkanie. Jestem wdzięczny żonie za to, że mnie wspierała przez te wszystkie lata, nie było to łatwe. Największym sukcesem jest dla mnie rodzina. Autorytetami są dla mnie ludzie, z którymi pracowałem i strajkowałem. Moi koledzy z pracy.

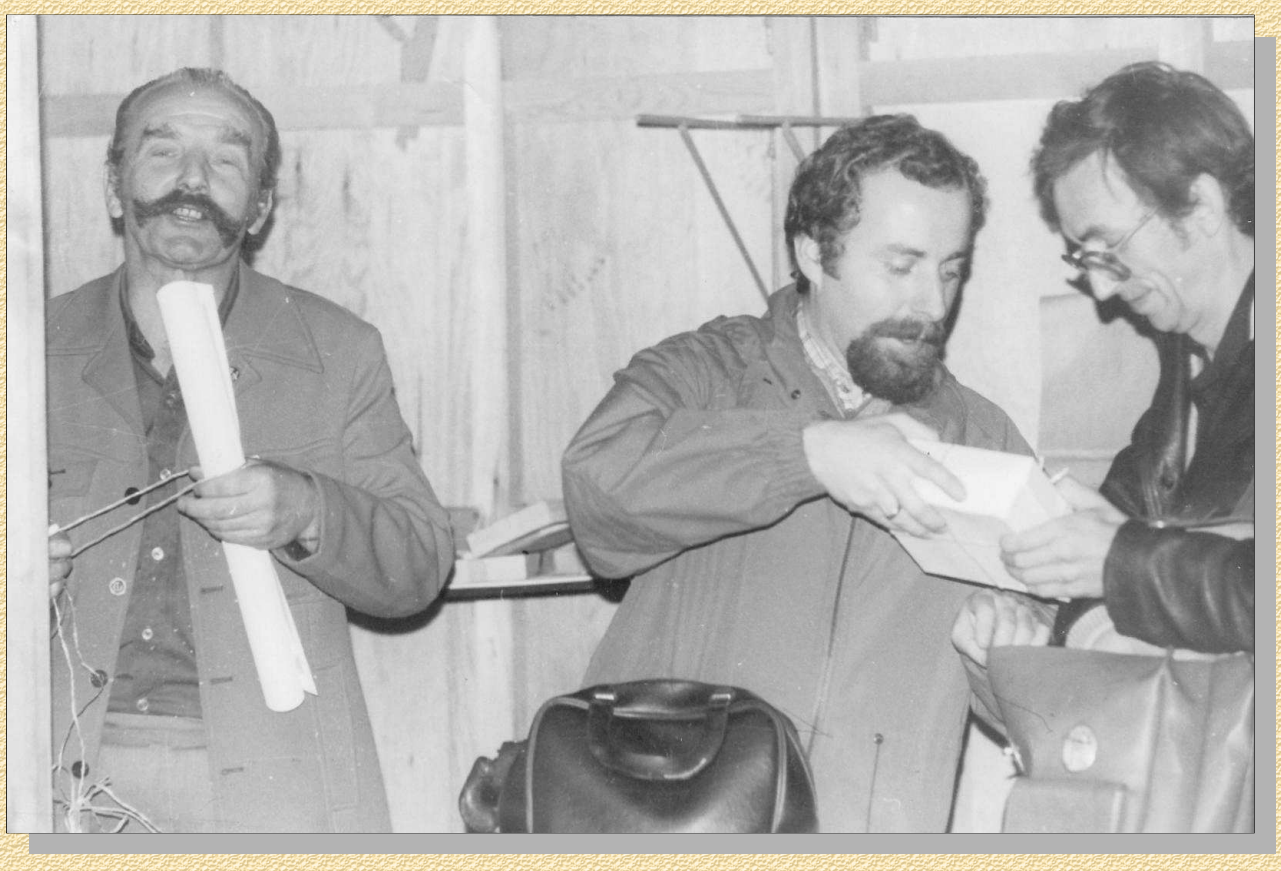
Jestem z tego dumny, że często wspierałem Solidarność, brałem udział w pikietach i manifestacjach. Walczyłem o dobro pracownika. Gdyby zaszła taka potrzeba, ponownie przystąpiłbym do strajku.

Nie wszystko w działaniach Solidarności było sukcesem. O istotnych dla ogółu rzeczach decydowała garstka ludzi, a oni byli różni. Solidarność powinna mocniej działać. Wiele rzeczy można było inaczej zrobić. Dziś nadal mamy wielkie ograniczenia od władzy. Nie możemy chociażby strajkować tak, by to przyniosło dobry efekt.

Nie uważam, żeby ostatnie 25 lat niepodległości wyglądało dobrze. Dobre jest to, że mamy wolność słowa. To jest sukces.

Chciałbym zmienić kodeks pracy i ustawę o związkach zawodowych. Tam, gdzie się dzieje krzywda, żeby można ją naprawiać. Należy moim zdaniem zlikwidować umowy śmieciowe. Edukacja jest niszczona, a służba zdrowia nie działa. Chciałbym doczekać lepszego traktowania pracownika przez pracodawcę. Pracownika nie można traktować jak przedmiot lub narzędzie do wykonywania pracy. Chciałbym, żeby tylu młodych ludzi nie uciekało za granicę w poszukiwaniu chleba.

Gdyby zaszła taka potrzeba, to natychmiast i bez wahania walczyłbym w każdy możliwy sposób.



Albina Wiktorska zd. Litwinowicz — ur. 7 marca 1950 w Gdańsku (Święty Wojciech). Pochodzenie robotnicze. Wykształcenie wyższe (filologia polska i studium bibliotekarskie). Należała do związków zawodowych CRZZ i do Towarzystwa Religioznawczego. Wyznanie rzymskokatolickie — praktykująca. Od 1973 roku pracowała w bibliotece Wyższej Szkoły Morskiej w Gdyni jako bibliotekarka — kierownik działu udostępniania. Przedtem krótko pracowała w recepcji w hotelu „Monopol", w „Batorym", jako sprzedawczyni w Domu Książki. W 1987 r. podjęła pracę w bibliotece Akademii Muzycznej w Gdańsku. Popierała strajki sierpniowe 1980 roku. Członek NSZZ „Solidarność". Współtworzyła struktury związkowe w swoim zakładzie pracy. Obecnie na emeryturze.

Rzeczywistość przedstrajkową w 1980 roku oceniam bardzo negatywnie. Odczuwałam ukierunkowaną nienawiść do komunistów. Od 1970 r. wiedziałam, że coś się musi zmienić. Byłam w kontakcie z Andrzejem i Joanną Gwiazdami, Ewą Kubasiewicz, Stanisławem Kowalskim itp. Słuchałam z całą rodziną RWE i BBC. Na wybory chodziłam i skreślałam zawsze osoby z góry listy.

Docierała do mnie prasa podziemna ze Stoczni Gdańskiej. Miałam kontakt zarówno z opozycjonistami (środowisko Gwiazdów), jak i z prasą.

Podwyżki przyjęłam obojętnie. Mąż był marynarzem i dobrze zarabiał. Poza tym nie przywiązywałam wagi do spraw materialnych.

W tamtym czasie moim autorytetem życiowym był prof. Bachórz — promotor pracy magisterskiej, papież Jan Paweł II, później też Andrzej Gwiazda i Stanisław Kowalski.

Biblioteka nie strajkowała. Codziennie wracając z pracy w bibliotece zatrzymywałam się pod bramą stoczni w Gdańsku, a następnie w Transbudzie. Jak się zaczął strajk, byłam przekonana, że zostanie zlikwidowany siłowo, jak w 1970 r. Ale mimo to uważałam, że trzeba brać w tym udział. Razem z Ewą Kubasiewicz ok. 18–20 sierpnia próbowałyśmy zorganizować strajk w bibliotece (mimo sezonu urlopowego). Chodziłyśmy po ludziach od pokoju do pokoju i otrzymywałyśmy informacje zwrotne, że większość osób się z nami zgadza. Następnego dnia zostałyśmy wezwane do rektoratu, gdzie zostałyśmy bardzo ostro potraktowane przez kierownictwo uczelni. Próbowano nas również bezskutecznie zastraszyć. Następnie próbowałyśmy namówić rektora Dudę, żeby wywiesił flagi na uczelni. Na zewnątrz się nie zgodził, ale wywiesił w holu. Ostatecznie dołączyłyśmy się do MKZ w Stoczni Gdańskiej, poparłyśmy ich postulaty. W stoczni do strajkujących przemawiała Ewa Kubasiewicz, która spotkała się z olbrzymim aplauzem. Byłam pod stocznią, jak Wałęsa ogłaszał podpisanie porozumienia — niesamowita euforia. Choć dalej czułam lekki niepokój, że komuniści tego tak nie zostawią.

Przystąpiłam do Solidarności. Współtworzyłam struktury w swoim zakładzie pracy. Odpowiadałam za komunikację wewnętrzną i zewnętrzną, prowadziłam punkt informacyjny MKS. Przewodniczącym Solidarności w zakładzie pracy był Mikołaj Kostecki.

Początkowa działalność Solidarności? Rozumowo trudno do tego podejść. To był czas kompletnej euforii. Czas poczucia, że w końcu ktoś się będzie z nimi liczył, że to się chyba jednak uda. Do Solidarności przystąpiła spora grupa. Nastawienie kierownictwa zakładu do nas było bardzo różne. W karnawale nie było już szantażu itp. Czuliśmy, że byli przeciwni Solidarności, ale nie mieliśmy poczucia, że przeszkadzają czy chcą zaszkodzić.

Gdy wprowadzono stan wojenny, byłam w zagrożonej ciąży. Od razu poszłam na zwolnienie lekarskie, więc w grudniu byłam w domu. To było niesłychanie straszne uczucie, obezwładniający strach. Szok trzymał do ok. godz. 12.00, później zdecydowałam się działać. Kostecki, który był już wówczas rektorem, podjął decyzję o strajku okupacyjnym. Co drugi dzień byłam łącznikiem i przekazywałam atmosferę ulicy do prasy podziemnej dla

S. Kowalskiego. Sprawdzałam również pod względem stylistycznym wydawaną przez niego prasę.

W czasie stanu wojennego kontynuowałam działalność, już w podziemiu, ale byłam na zwolnionych obrotach, bo miałam małe dziecko (Miłosza). Zajmowałam się „pisaniną". Miałam kontakt z Andrzejem Kołodziejem.

W 1987 r. podjęłam pracę w bibliotece Akademii Muzycznej w Gdańsku. Popierałam strajki, zaangażowałam się w drugą Solidarność. Z końcem wakacji 1988 założyłam NSZZ „Solidarność" w Akademii Muzycznej w Gdańsku.

Struktury „okrągłego stołu" popierałam umiarkowanie, bo byłam w bliskich relacjach z Gwiazdami.

Entuzjastycznie uczestniczyłam w czerwcowych wyborach.

Teraz jestem na emeryturze. Nigdy nie myślałam o pieniądzach, ale nie jestem biedna.

Dzieci są moim sukcesem życiowym. Moim autorytetem życiowym jest Jan Paweł II. Cenię też innych ludzi (np. Gwiazdów), ale do większości autorytetów straciłam zaufanie i twierdzę, że w 100% nie można zaufać prawie nikomu.

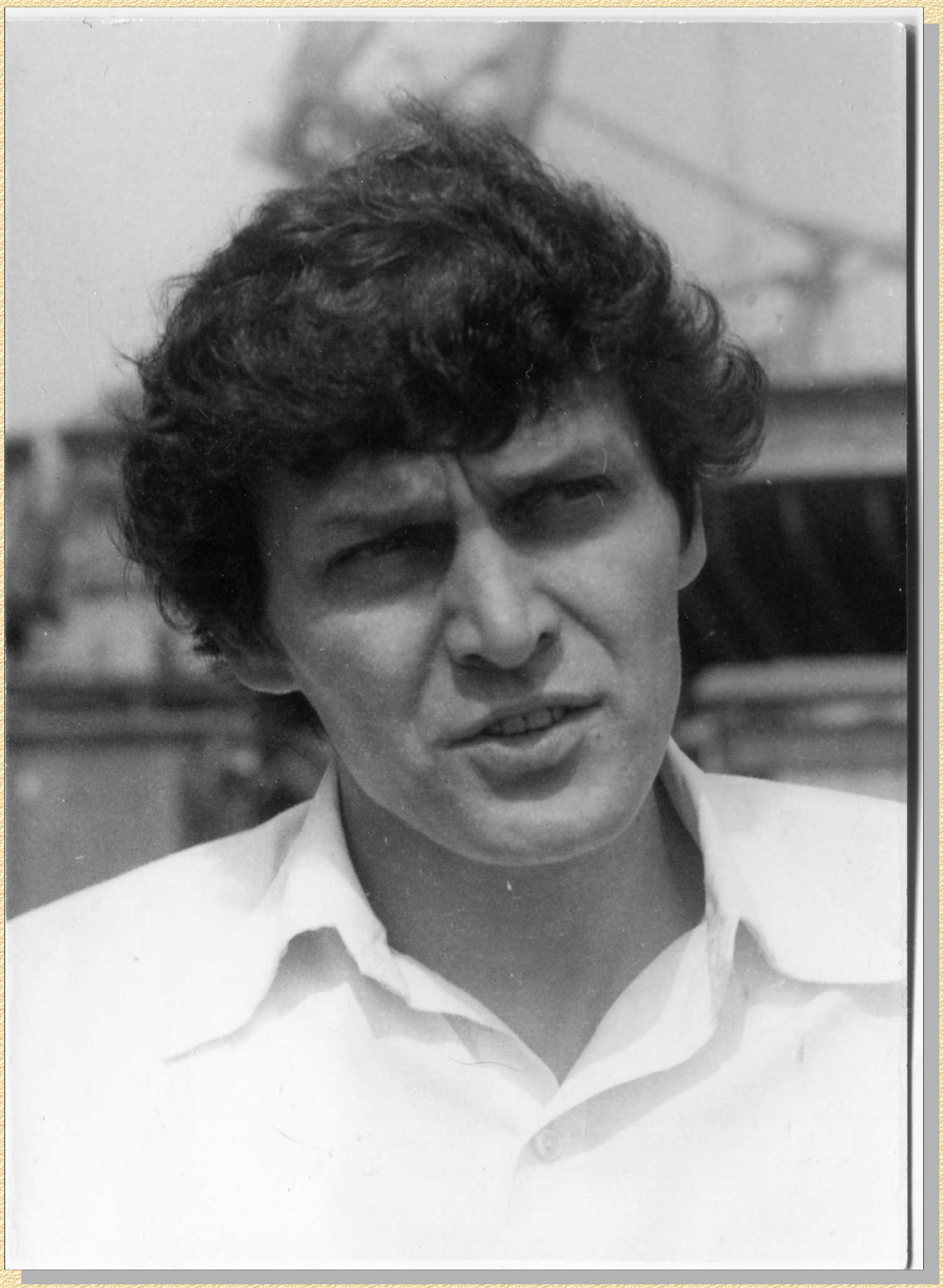
Zryw sierpniowy w 1980? W dalszym ciągu uważam, że było warto. To, że ktoś to zmarnował i nie poszło, jak było trzeba, to sprawa wtórna. Nie wyobrażam sobie innej drogi życiowej, jak ta z Solidarnością. Mając dzisiejsze doświadczenie życiowe, przystąpiłbym ponownie do takiego strajku, zrobiłabym dokładnie to samo.

Dzisiaj osiągnięcia Solidarności oceniam dosyć surowo. Wydaje mi się, że ideowi ludzie mieli zbyt małą siłę przebicia i że odpuścili ludziom, którzy od samego początku mieli zamiar wykorzystać osiągnięcia zmiany ustrojowej dla własnej korzyści, chcieli się wzbogacić na umowie magdalenkowej.

Jestem dumna z uczestnictwa w ruchu Solidarności. Także z działalności w SW. Ostatni okres 25 lat niepodległości oceniam jednoznacznie negatywnie. Pozytywnie oceniam tylko okresy rządów Olszewskiego i Kaczyńskiego.

Moje dzisiejsze postulaty strajkowe — kompletnie zmienić prawo, uprościć je. Przeprowadzić lustrację. Brak lustracji jest błędem fundamentalnym i powodem tego, co się dzisiaj dzieje. Choć z drugiej strony możliwe, że jest już za późno na lustrację i trzeba czekać, aż to pokolenie wymrze.

Nie wiem, czy zdecydowałabym się o to walczyć, czy miałabym siłę.



Stanisława Witkowska — ur. 8 maja 1946 r. w Jastrowie, woj. koszalińskie. Do Gdyni przyjechała na przełomie 1949/50 roku. Wyznanie rzymsko-katolickie — praktykująca i zaangażowana. Wykształcenie techniczne — mechanik budowy okrętów. Ukończyła kursy kreślarskie, pracowała w biurze projektowym na terenie Stoczni. Pracę w Stoczni im. Komuny Paryskiej rozpoczęła w 1968 roku. Świadek wydarzeń z 1968 i 1970 roku. Uczestniczyła w strajkach sierpniowych 1980 roku. Wstąpiła do NSZZ „Solidarność". Przepracowała 33 lata. Na emeryturze od 2000 roku.

Byłam członkinią Polskiego Towarzystwa Turystyki Krajobrazowej (PTTK). Organizowaliśmy wyjazdy turystyczne dla pracowników stoczni. Tata i brat Edmund słuchali Radia Wolna Europa. Tata czytywał prasę opozycyjną. Wiedziałam też, kto z moich kolegów aktywnie działa w opozycji. Religia była w naszej rodzinę bardzo ważna. Jesteśmy i byliśmy praktykującymi katolikami.

Pieniędzy nie było zbyt wiele. Kierownik naszego biura nie chciał nam załatwiać podwyżek. Mimo to radziłam sobie jakoś.

Byłam zadowolona ze swojej pracy. Jedyne, czego mi najbardziej w życiu brakowało, to własne mieszkanie. Otrzymałam je dopiero po 1980 roku.

Gdy w 1980 roku wprowadzono podwyżki, było wiadomo, że coś się szykuje. Kolejarze w Lublinie już strajkowali. Zastanawiałam się, kiedy będzie nasza kolej, kiedy zacznie się to w Stoczni. Czekałam na to. Kiedy zaczął się strajk, wszystko poszło błyskawicznie. Gdy stanęła Stocznia, stoczniowcy wzięli wiadra, pędzle, młoty i ruszyli pod biura dyrekcji. Uderzali narzędziami w wiadra i robili hałas, żeby dać znać o rozpoczęciu strajku. Przywódcą u nas był Andrzej Kołodziej, bardzo miło go wspominam.

Pierwszą reakcją była ulga i radość, że coś się wreszcie dzieje. Przystępując do strajku obawiałam się środowiska. Krótko przed strajkami przeniesiono mnie do biura projektowego. Nikogo tam dobrze nie znałam, byłam nowa. Kiedy wybuchł strajk i kobietom kazano wracać do domu, wróciłam do kolegów na produkcję. Chciałam być z nimi. Niektórzy bali się o siebie. Chłopaki z biura chowali się pod biurka, żeby ich stoczniowcy nie znaleźli i nie postąpili z nimi źle. Tylko ja i jeszcze jedna pani z biura miałyśmy kontakt z opozycją. Ale nikt nie miał nic przeciwko strajkowi.

Wracałam na noc do domu, ponieważ kobiet na terenie stoczni nie było. Nosiłam pocztę dla stoczniowców i ich rodzin. Moja rodzina mnie wspierała. Czułam się bezpiecznie wśród kolegów.

Pracowałam w poczcie strajkowej. Przychodziłam do pracy rano i pod bramą odbierał mnie jeden ze strajkujących. Rozmawiałam z kolegami, zajmowałam się wraz z innymi pracownikami stemplowaniem poczty, a popołudniu inny stoczniowiec odprowadzał mnie pod bramę, skąd szłam roznieść pocztę i do domu. Dwa razy pojechałam z koleżanką do Gdańska, żeby zobaczyć, jak tam wygląda sytuacja. Rodzina i przyjaciele nie bali się o mnie. Wiedzieli, że wśród kolegów jestem bezpieczna.

Postulaty były bardzo dobre. Rozmawiając o nich ze znajomymi byliśmy w tej sprawie jednomyślni.

Bardzo dobrze oceniam ówczesną organizację strajku. Pamiętam, że wszystko było świetnie zorganizowane. Kontrolowano, kto wchodzi na teren Stoczni i co ze sobą wnosi. W pierwszych dniach strajku niektórzy próbowali wnieść do stoczni alkohol. Zostali przeszukani, a butelki potłuczono w bramie. Potem takie sytuacje nie miały już miejsca, o ile wiem.

Pracowałam na poczcie. Każdy był zajęty swoją pracą. Czasem rozmawiałam z kolegami. Wszystko przebiegało dobrze, duża w tym zasługa pana Andrzeja Kołodzieja. Ro-

dziny wspierały stoczniowców i przynosiły im jedzenie. Czasu wolnego właściwie nie miałam, byłam zajęta pracą.

Wszelkie informacje dla rodzin przekazywano pod bramą lub listownie. Poczta była bardzo ważna. Pamiętam, jak panie robiły prowizoryczne koperty na listy ze starych papierów, po to by stoczniowcy mogli wysyłać listy do rodzin. Stemplowałam i roznosiłam listy w ramach poczty strajkowej.

Wszyscy byli zgodni, dobrze czułam się pośród strajkujących, mimo że współpracowałam często z ludźmi, których nie znałam. Wielu z nich pamiętało mnie potem i spotykając się ze mną pozdrawiało i witało, mimo że ja nie wiedziałam, jak mają na imię. Oni mnie kojarzyli, dlatego, że nosiłam pocztę.

Pamiętam dzień podpisania Porozumień, ale nie pamiętam, gdzie wtedy byłam. Wyczekaliśmy tego i pamiętam, że kiedy podpisano porozumienie, poczułam wielką ulgę. Od razu wstąpiłam do Solidarności i byłam w niej do emerytury (ok. 2000 r.). Początkowo wszystko szło dobrze. W moim dziale wszyscy się zapisali. Spośród liderów pamiętam pana Andrzeja Kołodzieja, był bardzo aktywny.

Największym osiągnięciem Solidarności było to, że udało nam się być razem i dobrze to w Gdyni zorganizować. Powstała Solidarność. Wszyscy się zapisaliśmy. Nawet dyrektor mojego biura, kiedy wrócił z urlopu, wypełnił deklarację. A wcześniej, kiedy dowiedział się ze wszyscy już to zrobiliśmy, wyraził swoje oburzenie, że nikt go wcześniej o tym nie poinformował.

13 grudnia 1981 roku byłam w domu. Tata przyszedł rano z nocnej zmiany i powiedział, co się dzieje. W telewizji zobaczyliśmy wystąpienie Jaruzelskiego. Bałam się tego, co się wydarzy.

Wprowadzenie stanu wojennego oceniam jako zło. To nie było dla kraju nic dobrego.

Byłam członkinią Solidarności. Po strajkach przez 4 lata pracowałam w szkole przyzakładowej w dziale administracji. W trakcie stanu wojennego uczniowie przychodzili do mnie i mówili, co się dzieje na ulicach i gdzie byli, co widzieli.

Po 1989 roku do emerytury (ok. roku 2000) pracowałam w stoczni i należałam Solidarności.

Nie popierałam porozumienia „okrągłego stołu". Według mnie to było dogadanie się z władzą i miało to złe skutki. Uczestniczyłam w czerwcowych wyborach, głosowałam, byłam w komisji wyborczej.

Mam skromną emeryturę. Finansowo się trochę ograniczam. Dorobiłam się mieszkania. Zwiedziłam trochę Polski i świata. Byłam m. in. w Nepalu i Singapurze.

Moje autorytety życiowe to państwo Gwiazdowie, Anna Walentynowicz, Andrzej Kołodziej, Antoni Macierewicz, o. Tadeusz Rydzyk.

Zryw Solidarności oceniam bardzo dobrze. Cieszę się, że mogłam wziąć w tym udział. Dzisiaj ponownie przystąpiłabym do takiego strajku. Zawsze powtarzam: Jestem z Polski i dla Polski.

Osiągnięcia Solidarności dzisiaj oceniam źle. Nie lubię tych, którzy wybili się na tym ruchu i teraz korzystają najbardziej z naszych wspólnych osiągnięć.

Jestem dumna z uczestnictwa w ruchu Solidarności. Widziałam zajścia na politechnice w 1968, to, co działo się w 1970 roku i cieszę się, że byłam częścią strajków z sierpnia 1980 roku.

Największym błędem Solidarności były rozmowy w Magdalence i to jak dogadano się z władzą. Moim zdaniem źle dobrano ludzi, którzy mieli w nich uczestniczyć i dlatego rezultaty tego wszystkiego są niedobre.

Nie uważam, żeby się sprawdzał ostatni okres 25 lat niepodległości. System źle funkcjonuje.

Największą bolączką jest dla mnie brak sprawiedliwości społecznej i wszystkie nierówności, jakie istnieją w społeczeństwie, szczególnie w kwestiach finansowych. Najbardziej przeszkadza mi w dzisiejszych czasach bezprawie, jakie się szerzy w naszym kraju, i to chciałabym zmienić. Cały czas walczę, o prawa swoje i swojego otoczenia. Ostatnio wraz z sąsiadami zabiegamy o możliwość wykupu gruntów, na których znajdują się nasze mieszkania. Jest to dla nas ważna sprawa.


Solidarność dziś
SUKCES jutro

Wiesław Wodyk — ur. 28 czerwca 1946 r. Ukończył I LO w Gdyni, potem studia. Został inżynierem budowy okrętów. Pierwszą pracę w 1969 r. rozpoczął w Stoczni im. Komuny Paryskiej. Uczestnik wypadków grudniowych 1970 r. Od młodych lat przejawiał talent muzyczny. Zasłynął jako twórca mszy rockowych prezentowanych w Gdyni w kościele p.w. Najświętszego Serca Pana Jezusa. Represjonowany przez UB po wydarzeniach w Stoczni w roku 1970 oraz 1980. W roku 1989 wybrany na dyrektora Portu Gdynia. Po powrocie z USA usunięty ze stanowiska. Nie wyjechał na emigrację. Komponuje, gra, jest także blogerem. Pisze ciągle na portalu niepoprawni.pl.

Moja śp. mama urodziła się w Kijowie czy Wilnie. Mój dziadek był fabrykantem czekolady. W związku z przewidywaniem nawałnicy sowieckiej ewakuowali się do Warszawy. Wkrótce dziadkowie zmarli. Mój ojciec ś.p. wywodzi się z zamojskiego. Był pierwszym z tych, którzy przyjechali do Gdyni, gdy się budowała. Skończył liceum w Wejherowie i zatrudnił się w marynarce.

Mama miała przeszłość obozową. Była w obozie koncentracyjnym dla kobiet w Ravensbrück. Tata w czasie wojny też był internowany, bo był marynarzem na okręcie podwodnym. Wrócili w 1947 r. Tata został po dwóch latach uznany za wroga ludu. Szczęśliwie nie został skazany jak wielu marynarzy z okrętów podwodnych. Rehabilitowano go w 1956 r. Najpierw dostaliśmy mieszkanie w przedwojennych mieszkaniach w Orłowie. Później nas wysiedlili, ubek dostał to mieszkanie. Do bloków robotniczych nas wysiedlili, bez wody ciepłej, z piecami. Tata od 1956 zaczął pływać na statkach, m.in. szwedzkich, fińskich.

Chodziłem do Szkoły Podstawowej Nr 9 w Gdyni, a później poszedłem do I LO. Wtedy było uważane za jedno z najlepszych. Tam chodziły dzieci ówczesnych admirałów — Studzińska, Romaszewski, Janczyszynowa. Sami Ruscy.

Tata mi zawsze mówił: „Wiesiu, nauka, nauka". Sam chciał zostać w Australii — jak pływał — ale mama nie bardzo się zgodziła. Zostaliśmy w Polsce. Skończyłem studia. Jestem inżynierem budowy okrętów. Pierwszą pracę rozpocząłem w Stoczni im. Komuny Paryskiej.

Od ogólniaka graliśmy w zespole. Ściągał ojciec muzykę, tego było dużo. Grałem bluesa od najmłodszych lat. Do dziś go gram, z dużym powodzeniem. Właściwie jestem prekursorem muzyki rockowej na Wybrzeżu. Ktoś nam zaproponował, znał księdza otwartego, bym może zaczął w kościele grać. Zawsze byłem blisko Boga, to pomyślałem, że może skomponuję taką mszę bluesową. O tej mszy były różne artykuły.

Wcześniej grywałem na różnych imprezach, jam session. Od lat 1971 r. zacząłem komponować msze bluesowe. Grałem m.in. w kościele Najświętszego Serca Pana Jezusa z zespołem Pomorzanie tę mszę bluesową. Waliły tam tłumy z całego Trójmiasta. W 1972 pojechaliśmy na festiwal „Sacro Song" do Krakowa, do Nowej Huty. „Sacro Song" był wspierany przez Karola Wojtyłę. Tam zdobyłem pierwsze miejsce. Nagrodę, ze swoim podpisem, wręczył mi kardynał Wojtyła.

Od 1969 pracowałem w Stoczni im. Komuny Paryskiej. Widziałem pierwsze momenty strajku w Stoczni, razem ze stoczniowcami, bo brama stoczniowa była zamknięta. Widziałem z budynku, jak rozwalali bramę, by wyjść i Stocznia wyszła na miasto. To był pierwszy dzień strajku. Jeszcze jako tako się to odbyło. Później było słynne przemówienie Kociołka, ja u kolegi widziałem w TV, jak Kociołek wzywał do pracy. Już wieczorem późno po tym przemówieniu Kociołka widzieliśmy, jak bocznymi ulicami jechały czołgi w stronę centrum. Otoczony był port i stocznia.

Następnego dnia, zgodnie z zaleceniem towarzysza Kociołka, jak każdy stoczniowiec poszedłem do stoczni. Pojechałem trolejbusem, a on dojechał tylko do Placu Konstytucji.

Dalej cały tłum poszedł piechotą dzisiejszą ulicą Wiśniewskiego w kierunku pomostu przy stacji Gdynia-Stocznia. Doszliśmy tak, że było blisko pomostu. Pierwsze, co usłyszeliśmy, to był wystrzał z czołgów — potężny huk, później serię z karabinów maszynowych. Ludzie zaczęli padać. My w tym tłumie uciekliśmy torami w kierunku Gdyni.

Mogę powiedzieć, że uczestniczyłem w tych wszystkich podjazdach ZOMO, kierując się w stronę domu, na ulicę Kopernika, niedaleko Urzędu Miejskiego. Widziałem te helikoptery, z których strzelano, latające nad Gdynią. Wszędzie karetki jeździły, leżał trupy. Już będąc przy Urzędzie Miejskim Gdyni postanowiłem jednak salwować się ucieczką w kierunku domu. Jakieś 200 metrów, 300 metrów od tego Urzędu Miejskiego, naprzeciwko stał taki samotny przedwojenny budynek. Tam się ukryłem i koledzy też. Już helikopter zrzucał gazy łzawiące. Stamtąd widziałem słynny atak ZOMO zza rogu Urzędu Miejskiego. Tam padły kolejne ofiary. Ktoś krzyknął, bo w jakimś mieszkaniu się skryliśmy, że tu nas wszystkich wystrzelają. Ja uciekając, w kierunku kościoła Franciszkanów na skarpę, w gazie rzucanym z helikopterów, strzałów, dotarłem do domu. Mama przyjęła mnie jak zjawę.

Później okres wyczekiwania na przepustki. To był okres, o którym Wałęsa sam mówił, że został w tym okresie zwerbowany. Wszyscy podpisywali w UB zobowiązanie do współpracy. Jest to nieprawda, co Wałęsa mówił, że wszyscy. Ja wkrótce zostałem wezwany. Jeszcze nie dostałem przepustki, ale zostałem wezwany na Okopową do Gdańska na UB. Przyjechałem do tego UB. Tam w pokoiku do przesłuchań wielkości 2 na 2 i wysokości 4 metry, z jednym biurkiem i jednym krzesłem i drzwiami — ja jednymi wszedłem, drugie od strony krzesła i biurka. Tam mnie postawili, bo nie było nic do siedzenia, tylko za tym biurkiem. Po jakiejś pół godzinie wyszedł Ubek i powiedział, że zostałem wezwany z podejrzeniem, że zabiłem milicjanta. Byłem wezwany rano. Tego dnia byłem wożony przez 12 godzin. Był to samochód, wołga chyba, ubek i kierowca. Ubek oczywiście był tzw. życzliwy. Mówił, że wszystko się da załatwić. Ja nauczony w domu — ojciec był wrogiem ludu, mama przez obóz przeszła — zdawkowo odpowiadałem. Wozili mnie po różnych mieszkaniach w Gdańsku, w Sopocie, w Gdyni. Wchodziliśmy i ten ubek zadawał takie standardowe pytanie, czy zna pan/pani tego pana. Odpowiedzi były takie, że nikt mnie nie zna. Gdzieś o godzinie 20 podjechaliśmy — ten ubek już zaczął mówić o tym, że mnie wypuści, tylko czy mam w domu pół litra. Mieszkałem w tym czasie z mamą i siostrą. Tata gdzieś w rejsie był. Jego nawet rok nie było w domu. Przyszliśmy do domu — pytam: „Mamo masz pół litra, bo mnie tak cały dzień wożą. Pan z milicji pyta, czy masz coś." Mama, niewiele myśląc, wyciągnęła z barku i dała mu pół litra. On się rozsiadł i zaczął pić. Mama do niego, by się zbierał. Zebrał się. Nie minęło 20 minut, a on znów puka, że zostawił pistolet. Znowu wyleciał i znów wali, ale mama już łańcuch założyła i powiedziała, że rabanu narobi, bo jest pijany. Bo on wypił to pół litra prawie duszkiem.

Później mnie straszyli, że przepustki nie dostanę do stoczni, ostatecznie dali. Potrzebowali rąk do pracy. Budowano statki dla Sowietów, jeden za drugim. Praca była taka, że kto się nie znał, to się zabił. W stoczni już następny był telefon, ale już do kierownika. Kierownik przyszedł do mnie — to był lektor PZPR-u. Mówi to mnie: „Panie Wiesiu, niech pan sobie idzie, puszczam pana." Ja do niego: „Proszę pana, nigdzie nie idę, na żaden telefon z UB nie idę." Zadzwonili jeszcze raz. Zostałem wezwany przez kierownika. Przy kierowaniu rozmawiałem i odpowiedziałem, że na żadne wezwania telefoniczne nie przyjdę. Jak chcą, niech przyślą oficjalne wezwanie. Wtedy ze mną jeżdżąc chcieli, bym podpisał zobowiązanie o współpracy z UB. Wałęsa to podpisał i pewnie wielu innych też ze Stoczni. Wielu współpracowników UB to właśnie z lat 70-tych.

Zacząłem grać swoją muzykę w kościele, itd. Praktycznie do roku 1980 zajmowałem się muzyką. Grałem różne utwory. Ściągały one mnóstwo młodzieży. Tak nadszedł sierpień 1980.

Pracowałem wtedy w Porcie Gdynia. Ponieważ w porcie też był Komitet Strajkowy — nie należałem do niego, ale ze Stoczni zwrócili się do mnie, czy bym nie zagrał na mszy w dniu 16 sierpnia. Zgodziłem się. Wziąłem cały swój sprzęt nagłaśniający, który miałem w kościele, i wraz z zespołem zagraliśmy na mszy i po mszy koncert. Na tę okoliczność skomponowałem utwór „Mario matko". Uczyłem stoczniowców tego utworu. Jest on nadal śpiewany w Stanach Zjednoczonych w kościołach. W 1981 r. był festiwal „Zakazane piosenki" w Hali Oliwii — zająłem 2 miejsce, śpiewając utwór „Mario matko". W la-

tach 1980–1981 obsługiwałem w Trójmieście wszystkie uroczystości patriotyczne. Później przy krzyżach grałem itd.

Już wtedy działałem w Solidarności. Byłem wiceprzewodniczącym, ale etatowym pracownikiem. Przewodniczącym był ubek. Odbyły się wybory. Wybrali radykalnego ubeka i mnie. Ubek miał przypadłość — homoseksualizm. Widziano go na dworcach, pracownicy UB przychodzili ciągle do nas do biura. W końcu się go zapytałem, po co ciągle przychodzą do nas. Tłumaczył, że pytają o pracowników, którzy coś ukradli. Przed samym stanem wojennym wyrzucili go z Solidarności. Nazywał się Henryk Tarasiewicz.

Jak się zaczął stan wojenny, nie byłem internowany, aczkolwiek dzień przed stanem wojennym otrzymaliśmy cynk — wąska grupa ludzi — by wywieźć wszystko z komisji zakładowych. Z taką informacją — wieczorem miałem spotkanie w porcie — przyjechał Konrad Maruszczyk z Regionu. Kazał wszystko wywieźć i — jak możemy — to żeby się ukryć. Tak zrobiłem. Ponieważ wg informacji, jakie mieliśmy, internowaniem zajmowali się żołnierze czy milicja z innych regionów — nie znali nawet topografii. Jak kogoś nie było, to nie było. Wyjechałem do rodziny do Wejherowa. Okazało się, że w tym czasie była milicja. Wróciłem po dwóch dniach. Kolejny sygnał dostaliśmy w lutym, by też wyjechać, bo miała być druga tura łapanek. W tym czasie też informacje powielałem — mieliśmy małą drukarnię i drukowaliśmy. Kolportowało się wśród ludzi, których się znało i miało zaufanie. Wiedzieliśmy, że w dawnej Solidarności było dużo ubeków.

Drugi raz przyjechali znów do mnie w lutym. To była ostra zimna. Przyjechali gdzieś około godziny 10 wieczorem. Mieszkałem wtedy na Witominie. Przyjazd samochodu, wszyscy w oknach. Podjechała tzw. zielona suka. Wysiadł taki w moro — już byłem żonaty. Mówię do żony, przygotuj mi wszystko — kalesony, coś ciepłego, coś do mycia, zawsze Biblię ze sobą brałem. Oczywiście, przyszli do mnie. Winda zatrzymała się na 10 piętrze. Dostałem wezwanie na godzinę 8 rano na ulice Portową. Tam był miejski posterunek milicji. Oczywiście poszedłem. Wcześniej poszedłem do kościoła. Proboszczowi oddałem wszystkie swoje klucze do mieszkania. Napisałem oświadczenie, że gdybym zginął, to jestem na posterunku. Wraz z kolegą podjechaliśmy autem na milicję. Czekał na mnie w aucie.

Rozmowa dotyczyła podpisania lojalki. Wszystkie gwiazdy Solidarności łgały jak najęte. Owszem, straszyli bardzo, jednak tylko ten, który się zląkł, to podpisał. Wyglądało w ten sposób. Wprowadzono mnie do pokoju ubeka, który chodził po porcie. Ten ubek był mi znany przynajmniej z widzenia. Rozmowa zaczęła się od tego, czy zapalimy. Wiedział, że ja palę. Miał przygotowane papierosy, ja powiedziałem, że już Carmenów nie palę, a Caro. Nie udało mu się mnie poczęstować. Potem do mnie, że jako inżynier byłem przeciw przewodniczącemu Solidarności, który zapewne podpisze pismo — był taki arkusz formatu A5 i tam takie, ja niżej podpisany..... Dał mi to pismo, ja przeczytałem i odłożyłem. On do mnie, że trzeba podpisać. Ja, że nie popiszę pod przymusem. On do mnie, że mnie nie przymusza. To ja, że w takim razie nie podpisuję. Ubek się wkurzył: „Pan wie, co możemy panu zrobić?" — żona, itd. Wiedział wszystko. Ja mu powiedziałem tak: „Proszę pana, wy mi nic nie możecie zrobić, wy najwyżej możecie mnie zabić. A jak to zrobicie — to wszyscy będą wiedzieli, że to wy." A on: „Co, powiedzieliście komuś o tym?" A ja, że tak, że proboszczowie wiedzą, znajomi. Wszyscy na mnie czekają. On powiedział, że porozmawiamy inaczej, jak nie podpiszę. Tymczasem wybiegł z pokoju i zostawił drzwi otwarte. To był kolejny element zastraszania.

Ponieważ w wydawanym przez nas biuletynie pisaliśmy o AK, o tym, że moja mama wspierała AK, był u nich w domu punkt opatrunkowy dla żołnierzy. Po zamachu na Kutcherę moją mamę wywieziono do obozu. Ja o tym wiedziałem i o działaniach UB też. Wiedziałem, co mnie czeka — wybiegł i za chwilę przyjdzie cały pułk i mnie rozstrzela. Tymczasem zapaliłem papierosa i czekałem. On po jakimś czasie wrócił. Myślał, że mnie złapał — wraca i pyta, co podpisane? — ja do niego, że nie. Że ma pistolet, niech mnie zastrzeli. On, że taki nie jest. Wypuścili mnie po paru godzinach. Później była rewizja. Ciągali mnie po Okopowej. W domu na szczęście nie było już Biuletynów CDM, których dystrybucją się zajmowałem — szczęśliwie dzień wcześniej wszystkie wyprowadziłem. Pan Bóg mnie uchronił. Na Okopowej sfingowana praca Tarasiewicza. Pytali się mnie, czy rozpoznaję jego podpis. Ja do niego, że nie, że wy wzięliście pieczątkę, mogliście zrobić, co chcieliście. Oni chcieli mnie komplementami zwabić. Ale przyszedł taki moment, że ubek dostał szału. Na samym końcu przesłuchania dał mi arkusz przesłuchania do podpisania. Mówi

do mnie: „Proszę podpisać". Wziąłem swój długopis — on do mnie, że mogę ich — wziąłem swój, a on do mnie, co tam piszę. A ja napisałem taki tekst: „Oświadczam, że powyższego tekstu nie napisałem samodzielnie" — tekstu z przesłuchania — i podpisałem się. On do mnie: „Panie, czemu pan to dopisał?" A ja do niego: „Panie, może mi pan coś tam dopisać, jak wyjdę."

Mam certyfikat INP — jestem uznany za prześladowaną osobę przez UB. Prześladowania trwały dalej.

Po 1989 nie powstała żadna wolna Polska. To mówię z całą odpowiedzialnością. W moich aktach IPN są na to dowody — rząd Mazowieckiego powstał, jak wiemy, 4 czerwca 1989 r. W lipcu tegoż roku wszczęto wobec mnie działanie w związku z moimi kontaktami z Ambasadą Amerykańską. Ja miałem z nimi kontakty. Nawet z Kongresu chcieli, bym do USA wyjechał. Dziś prawdę mówiąc żałuję, że nie wyjechałem. To co zrobiono z Polską, to jest zdrada. W lipcu kontrwywiad wszczął działania w związku z kontaktem pracownika Ambasady Amerykańskiej pseudonim Garland. Papiery dopiero w następnym roku spalono. Nadal prowadzono śledztwo — a wolna Polska spaliła dokumenty — dowody inwigilowania, degradowania i niszczenia ludzi.

Ten system, który powstał, to system wolności, ubecji, WSI, komuny itd. To system głęboko niemoralny i zdeprawowany. Osobiście uważam, że ten system, jeżeli chcemy żyć w normalnej Polsce, powinien otrzyma jakiś mocny wstrząs, by można było powrócić do normalności. By ludzie uczciwi mogli sprawować rządy, ponieważ to, co się wtedy stało, to była ewidentna zmowa z komunistami. To było działanie według scenariusza napisanego w Moskwie. Stąd też generał Jaruzelski musiał być pochowany ze wszystkimi honorami, ponieważ on był ojcem założycielem III RP.

Do dziś gram, nagrywam w podziemiu. W czasie, w okresie stanu wojennego wydawaliśmy w podziemiu z aktorami Wybrzeża różne kasety. Grałem msze we wszystkich kościołach — podczas mszy za ojczyznę. Teraz już żadnych mszy nie ma za ojczyznę, skoro mamy wolność. Ci, którzy się angażowali, są schorowani albo bez pieniędzy, albo mieszkają u swoich dzieci w UK, USA, tam gdzie wyjechali. Ja zostałem dla garstki przyjaciół. Komponuję, gram, jestem także blogerem. Piszę ciągle na portalu niepoprawni.pl. A pseudonim niech pozostanie w wyobraźni tych, którzy czytają i otwierają ten portal.

Problemy w czasie stanu wojennego wyglądały tak. Byłem inżynierem, miałem dużo doświadczenie pracy w stoczni i porcie. Po nastaniu stanu wojennego, wobec mnie podjęto parę działań. Było to działanie na zastraszenie przy okazji lojalki oraz próba przekupstwa. Zaproponowano mi stanowisko kierownika dobrego wydziału — Wydział Usług Żeglugowych. Odmówiłem. Potem nie miałem żadnych podwyżek, aż w końcu przy podwyżce ogólnej, zadzwoniłem do dyrektora — towarzysza Malinowskiego, który w 1970 siedział w bunkrze i kierował akcjami przeciwko stoczniowcom i portowcom. Poszedłem do niego i normalnym tekstem, głośno zapytałem, dlaczego nie mam podwyżki. Ponieważ stało tam więcej osób, Malinowski powiedział, że chyba to jest pomyłka, dostałem podwyżkę. Nie miałem żadnej możliwości awansu.

W 1989 ponownie założyłem Solidarność w porcie i wypędziłem PZPR i ZTM. W 1989 r. narzucono nam dyrektora. Myśmy w odpowiedzi — Rada Pracownicza — urządzili konkurs. Wszyscy do mnie: „Wiechu, jesteś inżynierem, startuj." Startowałem — wybrali mnie. Przygotowywałem cały proces restrukturyzacji portu. W 1991 r. wyjechałem do USA z Maćkiem Płażyńskim, ówczesnym wojewodą. Jak przyjechałem, minister Lewandowski i Wałęsa-prezydent, wywalili mnie z portu i starego towarzysza postawili.

Pracowałem w USA. Z Buzkiem, prowadziłem zjazdy. Widziałem, jak Wałęsa płakał po ujawnieniu listy Macierewicza. Był zjazd w stoczni po tej liście. Dostał takiego łupnia od stoczniowców. Tak płakał, chłopcy, ratujcie mnie. Już w 1991 r. wiedziałem, co to jest. Znałem go osobiście, byłem z nim na ty — on jest zdrajcą, dla pieniędzy, dla sławy sprzedał Polskę i wielkie zwycięstwo Solidarności. Dziś ten kraj wyglądałby zupełnie inaczej. Jednym z większych łajdaków jest Wałęsa. Powinien przeprosić. Najpierw przyznał się, a później się wyłamał.

W 1984 dostałem Nagrodę Kultury Solidarności za rok 1984. Stefan Bratkowski, Adam Bujak, Erazm Ciołek, Ewa Nałkowska i Zbigniew Zapasiewicz, Tadeusz Kaczyński, Krzysztof Krauze, Jerzy Radziwiłłowicz — to osoby, które między innymi dostały tę

nagrodę. Dostałem za „utwory wokalno-elektroniczne komponowane do tekstów współczesnych poetów". Jestem jedyną osobą z Trójmiasta odznaczoną za rok 1984 nagrodą Solidarności. Rok symboliczny, związany z powieścią Orwella. Nikt o mnie nie pamięta. Takie jest życie — to jest zupełnie inna Polska. Ten dysonans jest opisany u Orwella. Mam nadzieję, że to oburzenie społeczne doprowadzi do zmiany. Jeżeli nie będzie ducha narodu, to zostaniemy robotami, wołami, jak to opisał Orwell. Dlatego między innymi komponuję.



Andrzej Wróblewski — ur. 17 listopada 1951 r. Lęborku. Pod koniec lat 70-tych w poszukiwaniu pracy przeniósł się do Gdyni, gdzie osiedlił się na stałe. Zawarł związek małżeński. W Stoczni im. Komuny Paryskiej zatrudnił się na dwa dni przed wybuchem strajku. Brał udział w strajku sierpniowym 1980 roku. Do Solidarności wstąpił od samego początku jej istnienia. W Stoczni pracował do samego końca jej istnienia. Obecnie przebywa na emeryturze.

Okres poprzedzający wydarzenia sierpniowe to czas szczególnego napięcia i niepokoju społeczeństwa. Było to przede wszystkim spowodowane ciągłym pogarszaniem się standardu życia, ciągłymi podwyżkami zwłaszcza w newralgicznym przedświątecznym czasie. Ludzie byli zniechęceni i poirytowani panującą sytuacją.

Zatrudniłem się w stoczni na dwa dni przed wybuchem strajku. Nie przeczuwałem, że coś może się wydarzyć. 17 sierpnia 1980 na początek strajku byłem w pracy. W całym zakładzie wyłączono prąd i zarządzono zbiórkę przy bramie głównej. Wyczuwalne było szczególne poruszenie pośród pracowników natomiast panował początkowo ogólny chaos informacyjny. Wszystko zaczęło się przy bramie, gdzie zorganizowane zostały ławki, na których przemawiali inicjatorzy strajku. Pamiętam nazwiska Andrzeja Kołodzieja i Andrzeja Kozickiego.

Okres strajku wspominam dobrze i nie mogłem narzekać na warunki, w których przykładowo musiałem spać, były to biurka lub legowiska ze styropianu. Jeśli chodzi o wyżywienie, to posiłki dostarczane były ze stołówek pracowniczych lub też prowiant w miarę możliwości dostarczany przez rodziny.

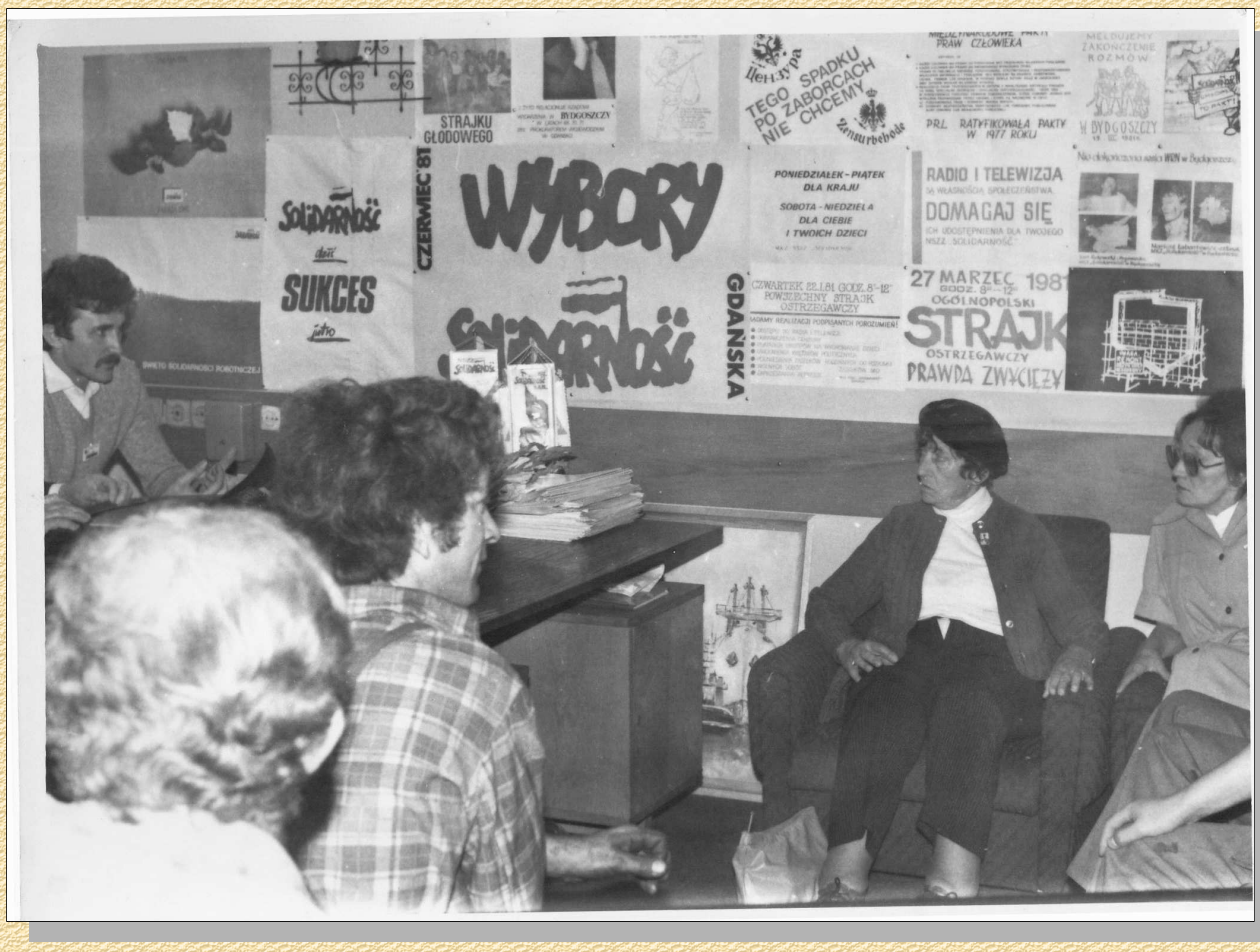
Szczególnie zapamiętałem ogólną monotonię. Pracownicy próbowali znaleźć sobie zajęcia, mogące w jakiś sposób skrócić im uprzykrzający się czas, było to między innymi granie w karty.

Sam koniec strajku odebrałem jako pewnego rodzaju ulgę, że mogłem w końcu zobaczyć się z rodziną. Od samego początku przyłączyłem się do Solidarności i stałem się jej członkiem. W Stoczni zaś pracowałem do samego końca jej istnienia, obecnie przebywam na emeryturze.

Jestem człowiekiem od zawsze zainteresowanym sprawami Polski, moje zainteresowania ściśle związane były z polityką. Jednym z najwcześniejszych wspomnień na ten temat było słuchanie Radia Wolna Europa oraz audycji BBC, jeszcze w stanie ustroju komunistycznego.

Po transformacji kontynuowałem rozwijanie swoich zainteresowań. Z perspektywy czasu oceniam, że głównymi powodami strajków było po równo chęć odzyskania wolności i niezależności i pogarszająca się sytuacja ekonomiczna.

Jednym z moich najcieplejszych wspomnień było przyznanie mi odznaczenia Srebrnego Krzyża Zasługi w 2004 roku przez ówczesnego prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego.


STRAJKU GŁODOWEGO
TEGO SPADKU PO ZABORCACH NIE CHCEMY
PRAW CZŁOWIEKA
PRL RATYFIKOWAŁA PAKTY W 1977 ROKU
W BYDGOSZCZY
SOLIDARNOŚĆ
SUKCES
CZERWIEC '81
WYBORY
GDAŃSKA
PONIEDZIAŁEK - PIĄTEK
DLA KRAJU
SOBOTA - NIEDZIELA
DLA CIEBIE
I TWOICH DZIECI
RADIO I TELEWIZJA
DOMAGAJ SIĘ
27 MARZEC
OGÓLNOPOLSKI
STRAJK
OSTRZEGAWCZY
PRAWDA ZWYCIĘŻY

Zenon Wysocki — ur. 17 grudnia 1961 r. w Gdyni. Ukończył szkołę zawodową, później wieczorowe Technikum Budowy Okrętów przy Stoczni w Gdyni. Żonaty, dwoje dzieci. Uczestnik strajku sierpniowego 1980 r. w Stoczni im. Komuny Paryskiej.

Pochodzę z Gdyni, moja rodzina była z Wejherowa, właściwie mama, ojciec był z Bydgoszczy. Z tradycjami patriotycznym, świętowaliśmy wszystkie okrągłe rocznice, śpiewaliśmy jakieś pieśni patriotyczne, ale nie ukrywam, ojciec przez ileś lat należał do partii.

Moich autorytetem jest człowiek, któremu chylę czoła, nie tylko jak większość mojego pokolenia, człowiek, o którym warto wspomnieć, człowiek, który żyje zdrowo, bo uczy w-fu — Jan Rytereski. Pamiętam, że gdy w 76 roku, gdy za byle co można było nauczyciela zwolnić, w siedemnastą rocznicę wydarzeń grudniowych wszedł do klasy, poprosił klasę o wstanie — byłem wtedy w ósmej klasie — żeby uczcić minutą ciszy zabitych w wydarzeniach grudniowych w 70 roku, to było dla mnie wtedy bardzo dziwne. Później, jak zrozumiałem jego słowa, gdy wpajał nam ideały dążenia do prawdy, wiarę, przede wszystkim on nam wszczepił wiarę, nauczyciel ze szkoły nr 69.

W 1980 roku szukałem, jak wielu młodych ludzi, czegoś innego, miałem wtedy niespełna 19 lat. Byłem elektromonterem obsługi statków w budowie i podlegał mi rejon SD-1, SD-2, aż po halę W-2, gdzie była rurownia, tam mieliśmy swoje biuro u Sikory. Z Ryszardem Białkiem tego dnia wyruszyliśmy jak zwykle na obchód. Mieliśmy w tym czasie rejon naokoło suchego doku drugiego, gdzie nawet nie pamiętam czy dwie jednostki stały. Było tam dosyć dużo ludzi czyli spawaczy, kadłubowców, monterów i wszystkich innych, którzy w tym czasie wykonywali swoją pracę, wiedzieliśmy i słyszeliśmy, że będzie strajk.

W pewnym momencie znalazłem na kadłubach między SD-1 a SD-2 ulotkę mówiącą, że o godzinie 11 będzie strajk. Zachęcała stoczniowców, aby o 11 czy 10 udali się pod bramę. W tym czasie z Ryśkiem Białkiem doszliśmy do wniosku, żeby coś zrobić. Szliśmy po kolei heblami odłączaliśmy zasilanie, tylko patrzyliśmy, by nie wyłączyć tych 12 V. Po kilku minutach zaczęli wychodzić do góry spawacze, monterzy i przeklinali — co się dzieje z prądem? Ja tylko krzyknąłem, że jest strajk. Po jakimś czasie ludzie zaczęli wychodzić z różnych stron z K-1, K-2 i szliśmy pod bramę.

W czasie strajku pamiętam, że spałem gdzieś na styropianie. Potem kręciliśmy się cały czas przy radiowęźle, gdzie Andrzej Kołodziej przemawiał na wózku. Do wieczora cały czas słuchaliśmy komentarzy, radia. Pokazał się chyba ksiądz Ryba, jak się nie mylę. Pierwsza msza.

Wiem, że szukali dyrektora Maciejewskiego i kogoś jeszcze. Kogoś tam gonili. Było chwilami wesoło i śmiesznie, bo ci ludzie patrzyli na to inaczej, bo tam się coś działo. W pewnym momencie ktoś powiedział, że potrzeba ludzi, którzy będą pilnować porządku, bo być może pojawią się jacyś wywrotowcy, że SB swoich ludzi podłoży, że będzie coś się działo, żeby pilnować. Myśmy się z Leszkiem Zaworskim, którego wtedy wprowadziłem do stoczni, zgłosili i dostaliśmy opaski. Z tymi opaskami przedostaliśmy się — bo dowiedzieliśmy się, że potrzeba pilnujących porządkowych — na bazę transportu i tam byliśmy na tej bazie transportu jako porządkowi. Za szkołą, tam żeśmy spali, tam mieliśmy swoje styropiany na korytarzu. Mieliśmy taką sytuację, że mogliśmy swobodnie wychodzić. W tym czasie byłem raz czy dwa razy w domu, by uspokoić moja mamę, bo miałem rower.

Drugiego dnia szukali chętnych do roznoszenia ulotek i z domu przywiozłem opakowania, worki, plecaki, kartony. Przebraliśmy się za takich à la turystów, à la wędkarzy i wtedy te worki pakowaliśmy. Braliśmy te plecaki ulotek i tak wychodziliśmy ze stoczni i z Leszkiem rzucaliśmy te ulotki na stacji początkowej w Gdyni. Najpierw rozkładaliśmy je na siedzeniach, to nas zaczęli ścigać. Prawdopodobnie to mogła być jakaś tam milicja, bo oni się skapowali, że tego było dużo, a to była chyba już zmiana turnusu, gdzie dużo ludzi wracało już na Śląsk. W każdym bądź razie telefonów już nie było i ludzie z południa

potrzebowali informacji. Potem próbowaliśmy w Leszczynkach te ulotki na siedzeniach jakoś tak rozkładać. Początkowo nam się to udawało, ale potem też zaczęli nas ścigać, ledwo żeśmy uciekli. Potem pakowaliśmy ulotki do plecaków i po różnych częściach Trójmiasta rozkładaliśmy, do Tczewa włącznie. Tam akurat nas wylegitymowała milicja na dworcu o 11–12 w nocy, ale wszystko całe szczęście mieliśmy puste. Przetrzepali nam te puste plecaki i spisali, ale jakoś to się dobrze zakończyło.

Także taka była moja rola w tym strajku. Przychodziłam jeszcze do kolegów z wydziału, w międzyczasie chodziłem do stoczni, ale przeważnie popołudniami chodziłem z tymi ulotkami. Potem Leszek pojechał do swojego WPTESBIK, jakoś tak to się dziwnie nazywało — wojewódzkie przedsiębiorstwo transportu czegoś tam...tam. Założył komórkę Solidarności, pod koniec strajku już tam działał u siebie na Kołobrzeskiej. Tego przedsiębiorstwa już nie ma. On tam pracował i można powiedzieć, że praktycznie tam wywołał ten strajk.

W czasie stanu wojennego, pamiętam, obudziłem się o godzinie wpół do ósmej. Jeden z lokatorów, bo u nas w domu mieszkali lokatorzy, powiedział, że jest stan wojenny. Próbowałem włączyć telewizor, ale oczywiście nie działał., byłem zdziwiony. Na drugi dzień, w poniedziałek, poszliśmy do pracy, no i od razu na oddziale nikt nie pracował. Udałem się pod bramę, wtedy był tam jeszcze Płażyński. Razem z Leszkiem i Ryszardem Kłosem dostaliśmy, jako delegaci do Gdańska, dwa takie małe świstki, na których był napis: „Delegat Stoczni Komuny Paryskiej do Stoczni Gdańskiej". W czasie, jak czołgi stanęły przed bramą od Czechosłowacji, uciekaliśmy. Udało mi się, że tej samej nocy dotarłem do Gdańska którymś z pociągów dalekobieżnych, Leszek też i znaleźliśmy się w stoczni w Gdańsku. Tam poszliśmy z tym pisemkiem właśnie do Anny Walentynowicz. Tam nam powiedziano, że prawdopodobnie będzie pacyfikacja. Pomagaliśmy jeszcze ustawić taką przyczepę z blachami. Podłączali do tej przyczepy kable, markując, że przyczepa jest pod napięciem, ustawili ją w poprzek bramy, żeby zabezpieczać przed nagłym wjazdem czołgów. Jak już było ciemno, kazali nam uciekać w stronę Stoczni Remontowej. Trafiliśmy do jakiejś dużej sali, zabarykadowaliśmy się w niej. Tam mogło być nawet około tysiąca osób i z góry dostał się w kominiarce, nie wiem dlaczego pomarańczowej taki komandos. Powiedział nam tylko, że będzie użyta siła bezpośrednia, jeżeli się nie dostosujemy.

Byłem akurat w grupie ze studentami z Uniwersytetu Gdańskiego, gdy powiedzieli, że wszyscy muszą się podzielić. Jeżeli ktoś jest z innych zakładów pracy, to po jednej stronie, jeśli ktoś jest ze Stoczni Gdańskiej to po innej stronie, jeżeli ktoś ze Stoczni Remontowej to po innej stronie.

Wszyscy stoczniowcy mieli przygotować swoje przepustki i tam nas przeprowadzili do sali BHP w Gdańsku. W tym szpalerze stali zomowcy. Trzeba było wziąć przepustkę i pokazać. Ja tak akurat pokazałem, że zakryłem „n" i ustawiłem się w kolejce tych stoczniowców ze stoczni remontowej. Liczyłem na to, że mi się uda. Zomowiec nie zauważył. Potem tak to przykryłem, że nie było widać szczegółów, tylko że mam przepustkę i mnie puścił. Natomiast widziałem, jak tam inni co najwyżej dostawali pałą. Ryszard Kłos pokazał normalnie, trafił do Starogardu do aresztu.

Potem Jurek Miotke, którego znałem z widzenia, wezwał mnie tak jakby na przesłuchanie do stoczni. Chciał się dowiedzieć, jak to się stało, że przetrwałem i że mnie nie aresztowali. Opowiedziałem o tym, że przykryłem „n" i się wyjaśniło.

Początkowo wszystkim wydawało się, że „okrągły stół" to był sukces. Człowiek z chęcią poszedł na wybory 4-go czerwca, z entuzjazmem. Ale po czasie człowiek dowiaduje się, że prawda ma drugą twarz, że to nie było tak, jak chcieliśmy, żeby wszystko było wywalczone, Okazało się, że „skóra niedźwiedzia" została podzielona wcześniejszej. No to teraz dopiero się dowiadujemy. Nie znam dokładnie tej prawdy, oby ona została taką, jak byśmy chcieli.

Nie czuję się nieszczęśliwy. Robię, co do mnie należy, czyli jestem mężem, ojcem i nie zastanawiam się nad niektórymi rzeczami. Przede wszystkim robię tak, żeby można było normalnie wykształcić dzieci i tyle. Nie zastanawiam się nad tym wszystkim.

Kiedy myślę, co bym chciał zmienić, to wiem, że czasu by nam zabrakło. Ale patrząc mojemu starszemu synowi w oczy, 22-latkowi, który studiuje i podaje mi przykłady jego kolegów i koleżanek, którzy opuścili Polskę i być może już nie wrócą, to wstyd mi się przyznać, że to mogło wyglądać inaczej. Jako pokolenie czuję się współodpowiedzialny za to, co teraz nastąpiło. Za mało się mówi o tym, że naród ginie. Ginie, bo wyjeżdża młode pokolenie. Zmiany, które nastąpią w związku z demografią, to dla nas jako narodu katastrofa.

Mało się o tym mówi. Na darmo niektórzy narażali swoje życie, siedzieli w więzieniach czy tak jak ja byłem chłopcem do rzucania ulotek w czasie stanu wojennego czy przed — w każdym bądź razie to miało wyglądać inaczej.

Dla tych, którzy są działaczami społecznymi, to jest alarm, żeby coś z tym zrobić. Nie da się tego odwrócić. Przede wszystkim należy doprowadzić w przyszłości do takiej sytuacji, żeby ci ludzie wrócili, żeby w tym kraju coś takiego się stało — to od nas zależy też w dużej mierze — żeby ludzie młodzi przede wszystkim przestali wyjeżdżać.

Mówi się głównie, że stocznie padły, nieprawda! Stocznia to jest jeden procent , a padła myśl techniczna. Ludzie, którzy byli wykształceni i mieli staż, teraz nie robią nic, a majątek to jest u nich w głowie. A państwo nie zrobi z tym nic, bo u nich jest najważniejsze bezrobocie. Dlatego ja nigdy nie pracowałem w Polsce. Jak już miałem dwadzieścia lat, to wyjeżdżałem za granicę.

Pamiętam, jak chodziliśmy na pielgrzymki, to zawsze braliśmy setki ulotek i rozdawaliśmy ludziom. Był jeden facet, który codziennie słuchał Radia Wolnej Europy w magnetofonie i wszystko przepisywał. Takie grube papiery miał i słowo w słowo przepisywał. To był jego udział w walce, bo nie mógł inaczej walczyć z komuną, bo inaczej się nie dało. Wszystko nagrywał na magnetofon i przepisywał.

Pamiętam, jak żeśmy chodzili między Jastakiem i Czerwińskim z Obłuża. On dawał ryzy do drukowania i żeśmy mu zanosili z kościoła Andrzeja Boboli z Obłuża do Jastaka. Było hasło: „szerszeń” — to pamiętam jak dziś, hasło „szerszeń”. On od nas brał te ryzy czyste, które gdzieś dalej szły na ulotki. To szło na Świętego Ducha, do drukarni wojskowej. A myśmy przewozili, ale wtedy za głupią ryzę miałeś problemy. Wtedy już nie wolno było przewozić. Pamiętam, jak z Leszkiem chodziliśmy do takiego klasztoru na górze. To jezuici, oni też mieli drukarnię. Wtedy Kościół miał duży wpływ na to, co się działo.



Teresa Zajdel — ur. 29 września 1933 r. w Łucku, woj. wołyńskie. Wyznanie rzymskokatolickie. Z rodziną wywieziona z Kresów w 1945 roku, najpierw przebywała w Lublinie w poszukiwaniu krewnych, później przeniosła się do Gdyni. Ukończyła Gimnazjum Urszulanek w Gdyni. Nie dostała się na studia na Politechnikę z powodu inteligenckiego pochodzenia. Pracowała przez 40 lat jako meteorolog w Państwowym Zakładzie Meteorologii w Gdyni. Popierała strajki sierpniowe 1980 roku. Członek NSZZ „Solidarność". Obecnie na emeryturze.

Mama zajmowała się domem, ojciec był przed wojną urzędnikiem państwowym. Rodzina miała pochodzenie inteligenckie. Mieliśmy dużą rodzinę. Wywieźli nas z Kresów ok. 1945 roku. Pojechaliśmy szukać brata mamy w 1945–1947 do Gdyni. Przedtem byliśmy w Lublinie. W trakcie wojny nasza rodzina pomagała w ukrywaniu Żydów. Skończyłam gimnazjum u sióstr urszulanek. Chciałam dostać się na studia na Politechnikę, ale ze względu na pochodzenie inteligenckie nie udało się. Miałam mieszkanie w Gdyni na ul. Śląskiej koło hotelu robotniczego. Wyznanie rzymskokatolickie. Jestem jedynaczką. Miałam córkę, którą urodziłam w 1961 roku.

Słuchałam Radia Wolna Europa. Byłam bardzo zaangażowana w działalność Kościoła. Działalność w Kościele była powiązana ściśle z działaniami w Solidarności.

Prasa opozycyjna była obecna w moim miejscu pracy. Poznałam liderów Solidarności, w tym państwa Gwiazdów, Annę Walentynowicz, Zbigniewa Romaszewskiego.

Niektórzy pracownicy Instytutu podejmowali działalność opozycyjną, przemycali ulotki sympatyzowali z opozycją, ale na terenie zakładu oficjalnie nie było żadnych struktur.

Przed sierpniem 1980 nawiązałam kontakt z panią Lodzią Stanisławczyk, która mnie zapoznała z siostrą jednego z wojskowych, która wprowadziła mnie w struktury Solidarności.

Popierałam strajki. Spotkaliśmy się bez wiedzy dyrektora Instytutu na korytarzu na jednym z pięter i zarządziliśmy głosowanie, czy udzielamy poparcia strajkujących stoczniowcom. Dwie osoby nie podniosły ręki z racji zajmowanego stanowiska.

Bardziej bałam się strajku z roku 1970. Pamiętam taką sytuację, którą obserwowałam z okna Instytutu. Wojsko otwierało skrzynie z amunicją. Jakiś czas później wyszłam do sklepu, a wracając zastałam ustawione zasieki na ulicy. Miałam trudności z wejściem do budynku, ale udało się tylko dlatego, że byłam pracownikiem Instytutu Meteorologii.

Dyrekcja w pracy nie wiedziała, że jestem członkiem Solidarności. Dyrektor był partyjny. Wiedziałam o dziewczynie imieniem Marzena, która przenosiła ulotki przez rurę na teren stoczni.

Moja 19-letnia córka pomagała w przenoszeniu bibuły i ułatwiała kontakt z innymi opozycjonistami.

Na pewno wiązałam nadzieje z listą postulatów strajkowych. Byłam zadowolona, że jest to już załatwione. Poczułam ulgę. Ze względu na charakter naszej pracy i obowiązek prowadzenia codziennych pomiarów nie mogliśmy przerwać pracy.

Nie drukowaliśmy ulotek. Nie było takiej możliwości. Miałam jedynie do nich dostęp i mogłam je przenosić. W Solidarności działałam cały czas od początku. Jej politykę zawsze oceniałam dobrze. Ufałam przywódcom, zwłaszcza panu Andrzeju Kołodziejowi. Większość moich współpracowników wstąpiła do Solidarności, ale nikt się z tym nie ogłaszał. Nie przypominam sobie represji z tytułu przynależności do związku.

Moim zdaniem największym osiągnięciem Solidarności była właśnie solidarność ludzi. Dziś już tego nie ma.

Po strajku uczestniczyłam wielokrotnie we mszach za ojczyznę, rozpowszechniałam informacje o tych mszach, przez co byłam wzywana na milicję.

Wiosną podczas stanu wojennego pamiętam, że studenci topili Jaruzelskiego zamiast marzanny. Pamiętam takie wydarzenie w Sopocie. Milicja złapała jednego ze studentów i zaciągnęli go do jakiejś budki. Krzyczałam, żeby inni studenci mu pomogli. Milicja mnie złapała pod pretekstem zakłócania porządku. Zawieziono mnie na komendę. Pech chciał, że miałam przy sobie książkę z drugiego obiegu. Wsiadając do samochodu próbowałam ją ukryć w bucie. Niestety, była za duża. Szybko wsadziłam ją pod beret. Na komendzie udało mi się wyrzucić ją pod grzejnik. Nic nie znaleźli. Podczas przesłuchań próbowano mi wmówić, że zakłócałam spokój publiczny. Odpowiedziałam, że to jest nieprawda i prosiłam, aby mi udowodniono to, co mi zarzucano. Przedstawiając mi zarzuty, kazali mi się podpisać. Nie zrobiłam tego, ponieważ na marginesie znajdował się nie znany mi numer paragrafu. Po przesłuchaniu zabrano mnie na badania i okazało się, że mam ciśnienie 240/120. Wystraszyli się i zwolniono mnie do domu.

Porozumienie „okrągłego stołu”? Myślę, że dałoby się więcej załatwić. Usiedli do tego niewłaściwi ludzie. Tak, brałam udział w wyborach czerwcowych 1989 roku.

Moja obecna sytuacja życiowa — mała emerytura po 40 latach pracy z dodatkiem starczym 1540 zł, problemy mieszkaniowe, mimo że mam mieszkanie własne.

Mój życiowy sukces — chyba to, że byłam w Solidarności od początku. Było dla mnie ważne, że w tym uczestniczyłam. Jestem z tego dumna i nie żałuję tego, co zrobiłam.

Największym błędem Solidarności jest to, że do władzy doszli nieodpowiedni ludzie.

Ostanie 25 lat niepodległości moim zdaniem słabo wygląda. Nie orientowałam się na tyle, żeby wiedzieć.


OGÓLNOPOLSKI
JEDNOGODZINNY STRAJK OSTRZEGAWCZY
NSZZ „SOLIDARNOŚĆ"
PIĄTEK: 3 PAŹDZIERNIK 80R. GODZ: 12⁰⁰ – 13⁰⁰
1a.
ŻĄDAMY PRZESTRZEGANIA POROZUMIENIA
DOSTĘPU DO ŚRODKÓW MASOWEGO PRZEKAZU
REALIZACJI PODWYŻKI PŁAC
SWOBODY ORGANIZACJI NSZZ „SOLIDARNOŚĆ"
30

Bogdan Zieliński — ur. 27 stycznia 1957 r. w Kulmadze. Pochodzenie chłopskie. Wykształcenie średnie. Katolik. Pracował w Stoczni, na wydziale W-4. Żonaty, dzieci. Uczestnik strajku sierpniowego, od początku członek Solidarności. Nadal aktywny zawodowo.

W rodzinie były tradycje patriotyczne. Dziadek jako ochotnik walczył w 1920 roku. Dziadek od strony matki był kułakiem, którego w latach 50-tych w mieście Nowym, podczas pochodów 1-majowych wyśmiewano na transparentach. Nieśli transparenty, na których był „Felski — kułak", i było narysowane, jak idzie z workiem zboża, a z tyłu mu wypada i myszy zjadają.

W 1980 roku byłem kawalerem. Dzieci też nie miałem. Wykształcenie miałem średnie. Mieszkałem na kwaterze. Nie należałem do żadnego PZPR-u, nawet do zuchów i do harcerstwa też nie.

Słuchałem Wolnej Europy, jak byłem dzieciakiem, ale potem cały czas słuchałem Głosu Ameryki. Kościół zawsze odgrywał ważną rolę w moim życiu. Katolicka rodzina na wsi to podstawa.

Na podwyżki reagowaliśmy różnie, bo to na wsi inaczej się odczuwało. Miało się np. swojego świniaka...

Moim największym autorytetem w tym czasie był ksiądz Szynwelski. Był to proboszcz, który przeszedł Dachau, on zawsze o tym opowiadał. Po wojnie miał pozwolenie na noszeni brody, choć księża chodzą bez, ale miał tak poturbowaną twarz, że był wręcz odpychający.

Pracowałem w stoczni, na centrali, na energetyku. Razem z Pałaszem. 41-letni staż pracy, w tym roku. Na utrzymanie wystarczało, zarabialiśmy wtedy jako kawalerzy, dużo nie dostawałem, powiem szczerze. Zacząłem zarabiać, jak się ożeniłem, wtedy na nadgodziny się łapałem, głównie nadgodziny, bo tak gołe godziny, to nie było dużo.

Słyszałem z Wolnej Europy, że kogoś zamknęli ze Stoczni Gdynia, a jak pytałem kolegów, to oni wszyscy oczy tylko otwierali. Wtedy pracowałem na W-4. W tym czasie, jak spytałem kolegów, czy coś o tym wiedzą, to tylko oczy zrobili, bo wszyscy do PZZ należeli.

Początek strajku pamiętam dokładnie. Bardzo dokładnie. Z początku był strach, bo to nie wyglądało, że idzie za dobrze, ale jak się przekonałem, że to idzie w dobrym kierunku, to przyłączyłem się i byłem z tego zadowolony, bo miałem pełne poparcie rodziny.

Podczas strajku nagłaśniałem całą imprezę, wszystkie imprezy. Biegałem z głośnikami, z mikrofonami.

Pamiętam dokładnie jak ustalano listę postulatów. Z początku było trochę chaosu i trochę to tak siłowo wyglądało. Potem ludzie dali się przekonać, bo nie wszyscy chcieli w tym uczestniczyć. Bali się, bo mieli dzieci. Chcieli wrócić do domu, dlatego niektórzy uciekali.

Codzienność strajkowa wyglądała normalnie. Przywozili codzienne żywność, nawet chleb był z Wąbrzeźna, przywozili mnóstwo, i kobiety miały z czego nam robić jedzenie, bo bary normalnie były czynne. Mało tego, przychodziło też do barów zaopatrzenie. Wszystko było doskonale zorganizowane. I to nawet od strony dyrekcji.

W zasadzie nie mieliśmy wolnego czasu. Tam ciągle coś się działo.

Do kontaktów z dyrekcją i dziennikarzami były wyznaczone osoby. Potem po chwili dyrekcja przestała w ogóle istnieć. Po prostu nikt z dyrekcją nie gadał, tylko przez pierwsze parę godzin rozmawiali z dyrekcją, potem już nikt.

Pamiętam moment podpisania porozumień, dokładanie pamiętam.

Do Solidarności od razu, właściwie wszyscy przystąpili, nie było wyjątku. Ja nie znałem takich.

Największym osiągnięciem Solidarności było to, że ona w ogóle powstała, że powstał oddolny ruch, który nie był przez nikogo kontrolowany, i było coś nowego, odżywczego. A w postulaty to ja nie wierzyłem, one nie dadzą zdrowia itd.

Sporo zmieniło się w stoczni po strajku. Powstały nowe związki i wtedy już dużo rzeczy, dużo ludzi pokrzywdzonych mogło powiedzieć o swojej krzywdzie, głośno powiedzieć, bo wielu ludzi było pokrzywdzonych.

Wprowadzenie stanu wojennego — lepiej nie mówić — to był prawie zawał.

Roznosiłem ulotki. Cały czas przynosili, ile tego było, najświeższe, co tylko się działo, całe mnóstwo ulotek do nas przychodziło. Przecież tam u nas wszyscy się schodzili.

Nie dopełniłem wykształcenia, tak już zostało.

Uczestniczyłem w wyborach czerwcowych. Dalej pracuję. W tej chwili jestem zadowolony z tego, co mam, co osiągnąłem.

Moim autorytetem dzisiaj jest rodzina. Jestem tak zadowolony ze swoich dzieci, nie mam konkretnej jednej osoby, podoba mi się papież Franciszek, naprawdę jest dobry, przewietrzył Watykan, bo tam też była mafia sycylijska, jakieś pieniądze, jakieś banki. Naprawdę przewietrzył. Podoba mi się to.

Zryw sierpniowy oceniam dwojako. Przede wszystkim dostało się dużo przypadkowych ludzi do Solidarności. Im ktoś głośniej krzyczał, to go brali, a trzeba było brać mądrych, a nie krzyczących. Ale ogólnie dobre były te zmiany.

Mając to doświadczenie, przystąpiłbym dziś do strajku. Tak. To na pewno.

Największy błąd Solidarności? Kłótnie, awantury, podziały, jak się swoi ze sobą pokłócili, to już było źle. Kiedyś ci Gwiazdowie, Wałęsa itd. życie za siebie by oddali, a potem to...

Teraz bym wszystkich tych dziadków powypieprzał, obojętnie — zasłużonych, niezasłużonych — i wprowadził ludzi młodych. Tak jak pamiętam trzęsącego się Breżniewa — co jemu zależało, jak on już był nad grobem? I teraz ci, co mają tam emerytury, co oni tam robią? Niech młodzi, co mają wykształcenie, niektórzy po 3–4 fakultety i pracują na zmywaku, niech oni zaczną politykę robić. Obojętnie jaką, ale niech robią, dla nich teraz powinno być miejsce.

Ja z chęcią każdemu doradzę, już to przechodziłem, My wiemy coś, czego młodzi na przykład nie wiedzą, a ja bym chciał, żeby oni w końcu głowy z tabletów i komórek wyciągnęli i popatrzyli, co się dzieje. Popatrzyli na swoja przyszłość i pomyśleli o swojej przyszłości. Niech pomyślą o swojej emeryturze. Niedawno słyszałem, jak młodzi nie chcą umów o pracę, wolą śmieciowe i kasę pod stołem dostawać. Pod stołem, bo tego ZUS nie widzi, ale co z tego, że teraz będzie miał więcej forsy, a jak potem za 30 czy 40 lat pójdzie na emeryturę i pustakiem będzie, będzie robił dym i pójdzie na socjal?



Tadeusz Żelewski — ur. 12 października 1954 r. w Gdyni. Ukończył stoczniową Szkołę Budowy Okrętów w Gdyni. Żonaty, dwoje dzieci. Uczestnik walk w grudniu 1970 r. i strajku sierpniowego w 1980 r. Od 1972 r. monter kadłubów w Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni. Od początku członek Solidarności. Od czasu przejścia na emeryturę działacz Koła Emerytów i Rencistów Solidarności.

Pochodzę z Kosakowa koło Gdyni. Ojciec pracował w Chyloni w zakładach Arka. Matka się zajmowała domem.

Jako uczeń stoczniowej Szkoły Budowy Okrętów widziałem, jak w roku 70-tym milicja i wojsko strzelały do robotników. Sam rzucałem kamieniami w strzelających.

W 1972 r. rozpocząłem pracę w Stoczni im Komuny Paryskiej. Zaczynałem jako monter kadłubów.

Na początku lat 80-tych mieszkałem z rodziną na Oksywiu Górnym w wynajmowanym mieszkaniu.

Przed strajkami należałem jedynie do ZMS. W PZPR nigdy nie byłem. Przed rokiem 80-tym docierały do mnie słuchy o organizacjach typu KOR, ROPCiO. Mój kolega Józek Konkol działał w tych strukturach.

W 1980 r. byłem już żonaty, miałem dwóch synów (5 lat i 1 rok). Żona przed ślubem pracowała w stoczni, była suwnicową — operator urządzeń na wydziale K-1. Miałem wtedy 26 lat, od 8 lat pracowałem w stoczni na wydziale K-5, cały na produkcji. Wydział liczył wtedy około 400–500 osób.

W miarę dobrze zarabiałem, choć bez nadgodzin byłoby ciężko utrzymać rodzinę.

W momencie wybuchu strajku byłem na urlopie. Po powrocie do pracy strajkowałem do samego końca. Niektórzy przestraszyli się strajków i z urlopów poszli na zwolnienia lekarskie. Ale 70–80 procent załogi zostało.

Żona się trochę obawiała, ale nie powstrzymywała mnie przed udziałem w strajku, przywoziła paczki żywnościowe. Rodzina popierała moją postawę.

Podczas strajku pilnowałem posterunków od strony morza — były to warty nocne, pilnujące, żeby niepożądane osoby nie dostały się na teren stoczni.

Rano dzielono się jedzeniem z paczek od rodziny. Przy głównej bramie cały czas coś się działo: były przemowy, organizowano msze św. Ogólnie rytm był taki: w nocy służba na posterunkach, w ciągu dnia działania organizacyjnie.

Kontakt z innymi zakładami mieli liderzy strajku, informacje przekazywane były na bieżąco przez radiowęzeł.

Determinacja wśród strajkujących była duża, nie było konfliktów.

Podpisaniu Porozumień Sierpniowych towarzyszyła ogromna radość. Same postulaty wyrażały aktualne potrzeby strajkujących.

Bezpośrednio po strajkach załogi nie dotknęły szukany ze strony przedstawicieli PZPR.

Wstąpiłem do Solidarności w momencie strajku.

Po strajku, kiedy Solidarność doszła do głosu z zakładzie, ludzie czuli się pewniej.

Po wprowadzeniu stanu wojennego panował ogólnych strach i nieufność. Kierownikiem budowy został człowiek w mundurze. Pracowałem wtedy cały czas w stoczni.

W trakcie stanu wojennego miałem przerwę w przynależności do Solidarności — żeby dostać przydział na mieszkanie, musiałem się zapisać do związków zawodowych. Potem wróciłem do Solidarności, duchowo cały czas byłem z nią związany. Aktualnie aktywnie działam w Kole Emerytów i Rencistów Solidarności.

Z czasem awansowałem na brygadzistę. W 1988 r. popierałem strajki w kraju — popieram wszystko, co może przynieść dobro dla kraju.

Okrągły stół był dla mnie nadzieją na lepsze czasy. Brałem udział w wyborach 1989 r. We wszystkich wyborach biorę udział. Wybieram sam, nie ulegam naciskom.

Pracowałem w stoczni do czasu jej zamknięcia. Lubiłem swoją pracę. Po zamknięciu stoczni brakowało mi tylko 5 lat do emerytury. Pół roku szukałem pracy. Aktualnie jestem na emeryturze, jestem zadowolony z poziomu swojego życia.

Jeszcze raz oczywiście wziąłbym udział w tym wszystkim, do tej pory jeżdżę na demonstracje.

Mam wiele żalu do dawnych działaczy, że nie zaangażowali się, kiedy stocznia upadała.

Niektórzy działacze potem odeszli od tego, co było ideami pierwszej Solidarności, zaczęli politykować, zniszczono jedność. Niektórzy wykorzystali popularność zdobytą podczas strajków do rozwijania kariery.



Indeks osób

Adamietz Roman 11
Adamski Zbigniew 11, 26
Albin Roman 11, 29
Anders Ryszard 11
Anders Władysław, gen. 139, 163, 207, 208, 222, 240, 252
Andruszkiewicz Witold, prof. 269
Andrzejewski Andrzej 11
Antczak 42
Arciszewska Dorota 30
Bach Jerzy 11
Bachórz Józef, prof. 300
Baczyński Jan 11
Baczyński Włodzimierz 11
Bagiński Bolesław 175, 264
Balcer Marian 11
Balcerowicz Leszek 295
Baranowski Gerard 11
Barański Kazimierz 11
Barszczewski Tadeusz 11, 32
Bartoszewski Władysław 105, 108
Bartyzel Jacek 65
Bastian Zdzisław 11
Bazan Józef 11
Bądkowski Lech 64, 95, 96
Bejrowski Czesław 9–11, 36
Belgrau Jan 11
Belka Jerzy 11
Belka Zbigniew 11, 37, 107
Bemka Jan 11
Bendyk Andrzej 11
Benedykt XVI, papież 186, 280
Benka Zygmunt 11
Berus Jan 11
Białek Ryszard 313
Białoskórski Wojciech 11
Bianga Andrzej 179
Bielec Bolesława 45
Bielec Katarzyna 40, 43
Bieliński Marek 11
Bieńkowska Elżbieta 93
Bieszke Edmund 11, 39
Bieszko Kazimierz 11
Bińczyk Wojciech 11, 48
Blachnicki Franciszek, ks. 53
Blachnicki Józef, ks. 63
Blecharz Elżbieta 50
Blecharz Stanisław 11, 50
Bluma Grażyna 11
Błaszczyk Marian 11
Błęcki Leszek 11
Bochnacki Andrzej 11
Bodzińska Julita 11, 52
Bogdanowicz Stanisław ks. 45
Borek Zbigniew 11
Boroń Jacek 43
Borowska Katarzyna 57
Borowska Zofia 11, 57
Borowski Wacław 57
Borowski Władysław 11
Borusewicz Bogdan 11, 133, 139, 158, 162, 189, 231, 238, 259, 262, 263
Brańka Mariusz 11
Bratkowski Stefan 280, 309
Brauer Zdzisław 96
Brejwo Grzegorz 11
Breżniew Leonid 45, 277, 320
Brot Marian 11
Brylowski Stanisław 11
Brylowski Zenon 11
Bryl Stanisław 11
Brzeziński Franciszek 11
Brzeziński Jerzy 11
Brzoskowski Ireneusz 291
Brzózko Mieczysław 11
Budzisz Marian 11
Bugajewski Zdzisław 11
Bujak Zbigniew 89, 278, 280, 283, 284, 309
Bulczak Stefan 11
Bulczak Zbigniew 197
Buraczewski Tadeusz 11, 60
Burda Stanisław 11
Bureta Maksymilian 161
Butkiewicz Andrzej 11
Butkiewicz Maciej 11
Buzek Jerzy 309
Cegielska Franciszka 45
Cegielski Hipolit 61
Cegła Jerzy 11
Cerklański Alojzy 11
Cezar Juliusz 126
Chmielecka-Gumoś Małgorzata 63
Chmielecki Wacław 63
Chmielewski Stanisław 11
Chodowiec Witold 11
Chojecki Mirosław 101, 103
Chomicki 43, 44, 46
Choreń Ryszard 11
Chrzanowski Antoni 11, 70
Chrzan Tadeusz 226
Chrząstek Stanisław 11
Ciołek Erazm 309
Cirocki Zbigniew 11
Ciskowska Ludwika 11

Cmieliński Henryk 11
Cybulski Jerzy 11
Cygan Andrzej 11
Czaja Albin 11
Czaja Henryk 11
Czaja Ludwik 11
Czajkowski Henryk 11
Czapiewski Bronisław 11
Czarniecki Stefan 61
Czarnojan Jerzy 11
Czarnowski Bronisław 11
Czernega Halina 11
Czerwiński Andrzej, ks. 315
Czerwiński Włodzimierz 11
Czoska Jerzy 11
Czwiertak Ireneusz 11
Ćwilewicz Romuald, prof. 44
Daleki Andrzej 11
Damasiewicz Edward 11
Damrath Andrzej 11
Data Alojzy 11
Delikat Stanisław 12
Dembek Bolesław 12
Dembowska Teresa 74
Dembowski Marek 74
Dembowski Teresa 12
Demby-Mizgalska Alicja 12
Dębski Kazimierz 12
Dietrich Zenon 12
Długoszewski Władysław 12
Dmowski Roman 39
Dmowski Sylwester 12
Dobek Benedykt 12
Dobracki Tadeusz 12
Dobrowolski Romuald 12
Dobrzański Ryszard 76
Dobrzyński Ryszard 12
Dojas Janusz 12
Dolata Andrzej 253
Domachowski Ryszard 12, 78
Domagała Henryk 12, 80
Dopke Zygmunt 12
Drapała Kazimierz 12
Dreyfus 27
Duda Andrzej 34, 155, 166, 232, 259, 267
Duda Daniel, prof. 40
Duda Daniel, prof., kpt. ż.w. 45
Duda Piotr 166
Dunajska Halina 45
Dunia Zdzisław 12
Dziaduszek Waldemar 12
Dziembowski Krzysztof 12, 82
Dzięgielewski Sławomir 12
Dżeżdżon Jan 67
Eichelberger Jan 12
Emilianow Jan 12
Fandrey Willi 80, 276
Fedorczyk Tadeusz 231
Fenrych Przemysław 54
Filter Stanisław 12
Firlej Jerzy 57
Fiszbach Tadeusz 117, 155, 246, 249
Flisikowski Marian 12
Forman Kazimierz 179
Formela Edward 12, 241, 242
Formela Jan 84
Formela Marek 12, 92, 228–231
Formella Maria 12
Franciszek, papież 67, 280, 320
Franciszek, św. 67
Frankiewicz Edward 12
Frasyniuk Władysław 108, 165, 266, 280, 284
Fridemann Marta 163
Furtak Antoni 104
Gadziałowska Anna 12, 189
Gajewski Tadeusz 12
Galiński Władysław 12
Gałuszka Tadeusz 12
Garbusiński Wiesław 96
Garland 309
Garstkowiak Krzysztof 12, 95
Gawin Jan 12, 101
Gawin Stanisław 12, 107
Gerard Stanisław 262
Geremek Bronisław 60, 108, 114, 199, 280
Gerłachowski Henryk 12
Giedroyć Jerzy 39, 41
Gierek Edward 41, 50, 80, 85, 143, 194, 198, 199, 215, 248, 255, 264, 265, 275, 283
Giłka Krzysztof 12
Glabiszewski Tomasz 12
Gliński Jan 12
Głąbiowski Kazimierz 12
Głębocki Robert, prof. 42, 66
Gniba Kazimierz 12
Gocał Jan 12
Gocłowski Tadeusz, abp. 186
Godlewski Jan, prof. 67
Godlewski Mirosław 12
Godlewski Zbigniew 57, 132, 214, 283
Gohlike Jerzy 12
Golec Andrzej 12
Golec Bogumiła 12
Gołdyn Franciszek 12
Gomułka Władysław 80, 202, 255, 261
Gorazdowski Jerzy 50
Gorbaczow Michaił 46
Gotner Adam 12, 236
Gozdur Ryszard 12
Goździewicz Jacek 12
Goździewicz Józefa 12
Góra Lech 12
Górny Ryszard 12, 110, 322
Grabarski Roman 12

Grabczak Ryszard 12
Grabowicz Zbigniew 12
Grabowska Lidia 179
Grabowski Jan 12
Grabowski Marek 12, 181, 230
Grabski Stanisław 26
Grabski Władysław 26
Gręda Jadwiga 12
Grota Wiesław 12
Grot Andrzej 134
Gruba Alfons 12
Gryglewski Wojciech 12
Grzenia Bruno 12
Grzenkowicz Bogdan 12
Gustomski Zygmunt 84
Gutowski Władysław 12
Guździoł Aleksandra 12
Gwiazda Andrzej 33, 41, 64, 139, 158, 175, 180, 181, 215, 263, 264, 277, 284, 300, 301, 304, 316, 320
Gwiazda Joanna 263, 264, 300, 301, 304, 316, 320
Hacia Teresa 12
Hajduk Stanisław 12
Hall Aleksander 41, 64, 177
Hankiewicz Konrad, kmdr ppor. 93
Hapke Bernard 12
Hebel Bolesław 12
Hellak Karol 12
Hensel Mirosław 12
Hering Jerzy 12
Herman Edward 12
Hinc Marian 12
Hinc Ryszard 12, 112
Hinc Stanisław 12
Hinz Bogusław 12
Hinz Maria 12
Hirsz Bronisław 12
Hirsz Paweł 215
Hirsz Zbigniew 12
Hitler Adolf 254, 292
Hoffman Zenon 12
Iskierski Janusz 12
Iżyłowska Beata — Łęgowska Beata 0
Iżyłowska Kamila 116
Iżyłowski Stefan 12, 116
Jabłoński 243
Jacek Władysław 12
Jach Andrzej 12
Jackowski Waldemar 12
Jagielski Mieczysław 71, 88, 158, 215, 230, 283, 284
Jagielski Piotr 12
Janczurowicz-Czaplic Wanda 12
Janczyszyn Ludwik, adm. 101, 306
Janda Krystyna 117
Janka Jerzy 12
Jankowska Grażyna 119
Jankowski Henryk, ks. 134, 242, 249, 284, 285
Jankowski Krzysztof 12, 189
Jankowski Marian 12, 119
Jankowski Roman 12
Jan Paweł II, papież 26, 27, 37, 53, 64, 84, 85, 89, 93, 108, 112, 114, 127, 150, 157, 161, 173, 177, 241, 242, 275, 277, 300, 301, 306
Jarosiewicz Ryszard 12
Jaroszewicz Piotr 255, 275
Jarosz Henryk 126
Jaruzelski Wojciech, gen. 34, 89, 99, 103, 123, 139, 146, 165, 169, 172, 192, 193, 205, 215, 231, 246, 258, 259, 265, 272, 278, 280, 284, 292, 304, 309, 317
Jarzębiński Kazimierz 12
Jasiński 196
Jasiński Jerzy 12
Jastak Hilary, ks. 27, 33, 36, 45, 50, 76, 78, 80, 84, 86, 88, 89, 116, 131, 132, 134, 138, 174, 175, 190, 196, 204, 220, 241, 248, 251, 255, 263, 266, 276, 294, 315
Jaworska Barbara 12
Jaworski Jerzy 12
Jaworski Seweryn 278
Jażdżewska Ewa 12
Jażdżewski Roman 12
Jeleński Kazimierz 129
Jeliński Adam 12
Jendrak Maria 12
Jerzak Kazimierz 12
Jesionowska Jadwiga 12
Jeziorny Lech 65
Jeziorny Marian 12
Jezusek Beata 131
Jezusek Dorota 131
Jezusek Jarosław 114, 131
Jezusek Mirosław 12, 131, 132
John Jerzy 12
Julke Bernard 12
Jurczyk Marian 278
Jurczyński Władysław 12
Jurek Marek 65
Jurewicz Mieczysław 161
Jurkowska Barbara 12
Just Anatol 12
Justyniarski Czesław 13
Kaczmarek Elżbieta 44, 45
Kaczmarek Franciszek 13
Kaczmarski Jacek 191, 192
Kaczyński Jarosław 34, 114, 127, 129, 162, 180, 187, 231, 284, 301
Kaczyński Lech 41, 73, 139, 162, 180, 231, 279, 284
Kaczyński Tadeusz 309
Kadela Jerzy 13, 136

Kadłubowska Krystyna 136
Kalinowska Halina 13
Kalinowski Antoni 13
Kalinowski Leon 13
Kaliszuk Jan 13
Kalkowski Alfons 13
Kała Włodzimierz 13, 107
Kałek Tadeusz 13
Kamieńska Elżbieta 13
Kamieński Jan 13
Kamieński Mirosław 13, 222
Kamińska Elżbieta 13, 137
Kamiński 230
Kamiński Mariusz 42
Karaś Janusz 238
Kardas Henryk 13
Kardas Zbigniew 13
Karkoszka Róża 13
Karolin Witold 13
Karsznia Józef 13
Karwowski Tadeusz 13
Kasprowska Elżbieta 13
Kaszuba Grażyna 13
Kawiak Stefan, doc. 44
Kawiński Aleksander 13
Kazimierczak Jerzy 13
Kazimierz Świtoń 176
Kaźmierski Zdzisław 13
Kennedy Edward 89
Kędzierski Zdzisław 215
Kiesz Tadeusz 13
Kila Henryk 13
Kin Henryk 13
Kisielewski Stefan 217
Kisielewski Tadeusz 13, 138
Kiszczak Czesław, gen. 139, 192, 200, 231, 292
Kiżewska Blanka 13
Klahs Witold 13
Klein Mieczysław 13
Kleinszmidt Piotr 13
Klein Włodzimierz 13
Kłos Ryszard 314
Knapiak Stanisław 13
Knop Roman 13, 159
Kobiera 36
Kobierowski Stanisław 13
Kobzdej Dariusz 41, 64, 65, 179
Kociołek Stanisław 265, 269, 283, 306
Kohl Helmut 280
Kohnke Wojciech 13
Kolbe Maksymilian 52
Kolp Zygmunt 13
Kołatka Jan 13
Kołodziej Andrzej 13, 26, 27, 29, 43, 65, 78, 80, 82, 86, 87, 92, 97, 98, 102, 113, 132, 152, 154, 164, 166, 169, 171, 175, 182, 190, 191, 195–198, 204, 205, 209–211, 243, 252, 262–266, 276, 278, 286, 292, 297, 301, 303, 304, 311, 313, 316
Kołodziejczyk Piotr 13
Kołowrocki Krzysztof 46
Komasiński Edward 13
Komorowski Bronisław 93, 147, 187
Konkel Ireneusz 141
Konkel Jan 13
Konkol Ireneusz 13
Konkol Józef 322
Konkol Paweł 13
Konopka 279
Korczyńska Anna 13
Kordecki Władysław 13
Korsak Mirosław 13
Korzeniewski Bohdan 117
Korzeniowski Grzegorz 93, 122
Kosiedowski Janusz 13
Kosk Józef 13
Kostecki Mikołaj, dr 42, 44, 45, 217, 300
Koszarska Maria 13
Kosz Jan Ludwig 13
Kościuk Jan 13, 143
Kotowska Alicja CR, bł. 186
Kotowski Edmund 13
Kotowski Edward 13
Kotowski Wacław 13
Kowalczuk Bogdan 13
Kowalczyk Jerzy 13, 42
Kowalczyk Juliusz 13
Kowalczyk Roma 42, 43
Kowalczyk Ryszard 13
Kowalewski Gerard 13
Kowalewski Roman 13
Kowal Jarosław 13
Kowalska Elżbieta 13
Kowalski Gerard 13
Kowalski Leszek 13
Kowalski Romuald 13
Kowalski Stanisław 300, 301
Kowalski Wiktor 13
Kozicki Aleksander 279
Kozicki Andrzej 13, 82, 102, 148, 153, 164, 175, 195, 198, 292, 311
Koziczkowski Jan 13
Kozłowski Bernard 96
Kozubski Jerzy 13
Kralewski Stanisław 13
Krasiński Stanisław 13
Krause Janus 13
Krauze Krzysztof 309
Krawczyk Czesław 13, 46
Kreft Stanisław 13
Kriesel Jan 13
Krol Władysław 13
Król Grzegorz 13

Król Zdzisław 13
Krzaklewski Marian 147, 259, 290
Krzewicki Jan 13
Krzywonos Henryka 158
Krzyżanowski Andrzej 13
Książek Włodzimierz 13
Księżopolski Zbigniew 13
Kubasiewicz Ewa 13, 42–44, 46, 67, 209, 289, 290, 300
Kucharski Tadeusz 161
Kuchnowski Stanisław 13
Kuchta Bożena 13
Kujawa Elżbieta 13, 150, 188, 189
Kujawiński Józef 13
Kukiz Paweł 68, 186
Kulaszewicz Piotr 13
Kulawczuk Henryk 13
Kulawik Andrzej 13
Kullas Jan 13
Kulwikowski Tadeusz 13
Kummer Andrzej 13
Kupc Jerzy 13
Kurczewicz Marek 13
Kuroń Jacek 41, 60, 108, 180, 271, 278, 280
Kurowski Zbigniew 13
Kuster Jolanta 13
Kutnik Halina 152
Kutnik Szczepan 13, 152
Kuzimski Roman 13
Kwaśniewski Aleksander 311
Kwiatkowska Wiesława 67, 189, 262
Kwiatkowska Zofia 72
Kwiatkowski 222
Kwiatkowski Edmund 13
Kwiatkowski Eugeniusz 26, 27
Kwiatkowski Mieczysław 13
Kwiatkowski Stefan 13
Kwoka Zenon 13
Lasek Ryszard 13
Lechoń Jan 61
Lekner Iwona 154
Lekner Janusz 154, 238, 287
Lekner Jerzy 13, 154
Lekner Mirosław 154, 222
Leksztoń Janusz 134
Lenartowicz Jan 13
Lenckowski 161
Lenin Włodzimierz 146
Leoniak Tadeusz 14
Leo Piotr 46
Lesiak Adam 14
Lesman 173
Leszczyk Krzysztof 14
Leszczyński Antoni 14
Leszczyński Bogdan 14
Lewandowski 126
Lewandowski Andrzej 14
Lewandowski Henryk 14
Lewandowski Janusz 287, 309
Lewiński Bolesław, ks. 184
Lewiński Tadeusz 14
Leyk Dionizy 14
Libera 14
Liberski Jarosław 14
Licau Andrzej 14
Lidzbarska Elżbieta 252
Lidzbarski Leon 14, 32
Lidzbarski Zygmunt 14
Lis Bogdan 158, 215, 231, 266, 283, 284
Lisiewicz Zbigniew 215
Lisiński Ryszard 14
Lis Jan 14
Lisowski Józef, prof. 44
Liszewski Franciszek 14
Lorenc-Celińska Danuta 14
Łęgowska Beata 116, 118
Łosiński Piotr 14
Łuczak Mirosław 14
Łydka Kazimierz 14
Łysakowski Zygmunt 29
Machnicki Stanisław 14
Macholl Feliks 157
Macholl Ireneusz 159
Macholl Stanisław 14, 157
Maciejewski Józef 14
Maciejewski Zbigniew 313
Macierewicz Antoni 164, 165, 186, 304, 309
Mackiewicz 39, 249
Mackiewicz „Cat" Stanisław 39
Maczek Stanisław, gen. 112, 119, 168, 194, 240
Madej Władysław 14
Magalski Grzegorz 14
Majcher Zdzisław 14
Majewski Grzegorz 14
Majka Stanisław 14
Majorkiewicz Jan 14
Makowski Edmund, ks. 132
Malczewska-Mosek Alicja 14, 161
Malczewski Artur 161
Malczewski Mirosław 161
Malczewski Przemysław 14
Malinowski 309
Malinowski Waldemar 14
Mańkowski Gerard 163
Mańkowski Leszek 163
Mańkowski Ryszard 15, 163
Mański Czesław 14
Marchel Zygmunt 215
Marciniak Mieczysław 14
Marczak Tadeusz 14
Marecki Wojciech 14
Mariański Jan 40, 214, 261, 262
Markuszewski Zbigniew 14

Maruszczyk Konrad 308
Matela Zenon 14
Mazowiecki Tadeusz 58, 60, 65, 67, 117, 124, 170, 180, 186, 280, 287, 309
Mazurkiewicz Kazimierz 14
Mechell Władysław 14, 168
Mechliński Leon 14
Mehring Edmund 14, 171
Meller Roman 14
Mendałka Jan 278
Merchel Jan 14
Merkel Angela 166
Merkel Jacek 181
Messerszmidt Eugeniusz 14
Meyer Antoni 157
Michalak Stanisław 14
Michalak Tadeusz 14
Michalski Janusz 14
Michewicz Stanisław 14
Michna Henryk 14
Michniewicz Stefan 14
Michnik Adam 46, 60, 271, 278, 280, 283
Michulec Józef 14
Mielnikowa 208
Mierzejewski Henryk 14, 195, 197, 198, 292
Miętki Zdzisław Zbigniew 14, 173
Mikołajczyk Krzysztof 14
Milewczyk Jerzy 179
Milewczyk Tadeusz 179
Milewski Jerzy 55, 65
Miłostek Stanisław 14
Miłosz Czesław 41, 64
Miłosz Leonard 14
Miodowicz Alfred 45
Mioskowski Jan 14
Miotke Jerzy 14, 36, 314
Miotke Lucjan 14
Miotke Zygmunt 14
Mirecki Zbigniew 14
Mironowicz Marian 14
Miszewski Andrzej, ks. 251
Mizgalska Alicja 14
Młynarczyk Jerzy, prof. 41
Moczulski Leszek 64, 217
Modzelewski Karol 41, 271
Mordul Jan 14
Możejewski Eugeniusz 14, 92, 181
Możuch Tadeusz 14
Mrozowski Zbigniew 14
Mróz Marian 14
Mucha Tadeusz 92
Muller Aleksander 14
Murawski Adam 14
Murdzia Stanisław 14
Muszka, dr 46
Myka Lucjan 36
Myschker Jurgen 14
Myszker Wiesław 14
Myszkiewicz Elżbieta 14
Mytkowski Piotr 14
Nadolny Tadeusz 14
Najder Zdzisław 101
Nałkowska Ewa 309
Narloch Stanisław 14
Narojczyk Stanisław 14
Natucki Stanisław 14
Nazaruk Maria 179
Niedzielski Wojciech 14
Niewiadomy Grzegorz 43
Nikiel Janusz 14
Nikielski Tadeusz 14
Niziński Wacław 67
Noske Zygmunt 14, 182
Nowacki Andrzej 14
Nowacki Julian 14
Nowak Daniel, ks. 184
Nowak-Jeziorański Jan 33, 85, 101
Nowakowski Ryszard 14
Nowosielski Roman 14
Nowotnik Tadeusz 14
Nykiel Zygmunt 14
Okrój Bronisław 14
Okrój Lidia — Grabowska Lidia 0
Okrój Marian 14
Olbrychski Daniel 117
Olejnik Grzegorz 14
Olkowski Janusz 14
Olszewski Jan 46, 165, 177, 301
Olszowski Stefan 278
Olszyna Michał 14
Olter Gerard 189
Ołtarzewski Grzegorz 14
Ordziniak Leszek 14
Orlikowska-Wrońska Roma 66
Orlikowski Zbigniew 14
Orłowski Michał 14
Osiński Teodor 14
Osowska Wiesława 14
Ossowski Stanisław 14
Ostrowska Janina 14
Owczarski Włodzimierz 14
Pacholec Anna 192
Pacholec Barbara 189
Pacholec Ewa 189
Pacholec Marek 14, 191
Pacholec Paweł 192
Pacholec Stanisław 10, 14, 188
Palczewski Henryk 14
Palikot Janusz 178
Pałasz Jan 14, 194
Pałasz Zygmunt 14, 86, 87, 132, 194, 319
Papke Jerzy 14
Paradowska Janina 162
Parszyk Henryk 14

Pasturczak Waldemar 15
Pastusiak Longin 177
Paszak Władysław 15, 202
Pawelec Władysław 15, 78, 204, 294
Pawlak Jerzy 92, 228
Pawlicki Szymon 15, 55
Pawlik Jan 15
Pawluczyk Romuald 15
Pawluć Witold 15
Pawłowska Zofia 15, 40, 42–44, 207
Pelc Janusz 133
Pełka Bogusław 15, 211
Pepliński Marian 15
Perlicka Anna 15
Perlicki Zygfryd 15, 236
Peta Zenon 15
Petkowski Józef 15, 214
Piątek Sylwester 15
Piątkowski Ryszard 15
Piekarski Maciej 15
Pieńkowska Alina 54, 162, 263
Pieper Mirosław 15
Pierechaty Marek 44
Pietryk Henryk 15
Pietrzyk Krystyna 42
Piłsudski Józef 61, 63, 215
Pionk Ryszard 15
Piontke Józef 15
Piotr Borowski 57
Piotrowski Edmund 15
Piotrowski Lechosław 15
Piotrowski Stanisław 217
Piotrowski Tadeusz 15
Piór Edmund 15
Pitter Stefan 15
Piwko Tadeusz 15, 195, 220
Pławiński Tadeusz 15, 103, 104, 175, 195–198, 205, 225, 226, 236, 264, 279, 292, 294
Płażyński Maciej 309, 314
Płotka Jerzy 15
Polito Zygmunt 291
Połom Mariusz 15
Popiełuszko Jerzy. ks., bł. 73, 89, 90, 133, 185, 241, 266
Postek Janusz 15
Potrykus Władysław 15, 222
Pranczk Tadeusz 15
Prill Piotr 15, 225
Proch Kazimierz 74
Przerada Mieczysław 15
Przybylski Marian, abp. 264
Przybylski Zbigniew 92
Przybyłowski Piotr, prof. 46
Pstrąg Kazimierz 15
Puzdrowski Mieczysław 15, 228
Radke Grzegorz 15
Radzimiński Marian 15
Radziuk Wojciech 15
Radziwiłłowicz Jerzy 309
Raguza Jan 15
Raszkowski Karol 15
Ratajczak Edwin 15
Ratajczak Zbigniew 15
Ratkiewicz Wiesław 15, 233
Rauchfleisch Ryszard 15
Rawiński Hieronim 239
Rąbalski 241
Reagan Ronald 89, 280
Reinhardt Jan 15
Rekwardt Marian 15
Remiszewski Andrzej 15
Richter Anna 15
Rinc Andrzej 15
Rogalski Zdzisław 15
Rogowski Zygmunt 15
Romaniec Stanisław 15
Roman Jan 279
Romaszewski Zbigniew 316
Rosal Kazimierz 15
Roserngart Tadeusz 15
Roszkowscy 134
Rozpłochowski Andrzej 60
Rożański Henryk Tadeusz 15
Różański Henryk 235
Różański Mariusz 15, 103, 104
Rulewski Jan 180, 266
Rusinek Mirosław 15
Ruszkowski Remigiusz 15
Rutkowska Maryla 15
Rutkowski 45
Rutkowski Maciej 15
Rybacki Jerzy 15
Ryba Edward CSsR, ks. 27, 39, 57, 86, 117, 131, 132, 134, 138, 175, 176, 196, 204, 220, 249, 255, 265, 266, 294, 313
Rybicki Arkadiusz 64
Rybicki Leszek 15
Rydzyk Tadeusz CSsR, ks. 304
Ryga Henryk 15
Rymarz Władysław, dr, kpt. ż.w. 45
Rytereski Jan 313
Rząsa Mieczysław 15
Rzepa Stanisław 15
Rzeszótko Andrzej 15
Rzeszótko Franciszek 15
Sabatowski Zygmunt 15
Sabiniarz Stanisław 15
Sadowski Lech 15
Sałaciński Sebastian 15
Samurajski Tadeusz 15
Sandach Zbigniew 15
Sankowski Zbigniew 252
Sarzyński Bronisław 162

Sawicka Beata 164
Schmidt Edward 27
Schmidt Jan 15, 237
Schulz Andrzej 15
Schulz Czesław 15
Schwan Franciszek 15
Schwann Wojciech 15
Selin Jarosław 240
Selin Mieczysław 15, 240
Sentkowska Sabina 15
Seruec Genowefa 15
Sidorowicz Jerzy 15
Siejka Stanisław 15
Siemieńczuk Jan 15
Sienkiewicz Tadeusz 15
Sierżęga Ryszard 15
Sikora Henryk 15
Sikorski Władysław, gen. 126, 208, 254
Sikorski Zygfryd 15
Siwiński Ryszard 15
Siwołowski Jerzy 15
Skierka Edmund ks. 34, 212
Składanowski Aleksander 72
Skowroński Kazimierz 15
Slezyngier Anna 245
Slezyngier Paweł 15, 245, 294
Slezyngier Piotr 245
Słabuszewska Elżbieta 252
Słabuszewska Zofia 252
Słabuszewski Jerzy 15, 251
Słojewska Halina 117
Słowik Wojciech 15
Sobczak Józefa 15
Sobczak Stanisław 15
Socha Henryk 15, 70, 254, 257
Sokołowski Kazimierz 15
Sokół Franciszek 50
Sondej Stanisław 15
Sorek Henryk 15
Sosabowski Stanisław, gen. 240
Spisak Piotr 15
Stachowiak 78
Stachura Marian 15, 261
Stalin Józef 70
Staniewicz Jolanta 15
Stanisławczyk Leokadia 316
Staniszewska Eryka 161, 162
Stańczyk Teresa 15
Starosta Stanisław 15
Starszyk Stanisław 15
Stefanowski 196
Stefanowski Marian 15
Stefan Roman 15
Stegart Janusz 133
Stelmachowski Andrzej 231
Stojański Jan 15
Stojek Longin 71
Stopka Anna 105
Strumiła Bogumiła 161
Strzelecka-Fiutak Mirosława 16
Strzelecki Stanisław 16
Strzembosz Adam 67
Stubiński Alfons 16
Stypuła Ryszard 16
Sulewski Gerard 16, 44
Sulikowski Józef 16
Suzga Tadeusz 16
Syldatk Andrzej 16
Szablewski Alojzy 231
Szaj Kazimierz 16
Szambelan Piotr 16
Szarafiński Tadeusz 16
Szczeciński Zbigniew 16
Szczepanik Piotr 231
Szczepański Marian 16
Szczerba Andrzej 16, 268
Szlaga Gerhard 16
Szmit Edward 16
Szmuda Tadeusz 16, 230
Szostak Marian 16
Szpinda Czesław 16
Szponar Andrzej 16
Szwarc Ryszard 16
Szweda Barbara 278
Szweda Czesław 16, 275
Szymański Marek 16
Szymerowski Franciszek 16
Szymkowski Józef 215
Szynwelski Paweł 319
Śleszyński Ryszard 255
Śliwiński Edward 16, 282
Śmiechowska Maria 16
Śniadek Janusz 27, 30, 198, 248, 259
Średziński Piotr 16
Świnoga Jan 16, 286
Świst Ryszard 16
Tabor Jerzy 16
Tajl Leon 16
Talaśka Jan 16
Tarasiewicz Henryk 16, 256, 308
Terlecki Marian 60
Thatcher Margaret 85, 280
Tkacz Adam, ks. 185
Tomaszewski Edward 16
Tomczak Jan Maria 16
Tomczak Stanisław 16
Toporski Marian 16
Trocki Gerard 16
Trzciński Władysław Jerzy 16, 289
Tulibecka Zofia 16
Tusk Donald 64, 165, 226, 292
Tworkowski Zygmunt 16, 291
Tymiński Michał 291
Tymiński Stanisław 58, 291

Tyński W. 123
Tyrka Andrzej 16, 294
Tyszka 257
Tyszko Marian 16, 168, 236, 277–280
Uciński Marian 40
Urbaniak Tadeusz 16
Wachowski Mieczysław 165
Wajda Andrzej 117
Walczak Mieczysław 158
Walczak Tomasz 171
Waldowski Kazimierz 16, 297
Walentynowicz Anna 33, 43, 60, 64, 148, 158, 175–177, 186, 189–191, 198, 215, 263, 284, 304, 314, 316
Wałęsa Jarosław 164
Wałęsa Lech 33, 35, 41–43, 45, 55, 64, 65, 71, 85, 90, 92, 93, 107, 108, 126, 134, 146, 148, 154, 155, 158, 162, 164–166, 177, 180, 181, 190, 191, 193, 198, 215, 222, 230–232, 238, 247, 253, 258, 259, 263–265, 271, 278, 283, 284, 292, 300, 307, 309, 320
Wareris Wiesław 16
Warmowska Agnieszka 16
Wasiak Władysław 179
Wasilewski Tadeusz 16
Wdowiak 60
Wenda Tadeusz 26, 27
Wertepny Jan 291
Wesołowski Henryk 16
Wesołowski Stanisław 16
Wiater Walerian 16
Wielowieyska Dominika 162
Wierzbicki Eugeniusz 16
Wierzchowski Jan 16
Wiktorska Albina 16, 42, 43, 300
Wilczek Mieczysław 287
Wilczewski Marian 16
Wilczyński Zygmunt 16
Wildstein Bronisław 164
Wilhelm II Hohenzollern, cesarz 95
Wilk Mariusz 104
Winiewski Roman 16
Winniewski Piotr 74
Wiszowaty Zenon 16
Wiśniewski Janek — Godlewski Zbigniew 0
Wiśniewski Ludwik OP 64
Wiśniewski Stanisław 16
Wiśniowska Krystyna 16
Witkowska Stanisława 16, 303
Witkowski Edmund 16, 303
Wittbrodt Jerzy 16
Witt Bożena 16
Włoch Adolf 44
Wodniak Henryk 16
Wodyk Wiesław 16, 255, 256, 306
Wojciechowski Józef 16, 36
Wojciech Szczurek 166
Wojewski Jan 16
Wojtarowicz Aleksandra 16
Wolak Edward 40
Wolszon Roman 16
Wołowski Piotr 16
Woś Stanisław 16
Woźniak Eugenia 16
Woźniak Henryk 16
Wróbel Łucja 16, 252
Wróblewski Andrzej 16, 311
Wróblewski Franciszek, ks. 202
Wróblewski Lech 16
Wruk Kazimierz 16
Wrześniak Franciszek 16
Wyrzykowski Jerzy 16
Wysiecki Włodzimierz 16
Wysoccy 207
Wysocki Zenon 16, 313
Wyszyński Stefan, kard., abp 85, 90, 126, 262, 275
Zajdel Teresa 16, 316
Zalasiński Henryk 16
Zapasiewicz Zbigniew 309
Zaręba Jan 291
Zarwalski Józef 16
Zarzecki Czesław 16
Zarzycki 236
Zaworski Leszek 313–315
Zbieć Mariusz 16
Zbudzki Zenon 16
Zielazek Andrzej 16
Zieliński Bogdan 16, 319
Zięba Marian 16
Ziętek Józef 16
Zinke Ryszard 16
Zofka Zbigniew 16
Zoll Andrzej 105
Zwiercan Małgorzata 16
Zwiercan Roman 210
Zych Stanisław 16
Żabicki Stefan 16
Żakowski Jacek 162
Żebrowski Stanisław 248
Żelewski Edmund 16, 92
Żelewski Tadeusz 16
Żuchowska Grażyna 16
Żutkowski Edward 74
Żydak 40, 43, 45
Żylewski Edmund 92

Spis treści

Wstęp Prezydenta Gdyni 7
Pamięć Sierpnia 80 9
Uczestnicy strajku sierpnia 1980 w Gdyni, uhonorowani Odznaczeniem „Bohaterom Sierpnia 80 Gdynia", za odwagę walki o godność i wolność w sierpniu 1980 roku 11
Listy 17
Bohaterzy 25
Indeks osób 325